# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

# BIBLIOTEKA
# WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**1869.**

---

Tom piérwszy.

WARSZAWA.
Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1869.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 27 grudnia (8 stycznia) 186⁸/₉ r.

*Cenzor*, **J. Błeszczyński.**



*W drukarni Gazety Polskiéj.*

# RZYMIANKA.

## STUDYUM HISTORYCZNO-OBYCZAJOWE.

NAPISAŁ

*Dr. Jan Wolfram.*

---

Upadek narodów datuje się wszędzie w historyi od upadku moralności i cnót, a upadek cnót od upadku kobiet.

Dopóki kobieta pełni obowiązki swoje jako córka, żona, matka i gospodyni domu, dopóty jest i mężczyzna z pewnością mężem, ojcem i obywatelem w całém znaczeniu wyrazu tego; gdyż cnoty wyssane z piersi matki, wypielęgnowane przy jéj sercu i na jéj łonie, wykołysane w miłości, musiały go zahartować do życia, nauczyć miłować powinność i wypełniać ją sumiennie, wlać do duszy wiarę i miłość Boga i społeczeństwa, a połączone z cnotami żony, powiększyć siłę jego woli, stać mu się tarczą i zachętą do walczenia z trudnościami życia obywatelskiego. Więc powołanie kobiety jest wielkie i zaszczytne, a jeżeli je pojmie, ukocha i spełnia w myśl Boga, wtenczas miłość, którą Bóg wlał w jéj serce, wylewa zdroje szczęśliwości dla niéj saméj, dla jéj męża i dzieci; przez nię jest ona osłodą życia, stróżem cnoty i pocieszycielem cierpiących; jéj słodycz i uczucie delikatne hamuje zapędy męża, łagodzi gwałtowniejszy charakter i większą w obyczajach surowość; jéj uczucie wstydu stoi na straży moralności; jéj cnoty w ogóle czynią jéj dom miesz-

kaniem zgody, zadowolenia, miłości, dobrych i cnych obyczajów: a z takiego domu wychodzą mężowie i kobiety silni duchem i wolą, bo zbrojni w wiarę, nadzieję i miłość.

Ale gdzie tego nie ma, tam upadek bliski.

Bardzo pouczającym tego dowodem może być Rzym starożytny, który był panem świata, dopóki był siedzibą skromności, oszczędności i pracy, siedzibą cnót w obywatelach i obywatelkach; ale otworzywszy wrota zepsuciu i zgniliznie, runął straszliwie.

Wielkie znaczenie w życiu narodu Rzymskiego miała kobieta; zamierzamy więc o niéj tu pomówić. Ale co wiemy o kobiecie rzymskiéj, odnosi się tylko do kobiety stanów, które w Rzymie, tak samo, jak wszędzie, będąc wyniesione, główną odgrywają rolę na scenie życia narodowego, reprezentują naród, przyczyniają się do jego wzrostu i znaczenia, dopóki są zdrowe i czerstwe, a kiedy przejdą w zgniliznę zarażają inne i pociągają je wraz z sobą do upadku.

Źródła, z których możemy czerpać wiadomości o wychowaniu kobiét w Rzymie, są w ogóle bardzo szczupłe; ale najszczuplejsze są z tego okresu, w którym państwo silne, jako mąż pełen życia z pełnéj oddychało piersi, zwalczało niebezpieczeństwa, łamało przeszkody i torowało sobie do wielkości drogę t. j. z okresu sięgającego końca drugiéj wojny Punickiéj. Z czasów późniejszych są one nieco przynajmniéj pewniejsze; mimo to jednakże możemy właściwie robić tylko wnioski wypływające z ogólnego stanu rzeczy w Rzymie, z charakteru obywateli, z wychowania dzieci wogóle i z wzorów pojedynczych Rzymianek, które nam przechowała historya (1).

(1) W Rzymie był zwyczaj porzucania świeżo narodzonych dzieci, jeżeli ich rodzice wychowywać nie chcieli, albo nie mogli. A chociaż przestrzegano, aby tylko dzieci słabe, niedołężne, potworne lub kaleki los taki spotykał, jak to wyraźnie nakazuje jedno z praw 12 tablic; to przecież w czasach upadku moralności w Rzymie, liczba porzucanych zdrowych dzieci wielką być musiała, kiedy nawet było jedno miejsce, tak zwana *kolumna mleczna*, gdzie nieszczęśliwe istoty porzucane albo marniały, albo dostawały się w ręce niekiedy litościwych ludzi, którzy się wychowaniem ich zajęli, najczęściéj jednakże w ręce podłych przemysłowców handlujących zdrowiem i ciałem ludzkiém, którzy w tym tylko celu je podejmowali, aby je wychować na niewolników i niewolnice, i mieć z nich sowite dochody.

Jeżeli ojciec uznał dziecko, dawano dziecięciu ósmego dnia imię przy pewnych uroczystościach ofiarnych w domu, albo w świątyni, z czém połączona była stypa.

Dziecko karmiła zwyczajnie matka sama i zajmowała się jego wychowaniem, mając do pomocy niańkę, najczęściéj kobietę w podeszlejszym wieku, któréj obowiązki przyjmowała niekiedy jaka krewna rodziny.

Dziewczyna chowała się pod troskliwém okiem rodziców w domu na obywatelkę i na matkę Rzymian, w tych ćwicząc się zajęciach, których znajomość potrzebną jéj była dla pożytku narodu i dla spełnienia obowiązku, jaki ją czekał w przyszłości. A ponieważ w szczęśliwych czasach rzeczypospolitéj prostota obyczajów i męztwo główną były Rzymian ozdobą, więc Rzymianka mająca być dla dzieci swoich wzorem prostoty i uczciwości, mogła się w młodości swojéj tego tylko uczyć, co wszędzie i zawsze jest cnót tych podstawą i źródłem t. j. pracy.

Trudno powiedzieć, czy dziewica rzymska pobierała w dawniejszych czasach jakie nauki. Potrzeby Rzymian tak były małe, życie ich tak skromne, położenie samo tak zagrożone, że nie mając wrodzonéj sobie skłonności do nauk, nie widzieli się niczém do nich zachęcanymi, a okoliczności, w których żyli, zbyt ich odciągały od umysłowych zajęć. Z kilku wzmianek pisarzów starożytnych, mianowicie Cycerona i Liwiusza można wprawdzie wnosić, że synowie mężów w państwie najwyżéj postawionych, uczyli się czegoś w domu, ale w ogóle, a mianowicie i o kobietach na pewne przynajmniéj powiedzieć tego nie możemy.

Wiemy jednakże, iż w pierwszych czasach rzeczypospolitéj były już w Rzymie szkoły, do których chodziły dziewczęta nawet doroślejsze. Liwiusz (1) bowiem i Dionyziusz z Halikarnassu (2) opowiadają, że w roku 449 poznał znany Decemvir Appiusz, młodą Wirginią, kiedy chodziła do szkoły, i że często przechodził około szkoły będącéj na rynku w budzie, aby ją widzieć. Ale czego się tu uczyły, nie wiemy; chłopcy bo się uczyli podobno nauk etruskich i greckich, a nadto wedle praktycznego Rzymian charakteru, tego co im w życiu potrzebném było, więc np. rachunków.

(1) 3, 44. (2) 11, 27.

Z postępem czasu, przy coraz większém stykaniu się Rzymian z Grekami, i wpływie nauk i literatury greckiéj na ich umysły, zmienił się sposób wychowania i wykształcenia młodzieży w ogóle, więc i wychowanie dziewczęcia zmienić się musiało. Ponieważ jednakże ta zmiana jest w połączeniu z bardzo ważnemi zmianami innemi w życiu i w charakterze, i była razem ich źródłem i następstwem, dlatego pomówimy o tém późniéj, a teraz wracamy do czasów dawniejszych.

Więc w domu odbierała dziewczyna, jak powiedzieliśmy, wychowanie od matki, która wraz z niańką pilnie przestrzegała tego, aby niewinne jéj oko i ucho niczem obrażone nie było; do stołu siadała z rodzicami i rodzeństwem; ale nikt jéj nie widział w towarzystwie mężczyzn, którzyby rozgrzani wesołością i biesiadą, mogli luźniejszém słówkiem ubliżyć dziewczęcia cnocie. Ojciec widząc w swéj córce przyszłą matkę obywateli, obywatelkę i matronę, kochał ją i czcił kiedy jeszcze była dzieckiem, obchodząc się z nią dobrze i łagodnie i wpływając przykładem i słowem na jéj serce i umysł. Cycero powiada: „i ja nie wątpię, że jak mnie, który kocham moję córkę z całego serca, tak równie i wam rzecz ta wydaje się przykrą i niegodną, wam którzy się względem córek waszych podobnemi kierujecie uczuciami i podobnie im pobłażacie. Cóż bowiem dała nam natura milszego, co droższego? cóż jest coby bardziéj zasługiwało na to, abyśmy mu poświęcili wszystkie nasze zabiegi i pobłażanie?" A Plutarch powiada, iż Katon wymazał Manliusza z listy senatorów za to, iż wśród dnia w obec córki swojéj żonę pocałował.

Koniec 12go roku życia dziewczyny uważano za kres, od którego począwszy za mąż wyjść mogła; a wychodziła, jak się zdaje, zwyczajnie pomiędzy rokiem 12-m a 17-m.

Zaręczyny robiono uroczyście, ale bez zezwolenia stron najwięcéj interesowanych, t. j. młodzieńca i panny; gdyż nie oni słowo dawali sobie, ale ci, w których byli mocy, więc rodzice, albo opiekunowie. Narzeczeni zatém nie znali się, kiedy ich zaręczano, ale nie znali się i w chwili ślubu; dlatego gorszy się tém Seneka (1) mówiąc: „nie masz wyboru żony,

(1) De matrim. 3, p. 429. ed. Haase.

musisz mieć taką, jaka ci się zdarzy. Jeżeli jest złośliwą, niekształtną, cuchnącą, jeżeli ma jakiekolwiek wady, dowiemy się o tém po ślubie. Konia, osła, wołu i najpodlejszego niewolnika, nadto suknie i kotły, krzesło drewniane, kielich, nalewkę drewnianą oglądamy przed kupnem, sama tylko żona nie pokazuje się, aby nie wzbudziła wstrętu, nim za mąż pójdzie."

Narzeczony dawał pannie podarunki, a jakoby zadatek swéj wiary pierścionek żelazny, który był zadatkiem, jaki przy kupnie lub kontrakcie daje kupujący sprzedającemu dla pewności. Więc zaręczenie takie nie było właściwie niczém inném, tylko rodzajem układu i kupna. Piśmienne zapewnienia robiono dopiéro w późniejszych czasach, mianowicie w czasach cesarstwa i to w obec świadków. Biesiada odbywała się pewnie zawsze przy takiéj uroczystości.

Śluby w Rzymie nie w każdym czasie odbywać się mogły: Rzymianie byli pod tym względem jeszcze oględniejszymi, niż kościoły chrześciańskie. I tak: nie zawierano ślubów przez cały maj i połowę czerwca, przez kilka dni lutego, przez piérwszą połowę marca, w dni, w których świat podziemny stoi otworem, t. j. 24 sierpnia, 5 października, 8 listopada; we wszystkie dni świąteczne i wszystkie dni piérwsze, piąte lub siódme, trzynaste lub piętnaste każdego miesiąca. Przyczyna tego leżała w uczuciu religijném Rzymian. W dni te bowiem przypadały uroczystości, w których Rzymianie, a szczególniéj matrony odprawiały pewnego rodzaju pokutę i oczyszczenie; albo téż były to dni w ogóle świąteczne, dni bogów podziemnych, albo i takie, w których Rzymian ciężkie jakie spotkało nieszczęście.

Aż do wigilii ślubu chodziła panna w sukni dziewiczéj, zwanéj: *toga praetexta*, którą w dniu tym składała na ofiarę bogom, opiekunom swéj młodości, wraz z zabawkami dziecinnemi, mianowicie z piłką i lalkami, a pewnie i ze złotym zwykle medalionikiem okrągłym, lub w kształcie serca, zwanym bulla, który zawieszano na dziecię w dniu jego urodzenia w celu ochronienia go i zabezpieczenia od czarów i rozmaitych wpływów zabobonnych, a przywdziewała suknię odpowiednią stanowi, do którego wstępowała.

W dzień ślubu napełniał się już od rana dom rodziców panny, krewnymi, przyjaciołmi i zaproszonymi gośćmi. Uro-

czystość rozpoczynała się, jak wszystkie ważniejsze Rzymian czynności od zasięgnięcia wiadomości o woli bogów, do czego używano augurów albo harspików i to pewnie bardzo rano, wśród ciszy prawie nocnéj, któréj potrzeba było przy wszystkich czynnościach tego rodzaju.

Podczas ofiary składanéj bogom tym, od których błogosławieństwo albo nieszczęście małżeństwa zależéć mogło, a mianowicie Junonie, ubierano pannę do aktu ślubnego. Włosy rozdzielano jéj ostrzem lancy, a ułożone w sześć loków albo warkoczy i zwinięte na głowie, przewiazane wstążkami przetykano tém ostrzem; wkładano potém wieniec z kwiatów żywych, przez pannę uwity, a głowę nakrywano kwadratową chustką czerwoną czyli welonem, zwieszającym się po bokach aż do kolan. Następnie ubierała się panna w ślubną suknię, tunikę, zwaną recta t. j. prostą, dla tego, jak powiada Festus, iż wedle dawnego zwyczaju kazali ją ojcowie gwoli dobréj wróżby dla dzieci swoich tkać przez stojących i w górę, czyli pewnie z postawem w górę idącym. Tę tunikę przewiązywano przepaską w guzeł zwany herkulesowym, który jéj następnie mąż dopiero rozwiązywał. Kiedy tak więc dziewica gotową już była do ślubu i kiedy już zebrali się wszyscy goście weselni, kapłani badający wolę bogów, ogłaszali ich odpowiedź wyczytaną w znakach, zjawiskach, w locie ptaków, lub jak powiadają Cycero i Wirgiliusz w wnętrznościach zwierząt zabitych; potém pisano, jak się zdaje, kontrakt ślubny w obec dziesięciu świadków, a narzeczeni oświadczali swoję wolę i chęć życia z sobą w małżeństwie. Połączeni przez druchnę przystępują do ołtarza i składają sami ofiarę bogom, mianowicie Junonie, Ziemi albo Cererze i Marsowi wśród modlitw, i obchodzą nareszcie ołtarz dokoła.

Po tych uroczystościach i obrzędach ślubnych następowała biesiada, która się przeciągała do późnéj nocy, a po niéj zaraz zabierano się do przenosin. Młodzieniec porywał tedy żonę z łona jéj matki, może na pamiątkę—jak mówi Festus—porwania przez Romula Sabinek, a całe grono gości i krewnych ruszało, wzywając głośno pomocy i opieki Junony, ku domowi męża. Na czele szli grajkowie i służba z pochodniami. Pannę młodą prowadzili dwaj młodzieńcy patrimi i matrimi, t. j. tacy, których rodzice jeszcze żyli i połączeni

byli ze sobą w najuroczystszy sposób zawierania małżeństw t. j. per confarreationem, o którym pomówimy zaraz; trzeci zaś szedł przed nią z pochodnią, jakoby symbolem ślubu poświęconym Cererze i środkiem przeciwko czarom, którą późniéj goście porywali i unosili. Pochód cały zamykała służba niosąca kołowrotek i wrzeciono, jako symbole zajęcia kobiety w domu, do którego przechodziła, wyprawę przygotowaną przez rodziców panny i podarunki, jakie jéj goście i krewni złożyli. Że na ulicach, przez które przechodził ten orszak, mnóstwo zbierało się ciekawych, jest rzeczą naturalną: tak się dzieje dziś i wszędzie. Przez próg mężowskiego domu nie przestępowała panna młoda, lecz pomazawszy odrzwie przystrojone w wieńce i zielone gałązki tłustością, wedle Pliniusza wilczą, albo wieprzową lub téż oliwą i opasawszy je białemi, wełnianemi wstążkami, dawała się przenieść drużbom, tak samo jak i z domu rodziców; może dla tego, aby uniknąć złéj jakiéj wróżby, np. przez trącenie nogą o próg, przez potknięcie się, potoczenie i t. d. a wszedłszy do Atrium, czyli do sali przybranéj uroczyście, pełnéj wieńców i kwiatów, w któréj z szaf w dniu tym otwartych, jakoby przodkowie jéj męża poustawiani w posągach spoglądali na tę, która miała dać życie ich potomkom, odbierała klucze domu i stawała się wspólniczką męża w życiu domowém i w służbie bożéj. Symbolem tego był ogień, który rozniecali nowożeńcy przy pomocy przyniesionéj pochodni, i woda, którą skrapiano młodą mężatkę, albo wedle Serwiusza, nogi jéj obmywano. Wątpliwą jest rzeczą, aby, jak utrzymują niektórzy, teraz dopiéro biesiada następować miała. Miejsca starożytnych autorów są co do tego niepewne; a najprawdopodobniejszém wydaje się być to, że biesiadowano w domu rodziców; pan młody może przyjmował gości swoich racząc ich jaką przekąską i napitkiem, a dopiéro nazajutrz wieczorem schodzili się do domu nowożeńców, gdzie ich już nowa gospodyni podejmowała biesiadą, jako matrona i składała bogom piérwszą ofiarę swoją.

W czasie pochodu i następnie przy zabawie i biesiadzie śpiewała młodzież pieśni treści często dwuznacznéj, żartobliwéj, znane pod nazwiskiem Fescenin.

Ponieważ uroczystości weselne połączone były z wielkiemi kosztami, gdyż nie tylko biesiady duży pociągały za

sobą wydatek, (dla tego prawem zastrzegł nawet podobno Oktawian August, aby na nie więcéj nie wydawano, jak 1000 sestercyów) (1), ale i podarunki które pomiędzy gości rozdawano, więc dla uniknienia tego, a może i nużących i męczących obrzędów, zaprosin i biesiad, zawierano mianowicie w późniejszych już czasach małżeństwo gdzieś na ustroniu i pocichu.

Nazwałem wyżéj jeden sposób zawierania małżeństw w Rzymie *per confarreationem* najuroczystszym; tu więc dodać mi wypada, że w Rzymie zawierano małżeństwa albo ścisłe, albo luźne. Pierwsze polegało na tém, że kobieta, która wedle prawnych pojęć rzymskich nie jest panią woli swojéj i powinna mieć zawsze kogoś, w któregoby była mocy czyli w ręce, *in manu*, przechodziła zawierając małżeństwo ścisłe z mocy ojca w moc męża swojego, wnosiła mu swój majątek, którego on się stawał panem, a zyskiwała prawo dziedzictwa w familii męża. Przez zawarcie zaś małżeństwa luźnego, *sine conventione in manum*, zostaje kobieta w mocy ojca i nie przenosi swoich praw dziedzictwa na męża.

Zawierania małżeństwa ścisłego trzy były sposoby: najuroczystszy i prawie najstarszy per confarreationem, tak zwany od placka orkiszowego, *farreum libum*, którego przy obrzędzie używano; *per coemtionem*, czyli rodzaj kupna, przez które ojciec córkę z mocy swojéj wypuszczając oddawał mężowi, i *per usum*, jeżeli żona przez cały rok jeden przemieszkała w domu męża, nie spędziwszy poza nim trzech nocy jednę po drugiéj. Wszystkie te trzy sposoby zawierania małżeństwa ścisłego wymagały pewnych obrzędów uroczystych, ofiar, świadków, biesiad i t. d.; a kobieta przechodziła jak powiedzieliśmy wyżéj przez nie z rąk i z domu ojca w dom dotąd sobie obcy i przyjmowała obowiązki żony, matki, gospodyni na całe życie. O rozwodach bowiem nikt właściwie w dawniejszych czasach nie słyszał, małżeństwo tak miało wielkie znaczenie i w takiém było poważaniu, iż wedle Dionizyusza z Halikarnasu (2) był Sp. Karwiliusz przez całe życie w nienawiści u ludu, ponieważ się rozwiódł z żoną dla tego, iż była niepłodną, r. 234. A Gelliusz (3)

(1) Około 50 rubli; summa to bardzo mała, zwłaszcza na czasy Oktawiana Augusta, dla tego może i wątpliwą jest ta liczba.
(2) 2, 25. (3) 4, 3.

powiada, że właśnie aż do tego piérwszego rozwodu, więc przez lat przeszło 500 od założenia Rzymu, ani w Rzymie ani w Lacium nie było żadnych spraw małżeńskich, a Karwiliusz, człowiek szlachetny, lubo kochał bardzo żonę swoją dla jéj przymiotów, rozwiódł się jednakże dla tego, ponieważ jako obywatel, sądził, iż wedle przysięgi złożonéj cenzorowi, powinien był miéć dzieci. Rozwód jednak był możebnym; już podobno Romulus zabraniał kobiecie wnosić o rozwód, a mężowi tylko w tym razie pozwalał, jeżeli żona dopuściła się otrucia, wiarołomstwa, podsunięcia dziecka i sfałszowania kluczy (1). Ostatni ten punkt odnosi się pewnie do kluczy od piwnicy, w któréj przechowywano wino, które było kobietom zabronione. I tak, za Romulusa zabił podobno Egnacyusz Meceniusz żonę swoją za to, iż zaczerpnęła sobie wina z beczki w piwnicy jego; a Fabiusz Piktor opowiada, iż ponieważ matrona jakaś dorwała się kluczy od piwnicy, została wskazaną przez krewnych swoich na śmierć głodową (2). Lubo późniéj rozwody były częste, zawsze jednakże rozwódka, dopóki moralność nie zupełnie poszła w poniewierkę, była w pogardzie, tak samo jak czci nie zażywała żadnéj, kobieta, która po śmierci męża szła drugi raz za mąż (3).

Lubo żona, jak wspomnieliśmy, jest pod względem prawnym zawsze jakoby małoletnią, była ona jednakże panią domu, a nie niewolnicą; a jaką była jéj powaga, i jaką miano w ogóle dla kobiety cześć w narodzie, dowodem wyraźnym jest to, że ubliżenie honorowi kobiety stało się pośrednią przynajmniéj przyczyną dwa razy przewrotu najzupełniejszego w państwie; że krew, która popłynęła z piersi Lukrecyi i Wirginii, pozbawiła tam Tarkwiniuszów tronu, tu Decemwirów władzy. A stary ów Katon, jeden z najsurowszych cenzorów w urzędzie i w życiu powiada dobrodusznie: „Wszyscy ludzie panują nad kobietami, my nad wszystkiemi ludźmi, a nad nami kobiety" (4). Połączona z mężem za wolą bogów nierozdzielnie ma ona jeden z nim wspólny cel i interes, t. j. służyć państwu i dobru ogólnemu, a „przy cudnéj piękności," jak mówi Kolumella, „pałając żądzą przewyższenia męża w pilności, stara się przez zabiegi swoje umniejszyć

(1) Plut. Rom. 22. (2) Plin. 14, 13. (3) Liv 10, 23.
(4) Plut. Apopht. 6 p. 749. R.

trudów jego i pracy, i uczynić je przez siebie ważniejszemi i pożyteczniejszemi; zostaje więc wprawdzie w jego mocy, ale ma z nim wszystko wspólne i jest z nim panią domu." Rzymianin ugania się tedy z orężem w ręku za nieprzyjacielem, odpiera go od granic swoich, rozszerza panowanie Rzymu, działa u siebie na forum jako obywatel lub urzędnik, a żona jego chodzi około gospodarstwa, przędzie i wyrabia z przędziwa materye siedząc z niewolnicami w Atrium. Tak wiemy, że królowa Tanakwil własną swoją ręką tkała suknie dla męża swojego króla Tarkwiniusza Starego; a ów Serwiusz Tulliusz, którego zasługi około państwa rzymskiego tak są ogromne, iż go można uważać za drugiego założyciela Rzymu, czci pamięć téj opiekunki swojéj, żony króla Tarkwiniusza przez zawieszenie jéj wrzeciona po śmierci, jako wotum w świątyni bóstwa! Lukrecyą zastaje Sextus Tarkwiniusz przy pracy, wyrabiającą wełnę pośród niewolnic w pałacu, chociaż świekry królewskie wedle opowiadania Liwiusza już na rozkosznych biesiadach czas spędzały.

Daléj krząta się Rzymianka po kuchni, ale nie robi niewolniczych posług; więc nie miele, ani nie gotuje: to mieli wedle Plutarcha Rzymianie już nawet Sabinkom obiecać; przedewszystkiem jednakże zajmuje się wychowaniem swych dzieci: karmi je sama własną piersią, ażeby była zupełną matką syna swego, który miał wyssać z niéj miłość Rzymu i zamiłowanie obowiązku obywatelskiego; który miał na jéj łonie nauczyć się służyć krajowi, bronić go piersią swoją i poświęcać zań życie i mienie. Rzymianie pojmując wysokie zadanie obywatela, pojęli zarazem że od najpiérwszych lat życia nie jest zawcześnie uczyć się obowiązków jego i zdali na matkę to zaszczytne zadanie, przygotowywać dzieci na przyszłych Rzymu obywateli. A Rzymianki podjęły się tego trudnego obowiązku i przygotowały razem z mężami swoimi wielkość i potęgę ojczyzny. Rzymianin otaczał ją dla tego uszanowaniem, przypuszczał ją do stołu swojego, dozwalał przebywać w sali z gośćmi swoimi i przysłuchiwać się rozprawiającym o sprawach publicznych, obeznawać się z położeniem kraju i potrzebami narodu dla tego, aby od niéj, uczyli się jéj synowie jako dzieci tego, czego potrzeba było przyszłym obywatelom.

Możemy więc przyjąć za pewne, iż kobietę rzymską odznaczała w najdawniejszych czasach skromność, uczciwość, czystość obyczajów, posłuszeństwo, pilność w zachodach domowych, skrzętność i wiara dochowywana mężowi. Dla tego też napisy, które Orelli zebrał z grobowców kobiet, przyznają zwyczajnie te cnoty zmarłym, czcząc przez to ich pamięć. Oto jeden z tych napisów dla przykładu: „Tu spoczywa Amymona żona Marciusza; była dobrą i piękną, pilną prządką, pobożną, czystą, gospodarną, moralną i domową.” Zatem powaga kobiety i stanowisko jéj opiera się tylko na pracy, na moralności i cnocie, na wypełnianiu skromnych na pozór, bo nie głośnych obowiązków, ale znaczeniem rzeczywiście wielkich; a powaga taka skromna, jak kobieta sama, najwięcéj z pewnością zdobi tę płeć, która jest matką rodu ludzkiego. Matrona rzymska odziana w szatę długą, poważną a skromną, któréj sam krój i układ dodawał jeszcze jakoby wrodzonéj powagi i godności, z twarzą zasłoniętą, jeżeli pokazała się na ulicy, a to nie działo się nigdy w dawniejszych czasach, bez woli męża, ani bez towarzyszki służebnéj (1), roztaczała naokoło siebie urok, który nakazywał każdemu z drogi jéj schodzić, nie ubliżyć w niczém i okazywać jéj uszanowanie, jakie się należało obywatelowi będącemu cząstką narodu i państwa otoczonego majestatem powagi.

Że to znaczenie przyznawane kobiecie i podnoszące jéj godność obudzić w niéj mogło poczucie siebie i wpłynąć na jéj usposobienie tak, iż się zatarły w niéj przymioty właściwe płci pięknéj, a mianowicie: słodycz, uczucie, łagodność, jest rzeczą naturalną; zwłaszcza, że w charakterze Rzymian w ogóle pomiędzy innemi nie małą odgrywa rolę pewna szorstkość i surowość. To téż kobieta patrząc na męża, który był zimny z natury, obrachowany, poważny, często odpychający przez zbytek powagi, dążący do znaczenia i godności, nieczuły przez wpływ stosunków państwowych, nie mogła nie przybrać tychże samych cech, zwłaszcza iż przez całe życie do praktyczności tylko zwrócona, daleką była od kształcenia

(1) Seneca Contror. 2, 15 mówi: Matrona niech tak wychodzi ubraną, aby się nie wydawała bezwstydną (ne immunda sit), niech ma towarzyszów w takim będących wieku, iżby bezwstydnych, jeżeli nie inaczéj, to przynajmniéj przez uszanowanie dla lat oddalali.

serca, od poezyi i marzeń poetyckich, od tych obrazów czczych, ale miłych, które niekiedy potrzebne są człowiekowi dla osłody życia, a stanowią dopełnienie surowéj natury mężczyzny. Dlatego napotykamy w charakterach Rzymianek znanych nam z historyi często dumę, zarozumiałość i chełpliwość, z których późniéj wyrosły srogość w obchodzeniu się z podwładnymi, zbytek w stroju i życiu, a następnie upadek moralności.

Liwiusz opowiada nam (1), że naigrawanie się Fabii, będącéj za trybunem wojskowym, z siostry swojéj, a żony Liciniusza Stolona, plebejusza, zachęciło ich ojca i Liciniusza w połączeniu z L. Sexciuszem do zaciętéj, a tak wielkie znaczenie mającéj walki w historyi Rzymu, o równouprawnienie z patrycyuszami. Tenże Liwiusz opowiada (2) o zajściu pomiędzy Wirginią patrycyuszką z pochodzenia, ktorą jednakże matrony rzymskie patrycyuszowskie dlatego, iż wyszła za konsula wprawdzie, ale plebejusza, wykluczyły od ofiar i z świątyni patrycyuszowskiéj bogini Wstydliwości. Są to zdarzenia dowodzące, że kobiety wszędzie i zawsze były i są równego usposobienia, iż pobłażliwe dla samych siebie, kierują się pewną dumą rodową, i gotowe są zaprzeć się nawet i siostry, jeżeli ich zdaniem ubliżyła krwi swojéj, łącząc się z mężem niższego pochodzenia. A jeżeli powiedzieć to można o kobietach w ogóle, to z pewnością najwięcéj o Rzymiankach, gdyż wypływało to z charakteru Rzymian, i w stosunku kobiet do męża i do publiczności.

Duma w kobietach i pogarda dla niższych rosła z postępem czasu wraz ze zmianami stosunków wewnętrznych Rzymu, a mianowicie z napływem bogactw, które wszędzie słabe dusze czynią małemi i stają się źródłem błędów dla jednych, przykrości i utrapień dla innych. W lepszych nawet jeszcze czasach rzeczypospolitéj rzymskiéj, dawały się panie nie mało we znaki i mężom swoim, dumne z posagu w dom ich wniesionego. Znajdujemy tego dosyć dowodów u autorów starożytnych. Posłuchajmy z Plauta ustępów ówczesne obyczaje malujących, które pewnie i teraz jeszcze wszędzie prawie zastosowane być mogą. Tak mówi np. obywatel mający chęć się ożenić (3):

(1) 6, 34. (2) 10, 23. (3) Aulularia 2, 1, 45.

Wielkiéj zgrai i buty, bogatych posagów,
Krzyków, fochów, rozkazów, pozłacanych karet,
Świetnych sukien, pałaców nie pragnę bynajmniéj,
Gdyż to doprowadziło już wielu do torby.

albo w innén miejscu mówi tenże obywatel (1):

Mojém zdaniem bo gdyby tak robili wszyscy
Co tylko majętniejsi, iżby wybierali
Córki samych uboższych dla siebie na żony,
Bez mienia i posagu: toby się z pewnością
Znacznie większą cieszyło zgodą nasze państwo;
Bogatym nie tyleby, co dziś, zazdroszczono,
Żony nasze byłyby daleko skromniejsze,
A mybyśmy wydatków mieli mniéj niż teraz.
Toby się podobało większéj części ludu,
Tylko z kilku skąpcami byłyby zatargi,
Których chciwéj, niesytéj duszy miary nie da
Żadne prawo ludowe, ni opiekun ludu.
Bo jeśli kto zapyta: „Cóż będą robiły,
Przy takiém prawie biednych, panienki posażne?"
„Niech sobie chodzą za mąż, byle bez posagu."
A gdyby tak się działo, to zamiast posagu,
Wnosiłyby w dom męża lepsze obyczaje,
Muły zaś, które dzisiaj droższe są od koni (2),
Byłyby, ręczę za to, tańsze od szkap biednych.
Wtenczasby żadna z kobiet tak mówić nie mogła:
„Majątek, który wniosłam większy jest od twego,
Słuszna więc, abym miała purpurę i złoto,
Służebnice, lokai, muły i pacholków,
Chłopaków na posługi, wspaniałe karety.

Tu wymieniwszy cały i długi szereg wydatków i potrzeb pani żony, tak kończy:

Oto są przyjemności, oto są wydatki,
Prócz wielu jeszcze innych, z tych wielkich posagów!
A żona bez posagu jest u męża w mocy;
Posażne dręczą mężów i pchają w nieszczęście.

To samo zdanie wypowiadają i inni, z późniejszych np. Juwenalis mówi, że nic nie ma nieznośniejszego, jak bogata kobieta.

(1) Aulularia 3, 10, 5.
(2) Muły były poszukiwane i drogo płacone, jako artykuł zbytku; zaprzęgano je do kolas kobiet.

Ależ to są słabości, wszystkim prawie kobietom i wszystkim czasom wspólne, które chociaż przynoszą szkodę pojedyńczym osobom i nie przyczyniają się wcale do dobra ogółu, przecież nie są jeszcze niebezpieczne, dopóki w mężach jest hart duszy; wtenczas bowiem słabości te zostaną słabościami tylko i nie przemienią się w chorobę ciężką, któréj następstwem bywa śmierć. Jeżeli więc w Rzymie przy napływie bogactw skromne dawniéj Rzymianki znajdować zaczęły upodobanie w tém, co bogactwo dać może, jest to rzeczą nie dziwną, ale zwiastującą już psucie się obyczajów, które przy pomocy innych okoliczności musiały zgubę przynieść narodowi. Dlatego téż z jednéj strony widzimy taką Weturyę matkę Koriolana, która synа naprowadzającego nieprzyjaciół na Rzym słowami pełnemi powagi i siły potrafiła złamać i skłonić do odstąpienia zbrodniczego zamiaru; widzimy inne składające z największą gotowością na ołtarz ojczyzny kosztowności i klejnoty, kiedy się Rzym Brennusowi i Gallom miał okupić. Widzimy charaktery Deciuszów, Torkwatów, Waleryuszów, Cincinnatów, Fabryciuszów i tylu prawdziwych bohatérów i obywateli będące dowodem zacności Rzymianek. Słyszymy słowa owéj Wirginii, która wykluczona przez patrycyuszki zakłada świątyni Wstydliwości plebejskiéj i mówi do plebejskich matron: „upominam was, aby jak walka o cnotę toczy się między mężami w tém państwie, tak toczyła się między nami walka o wstyd, i starajcie się, aby mówiono, że ołtarz ten święciéj i jeżeli być może przez czyściejsze kobiety jest czczony" a te słowa przemawiają do przekonania wielu. Dowiadujemy się, że matki nagłą umierają śmiercią na niespodziewany widok synów, których poległych na wojnie opłakiwały. Jak z jednéj strony powiadam, przekonywamy się o istnieniu charakterów niepospolitych, tak téż z drugiéj mogły się znaleźć i kobiety czcze, próżne, samolubne, jeszcze w lepszych czasach rzeczypospolitéj, które to jednak fenomena zapowiadały ogólną obyczajów zmianę. Zmiana ta zbliżała się zwolna, ale silnie, a była zastraszająca dlatego, iż pociągała za sobą upadek moralności, a w mężczyznach, którzy potrafili gromić zastępy nieprzyjaciół, zdobywać kraje, walczyć za naród, nie było siły dosyć i męztwa do wal-

ki z przewrotnościami kobiet. Zapowiedzi niemoralności i upadku dobrych obyczajów pojawiają się już dosyć wcześnie w Rzymie, jeżeli prawdą jest, co powiada Liwiusz (1) o czém i sam powątpiewać się zdaje, mówiąc, że nie we wszystkich źródłach swoich podanie to znajduje, iż 170 matron patrycyuszowskich potępionych zostało r. 427 od zał. Rzymu (327 przed Chr.) za przyrządzanie trucizny i trucie mężów swoich.

Chociażby zdarzenie to prawdziwém było, nie jest ono jednak jeszcze według nas dowodem złéj woli w potępionych kobietach, ale raczéj jakiéjś ciemnoty i zabobonu, przez który sądzić mogły, że zadawszy mężom napój zaprawiony, wpłyną może na nich i pociągną więcéj ku sobie. A Rzymianie w ogóle zabobonni byli bardzo. Nie chcąc więc w tym wypadku upatrywać wyraźnego przynajmniéj dowodu zbliżającego się upadku moralności kobiet, jako nie dosyć pewnym i jasnym, widzimy go jednakże wyraźnie w wielkiéj skłonności do zbytków, a mianowicie do strojów, świecideł i t. d.

Dowody tego kierunku zmiany w obyczajach rzymskich kobiet, podają nam historycy i poeci. Plaut np. wymienia cały szereg najrozmaitszych rzemieślników, którzy dostarczają potrzebnych przyborów do ubrania kobiecie rzymskiéj (2).

Ale jeszcze jest piękniéj, kiedy płacić trzeba;
Patrz, tu stoi sukiennik, walkarz, haftarz, złotnik,
Modniarka, pasamonik, a tam szwaczka koszul,
Wełniarz i farbierze w wiolet i złoto,
Krawcy, rękawicznicy, tu znów perfumiarze,
Płóciennicy, handlarze kobiecych trzewików,
Bławatnicy i szewcy robiący pantofle;
Tam stoją sandalnicy, farbierze ślazowi,
Tu perukarz, gorsetnik, fabrykant przepasek,—
A każdy chce pieniędzy, chce ich walkarz, łatacz,
Chce ich fabrykant wieńców, chce ich półgorsetnik.
Już myślisz, żeś popłacił—gdzie tam! znowu idą,
Znów stoją w przedpokoju setki żądających:
Wchodzi tkacz, wchodzi haftarz, stolarz—a więc dawaj!
Myślisz wreszcie, że wszystkich już zaspokoiłeś,

(1) 8, 18. (2) Aulul. 3, 10.

Gdy farbierz orańżowy zjawia się z rachunkiem:
Słowem kaci przynoszą wciąż nowe pijawki (1).

Wyraźnie maluje obyczaje kobiet rzymskich Plaut jeszcze i w następującym dialogu (2):

*Filemacyum.* Skafo, podaj mi lustro i z kosztownościami
Skrzyneczkę, abym była ubrana ozdobnie,
Gdy przyjdzie Filolaches; moje szczęście całe.
*Skafa.* Zwierciadło téj kobiecie tylko jest potrzebne,
Która nie ufa sobie i swojéj piękności.
Ale tobie, co po niém? któraś jest zwierciadłem
Z pewnością najpiękniejszém sama dla zwierciadła.
*F.* Patrz czy dosyć gładko
Włosy mam uczesane, czy wszystko w porządku?
*S.* Kiedyś ty sama gładka, wierzaj, włos twój gładki
*F.* Daj bielidło.
*S.* Z bielidłem, co poczynać myślisz?
*F.* Lica sobie ubielę.
*S.* Tak to brzmi, jakobyś
Atramentem ubielić chciała kość słoniową.
*F.* No to mi więc ruż podaj.
*S.* Nie podam. Nie mądraś.
To dzieło najpiękniejsze chcieć mizerną farbą
Szkaradzić! To nie twemu przystoi wiekowi
Brać do rąk jakie ruże, bielidła lub kredy,
Albo téż inną jaką podobną przyprawę.
Przejrzyjże się w zwierciedle!
*F.* Czy nie sądzisz, że użyć mam jakich olejków?
*S.* Bynajmniej.
*F.* A dlaczego?
*S.* Ta tylko dziewczyna
Pachnie bowiem przyjemnie, co nie pachnie niczem.
A stare elegantki, bez zębów i brzydkie,
Które się pomadami mażą, barwiczkują,
Które ciał ułomności pokrywają rużem,
Kiedy się pot połączy z zapachem ich pomad,
Pachną tak, jak gdy kucharz zleje potraw wiele
Razem w jedno naczynie. Lecz czem pachną, nie wiesz.
To tylko, że ten zapach rażący, niemiły.

(1) Nazwiska rozmaitych fabrykantów i handlarzy przedmiotów potrzebnych elegantkom rzymskim trudno przełożyć na język polski, gdyż wcale ich w wielkiéj części nie znamy; a z tych które znamy, oznaczają niektóre ludzi robiących przedmioty inne, a nie takie, jakich używano w Rzymie.
(2) Mostellaria 1, 2, 91.

F. Patrz, Skafo, czy to złoto i płaszcz mi do twarzy?
S. To mnie nic nie obchodzi.
F. A kogóżby, proszę?
Kto stary, niech purpurą swe lata osłania.
Złoto szpeci dziewczynę, a piękna kobieta
Piękniejsza w prostéj sukni, niż brzydka w purpurze.
Nareszcie, nie przydadzą jéj wdzięku i stroje
Obok złych obyczajów. Bo złe obyczaje
Brudzą strój najpiękniejszy gorzéj, niżli błoto.
Piękna dosyć ma ozdób.

Chociaż przytoczone miejsca są wzięte z komedyi, a ostatni dialog toczy się między osobami, których obyczajów nie można uważać za obraz obyczajów kobiet rzymskich w ogóle; nie masz w nich jednak przesady, kiedy w r. 215 przed Chr. potrzeba było już prawa zabraniającego kobietom zbytku. Rzymianie czuli wtenczas jeszcze, że zbytek u kobiet w stroju jest źródłem wszystkich następnie ich błędów, a nawet i występków. Kajusz Oppiusz trybun ludu widząc niebezpieczeństwo zagrażające państwu i początek upadku moralności kobiet, a tém samem moralności ogólnéj, przeprowadził prawo, ażeby żadna kobieta nie miała złota więcéj, jak $^1/_{24}$ rzymskiego funta; aby nie chodziła w sukniach pstrych, aby w mieście nie jeździła w karocy, albo na 1000 kroków od miasta z wyjątkiem ofiar. Ale paniom rzymskim skłonnym do wygód i zbytku, tak niezadługo uciążliwém stało się to prawo, iż potrafiły pozyskać dla siebie trybunów M. Fundaniusza i L. Waleriusza, którzy roku 195 przed Chr. wystąpili do ludu z wnioskiem o usunięcie go. Jak wielkie znaczenie państwo rzymskie sprawie téj przyznawało, widać z opisu Liwiusza, który jéj przebieg w tych opowiada słowach (1):

„Trybunowie ludu Marek i Publiusz Juniuszowie Brutusowie wystąpili w obronie prawa Oppiuszowego i oświadczyli, iż nie dozwolą go usunąć. Ze stanu rycerskiego wystąpiło wielu to po téj, to po owéj stronie. Kapitol pełen był ludzi sprzyjających, albo przeciwnych prawu. Kobiety nie dały się zatrzymać w domu ani przez rady, ani przez wzgląd na przyzwoitość, ani przez rozkaz mężów; wszystkie ulice i przystępy do rynku obsadziły, prosząc mężów idących

(1) 34, 1.

na forum, aby przy zamożności państwa, przy codziennie powiększających się majątkach osób prywatnych, pozwolili używać kobietom dawniejszych strojów. Zbiegowisko kobiet zwiększało się co dzień, gdyż przychodziły z miasteczek i targowisk. Już się odważyły nawet zaczepiać i prosić konsulów, pretorów i innych urzędników."

Bardzo charakterystyczną jest mowa, którą miał jeden z konsulów znany ów M. Porciusz Kato w obronie tego prawa; podaję ją tu w wyjątkach wedle Liwiusza „Gdyby każdy z nas, obywatele, chciał u żony zachować swoje prawo i znaczenie, mielibyśmy wszyscy razem teraz mniéj kłopotu z kobietami. Ale gdy wolność naszą pokonała w domu niesforność kobieca i tu ją także na forum teraz walą o ziemię, i nogami depczą kobiety. A ponieważ pojedyńczo nie potrafiliśmy ich powściągnąć, boimy się ich wszystkich razem. Ja bo to uważałem za bajkę, iż na jakiejś wyspie cały ród męzki przez sprzysiężenie kobiet do szczętu wyniszczony został (1). Ale każda klassa ludzi staje się wielce niebezpieczną, jeżeli jéj pozwolisz na zbiegowiska, schadzki i tajemne narady. Czy projekt, nad którym tu radzimy, pożytecznym jest dla państwa, osądzić do was należy; ale szalone postępowanie kobiet, którego wina na urzędników spada, bądź to, że się z własnego zbiegły popędu, bądź że namówione przez was M. Fundaniuszu i L. Waleziuszu, nie wiem, czy większą hańbę przynosi wam trybunowie, czy konsulom: wam, że już kobiet użyliście do zaburzeń trybunickich; nam, że jak dawniéj przez wystąpienie ludu, tak teraz przez wystąpienie kobiet, prawa przyjmować musimy. Ja bo nie bez pewnego zarumienienia przeszedłem co dopiero przez tłum kobiet na rynek; a gdyby mnie nie był wstrzymał szacunek dla powagi i cześci raczéj kilku z nich, jak dla wszystkich razem, byłbym powiedział: Jakiż to tu jest zwyczaj wybiegać na ulice, ulice obsadzać i do obcych przemawiać mężów? Czyż to nie mogłyście każda z osobna prosić męża swego w domu? Albo czy więcéj schlebiać potraficie na ulicy publicznie niż w domu, i obcym

(1) Miało się to stać na wyspie Lemnos wedle opowiadania Waleryusza Flakka, Apolloniusza Rodyjskiego, Apollodora i Hygina.

więcéj niż swoim mężom? Chociaż ani w domu nawet, gdyby skromność trzymała kobiety w granicach ich praw, nie powinnybyście troszczyć się o to, jakie prawa tu się dają, albo znoszą.

„Przodkowie nasi postanowili, aby kobiety żadnéj, ani prywatnéj nawet sprawy nie podejmowały bez doradzcy; chcieli, aby zależały od woli rodziców, braci, mężów—a my pozwalamy im mięszać się do spraw państwa i udział już prawie brać w sądach i zgromadzeniach ludowych. Bo cóż innego robią one teraz na ulicach i drogach, jeżeli nie radzą trybunom, jakie wnioski do praw mają wnosić, lub jakich usunięcia żądać? Popuśćcie wodzy téj niepowściągnionéj naturze, téj niepohamowanéj istocie, a wtenczas spodziewajcie się jeszcze, że one same, bez was *przyjmą jakie* granice swojéj swobody! Ale to najmniejsze jest jeszcze, co kobiety niechętnie znoszą jako narzucone sobie przez obyczaj, albo prawo; one żądają wolności już we wszystkiem, jeżeli prawdę mam mówić, żądają swywoli. Na cóż się bowiem nie rzucą, jeżeli to zdobędą? Rozpatrzcie się we wszystkich tych prawach niewieścich, przez które przodkowie nasi skrępowali ich swywolę i mężom podwładnemi uczynili; prawa te są, a jednak w karbach utrzymać ich nie potraficie. Cóż to będzie, jeżeli im pozwolicie usuwać jedno po drugiém, mężom je wydzierać i wreszcie z nimi się zrównać? Czy sądzicie, że wytrzymacie z nimi wtenczas? Wcale nie; skoro się poczują równemi, zapanują nad wami. „Ależ," mówią, „one chcą przecież tego tylko, aby nic nowego nie było przeciw nim postanowione; wypraszają się nie od prawa, ale od bezprawia." Prawda, wy tylko prawo usunąć macie, któreście przyjęli, uświęcili, które doświadczenie tylu lat uświęciło, t. j. macie znosząc jedno prawo osłabić inne. Ale posłuchajmy, dlaczego to matrony nasze poburzone wybiegły na ulice i ledwie że się nie wdzierają już na rynek i do zgromadzenia ludu. Czy może, aby jeńcy nasi od Hannibala wykupieni byli ich ojcowie, mężowie, synowie, bracia? O nie, taki los niech zresztą zawsze dalekim będzie od państwa naszego! A jednak i tego odmówiliście im kiedyś na czułe ich prośby! Ależ tu nie czuła miłość, ani niepokój o najbliższych, lecz religia zgromadziła je: chcą przyjąć matkę Idejską. przybywającą z Pessinu we Frygii. Jakiż to cny przy-

najmniéj pozór dla kobiecego zaburzenia! Chcemy, mówią, błyszczéć złotem i purpurą; chcemy w dni świąteczne i powszednie jakoby tryumfując nad prawem pokonaném i usuniętém, po zdobyciu i wydarciu wam głosów, jeździć w powozach po ulicach; nie chcemy żadnego znać ograniczenia w wydatkach i zbytku. Często już słyszeliście skargi na zbytki kobiet, mężczyzn, nietylko prywatnych, ale i urzędników; skargi na to, że państwo nasze cierpi przez dwa przeciwne sobie błędy, przez chciwość i zbytek: przez plagi, które zniszczyły wszystkie wielkie państwa. Za pamięci ojców naszych starał się Pyrrhus przez posła swego Cyneasza nie tylko mężów, ale i kobiety darami pozyskać dla siebie. Wtenczas nie było jeszcze prawa Oppiuszowego, któreby swywolę kobiet hamowało, a jednak żadna ich nie przyjęła. Dlaczego myślicie? Dlatego, że nie było jeszcze rozpusty, którąby potrzeba było wstrzymać. Jak wprzód chorobę poznać trzeba, niż środki przeciw niéj obmyślić; tak żądze powstały wprzód niż prawa, któreby je w karby ujęły. Niechby się teraz tylko Cyneasz zjawił w mieście, znalazłby na ulicach kobiety stojące, któreby mu złoto i purpurę wydzierały. Niektórych z tych żądz powodu nawet sobie wytłumaczyć nie potrafię. Gdyż jak może w tobie naturalny jakiś pobudzić wstyd albo oburzenie to, że nie wolno czynić tobie, co wolno innéj, tak nie wiem, dla czegoby każda z was lękać się miała, ażeby na niéj coś nie uderzało, gdyby ubiór wszystkich był jednaki? Najgorszy zaiste jest wstyd oszczędności albo ubóstwa: ale prawo zabezpiecza was od tego wstydu, jezeli tego nie macie, czego wam mieć nie wolno. „Lecz ja właśnie téj równości nie zniosę," mówi tu bogata pani: „Dlaczegoż ja nie mam się odznaczać purpurą i złotem? dlaczego ma się ubóstwo innych kryć pod tym prawa pozorem, aby się zdawało, że miéćby mogły, gdyby było wolno, czego w rzeczy saméj mieć nie mogą?" Czyż chcecie obywatele, pobudzić żony wasze do walki z sobą, aby bogate chciały mieć to, czegoby żadna inna mieć nie mogła, a ubogie, by się ciągnęły i sadziły nad możność dlatego, aby nie być w pogardzie? Skoro się zaczną wstydzić tego, czego się wstydzić nie trzeba, prędko zaiste wstydzić się tego nie będą, czego się trzeba wstydzić; która będzie mogła kupować za swój grosz, bę-

dzie kupowała; która nie będzie mogła, będzie żądała od męża. O biedny ten mąż! czy się da uprosić czy nie da, zawsze biédny, bo czego sam nie da, zobaczy, że da kto inny. Teraz już proszą one obcych mężów, a co gorsza, proszą o prawo i głosy i uzyskują to od niektórych; ale dla was, dla waszego majątku i dla waszych dzieci są one nieubłagane. Skoro prawo przestanie ograniczać zbytek twojéj żony, już go ty nie ograniczysz. A nie sądźcie, obywatele, że sprawa będzie taką, jaką była przed prawem. Nie! Bezpieczniéj jest złoczyńcę nie obwiniać wcale, jak od skargi uwolnić; i rozpusta nie zaczepiona byłaby mniejsza, jak będzie teraz, kiedy podrzaźniona więzami jakby dzikie zwierzę, wolną się poczuje."

Tak mówił Kato stróż obyczajów i obywatel zacny, starający się od narodu i państwa oddalić niebezpieczeństwo, jakiém mu zagrażał zbytek kobiet. Ale czasy te, w których żył Katon, lubo jeszcze szczęśliwe i dobre w porównaniu z témi, które przyszły późniéj, mają już w sobie wyraźne ślady upadku moralności kobiet i mężczyzn: to téż Oppiuszowe prawo zniesione zostało. W ogóle sądzą, że początek upadku państwa rzymskiego datuje się od wojen Punickich, czyli od czasu, w którym pod rozmaitemi wpływami moralność mieszkańców Rzymu upadać zaczęła.

Tak mówi Waleriusz Maximus (1). „Koniec drugiéj wojny Punickiéj i zwycięztwo odniesione nad Filipem królem Macedońskim, dodało odwagi miastu naszemu do życia luźniejszego;" a Liwiusz powiada (2): „Obcéj rozpusty znajomość wkroczyła z wojskiem z Azyi wracającém; ona to przyniosła łoża biesiadnicze, śpiżem kute, kosztowne makaty, kotary i inne tkaniny, sprzęty, które wtenczas za wspaniałe uważano, stoliki o jednéj nodze i stoliki biesiadnicze. Dodano téż wtenczas do biesiad spiewaczki, harfistki i kuglarzy ku zabawie jedzących; a i same biesiady zaczęto urządzać z większą starannością i nakładem; wtenczas kucharz, u praojców naszych najpodlejszy niewolnik co do ceny i pożytku, zaczął być drogim; a co było niewolniczém zajęciem, zaczęto uważać za sztukę. Co wtenczas jednak widziano, było zaledwie nasieniem przyszłéj rozpusty."

(1) 9, 1, 3. (2) 39, 6.

Bogactwa narodowe i majątki prywatne nie są z pewnością i nie były także w Rzymie źródłem, ale środkiem do rozpusty i zepsucia. Jestto środek z pewnością bardzo niebezpieczny, a potężny w rękach ludzi nie chcących albo nie umiejących użyć ich na dobre. Ogromne bogactwa napływające do Rzymu ze wszystkich stron, znalazły grunt już przygotowany do szerzenia zniszczenia ogólnego, grunt, powiadam, który jakoby tylko czekał na to, ażeby poddać się wszechmocnemu ich wpływowi. Przytoczone wyżéj miejsca z Plauta i mowa Katona dowodzą tego wyraźnie, iż wtenczas kiedy z Afryki i Azyi zaczął płynąć obfity strumień złota do Rzymu, obyczaje w ogóle już były wiele straciły z dawniejszéj swojéj czystości i powabu; prostota i skromność w życiu, cnoty domowe, zamiłowanie pracy i obowiązków, już wtenczas widać były coraz rzadsze tak w mężczyznach, jak w kobietach; a kiedy zbiegły się okoliczności silne i przeważne i połączyły się z tak potężnym środkiem, jakim są bogactwa, zmienił się całkiem charakter rzymski; Rzymianin zapomniał, jakim był dawniéj obywatel Rzymu; Rzymianka zapomniała jaką była matrona.

W tych więc okolicznościach rozpatrzéć się trzeba, które tak ogromną wywołały zmianę, przedewszystkiem zaś we wpływie oświaty greckiéj na zmianę religii i wychowania.

Nauka grecka zbawienna dla Rzymian pod względem oświaty i literatury, stała się zgubną dla nich pod względem cnoty, religii i następstw wypływających z religii. Najdawniejsi Rzymianie wierni charakterowi swojemu praktycznemu i obranemu z poezyi, czcili bogów nie przyjmując dla nich żadnych kształtów plastycznych, a wyobrażali ich symbolicznie, n. p. Marsa przez lancę. Dlatego nie znali oni powieści ani mytów z życia bogów, ale czcili w nich siły natury, w któréj mocy znajduje się człowiek i którą pozyskać sobie może, ściśle wypełniając rozkazy dawane mu przez państwo ku czci bogów. Państwo więc uczy obywatela czci bogów, swoje zaś obowiązki względem nich przekazuje pewnym kapłanom. Z początku małą była liczba bogów czczonych przez Rzymian; późniéj rozmnożyli się oni skutkiem różnych okoliczności; a kiedy religia rzymska zmięszała się z pojęciami obcemi, szczególniéj zaś z pojęciami Greków, wyróżniano z pomiędzy wielkiego zastępu bogów znaczniejszych i potę-

żniejszych i urządzono dla nich pewną służbę i obrzędy oddając ich spełnianie kapłanom. Wpływ greckiej sztuki i nauki na religię rzymską zaczyna się pojawiać od Tarkwiniuszów; wtenczas już bowiem poczęto w Rzymie robić jakieś wyobrażenia bogów wedle obyczaju greckiego. Bóstw wiele nowych i obcych, a z niemi i obrzędów obcych dostało się do Rzymu przez stykanie się z koloniami greckiemi we Włoszech coraz liczniejszemi, i przez książki Sybillińskie, które pochodząc z Małéj Azyi radziły zasięgać pomocy bogów, albo podawały sposoby czci bogów w Rzymie dotąd nieznanych. Ale kiedy począwszy od wojen Punickich znajomość obyczajów, nauki, sztuki i filozofii greckiéj coraz żywiéj szerzyła się pomiędzy Rzymianami, zaczęli oni bez silnéj naukowéj podstawy, naśladując Greków, badać rzeczy religijne i filozofować nad niemi. Ponieważ zaś były to czasy, w których Grecya już się bardzo zacofała pod względem politycznym i literackim, a mianowicie i pod względem religijnym, więc Rzymianie nie sięgając czasów dawniejszych, ani czerpiąc pojęcia filozoficzne z pisarzów starszych greckich, i nie dosyć przygotowani, aby wszystko zrozumiéć potrafili, podobali sobie często w tém, co było niedorzecznością, a obdzierając w ślad za Grekami bóstwa swoje z wszystkiego co boskie, przyoblekali je w kształty ludzkie najpospolitsze. Reprezentantem tego zwrotu religii u Greków jest Euemeros, który w dziele swojém *ἱερὰ ἀναγραφή* dowodził w bogach ludzkiéj natury i znajdował w świątyniach ich groby. Rzymianie poczęli iść za nim od czasów Enniusza, który jako znakomity poeta, ogromny wpływ wywierać począł na ich umysły przez dwie poezye swoje w tym przedmiocie napisane, z których jedna była obrobieniem pracy Euemera.

Już w roku 95 przed Chr. rozróżniał arcykapłan Muciusz Scewola trzy rodzaje nauki o bogach, t. j. naukę poetów, filozofów i państwa, z których pragnął, ażeby lud znał tylko ostatnią, nawet chociażby w niej i fałsze być miały. Tego samego zdania był Warro wedle Ś. Augustyna (1). Zwrot ten w religii był dla Rzymian dla tego szczególniéj zgubnym, iż filozofując płytko dochodzili oni do rezultatów negatywnych, że burzyli a nie potrafili stworzyć nic nowego, lepsze-

(1) De Civ. Dei 4, 31.

go; że dochodzili w rozumowaniu do zaprzeczania w ogóle istnienia bogów, że chcieli, jak mówi Lukrecyusz, umysły oswobodzić od więzów religii i podawali to jako naukę nawet najniższym warstwom społeczeństwa.

Oprócz tego bardzo wiele przyczyniło się do zachwiania dawnéj wiary w Rzymianach jeszcze i to, że kapłanom wyższym patrycyuszowskim nie wolno było ubiegać się o urzędy świeckie; a ponieważ znaczenie i środki zbogacenia się podawały tylko świeckie urzędy, dlatego często bardzo opróżnione były urzędy kapłańskie, gdyż się nikt do nich nie garnął. Ale kiedy dla usunięcia tej niedogodności dozwalać zaczęto kapłanom piastować i świeckie urzędy, a od r. 104 przed Chr. wybór kapłanów ludowi nawet oddanym został: wtenczas spowszedniało już wszystko, co dotąd jakimś było otoczone urokiem: uszanowanie dla bogów, dla rzeczy świętych i świątyń upadło zupełnie. Już za czasów Cycerona, który widząc złe sądzi, że zwyczaje przodków pod względem religii szanować trzeba, zatrzymując ich ofiary i obrzędy, nie znali augurowie nauki o auspicyach i upadli wnet całkiem w znaczeniu swojém; pontyfikowie porzucili czuwanie nad ofiarami; kapłanów wielu nie było, świątynie stały pustkami zaniedbane, zajmowano je nawet i na prywatny użytek, a z obrzędami zapomniano i o bogach do tego stopnia, iż jak mówi Warro u Ś. Augustyna (1), nie znano nawet zupełnie za jego czasów znaczenia bogów i bogiń ojczystych.

Tak stracili Rzymianie przez wpływ grecki własną swoją ojczystą religię i proste, ale czyste pojęcia o bogach, a przyjęli czcze mrzonki greckie czasów późniejszych, w których pomiędzy Grekami wzniosłe, idealne wyobrażenia obogach zupełnie już było znikło i spadło do znaczenia jakichś mytologicznych bredni. Próżnia jednakże okropna, która nastąpiła skutkiem tego musiała być czemś zastąpiona. Rzymianom zdemoralizowanym mogły najwięcéj przypaść i podobać się kulty Wschodu; wprowadzono je téż urzędownie, a z niemi przesądy i zabobony, do których Rzymianie zawsze byli bardzo skłonni, obok lubieżności i największéj rozwiązłości. Takiemi były kulty Bellony, Izydy, Serapisa, Ozyrysa, Anubisa i innych; a jak je pojmowano, tego dowodem jest mnó-

(1) De Civ. Dei 7, 3.

stwo przedmiotów sztuki przechowanych w tajném muzeum w Neapolu, które obrażając wszelką delikatność uczucia, dają miarę upadku moralnego ich twórców, zbezczeszczenia pojęć o bogach i zdeptania najnikczemniejszego religijnych uczuć. Mianowicie kobietom kulty wschodnie podobały się przez swoją pompę, okazałość, symboliczność, cuda i tajemniczość; a ponieważ upadek moralny łączy się zwykle z dążnością do odszukania czegoś, coby się zdawało przynajmniéj łączyć środki oczyszczenia, a kulty wschodnie w swojéj tajemniczości ponętnemi były obiecując sposoby jakoby pokuty; dla tego téż, im większy był brak rzeczywistéj moralności między kobietami, z tém większą namiętnością szukały one jakoby rozgrzeszenia w służbie bogów, dogadzającéj ich lubieżności, będąc do niéj zachęcanemi przez chytrych kapłanów.

Liwiusz opowiada nam o nowym kulcie Bachusowym przez kobiety wprowadzonym w Rzymie r. 186 (1). Z długiego i zajmującego tego opowiadania pokazuje się, iż do czci boga Bachnsa wciągnięto ponęty wina i biesiady; a kiedy wino pozbawiło uczestników przytomności, a noc i pląsy kobiét z mężczyznami, starszych z młodszemi, usunęły wstydliwość, podawano zgorszenia wszelkiego rodzaju i każdemu środek do zadość uczynienia téj namiętności, która mu najmilszą była. Ale nie same tylko występki przeciwko wstydowi i moralności były częścią służby bożéj: tu układano krzywoprzysięztwa, fałszowano pieczęcie testamentów i skargi, a ztąd brały początek trucie i mordy. A używano do tego podstępu i gwałtu; gwałt został w ukryciu, gdyż ryczenie uczestników, dźwięk bębnów i dzwonów zagłuszał głosy i skargi męczonych i mordowanych.

Taki to kult wprowadzonym został do Rzymu, a propagowanym był najwięcej przez kobiety. Kiedy konsulowie go wykryli, znalazło się w Rzymie samym, wedle słów Liwiusza przeszło 7000 osób winnych, które w większéj części śmiercią zostały ukarane, a kult sam zabroniony.

Opowiadanie to Liwiusza charakteryzuje bardzo ówczesne obyczaje w Rzymie, pojmowanie religii i moralności w obywatelach i obywatelkach tego miasta. Lubo władza

(1) 39, 8—20.

zapobiegając złemu zabraniała wprowadzania nowych i obcych kultów, nie potrafiła jednakże stawić dość silnego oporu zgorszeniu i porwana ostatecznie prądem gwałtownym i ogólnym wprowadzała sama kulty najluźniejsze podnosząc ich znaczenie przez nadawanie im cechy urzędowéj.

Do kultów najwięcéj przez kobiety ulubionych należał kult Izydy wprowadzony do Włoch za czasów Sulli. Był on połączony z pewnemi umartwieniami ciała, mianowicie z postem i z pokutami, które miały doprowadzić do prawdziwego poznania boskiéj istoty. Cel ten szlachetny pozornie zaczęto wnet przy pomocy kapłanów zupełnie fałszywie pojmować; dewotki grzeszne chodziły gromadnie w stroju płóciennym, z rozpuszczonemi włosami do świątyni bogini, śpiewały, skrapiały się wodą nilową, pościły, modliły się tém więcéj i tém gorliwiéj, im gorsze było ich życie, im więcéj zdawało im się że potrzebowały oczyszczenia, aby potém na nowo grzeszyć. Mianowicie nocne schadzki kobiét w świątyniach Izydy i czuwania były w Rzymie przyczyną wielkiego zgorszenia i skłaniały po kilka razy władzę do surowego wystąpienia przeciwko kultowi temu, jego kapłanom i zwolennikom. Co o tém opowiadają Juwenalis (1), Owidiusz (2), Tybull (3), Properciusz (4), Józef historyk (5), Tacyt (6) wystarcza zupełnie ażeby ze zgrozą odwrócić się od obrazu strasznego upadku moralności i zdeptania nikczemnego uczuć religijnych, które człowieka zamiast podnosić i dodawać mu siły do życia, spychały w kał brudów i niszczyły wszystko, co w nim szlachetne (7).

(Dokończenie nastąpi).

(1) Sat. 6, 488, 522 i n.
(2) Amor. I 74. A. am. I. 75.
(3) 1. 3. 23.
(4) 2, 33, 1. 2, 19, 10.
(5) A. J. 18, 3, 4.
(6) Ann. 2, 85.
(7) Tertull. apol. 15 i de pudic. 5.

# DWUPŁCIOWOŚĆ, WIELOKSZTAŁTNOŚĆ

I

# KRZYŻOWANIE SIĘ ROŚLIN.

Rzecz w duchu teoryi Darwina wyłożona.

PRZEZ

*Dra Edwarda Strasburgera.*

---

## I.

Któż nie widział wśród lata, przy pogodném niebie, tysięcy owadów goniących po kwiatach, za kroplą nektaru!! Pszczoły, bąki, różnobarwne muszki w prędkim krzyżują się locie, spieszą z kwiatka na kwiatek na słodką biesiadę, lub też nasycone, opylone, z bogatymi plony, wracają do gniazdek swoich. Wesołe te gromady zbierają nektar po kwiatach, szukają pożywienia swego, a z koniecznością choć bezwiednie, przenoszą przytém pyłek z jednego kwiatu na drugi. I świadczą znamienitą przysługę roślinom, przyczyniając się do ich zapłodniania.

Większa część jawnie kwitnących roślin jest obopłciową, to jest ma pręciki i słupki w jednym zebrane kwiecie; kwiaty takie mogłyby się same zapłodniać. Lecz zapłodnianie własnym pyłkiem nie jest pożądaném dla rośliny, niekorzystnie wpływa i na ilość i na jakość otrzymywanych nasion; to też rzadko je tylko spotykamy w naturze, a krzyżowanie się osóbników zdaje się tu być też ogólném prawem.

Lecz jakże krzyżowanie w świecie roślinnym odbywać się może, kiedy roślina nie zmienia dowolnie miejsca swego pobytu, kiedy pojedyncze osobniki nie mogą wzajemnie zbliżać się do siebie?

Odbywa się tu ono w całkiem różny sposób, nie bezpośrednio jak u zwierząt, lecz pośrednio za pomocą owadów, wiatru lub innych obcych wpływów.

Owad ssie nektar z miodowników, i przenosi przytém pyłek z kwiatu na kwiatek. To téż odwiedziny owadów są pożądane dla rośliny; kwiaty w nagrodę chętnie im nektar swój dają, i zdala już starają się przynęcić, barwą, wielkością, zapachem. Ułatwiają im przytém nieraz wynalezienie nektaru; ciemne lub jasne linije na barwnych koronach, plamy lub pierścienie wskazują drogę, po któréj najlepiéj do nektaru się dostać: tak u niezapominajki żółty pierścień na jasno-niebieskiéj koronie, u bratków ciemne linije na jaśniejszém polu. Znaki te znajdują się tylko na kwiatach dziennych, na nocnych ich niema, bo i na cóżby im się przydały, kiedy owad w ciemności i takby ich ujrzeć nie zdołał?

Nie dla nas to więc rośliny kwitną i pachną, rozpościerają barwne swe korony, i wypełniają się słodkim nektarem; lecz dla owadów, które w zamian przyczyniają się do ich zapłodnienia.

Są kwiaty dzienne, takie, które kwitną we dnie tylko, i dzienne tylko nęcą owady, są i kwiaty nocne, które kwitną w nocy, tylko dla nocnych owadów, a których piękność jest dla nas straconą.

Wiele jest kwiatów pachnących, lecz są i takie które nie miłą nam woń wydzielają, a nie mniéj znajdują owady, które odwiedzają je chętnie. Bąki, pszczoły i inne szlachetniejsze owady, zdają się mieć powonienie zbliżone do naszego, i odwiedzają przeważnie takie tylko kwiaty, które i nam pachną; za to niektóre muchy siadają najchętniéj na niemiłych nam kwiatach, i przyczyniają się tém samém do ich opylania.

Im kwiat ma więcéj nektaru, tém owady chętniéj zachodzą do niego; im silniejszą woń wydziela, tém łatwiéj znaleźć go mogą; im jaskrawszy i większy, tém snadniéj wpada im w oczy. Kwiaty takie częściéj od innych krzyżowane będą i liczniejsze wydadzą nasiona, nasiona ich będą silniej-

sze i zdrowsze i łatwiéj stawią opór nieprzyjaznym wpływom: roślina, jedném słowem, znajdować się będzie w korzystniejszych warunkach bytu, a liczba jéj osobników w stosunku do innych mniéj uposażonych gatunków, coraz wzrastać będzie.

Korzystne takie dla dzieła własności mogą się wzajemnie zastępować, albo dopełniać w naturze. Tak pojedynczo stojące kwiaty bywają stosunkowo większe od tych, które są zebrane w kiście, grona lub baldaszki, dlatego, że pierwsze muszą działać pojedynczo, drugie zaś całą swą massą, zdala już owadom wpadają w oczy. Nieraz korona kwiatu jest nieznaczną, za to kielich lub przykwiatki są wielkie, pięknie zabarwione, i zdala takie same jak korona sprawiają wejrzenie. Gdzie większa ilość kwiatów w jednę zebrana całość, tam nieraz następuje pewien rodzaj podziału pracy, między pojedynczymi kwiatami: jedne już tylko nęcą owady, drugie zaś służą wyłącznie do zapłodniania. Tak u kaliny, gdzie zewnętrzne kwiaty baldaszka wielkie i białe, zdala już owadom wpadają w oczy, lecz są pozbawione pręcików i słupów, a tylko wewnętrzne małe i nieznaczne kwiaty, zapłodnione być mogą. Owad spostrzega zdaleka przedewszystkiém zewnętrzne tylko kwiaty, i zbliża się do nich; lecz przynęcony nektarem siada na wewnętrznych kwiatach i przyczynia się do ich zapłodnienia. Również i bławatek na polach naszych nęci owady zewnętrznymi swymi kwiatkami, które jak promienie zdobią całą jego główkę dokoła, lecz tylko wewnętrzne jego kwiaty mają pręciki i słupki zapłodnione być mogą. Silnie pachnące kwiaty, bywają zwykle nie tak jaskrawe, stosunkowo nieraz i mniejsze od tych, które słabiéj pachną, bo zapach zastąpić może i wielkość i barwę, i sam już wystarcza, by nęcić owady. U mięty, rozmarynu, lawendy, gdzie liście silną bardzo woń wydzielają, kwiaty bywają małe i nieznaczne. Nocne kwiaty są zazwyczaj wielkie, celują jasnymi kolory, tém samém lepiéj odbijają od ciemności nocy, a zwykle i silną woń wydzielają. Tak wiesiołek (Oenothera biennis, L.) przez dwie nocy kwitnie, wielka i jasno-żółta korona we dnie zdaje się być zwiędłą; lecz gdy noc nadejdzie, roztwiera się w całéj swéj okazałości i miłą woń szerzy dokoła. To téż nocne motyle odwiedzają ją często, i każdy kwiat prawie liczne wydaje nasiona.

Jeżeli korona barwą i zapachem zdala już nęci owady, nektar to przedewszystkiem do częstszego je skłania powrotu. Professor Naegeli w Monachium skrapiał sztuczne papierowe kwiaty wonnemi olejki i porozmieszczał na zielonych krzakach. Owady przybywały z razu w wielkich ilościach, siadały na pachnących koronach, skwapliwie nektaru szukając. Lecz nektaru nie było, po daremnych mozołach, zawiedzione, opuszczały kwiaty, a odwiedziny ich coraz stawały się rzadszemi, aż wkrótce całkiem ustały.

Nektar jest tém dla kwiatu, czém sprężyna dla zegarka: jest on głównym motorem przy zapłodnieniu. To téż nektar dobrze musi byc ukrytym w kwiecie, by nie łatwo uległ zepsuciu; musi być strzeżonym od deszczu i innych szkodliwych wpływów, bo owady są wykwintnymi smakoszami, przyjęte zepsutym nektarem gotowe nie powrócić, a kwiat daremnie wyczekiwałby nadal zapłodnienia. To téż napotykamy w kwiecie różne urządzenia mające na celu ochronę nektaru, różne stosownie do budowy kwiatu: kwiaty wzniesione, takie które otworem korony zwrócone są do góry, bywają zazwyczaj foremne; korona ich jest zwykle płasko rospostarta, lecz u nasady w wąską zebrana rurkę, w któréj nektar ukryty; wnijście do rurki gęstemi obsadzony włoskami, by nektar od deszczu uchronić. I kwiaty zwieszone są zazwyczaj foremne, że zaś same już położenie kwiatu, nektar od obcych wpływów chroni, nie napotykamy tu żadnych szczególnych ku temu urządzeń.

Zwieszone te kwiaty bywają zwykle dzwonkowate, walcowate, lub kuliste; nektar zebrany jest w głębi korony, a przystęp do niego bardzo ułatwiony. Co się wreszcie tyczy horyzontalnie nachylonych kwiatów, te najczęściéj bywają nieforemne, to jest z różnokształtnych są złożone części. Część górna, grzbietem wystawiana na działanie deszczu, dzieli własności kwiatów zwieszonych, jest ku górze wypukłą, nieraz kształtem przypomina daszek, a przytém jest niepodzieloną i żadnych nie posiada włosków. Część dolna odpowiada budową stojącym kwiatom: zwykle jest płaską, powycinaną, a liczne włoski strzegą jéj od deszczu. Wiele wzniesionych kwiatów nachyla w nocy, albo podczas deszczu korony swe ku ziemi, by ustrzedz je od szkodliwego wpływu deszczu albo rosy; inne wzniesione kwiaty całkiem się

wtedy zamykają. Zwieszone kwiaty zawsze są otwarte, bo i na cóż zamykaćby się miały? zawieszone są przytém na giętkich szypułkach, tak że deszcz nawet w połączeniu z wichrem, szkodzić im nie może, gdyż przybierają wtedy kierunek wiatru. Tłustosz (Pinguicula grandiflora. Lam) nachyla otwór korony swéj na dół, ostrogę podnosi do góry, by woda do ostrogi dostać się nie mogła i nie popsuła nektaru. Wreszcie Niecierpek (Impatiens nolitangere L.), kryje podczas deszczu kwiaty swe pod liście i w ten sposób od zepsucia chroni.

Kwiaty różnie długo kwitną, stosownie do tego jak często je odwiedzają owady. Wiele ponętnych bardzo kwiatów, kwitnie tylko dzień jeden, gdyż to do zapłodnienia ich starczy; gdy tymczasem skromna żórawina (vaccinium oxycoccus L.), przez dni ośmnaście wyczekuje odwiedzin owadów.

Jak tylko już nastąpi zapłodnienie, kwiat zbytecznym się staje, korona opada, więdnie albo niknie. Jeżeli kielich był zabarwiony, nieraz po okwitnieniu znów zielenieć poczyna, bo o ile ważném dla rośliny było, zwracać na siebie uwagę podczas kwitnięcia, o tyle teraz ukryć się jéj potrzeba, by nasiona jéj mogły dojrzyć w spokoju i mniéj wystawione były na żarłoczność zwierząt.

W któremkolwiekbądź miejscu kwiata nektar jest ukrytym, owad nie inaczéj może się dostać do niego, jak dotykając organów płciowych, tak że koniecznie opylić się musi. Lecz nie dosyć na tém: łażąc, chodząc po kwiecie, owad zbyt łatwo opylałby bliznę, własnym jego pyłkiem, zamiast go z innymi krzyżować. To téż widzimy w kwiatach tysiączne urządzenia, które utrudniają opylenie własnym pyłkiem, a ułatwiają krzyżowanie, urządzenia tak pouczające, tak nieraz ciekawe, że mi się wydały zasługującemi na ogólniejsze poznanie. I po krótkim namyśle postanowiłem w przystępniejszéj formie, zebrać choć kilka najciekawszych szczegółów, i przedłożyć je większemu kółku zwolenników przyrody. Będą to po części dawniejsze, po części i nowsze, obce i własne obserwacye, zawsze jednak takie tylko, które miałem sposobność osobiście sprawdzić. Zadanie to zajmowało mi całe zeszłe lato, i z tych to ostatnich świeżych jeszcze wrażeń, najciekawsze wybieram wspomnienia.

## II.

Któż napozór nie zna Bratka (Viola tricolor L. grandiflora), a jednak jakże tajemniczą jest jego budowa. Pięć płatków wdzięcznie zebranych tworzy piękną zabarwioną koronę, płatki te u nasady zwężają się w rurkę. W rurce leżą ukryte organa płciowe: słupek zakończony głowiastą blizną, a dokoła zawiązka owocowego, w wieniec zebrane pręciki. Pylniki pękają nie ruszywszy się z miejsca, a zebrany w nich sypki bardzo pyłek, pada wewnątrz rurki na dolny płatek korony. Płatek w tém miejscu nieco wyżłobiony, tworzy rynienkę obsadzoną włoskami, w której pyłek z łatwością zebrać się może. Tenże sam dolny płatek korony, w tylnéj swojéj części kończy się ostrogą, a w ostrodze zawarty jest nektar. Wnijście do rurki ubrane włoskami, tak że deszcz do nektaru dostać się nie może, prócz tego wielka blizna leży przed samym otworem i wejście do rurki zamyka. Blizna ta ma kształt wydrążonéj kuli, od przodu otwarta, a u dolnego jéj brzegu, znajduje się mały języczek, od zewnątrz gładki, od wewnętrznéj strony pokryty gruczołkami. U naszych bratków ogrodowych korona bywa zwykle ciemno-fiałkowa, po środku żółtawa i pokryta ciemnemi kreskami, które owadom wnijście do nektaru wskazują. To téż owad zbliża się chętnie do kwiatu, siada na jego płaskiéj koronie i stara się ryjkiem do nektaru dostać. Wsadza w tym celu ryjek pod bliznę i podważa ją nieco w górę; następnie wsuwa ryjek rynienką wypełnioną pyłkiem i dopiéro do wnętrza ostrogi nim sięga. Ryjek w ten sposób mocno się opyla. Napiwszy się do syta, owad wyciąga go z kwiatu, i koniecznie dotknąć nim teraz musi *zewnętrznéj* strony języczka przymocowanego do blizny, wgniatając go do wnętrza blizny. Zapłodnienie własnym pyłkiem jednak nie następuje, gdyż języczek *wewnętrzną* stroną dotyka do wnętrza blizny, opylony zaś był tylko po zewnętrznéj stronie. Cóż się jednak dziać będzie, gdy owad z zapylonym ryjkiem do następnego odleci kwiatu, i po nektar sięgnie? Wtykając ryjek pod bliznę, podważy ją znowu w górę, a równocześnie opyli języczek od *wewnętrznéj* strony, wyciągając ryjek wciśnie, jak poprzednio, języczek do wnętrza główki, tylko że tą razą ziarna pyłku

zebrane na wewnętrznéj stronie języczka, dostają się do wilgotnego wydrążenia blizny, i zapłodnić mogą (1). W taki to sposób za pośrednictwem owadów krzyżują się bratki, a własne zapłodnienie, jak się zdaje, nigdy nie następuje. Opylenie własnym pyłkiem jest jednak możliwém: owad potrzebowałby tylko kilkakrotnie wsadzić i wyciągnąć ryjek w jednym kwiecie, a własny pyłek dostałby się z łatwością do wnętrza blizny: wszyscy jednak badacze zgadzają się na to, że owady tego nigdy nie czynią, że zwykle raz jeden tylko sięgają ryjkiem po nektar, i do następnego odlatują kwiatu. Zkądinąd Aristoteles już zauważył, że owady zwykły równocześnie, tylko po kwiatach jednego gatunku zbierać swój nektar; i to przyzwyczajenie owadów, nader jest dla roślin ważném, strzeże je od bastardowania i daremnéj straty pyłku. Owad zebrany na jednym bratku pyłek, przenosi bezpośrednio na drugi, nie zaś na różę albo gwoździk, gdzie pyłek ten zmarniaćby musiał.

Lecz są jeszcze inne dowody, które niezaprzeczenie krzyżowanie bratków stwierdzają: tak nieraz w kwiatkach, których pyłek nie wypadł jeszcze z pylników, całe wnętrze blizny wypełnione jest pyłkiem: pyłek ten oczywiście tylko z innego pochodzić może kwiatu. A jak niezbędne są owady do zapłodnienia, widzieć z tego można, że dość pokryć przezroczystą gazą kwitnące bratki, i wzbronić przystępu owadom, by ani jeden kwiat nie wydał owoców.

Bąki i pszczoły-to przedewszystkiem odwiedzają bratki, a czynność ich łatwo sobie uwydatnić można, wprowadzając ostrożnie do kwiatu drucik lub szczecinkę, w podobny sposób jak owad ryjek swój wprowadza. Wyciągając i wsadzając naprzemian ten drucik, nietylko że się go opyli, lecz i całe wnętrze główki wypełni się pyłkiem, tak jak to czynią owady.

Korona u bratków jest piękna i wielka, umieszczona przytém na wysokiéj i prostéj szypułce, tak że zdala już owadom w oczy wpaść musi.

Podobnie jak bratek i fiołek dziki (viola canina L.) ma wielkie i widoczne kwiaty, to téż obie rośliny nie mają za-

(1) Die Geschlechts-Vertheilung bei den Pflanzen von Friedrich Hildebrandt. 1867.

pachu; za to fiołek pachnący (viola odorata L.), który kwitnie na krótkich szypułkach, kwiaty swe kryje wśród liści, silną bardzo woń wydziela i tém znów nęci owady.

U Kosaćców (Iris) krzyżowanie odbywa się w podobny bardzo jak u bratków sposób.

Kwiaty wielkie i okazałe złożone są z sześciu pojedynczych płatków, z trzech płatków szczupłych i wzniosłych, z trzech szerokich, odgiętych. Szyjka zawiązka w szczególny tu rozwinięta sposób, złożona z trzech listków długich i wysmukłych, które zachodzą aż daleko po nad płatki korony i pokrywają je w części; właściwa blizna znajduje się po zewnętrznéj stronie tych listków po nad płatkami korony, i stanowi tylko cienką blaszkę, która w kształcie wargi, na zewnątrz odgiąć się może. Blizna ta na wewnętrznéj tylko swéj stronie jest lepką i pokrytą gruczołkami, gdy zewnętrzna jéj strona jest suchą i zupełnie gładką. Poniżéj blizny, na długich nitkach umieszczone są pylniki, a niżéj jeszcze po wewnętrznéj stronie płatka ukryte są miodniki nektar wydzielające. Nektar tu jak widzimy, dobrze jest schowany, rozszerzona w listek szyjka chroni go od deszczu, owad zaś inną drogą do nektaru dostać się nie może, jak właśnie między tym listkiem szyjki a płatkiem korony. Ciemniejsza plama na płatku, wskazuje zazwyczaj miejsce to owadom i wynalezienie nektaru ułatwia.

U kosaćca błotnego (Iris Pseudo-Acorus L.) rosnącego u nas nad wodami, blado-żółta korona w tém miejscu posiada ciemno-żółtą plamę. U kosaćca ogrodowego (Iris Xiphium L.) po ogrodach naszych, miejsce to żółto oznaczone na pięknych fiołkowych płatkach.

Bąki przedewszystkiem przyczyniają się do zapłodnienia kosaćców i przenoszą pyłek z jednego kwiatu na drugi. Tylko silniejszy owad może się tu do nektaru dostać, musi się on bowiem wcisnąć drogą między listkiem szyjki i płatkiem korony, które prawie się stykają. Nieraz widziałem jak bąki z wysileniem torowały sobie drogę, i nie mało ich to kosztowało pracy, zanim do nektaru dostać się mogły.

Z budowy kwiatu wynika, że tylko wchodzący do kwiatu owad, jeżeli przynosi już pyłek na sobie, bliznę zapłodnić może, wtedy bowiem tylko dotyka wewnętrznéj lepkiéj jéj strony, i pyłek na niéj zostawić może. Głębiéj w kwiecie

owad napotyka pręciki i grzbiet swój opyla o nie, a dalej jeszcze dostaje się do miejsca gdzie się miodniki znajdują. Napiwszy się do syta, owad tyłem cofa się z kwiatu, przygniata więc bliznę do listka szyjki, i obciera się już tylko o zewnętrzną jéj stronę, któréj zapłodnić nie może. Nieraz u kosaćców tyle nektaru zbierze się w miodnikach, że kwiat go pomieścić nie może; nadmiar występuje wtedy szparami na zewnątrz: ztąd często zauważyć można jak muchy, pszczoły lub motyle obsiadują kwiat od dołu, i oblizują dokoła. Rzecz prosta że takim sposobem nie przyczyniają się do zapłodnienia kwiatu.

Mechanizm zapłodnienia u kosaćców, tak jak go powyżéj skreśliłem, znany już był Konradowi Sprengel w 1793 roku. Zasłużony ten badacz już w owym czasie poznał stosunek owadów do zapłodnienia, i już jemu zawdzięczamy nie jeden ciekawy i dokładny opis tego stosunku (1); mimo to lat 50 spełna minęło, zanim prace jego ogólniejsze sobie zjednały uznanie, zanim ocenić zdołano całą doniosłość tego odkrycia. A jednak dziełu Sprengla trudno odmówić i werwy i zajęcia; oto jak opisuje dopiero co przytoczony szczegół u kosaćców:

„Muchy, pszczoły, motyle, i inne owady spożywaja sok, który gruczoł na zewnątrz wydziela, a przy pięknéj pogodzie często napotkać je można na téj (dolnéj) części kwiatu. Owady te nie są jednak w stanie dostać się do soku, wewnątrz zbieracza ukrytego. Że muchy tego nie potrafią, dziwić nas nie może, są one zbyt głupie, (to lekceważenie much w całém dziele przebija) żeby wynaleźć tak sztucznie ukryty nektar. Lecz nawet i mądre pszczoły nie potrafią się do miodników dostać, gdyż nie mają dosyć siły, żeby odgiąć płatek korony, przyjść do wnętrza. Napotykałem tu (Sprengel) owady czerwono i czarno z wierzchu nakrapiane, które siadywały na plamie wskazującéj wnijście do nektaru. Zdawały się więc wiedzieć co plama ta znaczy, lecz zbyt były słabe, żeby się do wnętrza kwiatu mogły dostać (2)."

Nektar kosaćca niemieckiego (Iris germanica L). zdaje się być pszczołom szkodliwy. Sprengel widział jak się nim

(1) Das entdeckte Geheimniss der Natur im Bau und in der Befruchtung der Blumen von Christian Konrad Sprengel Berlin. 1793.
(2) l. c. p. 74.

pszczoła otruła, i to tak prędko, że nie zdołała nawet już opuścić kwiatu. Tak to do każdego niemal kwiatu, przywiązane są pewne tylko owady, one tylko nektar na nim zbierają i zapłodnić go mogą; tłumaczy to nam poniekąd dlaczego tyle obcych roślin po ogrodach naszych nie wydaje nasion, pomimo że mają pręciki i słupki normalnie rozwinięte, i że sztuczne ich zapłodnienie zwykle się udaje.

U motylkowatych (Papilionaceae) zapłodnienie własnym pyłkiem wprawdzie jest możliwe, rzadko jednak, jak się zdaje następuje. Kwiaty mają nektar i plamę, która wnijście do niego wskazuje, a z tego już wnioskować można, że zapładniają się za pośrednictwem owadów. Organa płciowe zebrane są w dalszéj części kwiatu, w tak zwanéj łódce. Łódka ta w Indigofera za dotknięciem nagle się odgina i oswobadza organa płciowe. Organa te w jeden tu pęk zebrane, słupek jednak jest dłuższy od pręcików, tak że pręciki bezpośrednio nie mogą dotknąć blizny; za to siadający na kwiecie owad, jeżeli już jest obcym zawalany pyłkiem, przedewszystkiem dotknie nim wystającéj blizny i zapłodnić może.

Inne urządzenia u motylkowatych pominąć mogę. Jak tu owady czynne są przy zapłodnieniu, pokazuje między innemi i fasola łyczkowa (Phaseolus vulgaris L.); dosyć jest różnobarwne odmiany hodować obok siebie, by z nasion same prawie tylko otrzymać mięszańce.

Darwin (1) wykazał, że współdziałanie bąków jest koniecznêm przy zapłodnieniu kilku gatunków naszéj koniczyny. Sto osobników białéj koniczyny (Tryfolium repens L.) wydały pod gołém niebem 2,290 nasion, gdy 20 osobników téjże saméj rośliny, uchronione od bąków, ani jednego nie wydały nasienia. Sto osobników czerwonéj koniczyny (Tryfolium pratense L.) pod gołém niebem wydało 2,700 nasion, gdy równocześnie sto innych osobników bez przystępu bąków, ani jednego nie wydało nasienia. I czyż potrzeba wymowniejszych dowodów, by stwierdzić konieczność współudziału

(1) Charles Darwin: Ueber die Entstehung der Arten im Thier und Pflanzen Reich durch natürliche Züchtung, oder Erhaltung der vervollkommneten Rasen im Kampfe ums Dasein übers. v. H. G. Bronn. II. Aufl p. 85.

owadów, a tém samém i konieczność krzyżowania się osobników, przy zapłodnieniu?

Nigdzie może mechanizm za pośrednictwem owadów nie jest bardziéj uwydatnionym, jak u storczyków (Orchideae). Charles Darwin po mistrzowsku opracował całą tę gruppę roślin (1), i piérwszy znów nadał nowy popęd badaniom, które od czasów Sprengla w zapomnieniu drzemały.

Okrywy kwiatowe u storczyków, złożone są z trzech zewnętrznych i trzech wewnętrznych płatków zarówno zabarwionych. Nie wszystkie jednak płatki jednéj są budowy, mianowicie też jeden z płatków korony szczególniejszy kształt przybiera, i tworzy pewien rodzaj wargi zakończonéj zwykle ostrogą: w ostrodze téj mieści się nektar. W pośrodku kwiatu stoi słupek zrosły z pręcikami w jedną organiczną całość, w tak zwane gynostomium; pylnik tém samém przypada po nad blizną słupka. Ma on dwie komórki, lecz pyłek w nich nie sypki jak zwykle, lecz lepką massą w jedną połączony całość, w tak zwane massy pyłkowe. Massy te przedłużają się u spodu każda w cienki trzoneczek, ten wreszcie przymocowany do lepkiego krążka, pokrytego jakby czepeczkiem przez jednę z przeistoczonych blizn słupka.

Szczegóły te były koniecznemi dla zrozumienia całéj budowy kwiatu, teraz możemy przystąpić do szczegółów zapłodnienia.

Mamy, dajmy na to, przed sobą jeden z najpospolitszych storczyków naszych: Storczyk tępolistny (Orchis mascula L). Cóż się dziać będzie, gdy owad usiadłszy tu, na dolnym płatku korony, ryjkiem po nektar do ostrogi sięgnie? Trąci ryjkiem lub główką o czepeczek, ten jest elastyczny, więc się odegnie, a jeden lub oba lepkie krążki z massami pyłkowemi przylepią się do ryjka lub głowy owada: przylepiają się tak silnie, że owad mimo wszelkich starań pozbyć się ich nie może. Lecz na tém nie koniec: lepka istota z któréj krążek jest złożony, zesycha się prędko na powietrzu, kurczy się i sprawia, że cała massa pyłkowa na ryjku owada widocznie zmienia pierwotne położenie swoje. W chwili przylepienia się, stała na ryjku pionowo, lecz już po 30

(1) Ueber die Einrichtung zur Befruchtung Britischer und ausländischer Orchideen durch Insekten ueber. v. Bronn. 1862.

sekundach w skutek zeschnięcia się lepkiego krążka, nachyliła się na przód. Tymczasem owad odlatuje do drugiego kwiatu, a jeżeli ryjek swój znowu do ostrogi włoży, natrafia nachyloną massą pyłkową poniżéj pylnika, wprost na bliznę słupka, i na niéj pyłek zostawia. O ruchu mass pyłkowych łatwo przekonać się można; dosyć jest wsadzić do kwiatu storczyka, posiadającego jeszcze swe massy pyłkowe, zaostrzony ołówek, i końcem jego do ostrogi sięgać, by jedna lub dwie massy pyłkowe do ołówka przylgnęły.

Za dotknięciem do blizny, massy pyłkowe zostawiają na niéj nieco swego pyłku. Blizna dosyć jest lepką, by przezwyciężyć spójność jaką pojedyncze ziarna w massie pyłkowéj mają między sobą, nie dość jednak lepką by całą massę pyłkową naraz oderwać od trzonka. Tak jedna massa pyłkowa kolejno wiele kwiatów zapłodnić może; póty mianowicie, póki pyłku starczy, aż wreszcie sam tylko krążek z nagim trzoneczkiem pozostaje na ryjku owadu i o czynach jego świadczy. Ilość takich krążków na ryjku owada nieraz bardzo może być znaczną, a Darwin złapał raz nawet motyla (Acontia luctuosa) mającego 7 par trzoneczków z orchis pyramidalis na ryjku.

I u Trojeściowatych (Asclepiadeae) pyłek zebrany jest w massy pyłkowe, mimo to mechanizm zapłodniania całkiem tu jest różny; owad zwykle już nie ryjkiem, lecz nogą czepia się mas pyłkowych i z kwiatu na kwiat przenosi (1).

Kwiat złożony jest z pięciu płatków kielicha i korony, a po środku znajduje się słupek otoczony pięciu pręcikami. Blizna nie znajduje się tu jak zwykle u wierzchołka słupka, lecz po bokach jego, i dostać się do niéj nie można inaczéj, jak przez szpary znajdujące się między pręcikami. Pręciki te dokoła dotykają słupka, każdy pylnik z dwóch jest złożony komórek, a pyłek w każdéj komórce zebrany jest w massę pyłkową. Massy te po dwie złączone ze sobą, za pomocą czarnego i twardego ciałka, lecz co godne uwagi, połączenie to nie następuje między massami jednego pylnika, lecz między dotykającemi się massami sąsiednich pylników, i tak, że te razem tylko z komórek swych wyciągnięte być mogą. Z tyłu przyrośnięte do pręcików, znajdują się szczególne or-

(1) Sprengel. l. c. Hildebrandt Bott. Zeit. 1866.

gana nektar wydzielające; miodniki te są wypukłe i tak ślizgie, że owad starający się zająć na kwiecie wygodne stanowisko, coraz to się po nich obślizguje, i dostaje nogą w szpary znajdujące się między pręcikami.

U Asclepias Cornuti w ciepłych dniach letnich najlepiéj to obserwować się daje: napotkać tu wtedy można wielką ilość pszczół i bąków, zajętych skwapliwie zbieraniem miodu na mile pachnących kwiatach. Gdy tak chodzą po różnych częściach kwiatu, nieraz noga im się obślizgnie i dostaje w szparę pomiędzy pręciki. Owad wtedy chce ją oswobodzić, ciągnie ją niecierpliwie do góry, a że szpara zwęża się w tém miejscu, więc zamiast sobie pomódz, coraz to silniéj nogę w nią wtłacza, tak że niemal całéj już potrzebuje siły, żeby ją nazad wydostać. Pszczoły niekiedy tracą nawet nogę przy téj operacyi, bąkom jako silniejszym się to nie zdarza, i nie potrzebują się nawet tak dalece wysilać. Mówię tu w ogóle tylko o wyjątkowych razach, zwykle bowiem wyciągnięcie nogi nie jest połączone z tak wielkiém niebezpieczeństwem, i bez tak wielkiego odbywa się wysilenia. Bądź co bądź zawsze noga owada dostaje się w szparę między pylniki, wtłacza się pod czarne ciałko łączące sąsiednie massy pyłkowe, a że ciałko to jest rozszczepione w kształcie widełek, więc chwyta się nogi, i owad wraz z massami pyłkowemi z kwiatu je wyciąga. Nieraz złapać mi się udało pszczołę która na każdéj prawie nodze nosiła jedno lub parę takich czarnych ciałek, kiedy niekiedy i ryjek nie był całkiem od nich wolny. Trzoneczki mass pyłkowych zesychając się na powietrzu podobne jak u storczyków wykonywają ruchy; składają się oba na przód, tak że massy pyłkowe z razu oddalone, dotykają się wkrótce bokami. Jeżeli owad siądzie z niemi teraz na innym kwiecie, a noga jego dostanie się w szparę pomiędzy pręciki, massy pyłkowe z łatwością w szparę wcisnąć się dadzą i pyłek dostanie się do ukrytéj blizny.

Tak jeden i tenże sam mechanizm służy i do wyciągnięcia mass pyłkowych, i do przeniesienia ich na obcą bliznę, i sprowadza w ten sposób krzyżowanie się różnych osobników. W tym także razie nie trudno naśladować szpilką czynność owadów, i dość nią pociągnąć między pręcikami, by wydostać czarne ciałko wraz z przymocowanemi do niego massami pyłkowemi. Niemniéj i ruch mass pyłkowych ob-

serwować się daje, a następnie z łatwością wprowadzić je można w szpary innego kwiatu.

Przy pogodném i ciepłém powietrzu, bąki i pszczoły tak czynnie pracują około tych roślin, że na żadnym już prawie kwiecie nie można napotkać mass pyłkowych, w pierwotném ich położeniu. Mniejsze owady, mianowicie te głupie muchy, (jak je Sprengel nazywa), nieraz się łapią na kwiatach Ascleopiadeów. U ciemiężyka (Cynanchum Vincotoxicum Pers.), często je widzieć można, nieżywe, zaczepione ryjkiem między pręcikami.

Do Asclepiadeów należy też Brudnota (Stapelia hirsuta. L.), znana z przykréj swéj woni; mimo to niektóre mięsożerne muchy chętnie ją odwiedzają. Musca vomitoria i Sarcophaga carnaria znęcone trupim zapachem téj rośliny, na kwiatach jéj jajka swe składają; przenoszą przytém massy pyłkowe po kwiatach i przyczyniają się do ich zapłodnienia. Pszczoły i bąki obdarzone delikatniejszém powonieniem z dala już stronią od téj rośliny.

Konrad Sprengel utrzymuje, że nektar Asclepiadeów upaja owady, a to dlatego, by im łatwiéj pośliznęła się noga i prędzéj dostała do szpary. Lecz czyż godzi się naturę o podstęp taki posądzać?

U wielu roślin podczas kwitnięcia organa płciowe różne wykonywają ruchy, a i ruchy te utrudniają własne zapłodnienie, przeciwnie ułatwiają krzyżowanie.

Nigdzie, że się tak wyrażę, niechęć do zapłodnienia własnym pyłkiem wyraźniéj się nie okazuje jak u krzyżowatych (Cruciferae).

Pręciki w młodym kwiecie zwrócone są przodem do słupka; gdy jednak pylniki dojrzeją i pękać już zaczną, odwracają się nagle od niego, tak że przednia ich strona opatrzona w pyłek, wtedy na zewnątrz się zwraca.

Ciekawy mechanizm napotykamy u gatunków szałwii. (1).

Szałwia należy do tak zwanych roślin wargowych o charakterystycznéj budowie kwiatu; kielich jest jednolistkowy i prawie dzwonkowaty, korona jednopłatowa, u spodu rur-

(1) Sprengel l. c. i Hildebrandt w Pringsheima Jahrbücher f. wiss. Bot. 1865—66.

kowata, wyżéj dwuwargowa. Dolna warga jest płaska i rozpostarta, górna w kształcie hełmu. Pręciki dziwnéj są bardzo budowy, nitki ich są krótkie, przymocowane u wnijścia rurki, po bokach korony, a komórki pyłkowe nie jak zwykle umieszczone po dwie obok siebie, lecz rozdzielone długim drążkiem ruchomo przymocowanym u wierzchołka nitki. Tylko jedna z tych komórek u górnego końca drążka normalnie jest ukształtowana; dolne zaś pozbawione pyłku, i całkiem niezwykłego kształtu. W głębi rurki ukrytym jest zawiązek owocowy, o długiéj bardzo szyjce, która razem z górnemi komórkami pylników kończy się w górnéj wardze korony. Poniżéj zawiązka, znajdują się wreszcie gruczoły miód wydzielające.

I u najpospolitszéj z szałw' naszych: szałwii łąkowéj (*Salvia pratensis L.*) pręciki tak są urządzone, że tylko wierzchnie komórki pylników zawierają pyłek, spodnie zaś komórki u dolnego końca drążka, przekształcone są w płaskie łyżeczki, połączone bokami ze sobą. Łyżeczki te zamykają otwór do rurki i przystęp do nektaru tamują. Korona ma ciemno-niebieską barwę, na dolnéj zaś wardze przed samym otworem do rurki znajduje się purpurowa plama. Bąki wiedzą dobrze, co ta plama znaczy, to téż nie odstrasza ich od kwiatu łyżeczka, która otwór do rurki zamyka; pchają ryjkiem o nią, drążek przeważa się na nitce, łyżeczka podnosi się do góry, a równocześnie występują i pylniki ukryte w wierzchniéj wardze kwiatu uderzając bąka po plecach. Ten nasyciwszy się nektarem, wyciąga swój ryjek, a że pręciki są elastyczne, więc gdy nacisk ustanie, wracają do pierwotnego położenia swego. Lecz na włochatych plecach bąka, powstała znaczna ilość żółtego pyłku, który on teraz przenieść może do innego kwiatu. Ruch ten pręcików powtarza się za każdym naciskiem, a póki tylko pyłku w kwiecie starczy, każdy owad znaczną jego ilość na plecach wynosi. Pośrednictwo owadu jest tu koniecznem, gdyż pręciki same ukrycia swego opuścić nie mogą; strzeżone od wiatru i słoty, wyczekują tam przybycia owadu i razem z kwiatem więdną. Tylko w starszych kwiatach i to wyjątkowo pręciki wystają z górnéj wargi kwiatu: występują wtedy, gdy w skutek zbyt częstych odwiedzin owadów i zbytecznego użycia, mechanizm pręcików uszkodzonym został.

Lecz jakże pyłek z grzbietu bąków na bliznę dostać się może?

Szyjka szałwii łąkowéj razem z pręcikami ukrytą jest w górnéj wardze kwiatu, lecz że dłuższa od wargi, więc u wierzchołka wystaje z niéj nieco i dzieli się na dwa płatki blizny. Płatki te w młodych kwiatach dotykają się wzajemnie, a szyjka występując z wargi zachowuje pierwotny swój kierunek, blizna więc zamknięta, przytém leży w miejscu, w które owad nie dostaje grzbietem, zapłodnienie żadną więc miarą jeszcze nastąpić nie może. Dopiero w starszym kwiecie oba płatki blizny oddalają się od siebie, szyjka wydłuża się nieco, i nachyla do środka, tak że koniec jéj z blizną leży wreszcie przed samym otworem do rurki. Teraz bąk z opylonym grzbietem, gdy siądzie na kwiecie, koniecznie blizny dotknąć się musi i nieco pyłku na niéj zostawia.

Współudział owadów jest tu więc także koniecznym do zapłodnienia, bo nie tylko że pylniki ukryte są w wierzchniéj wardze korony, i tylko za pomocą owadów oswobodzone być mogą, lecz i organa płciowe nie dojrzewają równocześnie w kwiecie, wpierw pylniki, późniéj blizna, tak że kwiat starszy, kwiatem młodszym zapłodniony być musi. Kwiaty takie zowiemy dichogamistami, a stosownie do tego czy wpierw dojrzewają pylniki czy blizny, rozróżniamy jeszcze między męzko-żeńską, lub żeńsko-męzką dichogamią.

Szałwia łąkowa, należy niezaprzeczenie do rzędu tych roślin, u których współudział owadów przy zapłodnieniu najłatwiéj śledzić się daje; dosyć ciepłego dnia letniego, gdy słońce przyświeca udać się na bujną jaką łąkę, na któréj szałwia nasza zapewne się znajdzie, by spostrzedz bąki jak gorliwie krzątają się około tych kwiatów. Tak są zajęte robotą, że zaledwie zwracają uwagę na ciekawego widza, nie krępują się w niczem jego obecnością, i ztąd téż z wszelką swobodą obserwować je można. Widać więc jak kolejno do każdego kwiatka ryjek swój wsadzają, jak podważają łyżeczki tamujące przystęp do nektaru, jak pylniki uderzają je po plecach, jak wreszcie na starszych kwiatach grzbietem dotykają blizny. Niektóre bąki są aż żółte od pyłku, a pracując na kwiatach nie brzęczą jak zwykle, lecz znacząco mruczą, co czynią jak się zdaje zawsze gdy nektar zbierają.

Oprócz bąków napotkać na téj szałwii można i inne jeszcze owady, lecz te nie przyczyniają się do jéj zapłodnienia czy to że są zbyt małe, czy to że tak jak białe motyle, wtykają ryjek swój obok łyżeczki do rurki i wcale pręcików nie poruszają.

Jak współudzial owadów jest tu koniecznym przy zapłodnieniu, pokazuje dobitniéj jeszcze inny gatunek szałwii hodowany dla ozdoby w naszych ogrodach, pod nazwą *salvia azurea.*

Pylniki jéj i słupek są normalnie rozwinięte, mimo to szałwia ta u nas nigdy nie wydaje nasion, gdyż brakuje w szerokościach naszych owadów potrzebnych do jéj zapłodnienia. Zapobiedz temu jedynie można sztuczném zapłodnieniem, które bez wyjątku zawsze się udaje i jest najwymowniejszym dowodem, że brak odpowiednich owadów, jest jedyną przyczyną niepłodności téj rośliny.

Ponieważ owady zwykły zawsze w jeden i tenże sam sposób siadać na jednéj budowy kwiatach, wiele roślin dychogamicznych wykonywa ruchy, celem ustawienia organów męzkich i żeńskich naprzemian w to samo miejsce kwiatu; tak owad siadający na kwiecie, tém samém miejscem ciała, w jednym kwiecie dotknie pylników, w drugim znowu blizny i pyłek na bliznę przeniesie.

W jednéj z cieplarń naszego ogrodu botanicznego znajduje się piękna roślina o szkarłatnym kwiecie, w którym dychogamią szczególniéj obserwować łatwo; rośliną tą jest Clerodendron fallax superbum.

U téj rośliny pręciki i szyjka równocześnie wykonywają ruchy, a ruchy te prawie gołém okiem śledzić się dają. Kwiaty otwierają się zwykle nad ranem: w téj chwili pręciki zagięte są do góry, szyjka zaś zwieszona jest na dół. Pręciki pękają, a owad chcąc się dostać do rurki korony, musi się o nie obcierać; lecz wkrótce pręciki zaczynają się obniżać, szyjka równocześnie podnosi się do góry: następnje chwila, w któréj oba pręciki i szyjka na jednéj stoją wysokości, aż wreszcie szyjka zajmie miejsce pręcików, pręciki zaś miejsce szyjki, a owad napotyka bliznę, tam gdzie w młodym kwiecie obtarł się o pylniki. Kwiat starszy w ten sposób musi być zapłodnionym młodszym, że zaś w cieplarni na owadach zbywa, więc też clerodendron u nas dotąd nie wy-

dawał owoców, aż poznawszy mechanizm zapłodnienia, przenieśliśmy sztucznie pyłku z kwiatów młodszych na starsze, a wszystkie jak najpiękniejsze wydały owoce.

Coś podobnego dzieje się téż u czarnuszki (Nigella) (1) u męczennicy (Passiflora) i wielu innych roślin.

U berberysu ruch pręcików następuje dopiéro za podrażnieniem: jeżeli mucha lub inny jaki owad siadając na kwiecie dotknie nogą podstawy pręcika, ten wykonywa prędki ruch do środka kwiatu i opyla brzuszek owadu. Dziwna to rzecz zaiste, że po dziś dzień prawie, przytaczano berberys, jako najoczywistszy przykład zapłodnienia własnym pyłkiem, gdy tymczasem wszystkim wiadomo że nie można obok siebie hodować różnych jego odmian, bez otrzymania z nasion samych prawie mięszańców.

Fritz Müller w Brezylii obserwował niedawno wielce ciekawą pod tym względem roślinę, którą nazwał Martha fragrans (2).

Spacerując w okolicach Destero napotykał on często piękny krzak o białych mocno pachnących kwiatach. Uderzyło go, że pręciki w tych kwiatach zwykle pozbawione są pyłku, a że nie umiał zdać sobie sprawy z tego zjawiska, postanowił zbadać bliżéj całą budowę kwiatu.

Kwiaty Marthy mają 11—14 centymetrów długą rurkę, która prawie poziomo od gałązek odstaje. Rurka ta przystrojona u wierzchołka pięciu płatkami korony. Pręciki przymocowane są w rurce, przy samym jéj otworze. Dolny pręcik jest prosty, krótszy, lecz szerszy od innych; dwa boczne również są proste, lecz nieco dłuższe i cieńsze; dwa górne pręciki wreszcie są silnie ku bokom wygięte, tak że zostawiają pomiędzy sobą szeroki otwór, przez który do wnętrza rurki dostaćby się można. Pylniki wszystkich tych pręcików, dosyć są mocno ze sobą połączone i tworzą owalną jasnożółtą główkę. Pękają one od środka a pyłek ich łączy się w jedną massę i pozostaje w wydrążeniu główki. Daléj pylniki zesychają się i brunatną przybierają barwę. Wtedy dopiéro kwiat się zaczyna roztwierać, i rozpościera piękną swą koronę. Jeżeli dotkniemy teraz jednego z gór-

(1) Sprengel l. c.
(2) Bot. Zeit. 1866.

nych wygiętych pręcików, od wewnętrznéj strony wygięcia, główka pyłkowa raptownie się rozpada, na trzy różne części: na część dolną, utworzoną przez pojedyńczy dolny tylko pręcik, i na dwie części boczne utworzone każda z jednego bocznego i jednego górnego pręcika. Boczne części w bok odskakują, dalszy zaś pręcik do góry, i to z taką siłą, że wyrzuca zebrany w główce pyłek, nieraz na pół i więcéj metra odległości. Puste pylniki pozostają w kwiecie.

Dostateczném jest lekkie dotknięcie by ruch ten pręcików wywołać, lecz tylke górne pręciki takie są drażliwe i to tylko w pewném określoném miejscu wewnętrznéj strony wygięcia. Dolny pręcik wyrzuciwszy pyłek przechyla się na przód, przykłada do utworu rurki a że jest dosyć szeroki, więc cały ten otwor zamyka. Dopiéro po 8 lub 12 godzinach, znowu się podnosi, odgina się na zewnątrz i oswobadza wnijście do rurki. Ruch ten odwrotny spowodowany jest zeschnięciem się komórek grzbietniéj części pręcika, tak jak ruch jego poprzedni był wynikiem znacznego ich wypełnienia płynem. Dosyć jest ogrzać kwiat nieco nad lampką spirytusową, by ruch ten odwrotny pręcika przyśpieszyć.

Szyjka sięga mniéj więcéj aż do połowy rurki kwiatowéj, blizna jest dwudzielna i włochata, dno rurki zaś wypełnione nektarem.

Już z tego, że kwiaty u Marty są białe, że pozbawione są plam, któreby nektar wskazywały, i że silny wydzielają zapach, możnaby wnioskować, że je nocne zapładniają owady. Jakoż rzeczywiście kwiaty te otwierają się na noc, a więdną zaraz po wejściu słońca. Jakiś nocny motyl o długim bardzo ryjku zapładnia Martę fragrans. Żeby dostać się do nektaru musi wsadzić ryjek między górne pręciki, przyczém koniecznie dotykać musi wewnętrznéj ich strony to jest miejsca, gdzie są drażliwe: pylniki się rozlatują, on zaś zostaje obsypany pyłkiem. Za tak złe przyjęcie, motyl nie zostaje nawet wynagrodzony nektarem, gdyż dolny pręcik kładzie się przed rurką, i wnijście mu przed nosem zamyka; i musiałby nieborak pół doby blizko przededrzwiami czekać, zanimby się do nektaru dostał. Przypuszczam, że tego nie czyni, i że nie zrażony przykrością wypadku, do innego odlatuje kwiatu. Może szczęśliwiéj trafił teraz na kwiat starszy, na taki, w którym pyłek dawno już wyrzuco-

ny, a wnijście do nektaru wolne; wtykając tu w rurkę opylony ryjek, koniecznie nim bliznę obmazać musi. Własne zapłodnienie jest więc jak widzimy, niemożliwém u téj rodziny, zaś krzyżowanie konieczném.

U wszystkich dychogamistów, które dotąd opisywałem, organa męzkie dojrzewały pierwéj, żeńskie zaś późniéj, tak że kwiat młodszy musiał zapładniać starszy; lecz istnieją, jak to już wspomniałem, rośliny, w których przeciwnie się dzieje, u których wpierw dojrzewają organa żeńskie, późniéj dopiéro męzkie. Za najciekawszy tego rodzaju przykład posłużyć mogą gatunki kokornaka (Aristolochia).

Kwiaty Aristolochiae clematitis złożone są z rurkowatéj korony, która u podstawy jest nieco rozszerzoną, u wierzchołka zaś się kończy jednostronną wargą. Młode kwiaty stoją prosto wzniesione do góry, na prostych szypułkach. W miejscu, w którém rozpoczyna się warga, znajduje się wnijście do rurki, a owad tędy do wnętrza kwiatu dostać się może.

Całe wnętrze rurki, obsadzone jest gęstemi włoskami, wnijście mimo to łatwe, bo wszystkie te włoski, wierzchołkami zwrócone są ku podstawie kwiatu; za to wyjście z kwiatu prawie niemożliwe, gdyż włoski w przeciwną stronę odgiąć się nie dadzą. W dolném nabrzmieniu korony leżą organa płciowe, słupek i pylniki. Blizny zebrane są w główkę i tworzą sześć oddzielnych płatków; pod każdym takim płatkiem przymocowany do słupka leży jeden pylnik. Odwinięty na zewnątrz płatek pokrywa go nieledwie w całości, a boczne ściany rurki prawie go dotykają, tak że przystęp do niego całkiem niemożliwy. Kwiat w tém pierwszém stadyum życia swego jest wyłącznie żeńskim.

Lecz cóż się daléj dzieje?

Kwiat zaczyna się powoli nachylać, aż wreszcie całkiem się przewiesza, a otwór korony zwrócony pierwotnie do góry, obecnie pochyla się ku ziemi. Płatki blizny podnoszą się do góry i nachylają ku środkowi główki, brunatnieją i więdnieją, tak że blizna już zapłodnioną być nie może. Kwiat zakończył żeński peryod życia swego, a rozpoczyna męzki. Pylniki pękają, a korona znacznie u spodu nabrzmiewa, tak że przystęp do pyłku staje się możliwym. Żeby wyjście z kwiatu ułatwić, obsychają teraz włoski wyścielające całe

wnętrze rurki, a ślad ich wskazują zaledwie brunatne małe kropki. Wreszcie gdy i pora pylników minęła, warga korony zagina się na wewnątrz i wnijście do rurki całkiem pokrywa, jak żeby chciała wzbronić owadom, zbytecznego już przystępu do wnętrza kwiatu.

Małe muszki znęcone może zapachem kwiatu, przedewszystkiem zaś lepem na bliźnie, wchodzą do młodego kwiatu, a że kwiat ten jest wzniesiony, a włoski wierzchołkiem na dół obrócone, więc przystęp do wnętrza nie trudny. Blizna rozpostarta czeka już na muchy, a jeżeli te ze starszego przychodzą kwiatu i obmazane są pyłkiem, mogą takowy zostawić na bliźnie. Jakoż rzeczywiście w każdym niemal młodym kwiecie napotkać można muszki, a na plecach ich widać nieraz pyłek; że zaś pylniki w tym kwiecie jeszcze nie roztwarte, więc oczywiście przynieść go musiały ze starszego kwiatu. Pyłek tak mocno przylega do muszek, że włoski umieszczone w rurce zetrzéć go nie mogą, muszka przybywa z nim do wnętrza kwiatu. Dostawszy się tutaj, muszka chciałaby zapewne wkrótce wyjść, lecz że włoski odgiąć się nie dadzą, więc odwrót jest niemożliwym. Muszka cierpliwie siedzieć musi w kwiecie, nowe muszki tymczasem ciągle przybywają i pomnażają dawne towarzystwo, które w ten sposób nieraz bardzo licznem się staje.

„Zbierze się tu nieraz"—pisze stary Sprengel (1) „niezgorsze wcale towarzystwo takich zwierzątek, którym tak niespodziewane spotkanie się w tym wązkim pokoiku, i tak niezasłużone więzienie musi dziwném się wydawać. To téż tracą one wkrótce cierpliwość, biegają gniewnie po tym pokoiku, i przypuszczać należy, że przy tak wzburzoném usposobieniu umysłów, przychodzi tu do niejednéj kłótni, i że niejedna walka staczać się zapewnie musi wśród tego ciasnego więzienia."

Kwiat zatrzymuje muszki aż do chwili pęknięcia pylników, potém sam im wyjście ułatwia, a muszki niosą pyłek do następnego kwiatu. I czyż dziwić się możemy staremu Sprenglowi, gdy w zachwycie nazywa Aristolochią cudem natury: i na nas kwiat ten zrazu, podobne zrobił wrażenie.

(1) L. c. p. 426.

## III.

Lecz nie tylko dychogamia jedna, ułatwia krzyżowanie się roślin, napotykamy tu inne jeszcze odpowiednie urządzenia, mianowicie téż dwukształtność kwiatów, tak zwany Dimorfizm.

Od dawna już wiedziano, że Pierwiosnkowate (Primulacae) posiadają dwa rodzaje kwiatów; że w jednym gatunku trafiają się kwiaty, jużto o długich pręcikach, a krótkich szyjkach, to znów o długich szyjkach a krótkich pręcikach. Nie wiedziano jak wytłumaczyć sobie to zjawisko, i dopiéro Darwin (1) znowu piérwszy rzucił na nie światło, i eksperymentalnie wykazał znaczenie Dymorfizmu przy zapłodnieniu.

Organa płciowe w kwiatach dymorficznych tak są rozmieszczone, że pylniki krótkoszyjkowéj formy, stoją na téj saméj w kwiecie wysokości, co blizna w formie długoszyjkowéj, a pylniki długo-szyjkowéj formy, na téj saméj wysokości, co blizna krótko-szyjkowych kwiatów. Otóż Darwin wykazał, że tylko opylenie między różnemi formami, może wydać nasiona, gdy tymczasem opylenie form jednakowych, prawie zawsze pozostaje bez skutku. Że tylko pyłek krótko-szyjkowych kwiatów korzystnie oddziaływa na bliznę długo-szyjkowych, pyłek długo-szyjkowych na krótko-szyjkową bliznę, że zaś pyłek pręcików krótko-szyjkowéj formy nie zapładnia blizny krótko-szyjkowéj, ani téż pyłek długoszyjkowy blizny długo-szyjkowéj. Różnice te płciowe tak głęboko wniknęły w naturę tych kwiatów, że nieraz nawet pewna różnica w budowie pyłku u tych różnych form zachodzi: tak szczególniéj u Płucnika lekarskiego (Pulmonaria officinalis L.), u którego pyłek krótko-szyjkowéj formy, o wiele większy od pyłku długo-szyjkowéj.

Do takich dymorficznych roślin należy również Len, (Linum grandiflorum. Desf. i perenne L.) (2), lecz i wiele innych roślin nie należących już wcale do pierwiosnko-

(1) On the two forms or dimorphic condition in the species of Primula etc. Journal of the Proced. of the Linn. Soc. Botany. 1862.

(2) Darwin: On the existence of two forms etc. of the genus Linum. Linn. Soc. 1863.

watych. Jak krzyżowanie tu jest konieczném, za najlepszy dowód posłużyć może len trwały (Linum perenne L). Pyłek pada tu na bliznę jeszcze wewnątrz nieroztwartego kwiatu; mimo to kwiat żadnego nie wydaje owocu, jeżeli nie nastąpi późniéj powtórne opylenie blizny pyłkiem z innéj formy.

U pierwiosnka chińskiego (Primula chinensis. Lour.) opylenie własnym pyłkiem, prawie żadnych nie wydaje nasion; krzyżowanie odpowiednich form między sobą, daje ich stosunkowo już więcéj, a jednak ani w porównaniu tyle, co krzyżowanie między różnemi formami. Mamy tu więc przed sobą pewien rodzaj stopniowania, w którém własne zapłodnienie jest najniekorzystniejszém; krzyżowanie jednemi formami nieco już jest lepsze, krzyżowanie zaś różnemi formami *najlepsze* zajmuje miejsce. Rośliny dymorficzne stanowią tém samém niejako przejście od roślin obupłciowych do roślin jednopłciowych, to jest takich, u których pręciki i słupki między różne rozdzielone są kwiaty.

Ostatniemi czasy odkryto nawet rośliny trymorficzne przedstawiające w jednym gatunku, trzy różne odmiany względnego położenia pylników i słupków.

Do roślin takich należy przedewszystkiem krwawnica (Lithrum) (1) i szczawik (Oxalis) (2). Blizny stoją w danym kwiecie na jednéj, pylniki na dwóch różnych wysokościach, a względna ich długość wzajemnie się zmienia, tak że otrzymujemy raz kwiaty, w których szyjki są najdłuższe, daléj takie w których blizny trzymają środek wysokości między dłuższemi i krótszymi pręcikami: wreszcie takie u których blizny są najkrótsze, pręciki zaś stoją ponad niemi w dwóch wysokościach.

Charles Darwin ośmnastu sposobami zapładniał te różne formy, jużto własnym ich pyłkiem, jużto krzyżując je pomiędzy sobą, a rezultat był ten sam, co dymorfistów, to jest, że organa na jednéj leżące wysokości wzajemnie opylane, najwięcéj wydawały nasion, im zaś różnica długości większą była pomiędzy niemi, tém bardziéj wpływ ich wzajemny słabnął przy opyleniu.

(1) Darwin on the sexual Relations of the three forms of Lythrum Salicaria. Journ. Linn. Soc. 1864.

(2) Hildebrandt L. c. p. 42.

Lecz jakże krzyżowanie polymorfistów (dymorfistów i trymorfistów) odbywa się w naturze, jakież tu formy najczęściéj krzyżować się będą?

Przypominamy sobie, że owady zwykły zawsze w jednaki sposób siadać na kwiatach jednéj budowy, muszą więc one tą samą częścią ciała dotykać naprzemian odpowiedniego miejsca w tych kwiatach; z tego bezpośrednio wypada, że i w naturze te organa najczęściéj krzyżowane będą, które leżą na jednéj wysokości, w jednych miejscach kwiatu, t. j. te właśnie organa, które przy sztucznych opyleniach najbogatsze niosły plony. Dlatego to rośliny polymorficzne i pod gołém niebem liczne wydają nasiona.

Przechodzimy kolejno do kwiatów jednopłciowych, do których polymorfy stanowiły przejście; pręciki i słupki między różne tu są rozdzielone kwiaty, własne zapłodnienie oczywiście więc jest niemożliwém, a krzyżowanie koniecznćm przy każdém zapłodnieniu.

I tutaj owady przenoszą często pyłek z jednéj rośliny na drugą, przybywa jednak nowy jeszcze czynnik zapłodnienia, nie mniéj dla roślin ważny: czynnikiem tym jest wiatr.

U jednopłciowych zapłodnionych za pośrednictwem owadów, kwiaty męzkie bywają zazwyczaj większe od żeńskich: tak szczególniéj u dyniowatych np. u przestępu pospolitego (Bryonia alba L.). Owad spostrzega z daleka tylko kwiaty męzkie i z razu na nich siada; teraz dopiéro spostrzega i mniejsze kwiaty żeńskie, i opylony już na nie przechodzi. Lecz liczba jednopłciowych kwiatów zapładnianych przez owady, nie jest zbyt wielką, wiatr przeważną tu odgrywa rolę.

I niektóre obupłciowe zapładniane bywają za pośrednictwem wiatru. Dosyć jest wyjść z rana przy wschodzącém słońcu na pole kiedy zboże kwitnie, by ujrzéć całe tumany pyłku, unoszące się nad niém za każdym powiewem wiatru. U roślin w ten sposób zapładnianych (Traw i Babkowatych), nitki pręcikowe bardzo są długie i cienkie, przewieszone z kwiatu, tak że wiatr porusza je za najmniejszym powiewem; pyłek jest suchy i sypki, blizny zaś są wielkie, rozłożyste i pierzaste, tak że pyłek z łatwością chwycić się ich może.

Nie mniéj ważną wiatr odgrywa rolę przy zapłodnieniu drzew naszych. Drzewa o kwiatach obupłciowych, bywają

wprawdzie zapładniane za pośrednictwem owadów tak jak inne obupłciowe rośliny, lecz liczba takich stosunkowo nie wielka, ustępuje liczbie drzew jednopłciowych. Wspomnę tu lipę, na którój pszczoły tak bogate zbierają plony pyłku i nektaru, klony, kasztany dzikie, wreszcie wszystkie nasze drzewa owocowe.

Tylko jeden znany jest dotąd przykład drzewa jabłkowego, które posiadało wyłącznie żeńskie kwiaty (1). Szczególne to drzewo rosło w Saint-Valery-en-Somme we Francyi, a kwiaty jego były najzupełniéj pozbawione pręcików. Weszło tam w zwyczaj, przynosić rok rocznie kwiaty z innych jabłeczników i zapładniać niemi pojedyncze kwiaty na tém drzewie; kwiaty te zazwyczaj wydawały owoce, gdy wszystkie inne bezpłodnie ginęły. Zwyczaj ten zamienił się z czasem w obchód uroczysty, a mieszkańcy tameczni przezwali go „*faire sa pomme*," przywiązując do udania się lub nieudania owocu rozmaite wróżby. Działo się to w czasach, w których przeczono nieraz jeszcze istnieniu rodzajowości u roślin, tak że drzewo to głośném się stało i często przytaczane było, jako wymowny dowód konieczności zapłodnienia.

Lecz wróćmy do naszego przedmiotu.

Kasztany słodkie, orzechy włoskie, orzechy laskowe, dęby i buki, brzoza i olsza, są oddzielnopłciowe, mają organa płciowe męzkie i żeńskie, rozdzielone wprawdzie między dwa różne kwiaty, lecz kwiaty te znajdują się na jednóm drzewie.

Wierzby i topole są wreszcie rozdzielnopłciowe, to jest mają kwiaty męzkie i żeńskie rozdzielone między różne osobniki. Drzewa iglaste są po części oddzielnopłciowe, po części rozdzielnopłciowe. Sosna, świerk, jodła i modrzew mają kwiaty męzkie i żeńskie na jednym osobniku, cis, jałowiec i igława (Araucaria) na różnych osobnikach.

Drzewa rozdzielnopłciowe, jak wierzby i topole, niektóre oddzielnopłciowe, np. orzechy włoskie i laskowe, kwitną pierwéj jeszcze nim dostaną liści, bo liście przeszkadzałyby cyrkulacyi pyłku między gałęziami i utrudniałyby zapłodnienie. U drzew iglastych podobne urządzenie byłoby zbytecznóm, gdyż wązkie i gładkie igły i tak nie powstrzymują

(1) De Candolle: Physiologie. Tome II,

pyłku. Wszystkie te drzewa kwitną wcześnie na wiosnę, zanim inne drzewa jeszcze dostaną liści, by i te nie stały na zawadzie krzyżowania się osobników. Posiadają one przytém wielkie ilości pyłku, a pyłek ich nadzwyczaj jest suchy i sypki. Znane są każdemu zjawiska tak zwanego deszczu siarczanego na wiosnę, kiedy drzewa iglaste zakwitły; są to niezliczone ilości ziarn pyłku uniesione wiatrem, które deszcz strącił z powietrza.

Wiatr jest mimo to niepewnym czynnikiem przy zapłodnieniu i tylko wielkie ilości pyłku, pokryć mogą wszystkie niekorzyści takiego pośrednictwa. Nieraz dwa drzewa rozdzielnopłciowe w lasach naszych lub ogrodach, stoją dość blizko obok siebie, mimo to lat parę z rzędu, ani jednego nie wydadzą nasienia. Dosyć na to, by wiatr był przeciwny podczas ich kwitnięcia. Prawda że jeden powiew od drzewa męzkiego ku żeńskiemu, naraz tysiące kwiatów zapłodnia. Takie jedno zapłodnienie pokryć na raz może straty lat wielu, lecz naturalnie tylko u roślin trwałych, wiele lat z rzędu kwitnących; roczne rośliny nie mogą się narażać na niepewność tego zapłodnienia; a ztąd też widzimy jak mało ono jest rozpowszechnione pomiędzy niemi.

Podobnie jak drzewa w naszych stronach i palmy w pustyni zapładniają się za pomocą wiatru, a zapłodnienie to przy korzystnych warunkach odbywać się nieraz może na wielkie odległości (1). Babilończykowie już za czasów Heroda wiedzieli o tym wpływie, jaki jedna palma na drugą wywiera; aby wpływ ten ułatwić, wieszali kwiatostany męzkiej daktyli na żeńskich jéj osobnikach. Zwyczaj ten zachował się dotąd. Deliie podaje w swéj florze egipskiéj, że w 1800 roku podczas wojny z Francyą, palmy daktylowe niższego Egiptu żadnych prawie nie wydały owoców, gdyż zajęci wojną mieszkańcy nie mogli udać się w pustynię po męzkie kwiatostany i żeńskie swe plantacye opylić. Tak samo i Arabowie, gdy walczą ze sobą, wycinają sobie wzajemnie męzkie palmy w pustyni, by głodem nieprzyjaciela do poddania się zmusić.

Dla łatwości, z jaką wpływ opylenia obserwować tu się daje, zwolennicy rodzajowości u roślin, od najdawniejszych

(1) De Candolle l. c.

już czasów przytaczali palmy jako dowód przemawiający za koniecznością zapłodnienia. Znany też mianowicie był w historyi botaniki żeński osobnik palmy karłowatéj (Chamaerops humilis L.) znajdujący się w berlińskim ogrodzie botanicznym. Palma ta rok rocznie kwitła, nie wydawała jednak owoców, aż dopiero w połowie XVIII wieku, gdy zakwitł równocześnie w Lipsku męzki osobnik téj rośliny, a botanik Gleditsch, pocztą pyłek do Berlina sprowadził i opylił nim blizny berlińskiego osobnika. Dziś jeszcze znajdują się w berlińskim ogrodzie botanicznym rośliny, pochodzące z nasion otrzymanych z owéj sławnéj palmy.

Niemniéj wreszcie głośne były już w 1505 roku dwa drzewa palmowe, które rosły w Brindisii i w Otranto, blizko 30 mil włoskich oddalone od siebie, a z których męzki osobnik zaczął zapładniać żeński, wtedy dopiero, gdy oba wzniosły się po nad wszystkie sąsiednie drzewa, a wiatr mógł pyłek z męzkiego osobnika przenosić na żeński.

## IV.

Rośliny wodne zasługują kolejno na oddzielną wzmiankę; wprawdzie przeniesienie pyłku odbywa się i u nich tak samo jak u innych roślin, za pośrednictwem wiatru lub owadów, ale nadto istnieją tu jeszcze odrębne urządzenia, które przeniesienie pyłku ułatwiają: dla uzupełnienia całości obrazu, przytoczyć je tu muszę.

Tajemniczo odbywa się zapłodnienie u tasiemnicy (zostera marina L.) (1), która przymocowaną jest korzeniami do gruntu morskiego, i nigdy prawie nie wynurza się po nad wodę. Wzrasta, kwitnie i zapłodnia się w głębi wody. Lecz zapłodnienie nastąpićby nie mogło, gdyby woda pyłek moczyła, gdyż pyłek pęka w wodzie i traci swe własności; to też tasiemnica w fałdę liścia w któréj rozwijają się kwiaty wydziela kulkę powietrza, a kwiaty żeńskie i męzkie kwitnąc obok siebie w téj sztucznéj atmosferze, wzajemnie zapłodnić się mogą. Nie jest to jednak jedyny sposób zapłodnienia w tasiemnicy, a gdy wynurzy kwiaty swe nad wodę, różne osobniki między sobą krzyżować się mogą.

(1) De Candolle l. c.

Podobnie dzieje się i u niektórych innych roślin wodnych: tak jaskier wodny i żabieniec zazwyczaj kwitną po nad wodą, gdy ta jednak gwałtownie przybierze, zanurza ich kwiaty, wtedy organa płciowe w rozkwitających kwiatach otaczają się powietrzem, które już znajdowało się w pęczku a to strzeże czas jakiś i pyłek i bliznę od szkodliwego wpływu wody. Lecz to wyjątkowe tylko wypadki, zazwyczaj kwiaty roślin wodnych podczas kwitnięcia wynurzają się po nad wodą. Wynurzanie to żadnych nie przedstawia trudności u roślin, które i tak już pływają na powierzchni wody, które razem z wodą wznoszą się i opadają; inaczéj u roślin, których korzenie przymocowane są do gruntu. Wrzeczniki (Potamogeton), wodne turzyce (Carex), jeżogłówki (Sparganium) kwitną dopiéro wtedy, gdy łodygi ich znacznie się wyniosą nad powierzchnią wody. Grzybienie (Nymphea i Nuphar), których łodygi czołgają się po dnie naszych stawów, wynoszą swoje kwiaty na długich bardzo szypułkach aż póki nie dostaną do powierzchni wody. Kwiat roztwierając się z rana, podnosi się około trzech cali po nad wodę, wieczorem zaś gdy się zamyka, znów obniża się do niéj, i pływając drzymie na jéj powierzchni. Niektóre rośliny wodne za młodu przymocowane są do gruntu, przymocowanie ich jednak jest tak słabe, że gdy roślina podrośnie, a tkanki jéj wypełnią się powietrzem, korzenie puszczają a rozkwitająca roślina wypływa ku górze. Tak robi osoka (Stratiotes aloides L.), grzybieńczyk (Villarsia nymphoides Vent.) i inne im podobne rośliny. I orzech wodny (Trapa natans L.) wschodzi na dnie wody i spędza tam całą swoją młodość; lecz gdy czas kwitnięcia nadejdzie, korzonki u liści nabrzmiewają jakby pęcherze, wypełniają się powietrzem, i powoli wynoszą całą roślinę nad powierzchnię wody. Roślina tu kwitnie, a gdy nastąpiło zapłodnienie, pęcherze napełniają się wodą, roślina spada znów na dno, i tam dojrzewa swoje nasiona.

Po jeziorach południowéj Europy, niekiedy i u nas na Litwie trafia się roślina, znana pod nazwą szumotliny (Aldrovanda vesiculosa L.). Opowiadają o niéj, że gdy ma zakwitnąć, łodyga jéj zupełnie się odrywa od korzeni i wypływa na powierzchnią wody. Tutaj roślina żyje czas jakiś, kwitnie i umiera dopiéro, gdy nasiona jéj dojrzeją.

Sławnym po wszystkie czasy, pośród roślin wodnych był nurzaniec (Vallisneria spiralis L.). Podziwiany przez uczonych, nie jednego już natchnął poetę. Nurzaniec zamieszkuje w tak wielkich ilościach Rodan i kanały jego, że nieraz miejscami żeglugę tamuje. Jestto roślina rozdzielnopłciowa, a oba jéj osobniki rosną na dnie wody. U żeńskich roślin kwiat przymocowany na długiéj szypułce, która za młodu skręcona jest w wężownicę, późniéj jednak rozciąga się i wydłuża: tak kwiat zrazu zanurzony wynosi się po nad wodę. U męzkich osobników kwiaty zebrane są w główkę i przymocowane na krótkich szypułkach, szypułki te żadną miarą wydłużyć się nie mogą; to też gdy nadejdzie pora kwitnięcia, kwiaty odrywają się od nich, wypływają na powierzchnię wody, a wiatrem lub falami zbliżone do kwiatów żeńskich, opylają się i.... umierają. Szypułki żeńskich kwiatów ściągają wtedy swe skręty, zwijają się w wężownicę, a zapłodniony kwiat zanurza się pod wodę i nasiono tam dojrzewa.

René Richard Castel w swoim poemacie: „*Les plantes*" w 1797 r., tak opiewa vallisnerią:

W spienionych swoich falach Rodan rozhukany
Do dziewięciu miesięcy przed okiem ją kryje;
Ale w porze miłości łodyga się wzbije
I zabłyśnie śród światła po nad wód bałwany
Samce bezwładnie dotąd ukryte w głębinie
Zrywają swoje więzy, swe krótkie kajdany,
I płyną już ku górze, ku swéj ukochanéj,
Jak orszak co ją w okół z miłością owinie.
Zda się bożek Hymenu pośród wód w pochodzie
Uroczystym, w téj chwili święcił święto swoje.
Lecz mija czas miłości: łodyga swe zwoje
Kurczy, i dla dojrzenia płodna tonie w wodzie (1).

Nie poprzestając na powyższych przykładach, gdzie krzyżowanie jest koniecznem i widocznem, nowsi badacze zwrócili się i do tych roślin, które nie posiadają żadnych widocznych urządzeń ułatwiających krzyżowanie, gdzie przeciwnie wszystkie pozory zdawały się przemawiać za własnem zapłodnieniem. Bliższe poszukiwania i tutaj w wielu

(1) Tłumaczenie to zawdzięczam uprzejméj grzeczności prof. St. Budzińskiego.

już razach wykazały krzyżowanie, tak że ono coraz to ogólniejszego nabiera znaczenia w rozwoju organicznego świata. Krzyżowanie takie poznaliśmy już u lnu; wspomniałem tam że pylniki pękają w pęczku, i opylają bliznę zanim się kwiat roztworzy, że zaś mimo to własne zapłodnienie nigdy nie następuje. Lecz len jest rośliną dymorficzną, przez w pół rozdzielnopłciową, nie może więc za normę dla roślin obupłciowych służyć. Tymczasem poznaliśmy niedawno inny przykład tego rodzaju u kororysza (Corydalis cava. Whlbrg) (1) który pod ogólny typ obupłciowych roślin najzupełniéj podciągnąć się daje. U kokorysza tego pylniki ciągle dotykają blizny, pękają zanim się kwiat roztworzy, i koniecznie muszą wysypać pyłek swój na bliznę. Blizna zupełnie już jest rozwiniętą, wszystkie warunki do zapłodnienia spełnione, mimo to kwiat żadnych nie wydaje nasion, a wydaje je dopiéro wtedy, gdy pyłek z innego kwiatu dostanie się na jego bliznę. Opylenie własnym pyłkiem jest tu nie uniknioném, mimo to własne zapłodnienie nigdy nie następuje, gdyż pyłek własny nie oddziaływa na bliznę. Lecz i w tych nawet razach, w których zapłodnienie własnym pyłkiem jest możliwém, wpływ pyłku z innego osobnika tego gatunku przeważa, a pociąg do własnego zapłodnienia tak jest słaby, że nieraz nawet pyłek z blizkiéj odmiany tego gatunku, skuteczniéj działa na bliznę od własnego pyłku. Darwin (2) hodował obok siebie różne odmiany kapusty, i otrzymał z ich nasion 233 młodych roślinek; z tych 78 zaledwie odpowiadało odmianie z któréj były wzięte, a i to nie w zupełności. A jednak pyłek w każdym kwiecie kapusty bezpośrednio z łatwością dostaje się na bliznę i zapłodnić ją może, jak tego dowiodły rośliny, które odosobnione od owadów, gazą pokryte, mimo to wydały znaczną ilość strączków.

Już krzyżowanie między różnemi kwiatami na jednym osobniku w niektórych razach zdaje się być korzystném, gdyż każdy kwiat pod pewnym względem już jest niezależnym osobnikiem; lecz krzyżowanie pomiędzy różnemi osobnikami daleko większe przynosi korzyści. Tak Corydalis cava w rzad-

(1) Hildebrandt Jahrb. f. w. Bot. 1867.
(2) Entstehung der Arten p. 112.

kich tylko wypadkach wydaje nasiona; jeżeli krzyżowane kwiaty znajdowały się na jednym osobniku, ażeby otrzymać bogate plony, trzeba krzyżować między sobą różne osobniki; dlatego téżto drzewa, które łączą tak znaczną ilość kwiatów na jednym osobniku, zwykle są rozdzielnopłciowe, gdyż inaczéj kwiaty jednego osobnika zbyt często wzajemnieby się zapładniały.

Widzimy więc, że krzyżowanie osobników ogólném jest prawem w świecie organicznym, prawem tak rozpowszechnioném, że własne zapłodnienie za wyjątek tylko poczytywać można. Własne zapłodnienie następuje kiedy niekiedy i z potrzeby tylko, lecz jak powiedział Darwin *„no hermaphrodite fertilises itself for a perpetuity of generations."*

Własne zapłodnienie z potrzeby, widzieliśmy u jaskru wodnego, gdy kwiaty jego dostaną się pod wodę; nieco inaczéj napotykamy je również u jasnotki (Lamium), u fiołka (viola), wreszcie u niecierpka (Impatiens) (1). Znane są u tych roślin małe niewykształcone kwiatki, które zwykły pokazywać się bardzo późno, już po innych kwiatach; kwiaty te nie otwierają się wcale, mimo to wydają nasiona. Przytaczano je dotąd chętnie, jako dowód za ogólném istnieniem własnego zapłodnienia u roślin, przemawiający jak widzimy jednak nie słusznie. Występują one po wszystkich innych kwiatach, i to mianowicie w tych latach tylko, w których było wiele słot i niepogody, na przypadek więc, gdyby wszystkie poprzednie kwiaty daremnie przekwitły, nie wydając owoców, one byt rośliny utrzymać jeszcze mogą. Z nasion ich rozwijają się wprawdzie w następnym roku dość słabe rośliny, lecz te przez krzyżowanie wzmocnić sie mogą, chyba że warunki krzyżowania znowu były niekorzystne, i że wycieńczyły resztę sił rośliny.

## V.

Jeżeli krzyżowanie tak jest korzystném, dziwić się więc nie możemy, że napotykamy je u wszystkich prawie istot: bo tylko korzystnie uposażone istoty przy bycie utrzymać się mogą.

(1) H. v. Mohl: Einige Beobachtungen über dimorphe Blüthen. Bot. Zeit. 1863.

Prace Darwina piérwsze rzuciły światło na ten wewnętrzny przebieg życia natury, i nie przestając podziwiać wielkości dzieła, głębiéj zaczynamy wnikać w te tajniki organicznego świata.

Wszystkie bez wyjątku żyjące istoty rozmnażają się w tak znacznéj liczbie, że przy najkorzystniejszych warunkach rozwoju, pokolenie jednéj pary, wkrótce całą ziemię pokryćby musiało.

Linneusz obliczał, że jednoroczna roślina, którąby dwa tylko wydała nasiona, nasiona jéj zaś znowu po dwa, i tak daléj kolejno we wszystkich pokoleniach, że roślina taka po dwudziestu latach, jużby do miliona potomków liczyła. Tymczasem nie znamy nawet rośliny któraby tak mało płodną była. Cephalanthera grandiflora (1), pewien storczyk, podług obliczeń Darwina, w jednéj torebce około 6000 nasion zawiera, a że na jedną roślinę przypada rocznie cztery takie torebki, więc każda roślina wydaje rocznie około 24000 nasion. Storczyk plamisty (Orchis maculata L.), tak u nas pospolity na wilgotnych łąkach, zawiera w jednéj torebce około 6200 nasion; a że jedna roślina wydaje naraz trzydzieści i więcéj torebek, wypada rocznie 186,300 nasion na jednę roślinę. Storczyk ten jest przytém rośliną trwałą, to jest rok rocznie z nowych podziemnych główek nowe wydaje rośliny. Ileżto więc nasion wydać może jeden osobnik tego storczyka w ciągu lat kilku! Licząc po 6 cali kwadratowych na jedną roślinę, 174,240 takich roślin pokryłoby jeden akr (2) ziemi. W razie więc nawet, że w liczbie jednorocznych nasion pomienionego storczyka znalazłoby się 12000 niedobrych nasion, jedna roślina starczyłaby na pokrycie całego akru ziemi. Wnuki pierwszéj rośliny, pokryłyby już jednostajnym zielonym kobiercem przestrzeń większą od wyspy Anglesea (3), a prawnuki prawie całą ziemię, bo 0,94 części jéj powierzchni.

Ten sam liczebny stosunek zachodzi i między zwierzętami.

(1) Darwin, Orchideen p. 211.
(2) Akr (acre)=0,722 morga.
(3) Anglesea wyspa na morzu Irlandzkiem przy północno-zachodnim brzegu Walii, ma 32 mil kwadr. powierzchni.

Człowiek który tak się powoli rozmnaża, może jednak podwoić swą liczbę w ciągu lat 25, tak że przy korzystnych warunkach już po kilku tysięcach lat miejscaby dla niego na ziemi niestało. Słoń, który rozmnaża się najpowolniéj ze wszystkich znanych nam zwierząt, mógłby po 500 latach z jednéj pary liczyć już 15 milionów potomstwa, a cóż dopiéro powiedziéć o myszach, które rozmnażają się tak licznie, cóż dopiéro o rybach, które rocznie wydają nie tylko setki ale nawet tysiące zarodków! Każda para zostawiona sama sobie już po niewielu latach mogłaby pokryć świat cały.

Tymczasem widzimy, że liczebny stosunek istot na ziemi się nie zmienia, fauna i flora naszego kraju przedstawiają się nam dzisiaj w tym samym mniej więcéj liczebnym stosunku co przed stoma laty. Pytamy więc czém się to dzieje?.. a spojrzawszy dokoła nas spostrzegamy, że toczy się w naturze wieczna i nieustanna walka o byt, że w walce téj największa ilość wszystkich istot ginie i tylko najkorzystniéj uposażone utrzymać się mogą. Na tysiąc zarodków 999 ginie, jeden zaledwie wywalczy sobie życie.

„Widzimy, powiada Darwin (1), naturę od zewnątrz promieniejącą, wesołą, widzimy wszędzie zbytek i nadmiar pokarmu; lecz nie widzimy lub zapominamy o tém że te ptaki dokoła, które tak swobodnie śpiewają, żywią się owadami i nasionami i niszczą bezustannie życie; zapominamy iluż tych śpiewaków, ich jajek albo młodych staje się codziennie pastwą drapieżnych ptaków lub innych nieprzyjaciół, nie pamiętamy, że choć chwilami żywności jest do syta, nie starczy jéj może, przez cały ciąg roku."

Mniéj daleko jest miejsc w naturze, niż istot współzawodniczących o nie, to téż większa część tych istot zginąć musi, wszystkie wzajemnie walczą ze sobą o uprzywilejowane miejsce, lecz zwycięzcom tylko dostaje się w nagrodę palma istnienia. Każde zwierzę ma tysiące nieprzyjaciół, i stawiać musi opór wszystkim zewnętrznym wpływom.

Roślina walczy z rośliną o ziemię, w którą korzenie swe zapuszcza, o wodę i o żywność, o światło i ciepło; współzawodniczą one między sobą, o to, która lepiéj przetrwa suszę, wilgoć, gorąco lub zimno, która łatwiéj się oprze burzy lub zawiei.

(1) Darwin: Entstehung etc.

A wynikiem téj walki być musi, że tylko najlepiéj uposażone osobniki utrzymują się przy życiu, mniéj szczęśliwe ginąć muszą.

Darwin (1) obserwował na lekko przekopanym gruncie 3′ długim a 2′ szerokim, 357 młodych bardzo drzewek z różnych gatunków; z tych wyginęło nie mniéj jak 295 głównie w skutek uszkodzenia przez owady i ślimaki. Gdy w Ameryce wytną jaki las dziewiczy, stosunek wzajemny istot do siebie, warunki ich bytu, zmieniają się tak dalece, iż w miejscu pierwotnego lasu, całkiem nowe, całkiem inne występują istoty. A jednak zauważono w północnych Stanach Zjednoczonych, że lasy, które rosną na starych indyjskich wałach, dziś tęż samą rozmaitość, tenże sam wzajemny stosunek gatunków przedstawiają, co otaczające dziewicze lasy, których ręka ludzka nigdy nie tknęła. Co tam za walka toczyć się musiała przez całe wieki, między różnemi gatunkami drzew, z których każde rocznie tysiące nasion wydawało! Co za walka między owadami, między owadami a ptakami, między zwierzętami drapieżnemi, które wszystkie rozmnażać się chciały i żywiły się jużto sobą nawzajem, jużto innemi zwierzętami, jużto wreszcie tysiącami nasion i roślin! „Gdy ciśniemy garść pierzy w powietrze, powiada Darwin, daleko łatwiéj stosunkowo obliczyćby się dało, gdzie każde z tych piórek upadnie, niżeli skreślić warunki powyższéj walki, oznaczyć wzajemny stosunek tych niezliczonych roślin i zwierząt, i wpływ jaki w ciągu tylu wieków wywierały na siebie.”

Tak byt wszystkich istot jest ze sobą powiązany, wszystkie się warunkują wzajemnie.

Dostrzeżono (2) że w okolicach miast i wsi koniczyna zwykle liczniejsze wydaje nasiona. Przypominamy sobie, że to bąki zapładniają koniczynę, ilość więc bąków w danéj okolicy koniecznie wpływać musi na ilość otrzymanych nasion. Najzawziętszymi nieprzyjaciołmi bąków są myszy polne, które niszczą ich gniazda i zaląg zjadają, tak, że przeszło dwie trzecie wszystkich bąków, staje się pastwą tych myszy. Otóż w okolicach miast i wsi, gdzie stosunkowo daleko więcéj jest kotów, ilość myszy znacznie się zmniejsza,

(1) L. c· p. 80 i następne.
(2) Darwin l. c.

ilość bąków odpowiednio wzrasta, a koniczyna liczne niesie plony.

Lecz zkąd, zapytamy obecnie, biorą się te różnice w uposażeniu osobników jednego gatunku, zkąd te korzystne własności, które jednym przewagę nad drugiemi dają? Polegają one na *zmienności* właściwéj wszystkim żyjącym istotom. Każdy osobnik organiczny pokazuje w rozwoju swoim, małe, właściwe sobie tylko charaktery, które różnią go od wszystkich innych osobników tego gatunku.

Dzieci są tylko podobne do rodziców, lecz nie są im równe. Otóż zdarzyć się może, że taka indywidualna odmiana, chociażby najmniejsza, przedstawia pewne korzyści w walce o istnienie, a wtedy osobnik w ten sposób odmieniany, łatwiéj utrzyma się przy życiu, i łatwiéj następnie rozmnożyć się może. Dzieci jego, prawem dziedzictwa będą posiadały te same korzystne własności, a te im znowu nad innemi osobnikami przewagę zapewnią. Odmiana ta zacznie się coraz bardziéj szérzyć i przytłumiać inne; aż wśród jéj własnego łona powstaną może nowe korzystne indywidualne odmiany, a te znowu pojedynczym jéj osobnikom przewagę nad innemi dadzą.

Tak w naturze postęp jest koniecznym, coraz nowe własności dołączają się do już istniejących, już istniejące ciągle się zmieniają, i w wielkich przestrzeniach czasu powstają nowe odmiany, gatunki, rodzaje, i zmieniają postać organicznego świata.

Tak jak człowiek przy sztucznéj hodowli, polepsza rasę, przez to że wybiera do rozmnażania osobniki, które posiadają w najwyższym stopniu pewne korzystne własności, tak postępuje i natura; tylko że człowiek działa dla własnych korzyści, wybiera i razem łączy pożądane dla siebie odmiany, i te utrzymać i polepszyć się stara: gdy w naturze, przeciwnie, utrzymują się tylko własności korzystne dla samego osobnika, takie, które mu przewagę nad innemi dają, a w walce o istnienie zapewniają zwycięztwo.

Jest to więc koniecznym wynikiem walki o istnienie że wszystko w organizmie jest praktycznem, że wszystko jest tak urządzone, aby zapewnić byt organizmowi. Bo żadna niekorzystna, a nawet obojętna własność w walce o istnienie

długo utrzymać się nie może, i ustępuje miejsca innym korzystniejszym własnościom.

Tak za pośrednictwem teoryi Darwina, tłumaczymy dziś przyczynowo wielką ilość zjawisk, które dotąd celowością tylko tłumaczyć chciano. Staliśmy na stanowisku maitre Pangloss'a w romansie Woltera (1), i utrzymywaliśmy jak on, że: *tout étant fait pour une fin, tout est necesserement pour la meuilleur fin.* Wolter wyszydził tam z nieporównanym dowcipem ówczesny kierunek.

Zauważ dobrze, uczy Panglos Candide'a, że nosy na to są zrobione, by kłaść na nie okulary, i że rzeczywiście nosimy okulary; że nogi istnieją widocznie na to, by je przyodziewać w buty, to też nosimy buty, i świnie na to są stworzone, żeby je zjadać, to téż jemy je przez cały ciąg roku; pamiętaj o tém, że ci, co powiedzieli, że wszystko dobrze na świecie, powiedzieli głupstwo, gdyż należało powiedziéć, że wszystko jest jak najlepiéj.

Zasada celowości wymaga, żeby wszystko działo się z pewnym zamiarem, na to żeby oznaczony cel wypełnić, podług téj zasady, cel dopiero wywołuje zjawisko. Darwin przeciwnie w miejsce celowości przyczynowość wstawił, nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków, które się motywują wzajemnie. Korzystne własności nie dla tego powstają, żeby pewien cel wypełnić, lecz są koniecznym wynikiem walki o istnienie. W naturze powstają równocześnie jak najrozmaitsze odmiany: korzystne, obojętne, a nawet szkodliwe, walka o istnienie rozstrzyga dopiéro o względnéj ich wartości, a korzystne tylko odmiany utrzymują się przy bycie, gdy obojętne i szkodliwe giną.

Z tego stanowiska i na tak rozliczny mechanizm zapłodnienia zapatrywać się musimy, i tak jak każde inne korzystne urządzenie, uważać go za naturalny wynik walki o istnienie.

I tak wystawić sobie możemy (2), że niektóre rośliny, zaczęły przed laty, słodki płyn wydzielać, pozbywając się prawdopodobnie w ten sposób ze soków swych jakiegoś szkodliwego ciała. Owady szukające pokarmu zaczęły płyn ten

(1) Voltaire. Candide ou l'optimisme.
(2) Darwin l. c.

zbierać, a równocześnie przenosiły bezwiednie pyłek z jednego kwiatu na drugi. W ten sposób kwiaty zaczęły się krzyżować pomiędzy sobą, a że krzyżowane rośliny więcéj i stosunkowo lepsze wydawały nasiona, więc zaczęły się bardziéj od innych rozmnażać i powoli całkiem je przytłumiły. Wydzielanie nektaru stało się w ten sposób dziedziczną i ogólną własnością wszystkich prawie roślin, i jak przedtem między nie wydzielającemi nektaru roślinami, tak teraz między wydzielającemi rozpoczęło się współzawodnictwo, i rozmnażały się przedewszystkiem te znowu, które jużto najwięcéj, jużto najlepszy posiadały nektar, a tém samém najbardziéj nęciły owady. Rośliny niekrzyżowane powoli wyginąć musiały.

Zkądinąd również łatwo przypuścić możemy, że krzyżowanie u takich osobników najczęściéj się trafiało, u których pręciki i blizna ustawieniem swojém w kwiecie, ułatwiały przeniesienie pyłku. Rośliny takie przeważnie rozmnażać się musiały, i dały z czasem początek tym rozlicznym urządzeniom dychogamicznym, które dzisiaj podziw w nas budzą.

W podobny sposób powstać powoli mogły barwne i pachnące kwiaty u roślin, gdyż wśród różnych odmian, te, które miały jużto nieco większą, jużto nieco wonniejszą koronę, najbardziéj zawsze wpadały owadom w oczy, przeważnie więc były krzyżowane, i przeważnie rozmnażać się mogły. Korzyści odniesione przez krzyżowanie, pokrywały tu znaczny nakład tkanek i nektaru, i zawsze jeszcze przewagę nad innemi dawały, tak że piękne korony stały się coraz ogólniejszą u roślin ozdobą. Te same piękne korony, bez korzyści krzyżowania, byłyby wielkiém marnotrawstwem dla rośliny, i zamiast korzyści, przyprawiłyby ją o zgubę. Odmiany o wielkich kwiatach, zamiast się przeważnie rozmnażać, przeciwnie wkrótce wyginąćby musiały, ustępując miejsca innym, bardziéj korzystnym odmianom. Ztąd téż widzimy, że niema roślin o zielonych kwiatach, gdyż te wymagałyby równego nakładu, a jednak niespostrzeżone wśród liści, mniejby nęciły owady, ztąd też niema barwnych kwiatów ani też nektaru u roślin kwitnących pod wodą, ani téż u skrytopłciowych, ani téż wreszcie u roślin zapłodnionych za pomocą wiatru.

Znamy wprawdzie wielkie zabarwione kwiaty, które są niepłodne, lecz te stoją zawsze dokoła kwiatów płodnych

i do nich nęcą owady. Stosunek ten do owadów pokazują wreszcie piękniéj jeszcze rośliny rosnące na wysokich górach. Tam owadów jest stosunkowo mało, współzawodnictwo było zatem wielkie między pojedynczemi kwiatami, tylko odmiany z największemi i najpiękniejszemi koronami zdołały przynęcić owady i rozmażały się przeważnie, a ztąd rośliny na wysokich górach otrzymały te wielkie i piękne korony, które podróżnego w zachwyt wprawiają.

Barwne korony powoli rozwinąć się musiały ze zwykłych zielonych liści, i rzeczywiście w botanicznéj morfologii dotąd je za przekształcone liście uważamy.

Z tego wszystkiego wynika, że kwiaty te muszą być stosunkowo nie tak dawnym jeszcze zabytkiem świata roślinnego. Darwin wykazał, że im późniéj własność jaka nabytą została w rozwoju świata organicznego, tém łatwiéj może uledz zmianom, i rzeczywiście wiadomo, że żaden organ rośliny przez sztuczną hodowlę tak łatwo odmienić się nie daje, jak właśnie wielkość, zapach i barwa części kwiatowych. Barwne korony stały się pożytecznemi dla rośliny, dopiéro za ukazaniem się owadów, jakoż w rzeczy saméj napotykamy je po raz pierwszy dopiéro w trzeciorzędnéj epoce, wtedy kiedy i owady nektar zbierające, zaczynają występować w większych ilościach.

Dajmy na to (1), że owady zaginęłyby nagle i na zawsze z powierzchni świata, jakieby to zmiany wywołało w świecie roślinnym. Wiele tych roślin, u których własne zapłodnienie przestało być możliwém wyginąćby musiało, inne rozmnażałyby się słabo tylko, nędzne wiodąc życie, aż po wielu, wielu latach powstałyby może inne korzystne odmiany, i zastąpiły dawne. Rośliny nie potrzebując już nęcić owady, postradałyby powoli zapach swój i nektar, swoje piękne i wielkie korony, a miejsce ich zastąpiłyby może odmiany o małych i nieznacznych kwiatach. Po kilku peryodach geologicznych organa płciowe u jawno kwitnących roślin otoczyłyby się może, jak u skrytopłciowych małemi zielonemi listkami; lecz w skutek walki o istnienie i naturalnego wyboru, powstaćby tu mogły, nowe jakie, nieznane nam dziś

(1) Naegeli: Entschung und Regriff der Naturhistorischen Art. 1865.

urządzenia, któreby zastąpiły dawne i znów zapewniły krzyżowanie się roślinom.

Tak natura stwarza coraz to nowe kształty: co dziś jest nigdy nie było, co było, nie będzie.

Natura wiecznie jest młodą, a jednak wiecznie tą samą. Jedne istoty giną, inne zajmują ich miejsce, coraz nowi zwycięzcy wstępują na widownię świata, a choć walka jest straszną, ta myśl pocieszyć nas może, że zawsze lepsi, mężniejsi, ostatecznie odnoszą w niéj zwycięztwo.

A jak powiada Goethe w Fauście:

> Ten tylko wart wolności, życia,
> Kto je sobie zdobyć umie.
>
> (*Faust II część*).

Warszawa, w marcu 1868 roku.

NIEZNANE POEZYE

# STEFANA GARCZYŃSKIEGO.

---

Znane są utwory tego w samym kwiecie zgasłego poety, przyjaciela od serca Mickiewicza, który z całą miłością braterską czuwał w ostatnich chwilach jego życia, zamknął mu powieki, i łzami szczeremi opłakał tak bolesną dla siebie stratę. Zgasł w 27 roku, 20 września 1833 roku w Awinionie, gdzie mu twórca *Grażyny* położył nagrobek z łacińskim i polskim napisem.

Professor uniwersytetu Jagiellońskiego Karol Mecherzyński, tak dobrze zasłużony literaturze krajowéj, pełniąc czasowo obowiązki bibliotekarza tegoż uniwersytetu, zanim je złożył w ręce Karola Estrejchera, znalazł autograf nieznanych poezyj Garczyńskiego, i te wraz z objaśnieniem o takowym, nadesłać nam raczył, w celu ich ogłoszenia. Pospieszamy spełnić to życzenie. Oto są słowa listu uczonego męża:

„W Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego (MSS. 773 4to), znajduje się rękopis własnoręczny Stefana Floryana Garczyńskiego poety, pod napisem: *Wiersze do Aliny*, z osobnym wierszem dedykacyjnym do Adama Mickiewicza, mieszczący w sobie kilka drobniejszych utworów. W jaki sposób rękopis ten dostał się do biblioteki uniwersyteckiéj nie wiadomo. Zdaje się, że sam autor złożył go w przejeździe przez Kraków w r. 1829, przygotowawszy go do druku, jak się z *przedmowy* pokazuje.

„Byłbym się (pisze w niéj sam Garczyński) niezawodnie zdania Ossolińskiego trzymał, że wszystko znosić, miądlić i wyrabiać trzeba. Obawa przecież, aby wiersz z łatwością

na papier wylany, przez zbytnie krzesanie bardziéj nie schropowaciał; aby z drugiéj strony niepotrzebną przewłoką piękność najgłówniejsza pracy drobnéj nie zestarzała; chęć nakoniec zrobienia jakiegokolwiek początku: wszystko to razem skłoniło mnie do odrzucenia na chwilę mądréj naszego pisarza przestrogi."

Późniéj jednak zmienił autor, jak widać swój zamiar, poezye te bowiem, płód pierwiastkowy jego pióra, nigdzie nie wyszły z druku.

## SKARBY MOJE.

Straciłem ojca wcześnie! Niemowlęce dłonie
 Ledwie uścisk żałości na drogę mu dały,
Ledwie grób jego świeży łzy niewinne zlały,
 Już nad matki mogiłą nowe płacze ronię.

Tam gdzie słońce za obłok skrwawiony zachodzi,
 Gdzie smutnie wiatr szeleści, a wierzba płaczliwa
Z księżyca blaskiem grając cienie swe rozwodzi:
 Tam ojciec, tam i matka moja odpoczywa.

Oprócz łez i żałości spadku nie dostałem!
 Kwiat mi za własność dali, co na grobie żyje,
I serce, które w smutku westchnieniami bije:
 Z puścizny rodzicielskiéj więcéj nie zaznałem!

## MYŚL I CZUCIE.

Śpiewać muszę—pierś zmiękczona
 Czuciem serce wyłamuje:
Niech więc raz myśli zasłona
 Spadnie! niech myśl z sercem czuje.

Taką chęcią myśl zaklęta,
 Czucie lutnią już porywa;
Lecz zaledwie pieśń zaczęta,
 Struna pęka—myśl ją zrywa!

Ja zakładam wyższe stroje,
 Teraz pewno nie zaśpiewa:
Znowu niecierpliwy stoję,
 Ucho piosnki się spodziewa.

Lecz zaledwie drżąca ręka
 Lutnię wzięła—brzękła struna;
Głos jéj wdzięczny znowu kona,
 Znowu w drganiach struna pęka.

I na ziemię bardon rzuca,
Serce ręką pokazuje:
Chociaż myśl w niém głos ocuca:
Jedno serce wié co czuje.

## ŻYCIE I ŚMIERĆ.

Nie wiem, czy mam złorzeczyć okrucieństwu temu,
Czy oko błogosławić, które kwiatki zbiera
Z wieńca twojéj urody—czuję po dawnemu,
A przecie serce razem żyje i umiera.

Cyprys ciągle z rożą łączę,
Żal i radość w jedno splatam;
Z grobu do niebios ulatam:
Śmierć i życie z ciebie sączę.

## NIEWOLA MIŁOŚCI.

Kiedy u fortepianu siedzę zamyślony
I błąkać martwą ręką po skali zaczynam:
Twoją piosnkę, twe głosy sobie przypominam,
Twą melodyą przejęte piękniéj dźwięczą strony.

Kiedy się w nocy budzę i łzy moje płyną,
Gdy jedno tylko zawsze powtarzam na jawie;
Często płaczę, bom płakać uczył się z Aliną;
Coś ty czasem wyrzekła, ja bez ładu prawię.

Jeżeli jaki dowcip przypadkiem się uda,
I słuchacze zdziwieni spoglądają w oczy:
Myśli twoje wcielone—oto moje cuda,
Bo mi wszędzie przytomny twój obraz uroczy.

## WYZNANIE MIŁOŚCI.

Dzisiaj mam ją zobaczyć!—jakżeż noc ta długa!
Kiedyż słońce nadejdzie i ciemności zginą!
Kłóci się chwila z chwilą, godzina z godziną;
A przecież noc jest wiekiem—bez końca żegluga!

Zrywam się z mego łoża—wolniéj westchnąć muszę,
Wybiegam na powietrze, i w przestrzeni ginę—
Tak mi rzeźwo—tak lekko—niebem karmię duszę:
Bo mi wszystko powiada, że ujrzę Alinę.

Strumyka, który z szumem z poblizkich gór bieży,
Dziś pierwszy raz głos wdzięczny słyszę z zachwyceniem,
Księżyc jaśniéj mi świeci, serce oku wierzy:
Zda się, że czucie z całém dzielę przyrodzeniem.

Gdybym mógł, chciałbym wzlecieć, zostałbym tą chmurą,
Aby prędzéj, by szybciéj niebo oddać słońcu;
Chciałbym niebem dziś zostać—chciałbym w myśli gońcu,
I niebem być, i słońcem, i całą naturą!

Znów spojrzałem w niebiosa—księżyc postać swoją
Zasłonił lekką chmurą, a gwiazdy jaskrawe,
Jak na straży po niebie na około stoją—
I znów czuję tęskności: znów czuję obawę!

Jeśli Alina moja twarz swą tak uchyli,
Jeśli uśmiech pogardy na mój zapał rzuci,
Jeśli serce moje w nadziei omyli:
Cóż mnie więcéj zaboli, co bardziéj zasmuci!

# DZIEWICA Z TREPPI.

(Z HEYSEGO).

Na szczytach Apeninów, w miejscu gdzie oddzielają prowincyę Toskańską od północnéj części państwa Kościelnego, leży samotna wieś pasterska, zwana *Treppi*. Ścieszki prowadzące do niéj nie są przystępne dla powozów; daléj ku południowi, droga pocztowa tworzy długi zakręt dla przejścia przez góry. Do Treppi przybywają tylko wieśniacy handlujący z pasterzami, czasem jaki malarz, podróżny pieszy unikający szerokich gościńców, a nocną porą, przemytnicy z mułami. Ci umieją dostać się do téj samotnéj wioski dla chwilowego przystanku drogami jeszcze uciążliwszemi, które tylko sami przebywać potrafią.

Było to w połowie października, w porze kiedy na tych wyżynach noce są nadzwyczaj jasne. Ale tego dnia w duszącym upale, łekka mgła zwolna wznosząca się z parowów, rozchodziła się po skałach zasłaniając ich malownicze kształty. Mogło być około dziewiątéj godziny; w nizkich tu i owdzie porozrzucanych chatkach, których przez dzień pilnują same tylko sędziwe kobiety i najmłodsze dzieci, pobłyskiwały rzadkie i słabe światełka. Naokoło kominów spali pasterze otoczeni rodziną; psy leżały przy progu. Gdzie niegdzie stara babunia, któréj oczy do snu nie były już skore, siedząc na kupie skór, poruszała machinalnie wrzecionem szepcząc modlitwę, albo kołysała w koszyku do snu dziecię. Wilgotne powietrze jesiennéj nocy przeciskało się przez szerokie ścian szpary. Dym cichego gasnącego ogniska powstrzymywany przez mgłę, wracał do chaty i krążył pod pułapem, nie drażniąc staréj prządki, która także drzemała jak mogła z otwartemi oczyma.

W jednym tylko domu był ruch jeszcze. Dom ten był o jedném piętrze tak jak i inne, ale ściany jego mocniéj były zlepione, drzwi szersze i wyższe, a do obszernéj kwadratowéj izby stanowiącéj główną komnatę, dotykało kilka spiżarni, kilka izb mniejszych i piec tęgo zbudowany z cegieł. Przed bramą stało kilka objuczonych koni; chłopiec zdejmował z ich grzbietów puste krobki,

podczas gdy sześciu lub siedmiu uzbrojonych ludzi wychodziło z domu, i postępując we mgle, śpiesznie kiełznali konie. Jeden tylko stary pies leżący na progu żegnał ich machając ogonem, potém wstał ociężale i wolno wrócił do izby, w któréj jasne jeszcze płonęło ognisko. Przed ogniem stała jego pani, postawy wspaniałéj, z twarzą obróconą ku ogniowi, nieruchoma, z rękami w dół zwieszonemi. Stary pies zbliżył się do niéj i lekko polizał jéj rękę: ona zadrżała jakby nagle zbudzona ze snu.

— Fuoco, zawołała, mój biédny psie, tyś chory! idź, połóż się spać."

Pies zaskomlał, poruszył ogonem na znak podziękowania, powlókł się na skórę rozciągniętą przy kominie, i położył się z jękiem na niéj.

Pod ten czas weszło kilku parobków, którzy usiedli około stołu przy misce do połowy wypróżnionéj przez przemytników, którą jednak znowu napełniła służąca, i wziąwszy łyżkę usiadła wraz z niemi. Przy jedzeniu głębokie panowało milczenie głownie płomieniste trzaskały, pies jęczał śpiąc, a młoda poważna gospodyni, siedząc przy kominie, nie dotknęła nawet czarki polenty, którą jéj osobno podano: tylko wzrok jéj roztargniony błądził po izbie. Przededrzwiami mgła zbiła się jakby w mur biały, a księżyc w półpełni wznosił się poza skałami. Wtedy usłyszano odległe stąpania ludzi i koni.

— Pietro! zawołała młoda gospodyni spokojnym tonem zwykłego rozkazu.

Duży, barczysty chłopak zerwał się natychmiast od stołu i znikł we mgle. Odgłos kroków zbliżał się coraz bardziéj. Niebawem koń zatrzymał się przededrzwiami, a za nim ukazało się trzech ludzi, którzy weszli z lekkim ukłonem. Pietro zbliżył się do dziewicy, która spoglądała w ognisko nie troszcząc się o to, co się dzieje wkoło niéj.

— Przybyło tu dwoje ludzi z Porretty bez towarów, rzekł do niéj: przeprowadzają oni przez góry jakiegoś pana.

— Nino! zawołała gospodyni.

Stara służąca powstała i zbliżyła się do ogniska.

— Oni nie tylko posiłku żądają, proszę pani, rzekł chłopiec; ten pan chciałby przenocować tutaj i nie chce udać się w drogę przede dniem.

— Rozłóż słomę w gościnnym pokoju.

Pietro kiwnął głową i znowu zasiadł do stołu.

Trzej nowo przybyli zasiedli przy stole, a słudzy nie zdawali się wcale zwracać na nich uwagi. Byli to dwaj przemytnicy dobrze uzbrojeni, w kaftanach lekko zarzuconych na ramię, z kapeluszami zapuszczonemi na oczy. Powitali siedzących przy stole jako dawnych i dobrych znajomych, i zostawiwszy najlepsze miejsce przeprowadzanemu, przeżegnali się i zabrali do jedzenia.

Podróżny nie jadł. Odsłoniwszy wysokie czoło, potarł po niém ręką, odgarnął piękne włosy i spojrzał po izbie wokoło.

Przeczytał na murze kilka pobożnych wierszy nakreślonych węglem; zobaczył w rogu obraz Madonny z lampką; z boku kury śpiące na grzędzie; daléj łodygi kukurydzowe zawieszone na sznurkach u pułapu: następnie deskę z dzbankami i flaszkami, przytém skóry i koszyki. Nareszcie pociągnęła roztargniony wzrok jego dziewica stojąca przy ognisku. Ponury jéj profil pięknie i poważnie zarysował się na czerwonawém i ruchomém tle płomienia; zwoje czarnych kędziorów spływały na ramiona; ręce jéj splecione palcami spoczywały na kolanach. a noga lekko dotykała ziemi. Nie mógł odgadnąć jéj wieku, ale po całéj postawie poznał że była panią domu.

— Czy masz wino, gosposiu? — rzekł do niéj. Zaledwie wymówił te słowa, gdy dziewica zerwała się jakby rażona piorunem i opierając się oburącz o kominek, wyprostowała się przy ognisku. W téj saméj chwili i pies nagle się zbudził. Dzikie warczenie wyszło z jego wzburzonéj piersi, i podróżny spostrzegł na raz czworo oczu iskrzących zwróconych ku niemu.

— Czy tu nie można zapytać się o wino? — powtórzył. Lecz zaledwie wymówił ostatni wyraz, gdy pies z niewymowną wściekłością poskoczył ku niemu szczekając, i płaszcz zerwał mu z ramion: byłby się znowu rzucił na niego, gdyby go nie powstrzymał nakazujący głos pani.

— Precz Fuoco, precz! spać! Pies stał na środku izby z siercią najeżoną i nie spuszczał z oczu podróżnego.

— Zamknij go w stajni, Pietro — rzekła półgłosem gospodyni. Sama stała wciąż jak skamieniała na jedném miejscu. i powtórzyła rozkaz, widząc że Pietro się waha; od wielu bowiem lat pies zazwyczaj spał spokojnie przy kominie. Słudzy szeptali coś między sobą. Pies usłuchał z niezadowoleniem, a żałosne jego wycie długo jeszcze słyszéć się dawało na dworze, aż ustało jakby z wysilenia.

Na znak pani, służąca przyniosła wino. Podróżny napił się, podał w koléj flaszkę towarzyszom, i pytał się sam siebie, co mogło być przyczyną zamieszania jakie mimochcąc sprawił.

Słudzy jeden po drugim położyli łyżki i powychodzili mówiąc:

— Dobranoc, padrona. Pozostał tylko podróżny z dwoma towarzyszami, gospodyni i stara sługa.

— Słońce wschodzi o godzinie czwartéj, rzekł półgłosem jeden z przemytników do podróżnego, i *eccellenza* nie potrzebuje wcześniéj się ruszać, ażeby przybyć na czas do Pistoi, témbardziéj że i koń musi najmniéj sześć godzin wypocząć.

— Dobrze moi kochani; idźcie spać.

— Obudzimy jaśnie pana.

— Dobrze, — chociaż Bóg mi świadkiem, że rzadko sypiam sześć godzin z rzędu. Dobranoc Carlone; dobranoc Giuseppe.

Dwaj ludzie wstali i pokłonili się nizko. Jeden z nich zbliżył się do ogniska i rzekł: — Padrona, Costanza z Bolonii kazał

wam się kłaniać, i zapytać czy czasem nie u was swój nóż pozostawił?

— Nie—odpowiedziała tonem suchym i niecierpliwym.

— Ja mu też tak mówiłem, że bylibyście mu go odesłali, a przytém.....

— Nino, zawołała dziewica przerywając mu, pokaż im drogę do ich izby, bo widzę że jéj zapomnieli. Służąca wstała.

— Chciałem wam tylko jeszcze powiedziéć, padrona—mówił daléj człowiek, z najzimniejszą krwią i przymrużając oko, że ten pan nie pytałby zapewne o cenę, gdybyś chciała mu nocleg przyjemniejszym uczynić jak nam biedakom. Tyle tylko chciałem powiedziéć, padrona; a teraz niechaj wam Madonna użyczy dobrego snu, panno Fenice.

Odwrócił się do towarzysza; obadwaj schylili się przed obrazem umieszczonym w rogu, przeżegnali się i wyszli razem ze służącą.

— Dobranoc, Nino—zawoła młoda gospodyni. Stara odwróciła się jeszcze na progu, jak gdyby dla jakiego zapytania, i wyszła śpiesznie, drzwi za sobą zamykając.

Gdy pozostali sami, Fenice nagle porwała mleczną lampę z kominka, i czémprędzéj ją zapaliła. Ogień w kominie powoli dogasał, a ognisko lampy oświecało bardzo małą część izby. Ciemność zdawała się usypiać podróżnego, ten bowiem siedząc przy stole, oparł głowę na rękach, okrył się płaszczem, jak gdyby chciał w ten sposób całą noc przepędzić. Wtém usłyszał imię swoje i podniósł głowę. Lampa gorzała przed nim na stole, a naprzeciwko niego stałą młoda gospodyni zowiąc go po imieniu. Jéj wzrok potężny spotkał się z jego oczyma.

— Filipie—rzekła—czy ty mnie nie poznajesz?

Podróżny pątrzył przez kilka chwil badawczo w tę piękną twarz, na któréj malowała się trwoga spowodowana oczekiwaniem odpowiedzi, jaka dziewica usłyszéć miała. Postać ta jednak zasługiwała na to aby była poznaną. Surowość czoła łagodziły długie rzęsy zwolna wznoszące się i opadające. Jéj różane usta miały barwę i połysk młodości; jednak gdy je zamknęła, na ustach tych odbijał wyraz surowéj, bolesnej i niemal dzikiéj rezygnacyi, wyraz, któremu wtórzyły i oczy. Dziewica oparła się o stół, i podróżny poraz pierwszy dopiéro zauważyć mógł surowy wdzięk jéj postaci, mianowicie ramion i szyi. Po krótkim jednak namyśle odpowiedział:

— Istotnie, ja cię nie poznaję, gosposiu.

— To niepodobna—odrzekła dziewica tonem mocnego przekonania. Jednak przez lat siedem miałeś dosyć czasu przypomniéć sobie o mnie. Długi to przeciąg! Obraz mój miał czas się utrwalić.

Na te dziwne słowa podróżny zdawał się rozwikływać myśli które obciążały mu głowę:

— Tak, miła gosposiu! zapewne; ktoby siedem lat zużył na przypominanie sobie głowy pięknéj dziewczyny, ten musiałby się jéj nauczyć na pamięć.

— Właśnie téż, odparła dziewica z zamyśleniem, tak pan mówiłeś wtedy: że nie będziesz mógł o niczém innem myśléć.

— Jakto? przed siedmią laty? Widać że wtedy jeszcze lubiłem żartować. I czyż ty w to wierzyłaś na prawdę?

Ona skinęła głową trzy razy z miną bardzo poważną

— A czemużem to ja nie miała wierzyć? Doświadczyłam na sobie saméj, że pan miałeś słuszność.

— Dziecię moje — odrzekł podróżny z dobrocią która doskonale harmonizowała z jego wydatnemi rysami, mocno tego żałuję. Przed siedmią laty, jam jeszcze sądził że wszystkie kobiety wiedzą o tém dobrze, iż miłosne słówka mężczyzn mają mniéj więcéj wartość tych liczmanów, które przy sposobności zmienia ktoś na dobrą monetę, jeśli się da. O! czegoż ja pod ten czas nie myślałem o was wszystkich, kobiety! Teraz mówiąc prawdę, myślę o was rzadko. Kochane dziecię! teraz człowiek ma w głowie tyle ważniejszych myśli!

Zamilkła, jak gdyby nie rozumiała, i jak gdyby oczekiwała na to, co się będzie wprost odnosić do niéj.

— Coś mi się rzeczywiście przypomina—mówił daléj po chwili namysłu—żem już raz kiedyś zwiedzał tę część Apeninów. Gdyby nie mgła, poznałbym może i tę wioskę i ten dom. Tak, tak, w saméj rzeczy, siedem lat temu, lekarz wysłał mnie w wasze góry, których strome ścieżki przebiegałem jak młody szaleniec.

— A! byłam tego pewną!—zawołała. i serdeczny promyk radości mignął błyskawicą po jéj ustach;—byłam pewną że pan nie mogłeś o tém zapomniéć; nawet stary pies Fuoco nie zapomniał swojéj dawnéj do pana nienawiści; ani ja.... mojéj miłości nie zapomniałam.

Wszystko to wypowiedziane było z taką powagą i z taką zarazem pogodą, że podróżny patrzył na nią z coraz większém zdziwieniem.

— A teraz, przypominam sobie także i dziewczynkę, którą spotkałem raz na szczycie Apeninów, i która zaprowadziła mnie do swoich rodziców. Gdyby nie ona, byłbym musiał noc przepędzić na skałach. Wiem także, iż ona mi się podobała.

— O! i bardzo—przerwała dziewica.

— Ale ja jéj się nie podobałem. Miałem z nią długą rozmowę, do któréj ona nie wtrąciła ani dziesięciu słów. A kiedy nareszcie zamierzałem obudzić ją złożeniem pocałunku na jéj posępnych i uśpionych ustach, to widzę dziś jeszcze jak rzuciła się w bok, porwawszy kamień w każdą rękę. tak że musiałem dobrze się wywijać ażeby nie zostać ukamienowanym. Jeżeli ty jesteś tą dziewczynką, to jakże możesz mi mówić o swojéj miłości?

— Miałam lat piętnaście—Filipie—byłam bardzo wstydliwą, a nie umiałam mówić. Byłam zawsze tak dumną, tak samotną! a przytem bałam się rodziców, którzy jeszcze żyli. Ojciec mój posiadał liczną trzodę; trzymał tę gospodę, i miał mnóstwo pasterzy. Potem, nie zaszło zmian wiele; tylko nie widać już go, jak pracuje i łaje.... Oby go Pan przyjął do królestwa swego! Najwięcéj jednak obawiałam się matki. Czy pamiętasz pan? Siedziałeś na tém samém miejscu gdzie dziś, i chwaliłeś nasze wino z Pistoi. Nie wiele słyszałam coś mówił, bo matka spojrzała na mnie bystro; wtedy wyszłam i stanęłam za oknem, aby ci się przyglądać z całą swobodą. Byłeś pan zapewne młodszy, ale nie piękniejszy jak dziś. Masz jeszcze też same oczy któremi zjednywasz serca kiedy chcesz, i ten sam głos poważny, na dźwięk którego pies, to biedne zwierzę, szaleje z zazdrości! Do owego czasu jego tylko kochałam; poczuł on wkrótce żem ciebie pokochała więcéj; poczuł on to mocniéj niż ty.

— To prawda—odrzekł—téj nocy był on jak szalony. Dziwnaż to noc! Tyś mnie oczarowała—Fenice—i przypominam sobie żem nie mógł znaleźć spoczynku: niemogąc się ciebie doczekać, wyszedłem aby cię poszukać. Widzę jeszcze białą chusteczkę którą obwiązałaś głowę, potem nic już nie widziałem. Skryłaś się w izbie przytykającéj do stajni.

— To była moja sypialnia—Filipie;—wejść tam nie mogłeś.

— Ale chciałem. Jakże tam długo stałem, stukając, błagając, sądząc, że mi głowa pęknie jeżeli cię raz jeszcze nie zobaczę.

— Nie głowa—mówiłeś wtedy—ale serce; pamiętam dobrze wszystkie wyrazy, wszystkie!

— A jednak wtedy nie chciałaś ich słuchać!

— Zdawało mi się że umrę. Schowałam się w najodleglejszy kącik, a chciałabym była mieć odwagę zbliżyć się pocichu aż do drzwi, aby przycisnąć usta do szczeliny i twojém oddychać tchnieniem.

— O szalona i kochająca młodości! Gdyby matka nie była nadeszła, zdaje mi się że byłbym nie odstąpił, a ty musiałabyś mi otworzyć. Dzisiaj wstyd mi prawie, że odszedłem pełen gniewu i wściekłości; a w nocy długo śniło mi się o tobie.

— Ja zaś siedziałam w ciemności, czuwając. Nad ranem usnęłam. Zbudziwszy się nagle, ujrzałam słońce, ale..... z tobą co się stało. Nikt mi nie powiedział, a ja pytać nie śmiałam. Gniewałam się na wszystkich ludzi, jak gdyby cię zabili dlatego, żebym cię już nie zobaczyła. Wyszłam jakem stała; pobiegłam w góry, przywołując cię głośnym częstokroć okrzykiem, i przeklinałam cię potém, gdyż przez ciebie nikogo już kochać nie mogłam. Nareszcie spostrzegłam że jestem sama w dolinie; strach mnie ogarnął i pobiegłam z powrotem. Dwa dni bawiłam za domem; ojciec mnie wybił, matka nie rzekła do mnie ani słowa. Wiedzieli oni dobrze, dlaczegom uciekła z domu. Ze mną był tylko pies

mój Fuoco, i ten, gdym wywoływała imie twoje, odpowiadał mi wyciem.

Nastąpiło milczenie i rozmawiający spojrzeli sobie w oczy; poczem Filip zapytał:

— Dawnoż pomarli twoi rodzice?

— Trzy lata temu. Oboje umarli w jednym tygodniu. Niech spoczywają w Bogu! Po ich śmierci udałam się do Florencyi.

— Do Florencyi?

— Tak; powiedziałeś że pochodzisz z Florencyi. Tutejsi przemytnicy wskazali mi kawiarkę przy San-Miniato. Bawiłam u niéj miesiąc, i codzień posyłałam wywiadywać się o ciebie. Wieczorem chodziłam sama na zwiady. Nareszcie dowiedzieliśmy się żeś wyjechał oddawna, a nikt na pewno nie wiedział dokąd.

Filip powstał i zaczął szerokiemi krokami chodzić po izbie. Zwrócona ku niemu Fenice ścigała go oczami, nie zdając się jednak podzielać jego wzruszenia. Nareszcie zatrzymał się, i popatrzywszy na nią przez chwilę, zapytał:

— Dlaczego zwierzasz mi się z tém wszystkiém — dziecię moje?

— Przez siedem lat zbierałam na to odwagę. Ach! gdybym ci to była wyjawiła wówczas, to nędzne serce moje nie byłoby mnie uczyniło tak nieszczęśliwą! Ale wiedziałam że wrócisz, Filipie; tylko nie sądziłam że tak późno, i to właśnie przyczyniło mi tyle cierpienia. Dzieckiem jestem że tak mówię; co mię obchodzi przeszłość? Jesteś zemną, Filipie, i ja jestem twoją na zawsze, na wieki.

— Kochane dziecię—zaczął Filip głosem łagodnym; potém przestał, powstrzymując to co miał na ustach. Ona nie uczuwała tego, że Filip stał przed nią nieruchomy, milczący, i że wzrok jego utkwiony w ścianę, przechodził po nad jéj głową: mówiła daléj spokojnie, jak gdyby słowa wymawiane przez nią z myślą jéj zrosły się oddawna i jak gdyby tysiąc razy powtarzała sobie: on wróci, a ty powiesz mu to i to.

— Miałam często sposobność wyjścia za mąż, i tu w górach i we Florencyi. Ale ja ciebie tylko chciałam. Gdy mi mężczyzna jaki mówił że mnie kocha, zdawało mi się w téj chwili że słyszę twój głos i twoje owéj nocy słowa, milsze niż wszystko cokolwiek słyszéć można pod słońcem. Teraz mężczyzni nie zaczepiają mnie, choć jestem jeszcze młodą i równie piękną. Jak gdyby wiedzieli że miałeś wkrótce przybyć. Następnie dodała:

— Gdzie ty chcesz teraz mnie zaprowadzić? Może pozostaniesz tutaj? Nie, pobyt tu nie dla ciebie. Od czasu jakem poznała Florencyę, widzę że w górach jest smutno. Sprzedamy dom i trzody; wtedy będę bogatą. Już mi się uprzykrzyła dzikość tych ludzi. We Florencyi nauczyłam się tego, co umieć powinna kobieta miejska. Tam podziwiali łatwość z jaką pojmowałam wszystko. Ale było mi pilno; nie miałam dużo czasu, bo wszystkie

sny moje mówiły mi, że ty tu przyjdziesz po mnie. Byłam także i u wróżki, a i ta przepowiedziała mi to co się stało.

— A gdybym ja téż był już żonatym?

Spojrzała na niego oczyma pełnemi zdziwienia. „Chcesz mię doświadczyć, Filipie: nie jesteś żonatym. Wróżka i to mi także powiedziała; tylko nie mogła zgadnąć gdzie mieszkasz.

— Powiedziała prawdę, Fenice; nie jestem żonaty. Ale wieceż wy, ty i ona, czy ja chcę się ożenić?

— Jakżebyś ty mógł mnie niechcieć?—zapytała Fenice z niewzruszoną ufnością.

— Siadaj przy mnie, Fenice! mam ci wiele do powiedzenia. Podaj mi rękę i przyrzeknij mi, przyjaciółko moja, że mnie rozważnie wysłuchasz do końca!

Fenice nie usłuchała go, i on zatrzymał się chwilę. Potém patrząc na nią wzrokiem smutnym, mówił daléj z biciem serca; Fenice tymczasem to zamykała oczy, to wlepiała je w ziemię, jakoby przed widmem śmierci.

— Przed niejakim czasem zmuszony byłem uciekać z Florencyi. Było to w czasie zawichrzeń jakie tam panowały. Jestem adwokatem, znam mnóstwo osób, piszę i odbieram wiele co rok listów; obok tego byłem niepodległy i nie ukrywałem się z mojem zdaniem, kiedy trzeba je było wypowiedzieć. Nienawidzono mnie, chociażem nigdy mięszać się niechciał do żadnych tajemnych czynności. W końcu musiałem opuścić tę krainę, aby uniknąć prześladowań. Udałem się do Bolonii, gdzie pracowałem dużo, żyłem w odosobnieniu, mało kogo widując, a kobiet jak najmniéj; bo w tym młodym szaleńcu któregoś ty serce tak gwałtownie przed siedmiu laty zajęła, została tylko głowa, albo raczéj, tylko serce, toż samo serce, które gotowe pęknąć, jeżeli nie może czegoś przełamać; a dziś nie chodzi już o zamek od pokoju młodéj dziewicy. Wiadomo ci może iż w Bolonii także ostatniemi czasy były rozruchy. Oskarżano ludzi najzacniejszych; pomiędzy nimi był jeden którego postępowanie znałem od lat wielu. Wytoczono mu proces; ja jako przyjaciel przyjąłem jego obronę w sądzie, wygrałem sprawę i ocaliłem mu wolność. Zaledwie dowiedziano się o tém, raz na ulicy jakiś nędznik z przeciwnego stronnictwa potrącił mnie i osypał obelgami. Aby się od niego odczepić, zmuszony byłem uderzyć go w piersi, bo był pijany i nie zasługiwał na odpowiedź. Wszedłem do kawiarni; natychmiast przybył tam ze mną krewny tego człowieka; ten był trzeźwy, ale pijany gniewem i nienawiścią: żądał odemnie sprawy z tego, żem jako człowiek bez czci, na słowa odpowiadał pięścią i nie postąpił według praw honoru. Odpowiadałem z największém na jakie zdobyć się mogłem umiarkowaniem, bom widział, że ich zaczepki zmierzają do tego, abym ja wyzwał którego z nich na pojedynek, i tym sposobem dał im w rękę bicz przeciwko sobie. Ale słowo szło za słowem i nareszcie nieprzyjaciele moi postawili na swojem. Przeciwnik mój utrzymywał, że sprawa ma się odbyć w Toskanii dla uniknienia poszlaki. Zgo-

dziłem się na to i onegdaj zażądałem paszportu, którego mi odmówiono, powiedziano tylko, że to z rozkazu władzy wyższéj. Widziałem jasno, że chciano albo narazić mię na hańbę jako unikającego pojedynku, albo téż zmusić mnie do przejścia granicy bez upoważnienia, co wprowadziłoby mnie w proces bez końca.

— O nikczemni! bezbożni! zawołała dziewica ściskając pięście.

— Nic mi nie pozostawało jak tylko powierzyć się przemytnikom z Porretta. Ci przyrzekli mi że jutro jeszcze i to wcześnie z rana staniemy w Pistoi. Pojedynek odbyć się ma po południu, w ogrodzie po za miastem.

Na te słowa Fenice żywo uścisnęła obie jego ręce w swojéj. Nie chodź tam Filipie, oni chcą cię zabić.

— Zapewne, moje dziecko, tego to oni pragną, nic więcéj Ale zkąd wiesz o tém?

— Czuję to, tu i tu, rzekła kładąc palec na czole i sercu.

— To ty jesteś także wróżką? odparł podróżny z uśmiechem. Tak, moje dziecię, oni chcą mię zabić. Przeciwnik mój jest najwyborniejszym strzelcem z całéj Toskanii. Ten przynajmniéj uczynili mi zaszczyt, że na mnie nasłali nieprzyjaciela potężnego. Ale i ja się nie powstydzę. Kto wie jednak czy wszystko pójdzie uczciwie? Kto wie? Może ty masz jaki czar dla zajrzenia w przyszłość? Ale co to pomoże? Nic się tu nie zmieni.... widzisz więc, że zmuszoną jesteś wyrzec się téj szalonéj miłości. Może téż to wszystko musiało tak się ułożyć, abym ja, nim opuszczę świat, wrócił ci swobodę serca, biednę moje dziecię. Możebyśmy téż się późniéj z sobą nie zgadzali. Ty dochowywałaś wierności innemu Filipowi, który był trzpiotem i lekkoduchem, a nie miał innych trosk nad te, co płyną z rozkapryszonego serca. Na cóż ci się przydał marzyciel samotnik?

Te ostatnie słowa wymówił częścią dla siebie, częścią dla niéj chodząc po gospodzie; potém zbliżył się aby wziąść ją za rękę, ale przeraził się wyrazu jéj twarzy. Cała słodycz jéj rysów znikła, zbladł karmin jéj ust. „Ty nie kochasz mnie,” rzekła zwolna i prawie bez głosu, jak gdyby ktoś inny przemawiał przez nią a ona go tylko słuchała. Odepchnęła jego rękę. wydając okrzyk, który omal nie zagasił płomienia lampy, a okrzykowi temu zawtórzyło z zewnątrz grobowe wycie starego psa.

— Nie, nie, ty mnie nie kochasz! krzyknęła nieprzytomnie. Jak ty możesz rzucać się raczéj w śmierci objęcia, niż w moje? Jak możesz po siedmiu leciech powracać do mnie po to tylko aby mnie pożegnać? Jak możesz tak spokojnie rozprawiać o swéj śmierci, jak gdyby ona nie była i moją zarazem? Czemuż się raczéj nie zawarły me oczy, nimem cię tu zobaczyła; czemuż nie zagłuchły uszy moje wprzód nim usłyszałam ten głos, który jest mojém życiem i śmiercią! Czemuż nie poszarpał mnie pies wprzód nimem się dowiedziała że ty przyjdziesz tu poszarpać mi serce! Czemuż

twa noga nie pośliznęła się na skraju przepaści? Przebóg! przebóg! widzisz mą boleść, Najświętsza Panno!

Rzuciła się na ziemię przed obrazem, z rękami wyciągniętemi; czoło jéj dotykało ziemi: zdawała się pogrążoną w modlitwie. On słyszał z zewnątrz skomplenie psa; w izbie, głuchy szept nieszczęsnéj dziewicy. Księżyc, wznosząc się coraz wyżéj, oświecał gospodę. Ale nim zdołał się upamiętać i wymówić słowo, uczuł jéj ręce owijające się około swych ramion, twarz dotykającą szyi, a gorące łzy jéj spływały po jego obliczu.

— Nie chodź na śmierć Filipie, zawołała dziewica łkając. Jeżeli zostaniesz przy mnie, kto cię wynaleźć zdoła? Niech sobie oni gadają co chcą, ci zbójcy, ci zdrajcy nikczemni, gorsi od wilków apenińskich! Tak! ty zostaniesz! rzekła,—a spojrzenie jéj błyszczało w rosie łez.--Madonna wróciła mi ciebie, abym cię ocaliła. Mój Filipie, zapomniałam już tych niedobrych słów, którém do ciebie wyrzekła, ale czuję ich zgrozę po tym śmiertelnym dreszczu co mi ścisnął serce i z niego je wyrzucił. Przebacz mi! O bo też to jest piekło, pomyśleć że miłości można zapomnieć, a wierność rzucić pod nogi. Pójdź, usiądźmy, aby się namyśleć. Chcesz mieć inny dom? wybudujemy inny. Chcesz inne mieć sługi? odprawimy te, nawet Ninę i psa. Obawiasz się aby cię nie wydali? to oddalimy się, dziś nawet, w téj chwili; ja znam wszystkie ścieżki, i przed wschodem słońca będziemy już daleko ztąd, ku północy, w wąwozach skał, i pójdziemy precz aż do Genui, do Wenecyi, gdzie zechcesz!

— Zatrzymaj się! zawołał poważnie Filip; dosyć tego szału! Nie myśl abyś mogła zostać moją żoną, Fenice. Jeżeli oni nie zabiją mnie jutro, to późniéj niebawem, bo czuję że jestem im na drodze.—Więc ostrożnie, ale ze stanowczością wysunął szyję ze słodkich objęć. „Widzisz, moje dziecię, to wszystko samo przez się już jest dosyć smutne; pocóż ten stan pogorszać jeszcze brakiem rozsądku. Późniéj, być może, jak usłyszysz o mojéj śmierci, będziesz wdzięczną za to, patrząc na swego męża i dzieci. że zmarły miał téj nocy więcéj zastanowienia niż ty, chociaż pierwszy raz było odwrotnie. Pozwól mi odejść na spoczynek, i sama też spocznij, a staraj się abyśmy się jutro rano z sobą nie widzieli. Twoja cześć nieskażoną jest: przemytnicy mówili mi to na drodze. Gdybyśmy się dziś wieczór ucałowali, jutro byłaby scena, nieprawdaż, moje dziecię. A teraz bądź zdrowa! Dobra noc, Fenice!"

Jeszcze raz z czułością podał jéj rękę, ale ona jéj nie przyjęła. Widział jéj bladość przy świetle księżyca, z brwią namarszczoną, ze spuszczonemi powiekami, co czyniło ją bardziéj jeszcze ponurą.

— Czyżem niedosyć odpokutowała za to, żem była za rozsądną owéj przedsiedmioletniéj nocy? rzekła półgłosem. A teraz on chce aby ten rozsądek, stokroć przeklęty, znowu mnie skazał na nędzę, i to już wiekuistą! Nie, nie, nie! już ja go nie puszczę: nie

śmiałabym nikomu ze wstydu w oczy spojrzeć, gdybym go puściła na śmierć!

— Nie słyszyszże, iż ja chcę spać, i to sam? przerwał żywo adwokat. Pocóż ty pogorszasz jeszcze stan twojéj duszy? Jeżeli nie czujesz, że cześć moja zmusza mnie abym poszedł, toś ty przez to samo już na żonę moją nie stworzona. Czyż to ja jestem lalką którą bierzesz na kolana aby się z nią pieścić i bawić? Droga moja wytknięta; za ciasna ona na dwoje. Wskaż mi oto skórę na któréj mam noc przepędzić, a potém... zapomnijmy o sobie.

— Nie, choćbyś mnie bił, by mnie odpędzić, ja nie pójdę! Gdyby śmierć nawet stanęła między nami, jabym wydarła jéj zdobycz siłą mojego ramienia. Na śmierć i życie ty jesteś moim, Filipie!

— Dosyć, zawołał, a krew mu z gniewu na twarz wybiegła, kiedy oburącz odpychał czepiającą się go dziewicę; dosyć! i niechaj temu będzie koniec na dziś i na zawsze. Czyż ja jestem rzecz, którąby każdy kto chce brał sobie według upodobania, według fantazyi? Człowiekiem jestem, i temu się tylko oddam, kto mnie mieć powinien. Jeżeliś dla mnie wzdychała przez lat siedm, czyż przez to nabyłaś prawa odzierać mnie ze czci w ósmym? Jeżeli chciałaś mnie ująć, zły wybrałaś środek. Przed siedmiu laty pokochałem cię, bo byłaś inną jak dzisiaj. Gdybyś była wtedy rzuciła mi się na szyję aby gwałtem zdobyć moje serce, byłbym wolę mą i wtedy stawił przeciw woli twojéj, tak jak dziś. Teraz wszystko między nami skończone; czuję, że litość która chwilę powstała w mém sercu, nie była miłością. Poraz ostatni pytam, gdzie mam tę noc przepędzić?

Wszystko to wypowiedział on tonem cierpkim i rozkazującym, a gdy zamilkł, sam przeląkł się dźwięku swego głosu Nic dodał jednak ani słowa, dziwiąc się nieoczekiwanemu spokojowi z jakim ona wysłuchała tego wszystkiego. Chciałby był kilku dobremi słowy złagodzić przykrość jaką jéj wyrządził; ale ona obojętnie przeszła koło niego, i otwierając drzwi boczne, wskazała mu zasuwkę od nich i milcząca wróciła przed ognisko.

On wszedł i zamknął drzwi za sobą, ale pozostał chwilę przy nich podsłuchując co ona czynić będzie. Nic nie poruszyło się w gospodzie; spokojność domu zakłócała tylko niecierpliwość psa, deptanie konia po stajni, i poświst wiatru, który rozpędzał ostatnie tumany mgły. Księżyc świecił na niebie w całéj wspaniałości, a kiedy Filip wyjął wianek wrzosu zatykający otwór, co zastępował miejsce okna, rozjaśniła się cała izba. Przekonał się wtedy, że to musiał być pokój Fenicyi. Przy ścianie stało łóżko czyste i wązkie; obok kredens otwarty, stolik i krzesło drewniane. Sciana okryta była obrazkami świętych; przy drzwiach przybity krucyfix i kropielnica.

Usiadł na łóżku i poczuł burzę wrzącą w sercu. Niejednokrotnie wstawał ażeby pobiedz ku niéj i powiedzieć, że jeżeli wyrządził jéj tyle przykrości to tylko dlatego, aby ją uleczyć. „Je-

dyny ten środek pozostał mi dla zmniejszenia ciężaru błędu i przekleństwa. Siedm lat!... biédneż to dziecię!" Szeroki grzebień ozdobiony kawałkami metalu leżał na stole, machinalnie wziął on go w ręce. Wtedy przyszły mu na myśl bogate warkocze dziewicy, i dumna szyja po któréj spływały, potém to wzniosłe czoło otoczone kędziorami i lica ogorzałe. Aż rzucił kusiciela w skrzynię, w któréj widział kilka sukienek, chustek i pierścionków. Cicho spuścił wieko od skrzyni i spojrzał przez otwór na zewnątrz.

Pokój ten wystawał poza dom i żadna inna chata w Treppi nie zasłaniała mu widoku poszarpanych skał. Naprzeciwko, poza wąwozem, wznosił się grzbiet skały oświeconéj światłem księżyca, który w téj chwili znajdować się musiał ponad domem. Z boku widział kilka stodół, obok których spuszczała się droga. Mała zabłąkana sosenka, z nagiemi gałęźmi, wsunęła się między głazy; wszędy indziéj wrzosy tylko okrywały grunt, gdzieniegdzie tylko zielenił się krzaczek. „Zapewne, rzekł, w tém miejscu nie łatwo zapomnieć o tém co serce pokochało. Chciałbym aby wszystko było inaczéj! Tak, tak; takiéj dla mnie trzeba żony: kochałaby mnie więcéj niż stroje, przechadzki i pochlebstwa błaznów. Jakieżby to na mnie oczy zrobił mój stary Marko, gdyby mnie raptem ujrzał wracającego z piękną kobietą! Nie potrzebaby nawet zmieniać mieszkania; dziwne niezadowolenie jakiego w niém czasami doświadczam, pochodzi ztąd, że ono puste, a mnie, staremu samotnikowi, dobrzeby było posłyszeć czasami śmiech dziecięcia. Głupstwo, głupstwo, Filipie! a cóżby robiła ta młoda dziewica, zostawszy wdową w Bolonii? Nie, nie, nic z tego. Nie stawiajmy błędu na błędzie. Obudzę przewodników godziną wcześniéj i ucieknę nim się ktokolwiek obudzi."

W chwili kiedy miał odejść od otworu aby rozciągnąć na łóżku członki znużone długą jazdą konną, ujrzał wychodzącą z cienia rzuconego przez dom i rysującą się na świetle księżycowém postać kobiety. Nie odwróciła się, ale on nie mógł wątpić że to Fenice. Długim ale regularnym krokiem oddalała się ona od domu, kierując się ku wąwozowi. Dreszcz go przeszedł po całém ciele na myśl, że ona może sobie zaszkodzić. Bez namysłu pobiegł do drzwi aby odemknąć zasuwkę, ale zdawało się, że stary zardzewiały kruszec przyrosł do futryny, i wszystkie jego wysilenia były daremne. Krzyczał wstrząsając drzwiami z pomocą kolan i pięści, nic nie pomagało. Odszedł i przybiegł do okienka. Już jedna z cegieł muru ustępowała pod jego ręką, gdy wtém spostrzegł wysoką postać dziewicy wracającéj tą samą drogą. Niosła ona w ręku coś, czego nie mógł rozpoznać przy bladém świetle; widział tylko jéj twarz, surową i zamyśloną, ale beznamiętną. Nie rzuciła ani raz okiem ku oknu i znikła w cieniu.

Stał jeszcze, oddychając całemi płucami aby przyjść do siebie po wysileniach i wzruszeniu, kiedy usłyszał starego psa warczenie. Nie było to jednak ani ujadanie ani wycie.

Zagadka ta coraz bardziéj była dlań niewytłumaczoną. Wychylił ile mógł głowę poza otwór, ale widział tylko noc nieruchomie zstępującą na górę. Nagle krótki a mocny jęk, a po nim rozdzierająca skarga starego Fuoco doszły do jego uszu: potém pomimo nasłuchiwań nic słyszał już nic, tylko szelest drzwi i kroki Fenicyi na kamiennych płytach. Daremnie stał długi czas przy drzwiach, zrazu dla podsłuchu, potém zaklinając Fenicyę aby mu choć słówko powiedziała: cały dom milczał. Rzucił się na łóżko jak w gorączce, czuwając i marząc, aż nareszcie około pierwszéj po północy, księżyc znikł, a utrudzenie zdrętwiło dręczące myśli Filipa.

Słabe światło wpadało do pokoju, kiedy się obudził; ale gdy całkiem wytrzeźwiał i wstał, przekonał się, że nie była to szara jasność poranna przed wschodem słońca. Promyk słoneczny wciskał się po przez wrzosy które znów zatykały otwór okienny; odepchnął je na zewnątrz i stanął olśniony wielkiém światłem silnego już słońca. Rozgniewany na przewodników, na swój sen, a nadewszystko na dziewicę, któréj przypisywał ten podstęp, pobiegł do drzwi, których zasuwka ustąpiła natychmiast, i wszedł do gospody.

Fenice siedziała sama jedna przy kominie i zdawała się nań oczekiwać oddawna. Wszelki ślad burzy wczorajszéj zniknął, a w rysach jéj Filip nie mógł odkryć najmniejszego znaku wzburzenia lub smutku.

— Wszystko było tak urządzone, abym przespał naznaczoną godzinę?

— Tak—odpowiedziała obojętnie. Byłeś znużony, a przybędziesz zawsze na czas do Pistoi, skoro dopiéro po obiedzie masz się spotykać z temi zbójcami.

— Nie prosiłem cię abyś się kłopotała o moje znużenie. Myśliszże wciąż mnie prześladować? To się na nic nie przyda. Gdzie są przewodnicy?

— Odeszli.

— Odeszli! Żartujesz sobie ze mnie? Gdzie oni są? Jakim sposobem odeszli nie otrzymawszy zapłaty?

I postąpił krokiem ku drzwiom, jak gdyby chciał wyjść.

Fenice odpowiedziała z równą obojętnością:

— Zapłaciłam im. Powiedziałam że ty potrzebujesz spoczynku i że ja sama podprowadzę cię pod dolinę. Zapas mój wina wyczerpał się i muszę zakupić nowy, pół mili od Pistoi.

Przez chwilę słowa nie mógł z gniewu wymówić.

— Nie—zawołał nareszcie—nie pójdę z tobą! Nigdy z tobą, chytra żmijo, co chcesz mnie ustawicznie ująć w swe zwoje! Śmieszna pretensya! Jesteśmy dziś od siebie daléj niż kiedykolwiek. Pogardzam tobą, skoro masz mnie za tak głupiego, że spodziewasz się ująć mnie podobnemi wybiegami. Nie pójdę z tobą. Daj mi parobka, i weź sobie to coś zapłaciła przemytnikom.

Rzucił jéj sakiewkę i otworzył drzwi aby poszukać kogoś coby go przeprowadził.

— Nie trudź się daremnie—rzekła—nie znajdziesz ani jednego parobka, ani jednéj dziewki. Wszystko to poszło w góry. W Treppi nie pozostał nikt coby ci się przydał. Same stare baby, starcy złamani i dzieci które trzeba jeszcze pilnować. Jeżeli mi nie wierzysz, zobacz sam.

A przytem—mówiła daléj, widząc jak stoi na progu wahający i gniewny—cóż to tak niebezpieczne albo niepodobne żebym nie miała pójść z tobą? Miałam dziś sny które dały mi znać, że ja nie jestem dla ciebie. Prawda, że cię jeszcze trochę kocham, i przyjemnieby mi było jeszcze kilka godzin z tobą porozmawiać. Ale mamże przez to stawiać na ciebie zasadzki? Wolno ci mnie opuścić i iść gdzie ci się podoba, na śmierć czy życie. Tylko urządziłam się tak, aby pójść kawałek drogi obok ciebie. Mogę ci przysiądz, jeśli cię to uspokoi, że nie będziemy iść długo razem; nie do Pistoi, za nic w świecie! Tylko dopóty aż wyjdziesz na dobrą drogę. Bo jeżeli pójdziesz sam, zabłądzisz tak, że nie będziesz mógł się ruszyć ani wstecz ani naprzód. Musisz wiedziéć o tém, skoro już raz byłeś w naszych górach.

— Do tysiąc diabłów!—szepnął przygryzając sobie usta.

Słońce tymczasem szło coraz wyżéj, i po dobréj rozwadze, czegoż miał się obawiać? Rzeczywistego powodu obawy nie chciał wyznać przed sobą. Odwrócił się ku niéj i mógł wyczytać w jéj oczach obojętnych, że słowa jéj żadnego nie zawierały fałszu. Zdawało mu się że ona inna jak wczoraj, zdziwienie nawet jego trąciło nieco niezadowoleniem, gdy powiedziéć sobie musiał, że ten napad bolesnéj namiętności minął tak szybko i bez śladu. Patrzył na nią długo, ale nic nie mogło wzbudzić w nim nieufności.

— Skoroś tak zrozsądniała—rzekł tedy suchym tonem—to zgoda; chodźmy razem!

Bez najmniejszego znaku radości ona wstała i rzekła:

— Trzeba się wprzód posilić, bo nie znajdziemy nic przez kilka godzin.

Postawiła przed nim talerz i dzbanek, i sama posilała się wsparta o kominek, ale wina nie wzięła do ust. On, ażeby prędzéj skończyć, wziął kilka łyżek, wypił dużemi haustami, i zapalił cygaro przy węglach. Przez cały ten czas ani raz na nią nie rzucił okiem, ale kiedy zbliżył się do niéj nareszcie i spojrzał, dostrzegł na jéj twarzy szczególny rumieniec a w oczach wyraz tryumfu. Wstała natychmiast, wzięła dzbanek i rozbiła go na podłodze.

— Nikt nie powinien już pić z niego—rzekła—kiedy go twoje dotykały usta.

Chwilę przeszła mu przez głowę myśl, ażali go nie otruła; ale wołał uwierzyć że to reszta miłosnego szału, i wyszedł z nią z domu.

— Konia zabrali z sobą do Porretta — rzekła widząc że on go oczyma poszukuje; wreszcie nie mógłbyś bez niebezpieczeństwa spuszczać się w dół na koniu, drogi te węższe są niż wczorajsze.

Poszła więc przodem i wkrótce zostawili za sobą chaty treppiańskie: zdawały się one zamarłe; nigdzie dymu z komina, a słońce oblewało je promieniami. Wtedy to po raz pierwszy Filip przypatrzéć się mógł całemu majestatowi téj pustyni nad którą zaokrąglało się jasne i przejrzyste niebo. Droga, którą był słaby zaledwie dojrzany ślad na twardych skałach, kierowała się ku północy, a chwilami przy zniżeniu się równoległych linii gór, na dalekim horyzoncie przezierało morze. Około nich ani śladu wegetacyi, prócz kilku krzaków, oprócz krótkich i suchych traw górskich. Ale wkrótce zstąpili z wyżyn i weszli w parów; tam spostrzegali już świerki, tryskały źródła i słyszeli jak wody ich na dole rozbijały się z hałasem.

Fenice szła naprzód, nogą pewną wybierając najsilniejsze kamienie, nie obracając się, nie przemawiając ani słowa. On nie mógł od niéj oczu oderwać, podziwiał siłę i giętkość jéj członków. Twarz jéj zakryta była długą białą chustką; ale ilekroć mogli iść obok siebie, musiał się przemagać aby od niéj odwrócić oczy, tak go ku niéj pociągał wzniosły charakter jéj rysów. Wtedy dopiero, przy żywém świetle dnia, dostrzegł na jéj twarzy wyraz dziwnie dziecięcy, i nie mógł sobie zdać sprawy na czém on polegał, jak gdyby od siedmiu lat nic się w niéj nie zmieniło, choć się pod wszystkiemi innemi względami rozwinęła.

Pierwszy téż przerwał milczenie, a ona odpowiedziała mu stosownie, bez przymusu. Tylko głos jéj, który zwykle nie odznaczał się dźwiękiem poważnym i twardym, właściwym dziewicom gór, dziś wydawał się monotonny i smutniejszy jeszcze kiedy mówiła o rzeczach najzwyczajniejszych. Droga którą szli była w ostatnich czasach uczęszczana przez zbiegów, którzy po większéj części miewali przystanek w Treppi. Filip wypytywał o tego i owego, kreśląc jéj różne wizerunki: ale ona rzadko którego pamiętała, choć wiedziała że przemytnicy często przyprowadzali ich na nocleg do jéj gospody. Był jednak jeden o którym pozostała jéj pamięć aż nadto. Przy jego opisie krew jéj uderzyła do głowy i zatrzymała się.

— Ten, to jest zły człowiek — rzekła ponurym tonem — zmuszona byłam zbudzić służących w nocy i drzwi przed nim zamknąć.

Rozmawiając nie zauważył adwokat że słońce tymczasem wzbija się coraz wyżéj i że ani śladu rozłóg toskańskich nie było dotąd widać; to téż nie pomyślał bynajmniéj i o tém jak się ten dzień zakończyć ma. Rozkosznaż to rzecz stąpać o pięćdziesiąt stóp nad potokiem, po ścieżce cienistéj, uczuwać chwilami na twarzy wilgotny pyłek unoszący się z wodospadu, widziéć jaszczurki ślizgające się po kamykach, motyle uwijające się wśród promieni słońca; rozkoszne to tak, że nie spostrzegł iż droga

ich zamiast ku zachodowi zwracała się z biegiem strumyka. W głosie jego towarzyszki był urok przy którym zapominał wszystkiego co go zajmowało wczoraj, kiedy szedł z przemytnikami. Ale gdy po wyjściu z parowu, ujrzał przed sobą nową okolicę górską, szczyty idące po sobie jak okiem sięgnąć, suche i spalone, to znów inne parowy dzikie; wtedy wydarł się nagle z tego snu czarownego, stanął i spojrzał w niebo. Poznał wtedy że szli w kierunku zupełnie odwrotnym i że byli najmniéj milę odleglejsi od celu niż przy wyjściu z domu.

— Zaczekaj!—krzyknął—spostrzegłem się szczęściem, że mnie zwodzisz. Toż to jest droga do Pistoi, ty wiarołomna?

— Nie—odpowiedziała bez obawy, ale spuszczając oczy.

— Więc, przez wszystkie moce piekielne, szatani mogliby u ciebie uczyć się udawania. Przeklęte niech będzie moje zaślepienie!

— Człowiek może wszystko, a potężniejszym jest od szatana i anioła kiedy kocha—odrzekła głosem głębokim i smutnym.

— Nie—zawołał w przystępie gniewu—jeszcze się nie ciesz, dumna kobieto; nie, jeszcze nie! Wola mężczyzny nie ulegnie temu, co szalona dziewczyna zwie miłością. Wróć ze mną natychmiast i pokaż mi drogę najkrótszą, albo cię tu własnemi rękami uduszę! Czyż nie rozumiesz, waryatko, że ja muszę znienawidzićć tę, która czyni mnie nędznikiem w obec świata?

Podstąpił ku niéj z zaciśnionemi pięściami....

— Uduś mnie, Filipie—rzekła głosem donośnym ale drżącym. Daléj, Filipie, nie wstrzymuj się! Ale potém, rzucisz się na moje ciało i będziesz krwawe łzy wylewał że mnie nie możesz rozbudzić. Legniesz tu przy mnie, będziesz odpędzał od zwłok moich sępy co mnie zechcą poszarpać; słońce dzienne cię spali, rosa nocna cię zmrozi, aż martwy padniesz przy mym boku, bo teraz ty już mnie nie możesz porzucić. Sądziłżeś że biedna, głupia dziewczyna, zrodzona i wychowana w górach, odrzuci siedem lat jak jeden dzień? Ja wiem co one mnie kosztowały, jak były drogie, i mniemam że nie będzie z twą ujmą gdy cię kupię za tak wysoką cenę. Puścić cię mam na śmierć? A toż byłoby śmieszne. Porzuć mnie tylko, a przekonasz się że cię zmuszę powrócić do siebie na zawsze; bo w tém winie co dziś z rana wypiłeś zadałam ci *urok miłośny*, któremu żaden jeszcze człowiek na ziemi oprzéć się nie mógł.

Miała pozór królowéj wymawiając te słowa z ręką wyciągniętą ku niemu, jak gdyby w dłoni trzymała berło nad głową niewolnika. Ale on odpowiedział suchym śmiechem i rzekł:

— Twój miłosny urok zawiódł cię srodze, bo nigdym cię jeszcze tak nie nienawidził jak w téj chwili; ale byłbym chyba waryatem, żeby nienawidzić waryatkę. Nie zobaczysz mnie już więcéj: oby cię to wyleczyło i z miłości twéj i z szaleństwa. Nie potrzebuję byś mnie prowadziła. Spostrzegam tam, za tą wyrwą, chatę i bydło około niéj... ognie płoną. Tam będą umieli mnie poprowadzić. Bądź zdrowa, biedna żmijo, bądź zdrowa!

Odchodzącemu nic nie odpowiedziała. Usiadła spokojnie w cieniu skały, zatapiając wielkie oczy w ciemnéj zieleni jodeł, wznoszących się nad parowem.

Filip zaledwie odszedłszy od niéj znikł pośród skał i krzewów, bez żadnego śladu drogi, i zmuszony był powiedziéć sobie, że słowa téj dziwnéj dziewicy głębokie na jego sercu uczyniły wrażenie i pomięszały jego myśli. Widział on wciąż jednakże na wyniesieniu, po drugiéj stronie wąwozu, chatkę pasterza i zaczął zstępować z całą determinacyą. Po wysokości słońca miarkował, że musiało być koło dziesiątéj. Zszedłszy na sam poziom wąwozu, znalazł drogę zacienioną i wkrótce potém ujrzał most na innym strumieniu, który obiecywał doprowadzić go aż pod samo wyniesienie. Szedł więc po téj drodze, ale po zakrętach jéj przekonał się niebawem, że go ona prosto do celu nie doprowadzi; zaś w linii prostéj wznosiły się znowu skały nieprzebyte, i musiał albo wracać, albo iść tą drogą daléj. Zrazu szedł prędko jak człowiek uwolniony z więzów, szukając co chwila oczyma chatki, która zdawała się oddalać. Powoli, w miarę jak krew się w nim uspokajała, wszystkie szczegóły ostatniéj sceny występowały przed jego umysł. Widział też piękne oblicze dziewicy, widział je jasno nie przez tuman gniewu. Nie mógł się głębokiéj opędzić litości.

— Ona siedzi tam, biedna dziewczyna, jeszcze rachuje na swoje uroki. Toż to ona dlatego wychodziła z domu po świetle księżyca, by zerwać jakieś niewinne ziółko? Tak, tak; toż i moi poczciwi przemytnicy pokazywali mi w szczelinach skał te szczególne kwiatki o białym kielichu, mówiąc mi, że one są dobre na miłość. Skromna roślinko, co oni prawią o tobie? Nie czemu teżto ona stłukła dzbanek, a wino wydawało mi się gorzkawe. Im starsze dziecięctwo, tém więcéj w niém siły i czci. Stała przedemną jak Sybilla, głęboko prawdziwością słów swoich przejęta, jako ta, co niegdyś w Rzymie księgi swe rzuciła w ogień. Biedneż serce kobiece, ileż twe obłąkania przynoszą ci rozkoszy i niedoli.

Im bardziéj się oddalał, tém więcéj uczuwał jak czułą, jak wzniosłą była miłość dziewicy, jak potężną jéj piękność, która w oddaleniu promieniła jeszcze mocniéj.

— Nie powinienem był karać jéj za to, że w zamiarze ocalenia mnie, chciała abym zapomniał smutnéj powinności. Powinienem był podać jéj rękę i rzec: Kocham cię, Fenice, i jeżeli żyć będę powrócę do ciebie i wezmę cię z sobą... Czym oślepł, czy co, żem tego w głowie swéj nie dopatrzył w porę! To wstyd dla adwokata! Powinienem był pożegnać ją pocałunkiem jak narzeczoną, nie sądziłaby że ją zwodzę. Alem się uniósł i zepsułem wszystko.

Myślał teraz o tém czémby było takie pożegnanie, i czuł jéj oddech, świeżość jéj ust na swoich. Zdawało mu się, że słyszy swe imię. Fenice!... odwtórzył z głębi serca z mocném wzruszeniem. Strumyk szemrał pod jego nogami, liście świerków wisiały nieporuszone: w dali milczenie, cień, samotność.

Już, już imie jéj wciskało się na usta; wstyd zamknął mu je w porę: wstyd razem i trwoga. Uderzył się w czoło: „Już to, zawołał, zaczynam śnić o tobie na jawie? Miałażby ona słuszność, że żaden mężczyzna nie może się oprzéć sile tego uroku? Miałżebym zostać na całe życie niewolnikiem kobiety! Nie! chyba w piekle; piękna djablico, oszukałaś się!"

Oprzytomniał na chwilę, i wtedy zobaczył, że ścieżka prowadziła go w kierunku przeciwnym. Wracać nie mógł bez narażenia się na niebezpieczeństwo, którego chciał uniknąć. Postanowił dostać się bądź co bądź na wyżnię z któréj mógłby znów zobaczyć ową chatę pasterską. Nurt strumienia nad którym postępował, stawał się coraz żywszym, zarzucił więc płaszcz na ramiona i wybrawszy miejsce pewniejsze, jednym skokiem był już na drugiéj stronie wąwozu, którego ściany w tém miejscu zbliżały się ku sobie. Odwaga wróciła mu, wszedł na przeciwną wyżynę i znowu zobaczył słońce nad sobą.

Głowa jego pałała, język zesechł; strach go ogarnął na myśl że po tylu trudach może jeszcze na czas nie zdąży. Krew nabiegała mu coraz bardziéj do mózgu; przeklinał wino które pił przed wyjściem, i mimo woli znów przypomniał sobie kwiaty które mu pokazywano wczoraj. Też same rosły u stóp jego! Dreszcz go ogarnął.

— Gdyby to jednak było prawdą! pomyślał; gdyby téż istniały moce, które zmagając głowę i serce, uchylają wolę mężczyzny przed kaprysem niewiasty! Wszystko raczéj niż takie upokorzenie! Śmierć raczéj niż niewolnictwo! Złudzenie ma moc nad tym tylko, kto mu się poddaje. Bądź mężem, Filipie, idź; oto jest wyżyna; jeszcze jedno wysilenie, a pozostawisz na zawsze za sobą te przeklęte góry razem z ich czarami!

Nic jednak nie mogło uśmierzyć gorączki, która go paliła; każdy głaz, każde miejsce śliskie, każda gałęź jodły, stawały się przeszkodą któréj nie mógł przebyć bez niesłychanych wysileń. Kiedy przybył nareszcie do szczytu czepiając się ostatnich krzaków, krew napływała mu do oczu, a promienie słońca, odbite o gładką skałę, olśniewały go. Potarł czoło z wściekłością, zdjął kapelusz i rękę zanurzył we włosach: ale na ten raz usłyszał imie swe wyraźnie, i z przerażeniem spojrzał w miejsce zkąd go wywoływano. O kilka kroków od niego, na skale, siedziała Fenice, tak jak ją zostawił, patrząc nań z wyrazem szczęścia, spokoju.

— Wracasz nareszcie, Filipie?- rzekła czule; oczekiwałam cię wcześniéj.

— Widmo piekielne!—krzyknął nieprzytomnie, a zgroza i pożądliwość walczyły w jego sercu; drwisz sobie jeszcze ze mnie, kiedy niedość żem się o mało nie zbłąkał w tych górach, jeszcze słońce dopieka mi do mózgu? Tryumfujesz z tego że zmuszony jestem zobaczyć cię jeszcze raz, aby raz cię jeszcze przekląć. Choćem cię znalazł, ale przez Bóg żywy, nie szukałem cię, i ty utracisz mnie znowu!

Ona potrząsła głową z dziwnym uśmiechem.

— On cię popycha mimo twojéj wiedzy,—rzekła. Znajdziesz ty mnie, choćby wszystkie góry na ziemi stanęły między mną i tobą, bom ja do twego wina dodała siedem kropel krwi z serca psiego. Biedny Fuoco! On mnie kochał, a ciebie nienawidził. Toż i ty nienawidzić będziesz dawnego Filipa, tego co mnie odpychał, i nie będziesz miał pokoju, dopóki mnie nie pokochasz. Wyznaj więc, żem cię zwyciężyła, Filipie! Pójdź teraz, zaprowadzę cię do Genui, mój kochanku, mój najmilejszy, mój mężu!

Na te słowa powstała i chciała otoczyć go ramieniem, gdy nagle przeraziła się spojrzawszy nań. Stał się on w téj chwili blady jak śmierć, tylko białka u oczu zaczerwieniły się krwawo, usta drgały nie mogąc wymówić słowa, kapelusz mu wypadł, obie ręce odpychały coś od siebie.

— Pies! pies! były to pierwsze słowa które wyszeptał. Nie! Nie! Nie! nie postawisz na swojém, szatanie! Lepszy człowiek umarły niżeli pies żywy!

Śmiech straszny wykrzywił mu usta; wolno, jakby walcząc za każdym krokiem cofał się chwiejąc, i wpatrując się w dziewicę nieruchomemi oczyma, rzucił się na wstecz w przepaść, którą tylko co przebył z takim trudem.

Noc zapadła na oczy dziewicy. Przycisnęła ręce do serca z okrzykiem, który rozległ się jak krzyk sokoła nad wąwozem, w chwili gdy wysoka jego postać znikła nad brzegiem przepaści. Postąpiła kilka kroków chwiejąc się, potém stanęła silnie i prosto, z rękami wciąż przyciśniętemi do serca. „Najświętsza Panno!"—zawołała, ale bezmyślnie. Wciąż patrząc przed siebie, podeszła spiesznie pod przepaść i spuściła się wzdłuż skalistéj ściany, chwytając się za świerki. Drżące jéj wargi szeptały wyrazy bez związku; jedną ręką przyciskała serce, drugą czepiała się gałęzi i drzew, załomów skał. Tym sposobem doszła aż do podnóża świerków.,.

On leżał tam z oczyma zamkniętemi, czoło jego i włosy zlane były krwią, ciało oparte o drzewo; odzienie było poszarpane, noga zdawała się skaleczoną. Nie mogła zrazu przekonać się czy jeszcze żyje; wzięła go na ręce i dopiero poczuła, że życie jeszcze go nie opuściło. Płaszcz który miał spięty na ramionach, zdaje się osłabił gwałtowność upadku..

— Niech będzie Chrystus Pan błogosławiony!—rzekła oddychając nareszcie. Poczuła w sobie siłę olbrzyma, kiedy poczęła piąć się nad wąwóz, niosąc na ramionach to omdlałe ciało. Droga była długa: czterykroć składała go na mchu, między skałami, a on wciąż nie dawał znaku życia.

Doszedłszy nareszcie do szczytu ze swym nieszczęsnym ciężarem, upadła sama na kolana i pozostała tak kilka chwil w omdleniu; ale wkrótce zerwała się i pobiegła w stronę chatki pasterskiéj: stanąwszy dość blisko wydała jakś okrzyk przyzywający. Zrazu odpowiedziało jéj echo, następnie głos ludzki. Powtórzyła okrzyk i wróciła nie czekając odpowiedzi; przybywszy do omdlałego ciała zaniosła je w cień skały i usiadła przy niém czekając.

Tam on znajdował się jeszcze, kiedy ocknął się i po raz pierwszy otworzył oczy. Spostrzegł przy sobie dwóch pasterzy, starca i chłopca około siedemnastoletniego. Tryskali mu oni na twarz wodą i tarli skronie. Głowa jego spoczywała miękko, nie wiedział że na kolanach Fenicyi.

Zdawało się że zupełnie zapomniał o niéj. Westchnął tak że ją aż przejęło dreszczem od stóp do głów i oczy znowu zamknął. Nareszcie ozwał się przerywanym głosem:

— Moi poczciwi ludzie, niech jeden z was pójdzie do Pistoi, tylko prędko, bo tam na mnie czekają. Miłosierdzie boże nagrodzi temu kto powie oberżyście z *Fortuny* w jakim ja jestem stanie. Nazywam się:.... tu zbrakło mu głosu i znowu wpadł w omdlenie.

— Ja pójdę,—rzekła dziewica. Wy zaś ponieście go zaraz do Treppi, i połóżcie go na łóżku które wam wskaże Nina. Niech ona zaraz zawoła starą Chiarnecię aby go wzięła w opiekę i opatrzyła mu rany. Ty Tomaszu, podnieś go pod ręce, a ty Bippo, weź go za nogi; i tak idzcie wolno, wolniuchno. Jak ruszycie, Tomasz niech pójdzie przodem. Ale! czekajcie. Umaczajcie to w wodzie i połóżcie mu na czoło. I tak maczać będziecie przy każdém źródle. Rozumiecie!

Rozdarła szeroką chustkę płócienną którą miała na głowie, wzięła dużą szmatę, umaczała ją w wodzie i przyłożyła na krwawe skronie Filipa. Ludzie ponieśli go ku Treppi. Dziewica popatrzywszy na nich posępnym wzrokiem puściła się spiesznie po krętych ścieżkach góry...

---

Było już około trzeciej po południu kiedy przybyła do Pistoi. Oberża pod *Fortuną* leżała o paręset kroków od miasta, i w téj popołudniowéj porze była prawie pustą. W cieniu wielkiego wystającego dachu stały odprzężone wozy, woźnice spali na kozłach; w wielkiéj kuźni naprzeciwko robota ustała: żaden podmuch wiatru nie poruszył okrytemi kurzawą liśćmi drzew osłaniających drogę. Wszystko zdawało się spać, oprócz fontanny, któréj woda spadała ze szmerem w duży zbiornik. Fenice zbliżyła się do niéj, obmyła twarz i ręce; potém popijała wolno i długo aby usmierzyć i głód i pragnienie zarazem, poczém weszła do oberży.

Gospodarz półsenny wstał z ławy na któréj spoczywał w sali, ale na widok wchodzącéj dziewicy z gór położył się napowrót.

— Czego chcesz?—zapytał szorstko? jeżeli ci się chce jeść albo pić, idź do kuchni.

— Czyście wy oberżysta?—zapytała spokojnie.

— A któż jeżeli nie ja? Jestem, zda mi się znany Baltazar Pizzi, z *Fortuny*. Co masz do mnie piękna góralko?

— Zlecenie od pana adwokata Filipa Marino.

— Aha! To co innego; i zerwał się natychmiast. A czy jego samego niema, bo tu panowie na niego czekają.

— To zaprowadźcie mnie do nich.

— Ho, ho! jaka skryta! A czy nie można wiedzieć?

— Nie.

— Dobrze, dobrze, moje dziecko: każdy ma swoje tajemnice, tak twoja piękna figlarna główka, jak i stara a twarda czaszka Baltazara. Ho, ho! więc on nie przybywa? będzie to bardzo niemiło tym panom; oni zdaje się, mają z nim ważne interesa.

Zamilkł, patrząc z boku na dziewicę i mrugając okiem; ale gdy ta najmniéj wydawała się usposobioną do zwierzeń i już otwierała drzwi, wziął kapelusz słomiany i wyszedł z nią potrząsając głową.

Przeszli przez maleńką winnicę w tyle dziedzińca, a stary nie zaprzestał ani wykrzykników ani zapytań, na które dziewica nie odpowiadała ani słowa. W końcu głównéj alei stała niewielka altana z przymkniętemi okiennicami, a szklanne drzwi zawieszone były gęstą firanką. Na kilka kroków odległości oberżysta kazał zatrzymać się dziewicy i podszedł sam podedrzwi, ktore za zastukaniem otworzyły się. Dziewica uważała, że rozsunięto firankę i spoglądano na nią. Potém stary wyszedł i rzekł jéj, że ci panowie chcą z nią mówić.

Kiedy weszła, człowiek siedzący naprzeciw drzwi wstał i spojrzał na nią wzrokiem bystrym, badawczym. Dwaj inni pozostali na krzesłach. Na stole stała butelka i szklanki.

— Pan adwokat nie przybył jak obiecywał,—rzekł ten przed którym stała. Kto ty jesteś i jaki masz dowód że przychodzisz od niego?

— Ja jestem z Treppi, nazywam się Fenice Castaneo: dowodów nie mam żadnych prócz mojéj szczerości.

— Czemuż to pan adwokat nie stawia się? Mieliśmy go za człowieka honorowego.

— Niezawodnie tak jest; ale on ześliznął się ze skały i skaleczył głowę i nogę, tak że stracił przytomność.

Zapytujący spojrzał się po obecnych i mówił daléj:

— Mówisz istotnie prawdę, Fenice, bo nie umiesz dobrze kłamać. Jeśli stracił przytomność, jakim sposobem mógł ci dać do nas zlecenie?

— Na chwilę odzyskał mowę; powiedział że go oczekują w *Fortunie* i że trzeba tam dać znać o tém co go spotkało.

Jeden z obecnych rozśmiał się sucho.

— Widzisz,—mówił daléj pytający, że i ci panowie nie wierzą twojéj powieści. Łatwiéj to podobno udawać poetę niż człowieka honorowego.

— Jeżeli to ma znaczyć, że pan Filip nie przybył ze strachu, jest to najnikczemniejszém kłamstwem, za które bodaj was Pan Bóg skarał,—odezwała się z energią, spoglądając kolejno na wszystkich trzech mężczyzn.

— Zapalasz się dziewczyno,—rzekł ów ironicznie. Jesteś zapewne dobrą przyjaciołką pana adwokata, i...

— Nie! wié o têm Madonna,—odparła z głębi piersi..

Mężczyzni rozmawiali po cichu, i posłyszała jak jeden z nich odezwał się: „Gniazdo jest jeszcze w Toskanii. Sądzę, że nie dacie się wziąć w pułapkę," rzekł trzeci: „on tak samo jest w Treppi, jak...

— To pójdźcie i zobaczcie go,—rzekła Fenice przerywając szepty; ale jeżeli mam was tam zaprowadzić, to pójdziecie bez broni.

— A cóż to, mała trzpiotko, myślisz, że my godziliśmy na życie takiej ładnéj istoty, jak ty?

— Nie na moje, ale na jego życie: wiem o têm.

— Czy stawiasz jeszcze jakie inne warunki, Fenice Castaneo?

— Tak jest; abyście wzięli z sobą chirurga. Może macie go z sobą? Nie otrzymała odpowiedzi i trzej ludzie zbliżyli głowy. „Kiedyśmy przybyli był on na progu bramy: musiał jeszcze nie powrócić do miasta," rzekł jeden z nich wychodząc z altany. Wrócił po chwili z czwartym, któremu towarzystwo zdawało się nieznajome.

— Będziesz pan łaskaw pójść z nami aż do Treppi,—rzekł ten który zwyczajnie zabierał głos, w drodze dowiesz się pan o co chodzi.

Tamten skłonił się w milczeniu i wszyscy wyszli z altany. Przechodząc koło kuchni, Fenice kazała dać sobie kawałek chleba i puściła się przodem drogą do Treppi. W drodze nie zwracała najmniejszéj uwagi na swoich towarzyszów którzy żywo rozmawiali z sobą, ale spieszyła się jak mogła i ci nieraz musieli ją przywoływać aby jéj z oczu nie stracić. Wtedy zatrzymywała się i z ręką na sercu rzucała naokoło wzrokiem zrozpaczonym. Wieczór zapadł kiedy wydostali się na górę.

Treppi nie zdawało się więcéj ożywionêm jak zwykle. Kilka tylko ciekawych główek dziecięcych ukazało się w oknach, kilka kobiet stanęło u wrót, kiedy Fenice przechodziła z towarzyszami: Nie rozmawiała z nikim i ręką oddając ukłon sąsiadom zbliżyła się do domu. Tam rozmawiała gromadka ludzi, słudzy krzątali się około objuczonych koni, przemytnicy kręcili się tam i sam. Gdy nieznajomi nadeszli, gromadka wnet uciekła i wszyscy rozstąpili się aby ich przepuścić. Fenice porozumiała się naprzód kilku słowy z Niną w dużéj izbie, następnie otworzyła drzwi od swojego pokoju.

Spostrzeżono wtedy w półcieniu rannego, który leżał na łóżku; obok niego na ziemi siedziała przykucnięta stara kobieta z Treppi.

— Jakże się on ma, Chiarnecia?—zapytała Fenice.

— Nienajgorzéj, chwała Madonnie, odpowiedziała stara, mierząc bystrêm wejrzeniem ludzi którzy wchodzili za młodą gospodynią.

Filip zbudził się z półuśpienia; twarz jego była w ogniu.

— To ty? zapytał.

— Ja. Przyprowadzam tego który miał się bić z tobą, aby przekonał się na własne oczy, że stawić się nie mogłeś. Jest oto i chirurg.

Przygasłe oczy chorego spoglądały wolno po czterech twarzach nieznajomych.—Jego tu nie ma, rzekł; nie znam nikogo z tych panów.

Zamknął oczy wymówiwszy te słowa, gdy ten co zwykle przemawiał, zbliżył się i rzekł:

— Dostateczném jest poświadczenie tożsamości osoby pańskiéj. Mam rozkaz odprowadzić pana.

Wydobył z kieszeni papier i podsunął go przed oczy Filipowi; ale ten popatrzywszy się bez zrozumienia rzeczy, wpadł napowrót w letarg.

— Proszę obejrzéć rany, panie doktorze, rzekł tenże; jeżeli stan jego pozwala, musimy go przenieść natychmiast, widziałem na dworze konie, objuczone kontrabandą: zabierzemy je.

Gdy wydawał zlecenia, a chirurg opatrywał rany, Fenice znikła, stara Chiarnecia siedziała spokojnie i z cicha mówiła do siebie. Z zewnątrz słyszano głosy i kroki przyspieszone, postacie ludzkie ukazywały się w otworze i znikały natychmiast.

— Będzie można go przewieźć jak się dobrze umocują nawiązki—rzekł chirurg; ale wyzdrowiałby prędzéj gdyby tu mógł pozostać, w ręku téj staréj czarownicy, któréj wiedza we względzie skuteczności ziół leczniczych, zawstydziłaby najcelniejszych lekarzy. Gorączka może go zabić na drodze, a ja nie mogę brać na siebie za to żadnéj odpowiedzialności, panie.

— Nie potrzeba! nie potrzeba!—odparł tenże; mniejsza o to jak się go pozbędziemy. Obwiąż pan jego rany jak można najlepiéj, aby nie zaniedbać niczego, i w drogę. Księżyc świeci, weźmiemy przewodnika. Tymczasem, Molza, wyjdź i zatrzymaj konie.

Ten do którego wystosowany był rozkaz otworzył nagle drzwi od pokoiku do wyjścia, i raptem skamieniał na widok niespodziéwany. Wielka izba napełniona była tłumem pasterzy z dwoma przemytnikami na czele. Fenice jeszcze rozmawiała z niemi kiedy drzwi się otworzyły. Wtedy stanęła ona w progu i rzekła bardzo energicznie:

— Opuścicie panowie natychmiast ten pokój, i to bez rannego, albo nie zobaczycie już nigdy Pistoi. Krew nie popłynęła nigdy w tym domu, odkąd gospodarzy w nim Fenice Castaneo, i bodaj Madonna ustrzegła go od podobnéj klęski na zawsze. Nie próbujcie wracać z nowémi siłami: przypomnijcie sobie przejście gdzie jeden za drugim piąć się musi na drabinę skały; dziecko może tam zabronić przystępu zrzucając kamienie leżące na brzegu. Postawimy tam straż dopóki ranny będzie tego potrzebował. A teraz wychodźcie i chwalcie się swoimi czynami, jakoście oszukali młodą dziewicę i zabić chcieli rannego człowieka.

Twarze przybyłych pobladły i głuche po tych słowach zaległo milczenie. Następnie wszyscy trzej jakby za danym znakiem dobyli pistolety z kieszeni, a ten co zwykle głos zabierał, rzekł z zimną krwią:

— My tu przybyliśmy z polecenia rodziny rannego. Jeżeli nas zmusicie do użycia siły, wasz gwałt może kosztować życie sześciu z pomiędzy was.

Głuchy szmer powstał w tłumie.

— Spokojność, przyjaciele—zawołała Fenice głosem stanowczym. Nie ośmielą się! Oni wiedzą czém to pachnie. Mówisz pan jak nie przy zdrowych zmysłach, rzekła zwracając się do przemawiającego; strach wyryty na waszych czołach doradza wam roztropniéj; posłuchajcie jego rady. Droga wolna, panowie!

I wskazała na drzwi domu. Po chwili cichéj narady przybyli nadrabiając miną, przeszli przez tłum pośród wzmagających się coraz bardziéj złorzeczeń. Chirurg nie wiedział czy ma iść za nimi, ale na rozkazujące skinienie dziewicy zabrał się i poszedł.

Na wpół podniesiony na łożu, chory przypatrywał się téj całéj scenie okiem zdziwioném. Stara zbliżyła się wtedy doń poprawić poduszki.—Bądź spokojny, mój synu, rzekła, nic ma niebezpieczeństwa. Śpij, śpij, biédny mój synu; Chiarnecia czuwa, a nasza Fenice, to dziecię błogosławione, zajmuje się bezpieczeństwem twojém. Śpij, śpij.

Uśpiła go jak dziecko, śpiewem monotonnym. A on imię Fenicyi do snów swoich przeniosł.

---

Filip zostawał dziesięć dni w górach pod strażą staruszki. Noce jego były spokojne; we dnie siedząc przededrzwiami oddychał czystém powietrzem i cieszył się spokojem. Jak tylko mógł pisać, wyprawił posłańca do Bolonii z listem, na który odpowiedź odebrał nazajutrz. Byłaż ona dobrą, czy złą? tego nikt z jego twarzy wyczytać nie mógł. Oprócz staruszki i dzieci treppiańskich, z nikim więcéj nie rozmawiał, a z dziewicą widywał się tylko wieczorem, kiedy stawała u ogniska: bo ze wschodem słońca wychodziła ona z domu i cały dzień bawiła w górach. Nie było to dawniéj jéj zwyczajem, jak się o tém przypadkiem dowiedział; ale i wtedy nawet kiedy bawiła w domu, nie miał on sposobności mówienia z nią. Zdawała się nie uważać jego obecności, rzekłbyś że nic nie zmieniło jéj trybu życia, ale rysy jéj przybrały martwość marmurową, a oczy zdawały się zagasłe.

Raz Filip, znęcony pięknością dnia, oddaliwszy się od domu, daléj jak zwyczajnie i czując poraz pierwszy odradzające się siły, wszedł na dosyć łagodną pochyłość i nagle poczuł zawrót; gdy wtém na zakręcie skały spostrzegł się wobec dziewicy siedzącéj na mchu przy źródle. Trzymała ona kądziel i wrzeciono, i zdawała się zatopioną w myślach. Na odgłos kroków Filipa podniosła głowę, ale bez słowa i zmiany w obliczu; wstała zabrawszy robotę, nie odpowiadając na jego wołanie i znikła natychmiast.

Nazajutrz zrana Filip wstał i pierwsze jego myśli zwróciły się ku niéj, kiedy drzwi się otwarły i dziewica spokojnie weszła do

niego. Stanęła na progu i zatrzymała go giestem, kiedy chciał odejść od okna i zbliżyć się do niéj.

— Jesteś pan już zdrów—rzekła ozięble: mówiłam ze znachorką. Ona utrzymuje że masz już dość siły aby odbyć podróż konną powoli. Jutro rano opuścisz pan Treppi i więcéj tu nie wrócisz. Téj obietnicy wymygam.

— Przyrzekam ci to, Fenice... pod jednym warunkiem.

Zamilkła.

— Jeżeli *pójdziesz ze mną*—rzekł z wielkiém wzruszeniem, nie mogącém się powstrzymać.

Głuchy gniew przebiegł po jéj brwiach, ale powstrzymała się, i rzekła chwytając za klamkę odedrzwi:- -Czy ja zasłużyłam na takie żarciki? Ja wymagam przyrzeczenia bezwarunkowego i oczekuję tego po twym honorze, panie adwokacie.

— Chceszże mnie teraz odepchnąć, wprowadziwszy urok miłosny aż do szpiku moich kości, uczyniwszy mnie swoim na wieki, Fenice?

Zwolna poruszyła głową—Nie ma już uroku między nami—rzekła ponurym głosem. Straciłeś pan dużo krwi, nim płyn działać począł: urok rozpierzchł się. I dobrze się stało, bom ja zbłądziła. Nie mówmy już o tém. Powiedz pan tylko że odjedziesz. Koń i przewodnik będą gotowi zaprowadzić cię tam gdzie zechcesz.

— Jeżeli już nie ten urok przywiązuje mnie do ciebie, to jakiś inny, nad którym ty nic nie możesz, dziewico, tak jak Bóg w niebie.

— Przestań pan—przerwała ściągając martwą wargę, głucha jestem na takie słowa. Jeżeli pan sądzisz żeś mi coś winien, i jeżeli masz nademną litość, odjedź, a skwitujemy się. Nie sądź pan, aby ta biédna głowa nie mogła się czegoś nauczyć. Wiem teraz że człowieka kupić nie można: ani nędzną przysługą, która idzie sama z siebie, ani siedmią laty oczekiwania, które nie więcéj mają wartości przed Bogiem. Nie unoś myśli żeś mnie uczynił nieszczęśliwą. Wyleczyłeś mnie. Idź i przyjmij moje dziękczynienia.

— Odpowiesz mi przed Bogiem!—krzyknął w gwałtowném wzruszeniu i zbliżając się do niéj: czym cię i z miłości twéj wyleczył?

— Nie!—odpowiedziała z mocą. Czemu mnie pytasz? Moja miłość jest moją. Nie masz nad nią żadnego prawa, żadnéj władzy. Odejdź.

Z temi słowy ustąpiła z progu, on rzucił się jéj do nóg, ściskając kolana.

— Jeżeli to co mówisz, jest prawdą—zawołał w nadmiarze rozpaczy, uratuj mnie, przyjmij mnie do siebie, weź mnie z sobą, albo ta głowa, którą cud tylko ocalił, rozbije się na drobne kawałki razem z tém sercem które ty odpychasz. Świat jest pustym dla mnie; życie moje na łasce nieprzyjaciół; wygnany z dawnéj i nowéj ojczyzny, po co mam żyć dłużéj, jeżeli i ciebie jeszcze utracę?

Spojrzał na nią i widział potoki łez płynące z jéj oczu. Oblicze jéj było wciąż nieruchome; niebawem westchnęła silniéj, oczy jéj się otwarły, zadrgały usta, nie wymówiwszy słowa. Życie zdawało się na nowo w niéj rozkwitać. Schyliła się nad nim i podniosła go silnemi ramiony.

— Jesteś moim—rzekła—więc i ja będę twoją.

---

Gdy słońce wstało nazajutrz, zobaczyło dwoje ludzi na drodze do Genui, gdzie Filip postanowił się udać dla uniknienia prześladowań nieprzyjaciół. Mężczyzna wysoki i blady siedział na koniu zręcznym, prowadzonym przez jego narzeczoną. Po obu stronach drogi wyglądały szczyty Apenninów w całym blasku jesiennym. Orły bujały nad przepaściami, morze lśniło z oddali a spokojna i jasna jak morze, rozległa się przed niemi przyszłość!

*M. K.*

# KRONIKA PARYZKA

## LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Rossini i jego dzieła. — „Merkadet" trzech aktowa komedya Balzaka. — „Ifigenia w Tauryдzie" opera Glucka w czterech aktach. — Posiedzenie doroczne akademii napisów. — Wiadomości literackie.

Pogrzeb Rossiniego, którego cały Paryż odprowadzał do grobu, nie wyglądał na uroczystość żałobną, ale na apoteozę. Idąc za jego trumną widzieliśmy same żywe obrazy: wszystkie wybitne sceny z życia wielkiego muzyka, wrażenia wyniesione z jego oper, przesuwały się przed oczyma, jasne, urocze, świeże. Władza wspomnień silniejsza od rzeczywistości, zamiast trupa, przedstawiała nam Rossiniego dwudziestoletnim młodzieńcem, kiedy na oberżowym stole pisze „*Di tanti palpiti.*" Kiedy z pierwszego przedstawienia *Cyrulika* wygnany z rzymskiego teatru *Argentino* przez czcicieli Paisella, ucieka do domu niby Orestes ścigany przez Furie; jak potém w Medyolanie jesienną porą 1817 roku, przed teatrem *la Scala* bogiem zostaje okrzyknięty przez tłum upojony szaloną muzyką *Gazza ladry;* jak w Neapolu na słonecznych przedstawieniach *Elżbiety*, *Mojżesza*, *Armidy*, *Ermiony* i *Pani Jeziora*, wzbudza trzęsienie ludu i wybuchy artystycznego zapału; jak w Wiedniu zachwyca zimnych dyplomatów; jak rozmarza Wenecyą, któréj na pożegnanie przekazał swoją *Semiramidę*.... Wszystkie te wizye tęczowe zasłaniały nam całun.

Są ludzie, którzy nawet po śmierci nasuwają tylko myśl o nieśmiertelności. Wyobraźnia im sprawia pogrzeb starożytny, widzi jasne płomienie wonnego stosu, z którego ulatując życie, nie zostawia smutku zepsucia. Cienie takich umarłych obraziłaby posępna allegorya... nie zgasła lampa, ale świetna płonąca pochodnia w ręku geniusza śmierci, jest symbolem godnym ich pomnika.

Rossini należy do rzędu tych szczęśliwych. Z pomiędzy poetów i artystów tego wieku, najradośniejszy, najświatlejszy, więcéj był olimpijski niż sam Goethe, gdyż Goethe do Olimpu wszedł

utrudzony, na spoczynek, a Rossini tam zrodzony, nie zaznał zmęczenia w drodze do szczytu.

„Wygrałem wielki los na loteryi przyrody" mawiał mistrz z Pesaro; jakoż miał nadludzkie zdolności: natchnienie brał z oddechem, melodya była jego mową; jak skowronek, ptak wiosny, śpiewał rozkosze życia zrozumiałe każdéj duszy. Inni mistrze zmuszają muzę do mówienia: nawet w ich arcydziełach znać pracę, kują rytmy, obliczają nuty. Z algebry takiéj wychodzi czasem myśl wielka, ale wymuszona. Tamci pracują, Rossini tworząc, zdaje się iść jedynie za instynktem. Pieśń jego wraz poczęta i urodzona, na skrzydłach wylata, wykończenie niczby jéj nie dodało. Łatwość Rossiniego taż sama co biegu czystego strumyka, dla niego sztuka żywiołem, w którym fruwa jak ptak w powietrzu. Innych muzyków wielkich nazwać można powołańcami woli; ten był wybrańcem powołania.

Apollo pierwszy grajek milosnéj melodyi, po któréj takcie Venus wyszła z Egejskiego morza, zdaje się odżywać w Rossinim: muzyka jego zachęca do życia, wyraża upojenie radosne. Nigdzie tam nie ma zniechęcenia ani rozpaczy, burze i łzy namiętne topnieją w ożywczą rosę, nawet pieśń pogrzebowa jest śpiewem łabędzia. Najsmutniejsze jego bohatérki podobne do męczennic Corregia, których wdzięku nie psuje kaźnia. Wymogi tragedyi zaledwie powstrzymują tego śpiewaka rozkoszy; często ucieka z ich koła, i fruwa swobodnie po nad katastrofą; często, podczas kiedy poeta szlocha, Rossini śmieje się z niego. Odmieniwszy nut kilka z jego smutnéj Cavatiny, zrobisz wesołą. Tak z chóru „Aureliusza w Palmirze" ułożył serenadę do *Cyrulika* „*Ecco ridente il cielo.*" Tym samym tonem którym używał Izydy, wabi Różynę.

W *Stabacie* najwyraźniéj znać ten wrodzony pociąg do piękności jasnéj. Przecudny welon zarzucił Rossini na żałobę Kalwaryi.. lubymi tony pociesza Matkę Bolesną... Rzekłbyś, iż tam życie ze śmiercią się pieści, że na ugirlandowanym różami krzyżu siadł słowik i nad cierniową zawodzi koroną.

Zdobiąc tak mękę Chrystusa, Rossini pozostaje wierny tradycyom swojego kraju i szczepu. Katolicyzm włoski zawsze usuwał ze swoich świątyń gotycki smutek. Włochy wstręt czują do grozy północnych ascetów, nie przyjmują ani ich fantazyi ani nabożeństwa. Dowodem uderzającym, uczeń Verrochia, Nani Grosse, który konając w szpitalu, nie chciał przyjąć prostego krucyfixu, ale kazał sobie przynieść *piękny*, mówiąc żeby umarł w rozpaczy przy tak szpetnym wyobrażeniu Boga.

Nie inaczéj pojmuje nabożeństwo Rossini. Jego *Stabat* w ciemnych sklepieniach gotyckiego kościoła, zgorszyłby tamecznych świętych. Ramą jego piękne kościoły włoskie z XVII wieku, lśniące od marmurów i złota, gdzie raj malowany *al fresco*, kołuje na suficie z mytologicznym przepychem, a święte, jak nimfy powabne, uśmiechaią się do aniołów pięknych jak amory.

Pierwsza połowa dzieła Rossiniego całkiem poddana przepisom włoskiéj muzyki spółczesnéj; druga z pod nich się wyłamuje. Aż do *Semiramidy* pozostaje on pod wpływem Pergolesa i Metastasa: chodzi mu jedynie o zachwycanie uszu, które było jedyném zadaniem kompozytorów włoskich ubiegłego stulecia.

Opera włoska w XVIII w. wcale niepodobna do mądrych oper dzisiejszych Jestto świat jakiś czarodziejski, nie określony, pełen świątyń złotych i monarszych pałaców. Wszystko to jednostajnie uróżowane światłem bengalskiem; nie ma różnicy pomiędzy wiekami i klimatem. Szczepy widać zmieszane: Persowie, Grecy, Indyanie, Rzymianie, mitologiczne i biblijne postacie, mówią jednym językiem i namiętnym. Wszyscy występują w bajecznych strojach i urojone mają cnoty. Nie są to ludzie, lecz śpiewające allegorye: Bohaterstwo, Zazdrość, Miłość, Niewdzięczność i t. d. Rodzaj ten stworzony dla zabawy dworów, przedstawia samych wspaniałych monarchów, królowe wierne i nieszkodliwych zdrajców. Ulubionym przedmiotem ówczesnych oper: monarcha przez bogów zmuszony do poświęcenia syna publicznemu dobru; kochanek stały, który woli umrzéć niż zdradzić tajemnicę ubóstwianéj kobiety; okrutnik, z którego ręki wyrywają ofiarę niespodziewani oswobodziciele i t. p. wielkie zmartwienia i wielkie czyny dusz wielkich.

Wszystkie te twory abstrakcyjne podlegały ślepo prawom muzyki. Poddani harmonii słuchali smyczka jak wywołane duchy słuchają czarodziejskiéj rózgi; najgwałtowniejsze namiętności musiały wyrażać ruladą, wokalizować nienawiść, do boju biedz wedle taktu *Andanta*, umierać z trelem w ustach...

Byłto wiek złoty włoskiéj opery, wyrób zdenerwowanéj swoją przeszłością Italii. Do niego odnieść się należy chcąc ocenić pierwszą manierę Rossiniego. Takie klejnoty muzyczne przekazali mu poprzednicy; ustroił w nie swoje bohatérki, ale muzyka jego pysznie nosi przestarzałe ozdoby. Geniusz Rossiniego co chwila pomiędzy *fioritury* wpada jak grom w ogrody Armidy. Scena grobowa z *Semiramidy* zostanie wiecznie zdumiewającym pomnikiem sztuki muzycznej; także, introdukcya *Mojżeszą*, jęcząca jękiem milionów; finał z trzeciego aktu, gdzie rozpętany Egipt w zapasach z Izraelem szaleje w nawałnicy tonów, i owa *Modlitwa* wzniosła, która roztaczając zapał w coraz wyższe kręgi, jako dym ofiarnego stosu w białych kłębach ku niebu płynie.

Otello także długo żyć będzie. Złagodzony muzyką Maur wenecki, przechodzi ze zwrotnikowego pasu Szekspira w świat rycerski Ariosta.

W muzyce komicznéj Rossini od samego początku jest mistrzem. Cóż powiedziéć o czarownym *Cyruliku*? Tyle razy słyszany, zawsze nowe daje rozkosze... zachwyt. olśnienie od początku do końca. Almaviva, to pół-bożek szukający szczęścia na ziemi; Rozyna, to wyskok filuteryi niewieściéj. Za nimi Figaro geniusz Hymenu, zamydla oczy Barthola, a ogromny kapelusz Bazylego podobny do skrzydeł nocnego ptaka, rzuca na kochanków cień zło-

wrogi... Grupie téj, świat napatrzyć się nie może: werwa w niéj krąży, iskrzy się, dowcip, istny to wybuch wiosny, wulkan wyrzucający kwiaty od pół wieku.

W rozwiązłościach zapustnéj farsy, melodye Rossiniego nigdy nie są powszednie; jeżeli spite, to nektarem. Sekstet z *Kopciuszka* wzorem téj trudnéj sztuki miarkowania śmiechu. Słowicze głosy tu wmieszane do błazeńskiéj wrzawy. Sextet przypomina arabeski *odrodzenia*, girlandy uwite z kwiatów, potworów, nimf i satyrów.

Rossini odbierał czasami nadzwyczajne do tworzenia pozwy: poczęcie Semiramidy jest cudowne.

Onego czasu, porzuciwszy Neapol gdzie się upajał poezyą i miłością w swojéj willi na Pausilippie, Rossini ruszył w drogę. Przebył Rzym posępny, dzikie Apeniny; objechał jezioro Trasimenu i kaskadę Terani wiecznie płaczącą nad przegraną konsula; przebył Mincio, nad którém Virgili wynalazł melodyą, i przybył nakoniec do tajemniczego miasta powstałego jak Venus z fali morskiéj, miasta, co w głębi lagun chowa miłośne skrytości dla wielkich artystów, kochanków swoich.

Znużony podróżą Rossini usnął na wybrzeżu pięknéj Wenecyi i miał sen muzykalny, cały z tonów złożony, sen jak koncert nad koncertami! pomiędzy lamentem Prometeusza a pomrukiem Etny, neapolitańska syrena śpiewała jemu melodye Wielkiéj Grecyi.

Ocknąwszy się, cały rozmarzony, znalazł pod ręką rękopis stary, nie znany... Była to legenda pełna poetycznych piękności, zgubiona w pomroce wieków, ale lśniąca wschodnim splendorem, który niby zorza jaśnieje nad kolebką ludzkości. Była to krwawa kronika, w któréj arabskie pachnidła zmieszane z wyziewem grobu, jak ostatniego dnia ludzkiéj niewinności, kiedy ogrody Eufratu zbroczyła krew Abla.

Rossini czytał chciwie, zachwycony i truchlejący na przemian, w końcu pomyślał że muzyka na wysłowienie tych rzeczy stworzona. Królowa *Semiramida* zbójczyni żona, wdowa Ninusa, znalazła swojego śpiewaka. Przedmiot czterdzieści wieków stary, nie miał dla kompozytora żadnego punktu wyjścia w znanéj gamie tonów; trzeba było wydobyć z otchłani świat harmonii: sen w lagunach ten świat ukazał młodemu muzykowi.

Poczuwszy, zamknął w duszy ten skarb cały, i poszedł z przyjaciołmi na obiad. Przy stole szafował więcéj niż zwykle tą wesołością włoską, co szumi, skrzy i pali, a skoro przebrzmiał hałas, Rossini wrócił do domu poważny jak kapłan Izydy, skupił myśli, przypomniał sen, i położył kamień węgielny owéj piramidy babilońskiéj, zwanej Semiramidą.

Tymczasem porzuceni w lagunach przyjaciele mówili: „Jaki ten Rossini pusty! szalony, o to szałaput!" A Stendhal pisał: „Rossini stworzony dla opery Buffy, powinien porzucić muzykę poważną: jest on tylko przedziwnym błaznem."

Rossini całe życie usiłował uchodzić za to czém nie był. Jestto zabawka właściwa wszystkim prawie geniuszom. Homer

podawał się za ślepego, a Cezar za suchotnika. Piérwszy sam żeglował pomiędzy skałami Archipelagu, drugi północną Gallią podbił w zim dziesięć, i nawet się nie zakatarzył. Dwa te fakta suchot i ślepoty, zapisała jednak historya.

Rossini wszedłszy do świątyni Belusa przeniknął starożytne tajemnice; zapomniał procederu znanéj muzyki, zapomniał hymnów greckich, zapomniał skarg Jeremiego i kantyków Sionu; stworzył nowe formuły, te objawione we śnie, które u piramidy Nemroda brzmiały przed czterema tysiącami lat, tylko ustroił tę starą nutę w nowe hafty i świeże kwiaty. Potrzebuje ich lubieżna Babilonia, co zawieszała swe ogrody i owa straszliwa Semiramis, co z Indyi wraca w brylantowéj koronie.

Partycya *Semiramidy* ma rozmaitość przyrody, mówi wszystkimi głosami zewnętrznego świata, jego przepychy rozwiesza; przyroda bowiem niezawsze na prostocie poprzestaje: wszystkiémi barwy się stroi, wszelakie przybiera kształty. Natura prostą jest w łąk swych zieleni, w spokojnéj jutrzence, w lazurowéj przezroczy. w drzemiącém jeziorze; ale ta potężna sztuk mistrzyni nie zawsze chce zachować monotonną prostotę: zbuntowała swe Alpy i Kordeliery, każe ryczéć burzy, bić gromom, szuméć wodospadom, ocean mąci, lasy ukwieca, język jéj wszystko wyraża: od podmuchu wietrzyka co kwiat kołysze, do huraganu co wykorzenia dęby, od szczebiotania strumyka aż do huku Niagary, od iskry co błyszczy na grzbietach morskiéj fali, aż do wybuchu wulkanu.

Taki jest styl natury. Rossini był uczniem jéj konserwatoryum, a pod palcami miał klawiaturę powszechną.

Przybycie Rossiniego do Paryża, gdzie skomponował nowego *Mojżesza* i *Wilhelm-Tella*, jest tém w jego historyi, czém było Rafaela przybycie z Florencyi do Rzymu, gdzie odmalował watykańskie *freski*. W *Tellu* równoważą się wszystkie siły i zdolności Rossiniego. *Tell*, w końcu jego dzieła, zajmuje miejsce, jakie *Szkoła Ateńska* ma w pośrodku dzieł, Rafaela.

---

Życie Rossiniego opawiadano tyle razy w ciągu tego pół wieku, iż rzecz zbyteczna powtarzać je tutaj; wskażemy tylko co w niém widzimy charakterystycznego: zacznijmy od kolebki.

Joachim Rossini urodził się 29 lutego 1792 r. w Pessaro, małém miasteczku państwa papiezkiego, w zatoce weneckiéj. Jestto port uczęszczany. Miasteczko leży pośród lesistych wzgórzów spływających łagodnie ku morzu. Brzegi morza Śródziemnego nie mają wcale grozy, którą ogromne bałwany i wichry potężne nadają oceanowi: tam modra fala przeciwnie, tchnie rozkoszą, wonią, miłością. Poznajesz kolebkę cywilizacyi świata. Tamto przed czterdziestą wiekami ludzie po raz pierwszy spostrzegli że przyjemnie nie być okrutnym Rozkosz ich oświeciła: poznali że lepiéj kochać niż zabijać. Z tego zakątka ziemi wyszli od kilku wieków, wszyscy wielcy ludzie którzy świat zachwycili. Od Rafaela do Canowy, od Pergolesa do Rossiniego, wszyscy geniusze przezna-

czeni do zapalania człowieka sztukami pięknemi, urodzili się w kraju gdzie ludzie kochają namiętnie.

Inaczéj być nie mogło: sztuki żyją tylko namiętnością: to powód dla którego nie mogą kwitnąć na Północy, gdzie jedynie *wysoka społeczność* jest sędzią wszystkiego, a wysoka społeczność znaczy ludzi bez namiętności, ludzi zniweczonych ironią i obawą śmieszności posuniętą aż do tchórzostwa.

Trzeba samemu poczuć ogień, namiętności, żeby celować w sztukach pięknych. Bez téj świadomości, najbystrzejszy człowiek patrzy na sztuki jak przez zasłonę: nie widzi żywiołu, tylko materyalną stronę rzeczy, w malarstwie płótno i farby: fizyczność tonów i kombinacye w muzyce. Tak Wolter mówi o malarstwie i muzyce. Jeżeli obraz Rafaela sądzi człowiek Północy, wzniosłość jego osądzi na pojęciu kompozycyi i doborze kolorów. Skoro chodzi o wyrozumowanie idei, północni krytycy ukształceni dwuwiekową dyskussyą, odzyskują wyższość, która ich opuszcza w obec gorącego obrazu, lub wielkiéj aryi *Agitato*.

We Francyi dowcip salonowy, wysmażony *kalembur* sztukom szkodzi. W Anglii pycha i biblia występują jako wrogi sztuki. W Wielkiéj Brytanii namiętność klas wysokich powstrzymuje pycha, niższym wzbrania zapału konieczność pracowania na chleb powszedni. We Włoszech, ludzie nie rozumem ale namiętnością powodowani, mogą nie pracować ciężko i nie umrzeć z głodu. Dlatego to żyzna Italia ojczyzna *dolce far niente* i miłości, jest także ojczyzną sztuk pięknych; dlatego tylko na Północy można znaleźć sędziów światłych do rozpraw o sztuce. „My tworzym arcydzieła, a oni je sądzą," mawiał Rossini.

Romania gdzie się urodził Rossini, jest najdzikszą częścią półwyspu. Żyje się tam prawie za darmo. Syn ubogich śpiewaków mógł więc próżnować i dopiéro przeigrawszy lat jedenaście, w roku 1804 zaczął się uczyć muzyki w Bolonii od professora Angelo Tesci. W roku 1807 zaczął brać lekcye kontrapunktu od księdza Stanisława Matteï w témże mieście. W pięć lat potém przedstawił w Wenecyi podczas karnawału 1812 roku, operę „*L'Inganno felice.*" Partycya ta jest tém samém, czém był pierwszy obraz Rafaela wyszłego ze szkoły Perugina: znać w niéj wszystkie błędy piérwszéj młodości i brak indywidualizmu.

W *Tankredzie* dopiéro Rossini objawił się sam sobą.

We dwudziestu leciech napisał już pięć oper: imię jego brzmiało w całéj Italii. Młodość Rossiniego była nie przerwaném pasmem wzruszeń: postępował pomiędzy owacyami. Zachwycał miasta, fanatyzował teatra, improwizował arcydzieła pomiędzy dwoma maskaradami, bałamucił kobiety, mistyfikował dyrektorów... biegał po Italii jak Figaro po Sewilii, siejąc melodye, puszczając race dobrego humoru, ciągnąc za sobą jako kometową miotłę, szereg świetnych artystów.

W Wenecyi Rossini znalazł dwie śpiewaczki stworzone do wygłaszania jego oper. La Malanotti śpiewała *Tankreda*, la Mar-

colini *Włoszkę w Algierze.* Były to dwa *contralti*, nadzwyczajne, zmrok i zorza. Głos Malanotti brzmiał ponuro a rzewnie jak wiolenczella; uśmiechnięte „*di tanti palpiti*" głos ten we łzach zanurzał... *Contralto* Marcolini świetny, aksamitny, był niby wrodzonym organem włoszki igrającéj ze starym Mustafą. Obie były prześliczne! Malanotti po skończenéj sztuce wieńczyła się winogradem, Marcolini przekładała mirtowe girlandy.

W Neapolu gdzie się udał 1815 roku, Rossini poznał wielką śpiewaczkę, z którą się późniéj ożenił. O lat ośm starsza od niego Izabella, Angela Colbrand, była Hiszpanką, od lat piętnastu naturalizowaną na scenie włoskiéj. Lat trzydzieści pięć, piękne włosy, piękne oczy, kibić nimfy, chód wspaniały, Colbrand była stworzoną na królowę teatru. Głos jéj i talent w zupełnéj pozostawały zgodzie z jéj pięknością. Śpiewała tylko opery serio. Zakochany Rossini, ustroił ją w monarszą melodyą: dla niéj napisał *Elisabetta, regina d'Inghilterra.* Naginając zdolność swoją i natchnienie do tragicznego tonu pięknéj Angeli, od 1815 do 1822 napisał: *Elżbietę*, *Otello*, *Armidę*, *Mojżesza*, *Ricciardo et Zoraide*, *Ermione*, *la Donna del Lago*, *Maometto secondo i Zelmira.* Dziewięć wielkich oper.

Płodność taka mogła wyczerpać trzech kompozytorów zwykłéj miary. Wysnuwszy tyle ze swojéj wyobraźni, Rossini poczuł się bogatszy i lekszy. Chcąc odpocząć po tylu poważnych pieśniach pożegnał na czas muzykę tragiczną i wrócił do komedyi swojéj pierwszéj kochanki. W drodze do Rzymu skomponował *Cerulika* i *Kopciuszka.* W drodze do Medyolanu urodziła się *Gazza ladra.* *Cerulik* upadł piérwszego wieczora, ale jak Mazepa: ażeby powstać królem.

Wracając z Medyolanu do Neapolu dla dotrzymania zobowiązań dyrektorowi tamecznego teatru i pannie Colbrand, Rossini pożegnał młodość swoją. *Gazza* jest pożegnalnym pocałunkiem komedyi na wieczne rozstanie! W Neapolu muza Buffa, muza ojczysta, od któréj natchnienia brał Sacchini, Paisiello i Cimarosa, umarła. Grób jéj był kolebką, z któréj powstał głos nowy, głos opery dramatycznéj.

Po tém Rossini jeździ po Europie, przedstawia się ludom, królom, znajduje się na kongresie Werońskim, uwodzi Germanią; nakoniec do Francyi przybywa zbogacić jéj operę i spacerować po bulwarach.

Napisawszy *Tella*, syt sławy, pomiędzy światem a sobą, zapuścił zasłonę i rozpoczął drzemkę, która trwać miała lat czterdzieści. „*Buona Sera! E finita la musica! Audiamo a letto.*" Tak jak odprawił w Wiedniu tłum zebrany pod balkonem po przedstawieniu *Cerulika*, tak pożegnał społecznych którzy się od niego domagali nowéj muzyki.

Mało przykładów w sztuce takiéj abdykacyi w sile wieku, w pełni powodzenia. Znamy tylko jedną: wielkiego Sebastiana, którego geniusz zmięszał Rafaela, a zdumiał Michała Anioła.

Rossiniemu do abdykacyi nie mało pomogło wrodzone, narodowe lenistwo; było ono kolosalne! Stendhal opowiada z tego powodu następującą anegdotę:

Raz zimą, w Wenecyi, Rossini w łóżku pisał, bo lubił leżéć i wiecznie mu było zimno. Skończył właśnie jakieś *duettino*, i chciał odczytać, kiedy kartka zsunęła się z łóżka na podłogę. Maestro wysuwa głowę z pod kołdry, patrzy., papier odleciał daleko... nie można go dostać nie wstawszy.. Mamże wstać żeby to podnieść? myśli dwudziestoletni muzyk, za nic w świecie!! wolę napisać drugi duet. I napisał. Kończył właśnie, kiedy przyszedł przyjaciel i wyciągnął duet z pod łóżka. Wtedy Rossini zaśpiewał mu oba i pokazało się że drugi był lepszy. Oba należą do historyi muzyki a mianowicie do biografii, bo czy może być rys charakterystyczniejszy tego lenistwa i téj łatwości tworzenia.

Francuzom wiecznie naglącym Rossiniego do pracy, maestro odpowiadał; „Tłum nie przypuszcza żeby się kto mógł zmęczyć pracując dla niego. Otóż, zapewniam was że byłem kompozycyą okropnie zmęczony. Za nic w świecie nie chcę się trudzić na nowo. Co mi po tém? Spoczynek i makaron, to moje zadowolenie: nigdy w życiu nie znalazłem *innéj prawdziwéj* przyjemności. Nie zaprzeczam że piérwsze moje utwory zrobiły mi przyjemność, jako dowody siły, nadzieja fortuny. Późniejsze już nic. Zawsze jedno i toż samo. Po dziesięciu sukcesach jedenasty nie czyni żadnego wrażenia. Chyba że potrzeba powodzenia żeby żyć, inaczéj nie rozumiem najmniejszego wysiłku dla otrzymania poklasków publiczności."

— Ależ, zawołał śpiewak Nourri, do którego powyższe słowa były wyrzeczone—czyż to nie zawsze nowa, nie zawsze żywa radość dla autora, kiedy widzi salę wybuchającą namiętnym zapałem.. kiedy powszechność upojona daną jéj rozkoszą klaszcze i sypie muzykowi wieńce?...

— Co do mnie—odpowiedział Rossini z figlarnym uśmiechem—ja wtedy, po północy, mam tylko ochotę iść się położyć i zasnąć smacznie.

Tak mówił ów najfilozoficzniejszy z artystów, ów lazaron wielkiéj sztuki. który sen podobnie jak Szekspir, uważał za największy dar boży, i przekładał go nad wszystkie niestrawne pokarmy próżności. A nie była to kłamana dla sławy obojętność, bo Rossini dotrzymał przysięgi milczenia: palec położony na tych ustach z których wypłynęło źródło harmonii, do śmierci na nich pozostał.

Paryż obrał sobie Rossini na miejsce wypoczynku. Syt chwały, w obłoku kadzideł, prawie ubóstwiony, siedział w domu, u nikogo nie bywał, nawet w Tuileryach gdzie był mocno ciągniony. U siebie odbierał hołdy powszechności. W słoneczne południe zimowe, zawsze go można było spotkać na południowej stronie włoskiego bulwaru gdzie mieszkał. „Caro Giowe" (drogi Jowiszu) pisze do niego Meyerbeer,—był to kamerton odezw powszechności. Muzyk filozf obojętnie patrzył na swoją apoteozę. Ironia wreszcie

igrająca na jego ustach, podobną była do uśmiechu sfinxa. Téj maski nie zdejmował nigdy: świat do niego pielgrzymował a on go przyjmował jako olimpijczyk siedzący na swoim piedestale.

Starość Rossiniego ma pogodę ostatnich lat Goëthego; Passy było jego Wejmarem.

---

Ogromne dzieło Rossiniego od dołu się kruszy... rdza jego połyskowi grozi. Ze wszystkich sztuk, muzyka najmniéj trwała, nie ma rzeczywistego istnienia rzeźby, ani ciągłego uroku malowidła, nie da się skrystalizować córa czasu, muzyka rozwija się w czasie i w nim znika. Z jednego na drugie pokolenie, przemiana słuchu wielka: co zachwycało ojców, często synów nudzi.. Język muzyczny odnawia się szybko, wciąż zmienia rytmy i formuły. Venus Milo wieki przetrwała bez zmarszczki... Gdyby lira Orfeusza ozwała się na nowo, jakieby sprawiła na nas wrażenie?

Miałożby muzyce brakować ideału piękna? Czy nie możnaby w jéj mieniącéj sferze wznieść Panteonu? jakąś *Iliadę, Boską Komedyę, Hamleta*, cóś niewzruszonego jak wieczna prawda? Utrzymują ludzie że to być nie może... My jednak temu nie wierzymy. Weźmy *Don Juana* Mozarta, wieczny przedmiot uwielbień Rossiniego, ten zawsze młody jak w dzień urodzin. Trudno wyrokować, bo próba nie skończona. Sztuka muzyczna nie ma więcéj jak sto lat: zaledwie oczyściła harmonię, ukuła sobie instrumenta, zaledwie zdobyła państwo swoje. Czekajmy niech dojdzie do pełni ten księżyc sztuki. Jeżeli muzyka nie jest znikomą kombinacyą tonów, wiecznie wiązaną i rozwiązywaną, *Semiramida, Cerulik* i *Wilhelm Tell* będą nieśmiertelne.

Cóżkolwiekbądź, pozostanie wieczna chwała twórcy *Wilhelma Tella*, który lat siedemdziesiąt sześć przeżył zgodnie z kamertonem swéj wolnomyślnéj pieśni.

---

Spis chronologiczny utworów Rossiniego:

1. *Il pianto d'Armonia*, kantata, 1808.
2. Symfonia na wielką orkiestrę, 1809.
3. Kwartet na dwoje skrzypcy, basetlę i altówkę, 1809.
4. *La Cambiale di matrimonio*, opera, 1810.
5. *L'Equivoco stravagante*, opera, 1811.
6. *Didone abbandonata*, kantata, 1811.
7. *Demetrio e Polibio*, opera, 1811.
8. *L'Inganna felice*, opera 1812.
9. *Ciro in Babilonia*, opera, 1812.
10. *La Scala di Seta*, opera, 1812.
11. *La Pietra del paragone*, opera, 1812.
12. *L' Occasione fa il ladro*, opera, 1812.
13. *Il Figlio per Azzardo*, opera, 1813.
14. *Tancredi*, opera, 1813.
15. *L'Italiana in Algeri*, opera, 1813.
16. *L'Aureliano in Palmira*, opera, 1814.

17. *Egle e Irene*, kantata nie wydana, 1814.
18. *Il Turco in Italia*, opera, 1814.
19. *Elisabetha*, opera, 1815.
20. *Torvaldo e Dorliska*, opera, 1816.
21. *Il Barbierre di Seviglia*, opera, 1816.
22. *La gazetta*, opera, 1816.
23. *Otello*, opera, 1816.
24. *Teti e Peleò*, kantata, 1816.
25. *Cenerentola*, opera, 1817.
26. *La gazza ladra*, opera 1817.
27. *Armide*, opera, 1817.
28. *Adelaide di Borgogna*, opera 1818.
29. *Mosè*, opera, 1818.
30. *Ricciardo e Zoraïde*, opera, 1818.
31. *Ermione*, opera, 1819.
32. *Eduardo e Cristina*, opera, 1819.
33. *La Donna del lago* opera, 1819.
34. Kantata na chóry, 1819
35. *Bianca e Faliero*, opera, 1820.
36. *Maometto II*, opera. 1820:
37. *Wielka kantata*, 1820.
38. *Matilde di Sabran*, opera, 1821.
39. *La Riconoscenza*, kantata 1821.
40. *Zelmira*, opera, 1822.
41. *Il vero omaggio*, kantata 1822.
42. *Semiramide*, opera, 1823.
43. *Sigismundo*, opera, 1823.
44. *Il Viaggo a Reims*, opera, 1725.
45. *Le Siege de Corinthe*, opera, 1826.
46. *Moïse* opera, 1827.
47. *Le comte Ory*, opera, 1828.
48. *Quillaume Tell*, opera, 1829.
49. *Une Messe*, 1832.
50. *Les Soirées musicales*, (dwanaście piosnek), 1840.
51. Cztery piosneczki włoskie, 1841.
52. *Stabat Mater*, 1842.
53. *La Foi l'Espérance* et *la Charité* (cztery chóry) 1843.
54. *Robert Bruce*, opera, 1846.
55. *Hymn* na zamknięcie Wystawy Powszechnéj. 1867.

---

Teatr francuzki wznowił *Mercadeta*, trzech aktową komedyę Balzaka nieco przerobioną, tak jak ją przedstawiano w Gymnase przed siedmią laty. Sztuka znacznie postarzała: rzeczywistość tu i owdzie, stała się anachronizmem. Ale grunt sztuki pozostał nie uszkodzony zębem czasu. Taki jakim jest, *Mercadet* przedstawia zawsze pierwowzór tegoczesnego spekulanta, medal, wedle którego

odbito późniéj wszystkie sztuki pieniężne dla teatru francuzkiego.

Spekulant jest awanturnikiem interesów pieniężnych, jest ich poetą, gdyż jak poeta ma powołanie, gwiazdę, jasnowidzenie i ogień, jeżeli nie święty to piekielny. Jak on, obdarzony jest czarowną potęgą złudzeń która w dyamenty mu zmienia kamienie na drodze; wierzy w swoją fortunę, wie, że ona go gdzieś czeka, o sto, o tysiąc mil, może o dwa kroki w kształcie okrętu płynącego do Indyi. albo omnibusa co przez sąsiednią ulicę przechodzi. Za fortuną on goni bez wytchnienia, a jeśli nie może otworzyć, odbije jéj kassę. Wiara jego udziela się i cuda robi: podnosi przeszkody cięższe niż góry. Spekulant ma dar przekonywania: wymowa jego w której dzwonią liczby, działa na wierzycieli jak dźwięk muzyki wojskowéj na żołnierzy idących w ogień, oszałamia ich, exaltuje, tłumi w nich zmysł rachunku i przewidzenie straty. Spekulant ze skąpca czyni marnotrawcę, z dusigrosza rzutnego, przedsiębiorcę. Skoro się uweźmie, Harpagon w jego dziurawą kieszeń swoją kiesę wytrząśnie.

Z jego mózgu wrzącego wydobyta mrzonka nieraz się urzeczywistnia: znajduje kapitalistów i nakładzców. Nic go nie zbija, nie zniechęca. Spekulant dźwiga swój zawód nie mniéj stale jak syzyf pogańskiego piekła, dźwigał skałę swoją. Koledzy czasem myślą że już, już utonął! Giełda pochylona na swym pokładzie, woła: „Człowiek tonie!” Spojrzą w górę a on już na maszcie ziemię zwiastuje i wita odkrytą Kalifornią.

Takiego życia pełnego gorączkowéj walki, spekulant za nic nie porzuci: to jego atmosfera, to jego żywioł, klimat. Jako morskie zwierzęta, które słodka woda zabija, on potrzebuje słonéj fali i burzy. Cwałuje jak na gryfonie, czasem go ona na księżyc niesie, czasem do kopalni złota, ale rzadko się zdarza żeby tam pozostał: nic nie ustali tego ścigacza złotego cielca. Posłannictwem jego krążyć wiecznie około mamony: dziś w kopalni, jutro w balonie.

Widząc ile porusza w swym biegu prawdy i kłamstwa, ile urojonych i rzeczywistych walorów potrąca, pytasz siebie czy taki człowiek nie jest w końcu użyteczny społeczności? czy krążenie pieniędzy po świecie nie jest tem czém owe prądy zdrowe, które poruszają i ożywiają ocean?

Tento typ mieniący, najruchliwszy z wszystkich, Balzak uosobił w swoim *Mercadecie.* Nieszczęście jego, że przybył zbyt wcześnie, bryczką przebywa przestrzenie które późniéj przebiegają expresy.

Ruch wielkich operacyi finansowych poczyna się zaledwo kiedy Balzak pisał tę sztukę. Gra na giełdzie tak się miała do dzisiejszéj, jak ćwik do faraona. Spekulacya w dzieciństwie, jak w piłkę grała w drobny spadek lub podwyżkę. Dziesięć tysięcy dochodu były wtedy majątkiem, kilka tysięcy, stratą. Czemże jest dług Merkadeta w porównaniu z dzisiejszemi deficytami? Ażeby wyłudzić trzy tysiące od wierzyciela, Merkadet więcéj głowy nałamie, niżby dziś potrzeba dla dostania miliona. Geniusz jego w zbyt ciasném miota

się kole: wielorybią wędę zarzuca dla wyłowienia płotki z mętnéj wody.

Ale charakter człowieka góruje nad okolicznościami małych rozmiarów: typ jest zupełny w małéj ramie.

Takie tragi-komedye pieniężne są arcydziełami Balzaka. Pieniądz jest nerwem, sprężyną jego dzieła; ilekroć pieniędzy dotknie zapala się... styl jego dźwięczy, opromienia się łuną luidorów. Balzak je lubi artystycznie, jako alchemik-moralista, który widzi namiętności ludzkie i wszystkie tajemnice społeczne zgęszczone w złocie. Nikt téż z pieniędzy nie potrafił wydobyć więcéj łez i potu któremi przesiąkłe.

Za naszych czasów złoty cielec urosł ogromnie, stał się jakimś potwornym bykiem Falarisa, pełnym niepokoju i męki wewnętrznéj. Rana pieniężna, dawniéj lekka, zaogniła się działaniem czasu i okoliczności, ludzie ciągle nań cierpią i często z niéj umierają. Balzak tę ranę zgłębia, nadaje ogniste życie współzawodnictwu interesów, które stanowi grunt tegoczesnego istnienia. Z cyfer bankructwa, z wypadku likwidacyi, układa domowe tragedye. Wexel przez niego wystawiony, daje wzruszenie miłosnego listu.

Ztąd zajęcie Merkadetem, walką dłużnika z kredytorami. Odwaga i bujna wyobraźnia jaką jemu Balzak użycza, jedna mu współczucie widza. Merkadet walczy z losem bronią tak nierówną, tak wesoło wychyla kielichy goryczy, że najsurowszy moralista, odmawiając mu szacunku, poczuje jednak doń sympatyą.

A ileż dowcipu wyszafuje w braku pieniędzy na płacenie dłużników! perły rzuca przed krokodyle! Od początku do końca płynie tam potok słów trafnych, widzisz wypukłe rzeźby i obrazki nacechowane nauką wziętą z doświadczenia. Gdyby złote słówko Mercadeta przyjmowano w banku, wierzyciele jego byliby zapłaceni w pierwszym akcie.

Patrząc na ten utwór wyjęty z teatru Balzaka, żal że go śmierć zniszczyła w zarodku. Balzak pod koniec życia namiętnie się oddawał sztuce dramatycznéj. Długo oblegał scenę przygotowując szturm, opasywał ją przedstępnemi studyami jak przekopami i coraz więcéj się doń zbliżał. Dzieło jego w tém oryginalne, że głębokość dorównywa wysokości gmachu. Fundamenta schodzą tak nisko, jak wysoko podnoszą się mury; podobne są do owych budynków średniowiecznych, których zewnętrzne piętra powtarzają się pod ziemią. Na górze wspaniałe schody, galerye malowane po których krążą tłumy, na dole ciemne korytarze, niskie sale, lochy bez powietrza, ni światła.

Balzak rzucił w czytelnie przeszło sto tomów nieznośnych, zanim wydał romanse które wsławiły jego imię. Podobnie trzy czy cztery złe sztuki posłużyły mu do przygotowania teatru, który byłby może w swoim rodzaju dorównał *ludzkiej komedyi*, gdyby śmierć nie przerwała pracy. *Vautrin* i *Quinola* były jego piérwsze próby sceniczne, potém przyszły *Pamella Girand i Macocha*, już znakomita: w późniejszych utworach Balzak owładnął scenę. Talent jego po-

dobnym był do owego lwa Miltona, który długo nie może wybrnąć z gliny chaosu, ale raz wyszedłszy z błota, rozwija kształty potężne i swoje odziedzicza państwo. *Merkadet* pośmiertna komedya Balzaka, pokazuje jak wiele sztuka dramatyczna w nim utraciła, świadczy, na granicy jakich podbojów, nieubłagana śmierć go zatrzymała.

---

Teatr Liryczny pod dyrekcyą pana Pasdeloup przedstawił *Ifigenią* Glucka, operę nie widzianą w Paryżu od lat pięćdziesięciu. Jestto ważny wypadek muzyczny, dla prawdziwych artystów uroczystość nie lada. Muzyka Gluck'a nie stara, ale starożytna, ma trzeźwość potężną i prostotę greckiéj epopei: usiłuje on wyśpiewać myśl i wzniosłe czucie. Styl jego muzyczny taki jak styl Hellenów, którzy sobie wyobrażali harmonią w postaci brzmiącego posągu Memnona. Gluck żłobi tony.

Tragedyą liryczną rozpoczyna nawałnica dźwięków. Straszliwa burza wyrzuca na dzikie brzegi Taurydy, dwóch przyjaciół: Orestesa i Pylada. W huku bałwanów, w rozpętanych wichrów wyciu, czujesz gniéw bogów, przekleństwa ich i groźby, słychać w grzmotach i gromach. Furye smagają morze. Błagalny chór kapłanek Diany rozpaczliwie walczy z nimi. Tragiczne głosy niewieście ulatują nad zwadą huraganu... chwilami utopione, znowu wypływają na skrzydłach w niebo-płynnéj prośby. Po burzy fizycznéj; następuje moralna nawałnica zakłóconéj duszy. Ifigenia opowiada sen swój, który przedłuża grozę uwertury. Po tém arcykapłanka Diany śpiewa do bogini, która jéj ocaliła życie, modlitwę jasną, czyniącą wrażenie tęczy na czarnéj chmurze.

Po téj scenie, przybywa Toas, barbarzyński król Scytów i żąda dla przebłagania Bóg, krwi dwóch cudzoziemców których mu wydał ocean. Dzika horda zapełnia scenę i odzywają się chóry straszne. Wśród klasycznéj tragedyi szorstka szekspirowska brzmi nuta. Malowniczy taniec Scytów naśladuje napad wojenny, istny taniec szatanów, przenoszący gdzieś w lasy barbarzyńskiego świata który malował Tacyt. Wojownicy kołują przy czerwoném ognisku; opodal kapłani i kobiety stoją nieruchome obok bożyszcza, która z otwartą paszczą na ofiarę swą czeka.

Drugi akt rozpoczyna dyalog dwóch przyjaciół okutych w kajdany. Śpiew ich wskazuje różnice ich charakteru: pieśń Orestesa zdradza spiorunowanego Tytana co rzuca pozew niebiosom. Słuchając jego śpiewu, zda ci się że słyszysz Ajaxa bluźniącego bogom w bitwie *Iliady*.

Pieśń Pylada słodka i rzewna, wyraża najczystsze uczucia braterskiéj miłości. Kołysze wyrzuty sumienia matkobójcy, usypia węże co je gryżą. Orestes się ukaja: ale orkiestra nie przestaje szlochać i złorzeczyć. Szczytne natchnienie w téj sprzeczności! Stłumione sumienie wyrodnego życia, przeniosło się w orkiestrę i zdaleka go dręczy.

Uśpionego Orestesa oblegają Furye, straszne jak Eumenidy Eschylesa. W tym obrazie, jak w piekielném zejściu *Orfeusza*, pogańska fantazya góruje. Piekło mitologiczne nie takie malownicze jak chrześciańskie, ale straszniejsze, bo nic okropniejszego jak ciemności.

Przed wchodzącą Ifigenią pierzchają Furye. Orestes opowiada jéj, nie wyjawiając swego nazwiska, zamordowanie Agamemnona: żałość posępna w całém jego *recitativie* rozlana. Zwady Cor Nocy przypomniały nam Eschylesa tragedye; chór towarzyszek Ifigenii opłakujący stratę ojczyzny, przywodzi na myśl tragedye Eurypidesa. Jestto elegia czysto grecka, piękna w boleści: łzy spływają po jéj licach nie psując wdzięku, jako krople deszczu po twarzy smutnego posągu.

Trzeci akt zapełnia współzawodnictwo w poświęceniu, równa walka dwóch wielkich dusz. Ifigenia uwiadamia Orestesa i Pylada, że jednego z nich od śmierci wybawi i powierzy mu do Grecyi poselstwo. Obaj przyjaciele domagają się skonu, jeden bez drugiego pozostać nie chce: melodya równym rytmem bijąc, jak dwa białe skrzydła, rwie się do poświęcenia. Ale Ifigenia instynktem krwi wiedziona, wybiera Orestesa na posła do Grecyi.

Wtedy następuje pomiędzy przyjaciołmi przecudny duet: spierają się z sobą chcąc ocalić jeden drugiego. Wtém powracają furye. Orestes porwany znowu rozpacznym szałem, otwiera duszę przed przyjacielem i prosi go o śmierć, jak o dobrodziejstwo.

Pylades ustępuje. Orestes umrze. Ifigenia zmuszona smutnym obowiązkiem kapłanki do dania hasła skonu, błaga Diany żeby jéj użyczyła swéj mocy. Hymn kapłanek, preludium do ofiary, ma piękność płaskorzeźby Panatheneu: wolny od myśli ludobójstwa, z krwawéj świątyni Taurydu przenosi do Parthenonu —przybiera dostojeństwo greckiéj ofiary. Słuchając tonów zdaje ci się że widzisz processyą starców siwobrodych, wspartych na auguralnych laskach, że patrzysz na dziewice niosące kosze kwiecia na ołtarze i dzieci ciągnące tam kozlów za rogi. Orestesa wiodą do ołtarza ogirlandowanego różami: kapłanka na jego czoło wyléwa oczyszczającéj wody czaszę Wtedy on woła: „Tak zginęłaś w Aulidzie Ifigenio, siostro moja."

„Bracie mój!" woła Ifigenia, skoro wyrzekł jéj imię, poznała go, zanim ją siostrą nazwał, ujrzała błyskawicę prawdy, zanim jéj grzmot usłyszała. Obadwa wykrzykniki w jednym mięszają się porywie. Jestto ostatni genialny rys partycyi. Następujące sceny: skon Toasa ugodzonego przez Pylada, utarczka Scytów z Grekami, finalna interwencya Dyany, giną w odmęcie harmonii. Tragedya kończy się jak zaczęła, burzą tylko mniéj ogromną.

*Orfeusz* Glucka, więcéj zajmuje niż jego *Ifigenia*: miłość kochanków w niéj nie obecna. Tragedya jak jéj kapłanka, czystość ślubowała. Muzyk nie opuszcza nuty smutku lub rozpaczy. To położenie trwałe, równie nieruchome jak pomnikowa grupa z marmuru, to ciągłe brzmienie strun poważnych bolesnéj liry, może

zmęczyć tegoczesną uwagę przywykłą do rozmaitości. Nigdy téż Gluck ściśléj nuty do słów nie przystosował: słuchacz pragnąłby żeby tchnienie melodyi częściéj poruszało fałdy draperyi przylegającéj do formy poematu. Letejska rzeka nie zawsze tu płynie, czasem drzemie w orkiestrze. Ale uznawszy te niedostatki; nie można dość podziwiać wzniosłości stylu, wymowy, stopniowania akordów, ilości łez, pewności obrysów, który nadaje śpiewom kształt wielkiéj architektury lub rzeźby. Tém gorzéj dla publiczności, jeżeli nie może już smakować w tych boskich wdziękach, jeżeli kilka godzin spędzonych w świątyni, za długie jéj się wydają. Upadek sztuki zaczyna się w dniu, w którym cześć poważnych bogów zniesiona.

---

Dwudziestego listopada Akademia Napisów odbyła swoje doroczne posiedzenie pod prezydencyą Leona Renier. Zajęcie tego posiedzenia stanowiła *Biografia księcia Alberta de Luynes* skreślona i odczytana przez wieczystego sekretarza akademii pana Guigniaut.

Studyum uczonego sekretarza jest piękną kartą historyi, ożywioną od początku do końca wolnomyślnością uczciwą, która przenika i buduje słuchaczy. Nigdy téż akademia nie miała do opowiedzenia zacniejszego żywota.

Książe de Luynes nie był tylko jednym z ostatnich reprezentantów arystokracyi francuzkiéj, ale nadto, był jak to powiada biograf „jednym z tych rzadkich ludzi, którzy jeszcze przed 1789 r. zrozumieli że wielki pan może już tylko być wielkim obywatelem." Książe miał umysł silny, charakter prawy i niepodległy, erudycyą dorównywał najpierwszym archeologom. Używając rozumnie i wspaniałomyślnie jednéj z największych fortun ziemskich Francyi, przynosił zaszczyt naukom, dodał nowego blasku dwuwiekowéj sławie swego imienia.

Pan Guigniaut opowiedział wymownie życie tego męża, jego czynne poświęcenie dla kraju i nauki, jego dobroczynność, hojność, odwagę w najboleśniejszych kolejach osobistych, słowem wszystko co w tém istnieniu było przykładem dla drugich. Dawno nie słyszeliśmy tak pięknego i pięknie wypowiedzianego życiorysu w Instytucie Francuzkim.

Piérwszy medal za starożytności francuzkie, akademia przyznała panu Julianowi Labarte, za pracę pod tytułem: „*Histoire des arts industriels au moyen Age.*"

Bogata ta publikacya, owoc dwudziestoletnich badań i poszukiwań, składa się z czterech grubych tomów i dwutomowego albumu. Wydawca Morel użył do tego dzieła przepychu na jaki zdobyć się może typografia francuzka, do wykonania jednéj planszy posługiwał się często fotografią, litografią i malarstwem. Dziwna téż z téj kombinacyi wynikła doskonałość.

Drugi medal za starożytności francuzkie, otrzymał ksiądz Pécheur, za „*Annales du diocèse de Soissous.*” Księga obfituje w rzadkie dokumenta. Autor modelował się na sławną „Historyą dyecezyum paryzkiego” księdza Lebeuf pomnik erudycyi francuzkiéj, któréj nowe wydanie wydał właśnie bibliotekarz księgozbioru Mazarina p. Cocheris. Praca księdza Pécheur tém godniejsza zachęty, że bardzo rzadko się zdarza żeby proboszcz wiejski tak wytrwale zajmował się tak głęboką erudycyą.

Nagrodę Goberta za najuczeńsze dzieło historyczne, akademia na témże posiedzeniu przyznała panu Leonowi Gautier, za jego piękną pracę pod tytułem „*Les Epopées Françaises. Etude sur les origines et l'histoire de la littérature national.*” Wyszły już trzy potężne tomy tego dzieła, a do końca jeszcze daleko.

Od dawna akademia nie miała do wieńczenia pracy tak uczonéj i zupełnéj. Jestto stara narodowa poezya francuzka schwytana na gorącym uczynku. Czuć tu wielką duszę która natchnęła krucyaty. Wszyscy bohatérowie dziejów legendowych Francyi, począwszy od Karola Wielkiego, aż do Rolanda, wszystkie olbrzymie marzenia wielkiego narodu usnute w przeciągu piętnastu wieków, żyją w téj księdze wskrzeszone ręką uczonego, który dość głęboko sięgnął w wnętrzności narodu, żeby w nich odnaleźć źródła życia przodków.

Praca Leona Gautier na osobny szczegółowy rozbiór zasługuje. Wrócimy do niéj kiedyś, skoro będzie ukończona.

Nagrodę numizmatyki otrzymał p. Promis, konserwator medali w Turynie, za prace numizmatyczne wydawane od lat wielu, a których tom ostatni wyszedł w tym roku.

Drugą nagrodę Goberta dano panu Michelet, korrespondentowi Instytutu Francuzkiego za jego „Historyą handlu i żeglugi w Bordeaux za administracyi angielskiéj.”

Wielką nagrodę numizmatyczną Bordin'a odłożono na r. 1870.

---

Karol Mazade wydał w jednym tomie swoje artykuły ogłoszone w Revue des deux Mondes, pod ogólnym tytułem „*Les révolutions de l'Espagne contemporaine.*” Poczyna od 1854 roku. W tém studyum autor idzie krok w krok za ruchem politycznym, którego Hiszpania dokonała w ciągu ostatnich lat 15-stu; wykazując tę pracę rozkładu, któréj każdy rozdział książki stacyą znaczy.

Badania p. Mazade tworzą wstęp do wypadków które się dziś przed oczyma naszemi rozwijają, tłumaczą je, wykazując ich przyczyny.

Książka pana Mazade w bardzo liberalnym duchu napisana.

— Pan Champleury wydał p. t. „Koty” książkę pełną ciekawych spostrzeżeń. Są tam nawet rozdziały napisane z erudycyą o kotach w Starym Egipcie, na Wschodzie, u Greków i Rzymian. W innych nauczające znachodzimy szczegóły o rasie kociéj, inne nakoniec o przyjaciołach i nieprzyjaciołach kotów, mogą ubawić.

Od pana Champfleury dowiedzieliśmy się iż rzeczpospolita francuzka dodała kota do swojego herbu; symboliczna postać wolności nie raz była przedstawiona z kotem i ptakiem uciekającym, w allegoryach Prud'hon'a kot siedzi u nóg bogini. Myśl téj allegoryi powstała z charakterystyki kotów skreślonéj przez Chateaubrianda. „Lubię w kocie, mówił on, ten charakter niepodległy, prawie niewdzięczny, który sprawia że koty nie przywiązują się do nikogo; lubię tę obojętność z jaką przechodzą z salonu do swojéj rodzinnéj rynny. Głaszcz kota, on się niby łasi, ale to z przyjemności fizycznéj jakiéj doznaje, a nie jak pies, z głupiego zadowolenia iż kocha i wierny jest swemu panu który jemu kopnięciem dziękuje. Kot żyje sam; nie potrzebuje towarzystwa; słucha wtedy jedynie kiedy chce; udaje śpiącego żeby lepiéj widział co złapać może."

— Wyszły we francuzkim przekładzie Perrot'a „*Essai sur Talleyrand*" napisane przez Bulwer'a. Także „*Oeuvres et la Doctrine de Machiavel*" przez Pawła Deltuf i nowe tłumaczenie „*Force et matière*" przez Buchnera.

— Wyszły z druku „*Œuvres completes de Chasles Baudelaire*" w 4-ch tomach poprzedzone przedmową Teofila Gautier.

— Wyszedł piąty tom dzieła: „*Histoire de la Réformation en Europe*" przez pana Merle d'Aubigny. Zawiera ważny okres, w którym Anglia zrywa z Rzymem, a reforma zwycięża w Genewie.

— Artur Boissieu wydał „*Lettre d'un passant.*" Są to portrety ludzi tego wieku, anegdoty i fantazye; styl gładki i wiele dowcipu, stawią ten tomik w rzędzie utworów literatury pięknéj.

# WIADOMOŚĆ

## o ulicy Bazyliańskiéj w Warszawie.

Do rzędu nieznanych zupełnie dawnych ulic Warszawy, z powodu niezamieszczenia ich ani w planach ani w taryffach tego grodu, należy zaliczyć także ulicę Bazyliańską. Nader krótkie jéj istnienie pod tém mianém, bo zaledwie przez lat kilkanaście w drugiéj połowie XVIII wieku, tém więcéj utrudniało oznaczenie jéj ubikacyi, gdy ani przez magistraty ówczesne nie była wyrażaną w księgach podatkowych, ani nie zachowano jéj nazwy w późniejszych czasach, zwłaszcza od r. 1784, chociaż część ta miasta w postaci ulicy dotąd istnieje. Że zaś rozciągała się na gruntach do wsi niegdyś Ujazdowa należących, a posiadacz ówczesny tejże król Stanisław August, różnym mieszkańcom wypuszczał grunta przy niéj położone na czynsze i plenipotenci jego zamieszczali ulicę Bazyliańską w konsensach emfiteutycznych; dla zapobieżenia zatém mogącym się wytoczyć sporom, jak to z ulicą Tytuniową, Kokoszą i innemi miało już miejsce, uważamy za rzecz użyteczną, stanowczo ją określić, przy oznaczeniu rozciągłości i domów, jakie przy niéj były położone.

Nazwa jéj pochodziła od pierwszego klasztoru OO. Bazylianów, jaki w tamtych stronach zaczęto murować za Stanisława Augusta. Zwiększająca się w czasie tego panowania ilość mieszkańców Warszawy, wyznających religią greko unicką, skłoniła Stany rzeczypospolitéj, iż na sejmie warszawskim w r. 1768 uchwaliły konstytucye pod tytułem *Approbacya funduszu OO. Bazylianów na Ujazdowie* w treści następującéj (1).

„Fundacyi OO. Bazalianom prowincyi koronnéj na Ujazdowie placu naszym dziedzicznym, z przykupieniem dóbr za 200,000 złp.

(1) Vol. Leg. VII f. 345.

a nie więcéj pro subsistentia osób zakonnych pozwalamy, a to dla wygody ludu w obrządku ruskim zostającego i publicznéj usługi, którą uczeniem języków greckiego, słowiańskiego skoropism zwanego i innych czynić będą."

Zakupione w tym celu grunta obejmowały dzisiejsze posessye pod Nrami 1713a, 1713b i 1713c położone. Na tych posiadłościach a zwłaszcza na dzisiejszéj pod Nr. 1713a zaczęto wznosić klasztor, przyczém powystawiano także dosyć budowli gospodarskich. Że zaś skromna summa wyznaczona nie była wystarczającą, król znacznym zasiłkiem wsparł te fundusze, które jeszcze zwiększone zostały kapitałami, własnością OO. Bazylianów będącemi i zebranemi składkami. Ogólną administracyę nad powyższemi budowlami, powierzono księdzu Komarkiewiczowi z Supraśla powołanemu. Gdy jednak wszystkie te wpływy, okazały się być niewystarczającemi, rzeczony kapłan wpadł na myśl, iżby zebranemi kapitałami, zaprowadzić handel drzewem, cegłą, wapnem, a dochody z sprzedaży tych materyałów, miały posłużyć nietylko na budowę klasztoru i kościoła, ale i na zupełne ich wykończenie dla całego zakonu. Wypadki późniejsze wstrzymały rozwój ten planu. Założone fundamenta i nieco wyniesione mury klasztoru, były całym owocem tylu funduszów, a śmierć nastąpiona księdza Komarkiewicza, dokonała zupełnego zaprzestania tych budowli, które następnie przezywano placem lub folwarkiem Bazyliańskim. Grunta rzeczone zajął znów Stanisław August dawszy w zamian Bazylianom klasztor i kościołek po Bernardynkach w Krakowie, same zaś mury dotrwały do r. 1824, w którym użyto je w części na nowe budowle prywatne, a w części rozwalono (1). Z hojności pobożnéj Metropolity Jazona Junoszy Surogowskiego, Bazylianie mieli sobie następnie wystawiony w r. 1781 dzisiejszy klasztor i kościół przy ulicy Miodowéj.

Dokładny i pewny dowód ubikacyi ulicy Bazyliańskiéj, obejmują szczegółowe wymiary z roku 1790 w dawnych aktach Warszawy znajdujące się, a mianowicie opis nieruchomości Nr. 1756, wówczas własnością Romaniusa generała wojsk rossyjskich będącéj. Z tych to szczegółów niewątpliwie jest przekonanie, że całą przestrzeń dzisiejszéj ulicy Pięknéj, zacząwszy od ulicy Mokotowskiéj aż do Alei Belwederskiéj, przezywano ulicą Bazyliańską. Podług wymiarów z roku 1784 szerokość jéj w zetknięciu z aleją Belwederską, wynosiła łokci koronnych 28, długość zaś po stronie

(1) J. Bartoszewicza *Kościoły Warszawskie* str. 297 i 298.

posessyi Nr. 1756 była łokci 344½, zaś po stronie folwarku Bazyliańskiego łokci koronnych 376 ćwierci 2; miała zatém powierzchni około łokci kwadratowych 10,080. Idąc od Mokotowskiéj ulicy, lewy bok jéj zajmował front posiadłości Nr. 1756, a prawy obejmowały części frontów posiadłości Nr. 1713a i 1713b.

Kazimierz Karaś kasztelan wiski jako plenipotent króla Stanisława Augusta, wyraża tę ulicę w dwóch konsensach czynszowych udzielonych w roku 1771 dla Jana Godfrieda Sartaryusza, z których jeden z dnia 7 marca jest roborowany w aktach grodzkich warszawskich pod dniem 20 marca roku 1772. Szczególniejszą koleją zmiennych losów, spokojne pierwotne klasztorne schronienie pod Nr. 1713b zamieniło się dzisiaj na okrzyczaną Dolinę Szwajcarską, gdzie publiczność warszawska chciwa gwarnych rozrywek, przysłuchuje się nieraz przyjemnéj muzyki, a szczególnie wsławionéj orkiestry Bilsego.

Pisałem w Warszawie
dnia 30 czerwca 1865 r.

*Alexander Wejnert.*

# PISMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

### *Pisma peryodyczne w r. 1868.*

Ciekawe to jednak zjawisko, tyle pism peryodycznych w naszym kraju; w roku zeszłym było ich 30, a każde żyło odrębnie, swém własném życiem, swą własną atmosferą. Porównywając stan dzisiejszéj prassy peryodycznéj z przeszłością niezbyt nawet odległą, znowu pociecha, bo zastęp czytelników i piszących wzrósł do niespodziewanej ilości. Wszyscy pragną czytać i wszyscy pragną pisać, a dążność do tego rodzaju zajęcia i zabawy jest ogólna. Nie chcemy porównywać naszéj prassy peryodycznéj z zagraniczną, bo takie porównanie nie byłoby ani właściwe ani rzetelne. Dziwimy się jak przy naszych środkach tak ograniczonych, przy tylu rozmaitych kłopotach, przy zupełnym braku funduszów i kredytu, rodzą się ciągle pisma peryodyczne i żyją. Życie to bez względu na jego użyteczność, jest zawsze godne szacunku i dlatego wytykać w niém błędy byłoby niesprawiedliwością.

Siedem mamy pism zajmujących się polityką i życiem bieżącém: Dziennik Warszawski, Gazeta Warszawska, Gazeta Polska, Gazeta Handlowa, Kuryer Warszawski, Kuryer Codzienny i Kuryer Lubelski.

*Dziennik Warszawski* jest organem urzędowym. Ogłasza przedewszystkiem wszelkie rozporządzenia i prawa dla kraju naszego wydawane. Obejmuje w większych rozmiarach politykę, wypadki miejscowe i rozmaitości. Ciekawa jest zawsze kronika sądowa, wiadomości statystyczne, rozumowania z ekonomii politycznéj, finansów i inne. Jest także feileton który podaje powiastki i wiadomości z literatury, teatru i z życia społecznego.

*Gazeta Warszawska* i *Gazeta Polska* są to dwie siostry złączone sercem a rozłączone interesem. Obie podają czytelnikom swoim: przegląd polityczny, wiadomości polityczne, wiadomości

krajowe, korrespondencye, nowiny, ciekawości, feileton. Z rozmów tych siostrzyc pokazuje się, że Gazeta Polska wyciąga ręce do Marsa, uważa, że on tylko jeden mieczem może przeciąć wszystkie kwestye. Gazeta zaś Warszawska odzywa się ostróżnie, delikatnie, loicznie, matematycznie jak Minerwa przebrana za dyplomatę, lub dyplomata przebrany za Minerwę, która jest prawie przekonaną że wszystkie zachcenia wyperswadować można. Gazeta Polska co miesiąc ma zajmującą Kronikę paryzką, Gazeta Warszawska ma znowu wyborne korrespondencye polityczne, które dokładnie odkrywają bieżące życie Europy. Gazeta Polska często zamieszcza naukowe artykuły, popularnie obrobione, stawiając czytelników na wysokości nauki i postępu donosi o wszelkich objawach u nas z muzyki, malarstwa i rzeźby. Gazeta Warszawska naukowo rozbiera wszelkie znakomitsze dzieła i podaje z nich ważne szczegółowe wiadomości, niepomijając nowin ze sztuk pięknych. Przy Gazecie Warszawskiéj jako pismo dodatkowe wychodzi *Korrespondent* rolniczy, handlowy i przemysłowy. W dodatku tym szczupłym, często znajdują się ważne i ciekawe przedmioty z rolnictwa, nauk przyrodniczych, z przemysłu i handlu. Z życia teatralnego Gazeta Polska bez żadnéj zwłoki po każdém nowém przedstawieniu zaraz pod wpływem wrażenia ogłasza sprawozdania; Gazeta Warszawska nie zawsze spieszy się z takiemi sprawozdaniami i z rozmysłem przedstawia swoje estetyczne poglądy. Feiletony obu gazet najczęściéj zapełnione są powieściami i romansami większych rozmiarów, z których czytelnikom co dzień dostaje się po kawałku. Gazeta Warszawska jest najdawniejszém pismem polityczném warszawskiém. Założona w XVIII wieku, przetrwała do dni naszych. Najwyżéj ją podniósł i rozwinął śp. Antoni Lesznowski; Gazeta Polska jest dalszym ciągiem Gazety Codziennéj,

*Gazeta Handlowa*, dotąd w małym ćwiartkowym formacie wychodzi codziennie. Pismo poświęcone handlowi, przemysłowi fabrycznemu i rolniczemu. We wstępie daje treściwą wiadomość wypadków politycznych, a następnie wyjaśnienia, telegramy i nowiny ze świata handlowego. Od 1 stycznia roku przyszłego redakcya powiększa format. Dotąd dziennik ten podając jak najspieszniej: ceny produktów, towarow, kursa wszelkich papierów, monety, wexli, numera wylosowanych premiów, ilość dostaw, zakupów i t. d. oraz *rozporządzenia* celne, jest podręcznikiem dla handlujących bardzo użytecznym.

*Kuryer Warszawski* i *Kuryer Codzienny* dwaj nowiniarze, których pełno na wszystkich ulicach Warszawy, jeden mają przedmiot, jedną formę, to jest podobne ciało i podobną duszę. Są to dwa bliźniaczki, z których jeden o lat czterdzieści starszy od drugiego. Kuryer Warszawski znacznie odstąpił od dawnego kuryerowskiego programatu i tem pociągnął za sobą swego towarzysza. Stał się więc reformatorem. Oba Kuryery, ani podobne

do tego czém były przed rokiem. Z naiwnych, lakonicznych i optymistycznych stały się rozumującemi, spoważniały w tonie ogólnym, a krotochwila zajęła osobną rubrykę przy końcu w rozmaitościach. Wyznać należy iż Kuryer Warszawski przy zmianie redakcyi w tym roku, zaraz obsadził wszystkie posterunki odpowiednimi pracownikami, tak że notatki i opinie, nie tworzą się dorywczo i bezsystematycznie, ale idą w pewnym kierunku stałym według jednéj idei, prowadzą się z namysłem i widoczną chęcią intellektualnego pożytku. Kuryer Warszawski coraz więcéj schodzi na gazetę mniejszych rozmiarów: oprócz bowiem działów wymagających obszerniejszego miejsca, jak powieści, krytyka, nauka i t. p. wszystkie inne kwestye, zwłaszcza kronika faktów codziennych z każdéj gałęzi życia, traktuje się tam w tonie i według zasad większych dzienników. Podobnież postępuje i Kuryer Codzienny, który tém się jeszcze odznacza, że obok innych kwestyj zwraca szczególniejszą uwagę na kwestye przemysłowe i ekonomiczne. Fabryki, warsztaty, różne przedsiebierstwa, inicyatywy nawet w tych gałęziach nieustannie figurują na jego szpaltach, co mu nadaje pewną barwę realistyczną. To więc niezależnie od formy odróżnia go poniekąd i w treści od Kuryera Warszawskiego, w którym wybitniejsze są strony estetyczne. Zdaje się jakoby formą i dążnością Kuryer Warszawski zmierzał więcéj ku salonom, a Kuryer Codzienny ku siedzibom pracującym, a jednak nie ma téj wybitnéj wyłączności, ani po jednéj ani po drugiéj stronie i być jéj nie może, bo odcienia społeczeńskie u nas zbyt są liczebnie szczupłe, aby pismo takie do pewnych tylko sfer zastosowane być mogło: życiem więc takiego pisma jest popularność. Każde musi obok pewnéj barwy głównéj na wszystkie sfery mieć zwróconą uwagę.

Bruno hr. Kiciński utworzył Kuryera Warszawskiego i wydawać zaczął w r. 1821 w podłużnéj ćwiartce, sześć razy na tydzień wyjąwszy soboty. W drugim roku odprzedał pismo to L. A. Dmuszewskiemu, który je rozwinął, powiększył i upowszechnił tak, że Kuryer stał się przedmiotem ulubionym wszystkich klass mieszkańców Warszawy.

*Kuryer Lubelski* wychodzi w Lublinie od d. 1 stycznia 1865 roku, dwa razy w tydzień. Na wzór Kuryerów Warszawskich dla obznajmienia mieszkańców z wypadkami Europy, kraju i okolicy, p. Jul. Liedtkie utworzył to pisemko prowincyonalne. Prócz rozporządzeń rządowych, wiadomości politycznych, nowin i nowinek miejscowych i zamiejscowych, któremi Kuryer Lubelski jest zapełniony, redaktor stara się jeszcze zająć czytelników powiastkami, poezyą, polemiką, ucinkami, wiadomościami z literatury, nauk przyrodzonych, zjawisk i t. d.; najważniejsze są nowiny miejscowych wydarzeń i opisy historyczne pamiątek tamecznych, które czas niszczy. Pismo starannie wypełnia zadanie swoje i zasługuje pod każdym względem na poparcie.

Nauka i poważniejsza literatura mają u nas organa swoje. Oprócz Biblioteki Warszawskiéj, któréj przedmiotem jest: nauka, literatura i umiejętności; mieliśmy w r. 1868 dziesięć pism peryodycznych, z których każde zajmowało się wyłącznie specyalną nauką lub umiejętnością. Pismami temi są: Ekonomista i Merkury, Przegląd sądowy, Gazeta rolnicza, Przegląd katolicki, Zwiastun ewangieliczny, Izraelita i pisma lekarskie: Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego naukowego, Gazeta lekarska, Klinika i Tygodnik lekarski.

*Ekonomista* z d. 1 października 1865 r. wychodzi zeszytami co miesiąc. Pismo to z szczególną wytrwałością i zamiłowaniem oddaje się ekonomii polityoznéj (1): nauce, która w naszym wieku nadzwyczajne ma znaczenie. Z niéj to wytwarza się potęga państw, ona sama oznacza wysokość zdolności zarządu stopniami jak na barometrze. Ona rozbija wszelkie namiętności i fantazye i prowadząc ludzkość do dobrobytu materyalnego, zarazem rozwija cały skarb umysłowy, a za nim szlachetne uczucia. Pismo poświęcone u nas wyłącznie takiéj nauce, zasługuje na przyjęcie najżyczliwsze i szczególne poważanie. Lecz jak do ziarna dzielnego potrzeba przygotować rolę, przez poprzednią stosowną uprawę, tak i dla ziarn Ekonomisty potrzeba czytelników nietyle usposobionych wysoko, ile takich którzyby poznawszy ważność przedmiotu, chętnie się chcieli do niego zbliżyć a reszta sama się znajdzie. Ziemianie nasi powinniby się przekonać że bez téj nauki, trudno z najlepszemi nawet chęciami spełniać pożytecznie obowiązki obywatela, jeśli przedmioty do tych obowiązków przywiązane, są dla ziemian niezrozumiałe. Ekonomista przynosi tu wyjaśnienia bardzo dokładne a nawet popularne i rozwija zasady które do rozwagi i myślenia obudzają. We wstępie redaktor Ekonomisty wykazał znaczenie téj nauki w cywilizacyi nowoczesnéj. Następnie, rozbiera w swém piśmie kwestye bieżące bardzo ważne. Zwraca uwagę na potrzeby kraju naszego a w tym kierunku godne są pamięci następujące artykuły: Rys historyczny budżetu w Polsce; O cyrkulacyi pieniężnéj w Królestwie Polskiem; Kilka słów o cyrkulacyi; O instytucyach kredytowych ziemskich w Europie ze szczególnym względem na Towarzystwo

(1) Ekonomista, Ekonomią polityczną nazwał Ekonomiką i nazwę tę, jako techniczną i ostateczną pragnie przyswoić do wykładu nauki i do konwersacyi. Zamiar ten stara się usprawiedliwić w przypisku zaraz do wstępu dziennika. Ekonomiką u nas nazywają zwykle małe oszczędności w małych gospodarstwach. Dotychczasowa nazwa Ekonomii politycznéj ma już wyrobione i ustalone znaczenie i daje najlepsze wyobrażenie o przedmiocie, zrozumiałe już przez ogół. Nazwa ta nawet wygląda szlachetniéj. Dogodniéj więc brać nazwę ze znaczeniem nienasuwającém żadnéj wątpliwości, jak wprowadzać nową, z którą się dopiero oswajać potrzeba, co nie ułatwia nabycia nauki.

Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiém; Porównanie stanu produkcyi rolniczéj w Królestwie Polskiém z głównemi zasadami ekonomii; Kommunikacye lądowe i wodne w Królestwie Polskiém; Materyały do historyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiém; Zarysy dawnéj statystyki polskiéj; Prawa autorskie czyli tak nazwana własność literacka i artystyczna w Królestwie Polskiém; O loteryi a w szczególności w Królestwie Polskiém; Historya dawnych polskich miar i wag i t. p.

Przyszłość pisma tego zależy od samych czytelników. Garnąć się oni powinni z obowiązku do tak ważnego przedmiotu i wspierać pismo wszelkiemi siłami, bo brak wsparcia któryby zachwiał byt tak szacownej publikacyi, stanowiłby bolesny wyrzut dla ogółu.

Jako dodatek do Ekonomisty wychodzi *Merkury*. Tą nazwą i wizerunkiem tego bożka pogańskiego oznaczony goniec, roznosi najwcześniej zebrane wiadomości o stanie finansów, handlu, przemysłu. Dodatek ten jednak stanowi oddzielne pismo peryodyczne, bo kiedy Ekonomista raz tylko jeden co miesiąc się zjawia, Merkury przybywa regularnie co tydzień. W formie 8-ki objętości ćwiartkowéj a jednak drobnym ścisłym drukiem obejmuje mnóstwo interesujących przedmiotów. Wstęp Merkurego zawsze obejmuje: Tydzień finansowy, to jest stan targu i położenie ogólne. Tam w ruchach i kontorsyach handlowych, odbijają się rysy polityki jak rysy podeszłéj zalotnicy, która napróżno niedostatki swoje okrywa bielidłem, różem i muszkami. Prawda wychodzi jak szydło z worka. Z kolei następują: Kursa giełdy; Stan operacyi Banku Polskiego; Bilanse banków francuzkiego i angielskiego; w końcu: Skazówki i fakta bieżące. W tym oddziale Merkury w skróceniu lecz jasno, nietylko daje dokładne doniesienia o dziełach najświeższych jakie dotyczą Ekonomii politycznéj, lecz zarazem podaje z dzienników nowe zasady, dokonane przedsiębierstwa, zawiązywane towarzystwa i t. d.;—wszystko przedmioty wykazujące bieg życia umysłowego i materyalnego Europy. Ciekawy i nieobojętny na ludzkość czytelnik, w tym małym świstku odrazu widzi wszystkie potrzebne mu szczegóły zebrane z niemałą pracą i umiejętnie.

*Przegląd Sądowy.*—Idea sprawiedliwości jest tą duszą społeczeństwa, bez której ciało życie traci. Rozwijanie téj idei i uprawa ważnym jest przedmiotem dla każdego państwa, bo im dusza dzielniejsza i czystsza, tem i ciało dzielniejsze i czystsze. Wprowadzać sprawiedliwość w życie społeczne, nie jest tak łatwą rzeczą jak się to zdaje temu, który tylko wierzy w zdrowy rozum praktyczny. Rozum taki jest koniecznym warunkiem do wymiaru sprawiedliwości, lecz sam sobie nie wystarczy przy niezliczonych stosunkach towarzyskich. Aby dla ludzkości zapewnić sprawiedliwość, wieki składały i składają swoje myśli i doświadczenia, z których po-

wstają księgi praw i nauka ciągłéj wymagająca uprawy. We wszystkich cywilizowanych krajach, występują pisma peryodyczne jako organa wymiaru sprawiedliwości, które przynoszą swoje zbiory do nauki i swoje spostrzeżenia nad praktyką sądową. Jest to dozór przeciw zboczeniom i kierownik umysłowy wielkiego użytku. U nas w r. 1828 wychodziła Themis Polska, pismo nauce i praktyce prawa poświęcone; ustało w r. 1830. Zbiór tych miesięcznych zeszytów składa 8 tomów, które A. Heylman nauką i znakomitemi pracami zasłużony krajowi naszemu, opatrzył w r. 1836 spisem do praktycznego użycia bardzo użytecznym. Tam we wstępie wspomina: „Pismo to było jedném z najużyteczniejszych pism peryodycznych kraju naszego, gdyż zmierzało do wskrzeszenia życia naukowego w obszernéj i zawiłej dziedzinie obowiązujących prawodastw cywilnych i kryminalnych; do utrzymywania koniecznéj wzajemności i spojni między praktyczną i teoretyczną umiejętnością: do traktowania prawa środkami nauki i dobrą wiarą; do dozorowania praktyki duchem sprawiedliwości: słowem do ustalenia teoretyczno-praktycznéj nauki prawa: praktyka sądowa bowiem własnemu przemysłowi pozostawiona bez zasilania naukowego, puszcza się na bezdroża, wałęsa się i gubi w manowcach."

Po trzydziestu ośmiu latach przerwy z radością powitany został Przegląd Sądowy, jako dalszy ciąg Themidy. Trzy zeszyty pisma tego miesięcznego wyszło w r. 1868. O dwóch pierwszych zeszytach daliśmy czytelnikom naszym wiadomość w zeszycie grudniowym Biblioteki Warszawskiéj. Zeszyt trzeci obejmuje następujące artykuły: I. O różnicy między śmiercią cywilną z Kodexu Napoleona a pozbawieniem wszelkich praw z Kodexu kar głównych i poprawczych z r. 1847 ze względem na pośredni systemat Kodexu Cywilnego Królestwa Polskiego z r. 1825, przez H. Wiel. II. Pogląd historyczny na sądownictwo ludowe jako źródło instytucyi przysięgłych przez K. Mach. III. O lichwie (dokończenie) przez W. Prok. IV. Spostrzeżenia prawodawcze w sprawozdaniach z czynności IX Departamentu Rządzącego Senatu pomieszczone, przez H. Ch. V. Kronika Sądowa krajowa przez H. Ch. VI. Wiadomości bieżące. W prospekcie Przegląd Sądowy zapowiada, że jako pismo popularno naukowe poświęcone teoryi i praktyce prawa obejmie następujące przedmioty: 1. Prawo obowiązujące. 2. Prawo zagraniczne jako przedmiot badań naukowych. 3. Kronikę Sądową. 4. Przegląd i ocenienie dzieł prawnych. 5. Korrespondencye: i 6. Wiadomości bieżące i wykazy statystyczne o ile prawodawstwa dotyczą. Przeznaczeniem zaś Przeglądu Sądowego jest rozszerzać naukę i zamiłowanie prawa. Osoby redakcyą Przeglądu stanowiące są rękojmią, że pismo to odpowie zadaniu swemu.

*Gazeta Rolnicza.*—Już lat osiem liczy bytu swego; wychodzi w formacie arkuszowym raz w tydzień, pod godłem: „Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją." Rola i przemysł rolniczy, to

cała nadzieja bogactw naszych. Już dziś umysł bacznie i z wielkim zasobem nauki, wpatrywać się musi w ziemię i obrabiać ją umiejętnie, aby z niéj wydobyć spodziewane płody. Przeminął wiek złoty, dziś nie można spuszczać się na starą rutynę i na Opatrzność i głosić że jesteśmy szpichlerzem dla wszystkich zamorskich krajów. One ścigają i prześcigają nas we wszystkich punktach, a my dobrze że chociaż poźno zbliżamy się do ziemi, nie jako do naszego państwa, lecz jak do naszego warsztatu, który nas od głodu obroni. W tym zawodzie wiadomościami swemi dopomaga Gazeta rolnicza; przedstawia rozprawy, rady, spostrzeżenia, korrespondencye, rezultaty z doświadczeń na naszéj ziemi, opisy nowych maszyn rolniczych z rycinami, przypominki o czasie do właściwych robót, doniesienia o dziełach rolniczych, ceny produktów i t. d.: zgoła wszystko, co do dokładnéj instrukcyi dla myślącego gospodarza potrzeba. Żal nam tylko że Gazeta nie prowadzi swych czytelników kierunkiem jak Liebig i liczne grono jego współpracowników. Równie pożyteczne wiadomości przynosi Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy, który wychodzi jako dodatek do Gazety Warszawskiéj wspomniany powyżéj z tą różnicą, że w szczuplejszych rozmiarach nie może zamieszczać rozpraw obszerniejszych i jest tylko składem korrespondencyi, którą z różnych okolic kraju zbiera starannie Gazeta Warszawska, a nawet niektóre artykuły powtarza z Ziemianina.

Z trzech pism religijnych które u nas wychodzą, każde stawa w obronie i rozwijaniu własnego stanowiska: Pismami temi są: Przegląd Katolicki, Zwiastun Ewangieliczny i Izraelita.

*Przegląd Katolicki* powstał z Pamiętnika religijno-moralnego wychodzącego w Warszawie przez lat kilkanaście. Ukazuje się co tydzień od d. 1 stycznia 1863 r. numerami obejmującemi dwa arkusze w formie większéj ćwiartkowej. Przegląd porusza ciągle kwestye największéj doniosłości w naszym wieku, rozbiera i bada psychologiczne przyczyny i krytykuje ateizm, materyalizm, pozytywizm. Obszernie i gruntownie zastanawia się nad stosunkiem Pisma Świętego do nauk przyrodniczych, to jest nad kwestyą z któréj wypływa największa może liczba dzisiejszych sporów religijnych. Nie zapomina też uczcić pamięć świeżo zgasłych mężów prawdziwie zasłużonych kościołowi, objaśnia kwestye liturgiczne i obrzędowe lub dotyczące się archeologii kościelnéj. Daje sprawozdania z missyi katolickich. Kronika kościelna obejmuje prawie zawsze sam spis nowych dzieł lub broszurek. Pożądanem byłoby umieszczać jeśli nie rozbiór i sprawozdanie, to przynajmniéj wyjaśnienie treści. Zawsze Przegląd ma wielką zasługę z silnéj obrony wiary i kościoła.

*Zwiastun Ewangieliczny.* Dotąd ciągle drukowany był w Warszawie, w zeszłym roku dopiéro przeniósł się na Szlązk do Cieszyna zkąd przybywa do rodzinnego gniazda. Dlatego do pism tutejszych liczyć go należy. Raz w miesiąc zjawia się numer w formacie ósemki, obejmujący najwięcéj do dwóch arkuszy. Zwiastun

jest organem kościoła ewangielickiego. Zacięcie broni przystępu każdéj nowéj myśli dążącéj do jakiejbądź reformy w kościele ewangielickim. Z uniesieniem powstaje na nowe stowarzyszenie protestantów (Protestanten-Verein), które zawiązało się od lat kilku w Niemczech i ma na celu: „Odnowienie kościoła protestanckiego na podstawie ewangielicznego chrześciaństwa, oraz w duchu ewangielicznéj wolności, i w zgodzie z powszechnym rozwojem kultury nowoczesnéj." Zwiastun twierdzi, że się nie może odnawiać to co się starzeć nie może: starzeć się nie może prawda w kościele protestanckim, bo treścią jéj jest Bóg i biblia. Prócz wyjaśnień nauki swego kościoła Zwiastun przedstawia organizacyą kościoła i wykazuje, jakie prawa protestantom służą w rożnych miejscowościach. Przynosi także wiadomość o usiłowaniach i środkach przedsiębranych dla szerzenia protestantyzmu w krajach słowiańskich.

*Izraelita* wychodzi co tydzień; każdy numer składa się z arkusza mniejszego formatu. Wydawnictwo rozpoczęło się w kwietniu 1866 r. i trwa już rok trzeci. Dawniéj jako organ izraelitów wychodziło pismo tygodniowe Jutrzenka, przetrwało od lipca 1861 do października 1863 r. Izraelita, którego teraz jedynym celem religia izraelska, i jéj rozwijanie, na pożytek oświaty i moralności wyznawców, obznajmia czytelników z dziejami własnemi, z zasadami ich religijnego prawodawstwa, z utworami ich literatury starożytnéj i nowożytnéj. Przytem usiłuje walczyć z wstecznemi tendencyami, w jakich dotąd lud ten się utrzymuje. O ile może, dziennik ten budzi zajęcie swych czytelników i zaciekawia ich rozmaitemi szczegółami. Oprócz więc głównych rozpraw i artykułów składających początek każdego numeru, umieszcza powieści, kronikę krajową i zagraniczną i rozmaitości. Tam podaje wiadomości o wyznawcach swoich, którzy się cnotami, poświęceniem, rozumem i zdolnościami odznaczają, o zamożnych rodzinach, ich wpływie, znaczeniu, i na jaki użytek bogactwa swe przeznaczają. Bardzo jest ważnym kierunek myśli izraelitów w naszym kraju, gdzie ilość ich wynosi szóstą część ludności Królestwa. Dziennik ten wielką będzie miał zasługę, jeśli zadanie walki przeciw wstecznym kierunkom spełni ze skutkiem. Jak zaś trudno o najmniejszą reformę w tym względzie, to wykazuje zatwardziałość opisana w rozprawie o gminach izraelskich, zamieszczonéj w Izraelicie, z któréj wyjątki zamieszczamy.

„Rabin jest to osoba najbardziéj szanowana, najpoważniejsza w gminie. Otoczony jest czcią i miłością swych owieczek. Lecz cześć ta i miłość, dopóty są jego udziałem, dopóki w opinii członków gminy uchodzi za gorliwego religianta, według ich pojęć, dopóki służy za wzór pobożności przez skrupulatne wykonywanie najdrobniejszych obrządków i przepisów religijnych. Niechaj tylko rabin nie zatrzyma się nad odprawianiem modlitwy *Szemona Esve* dłużéj niż każdy inny z modlących się, a wnet upadnie o jeden szczebel w opinii wszystkich; niechaj się da słyszeć z jakiém

słowem, oświeceńszy nieco pogląd na rzeczy religijne zdradzającém, a cała jego powaga przez to na niechybny szwank będzie narażoną. We wszystkiém żyd nieoświecony da się powodować wyższéj intelligencyi, wyjąwszy tylko kwestyi religijnéj. Niema nic absolutniejszego, nic bardziéj niezależnego, nad żydowski subjektywizm religijny, względnie do zdań i powag zewnątrz mu narzuconych. Rzecby można, iż sam Bóg nie miałby już władzy zmieniania praw, raz przez siebie nadanych. Już Talmud daje nam tego liczne wskazówki z okazyi dysput halachicznych pomiędzy rozmaitemi szkołami. Gdy raz, w czasie takiéj kontrowersyi dał się słyszéć głos z nieba rozstrzygający sprawę na korzyść jednéj ze stron, druga strona śmiało wykrzyknęła: *„Nie zwraca się uwagi na głos nieba.”* Drugim znowu razem, gdy jeden z walczących przywoływał Boga i aniołów na potwierdzenie swego zdania, przeciwnik zawołał: „Nauka boża nie jest w niebie, ale daną jest ludziom do wolnego jéj tłumaczenia.” Gdy raz, powiada Talmud, jeden z największych potentatów nauki, rabi Eliezer postawił pewną thezę religijną, którą koledzy jego i uczniowie wzbraniali się przyjąć, musiał się uciec do demonstracyi za pomocą cudów: na jego słowo bystry potok wody bieg swój wstrzymał, mury szkoły się zatrzęsły, a jednak przeciwnicy obstawali niezachwianie przy swojém.”

Peryodycznych pism lekarskich mieliśmy cztery w r. 1868.

*Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego* wychodzi miesięcznie. Dwanaście zeszytów z całego roku stanowi dwa tomy. Najdawniejsze to pismo ze wszystkich peryodycznych liczy już lat 31. Zbiór cały obejmuje 60 tomów. Przedstawia wszystkie gałęzie medycyny, a główną jego charakterystykę odrębną od innych pism lekarskich, stanowi: ogłaszanie protokułów posiedzeń tutejszego Towarzystwa lekarskiego. Redaktorowie obierani są większością głosów i dosyć często są zmieniani.

*Gazeta Lekarska*, pismo tygodniowe; numer arkuszowy w 8-ce; zajmuje się wszystkiemi gałęziami umiejętności lekarskiéj, farmacyi i weterynaryi. Założyli je w d. 1 lipca 1866 r. professor Le Brun i prof. Girsztowt. Gazety lekarskiéj wyszło dotąd pięć tomów. Odznacza się pomiędzy wszystkiemi pismami lekarskiemi, kierunkiem naukowym i bogactwem materyałów. Liczny zastęp zdolnych współpracowników, stanowi redakcyą tego pisma.

Przy Gazecie lekarskiéj wychodzi arkuszami godna najżyczliwszego wspomnienia: Biblioteka umiejętności lekarskich, mająca obejmować 28 dzieł. Wyszło już trzysta trzydzieści arkuszy; z tych kilka tomów skończonych, puszczono w obieg. Wydawnictwo rozwija się z niezwykłém powodzeniem, bo rzeczywiście na to zasługuje.

*Klinika*. Pismo to peryodyczne utworzył p. Zygmunt Dobieszewski jednocześnie z Gazetą lekarską. Dotąd wychodzi co dwa tygodnie. Od Nowego Roku wychodzić będzie co tydzień.

Nadto co kwartał zjawiają się dodatki do tego pisma zawierające rozprawy oryginalne i tłumaczone.

*Tygodnik Lekarski* wychodził od r. 1847 i przestał wychodzić od d. 1 lipca 1868, zawiadamiając że się łączy z Kliniką.

Pisma powyższe wielką przynoszą pomoc poświęcającym się tej umiejętności. Ułatwiają poznanie najświeższych spostrzeżeń i środków lekarskich, podają wiadomość o najnowszych dziełach, wykazują doświadczenia praktyki miejscowéj, i tym sposobem ułatwiają kształcenie się młodzieży, która już w tym zawodzie znakomity pożytek zapewnia krajowi.

---

Oddawna dzienniki obrazkowe zyskiwały i zyskują sympatyą mass czytających. Nie do każdego umysłu przylepi się i w nim zostanie myśl silna, fundament i dźwignia sumienia i istoty człowieka. Lecz jeśli ta sama myśl jest rozwiniętą malowniczo, i otoczona słodyczą, wtedy od razu chwyta ją serce jako swoją własność. Kiedy zaś takie same myśli są w obrazki zmysłowe przerobione, wówczas stają się pokarmem popularnym, przylegają do oczu, z oczu przechodzą do umysłu, z umysłu do serca i środek ten jest potężną siłą do upowszechnienia oświaty. U nas pierwszy obrazkowy dziennik: Magazyn powszechny wychodził przed trzydziestu przeszło laty pod redakcyą K. Brodzińskiego i zawierał wiele popularnych i bardzo użytecznych artykułów. Razem zjawił się Magazyn dla dzieci i Muzeum domowe. Odtąd kiedy wynalazek Daguera przywołał słońce do tworzenia artystycznego, kiedy fotografia dochodzi do wysokiego stopnia udoskonalenia, wyrób obrazków i ich wydawnictwo stało się najłatwiejszém, a dzienniki i rozmaite wydania illustrowane jak potop sypią się bezustannie dla ciekawych tłumów i pragnących zabawy umysłowéj.

U nas w r. z. trzy znakomitsze illustracye przodują przed innemi: Tygodnik Illustrowany, Kłosy i Wędrowiec.

*Tygodnik Illustrowany* zjawił się w d. 1 października 1859 r. i odtąd bez przerwy doznaje powodzenia. Wychodzi numerami raz co tydzień, in folio, w obszerności do dwóch arkuszy. Półrocze stanowi tom. Tomów takich wyszło 18. Z piérwszéj seryi 16, z drugiéj 2. Pismo to obejmuje: ważniejsze wypadki społeczne; życiorysy znakomitych ludzi; zabytki i pamiątki krajowe; podróże; powieści i poezye; sprawozdania z dziedziny sztuk pięknych, piśmiennictwa, nauk przyrodzonych, rolnictwa, przemysłu i wynalazków; szkice obyczajowe i humorystyczne; typy ludowe: ubiory i kostiumy; archeologia i t. d. We wstępie, w r. 1859, pomiędzy innemi tak się redakcya odezwała:

„Schylając pokornie czoło przed powagą ścisłéj nauki, starać się jednak będziemy przedewszystkiem o zajęcie, o zainteresowanie czytelników, o niesienie im pokarmu zdrowego, zapraw-

nego: to solą attycką humoru, to szczyptą niewinnego sarkazmu, i niekiedy słodyczą żywiéj rozbudzonéj ciekawości; ale nigdy, przenigdy, goryczą. Nie zaniedba jednak nauki, tylko że nauka nie przybierze tu form zbyt surowéj specyalności, wyrzeka się stronnictwa. Tygodnik przyjął godło z tych dwóch wierszy F. Karpińskiego:

Prawda niech tylko z ust naszych wychodzi
I niech nasz język nikomu nie szkodzi.

Tak określoną drogą postępuje Tygodnik, a w ciągu dziewięcioletniego istnienia pozyskał szanowne wspomnienia, które do niego ogół przyciągają.

*Kłosy.* Pod tym tytułem od in. lipca 1865 r. wychodzi drugie czasopismo illustrowane tygodniowe, w takim samym jak Tygodnik formacie, obszerności i celu. Dotąd całość pisma obejmuje siedm tomów. Kłosy poświęcone są literaturze, nauce i sztuce. W prospekcie redakcya oświadczyła, że Kłosy zbierane na niwie ojczystéj i obcéj, przyjęły jako zadanie streszczać w sobie wszystkie strony życia społecznego i wszystkie objawy ich postępu w literaturze, naukach i sztukach. Na snopki Kłosów składać się mają wszystkie drogocenne, nie powierzchowną tylko i drobnostkową ciekawość budzące wspomnienia i pamiątki, wszystkie zdobycze na polu nauki, sztuki i przemysłu. Kłosy nie zapuszczając się zbyt głęboko w czysto fachowe zaciekania, mają w najogólniejszym zakresie być zastosowaniem owego znanego zdania rzymskiego poety:

„Jam człowiek, nic mi ludzkie obcém nie jest.” Działy Kłosów składają: literatura właściwa, sztuki piękne, nauki mianowicie historyczne i przyrodzone, życiorysy ludzi zasługi, rozmaitości, humorystyka.

Śledząc programata i wykonanie obu dzienników, pokazuje się, że obadwa jeden przyjęły kierunek i jeden cel, to jest wszystko dla wszystkich. Różnica w tem tylko zachodzi, że Kłosy nieznacznie pragną czytelników swoich pociągać do wyższych utworów estetycznych, jak to w roku bieżącym przekonywa przekład: Burzy Szekspira, Paryi tragedyi Beera i studya nad Aleksandrem Fredro; lecz czynią to nieśmiało, bo się boją: czy ten pokarm wyborowy nie pozbawi czytelników apetytu na przyszłość do zwyczajnego chleba powszedniego. Kłosy występują jako współzawodnik Tygodnika. Takie współubieganie się o pierwszeństwo trzyma oba dzienniki w ciągłéj działalności, żaden z nich opuszczać się nie może, a rezultat z tego zawsze korzystny dla sprawy ogółu. Obadwa dzienniki wspierają pisarze i dawni i młodzi. Dla młodzieży ognistéj jest to piérwsza arena, na niéj probują sił własnych z rozmaitém szczęściem, poją się rozkoszą własnéj twórczości, i w takiem miłém kółku kręcą się dopokąd nie wpadną na rzetelny kierunek, odpowiedni ich zdolnościom,

a ten zwykle prowadzi ich do twardszych ale świętszych obowiązków.

Obiedwie illustracye zajmują doborem obrazków. Są to reprodukcye po największéj części pierwszych naszych artystów, jak: Matejki, Brandta, Gersona, Kostrzewskiego, Pillatego, Kossaka, Antoniego Zaleskiego i innych. Z pośród wszystkich góruje Matejko, a pomimo to przy jego wzniosłych utworach, dziwnie mile robią wrażenie: Święci robotnicy Lenartowicza, Madona w rozmyślaniu i inne.

*Wędrowiec.* Trzecia ta illustracya warszawska, nazwą samą wskazuje swoje przeznaczenie, jako pismo obejmujące podróże i wyprawy, opisy zwyczajów i obyczajów ludów cudzoziemskich; życiorysy sławnych cudzoziemców, powiastki i przekłady z literatury zagranicznej, wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych, przemysłu, technologii, rozmaitości i t. d. Wędrówka więc po kuli ziemskiéj i z niéj zebrane wiadomości o krajach, ludach, przyrodzie, wypadkach, odkryciach i t. d. są głównem zajęciem dziennika. Dla urozmaicenia i dla wzbudzenia ciekawości i moralnego pożytku, redakcya daje jeszcze przekłady powieści i innych utworów literackich. Kronika zagraniczna, nowości i rozmaitości tworzą dział ciekawy. W nim czytelnik znajduje starannie i pracowicie zebrane a najtreściwiéj podane, wszelkie nowiny ze świata naukowego, literackiego, przemysłowego, które stanowią dostateczne wskazówki do osiągnięcia dalszéj instrukcyi przedmiotu, jaki czytelnikowi jest potrzebny. Wędrowiec utworzony u nas został na wzór illustracyi francuzkiej tego samego rodzaju. Zdobią go klisze francuzkie i niemieckie, wychodzi od d. 1 stycznia 1863 r., przez lat 6 co tydzień jeden numer w formie większéj ćwiartkowéj, obejmujący dwa arkusze. Półrocze składa tom. Dotąd wyszło tomów 12. Redakcya w tym roku znacznie podniosła wartość téj illustracyi wyborem przedmiotów i przekładem odpowiednim. Mały ten dziennik jednak bogaty treścią swego przedmiotu, zajmie użytecznie każdego czytelnika, dlatego powodzenie jego jest ustalone.

Wszystkie powyższe illustracye jako dodatek dla swych czytelników dołączają jużto oddzielnie arkuszami drukowane powieści rozmaitych rozmiarów, lub nadzwyczajne dodatki powiększające znacznie objętość pisma.

W roku zeszłym cztery dzienniki peryodyczne zajmowały się zaspokojeniem wszelkich potrzeb życzeń, a nawet fantazyi płci pięknéj, owej najmilszéj połowy rodu ludzkiego, to jest: Bluszcz, Tygodnik Mód, Kółko Domowe i Kronika Rodzinna.

*Bluszcz*, pismo tygodniowe illustrowane dla kobiet wychodzi od d. 1 października 1865 r., numerami tygodniowemi, objętości arkusza, z rycinami w numerze i z dodatkami rycin i opisów. Rok cały stanowi tom, tomów takich dotąd wyszło cztery. Redaktorka znakomitej zdolności i pojmująca wybornie swój przedmiot, tak

w pierwszym zaraz numerze przemówiła do grona swych czytelniczek:

„Pismo nasze za zakres działalności swojéj obrało świat kobiecy. Świat to cichy i jakby w głąb społecznego obrazu wsunięty, ale rozległy jak cała połowa ludzkości. Zawiera w sobie ognisko domowe i kolebkę dziecinną, więc rodzinę. Rodzina to po wszystkie czasy, wieki i ludy, jakby wewnętrzny przybytek społeczeństwa; miejsce, gdzie obywatel bierze wytchnienie po pracy, a człowiek rośnie dla świata. Jéj królową przez władztwo miłości jest kobieta: matka, żona, siostra, nauczycielka i taka nakoniec wszelka istota niewieścia, która przez pracę i miłość wiąże się z rodziną, stoi tam na prawdziwym naturalnym gruncie swoim: tam też szukamy jéj i tam idziemy do niéj, bo jej dzielnica to połowa ludzkości; w niéj więc musi być połowa nadziei i niepokojów, połowa bólów i radości, połowa pracy ludzkiéj. Te z natury człowieka i gruntującego się na niej porządku społecznego, na dział kobiecy przypadłe, trudy, pragnienia, rozkosze są przedmiotem pisma naszego. Tak współpracować z niemi i kierować je, aby kobieta niewychodząc poza prawdę moralnéj istoty swojéj, spełniała święcie a spełniała dobrze to co Bóg i ludzkość włożyli na nią: oto usiłowanie nasze. Dlatego téż wszystkie zagadnienia niewieściego żywota, wszystkie te ciche a ważne kwestye moralności rodzinnej, które razem wzięte stanowią zacność i szczęście kobiety, znajdzie ona poruszone w piśmie naszém, którego dział literacki i to co w ogólności jest przedmiotem sztuki, redakcya Bluszczu będzie usiłowała zrobić koniecznem swego piérwszego zadania dopełnieniem, bo nierozerwany jest węzeł dobro z pięknem łączący, i stosunek sztuki do życia, jest stosunkiem ideału do rzeczywistości i stosunkiem który nam daje te czyste wysokie szlachetne rozkosze ducha; ubezpieczające może najdzielniéj od małuczkich i poziomych a przecież nieraz drogo bardzo okupywanych uciech."

Zrozumiale, bo tak jasno oznaczone zadanie, spełnia Bluszcz jak najściśléj i z odznaczającą się zdolnością, tak że żadne z pism kobiecych temu dziennikowi nie dorówna. Bluszcz składa się z trzech części i obejmuje następujące szczegóły. W pierwszéj części artykuły o wychowaniu i życiu rodzinnem. Powieści i szkice literackie, poezye, komedye i obrazki dramatyczne. Przeglądy, piśmienniczy, teatralny, muzyczny, Kronika miejscowa, życiorysy, podróże, hygiena, rozmaitości. W drugiéj części dodatek obejmujący ubiory i roboty. W trzeciej wiadomości z gospodarstwa i ekonomii domowej.

Zasłużeni w literaturze naszéj pisarze zamieszczają w Bluszczu pisma swoje i utwory. Budzą zajęcie powieści wyborowe, przekłady znakomitszych dzieł i poezya, a przedewszystkiem samej redaktorki piękna myślą i wysłowieniem. Kronika Paryzka tego samego pióra, ktora od r. 1853 dotąd ciągle co miesiąc przez lat 15 przybywała i przybywa dla Biblioteki Warszawskiej, która teraz

zjawia się także w Gazecie Polskiéj, zapełnia także kolumny Bluszczu jako ciekawość. Ryciny ubiorów i robót okazują się bardzo praktyczne, gdyż są ogólnie poszukiwane przez kobiety. Wiadomości gospodarstwa kobiecego i ekonomii podawane są przez autorkę, która w tym przedmiocie głośne zjednała sobie imię. Żal tylko że wydawca, pisma tego nie rozszerza, które dopokąd tak zdolna prowadzi redaktorka, może dla wyższéj literatury wiele zasługi położyć.

*Tygodnik Mód* na wzór francuzkiego dziennika mód utworzony, oddawna wychodził w formie ćwiartkowéj z oddzielnemi pięknemi rycinami mód, wzorami ubiorów i krojów. W roku zeszłym od dnia 1 kwietnia zmienił format na arkuszowy dla rozwinięcia obszerniejszego części literackiéj. Wychodzi więc co tydzień w formacie wielkiego arkusza z dodatkami poświęconemi wszelkiego rodzaju ubiorom damskim, z formami krawieckiemi. Oprócz mód na których wydawnictwo oparte, Tygodnik w części literackiéj daje powieści, artykuły treści literackiej, korrespondencye z Paryża, krytyki, podróże, i inne, oraz wiadomości dotyczące gospodarstwa domowego. Ze wszystkich artykułów Tygodnika na pierwszém miejscu stawiamy pogadanki tygodniowe, lecz te najbardziéj, które mówią o życiu i obowiązkach kobiet w porównaniu z przeszłością, wytykają błędy i usterki społeczne, wskazują rady i środki i są dowodem serdecznéj miłości jaką czuje redaktor dla dobra publicznego.

*Kółko domowe* powstało w kwietniu w r. 1861. Wychodziło do końca 1864 r. poszytami dwuarkuszowemi w ósemce. Od r. 1865 zeszyty Kółka okazywały się co dwa tygodnie. Z końcem roku zeszłego przestało wychodzić i zmieniło się na Tygodnik romansów i powieści. Tygodnik chociaż wstąpił w prawa Kółka niema z nim żadnéj łączności. Nowe to jest pismo z inną redakcyą. Kółko domowe, jako dziennik poświęcony rodzinom, zasłużył sobie na życzliwe wspomnienie, bo praca ośmioletnia i osiem tomów tego zbioru obejmuje wiele pożytecznych przedmiotów. Redakcya nie oznaczyła sobie wyraźnego planu, w ciągu wydawnictwa zachodziły zmiany. Widać jednak że przypomnieniem dawnych obyczajów i wypadków Redakcya pragnęła kierować uczuciami swoich czytelniczek, a artykułami jak: Rodzina Janeta, Zwątpienie i wiara z Tennysona, O pozytywizmie, Działalność w sprawie kobiet w Niemczech i t. p. rozwijać myślenie kobiet. W roku zeszłym każdy zeszyt Kółka domowego zaczynał się od Kroniki bieżącéj, po któréj następowały artykuły treści literackiej i powieści. W końcu dodatek o ubiorach kobiecych z drzeworytami. Szczególną uwagę zwrócił artykuł p. Al. K. w zeszycie marcowym Kółka zamieszczony: „Słówko o poetach i poezyi," jest to nekrolog dla tegoczesnéj poezyi. Autor powtarza zdanie Macaulaya, że poezya z cywilizacyą w odwrotnym postępuje stosunku, to jest im więcéj cywilizacyi, tem mniéj poezyi. Bada i rozwija to zdanie a w końcu mówi:

„Ani oświata nie wywiera niszczącego wpływu na bogactwo i twórczość fantazyi, ani drażliwość społeczeństwa jest dziś mniejsza jak kiedykolwiek. Oba te czynniki postępują swoim torem, nie przeszkadzają sobie wzajemnie. Przyczyna główna leży w tem: że kierunek obecny poetyckiéj literatury się przeżył i oczekuje śmiałego reformatora, któryby poetów na nowe wprowadził tory i wskazał źródło zkąd mają czerpać natchnienie.

„Przyczyna pośrednia spoczywa w przejściowym stanie społeczeństwa europejskiego, które po tylu przewrotach politycznych i socyalnych nie jest w stanie odzyskać równowagi umysłowéj, by módz pogodzić warunki materyalnego dobrobytu z wymaganiami ducha ludzkiego, rwącego się bezustannie w idealne krainy piękna, dobra i prawdy. Jeśli poetów słusznie nazywano dawniéj prorokami ludów, sprawdzą się zatem niechybnie przepowiednie najznakomitszego z pomiędzy ich falangi. Zapowiada on w niedalekiéj przyszłości, zjawienie się olbrzymiego poetyckiego ducha, który potęgą swego geniuszu, porwie za sobą liczne naśladowców roje i poezyi utracone przywróci znaczenie."

*Kronika Rodzinna* pismo dwutygodniowe. Dziennik od października 1867 r. zjawia się co dwa tygodnie numerami dwuarkuszowemi w formacie ćwiartkowym arkusza małego, bez rycin, krojów, ubiorów i t. d. a jednak coraz bardziéj zajmuje czytelników, bo w zupełności odpowiada założeniu swemu jakie wypowiada w tych wyrazach: „Służyć ku pożytkowi i rozrywce umysłowéj Rodziny, ze względu na potrzeby składających ją osób." Oprócz poezyi którą w religijném natchnieniu tworzy znakomity nasz poeta, Kronika zamieszcza listy bardzo ciekawe o osobistościach szczególniéj kraj nasz obchodzących, wyjątki z podróży, powieści, rozumowania, wiadomości z literatury. Do gronka skromnego które pracuje w Kronice cisną się pierwszorzędni pisarze nasi, i przynoszą myśli i nauki pożądane dla kołek naszych rodzinnych. Duch tam coraz czystszy i uwalniający się od ciężaru materyi unosi się w niebiosa i pociągając za sobą serca, umacnia świętość obowiązków względem Boga i bliźnich, a w zepsuciu moralném, które dotyka nasze społeczeństwo, taki kierunek jest pożądanym.

Dla młodego pokolenia dwa u nas wychodzą czasopisma: Opiekun domowy i Przyjaciel dzieci. Oddzielnéj i to niepospolitéj trzeba zdolności i doświadczenia, aby czy to dladojrzalszéj młodzieży, a tembardziéj dla dzieci, pismo peryodyczne wydawać. Pismo takie jest bardzo użyteczne, jeśli z przedmiotów i z wykładu odpowiada przyjętemu obowiązkowi. Dotąd pismom naszym wiele brak do spełnienia tego żądania, choć nie wątpimy że z czasem to się da wszystko wyrobić.

*Opiekun domowy.* Wychodzi już rok czwarty co tydzień jeden numer arkuszowy. Jest to dziennik illustrowany. Z samego tytułu i powierzchowności widać że pismo to poświęcone jest dla młodzieży dojrzalszéj. Treść pisma wniosek ten usprawiedliwia. Mamy tam bajeczki, artykuły drobne, wiadomości z dziejów,

jeografii i nauk przyrodniczych. Ryciny stosowne dla młodzieży, rozumowania o wychowaniu i t. d. a pomiędzy zbiorem takich prac redakcya ogłasza: Pogadanki z ekonomii politycznej, o podziale bogactw i tym podobne. Przy takich artykułach które nie dają czystego pojęcia do czego rzeczywiście zmierza redakcya, przybywa teraz odezwa nowéj redakcyi i uzupełnia zamięszanie, bo wykazuje że dziennik ten jest dla osób dojrzałych i przygotowanych stosownie do zrozumienia przedmiotów. Redaktor bowiem tak się odzywa:

„Rozwój ukształcenia w społeczeństwie będzie główném zadaniem pisma naszego, a drugiém, że wszelkie przesądne hołdowanie formułkom światowym, wszelką odrębność i wszelkie godnością ludzką nieusprawiedliwione zawarcie się w pewnych określonych granicach, uważamy za tamę na drodze ukształcenia.

Następnie przyrzeka:

„Wychodząc wreszcie z zasady że rozmaitość sprawia przyjemności, rzeczy poważne będziemy przeplatać przedmiotami mniéj utrudzającemi umysł a bardziéj zajmującemi wyobraźnię, jak poezye, podróże, komedyjki, powieści rzeczy społeczne i rozmaitości."

Zdaje się że Opiekun domowy prosto schodzi na illustracyą, z dewizą zwykłą: wszystko dla wszystkich, chociaż trzymając się w granicach jakie mu sam tytuł nadaje, byłby bardzo pożytecznem i doczekałby się powodzenia.

*Przyjaciel dzieci* pismo illustrowane wychodzi od m. kwietnia 1861 r. raz w tydzień w małym formacie cwiartkowym; losy pisma tego były dotąd rozmaite. Zmieniało właścicieli i redakcye, a teraz od 1 kwietnia 1867 r. ma nowego właściciela i redaktora. Przynajmniéj Przyjaciel dzieci ile mu sił starczy trzyma się stale programatu przyjętego i tak mówi:

„Co tylko umysł młodociany zająć może, co wpływać zdoła na rozszerzenia wiadomości, na obudzenie zamiłowania nauki, na pojęcie szlachetności pracy, co hartuje siłę duszy, podnosi godność człowieka, przywiązuje do dobrego, a złe czyni natrętném, wszystko to stanowi główne tło, na którém pismo to jest rozwijane." Redakcya unika moralizowania jako nieponętnego dla młodego wieku, lecz przez dramatyzowanie, przez obudzanie ciekawości, pragnie podnosić moralnie małych czytelników swoich. W tym celu stara się o zamieszczanie powieści i powiastek, obrazów historycznych, podróży, wiadomości z nauk przyrodniczych, wyjątki z dziejów literatury i t. d. Poezye dla małych dzieci, bajeczki i t. d. Redakcya zdobi pięknemi illustracyami ten dziennik i nieraz wyższego przedmiotu, a przytém tablice z ubiorami i krojami różnych ubrań dla lalek, dla ułatwienia małym panienkom nauki krawiectwa, pomijając stosowność wykładu, który jeśli się nie zniży do pojęcia dzieci, to chybia celu. Zawsze przecież zbić w jedną gromadkę wszystkie dzieci, bez względu na wiek i uczyć razem taką gromadkę, to żadnego nie zapewnia użytku. W tym więc kierunku zasady stosowne Redakcya przyjąć winna.

Wychodzą u nas pisma peryodyczne, które albo pracują dla ludu nieprzemawiając do niego, lub rozmawiają wprost z ludem szukając go w chatce na roli, w warsztacie, na bruku. Temi dziennikami są; Przegląd, tygodniowy, Zorza i Kurjer Świąteczny.

*Przegląd tygodniowy* życia społecznego literatury i sztuk pięknych liczy lat trzy bytu; wychodzi numerami arkusza mniejszego raz w tydzień. Zaraz na wstępie redakcya przystępując do pracy z siłą i fantazyą wypowiedziała: że nowe zakłada pismo, bo widzi stanowisko dotąd niezajęte, uważa pismo swe jako maleńkie ziarenko nasienne, zawierające wszystko, całą roślinką w zmniejszeniu, w miniaturze, a niema być niczém innem jak tylko kroniką krajową i powszechną. Odtąd Przegląd został rzeczywiście kroniką bieżącego życia. Natychmiast rzucił się na kwestye społeczne, zaczął poruszać wszystkie te przedmioty, które lud nasz obchodzą. Zmalała literatura i sztuki, a rozprawy o dobrobyt ludu przybrały większe rozmiary i stały się głównym przedmiotem dziennika. Takiemi rozprawami redaktor i sam pracuje i chce wszystkich do pracy dla ludu zapędzić. Widząc taką działalność, mówiono, niepodobna aby Przegląd nie wyszedł z ram tak ciasnych, bo niepodobna olbrzyma wsadzić w butelkę porterówkę. Jakoż dziennik ten otworzył upusty dla swego zawodu. Przy dzienniku redaktor wydawał i wydaje ważne książki, które wpływają na ukształcenie i materyalny byt ludu, jako to: Przekład: Pomocy własnéj Samuela Smilesa. O znaczeniu i postępach tegoczesnego prawa narodów. O prawach i obowiązkach społecznych Schultzego-Delitsch. O cenie pracy przez Engla i inne. Redaktor zajął się gorliwie ogrodami dziecinnemi Fröbla, głuchoniememi, szpitalem dla dzieci i t. d. Widać duszę poświęconą dla ludzkości; poświęcenie takie wysoko cenimy. Do tego młodego pisemka ciśnie się nasza młodzież, bo jeśli nie widzi, to przynajmniej czuje ważność otwartéj drogi. Najczęściéj młodzież taka rzuca się w belletrystykę a najbardziéj w krytykę. Artykuły jednak tego gatunku wyglądają na ćwiczenia szkolne, a czupurne tam zdania które nikomu ani szkodzą ani pomagają, jak z jednéj strony przekonywają o sile, tak z drugiéj zdradzają młodzieńczą próżność. Wszystko to jednak czas wystudzi i wyczyści, a przygotowanie sił, może znaczny przynieść pożytek.

*Zorza.* Pismo niedzielne dla ludu miejskiego i wiejskiego. Zjawia się co niedziela. Numer składa się z jednego arkusza w ćwiartce mniejszéj. Wszystko co ma wpływ na umysł i serce ludu, podaje tam redaktor w wykładzie nadzwyczaj popularnym i mową zupełnie ludową; zamieszcza powiastki, obrazki, życiorysy świętych; rady w życiu praktycznem do gospodarstwa i warsztatu; przytém rzuca zdania moralne i humorystykę, którą zawsze przedstawia Kmotr Gabryś i jego kuma Bonifasia. Pismo ozdobione stosownemi rycinkami, już trzy lata bytu liczy. Kochać trzeba redaktora za wytrwałość z jaką prowadzi swoje pismo, bez żadnéj nadziei wynadgrodzenia.

*Kurjer Świąteczny.* Swistek humorystyczny. Od lat kilku rozrzucany po bruku i salonach warszawskich. Oj! ciężko, bardzo ciężko o dowcip i humor, a jeszcze cięźéj, kiedy musi być peryodyczny. Kurjerek wywija się zręcznie i gdyby miał porę po temu, toby się wśrubował do robienia operacyi ciężkich naszych niemoralnych narośli. Są choroby szczególne, lecz czasem można więcéj zrobić szpilką jak armstrongiem. Błędem jest Kurjerka że razem obejmuje salon i bruk. Dlatego w tym samym dzienniku znajdujemy tak piękną rozmówkę dzieci i lalek w Nrze 20 pod tytułem: „Les enfants terribles" a zarazem taką niespodziankę jaką przedstawia na gwiazdkę rycina z Nru 64.

---

Oto jest liczba 30 pism peryodycznych nie licząc Merkurego i Korrespondenta rolniczego. Przeglądając prassę peryodyczną nasuwają się rozmaite spostrzeżenia. Często w najniewinniejszéj nawet polemice nie chodzi o przedmiot, lecz o osobę. Zamiast oceniać książkę, dziennik, artykuł, a autora zakryć szczelnie welonem, najczęściéj sprawozdawca bierze się do osoby a zasłania książkę. Bez względu na godność człowieka i przyzwoitość towarzyską, za błąd wykryty, za pomyłkę nawet, kopią nogami jak za złą wiarę; za zadraśnięcie rzucają exkomunikę. Młodzież więcéj wykształcona i mogąca wejść w zawód autorski nie umie pisać i nie stara się o tę wprawę: tak powie aby powiedzieć. A kto pisze i drukuje, przedewszystkiém musi się postawić w miejscu czytelnika i przewidzieć: czy ten go zrozumie i czy z wykładu może mieć przyjemność. Małą pracą można nabyć piękną i własną formę wyrażenia, tymczasem dla lenistwa powtarzają ciągle o cieple, o rdzennych rzeczach, o groszu wdowim, o towarzystwie wzajemnéj adoracyi i t. d. Tradycya klassycznego myślenia i pisania znika z dniem każdym, a przecież to wyrobienie klassyczne nadało taką świetność naszéj epoce romantycznéj. Prassa peryodyczna najmniéj może być wolną od usterków, bo to jest lokomotywa która raz w bieg puszczona stanąć nie może i zabiera wszystko bez pytania co jéj w biegu podają. Nie wytykaliśmy więc błędów prassy, bo one są wspólne całemu naszemu piśmiennictwu. I tak nie mamy talentów pierwszegó a chociażby i drugiego rzędu, a jeśli się młoda zdolność wyższa pokaże, to w targach znika. Plagą bowiem naszego wieku jest zapłata autorska z rachubą na wiersze. Każdy chce najmniéj dać a najwięcéj wziąść. Ztąd taki skutek: że kiedy kilka porządnych myśli objąćby można było w dziesięciu wierszach, autor wałkuje a wałkuje jak ciasto na makaron, jak złoto malarskie do pozłoty ram i robi z tego pięć lub sześć kart. Wydawca w sercu boleje, widzi że myśli niema jak na dziesięć wierszy, a płaci za dwieście. Lecz płaci uprzejmie i z uśmiechem, bo się boi stracić kolumny na któréj buduje projekta przyszłości! Czytelnik zamiast rozprawy loi-

cznéj widzi tylko temat z waryacyami. Poważny krytyk spostrzega to wszystko, lecz boi się wdać w jaki rozbiór i polemikę, bo co mu z tego przyjdzie? Kto prawdę mówi ściąga na siebie nienawiść, a w świecie naszym literackim na jeden cal zmiany nie zaprowadzi, a kto wie, może właśnie polemiką handlarzowi pomoże do rozprzedaży, bo bójka literacka tak jak walka byków, kogutów lub widowisko pcheł uczonych, zwabia widzów i nabywców do zakupywania przedmiotu spornego. *Mruk.*

---

*Lud.—Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce.— Przedstawił Oskar Kolberg. Serya III. Z rycinami i drzeworytami, wedle rysunku W. Gersona. Kujawy. Część I. Warszawa, w drukarni Jana Jaworskiego. 1867. (w 8ce, str. 347).*

Pół wieku dobiega, jak pojawiły się u nas pierwsze prace etnograficzne. Dał do nich główny popęd Adam Czarnocki, znany pod pseudonimem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego. Rozprawa jego: „*O Słowiańszczyznie przed Chrześciaństwem*" oddziałała silnie na umysły młodego pokolenia, schowanego w wyobrażeniach klasyczno-francuzkich. Nagle i niespodzianie ujrzało świat nowy, nieznany, który z pomroki wieków zaczął się wychylać i oblicze swe ukazywać na pierwszéj miedzy granicznéj, starcia się ostatecznego bałwochwalstwa z chrześciaństwem. Gorący zapał, który cechuje wybitnie rozprawę Zoryana, udzielił się młodym sercom, a lubo w niéj, wiele zimna rozwaga znalazłaby stron ujemnych i niewytrzymujących krytyki, wówczas tylko dodatnie dopatrywano. Zoryan bezwiednie, idąc tylko za natchnieniem szczęśliwém, zrobił potężny wyłom w tym murze klasycyzmu, przez który idea rodowéj, oryginalnéj poezyi, przemykać się bezkarnie mogła. Zgasł w śród prac etnograficznych; zbiory jego pieśni i nierozwinięte pomysły, przeszły w cudze ręce, a nadzieje nasze jakie położyliśmy w téj wielkiéj intelligencyi zawiedzione zostały: popęd wszelako dany przez niego nie zniknął bez wyraźnego śladu. Za jego przykładem poszło wielu młodych zawodników, którzy nie zrażeni trudami, mozołem wydobywania z ludu skarbcu duchowego, przechowywanego w pamięci i żywém tylko słowie, zaczęli od czasu do czasu ogłaszać swe prace i składać skromne cegiełki do wspaniałego gmachu, jaki w przyszłości miał stanąć.

Pojedyncze te wysiłki, szczególniéj po roku 1830, powoli się zaczęły pojawiać. Coraz z latami mnożyły się badania etnograficzne, w różnych stronach kraju i poza jego granicami

Z Powiśla, z nad Narwi i Bugu, z nad brzegów Warty, Pilicy i Nidy, z nad Dniestru, Stryja, Łomnicy i Prutu, wreszcie z wyniosłych Tatrów z Podhala, sypały się niemal rok rocznie różnéj woni i barwy kwiaty poezyi ludowéj, z coraz bogatszymi zbiorami podań, powieści, przysłów, które rzucały niemałe światło na charakterystykę ludową, rozmaitych okolic.

Około dwustu dzieł, broszur i rozpraw oddzielnie wydanych, nieliczące rozrzuconych w wielkiéj liczbie badań po rozmaitych pismach czasowych, mamy wyłącznie poświęconych pracom w tym kierunku. Dziś już głębszy myśliciel ma dostateczny materyał, ażeby podług niego mógł wysnuwać pewne wnioski o charakterystyce, jak o intelligencyi naszego ludu.

Nie możemy tu wyliczać pojedynczych prac i ich autorów, którzy przed laty dali się chlubnie poznać w téj gałęzi literatury: wiadome są ich imiona i zasługi: my mamy na uwadze najnowszych badaczy.

Na czele wszystkich, pierwszeństwo zaprawdę należy p. Oskarowi Kolbergowi. Od lat zgórą dwudziestu, wyłącznie oddał się pracom etnograficznym, i na tém polu najobfitsze zebrał plony.

Mówiliśmy już w naszém piśmie obszernie o jego poprzednich pracach, teraz przychodzi nam złożyć sprawozdanie o ostatniém jego dziele, którego treść stanowi ziemia i lud Kujawski.

Jeżeli w pierwotnych pracach ogłoszonych drukiem, idąc śladami poprzedników, zwracał wyłącznie tylko uwagę na pieśni, to, jak w poprzedniém dziele (wydaném 1865 r.) opisującem Sandomierskie, według stałego postępując planu, słusznie dał tym dwom seryom, główny nadpis: „*Materyały do Etnografii Słowiańskiéj.*"

Przeglądając obadwa zbiory poświęcone tak Sandomierskiemu, jak Kujawom, z pociechą wyznać możemy, że żadna literatura słowiańska, niema ani tak dokładnych, ani tak szczegółowych etnograficznych opisów okolic krajowych, jak to umiejętnie wykonać potrafił p. Oskar Kolberg. Góruje zaś nad swymi poprzednikami tém, że jest zarazem dobrym muzykiem.

Kto zbadał starannie i gruntownie pieśni ludowe, ten wié, że jak u naszego, każda niemal w połączeniu dopiero z melodyą, całość artystyczną tworzy. Improwizatorowie wiejscy, którzy od wieków składają się na tę wspólną skarbnicę rodowéj poezyi, mniéj są oględni na formę słowa, nieraz nie umieją jéj składnie w wiersz ująć, ale czego usty nie wypowie, to wygra, wyśpiewa. Pieśń sama w ogóle bez melodyi, traci na całym swoim uroku: myśl w niéj nieraz niewypowiadziana cała, resztę wypowiada melodya. Dlategoteż zbiory pieśni p. Kolberga, mają tę nieocenioną wartość, że ten badacz dobrym będąc znawcą ludowéj mowy, równym jest i melodyi: że żaden ton, podnoszący lub rozwijający znaczenie pieśni, nie uchodzi jego ucha. Chwyta na gorącem i sło-

wo poetyczne, i przystroj tego słowa godowy, melodyą przyodziany.

Nie możemy pominąć ustępu z przedmowy, w której autor, malując nam Kujawy, stawia je wparalelli z Sandomierskiém.

„Obdarzone równie żyznemi, żyźniejszemi nawet w pewnéj części łanami niż Sandomierskie, posiadają jednak *Kujawy polne*, inny rodzaj ziemi rolnéj czyli glinki, czarnością i połyskiem zalecającéj się. Są one równiną nizką, śladami błot i bagien naznaczoną, gdy tamto jest płasko-wzgórzem, głębokiemi wąwozami i rozpadlinami pociętem. Lud kujawski jest zamożniejszy od sandomierskiego, nosi się bogaciéj, przykrywa suciéj a fałdzisto: barwa ciemna tu przeważa, jak tam jasna, mianowicie u kobiet. Sandomierzak chybki i rażny do roboty i ochoty a rownie jak Kujawiak pojętny, jest przecież od niego łagodniejszym, bardziéj potulnym, dobrodusznym, chętnym i uczynnym; lecz w chwilach wolnych, w chwilach zapomnienia, oddaje się niepowściągliwie zabawie i gorzałce. Wśród zabawy dzielnie a rączo się uwija: łykając znów trunek musi się wygadać, wyśpiewać i wykrzyczeć na wszystkie strony, i ztąd to hałaśliwe jego *brewerye*. Równie krzepki jak tamten, a może skorszy jeszcze do roboty, równie tęgą do napitku obdarzony głową, (acz w niedzielę tylko i święta oddający się trunkowi), a ztąd też podobny mu zawadyaka i gębacz, nie jest jednak Kujawiak tyle zwinnym i wartkim w ruchach i pohulance, nie tyle skorym do niesienia posługi w potrzebie i przy pracy co tamten, ale za to, co z natury rzeczy wypływa, rozważniejszym i wytrwalszym. I tu i tam pijatyka rodzi zwykle bijatykę, od których smutnych następstw powściągnąć jedynie może wdanie się osób trzecich, kobiet, starców, a częstokroć i władzy miejscowéj."

Po takiém porównaniu przechodzi p. Kolberg do określenia różnicy, jaką znalazł w melodyach obu tych tak sobie blizkich plemion. Charakter każdego przeważnie piętnuje się i na nucie tak Sandomierzan jak Kujawiaków. Uważa, że Sandomierskie, nie tyle co Kujawy na obce wystawione wpływy, dłużéj cechy starożytnych melodyi przechowało: za to „ogół melodyjności Kujawskiéj, do nowszych choć swojskich nastrojony pojęć, przedstawia tak w śpiewach weselnych jak i tańcach dużo swobody, rucbliwości, werwy i udatnéj świeżości, przystających w zupełności do wymagań ucha naszéj epoki."

We wstępie podaje autor na czele: „krótką wiadomość historyczną," o Kujawach, pióra Józefa Blizińskiego i załącza w rycinie pomnik na pamiątkę bitwy pod Płowcami za czasów Łokietka stoczonéj; daléj idzie *ziemia* (Grunta) opis dokładny urodzajności téj okolicy przez Adolfa Biesiekierskiego, oznajomionego z rolą Kujaw, w których prowadził długi czas gospodarstwo. Po czem już sam określa *fizyognomią kraju*, w którym rozpoczyna swe badania etnograficzne, podając opisy miast i osad znaczniejszych, z przywiązanemi do nich podaniami. Na stronnicy 42

kończą się te przedwstępne wiadomości, a konieczne dla poznania miejscowości, w której lud Kujawski od wieków przemieszkuje. Teraz trafną i dokładną tego ludu daje nam charakterystykę, opisuje ubior objaśniony drzeworytami w tekscie, pokarmy jakich używa i napoje, budowle tak chat z wewnętrznym rozkładem, jak i gospodarczych zabudowań: sprzęty, naczynia i narzędzia w codzienném życiu: wszystko przedstawione w licznych rysunkach.

Dział *przesądów i zabobonów*, czyto w pożyciu upowszechnionych, czy rolnych, albo lekarskich, nie jeden szczegół zachował z czasów jeszcze przedchrześciańskich. Do tego należą *czary*, *gusla*, *widma*, grające niepoślednią rolę w wioskowem życiu.

*Powieści ludowe* dzieli Kolberg na cztery działy, to jest: 1) *Klechdy*, 2) *Legendy*, 3) *Powiastki i gawędy*, 4) *Gadki*, a po określeniu właściwości każdemu utworowi, podaje w całości zebrane te kwiaty fantazyi ludowej. Piękny tu ich jest zasób, bo 43 nam podaje, z całą prostotą właściwą opowiedziane. Nie pomija przysłów, zdań, zagadek; z przysłów wybiera tylko takie, które w Kujawach w codziennóm są użyciu.

Większą połowę całego dzieła obejmują powyżej wymienione działy, a które dokładny i szczegółowy dają obraz tego ludu, nietylko z zewnętrznéj strony ale i duchowéj, którą rozwija się jeszcze więcéj w dalszym ciągu, przy opisach *zwyczajów*, *gry*, *obrzędów polnych i domowych*, w ostatnich dając nam obrazy to chrzciu, to wesela, to w ostatku pogrzebu. Najwydatniejszemi są tu *obrzędy weselne* i zbiór 107 pieśni przywiązanych do tego obchodu, wraz z notami.

Z wyliczenia tych różnorodnych przedmiotów, widzimy że p. Kolberg wszystkich stron życia jak i objawów duchowych dotykał, ażeby udokładnić obraz Kujaw, i odpowiedzieć głównemu tytułowi, że są to badania etnograficzne. Przepomniał wszakże o jednéj a wybitnéj, to jest ze strony wiary i pobożności ludu tak téj jak i innych okolic kraju.

Kto ludu naszego z bliska nie zna, tylko z książek jedynie, może zrobić i słuszny zarzut i braku wiary i pobożności, jak to uczynił uczony professor Jan Papłoński. Jakkolwiek w naszém piśmie staraliśmy się odeprzeć ten zarzut, było to już wskazówką dla p. Kolberga, że przy tak dokładnych badaniach, niegodzi się i nie można opuszczać ani licznych pieśni pobożnych, które są w ustach ludu, ani téż zaniedbywać bliższego rozpatrzenia co do jego gorącéj wiary, i *praktyk* z nią połączonych. Istnieją wprawdzie zbiory, wyłącznie pieśniom pobożnym poświęcone, które tak w kościele jak po chatach są śpiewane, ależ p. Kolberg, głęboki znawca w tym przedmiocie, wié dobrze, jakim ulegają zmianom i jak są rozmaite w różnych okolicach. Wié także że w melodyach ich zachowały się właśnie najstarożytniejsze, które godne są uwagi i rozpowszechnienia; w nich bowiem pozostały zabytki dawnych polonezów ze zmianą tylko taktu, i wiele przeszło do światowych pieśni.

W ustach żebraczych dziadów, są nieobojętne pomniki odległych wieków, tak co do śpiewanych przez nich pieśni, i przywiązanych do nich melodyj. W naszych oczach ginął zastęp, ostatnich wędrownych śpiewaków w licznéj niegdyś gromadzie *żebrzących dziadów*, którzy mieli stałą pomiędzy sobą organizacyą. Na zebraniu wspólném, pod przewodnictwem najstarszego wiekiem i przewagą umysłową, rozdzielali się różnemi okolicami kraju, w którym wyłącznie tylko żebrali. Żaden obcy pokazać się w tym obrębie nie mogł, gdyż sromotnie wygnanymby został. Zastępy tych *dziadów*, głównie rekrutowały się ze starych wojaków, dworaków, po upadłych wielkich domach, ze szlachty zagonowéj, którą los pognębił, a czasem i dawnych gospodarzy wiejskich, gdy któremu żona i dzieci pomarły, a klęski jako rolnika przygniotły. Każdy z nich brał torbę i sakwy na plecy, kij okuty i obszyty w końcu w jeżową skórę, żółwią skorupę, do zbierania jałmużny, i długi bicz, dla opędzania się przed psami wiejskiemi (1).

Weszło w obyczaj przyjmowanie gościnne tak we dworze jak w chacie takiego dziada, gdyż mało między niemi bywało pijaków, i ci nigdzie miru nie mieli. Gdziekolwiek stanął na spoczynek i wytchnienie, zaczynał od pieśni, niektórzy (lubo rzadko) miewali i *liry*, którymi wtórzyli sobie. Zaledwie pieśń dziadowska zabrzmiała, zbierała się gromadka dzieci około niego, i zapraszano do izby. Posilony po drodze, gdy noc zaskoczyła, znajdował wszędzie spoczynek. Z organizacyi ich wypływało, że kiedy każdy dziad miał wyznaczoną sobie pewną okolicę, pojawiał sie zaledwie po tygodniu lub po dwóch w jedném miejscu, i nie był naprzykrzonym gościem. Stosownie do pory czasu, miał w zapasie odpowiednie pieśni, jak: w Adwencie, na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i Zielone Świątki. Rzadszemi bywały ich wędrówki w porze letniéj, bo wśród spiekoty słońca, starcy ci zbieraniem grzybów i orzechów, a wśród żniw, lekką pomocą, to kręceniem przewiąseł na snopy zboża, to układaniem ich w polu albo w stodole, zarabiali na życie i zjednywali przychylność na czasy zwyczajnych wędrówek wśród grubéj jesieni, lżejszéj zimy i w *przednówek* na wiosnę, gdy o chleb trudniéj.

Jarmarki, odpusty, chrzciny, wesela i pogrzeby, dawały im obfite żniwo (2). Wszędzie im pieśń pobożna otwierała hojną rękę, sakwy się żywnością wypełniały, i zgarniali z żółwiéj sko-

(1) „Rozpuścił się jak dziadowski bicz," mówi przysłowie ludowe, stosując je do rozpasanego w namiętnościach człowieka.

(2) Zwyczajem od wieków u naszego ludu jest, że przy każdym pogrzebie wyprawia się uczta, po pochowaniu zwłok zmarłego, zwana *stypą*. Takie stypy istnieją dotychczas. Że dziady żebracze żadnego pogrzebu nie opuszczali, ztąd przysłowie: „na każdém weselu swat, na każdéj stypie dziad" malujące człowieka, który tylko patrzy gdzie się z komina kurzy.

rupy niemało w torbę grosiwa. Od nichto drobna dziatwa i młode dziewczęta uczyły się długich wierszowanych legend, starożytnych pieśni nabożnych, przywiązanych do rozmaitych obrzędów, jak zarazem bajek, powieści i podań ludowych!

Dzisiejsze żebractwo spodlone, nie może dać wyobrażenia o owych *wędrownych dziadach*, rodzaju *bractwa* co byli przechowywaczami najdawniejszych zabytków poezyi pobożnéj. Stanowili oni ogniwo łączące wyższą klassę społeczności z ludem, często utwory wykształconych pisarzy przenosili pod strzechę wiejską i jako drogi dar duchowy w pamięć młodego pokolenia przelewali.

Trafny i uzasadniony wniosek zrobił Felix Bentkowski, że w zbiorach zwanych *Kantyczkami*, ukrywają się najdawniejsze religijne pieśni, które sięgają czasów Kazimierza Wielkiego, jeżeli nie wyżéj. Lud nasz dotąd je zna i śpiewa, zachowawszy w wiernéj tradycyi; niemałą ich liczbę utrwalili po wsiach *dziady żebracze* co zastąpili z XVI i XVII w. *Rybałtów* i *Pątników*, którzy wówczas stanowili wędrownych po kraju śpiewaków, łącząc się nieraz z przybyłemi z Serbii śpiewakami, roznoszącymi tęskne dumy narodowe, rapsody o walkach z Turkami i klęskach, na jakie dzielne to plemie położone na granicy muzułmańskiéj, wystawione było

Wszyscy u nas zbieracze pieśni ludowych, pobożne i religijne zaniedbywali: dziś przecież należy ich nieopuszczać, i pilnie badać, jak się dochowały w rozmaitych okolicach. Godziłoby się krytycznie zabrać do przejrzenia *Kantyczek* tak słów jak i melodyj. P. Kolberg, nie powątpiewamy, że wykona tę pracę mozolną, zarówno sumiennie jak dokładnie.

To co wydał dotąd nasz badacz, jest małą cząstką tego co już zebrał, w każdorocznych wycieczkach w różne strony kraju. Gotowe do druku ma okolice Warszawy i Krakowa. Rękopism obejmujący lud z okolic ostatniego grodu, ma być wydany nakładem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Nie łatwem jest zadaniem zgromadzać podobne zbiory, które wydobyć potrzeba z upornego nieraz ludu: nie żałować zabiegów i trudów, żeby zdobyć jaki szczegół. Patrząc na prace rozpoczęte na tak szerokie rozmiary, przy szczupłych zasobach, z poświęceniem pierwszych potrzeb życia, musimy z prawdziwym szacunkiem o p. Kolbergu wspominać. Nikt lepiéj i dokładniéj od niego nie potrafi w tym kierunku prowadzić badań, które są nieocenionéj wartości, a są naglące. Naglące, bo dzisiaj przy zmianach stosunków rolniczych które są zapowiedzią lepszéj przyszłości, lud nasz szybko ulega przemianie. Dawniéj w promieniu paromilowym i to wielkich miast, stroił się już nawpół mieszczańsko, jak to mówią z *waszecia:* teraz zrzuca w dalszych nawet okolicach z dawnych czasów sukmany, starożytnego kształtu czapki, a z ubiorem zaniedbywa wiele zwyczajów i obrzędów, które dotąd jako relikwie po swych ojcach, przechowywał. Jeszcze kobiety wiejskie, więcéj uczuciowe, ratu-

ją te szczątki, ale w ciągu zaprawdę lat dziesięciu, takie ujrzymy zmiany, jakich dawniéj cały wiek nie wywołał. Zbierać więc co rychléj wszystko pomiędzy ludem należy, co tylko może charakterystykę jego stanowić. Ale na to potrzeba i zasobów znacznych i usiłowań nie jednego człowieka. Jak zaś każdy z nowych zbieraczy w tym kierunku ma rozwijać na przyszłość badania, piękny i jedyny wzór, podaje nam w swych dziełach p. Oskar Kolberg.

*K. Wł. Wójcicki.*

# PRZEGLĄD MALARSTWA KRAJOWEGO

ZA ROK **1868**.

---

O zasługach i przymiotach Simmlera (Warszawianina) poświęconego wyższym zakresom malarstwa, o jego idealizującéj dążności, o dramatyczności pomysłów, szlachetnym spokoju a niepowstrzymaném trudami zmierzaniu ku wyżynom tworzycielstwa postaciowego, miałem sposobność na tych samych stronnicach zdanie moje z ogółem czytającym podzielić. Niech mi wolno będzie dotknąć z kolei niewielu słowy ostatnią przed dwoma laty wykonaną pracę Artura Grotgera (Galicyanina) sięgającego po palmę uznania i nagrody z poza mogiły, rok temu nad zwłokami młodzieńca zamknionéj (1).

* * *

Grotgera *Wojna* (2) to jęk szlachetnego serca chrześciańskiego przejętego wskróś miłością bliźnich, jęk wyrywający się z bolejącéj piersi na widok tych zapasów nieustannych, tych klęsk okropnych, od jakich ani cywilizacya ani wiara Chrystusowa społeczeństw odwrócić nie mogą; to zapozew przed sąd Boga miłosiernego a sprawiedliwego rzucony ludzkości zapominającéj że jest powołaną nie do walk bratobójczych, ale do miłości w imię Ukrzyżowanego.

Wielkość i podniosłość myśli zawartéj w tym szeregu utworów idealnych uważam za jedno z najświetniejszych zjawisk w historyi sztuki powszechnéj, a stratę jaką w kronice roku ubiegłego zapisujemy, za jedną z najboleśniejszych a tém smutniejszą, że sztuka w tym głębokim myślicielu, w tém zacném sercu traci drugiego już przedstawiciela czysto idealnego kierunku twórczości postaciowéj (3).

(1) Artur Grotger urodził się d. 11 listopada 1837 w Ottyniowicach, umarł dnia 13 grudnia 1867 roku w Amèlie les Bains we Francyi.

(2) Cykl idealny, o którym mówię składa jedenaście rysunków zakupionych z Wystawy Powszechnéj przez cesarza austryackiego do zbiorów dworskich w Wiedniu. Wiedeński fotograf Auguer wydał je w fotograficzném powtórzeniu dołączywszy text przez niemieckiego poetę napisany. Zbiór ten przed kilką tygodniami ukazał się w handlu rycin w Warszawie.

(3) W życiorysie *Simmlera* wspomniałem o pierwszym, którym był *Gierdziejewski*.

Myśl utkwiwszy w przewodnią gwiazdę idealnéj twórczości spojrzyjmy teraz gdzie nam kiełkują przyszłych owoców piękna postaciowego zarody, a gdzie plon dawniéj dobrze skierowanych usiłowań na téj niwie dojrzał, i jakie wydał w tym roku owoce.

* * *

W utwory zakresu religijnego rok ten był bardzo ubogi. Obrazów czyniących zadość wszelkim wymaganiom sztuki nie mieliśmy; dobrą dążnością odznaczyły się dwie prace: olejne małe Ukrzyżowanie p. *Lasockiego* i p. *Głębockiego* karton Święta Agnieszka. Ten ostatni zasługuje na uwagę oryginalnością pomysłu i wyrazem świętéj postaci, żadną miarą jednak pochwalić nie można anioła, którego poruszenie pięści, a włosy w pospolitym nieładzie, wyobrażają raczéj siłę cielesną rozgniewanego chłopaka niż potęgę istoty wyższéj, duchowéj, zamierzającéj energicznym zamachem odtrącić bezbożnego napastnika, od niepokalanéj dziewicy; śmiałość jednak i szczerota z jaką p. G. chciał za pomocą téj postaci myśl swoją wypowiedzieć, przemawiają o tyle na jego korzyść, że o istnieniu wrodzonych zdolności twórczych artysty dają nieomylne świadectwo. Więcéj wyrobienia technicznego a nadewszystko szersze pole działania mogłoby bogaty zasób idealny, bystrość spostrzegawczą i energię p. G. rozwinąć i dać krajowi artystę wyższego stopnia. Panu Głębockiemu należy się tém słuszniéj uznanie jego usiłowań dążących do rozwoju sztuki, że pomimo trudnych okoliczności w jakich jest położony, pielęgnuje w sobie z niezachwianą energią i wytężeniem sił, święty zapał do tworzenia postaciowego, do przemawiania za pośrednictwem zarysów i barw; gdy inni, rówiennicy jego, mimo daną im sposobność wykształcenia się, znaku życia nie dają i do rozwoju sztuki bardzo mało albo wcale się nie przykładają.

* * *

Zakresu historycznego, kilka na Wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych znajdujemy prac godnych, aby się nad niemi zastanowić. PP. *Matejki* Władysław Biały książe Gniewkowski, *Januarego Suchodolskiego* Odwrót Turków z pod Wiednia, *Supniewskiego* Warneńska klęska i Jabłonowski w Jutlandyi i *Brandta* Chodkiewicz pod Chocimem. Pierwszy małych rozmiarów obrazek z epoki rozdrobnionéj z malutkiéj duchowo, a zazdrosném współubieganiem się o dzielnicę krakowską powaśnionéj, rodziny Piastowskiéj; przedstawia jednego z potomków Chrobrego na małéj dzielnicy wielkopolskiéj Gniewkowie osiadłego, a któremu do cichego schronienia w klasztorze Benedyktyńskim w Dijon poseł od jego stronnictwa przynosi wezwanie na tron polski, wraz z mieczem mającym książęciu drogę do korony utorować. Obraz przedstawia chwilę budzącéj się w pozornym mnichu książęcéj dumy, na widok pargaminu przypominającego mu prawa jego urodzenia. Epokę swoją wyraża ta praca wybornie. Cały okres dwudziestoletnich waśni spowodowanych testamentem Krzywo-

ustego staje nam przed oczyma na widok tego wyniosłego białowłosego książęcia, który drogę wielu innych swych krewnych, między ojczystą dzielnicę, klasztor, wygnanie, tułactwo a marzenie o koronie Piastowskiéj życie swoje dzieląc, stargany na siłach i moralnie znękany, gdzieś daleko na obcéj ziemi ostatnie tchnienie w cudze ręce oddał. Obraz więc jest w właściwém znaczeniu wyrazu historycznym. Bije zeń oprócz tego głęboka znajomość serca ludzkiego i ludzkich obyczajów streszczona w napisie jaki malarz położył na międzyoknowym filarze celi; jest on jakby ręką księcia wyryty, a odpowiada w zupełności znaczeniu téj postaci i jéj usposobieniu. Czytamy tam w górze *Vladislaus dux poloniae*, poniżéj *hodie frater Ord. Benedict.* niżéj *cras*, to odstęp, który nadziejami kołysana wyobraźnia Piasta zapełniała choćby jednym wyrazem *rex*, a pod tém wszystkiém średniowieczne a klasztorne *memento mori*, i data 1387, rok przywdziania habitu benedyktyńskiego.

Skończoności téj myśli historycznéj odpowiada skończoność wykonania wytworna. Życie i wyraz tryskają w postaci Władysława z jego wybladłego oblicza i z śniadéj, skwarem słonecznym spalonéj twarzy zdrożonego posła; niepominięty tu najdrobniejszy szczegół mogący się przyczynić do rozjaśnienia myśli a ozdobienia obrazu.

Bitew pojętych prawdziwie historycznie w ogóle mało napotykamy w zbiorach dzieł sztuki. Pospolicie są to mniéj więcéj udatnie ułożone tłumy ucierających się, a rozmaicie poubieranych ludzi. Dramatyczność głównem bywa zadaniem tego rodzaju pomysłów niedochodzących najczęściéj nawet tego natężenia, jakie im przed 300 laty przepisał w swym traktacie o malarstwie Leonardo da Vinci. Wszakżeż uwydatnienie starcia się pewnych potęg historycznych powinnoby być zadaniem wyższego rodzaju bitownych pomysłów, i bywa niém niekiedy, jak o tém świadczą obrazy Delaroche'a, Iwona, Ary Szefera, którzy bitwę tak właśnie rozumieli; samiż nasi malarze o miedzę nieraz tylko graniczą z tém pojęciem. Spostrzegam to w odwrocie Turków z pod Wiednia p. *Januarego Suchodolskiego.* Przypuścić można, że p. *S.* umieszczając na przodowém miejscu swego obrazu, we wszelkie wygody zaopatrzone namioty mahometan, napełnione serajowemi pięknościami pod strażą eunuchów, nie co innego miał na myśli, jak uderzenie wyobraźni patrzących obrazem bezpotrzebnéj na wojnie wielkości taboru zbytku i azyatyckiéj zniewieściałości, które do upadku doprowadziły wyznawców proroka. Nie powiem, aby ten kierunek myśli jasno i dobitnie z obrazu tryskał, zwracam jednak uwagę na materyał historycznego znaczenia, może bezwiednie, a w każdym razie powierzchownie tylko przez artystę dotknięty.

Wzorowego rodzaju zalety miewają téż zwykle bitwy p. *Sypniewskiego.* W klęsce Warneńskiéj sam fakt przebiegu i rozwiązania tego dramatu historycznego, jasno dosyć jest wyrażony. W zdobyciu fortecy Jutlandzkiéj dzielny zapęd jazdy stanowiący założenie obrazu, przypomina tradycyonalną sławę téj konnicy.

P. *Brandta* Chodkiewicz pod Chocimem nosi na sobie o tyle cechę historyczną, że dając nam wyobrażenie jednéj z najznakomitszych postaci dziejowych opromienionéj całą powagą i spokojem bohatera, uwydatnia grupę środkową attakującéj kawaleryi, znany jéj zapał wojenny piorunem spadający na nieprzyjaciela. W tym obrazie śmiałość wykonania w parze idzie z jego ogólnym wyrazem. Niebezpieczna to jednak ta śmiałość, prowadzi bowiem za sobą przesadę i wadliwość rysunku. Możemy się jednak spodziewać, że p. *B.* uchroni się od tego niebezpieczeństwa nieustanną pilnością w ścisłém badaniu prawdy naturalnéj.

* * *

Jednym z malarzów idących dobrze ubitym torem jest pan *Skirmunt.* Sądząc z obrazów tego artysty, treści obyczajowéj sądzę, że musi się kształcić i przebywać we Włoszech. W jego pracach bowiem przebija się dzisiejsze hasło artystów włoskich „prawda rysunku i barwy, oparta na poprawności i wyrobieniu, a precz z przesadą, światłocieniem kolorytu i manierą rysowniczą..." Lepszego godła w sztuce przyjąć nie można, mianowicie w obecnéj epoce, w któréj idealni i surowi w rysunku Niemcy niedawno jeszcze przez Korneliusa i Overbecka i Sznora na tę drogę pchnięci, dziś tracą głowę dla effektów światłocienia, złudzeń kolorystowskich i realistycznych powabów. Przewidzieć łatwo że dobry kierunek musi wziąć górę. Tymczasem dla naszéj sztuki która w ciągu jednego roku straciła dwóch tak znakomitych przedstawicielów idealizmu i czystości stylu, rozwój na drodze jaką idzie p. Skirmunt jest podwójnie ważny a obrazy tego artysty w murach naszych bardzo pożądane. Ktokolwiek widział ostatnią pracę p. S. Maryę Stuart otoczoną dworem swoim, nie może nie uznać jak dalece patrząc na nie doznaje się prawie wrażenia kokieteryjnego malowidła, ale skromnéj a istotnéj prawdy. Taką skromność w rysunku, barwach i wyrazie może wydać tylko zupełna dojrzałość wyrobienia.

W obrazach większych rozmiarów p. *Sypniewskiego* nie dostrzegamy pożądanéj wytrawności rysowniczéj, obyczajowego zakresu praca tego artysty Aldona i Alf z poezyi Mickiewicza Konrad Wallenrod, jest tego dowodem. Alf jest pełen energii w poruszeniu, z piersi Aldony ciężkie westchnienie serdeczne, bardzo naturalnie się wydobywa; widać jednak wahanie się, niepewność rysunku niektórych części. To wahanie się pociągnęło za sobą zbyteczne przyczernienie półcieniów. które cały obraz przysłoniły czarniawą barwą pozbawioną wdzięku i prawdy. W każdym razie jednak widać z téj pracy że p. S. może nas porwać kiedykolwiek za sobą nowym jakim energicznym rzutem naprzód, nie ustaje bowiem w pracy a ciągle składa dowody zapału do tworzenia.

* * *

Następuje szereg obrazów potocznego zakresu przedstawiający największą różnorodność kierunków i najrozmaitsze stopnie i ro-

dzaje uzdolnienia artystów. Idąc kolejnością ich ukazywania się na wystawie Tow. S. P. natrafiamy zarazem na kolejność dziejową. P. *Brandta* Jan Chryzostom Pasek w Harlemie (w czasie wyprawy Czarneckiego do Danii), zwraca nadewszystko uwagę wytwornością malowania i pięknością barw. Prostota i skromność rysunku stanowiące ogólnie biorąc zaletę każdego obrazu, w tym szczególnym wypadku mają znaczenie kroku naprzód wydarcia się z pod grożącéj artyście przesady. Pasek i typy otaczające go odbijają się na tle tłumu obozującego pośród ulicy miasta, wykonanéj z szczególnym powabem skończenia.

Wojska w czasie pochodu z czasów saskich p. *Henryka Pillatego:* bogatszy to w pomysły potoczne obraz życia wojskowego od poprzedzającego (p. B.), śmiałością dotknięcia zwykłą p. Pillatemu uderza oko. Jak ważném jest w sztuce zasadne wykształcenie świadczą prace pp. Kurelli i Tegazzo: obadwaj ci artyści dali już próby wszechstronności swego wyrobienia obrabiając zadania religijnéj treści wymagające wysokiego polotu wyobraźni i doskonalszéj umiejętności wyrażania myśli za pomocą postaci, ztąd obrazki ich na poetycznych pomysłach Mickiewicza oparte noszą na sobie cechę pewnéj wyższości nad poziomy tłum powszednich kreacyj.

P. *Tegazzo* Zosia (z Pana Tadeusza) karmiąca drób ma w sobie coś istotnie idealnego, niezwykłego; artysta pozostał w zgodzie z poetą nadając téj postaci pozór greckich niewieścich piękności. P. *Kurellego* Panicz i dziewczyna na tle przejrzystéj zieleni, chłodem gęstwiny przysłonięci, miękkością i swobodą skończenia a naturalnością ruchów i wyrazów, dają nam poznać do czego artysta jest zdolny, jak umie wniknąć w myśl postawionego sobie zadania.

Dojrzałość umiejętności tych dwóch artystów szerokiego pola działania oczekuje.

Jako gość po raz drugi bawiący w mieście naszém p. *Horowitz* (z Węgier) wystawił w salonach Toarzystwa obraz pełen powabu zatytułowany Zalotna mimo wiedzy. Sześcioletnia dziewczynka z łóżeczka się zerwawszy siadła w koszulce na stole i uśmiecha się do twarzyczki swojéj w zwierciedle odbitéj. Przedmiot to nader miły, pociągający życiem, wdziękiem linii i barw: prawdziwe dzieło sztuki, o tyle jeszcze nad inne godne wzmianki, że wywarło wpływ na artystę p. *Lipskiego*, który nam dał podobny pomysł dziewczynkę ubierającą się: o dość powabnéj twarzyczce, ale niedostatecznéj poprawności rysunku, a o kolorycie mało prawdziwym.

P. *Kostrzewski* zawsze płodny w nowe pomysły i postacie, w tym roku dał nam dwa tylko obrazki godne zalet, jakie zwykliśmy w pracach tego artysty spotykać. Ostatnia krowa z obory i żebracy: drugi odznacza się nader trafną charakterystyką

postaci. Nie wiem jak ten obrazek był oceniony i jaki go los spotkał, to tylko utrzymywać mogę, że kto go nabył, znajdzie po wielu latach treść jego równie zajmującą a wartość większą.

P. *Leflera* (z Radymna) b ó l s e r c a. Drobiażdżek to z codziennego życia, epoki szkolnych ławek wyjęty. Chłopiec przy książce przez matkę pilnowany zazdrości zabawiającym się piłką towarzyszom, swobody: obrazek pełen prawdy powszedniéj.

Pana *Budkowskiego* w historyi sztuki zapominać niepodobna; ma on swoją odrębną drogę, którą z powodzeniem uprawia: drogą tą są ścieżki serca. Obraz który tego roku mieliśmy na wystawie T a t r z a ń s c y p a s t e r z e, tegoż właśnie kierunku jest owocem. Prostym, skromnym sposobem malowania stawia nam p. *B.* przed oczy mały dramacik, w którym niepokój serca młodéj zakochanéj prządki, źle sobie z zerwanéj nitki wróżącéj, gra główną rolę; dopomagają do jego uwydatnienia postacie wchodzące w skład obrazu: starsza niewiasta i góral wychylający się z za drzewa.

Nie obywa się ten smutny rok bez jakiéjkolwiek pociechy. Pociechę tę zapisują nazwiskami swemi, w rodzaju potocznym pp. *Głębocki* i *Kaczorowski*, szczególnie wybitnego postępu i zamiłowania do sztuki składając nam dowody. W r ó ż b a p. *K.*, oprócz trafności wyrazów twarzy i poprawności rysunku, w niektórych częściach daje nam próby drobiazgowéj staranności skończenia wzorowego, nie pozostawiającego nic do życzenia. Innemi zupełnie zaletami wyróżnia się p. Głębocki. Śmiałość jest przymiotem wrodzonym tego artysty; idzie on na przebój nieutorowanemi wcale drogami; nowość pomysłów i trudności zdają się mieć dla p. *G.* szczególny powab, a przyznać należy że go darzą powodzeniem. Jednym z takich nowych a trudnych przedmiotów jest K a z a n i e n a J a s n é j g ó r z e. Trudność tu leży nietylko w wyrazach twarzy, ale w samych postawach nabożnych włościan krzyżem leżących w obec blizkiego ich oka miejsca, cudami słynącego. Te najtrudniejsze leżące postacie są właśnie najlepsze w obrazie: pełne życia, mimo martwoty postawy, narysowane bardzo poprawnie, malowane śmiało, o barwach prostych, prawdziwych a urozmaiconych należycie. Miłość prawdy to najlepszy przewodnik i doradca artystycznéj duszy. Wiem że przymioty p. *G.* nielicznych mają zwolenników; wiem też jak liczni są ci, którym się lepiéj podoba licho naszkicowany wesoły koncept, niż rzecz gruntowna a poważna. Nie zmieni to jednak stanowiska p. *G.* w sztuce, owszem umocni je, jeżeli artysta na obranéj drodze wytrwać zdoła a pracą około wyrobienia swego dzisiejsze usterki usunąć potrafi.

P. *Kozakiewicz* z Krakowa przyniósł do skarbnicy sztuki w tym roku nowość swego nazwiska wraz z zaletami pozwalającemi dobrze wróżyć o młodym malarzu, pod jednym atoli warunkiem, jeżeli na drodze wyrabiania się w sztuce ustawać nie będzie. M r z o n k a D o r o b k o w i c z a nowa pod względem obranéj do obrazu treści, zaleca się nie złym rysunkiem i malowaniem, myśli jednak przez malarza zamierzonéj nie wyraża.

* *

Śmierć Simmlera osierociła gałąź malarstwa portretowego otwierając pole zdolnościom pragnącym pójść tą drogą. P. *Miller* okazał ku temu najwięcej chęci i ogólnego uzdolnienia; koloryt jego wizerunków odznacza się niekiedy wybitną pięknością, a zarysy trafnością w chwytaniu podobieństwa, rysunek pozostawia jednak częstokroć wiele do życzenia.

* *
*

Do działu krajobrazowego zakrada się niebaczne pomijanie dobréj drogi charakterystyki i rysunku dla błyskotek kolorytu i dotknięcia pędzla. Stoją wprawdzie na wyłomie dzielni szermierze: pp. Schouppe, Brzozowski, Marszewski a poniekąd i Malinowski, artyści więcéj o istotne niż o pozorne powaby dbający; zły smak jednak wciska się pochłaniając prawdziwe, niepospolite zdolności na korzyść łatwéj produkcyi i maniery: podciągającéj pod jeden sznur wszystkie odrębności talentu i daru spostrzegawczego.

Jak dalece wielką szkodę wyrządzają nasi młodzi malarze sobie i sztuce krajowéj tém upartém zaniedbywaniem obrabiania swojej niwy, za przykład może posłużyć porównanie kilku widoków jakie obecnie mamy na wystawie. D o l i n a S t r ą ż y s k a przez p. Schouppego, obok niéj taż d o l i n a przez p. Swieszewskiego, i w i e r z c h y n a d C z a r n y m s t a w e m p. Marszewskiego— oto trzy widoki tatrzańskie. W piérwszym, który jest obrazem ze wszech miar wzorowym pod względem pomysłu i skończenia, charakter miejscowy w całéj grozie upoetyzowanéj staje nam przed oczyma; ostatni to jakby zwierciadlane odbicie przyrody tatrzańskiéj, środkowy zaś tak podobny do tyrolskiego widoku p. *Swieszewskiego*, że gdyby nie podpis, to ani z zarysów skał, ani z kolorytu panującego w nim, ani z natury wody, niepodobnaby poznać że przedmiot do niego z Tatr zaczerpnięty. Podobne błędy spotykamy w p. Maleckiego obrazach: ładnie to wykonane, śmiałe, świetne w barwach, ale przyrody żywéj trudno się doszukać tam, gdzie jasność planów odległych wydobyta jest czarnością blizkich drzew, jakiéj pośród dnia białego napotkać niepodobna. P. Gierymski bawiący w Monachium wchodzi tam także na drogę naśladownictwa, zamiast wziąć się do ścisłych badań natury, które mogłyby uczynić go samodzielnym a może wyższym nad tego, kogo naśladuje obecnie.

Jakże miło po takich drzewach koloru błota a postaci kręgów płaskich jakie na obrazku p o ł u d n i a p. *G.* spotykamy, odpocząć okiem na pełnych prawdy lesistych wzgórzach o k o l i c S m o l e ń - c a p. *Brzozowskiego*, a choćby na sosnowym zagajniku p. Malinowskiego.

Od czasu jak się na Wyst. Tow. S. P. ukazały wnętrza i w ogóle perspektywiczne widoki p. *Gryglewskiego*, stale przywykliśmy widzieć w nich nietylko ciągły postęp, ale zalety doskonałości stawiające p. *G.* w rzędzie artystów powszechniejszéj godnych sławy. Stanowisko to tém trudniéj było zdobyć artyście krakowskiemu na naszéj

wystawie, że oddawna przywykliśmy widzieć ten rodzaj malarstwa uprawiany przez tak słynnego artystę jakim jest p. Marcin Zalewski, do tej chwili jeszcze nieporzucający pędzla. Obecny obraz p. Gryglewskiego przedstawia wnętrze kaplicy Batorego przy katedrze na Wawelu.

Nie mogę przemilczeć nakoniec o kilku jeszcze pracach zasługujących na uznanie: są to konie i krowy p. *Brodowskiego* odznaczającego się szczególnem zamiłowaniem do tego rodzaju malowideł wychodzących z pod jego ręki w całej pełni powabów rysunku i barw.

W listopadzie 1868 r. *W. Gerson.*

# KORRESPONDENCYA.

## *Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.*

*Florencya, d. 15 grudnia 1868.*

Przez Berlin, Drezno. Pragę, Wiedeń, Wenecyą i Bolonią przyjechałem do Florencyi 8 listopada.

Nie będę ci opisywał miasta, bo pisząc do różnych osób musiałem już kilka listów temu przedmiotowi poświęcić. Wolę coś nadmienić o stanie umysłowości krajowej, przy czém jednak Florencyi nie można brać za typ całych Włoch, bo tu różnice są jeszcze wielkie, a Florencya uniwersytetu nie ma, niedawno jeszcze jest stolicą, a ludność lubo dość wzrasta, nie przenosi 120 tysięcy mieszkańców.

Najlepsi tutejsi księgarze (z których żaden włoski nie zna swojego rzemiosła, t. j. nie ma wyobrażenia o ogólnym ruchu krajowéj literatury), przyznają mi, że więcéj przedają książek francuzkich niż włoskich. Chciałem np. dzieł znakomitego historyka ekonomisty p. Cibrario; idę do księgarni podanéj w Przewodniku Badekera jako włoską. „Ja mam wprawdzie," odpowiada mi księgarz „książki włoskie ale tylko szkolne; idź pan do Paggi." Idę za wskazanym adresem, jako niby w centrum włoszczyzny. „Cibrario" mówi księgarz po namyśle, zaraz panu wyszukam. Szuka, przynosi—patrzę co to jest?—tłumaczenie francuzkie. „Ale ja nie przyjechałem do Włoch żeby książki francuzkie czytać, proszę o oryginał, tém więcéj że jest późniejsza edycya." „Oryginał wyczerpany, mamy tylko tłumaczenie francuzkie." Było to jak mówią Niemcy *frisch gelogen*, bo trafiwszy na innego księgarza trochę lepszego od drugich, kazałem sobie z Turynu sprowadzić co mi było potrzeba, i Turyn jak się zdaje jest ciągle stolicą poważniejszéj pracy.

Brak uniwersytetu we Florencyi zastąpić chciano prelekcyami publicznémi w Instytuto, coś nakształt paryzkiego *Collège de France.* Byłem na kilku prelekcyach wygłoszonych płynnie, przyznaję; lecz nie wiele nauczających a przynajmniéj

nie objawiających żadnego nowego kierunku myśli. Filozof Conti mówi o pięknem, dobrze i prawdzie; materya w którój tylko nadzwyczajny talent nową stronę odkryćby potrafił. Giuliani rozpływa się nad Czyśćcem Dantego („*il sacro poema*"), ale nie powiem żeby słuchacze w czasie jego prelekcyi byli w niebie i t. d.

Jednym z najznamienitszych rzeźbiarzy włoskich jest obecnie Jan Dupré. Jego nazwisko dał za tytuł swoim dwom rozmowom o sztuce, professor filozofii August Conti. (Giovanni Duprè o dell' arte dialoghni due di Augusto Conti. Pisa. 1865).

Pierwsza z tych rozmów ma za przedmiot „Tryumf krzyża," wielką płaskorzeźbę Duprégo umieszczoną nad głównemi drzwiami kościoła Santa Croce we Florencyi. Druga dwa inne dzieła Duprégo „Pièta" i „Chrystus zmartwychwstały."

Oto co mówi w tój drugiéj rozmowie sam Dupré o sobie str. (103—105).

Jakkolwiek nie uczyłem się w akademii i jako biédny grawer stałem w sklepie, zdawało mi się jasném jak słońce że sztuka się nabywa w boskiéj księdze (natury); lecz że téj księgi nie czyta się bez wewnętrznego światła: przyszedł mi popęd, idea, fantazya wyrzeźbić Abla. Miałem model, pracowałem jak mogłem i Abel się podobał. Abstrakcyjne zmyślenia i niewolnicze kopie zarówno mi były wstrętne, lecz nie miałem jeszcze ustalonego i wyraźnego kryteryum sztuki w swoim umyśle; niektóre pisma Arcangele'go o idealności w sztuce, zbiły mię z toru; umyśliłem zamknąć kodeks natury, zapatrywać się na gipsy i starożytne pomniki. Wówczas stałem się jak umarły; tworzyłem posągi manierowane, w których ani nikt mnie ani ja siebie nie poznawałem. Lecz wracając z Neapolu, gdzie mieszkałem dla zdrowia, w przejeździe przez Rzym widziałem u św. Piotra dzieła Canowy nie wylizanéj elegancyi, jak niektóre inne jego utwory, ale Piusa VI klęczącego u grobu apostołów; twory w których prawda natury świetnieje wieczną idealnością: i powiedziałem wstępując w siebie odnalazłszy mego ducha, czując się znowu jakim byłem przy tworzeniu Abla „oto jest sztuka." Odtąd już jéj nie porzuciłem."

Od tego czasu zaczęła się nowa epoka działalności Dupré'go, któréj zawdzięczamy piękny pomnik hr. Ferrari z domu Moltke w kościele S. Lorenzo, Bachantkę (wielokrotnie na żądanie amatorów odkutą z marmuru). Tryumf krzyża; Safonę, Chrystusa zmarłego, zmartwychwstałego i t. d.

---

W Florencyi w r. 1868 wyszła historya handlu florenckiego od 1200—1345 przez Komandora Peruzzé (Storia del Commercio e dei banchieri di Firenze in tutto il mondo conosciuto dal 1200 al 1345) T. I. Tom drugi ma zawierać dokumenta.

Autor potomek znakomitéj rodziny bankierów florenckich Peruzzich, niegdyś poseł toskański w Paryżu, jest raczéj uczonym

dyletantem niż historykiem z powołania. Dzieło jego nie ma ciągu, nie składa całości, mówi nietylko o handlu i bankierach jak zapowiada tytuł, lecz nieledwiebym powiedział o wszystkich przedmiotach i niektórych innych. Że jednak Peruzzi wydobył na jaw wiele niedrukowanych i nieznanych pomników, praca jego i z przedmiotu i z obrobienia, ma istotną wartość.

Florencya jakkolwiek już dawno istniejąca, dopiero w XIII wieku zaczęła się wznosić i nabierać ważności. Florentczycy stali się bankierami dworu rzymskiego, przy tem miasto ich było pierwszém może miastem fabrycznêm swego czasu.

Wiadomo, jak obfite dochody ciągnął dwór rzymski w wiekach średnich, ze Świętopietrza, z annat i t. p. Przesyłka pieniędzy do Rzymu odbywała się za pośrednictwem bankierów, a tymi byli Florentczycy. Doszedłszy do wielkich bogactw zaczęli udzielać pożyczki panującym, szczególnie angielskim, neapolitańskim; brali w zastawę dochody celne i t. p. Te operacye wszakże skończyły się bardzo niepomyślnie. Dwa mianowicie wielkie domy Bardi i Peruzzi pożyczywszy wielkie summy Edwardowi III królowi angielskiemu, na wojnę z Francyą, nie odebrały ich nigdy, co głównie pociągnęło za sobą upadek tych domów w roku 1345 a z niemi i wielu innych. Autor, jako potomek Peruzzich nie może darować Anglikom ruiny swego domu; całemu temu wypadkowi większą może przypisuje wagę, niż mu się rzeczywiście należy. Stratom Florentczyków nie zaprzeczam, lecz nigdy takie straty nie zniszczyłyby pomyślności miasta, gdyby inne jej podstawy nie były nadwątlone.

Oprócz bankierstwa, Florencya była długi czas głównêm siedliskiem przemysłu wyrobów wełnianych, a w części i jedwabnych.

Dwie były główne odnogi przemysłu wełnianego: wyrób sukien z wełny surowéj i apretura sukna już gdzieindziéj wyrobionego (arte di Calimala).

Wełnę kupowano głównie z dóbr klasztornych w Anglii i Szkocyi. Podręcznik kupiecki (manuele del mercante) Balduccego Pagolotti z r. 1315 wymienia tych klasztorów dwieście, z dziwnie poprzekręcanemi nazwiskami; wszystkich prawie przecież tożsamość odszukać się dała. Sukna były fabrykatem francuzkim i flandryjskim. Bruges szczególniej stał się składem towarów włoskich, ztąd rozchodziły się one na Północ. W końcu już w XV wieku Flamandczycy ulepszyli swoją fabrykacyą i zaczęli się bez pomocy włoskiéj obchodzić.

Portem przez który wyprawiano wełnę i t. d. do Włoch było Aigues mortes w Prowancyi, dziś zamulone i od morza o kilka mil odległe, podobnie jak Piza będące wówczas głównym portem handlu florenckiego od strony Włoch.

Handel swój i przemysł Florentczycy prowadzili głównie za pośrednictwem spółek na czas krótki, bo od lat 2ch do 6ciu za-

wieranych, lecz często odnawianych. Takich spółek było równocześnie w XIV wieku więcéj sta.

Rachunkowości podwójnéj pierwszy ślad znalazł autor w r. 1382; nazywaną była wówczas wenecką. Handel florencki lubo rozległy, dochodzący aż Chin, nie przeszedł zdaje się nigdy w Europie bezpośrednio po za Bruges, przynajmniéj o kantorach w Niemczech i t. d. nie czytamy wzmianki. Kommisanci zwali się fattori (zkąd może nasz faktor). Znakomite obroty pieniężne pociągnęły za sobą i ulepszenia mennicze; Florencyi należy się początek florena, monety złotéj z lilią (herbem miasta).

---

Jako wiadomość szczegółową dodaję, że nasz wyraz pawęż jest zapewne włoski *pavese* (tarcza z Pawii) Perussi (str. 407).

Dwie gazety dość małéj w ogóle wartości, co zresztą nie tylko Włochom się przytrafia, dwie publikacyj rządowych, z których statystyczne mają niejaką wartość, ale to wszystko nie stanowi literatury ani ruchu umysłowego nie podnieca. Ochoty do nauki mało; w gimnazyach zaledwie 10% przechodzi, co czy jest winą metody uczenia, czy opieszałości uczniów, nie wiem.

Teatrów dziesięć; kilka większych od warszawskiego. Trupy aktorów zmieniają się co 40—50 dni. Jedna tylko mogła być uważana za wzorową; od niedzieli już jéj nie ma. W ostatnim czasie grała 10 razy nową sztukę p t. „Fragilita" młodego człowieka p. Torelli, który już dał się poznać komedyą Imerita.

Fragilita jestto niby obyczajowa komedya wykazująca tę znaną prawdę, że każdy ma swoją słabą stronę. Doskonała gra aktorów, upatrywane podobieństwo między żyjącemi a przedstawianémi na scenie, elegancya dyalogu, zapewniły téj sztuce powodzenie we Florencyi, ale nie śmiałbym zaręczyć czy je znajdzie gdzieindziéj, zwłaszcza przy mniéj dokładném przedstawieniu.

W teatrach ludowych nie obejdzie się bez typowéj figury Henterella. Jest to lokaj, tchórz, błazen i t. d. który na swoje plecy wszystko brać musi. Grają np. Don Carlos con Henterello czyli la Rivoluzione a la liberazione di Spagna. Treść jest znana Don Carlosa, tylko przyrządzona dla niższéj publiki w ten sposób że Henterello niweczy wszystkie zamachy wielkiego inkwizytora, każe mu klękać przed sobą, ciągnie go za ucho, daje lekcye moralne. jemu i Filipowi II, wreszcie uwalnia Don Carlosa i wszystko dobrze się kończy. Publiczność naturalnie daje brawo i cieszy się tém zwycięztwem Henterella nad inkwizycyą świętą.

Lenart... którego tu nie bez trudu odszukałem jest ciągle słaby a więcéj jeszcze malade imaginaire, jak powiadają. Jego płaskorzeźby są zdaje się wysoko cenione, ale ich nie wiele, i zapewne nigdy wiele ich nie będzie. *F. Z.*

# WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

*Grudzień 1868.* Nakładem księgarni J. Kaufmana, wyszły: „*Bajki i przypowieści Ignacego Krasickiego. Wydanie nowe ozdobione dwunastu rycinami W. Gersona i pomnożone objaśnieniami i przypiskami.* (Warszawa 1869 r.) Kiedy za granicą oddawna pojawiają się illustrowane dzieła, powszechnéj używające wziętości, my dopiero teraz zaczynamy się krzątać około tego. Spóźnienie to łatwo może być wytłumaczone różnemi przeciwnościami, a od lat kilku wielką stagnacyą handlu księgarskiego. Nie tylko te powody stały nam na przeszkodzie, były i wprost artystyczne, gdyż dopiero od lat 9-ciu pojawiają się u nas zakłady drzeworytnicze, które jedynie mogą podtrzymać i rozwijać wydawnictwa illustrowane. P. Kaufman szczęśliwy wybór zrobił bajek I. Krasickiego, i użył do pomocy ołówka znakomitego artysty W. Gersona, który z zadania swego umiał się w zupełności wywiązać. Równocześnie dwóch się znalazło illustratorów tych bajek: Antoni Zaleski pojedyncze rysunki do nich umieszcza w Tygodniku Illustrowanym, i przyznać potrzeba że trafnie i głębiéj ocenia ich znaczenie i myśli ukryte. Odświeża się więc zasłużona pamięć wielkiego pisarza i poety z końca XVIII wieku, upowszechnieniem tych lekkich napozór utworów, które przez długie lata były zdrowym i pożywnym pokarmem dla kilku naszych pokoleń: bajki bowiem Krasickiego stanowiły książkę szkolną, jak i w domowém wychowaniu. Na nie mniejsze upowszechnienie zasługują satyry i listy tegoż poety, jako malujące tak wybornie właściwe czasy, i grzechy ówczesnéj społeczności. Dla illustratora wszakże, nie taimy że zadanie będzie daleko trudniejsze, bo musi znać i wniknąć dokładnie w tę epokę, którą przepaść dzieli od nas tak pod względem pojęć, jak zwyczaju i obyczaju. Próbki szczęśliwe illustrowanych satyr mieliśmy w pierwszéj seryi Tygodnika Illustrowanego.

— Bajki, powiastki i rozmaite wierszyki przez Teofila Nowosielskiego (z obrazkami). Warszawa. Nakładem księgarni J. Błaszkowskiego. 1868 r. (w 16ce str. 106).

Książeczka ta w ozdobném wydaniu, autora oddawna znanego i zasłużonego jako pisarza dla dzieci, towarzysza ś. p. Stanisława Jachowicza, zaleca się tak treścią odpowiednią do pojęcia młodego pokolenia, jak i obrobieniem artystyczném. Zacne myśli, prawdy moralne, w formie pełnéj prostoty, łatwo zrozumiało, przylgną do młodych serc i głowy, na pożytek w dalszym ciągu życia.

— Z kalendarzy dotąd wydanych, a nie mała jest ich liczba, odznacza się „Józefa Ungra kalendarz illustrowany na rok 1869." Oprócz drzeworytów którymi się wydawca posiłkuje z Ty-

godnika Illustrowanego, mamy tu rysunki do każdego miesiąca nowe, ołówka Juliusza Kossaka, zwracające uwagę jak wszystko co wychodzi z pod mistrzowskiego ołówka tak znakomitego artysty. Część literacka stanowi w nim dział bogaty, znanych dobrze pisarzy jak Anczyca, Jeża, J. I. Kraszewskiego, L. Rogalskiego, F. Sobieszczańskiego. F. H. Lewestama. W. Grochowskiego, A. Makowieckiego, J. Zacharyasiewicza i w. i. W dziale naukowym znajdujemy szacowne prace J. Spornego, J. Alexandrowicza, Dra Karwackiego, R. Sobolewskiego i A. Grotowskiego. Wydanie pod względem typograficznym staranne, a odbicie drzeworytów, co nie małą stanowi ich zaletę, umiejętne i artystycznie wykonane. Kalendarz ten zarówno jak ozdobny J. Jaworskiego, śmiało może zastąpić dawne *Noworoczniki*, które do współzawodnictwa obecnie występować nie mogą.

— Z drukarni Gazety Polskiej, nakładem autora, wyszła broszura p. n. *Ambroży Grabowski. Wspomnienia z Krakowa skreślił Janusz Ferdynand Nowakowski* (Warszawa 1869. w 8ce, str. 39). Wspomnienie to autor drukował poprzednio w Gazecie Polskiej 1861 roku; teraz po zgonie sędziwego badacza, w tej publikacyi powtórzył i uzupełnił życiorysem jego napisanym przez K. Wł. Wójcickiego i drukowanym w Kłosach, oraz wiadomością o ostatnich chwilach życia z listu pani Estrejcherowej, córki zmarłego. Jest to szacowny materyał do biografii jednego z najstarszych archeologów naszych,, jakim był ś. p. Ambroży Grabowski.

— Liczne dawniej były osady Tatarów jeszcze z czasów Witolda, o których mówią obszernie kronikarze i historycy nasi. Obecnie w Królestwie Polskiém są dwa meczety do modlitwy dla tych mieszkańców mahometańskiego wyznania: jeden w *Studziance* w Lubelskiém, drugi we wsi *Winksznupiu* o dwie godziny od miasta powiatowego *Kalwaryi* położonéj. Ostatniego meczetu, wraz z cmentarzyskiem, ciekawy rysunek i opis podał p. Alexander Osipowicz w Tygodniku Illustrowanym w Nrze 51. Uboga to i skromna, z drzewa pobudowana, dziś już chyląca się ku upadkowi świątynia. Wieje od niéj melancholia jakiegoś sieroctwa, jakiegoś opuszczenia czy obojętności. Z dwóch stron otaczają cmentarz, kamienne płyty z arabskiemi napisami, obyczajem wschodnim sterczą u wezgłowia mogił. Wnętrze meczetu przedstawia takież samo nagie, drewniane, pociemniałe ściany, jak i powierzchowność. Niewidać na nich nawet sentencyi koranu, zwykle przyozdabiających złocistemi głoskami mury świątyń muzułmańskich. Wszakże w ścianie, przy których mieszczą się w chrześciańskich kościołach wielkie ołtarze, znajduje się framuga, w kształcie małéj kapliczki. Jest to tak zwany po turecku *mihrab*, oznaczający kierunek Mekki, do którego modlący zwracać się winni. Obok niego po lewéj stronie, widać wzniesienie na kilku stopniach, nakształt nizkiéj ambony, zwane *kursy*, gdzie staje *iman* czyli *molla*, gdy chce lud nauczać. Wnętrze meczetu ścianą poprzeczną podzielone jest na dwie części: jedna dla kobiet, druga dla mężczyzn. Na podłodze podczas modłów, rozpościerają

się kobierce, lub duże z zielonego sukna czworoboczne płachty, różno kolorowém wyszywaniem przyozdobione. Naprzeciwko *mihraba*, przy przegrodzie znajduje się galerya na słupach wsparta, w kształcie chóru naszych kościołów. Wartoby ażeby redakcya Tygodnika Illustrowanego dała nam rysunek meczetu w Studziance, a głównie wnętrza, w czasie nabożeństwa, z równie dokładnym opisem jak p. Osipowicza.

— J. K. Gregorowicz redaktor główny *Przyjaciela Dzieci* ogłosił zadania konkursowe następne. 1). Rubli sr. 30 za powieść dobrą, bez względu na jéj rozmiary, choćby myśl do niéj wziętą została z obcych wydawnictw podobnego rodzaju, z uwzględnieniem wieku czytelników, dla których Przyjaciel dzieci jest przeznaczony. 2). Rsr. 15 za dobry artykuł treści historycznéj lub naukowéj, przedstawiający dość obszerną całość, dającą dokładny obraz obranego przedmiotu. 3). Egzempla z Przyjaciela dzieci z roku 1868 za najlepszą poezyę, bajkę lub powiastkę dla mniejszych dzieci. Niezależnie od tych nagród, autorowie otrzymają za nie oddzielne honoraryum, a to według zasad przyjętych przez redakcyę. Dozwolenie zaś wydrukowania pod żadnym pozorem odmówioném być nie może, co sobie Redakcya wyraźnie zastrzega.

— Z drukarni Karola Kowalewskiego wyszła rozprawa M. A. Baranieckiego studenta matematyczno fizycznego fakultetu warszawskiego p. n. „*Wywód pojęcia matematycznéj funkcyi.*” Poprzednio już wydał tenże autor pracę: „Teorya związku między pierwiastkami funkcyi pierwotnéj i jéj pochodnych.” (Warszawa 1868 r.).

— Współpracownik *Ekonomisty* p. Wiktor Somer ogłosił w dzienniku Ekonomistów (Journal des Economistes) w Paryżu, rozprawę p. n. „La question des domaines de l'etat et les finances de l'Autriche,” która w roku bieżącym (1868) ukazała się w oddzielném odbiciu w 8ce str. 24 w Paryżu w księgarni de Guillaumin et Cie.

— *Kraków* (wyjątek z listu). „Kiedy w starym naszym grodzie lud ze czcią ogląda w ścianie kościelnéj ślady stopki królowéj Jadwigi, w Paryżu obecnie wyszło dziełko p. n. Le petit pied de la reine Edvige. Nuvelle. (w 12ce str. 321).

Dr. Kolmar Grünhagen, professor uniwersytetu wrocławskiego, naczelnik szląskiego prowincyonalnego archiwum, przeglądał niedawno archiwa krakowskie, w celu zgromadzenia dokumentów tyczących się dyecezyi szląskiej, z polecenia bowiem księcia biskupa wrocławskiego, zajmuje się p. Grünhagen wydaniem dyplomataryusza do dziejów owej dyecezyi po rok 1300. Ogłosił on już: *Regestra episcopatus Vratislaviensis* (Wrocław 1864,. *Regestren zur schlesischen Geschichte*, (Wrocław 1867). *Monumenta Lubensia* (Lubiąż), także rozprawę wydaną świeżo przez akademią belgijską, pod tytułem: *Les colonies Wallones Silésie, en particulierement à Breslau;* wreszcie rzecz o stosunku Karola IV do duchowieństwa katedralnego wrocławskiego. Prace te zbogacają dzieje nasze wielu szczegółami.

† Dnia 30 listopada r. z. umarł w Poznaniu Hippolit Cegielski, mąż zasłużony zarówno w literaturze jak i w sferze przemysłu i handlu. Urodzony w roku 1815, kosztem Towarzystwa Naukowéj Pomocy odbył kurs szkolny początkowy w Trzemesznie, gimnazyalny w Poznaniu, a uniwersytecki w Berlinie. Tu otrzymawszy stopień Dra filozofii, po napisaniu rozprawy *De Negatione*, mianowanym został w r. 1840 professorem języków starożytnych i literatury polskiéj przy gimnazyum poznańskiem św. Maryi Magdaleny. Lat kilka zajmując tę katedrę wydał: „*Grammatykę grecką dla szkół gimnazyalnych.*" (Poznań 1843). Do pism czasowych równocześnie pisywał artykuły lingwistyczne, jak: „O powstaniu mowy i języków" „O słowie polskiém" w któréj pierwszy starał się, na podstawie badań nowszéj lingwistyki, ułożyć system konjugacyi słowa polskiego. Ważną tę pracę w szerszych rozmiarach oddzielnie ogłosił w Poznaniu 1852 r. p. n. „O słowie polskiem i konjugacyach jego, wraz ze wstępem krytycznym." Najpopularniejszém dziełem ś. p. Cegielskiego, jest: „*Nauka poezyi*, zawierająca teoryą poezyi i jéj rodzajów, oraz znaczny zbiór najcelniejszych wzorów poezyi polskiéj do tego zastosowanéj" które bliżéj zapoznało młode pokolenie z najpiękniejszemi utworami naszéj poezyi.

Od r. 1846 Cegielski porzucił zawód nauczycielski i działalność swą sumienną, wytrwałą pracę i energię, przeniósł na pole przemysłowe. Po kilku latach poświęconych temu zawodowi, w roku 1854 założył w Poznaniu fabrykę machin i narzędzi gospodarskich, i wkrótce postawił ją na stopie pierwszorzędnego zakładu europejskiego. Nie porzucił przecież pióra, tylko je skierował do nowego zawodu. W r. 1858 ogłosił pracę: „Machiny i narzędzia rolnicze uznane za najpraktyczniejsze dla użytku gospodarzy wiejskich." W r. 1861: „Cennik illustrowany machin i narzędzi rolniczych z fabryki H. Cegielskiego w Poznaniu." W r. 1863: „Praktyczna mechanika rolnicza, zastosowana do potrzeb ziemian polskich z 110 drzeworytami" (Poznań).

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatoryum Astronomiczném

## WARSZAWSKIÉM.

## *Listopad*, 1868.

**Listopad, 1868.** Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomiczném Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1^g14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany księżyca | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | | Wilgotność średnia dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | Ilość wody co do wysokości w milim. | | Wysok. wody na Wiśle | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiecz. | 10 godz. wiecz. | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 godz. w. | 10 godz. w. | deszczu | śniegu | stóp | cali |
| 1 | | 751.24 | 752.08 | 751.84 | 752.42 | 751.895 | + 7°.8 | + 8°.7 | + 9°.5 | + 9°.6 | + 8°.90 | 95.9 | poc. desz | pochm. | poc. dész. | poc. dész. | Z1. | Z2. | Z1. | Z2. | 7.2 | | 1 | 10 |
| 2 | | 752.68 | 753.73 | 753.18 | 752.79 | 753.095 | 9.1 | 9.4 | 9.6 | 7.7 | 8.95 | 93.9 | poc. dész. | pochm. | pochm. | pochm. | Z2. | Z2. | PdZ1. | PdZ1. | 3.3 | | 1 | 1[illegible] |
| 3 | | 750.90 | 750.14 | 747.51 | 742.87 | 747.855 | 7.9 | 9.4 | 7.9 | 9.0 | 8.9 | 89.0 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ2 | PdZ2. | PdZ1. | PdZ2. | 0.8 | | 1 | 11 |
| 4 | | 737.17 | 735.51 | 737.56 | 739.00 | 737.310 | 7.6 | 9.1 | 9.0 | 8.9 | 8.6 | 86.7 | poc. dész. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ4. | PdZ3. | Z1. | Z2. | 10.4 | | 2 | 4 |
| 5 | | 738.36 | 738.55 | 739.29 | 741.00 | 739.300 | 8.7 | 8.9 | 6.7 | 5.4 | 7.4 | 74.7 | pochm. | pochm. | pochm. | napół pog. | Z2. | PdZ2. | PdZ2. | Z2. | 2.1 | | 2 | 5 |
| 6 | | 742.31 | 743.66 | 743.98 | 744.53 | 743.620 | 1.2 | 4.2 | 3.4 | 2.9 | 2.9 | 81.2 | napół pog. | pog. z ch. | napół pog. | pochm. | PdZ1. | Z2. | PdZ1. | Pd1. | | | 2 | 4 |
| 7 | ☾. | 743.50 | 743.08 | 741.40 | 741.40 | 742.345 | 1.0 | 1.3 | 3.8 | 6.8 | 3.2 | 97.4 | poc. dész. | pochm. | poc. dész. | pochm. | PnW1. | PnW2. | PnW1. | W1. | 9.4 | | 2 | 1 |
| 8 | | 740.65 | 740.24 | 738.80 | 738.22 | 739.478 | 7.5 | 10.4 | 12.1 | 8.7 | 9.68 | 88.8 | pochm. | pochm. | pochm. | napół pog. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | | | 2 | 1 |
| 9 | Perig. | 736.40 | 736.61 | 735.64 | 735.66 | 736.078 | 7.2 | 9.1 | 10.5 | 10.5 | 9.3 | 97.0 | poc. d. mg. | poch. mgła | poc. dész. | poc. desz. | PnW1. | PnW1. | PnW2. | PnW1. | 6.7 | | 2 | 0 |
| 10 | | 739.49 | 741.03 | 742.99 | 744.77 | 742.070 | 5.4 | 6.5 | 7.6 | 5.2 | 6.1 | 96.6 | poc. dész. | poc. desz. | poc. dész. | pochm. | Pd1. | Pd1. | PnW1. | Pn1. | 11.0 | | 2 | 4 |
| 11 | Rew. | 746.06 | 747.38 | 749.12 | 750.70 | 748.315 | 3.6 | 4.0 | 4.9 | 4.2 | 4.1 | 93.8 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Pn2. | Pn1. | Pn1. | Pn1. | | | 2 | 4 |
| 12 | | 752.08 | 753.03 | 753.35 | 754.21 | 753.218 | 1.1 | 2.1 | 1.2 | — 0.6 | 0.9 | 88.1 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Pn1. | PnW2 | Pn1. | Pn3. | | 0.3 | 2 | 5 |
| 13 | | 755.87 | 756.56 | 755.93 | 754.41 | 755.693 | — 2.5 | — 1.2 | 0.1 | 3.5 | — 1.7 | — | napół pog. | napół pog. | pochm. | pogodny | PnZ2. | Pn1. | PnZ2. | PnZ1. | | 0.5 | 2 | 4 |
| 14 | ●. | 750.50 | 750.45 | 749.34 | 74862 | 749.728 | 1.5 | 0.3 | + 0.3 | 0.1 | 0.5 | — | pochm. | pochm. | poc. śnieg | pochm. | PnZ1. | PnZ1. | Z1. | Z1. | | 2.7 | 2 | 4 |
| 15 | | 748.52 | 749.15 | 749.13 | 748.92 | 748.905 | 1.6 | 0.0 | — 1.0 | 0.2 | 0.20 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Z2. | Z2. | PnZ2. | Z3. | | 1.6 | 2 | 4 |
| 16 | | 740.60 | 746.36 | 744.98 | 745.28 | 745.805 | 1.1 | 0.3 | 0.3 | + 0.3 | 0.2 | — | pochm. | poc. śnieg | pochm. | poc. śnieg | Z2. | Z2. | Z2. | Z2. | 0.5 | 3.9 | 2 | 6 |
| 17 | | 744.64 | 744.79 | 748.51 | 751.48 | 747.355 | + 1.2 | + 2.4 | — 1.8 | — 3.5 | 0.4 | — | poc. dész. | poc. dész. | napół pog. | pog. z ch. | Z1. | Z1. | PnZ2. | PnZ3. | 2.3 | 1.8 | 2 | 8 |
| 18 | | 753.30 | 753.61 | 748.32 | 742.98 | 749.553 | — 4.0 | — 2.2 | 0.4 | 0.9 | 1.8 | — | pogodny | napół pog. | pochm. | poc. śnieg | Z2. | Z2. | PdZ3. | PdZ4. | | 0.6 | 3 | 0 |
| 19 | | 748.50 | 750.66 | 752.83 | 754.03 | 751.505 | 4.6 | 3.6 | 2.3 | 5.2 | 3.9 | — | napół pog. | napół pog. | pog. z ch. | pogodny | PnZ2. | Z1. | Z2. | Z1. | | 1.3 | 3 | 0 |
| 20 | | 754.81 | 755.17 | 756.36 | 757.57 | 755.728 | 5.7 | 5.2 | 2.9 | 4.0 | 4.4 | — | pogodny | pogodny | poc. śnieg | pochm. | Z1. | PdZ1. | PdZ1. | Z1. | | 2.2 | 2 | 10 |
| 21 | | 760.72 | 762.14 | 763.00 | 763.52 | 762.345 | 8.8 | 7.8 | 4.6 | 8.7 | 7.45 | — | napół pog. | napół pog. | pochm. | pogodny | PdZ2. | Z1. | PdZ1. | Pd1. | | | 2 | 8 |
| 22 | ☽. | 761.1[illegible] | 761.15 | 758.46 | 756.44 | 759.303 | 10.1 | 7.1 | 5.9 | 6.5 | 7.43 | — | napół pog. | napół pog. | pogodny | pogodny | PdW2. | Pd1. | PdW1. | PdW2. | | | 1 | 11 |
| 23 | Apog. | 753.63 | 753.14 | 752.38 | 753.22 | 753.093 | 6.2 | 3.2 | 1.5 | 4.6 | 3.88 | — | pogodny | pogodny | napół pog. | pog. z ch. | PdW2. | PdW2. | PdW1. | PdW2. | | | 1 | 9 |
| 24 | | 755.06 | 756.14 | 756.20 | 756.82 | 756.055 | 3.0 | 1.8 | 1.9 | 6.1 | 3.70 | — | napół pog. | pogodny | pogodny | pogodny | Pd2. | Pd1. | PdW1. | PdW1 | | | 1 | 6 |
| 25 | Rów. | 755.99 | 755.95 | 755.02 | 753.80 | 755.190 | 9.5 | 6.3 | 5.2 | 5.5 | 6.63 | — | pogodny | pogodny | pogodny | pochm. | PdW2. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | | | 3 | 5 |
| 26 | | 752.23 | 752.25 | 751.62 | 752.21 | 752.078 | 4.5 | 4.2 | 3.9 | 6.7 | 4.8 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pogodny | PdW1. | PdW1. | W1. | W1. | | | 3 | 2 |
| 27 | | 753.28 | 753.96 | 754.07 | 754.46 | 753.943 | 8.1 | 4.6 | 3.3 | 7.1 | 5.7 | — | pogodny | pogodny | pochm. | pogodny | W1. | W1. | W1. | PnW1. | | | 3 | 0 |
| 28 | | 753.76 | 754.08 | 753.34 | 754.18 | 753.840 | 3.8 | 2.9 | 3.5 | 3.4 | 3.40 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | W1. | W1. | PnW1. | PnW1. | | 1.3 | 3 | 2 |
| 29 | | 755.18 | 756.08 | 756.43 | 757.30 | 756.248 | 5.9 | 5.4 | 4.3 | 4.5 | 5.03 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PnW2. | PnW1. | PnW1. | PnW1. | | | 3 | 3 |
| 30 | ○. | 757.54 | 758.20 | 757.61 | 757.63 | 757.745 | 3.5 | 2.7 | 1.5 | 1.1 | 2.20 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PnW1. | W1. | W1. | W1. | | | 3 | 2 |
| Śr. | | 749.738 | 750.163 | 749.910 | 750.015 | 749.956 | —0°.57 | +0°.89 | +1°.48 | +0°.23 | + 0.51 | 90.3 | | | | | | | | | 53.7 | 16.2 | 2 | 5.6 |

| | m. | c. | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 749.956 | 27 | 8.453 |
| Najwyżéj barometr dochodził d. 21 o g. 4 po poł. | 763.52 | 28 | 2.466 |
| Najniżéj — — d. 4 o g. 10 rano | 735.51 | 27 | 2.049 |
| Średnia dzienna zmiana barometru | 3.957 | | 1.754 |
| Największa dzienna zmiana barometru d. 4—5 o godz. 10 rano | 14.63 | | 6.482 |
| Średnia wysokość barometru jest niższą o | 0.627 | | 0.277 |
| od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających | 750.583 | 27 | 8.730 |
| Średnia temperatura listopada wynosi | + 0°.51 C. | | + 0°.41 R. |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.14 „ | | 1.71 „ |
| Największa zmiana dzienna temperatury d. 7—8 o godz. 10 rano | 9.1 „ | | 7.3 „ |
| Średnia temperatura listopada jest mniejszą o | 0.76 „ | | 0.61 „ |
| od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających | + 1.27 „ | | + 1.02 „ |

Termometrograf wskazał: Maximum: + 15°.1 C. = +12°.1 R. d. 8 po poł.
Minimum: — 10.2 „ = — 8.3 „ d. 22 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 90.3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 5.2 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 0.8 setnych od normalnéj (91.1).

Ilość wody spadłéj z deszczu co do wysokości wynosi 53.7 mil. czyli 23.81 lin. par. ze śniegu 16.2 mil. czyli 7.18 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 69.9 mil. czyli 30.99 lin. par. więcéj o 29.8 mil. czyli 13.21 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w listopadzie spada (40.1 mil. czyli 17.78 lin. par.).

Dni pogodnych 4, napółpogodnych 7, pochmurnych 19.
— deszczu 10: (od 1 do 5, 7, 9, 16 i 17).
— śniegu d. 10: (od 12 do 20 i 28).
— mgły 1: (d. 9).
— wichrów 1: (d. 18).
Wiatr panujący zachodni.

Listopad był pogodny, suchy i znacznie chłodniejszy jak zwykle, średnia jego temperatura jest + 0,4 stop. R., o 0,6 stop. R. niższa od normalnéj (+ 1.0 stop. R.). W pierwszych dziesięciu dniach miesiąca przy niebie zachmurzoném i panującym wietrze południowo-zachodnim, powietrze było w ogóle ciepłe, deszcze częste i obfite; dnia 12 po raz pierwszy w tym roku temperatura opadła niżéj zera i 10 dni następnych były dość chłodne i śnieżne; nakoniec w ostatnich dniach miesiąca przy niebie poczęści pogodném i wietrze południowo-wschodnim. Powietrze było suche i mroźne. Największe ciepło + 12,1 stop. R. przypadło d. 8, największe zimno 8,3 stop. R. d. 22 r. Największa zmiana dzienna temperatury 7,3 stop. R. przypadła z d. 7 na 8 podczas ostatniéj kwadry księżyca. Stan barometru w pierwszéj połowie miesiąca był w ogóle nizki i bardzo zmienny, w drugiéj połowie barometr stale utrzymywał się dość wysoko. Największa zmiana dzienna barometru 6,48 lin. par. przypadła z d. 4 na 5 o godz. 10 rano. Deszcze padały często i obficie na początku, a śniegi w środku miesiąca. Dni deszczu i śniegu było po 10, pierwszych o 2 a drugich o 4 więcéj jak zwykle. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy jak zwykle; stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak 3.0 : 6.2 : 20.8 gdy tymczasem w b. m. tenże stosunek jest jak 4: 7: 19. Wiatr panujący był zachodni, często także wiał południowo-zachodni i południowo-wschodni.

D. 12 był pierwszy mróz téj jesieni w Warszawie.

D. 7 pod Ulm w Szwabii lekkie trzęsienie ziemi objawiło się w kierunku od wschodu na zachód.

D. 12 spadł znaczny śnieg w Londynie.

D. 12 spadł pierwszy śnieg téj jesieni w gub. moskiewskiéj.

D. 17 było trzęsienie ziemi w Kolonii a d. 18 w Dusseldorfie.

D. 18 gwałtowny huragan zniszczył m. Alamos w Mexyku.

Pod d. 19 donoszą z Neapolu o bezustannym wybuchu Wezuwiuszu.

D. 26 nastąpił wybuch Etny.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle........... stóp 2 cali 5.6 n. m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 25. ...... stóp 3 „ 5 „ „
„ „ najmniejsza „ d. 24 rano... stóp 1 „ 6 „ „
D. 24 listopada o godz. 4 po poł. lody na całéj szerokości Wisły pod War-

# MŁODOŚĆ FRYDERYKA SZOPENA (*).

(ROK 1830 I NASTĘPNE).

PRZEZ

*Maurycego Karasowskiego.*

---

I.

Fryderyk Szopen w rodzinném swém mieście Warszawie, odebrał pierwotne ukształcenie muzyczne; tu on poczuł się do wielkiego zawodu, do jakiego natura go powołała, tu począł piérwsze kroki stawiać na polu sztuki, która na wyniosłém jego czole miała wkrótce położyć znamie nieśmiertelności. Przejęty posłannictwem swém i ufny już w siły artystyczne, powziął zamiar obeznać się bliżéj z tém, co sztuka uczyniła wśród wielkich ognisk artystycznych i wydalić się w tym zamiarze za granice kraju rodzinnego. Włochy były pierwszym celem jego podróży; tamto w ojczyznie wielkich mistrzów melodyi dramatycznéj, obiecywał on sobie w ciągu lat dwóch przynajmniéj, udoskonalić i uzupełnić wykształcenie swoje muzyczne. Już w poprzednich dwukrotnych za granicę wycieczkach, lubo raczéj w celach rozrywki i zabawienia się, aniżeli nauki przedsiębranych, mógł Szopen na-

(1) Dziecinne lata Szopena i jego pierwotne kształcenie opisane były w *Bibliotece Warszawskiéj* za miesiąc październik 1862 r., przez autora obecnego artykułu (Przyp. Red.).

brać przekonania, iż w Niemczech podówczas, jakkolwiek sztuka muzyczna dosyć wysoko stała, przecie instrumentalistom brakło jeszcze w ogólności owego rozwinięcia technicznego, które późniéj do takiéj świetności wykonania doprowadzić tamże miało muzykę koncertową i salonową. Ostatnie *symfonie* Beethowena, ostatnie jego *kwartety*, *msza solenna*, tudzież skrzypcowe i fortepianowe *koncerty*, pod względem technicznym, uchodziły powszechnie za dzieła niepodobne prawie do wykonania. Tylko mała liczba wybranych wirtuozów, odważała się i to najczęściéj nie publicznie lecz pomiędzy sobą jedynie, produkować takowe, ogół zaś publiczności właśnie z tego powodu, ani mógł, ani był w stanie należycie, wspaniałe i wielkie te utwory, pojąć i ocenić. Więc téż przez lat kilkanaście, produkcya muzyczna mianowicie w Wiedniu, Dreźnie i Berlinie, ograniczała się z małemi bardzo wyjątkami, na wykonywaniu dzieł lżejszéj, przystępniejszéj wartości. Jeden tylko Hummel, znakomity istotnie fortepianista, którego dziełom i nasz Szopen wiele swojego wykształcenia mógł zawdzięczać, stał prawie sam jeden, pośród mnóstwa mniéj lub więcéj zdolnych wykonawców; w nim téż skupiało się głównie to, co stanowić mogło skończonego wirtuoza, to jest, piękny, szeroki styl, jasność i niepospolita biegłość wykonania. Wielcy atoli mistrze symfonii i kwartetów, zeszli kolejno ze świata i nikt w ich ślady wstępować nie ośmielał się; na polu wyższéj kompozycyi muzycznéj, zapanowała cisza i próżnia nadzwyczajna. Pewna liczba szczerych zwolenników muzyki instrumentalnéj, przerażonych takim stanem rzeczy, postanowiło materyalną zachętą rozniecić pomiędzy kompozytorami płomień twórczego natchnienia; w tym celu poczęto się naradzać nad wyszukaniem sposobów ku temu najskuteczniejszych. Zdawało im się, że jeżeli w pewnych oznaczonych terminach ogłoszą symfoniczne konkursa, które zapewnią zwycięzcom oprócz natychmiastowego rozgłosu, jeszcze i wynadgrodzenie pieniężne, to przerażające pustki w dziedzinie wyższéj muzyki instrumentalnéj panujące, zapełnią się pięknemi symfoniami, a światu przybędzie mnóstwo nowych kompozytorów, którzy choć w części zastąpią tych, co niedawno zeszli do grobu. W kilka lat późniéj, odbył sie w Wiedniu taki symfoniczny konkurs; lecz doświadczenie przekonało, iż w tego rodzaju

przedsięwzięciach, żadne materyalne nadgrody nie stworzą geniuszu, gdy ten sam przez się nie istnieje, nie wzbogacą sztuki utworem wyższym, utworem godnym wzbudzić uwielbienie współczesnych, gdy nie ma z czego powstać, gdy źródła z których on zwykł tryskać, płytkie, wątłém, pozorném zaledwie życiem tętniące. Więc téż skończyło się na jednéj takiéj próbie i odtąd niesłychać już o podobnych w muzykalnym świecie przedsięwzięciach.

Lepiéj nieco pod tym względem stał jeszcze teatr niemiecki, ale i tu nawet dzieła Mozarta, Karola Maryi Webera, ustępowały miejsca operom włoskim Rossyniego i francuzkim Aubera, które w chwili gdy Szopen udawał się na dłuższy pobyt za granicę, poczęły doznawać w Niemczech ogromnego powodzenia.

We Włoszech jednakże, chociaż muzyka symfoniczna pozostała znacznie w tyle, lubo już ojczyzna Tartinich, Viottich, Clementich, przestała dostarczać reszcie Europy owych wielkich wirtuozów i przewodników pięknego a szlachetnego na skrzypcach i fortepianie stylu, istniał przecie jeszcze największy tego stulecia skrzypek Paganini, który sam jeden starczył za całą plejadę wirtuozów. Na téjże saméj włoskiéj ziemi, obok tego tytana instrumentalnéj muzyki, dojrzał także na wielkiego artystę ziomek nasz Karol Lipiński. Lecz co było głównym zawsze powodem wędrówek w tamte strony artystów całego świata, to niezrównana piękność dramatycznego włoskiego śpiewu, co od najdawniejszych czasów tam tylko tradycyjnie istniał. Podobnie świetny w historyi sztuki muzycznéj peryód, jaki jeszcze miał miejsce we Włoszech pomiędzy 1820 a 1835 rokiem, może się już nigdy nie powtórzy. Tradycya bowiem wielkiego stylu, lubo gdzieniegdzie jeszcze pielęgnowana, pod wpływem społecznych i politycznych przemian niknie z dniem każdym; konserwatorya muzyczne mało znaków życia dają, dobrzy nauczyciele śpiewu coraz rzadszém są zjawiskiem; śpiew dąży do przesady, do gwałtownego wysilenia i kończy się przedwczesną zazwyczaj ruiną głosów. Upadek i skażenie dobrego w rzeczach sztuki muzycznéj smaku we Włoszech widoczne, i trudno przewidzieć, gdzie się ono zatrzyma. Jak dziś już reszta Europy wzięła stanowczą przewagę nad Włochami w mu-

zyce instrumentalnéj, tak godzi się wnosić, że i ze śpiewem to samo będzie z czasem (1).

W chwili gdy Szopen zamierzał udać się do Włoch, prześliczne głosy Pasty, Judyty Grisi, Rubiniego, Tamburiniego, Lablacha, Gallego i wielu innych, uczuciem niewysłowionych rozkoszy napełniały dusze italskiego półwyspu miłośników muzyki. Obok dramatycznych utworów Rossyniego, panujących dotąd wszechwładnie na znakomitszych scenach włoskich teatrów, poczęły się ukazywać nowe, układane przez młodych, utalentowanych kompozytorów, jakimi byli Bellini i Donizetti; jedném słowem, sztuka była w pełnym rozwoju i postępie, a kto chciał posłyszéć śpiew wielki, piękny i skończony, tylko w ojczyznie Cimarosy mógł go posłyszéć. Więc w ślad za innymi i nasz Fryderyk do téj kolebki sztuk pięknych pragnął podążyć.

Któż dzisiaj może przesądzać, jak wielkie ziemia włoska wraz z jéj muzyką i jéj mistrzami, na czułéj i wrażliwéj duszy Szopena uczyniłaby wrażenie? Już sam rozkoszny ów klimat, tak sprzyjający wątłéj i słabowitéj organizacyi naszego młodego ziomka, byłby go zapewne zniewolił do dłuższego tamże pobytu, nie licząc w to innych dla artystycznéj jego duszy powabów, jakich nigdzie w równym stopniu doznaćby nie mógł. Jako wirtuoz, Szopen nie miałby wprawdzie godnych siebie zapaśników, lecz znalazłby tam wielkich mistrzów melodyi, a chęć naśladowania ich, wyrównania, albotéż współzawodniczenia z nimi, bardzo łatwo mogła się w nim rozbudzić. Szopen jako ukształcony dostatecznie muzyk, potrzebował tylko oswoić się z mechanizmem głosu ludzkiego, z warunkiem kompozycyi scenicznéj, nabrać wprawy i doświadczenia we władaniu całym tym materyałem, jakiego nowożytna sztuka muzyczno-dramatyczna, na teatralne posługi swoje używa. We Włoszech nastręczała mu się wła-

(1) W londyńskim teatrze opery włoskiéj *Her Majesty's*, gdzie zwykle najznakomitsi tylko śpiewacy włoscy bywali angażowani, podczas ostatniego sezonu 1867—68 r. występowały trzy prima donny: Titjens angielka, Nillson szwedka, Kellog amerykanka. Męzkie zaś główniejsze role obsadzone były przez pp. Rokitańskiego czecha, Hohler'a i Santley'a anglików. Włosi więc byli w znacznéj mniejszości; w rocznikach opery włoskiéj w Londynie, rzecz dotąd bezprzykładna.

śnie wyborna sposobność, bo takich jak tam kompozytorów, śpiewaków i takiéj publiczności, któraby z równą namiętnością kochała muzykę i uwielbiała artystów swoich, nigdzie na świecie nie było. Kto wié, czy łatwe tryumfy jakichby niechybnie doświadczył Fryderyk we wszystkich miastach półwyspu jako fortepianista tylko, nie byłyby mu spowszedniały; czyliby nie zapragnął wyższą jaką i efektowniejszą kompozycyą przemowić do tego żywego i pełnego muzykalnych uczuć ogółu i zyskać tym sposobem jego poklask i uznanie? Scena była ku temu najstosowniejszém polem, a raz tylko sprobowawszy na niéj sił swoich twórczych, niepodobna przewidziéć gdzieby geniusz takiego jak Szopen artysty mógłby się oprzeć i zatrzymać. Niegdyś 14-toletni Mozart, także jako wirtuoz na fortepianie, udał się do Włoch, by tam dać się poznać i nawzajem, by posłyszéć co było godnego słyszenia; i otóż nie poprzestając na łatwém powodzeniu, jakie mu cudowna jego nad wiek gra czyniła, zapragnął napisać operę i szukać tryumfu dla siebie na scenie. Napisał więc w Medyolanie pierwsze swe teatralne dzieło pod tytułem: *Mitrydat król Pontu*, a zapał z jakim je przyjęto, zaszczepił w nim gorące pragnienie poświęcenia się głównie temu zawodowi. Dla artysty muzycznego, tryumfy sceniczne były najświetniejszemi ze wszystkich, jakich tylko można było doznać we Włoszech. Wieść o nowéj z powodzeniem wystawionéj operze, rozchodziła się natychmiast po całym kraju z tą samą namiętną, gorączkową gwałtownością, z jaką lud włoski przysłuchiwał się i podziwiał kompozytorów i śpiewaków swoich. Dosyć tam było napisać jedną operę, ażeby cały kraj napełnić rozgłosem swego imienia, ażeby od stu teatralnych przedsiebierstw, otrzymać tyleż osobnych zamówień. Mejerbeer, ów głośny późniéj twórca *Roberta Diabła*, w początkach swego zawodu, próbował znaleźć powodzenie na scenie niemieckiéj, wystawiając kilkakrotnie mniejszego rozmiaru operetki; ale ani publiczność, ani krytyka, nie mogły być z nich zadowolnionemi. Zrażony i zniechęcony do najwyższego stopnia, porzucił swą ojczyznę, przybył do Wiednia, niepewny co daléj z sobą czynić. Już nawet zamierzał porzucić zupełnie zawód kompozytorski, a poprzestać na kształceniu gry na fortepianie, na którymto instrumencie, jak wiadomo, biegle bardzo grywał,

gdy Salieri sławny podówczas twórca wielu oper przedstawianych w Wiedniu z wielkiém powodzeniem, poradził mu ażeby się jeszcze udał do Włoch, a nie zarzucając wcale fortepianu, ażeby się przysłuchiwał operom i śpiewakom włoskim. Jakoż w lat kilka ośmielił się napisać operetkę, która dobrego tamże doznała przyjęcia; to zachęciło go do dalszéj na tém polu pracy, aż w końcu przyswoiwszy sobie zupełnie styl włoski i nabrawszy niepośledniéj wprawy do tworzenia dzieł tego rodzaju, napisał sławną operę *Krzyżacy w Egipcie*, która imie jego uczyniwszy głośném na całym półwyspie, otworzyła mu wrota królewskiéj akademii muzyki w Paryżu. Otóż to samo mogło się stać z Szopenem. Zapewne, są to dzisiaj tylko przypuszczenia, ale przypuszczenia oparte na jego muzykalnym geniuszu. Powie może nie jeden: „że gdyby Szopen miał do tego rodzaju kompozycyi zamiłowanie, to podczas swego długoletniego w Paryżu pobytu, mógłby przecie nieraz znaleźć sposobność do wystąpienia z jakiém dramatyczném dziełem na scenie, gdyż na dobrych wzorach ani też na śpiewakach nie zbywało tam zgoła; owszem najznakomitsi włoscy wirtuozi przybywali wciąż do stolicy Francyi, zdobywać sobie oklaski i uznanie publiczności.” Ale inne tu były warunki artystycznego żywota, a inne we Włoszech. Wystawienie nowéj opery, nie wymagało ze strony włoskiego przedsiebiercy żadnych prawie kosztów: jedne i te same dekoracye lub kostiumy służyły na lat kilka; publiczność mało na takowe zwracała uwagi, muzyka bowiem dla niéj była wszystkiem, a wystawa niczém. Łatwiéj więc tam było młodemu i nieznanemu kompozytorowi dostać się na scenę. Dzisiaj nawet jeszcze pod tym względem rzeczy nie wiele się zmieniły. W Paryżu zaś przeciwnie. Chcąc wystawić nową operę, potrzeba ażeby kompozytor miał już rozgłośne imie, potężne wysokich osób poparcie, gdyż wystawienie jéj pociąga za sobą wydatki niesłychane. Najlepsza muzykalnie opera, jeżeli nie jest przeplataną świetnemi tańcami, wspaniałą i okazałą sceniczną wystawą, mało na publiczności robi wrażenia, dyrekcyę widowisk naraża na niechybne straty, dzieło zaś samo na pewny prawie upadek. Szopen przybywszy do Paryża, musiał przedewszystkiem starać się o zapewnienie sobie funduszów na dalsze swoje utrzymanie i kształcenie się; nie śmiał

on od niezamożnych rodziców wymagać większych pieniężnych ofiar nad te, które mu uczynili, wysyłając go za granicę, a w ogromnym tłumie mniéj więcéj utalentowanych i używających wziętości fortepianistów, nie było rzeczą tak łatwą jak się zdaje. Zresztą codzienne i niebezpieczne współzawodnictwo z artystami, przybywającymi w jednym i tym samym celu z rozmaitych stron Europy do Paryża, zmuszało Fryderyka do ciągłéj nad sobą baczności, do nieustannéj artystycznéj produkcyi, do walki niedającéj chwili spoczynku i wytchnienia. A gdy do tego dołączymy konieczny obowiązek udzielania się towarzystwu, i tym sposobem marnowanie dla powodzeń salonowych drogiego czasu; więc wyczerpywanie ciągłe sił fizycznych, których nie każdy ma tyle, ażeby tego rodzajowi życia podołać, (a na których właśnie naszemu Szopenowi zbywało): wtedy łatwo pojmiemy, że do mozolnéj a zwykle niewdzięcznéj pracy jaką jest zawsze komponowanie oper, nie miał dostatecznéj ochoty. Nakoniec, to życie solonowe które niestety! jak to późniéj w listach Fryderyka z Paryża pisywanych można było czytać, wyniszczając w nim siły fizyczne, nadwerężane już codzienną pracą nad lekcyami, stanowiącemi jedyny środek jego tamże utrzymania, wysysało z niego ów kwiat muzykalno poetycznych natchnień, ciągłemi i bezowocnemi prawie improwizacyami na fortepianie, do których Szopen miał dar nadzwyczajny. Wprawdzie zwiększało to jego sławę i wziętość jako wirtuoza, lecz wyczerpywało siły twórcze i nie dozwalało mu pomyśléć już nawet o jakiéj większéj kompozytorskiéj pracy. Wielka więc szkoda, iż Fryderyk nie udał się wprzód do Włoch jak zrazu postanowił; lecz okoliczności niezależne od jego woli, inaczéj zrządziły. Polityczne zaburzenia wstrząsające całym półwyspem, nareszcie i co najgłówniejsza, wypadki wynikłe w rodzinnym kraju wkrótce zaraz po jego wyjeździe, zmieniły do szczętu program postanowionéj w domu podróży.

W chwili gdy Szopen opuszczał Warszawę, wesołość i nadzieja świetnéj artystycznéj przyszłości, opromieniały jegó oblicze; biegł on w krainę swych marzeń i ideałów. Szczęście, sława, uśmiechały się do niego, przyzywały go; on téż biegł za niemi z tą pogodą umysłu, jaka jest tylko czystych i szlachetnych dusz udziałem. Jedna tylko okoliczność

duszę jego żalem przejmowała: oto Fryderyk opuszczając Warszawę, zapruszył sobie serduszko kochaniem, które jakkolwiek żadnego nie wywarło wpływu na dalszy bieg jego życia, niemniéj przecie z powodu rozstania się z lubym przedmiotem gorących uczuć swoich, pewien rodzaj tęsknoty, niby porannéj mgły wiosennéj, opanował duszę jego. Ślady téj miłości dwudziesto-letniego młodziana do panny Konstancyi Gładkowskiéj, młodéj, pełnéj talentu śpiewaczki a uczennicy b. Konserwatoryum Warszawskiego, znajdujemy w korrespondencyi do najserdeczniejszego przyjaciela swojego Jana Matuszyńskiego, którego zwykle Jasiem nazywa. Są tam ognistych afektów strzały, wulkanicznych ogni wybuchy, platoniczne westchnienia młodziana raz promieniem nadziei świecące, to znów obłokiem zwątpienia i tęsknoty przyćmione. Biédny Fryderyk tak serdecznie wzdychał do Konstancyi, jak niegdyś Petrarka, do swojéj Laury. Ukrywając się przed rodzicami, nie śmiał w listach do nich pisanych wspominać o tém, ale przed przyjacielem, z całą szczerością maluje niepokój duszy swojéj, błagając go, ażeby choć kilka słowy doniósł mu, co porabia *„jego anioł pokoju.”*

Ponieważ w ciągu niniejszéj pracy, nieraz jeszcze wypadnie mi uczynić wzmiankę o Matuszyńskim, przeto czytelnicy pozwolą mi poświęcić kilka słów pamięci tego wiernego aż do grobu przyjaciela Fryderyka.

Jan Matuszyński urodził się 9 grudnia 1809 r. w Warszawie. Skończywszy nauki w byłem Liceum, wszedł następnie do Uniwersytetu Warszawskiego na wydział lekarski. Po trzechletnich kursach, w roku 1830 otrzymał posadę lekarza pułkowego w 5tym pułku strzelców konnych. W cztery lata późniéj, doktoryzował się w Tubindze w Wirtembergskiem; otrzymawszy stopień *cum laude peracta examina* i patent Doktora Medycyny i Chirurgii, udał się do Paryża, napisawszy wprzód rozprawę o *Kołtunie Nadwiślańskim.* W Paryżu połączył się zaraz z Szopenem, ktorego już od pięciu lat nie widział. Przyjaźń tych dwóch młodzieńców datowała się jeszcze od ławek szkolnych w Liceum. Matuszyński większą część wolnego od nauk czasu, przepędzał zwykle w domu rodziców Fryderyka, zabawiając się z nim wspólnie muzyką: grał bowiem na flecie i to nawet tak biegle, iż w dziesiątym roku życia, wystąpił

w publicznym koncercie danym na cel dobroczynny, o czem ówczesne gazety pochlebnie o młodziutkim fleciście wspominały. Późniéj, z powodu cierpień piersiowych, Matuszyński musiał stopniowo wyrzec się grywania na tym ulubionym przez siebie instrumencie. Jako wyborny medyk, posiadający ogromny zapas gruntownéj nauki, zwrócił niebawem po przybyciu do Paryża, na siebie oczy wielu tamtejszych uczonych znakomitości, skutkiem tego ofiarowano mu wkrótce posadę w professora *l'Ecole de Medicine.* Dumny z takiego zaszczytu, poświęcił się z zapałem wykładowi medycyny, nieszczędząc sił i zdrowia; to téż wpadł w nieuleczone suchoty i zmarł z powszechnym przyjacioł i uczniów żalem 20 kwietnia 1842 roku. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu Montmartre.

## II.

Jak to w pierwszéj części niniejszéj pracy widzieliśmy, opuścił Szopen Warszawę dnia 2 listopada 1830 r. Zabawiwszy w Kaliszu dni parę, pomimo nalegań wielu życzliwych sobie osób, a mianowicie doktora Helbicha u którego stanął gościną, nie chciał tam występować z koncertem; raz dlatego, że wstępne przygotowania zabrałyby mu wiele czasu, a potém licha i szczupła miejscowa orkiestra, zrażała go do reszty od tego przedsięwzięcia. Dzisiaj wirtuoz na fortepianie nie dba o nią wcale, sam sobą najdłuższy nawet koncertowy program nie waha się wypełnić. Wtedy było inaczéj; czy szacunek dla sztuki, czy dla publiczności, dosyć że takiemu wirtuozowi jakim był Szopen, zdawało się rzeczą niewłaściwą nawet w Kaliszu, występować przed słuchaczami bez orkiestry. Wolał raczéj pozbyć się niezawodnych materyalnych korzyści, tém więcéj, że przyjaciel jego i towarzysz dalszéj za granicę podróży Tytus Wojciechowski nadjechał, więc nietracąc czasu zgodził zaraz furmana za dwanaście talarów, i dnia 5 listopada 1830 r., puścił się w drogę do Wrocławia.

Niechże teraz Szopen sam, w listach swoich, opowie czytelnikom dalszy ciąg przygód z téj epoki życia doznanych.

(Wrocław, wtorek 9 listopada 1830 r.).

„Jak najwygodniéj i przy najśliczniejszéj pogodzie, zajechaliśmy w sobotę o godzinie 6téj z wieczora. Stanęliśmy *zum Goldene Gans*. Poszliśmy zaraz na teatr, gdzie dawano *Króla Alpejskiego*, który u nas ma być dopiero wystawionym. Dziwił się parter nowym dekoracyom, ale my nie mieliśmy ich za co podziwiać. Artyści grali nieźle. Onegdaj dawano tu operę *Mularz i Ślusarz* (Aubera) źle. Dziś *Przerwana Ofiara* Wintera: ciekawy jestem jak się powiedzie. Nie tęgich mają śpiewaków; teatr zresztą bardzo tani, miejsce na parterze kosztuje dwa złote. Tym razem Wrocław lepiéj mi się podobał. List do Sowińskiego oddałem (1); zaledwie raz widzieć się z nim mogłem: był on u nas wczoraj lecz nie zastał. Znajdowaliśmy się właśnie w tutejszéj Resursie, gdzie Schnabel kapelmeister, prosił ażebym był obecnym próbie z mającego się dać wieczorem koncertu. Takich koncertów dają tu trzy na tydzień. Zastałem tam nielicznie jak zwykle zebraną na próbę orkiestrę, fortepian i jakiegoś Referendariusa amatora, nazwiskiem Helwig, gotującego się do odegrania pierwszego koncertu Moschelesa *Es dur*. Nim on zasiadł do instrumentu, Schnabel, co mię od czterech lat nie słyszał, prosił ażebym sprobował fortepian. Trudno było odmówić, siadłem i zagrałem parę waryacyj. Schnabel się niezmiernie ucieszył, pan Helwig stchórzył, inni zaczęli mię prosić ażebym wieczorem dał się słyszeć. Szczególniéj Schnabel tak szczerze nalegał, że nie śmiałem staremu odmówić. Jest to wielki przyjaciel pana Elsnera; alem mu powiedział, że uczynię to tylko dla niego, bo anim grał przez parę tygodni, ani się myślę w Wrocławiu popisywać. Stary mi na to: że wie o tém wszystkiem i że chciał mię już wczoraj widząc w kościele o to prosić, ale nie śmiał. Pojechałem tedy z jego synem po nuty i zagrałem im *Romans i Rondo* z 2go *koncertu*. Na próbie dziwili się Niemcy mojéj grze: *„was für ein leichtes Szpiel”* a o kompozycyi nic. Nawet Tytus słyszał, jak jeden mówił, „że grać mogę, ale nie komponować.” *Nota bene*, onegdaj á table d'hote, siedział naprzeciwko nas jakiś jegomość miłéj bar-

(1) Sowiński Wojciech, fortepianista, kompozytor i literat, żyjący obecnie w Paryżu.

dzo powierzchowności. Wdawszy się z nim w rozmowę, poznałem że jest znajomym Scholtza z Warszawy i przyjacielem tych panów do których mam od tegoż listy. Był to kupiec imieniem Scharff, nadzwyczaj grzeczny; oprowadzał nas po całym Wrocławiu; zgodziwszy sam fiakra, woził po piękniejszych spacerach; nazajutrz zapisał nas do Bursy i nakoniec wystarał nam się *fremden-karte* na wczorajszy koncert i przed próbą nam ją przysłał. Jakie musiało być jego i tych panów co mi bilet się wystarali zdziwienie, gdy ten *fremder* stanowił główną figurę muzykalnego wieczoru. Prócz tego *Ronda*, improwizowałem jeszcze dla znawców na temat z *Niéméj z Portici.* Poczem na zakończenie odegrano uwerturę, a po niéj nastąpiły niezgrabne skoki niemieckie. Schnabel chciał mię traktować, alem nic prócz bulionu nie przyjął. Poznałem się naturalnie z tutejszym ober-organistą panem Köhler; dziś obiecał mi pokazać organy; poznałem także jakiegoś barona czy kiego djabła nazwiskiem Nesse czy Neisse, ucznia Spohra, sławnie jak powiadają na skrzypcach grającego. Drugi miejscowy znawca i muzyk, co po całych Niemczech podróżował nazwiskiem Hesse, także mi komplementa gadał, ale prócz Schnabla na którym widać było prawdziwą radość, któren mię co chwila brał pod brodę i głaskał, żaden z Niemców nie wiedział co robić. Tytus miał uciechę patrząc na nich. Ponieważ ja jeszcze nie mam ustalonéj reputacyi, więc dziwiono się i bano się dziwić; nie wiedzieli czy kompozycya dobra, czy téż im się tak tylko zdaje. Jeden z tutejszych znawców przybliżył się do mnie i chwalił nowość formy, mówiąc, że mu się nic jeszcze w téj formie nie zdarzyło słyszeć. Nie wiem ktoto był, ale ten mię może najlepiéj zrozumiał. Schnabel pełen największych grzeczności, ofiarował mi nawet powóz, aleśmy się po 9téj jak zaczęli tańczyć, wynieśli do domu. Kontent jestem żem staremu zrobił przyjemność. Jakaś dama, któréj mię jako pierwszéj tutaj fortepianistce prezentował dyrektor po koncercie, bardzo mi dziękowała za przyjemną niespodziankę i żałowała że się publicznie nie dam słyszeć. Referendarius pocieszając się, śpiewał aryę Figara z *Cyrulika*, ale... nędznie. O Elsnerze dużo wczoraj mówiono i chwalono jakieś jego *waryacye* na orkiestrę z *Echem*; powiedziałem, że gdyby jego koronacyjną *mszę* usłyszeli, dopierobv mogli po-

wiedzieć co to za kompozytor. Straszne tu Niemcy, przynajmniéj wczorajsze towarzystwo; nasz pan Scharff jest wyjątkiem...

Jutro o 2giéj, jedziemy do Drezna.

(Drezno, 14 listopada).

Ledwom znalazł momencik, ażeby wam słów kilka donieść o sobie. Wracam z obiadu polskiego, to jest: na którym sami młodzi Polacy się znajdowali. Jeszczem ich zostawił, a sam wróciłem pisać, gdyż poczta o 7-méj odchodzi, a ja pragnąłbym dzisiaj jeszcze słyszéć powtórnie *Niemę z Portici.* Z Wrocławia nie chciało nam się bardzo wyjeżdżać; bliższa znajomość z tymi do których mi Scholtze dał listy, wiele nam to miasto uprzyjemniła. Tutaj zaś pierwsza moja wizyta była do panny Pechwell (1). Grała ona w piątek w tutejszéj resursie i wyrobiła mi tam wejście. Tego samego wieczora dawano w teatrze *Niemę;* trudny był wybór, ale ponieważ pannie należało koniecznie nadskoczyć, a zatem udałem się na wieczór. Druga ważna przyczyna która mię tamże powiodła, była wiadomość, że na nim da się słyszéć najlepsza tutejsza śpiewaczka, włoszka rodem, nazwiskiem Palazesi. Ubrawszy się więc jak najładniéj, posłałem po lektykę; wsiadłem w to dziwne pudło i kazałem się zanieść do domu Kreysiga, miejsca, gdzie ten muzykalny wieczór miał się odbyć. Przez drogę śmiałem się z siebie, gdy mię nieśli owi liberyjni lektykarze; miałem wielką ochotę wybić dno, ale dałem pokój. Dorożka ta, aż na schody mię poniosła; wysiadłszy, kazałem się pannie Pechwell zameldować; wyszedł więc gospodarz z ukłonami, wielkiemi grzecznościami i mnóstwem komplimentów wprowadził mię do sali, w któréj po obu stronach ośmiu ogromnych stołów, mnóstwo siedzących dam spostrzegłem. Nietyle brylanty jakie je zdobiły, ile druty w oczach mi się migały. Bez żartów, liczba dam i drutów była tak wielką, że można się było obawiać jakiego przeciwko mężczyznom powstania, które chyba okularami i łysinami przyszłoby zwalczyć; szkieł bowiem mnóstwo, a coraz to goła skóra.

(1) Obacz zeszyt Bibl. Warsz. za miesiąc październik 1862, w artykule pod tytułem: „Młodość Fryderyka Chopina."

Szczęk tych drutów, jako też i filiżanek od herbaty, przerwała raptem z drugiego końca salonu dochodząca muzyka. Grano najprzód uwerturę z *Fra-diavola*, poczem włoszka owa śpiewała... nieźle. Wdałem się z nią w rozmowę; poznałem także jéj akompaniatora p. Bastrelli, drugiego dyrektora tutejszéj opery i p. Rubiniego, brata tego sławnego śpiewaka, z którym mam nadzieję zjechać się w Medyolanie. Grzeczny Włoch, obiecał mi list do brata: więcéj nie trzeba. Tak dalece był uprzejmym, iż wczoraj zaprowadził mię na próbę nieszporów kompozycyi Morlachego, tutejszego dworskiego kapelmistrza. Przypomniałem mu się przy téj sposobności; posadził mię natychmiast obok siebie i dużo ze mną rozmawiał. Nieszpory te śpiewane dzisiaj były przez sławnych neapolitańskich sopranistów, nazwiskiem: Sasarolli i Tarquinio; na skrzypcach zaś *obligato* grał Rolla, głośny tutejszy pierwszy skrzypek, do którego miałem kartkę od Soliwy (1). Poznałem go, obiecał mi list do swego ojca, dyrektora medyolańskiéj opery. Ale wróćmy do wieczoru. Panna Pechwell grała na fortepianie, a ja pogadawszy z tym i owym, udałem się na *Niemę*. Nie mogę o niéj sądzić, bom jéj całéj nie słyszał. Dziś dopiero wieczorem będę mógł o niéj coś stanowczego powiedziéć. Idąc rano do Klengla, spotkałem go przed domem; poznał mię od razu i tyle był uprzejmym, że aż mię ujął za serce. Szanuję go bardzo. Prosił (zapytawszy się wprzód jednakże o moje mieszkanie), żebym go jutro rano odwiedził. Zachęcał do publicznego wystąpienia, ale ja na to głuchy. Nie mam czasu do stracenia, a Drezno nic da mi ani sławy, ani pieniędzy.

Generał Kniażewicz, któregom widział u pani Pruszakowéj, mówił także o koncercie, lecz zapowiadał że niewiele przyniesie.

Wczoraj byłem na włoskiéj operze, ale źle wykonanéj; gdyby nie *solo* Rolli i nie śpiew panny Haenel z wiedeńskiego teatru, która wczoraj jako *Tancredi* debiutowała, to nie byłoby co słyszéć. Król otoczony całym dworem,

(1) Soliwa Karol urodzony w Piemoncie 1792 r. wezwany został w 1821 na nauczyciela śpiewu do Konserwatoryum Warszawskiego, gdzie aż do 1832 r. pozostawał. Umarł w Paryżu 1851 r.

znajdował się w teatrze, również jako i dzisiaj na wielkiéj mszy w kaplicy. Grano mszę barona Miltitza, jednego z tutejszych panów, pod dyrekcyą Morlachego. Głosy Sasarollego, Muschettego, Babnika i Zezego, najlepiéj mi się podobały. Sama zaś kompozycya — nietęga. Dotzauer i Kummer, sławni tutejsi wiolonczelliści, mieli kilka sol, zresztą nic szczególnego. Oprócz mojego Klengla, przed którym jutro zapewne będę się musiał popisywać, nie ma tu nic godniejszego uwagi. Lubię z nim rozmawiać, bo od niego można się coś nauczyć.

Prócz galeryi obrazów, nic powtórnie w Dreźnie nie widziałem; *Grüne gewelbe* dosyć raz widziéć...

(Praga 21 listopada 1830 r.).

W Dreźnie tak mi tydzień zeszedł, żem się nie spostrzegł. Jak rano z domu wyszedłem, tak nie wracałem jak w wieczór. Klengel, gdym się z nim bliżéj poznał, to jest: gdym mu zagrał moje koncerta, powiedział żem mu przypomniał grę Fielda, że mam rzadki sposób uderzenia, że wprawdzie wiele słyszał o mnie, ale nie spodziewał się nigdy ażebym był już takim wirtuozem. Nie były to czcze komplementa, bo mi się przyznał iż nie lubi nikomu pochlebiać, ani téż przymuszać się do pochwał. Więc natychmiast skorom od niego wyszedł (a siedziałem u Klengla całe rano do 12-téj), poszedł do Morlachiego i do Littichau dyrektora teatru dowiedziéć się, czyby niemożna żebym się dał słyszéć, w przeciągu czterech dni które jeszcze miałem zabawić w tém mieście. Mówił mi potém, że to uczynił dla Drezna a nie dla mnie, i że radby mię zmusić do koncertu, jeżeli zbyt długiego czasu ułożenie nie będzie wymagać. Nazajutrz rano, przyszedł do mnie i oświadczył, że sam był wszędzie i że aż do niedzieli (a to było w środę), niema ani jednego wolnego wieczoru; w piątek bowiem miano dać po raz pierwszy tutaj *Fra-diavola*, a w sobotę to jest wczoraj *La donne dell Lago* Rossiniego, po włosku. Przyjąłem Klengla tak, jak mało ludzi w mojém życiu bym przyjął; wyraźnie polubiłem go jakbym znał od lat trzydziestu; on téż okazuje mi wiele współczucia. Prosił o partycyę moich koncertów i zaprowadził mię do p. Niesiołowskiéj na wieczór. Tego samego dnia było przyjęcie u p.

Szczerbinin, alem się tak długo u Niesiołowskiéj zabawił, że całe zaproszone towarzystwo już się rozjechało, gdy mię Klengel do pani Szczerbiniu odprowadził. Za to, musiałem tam być nazajutrz na obiedzie. Łapano mię wszędzie jak psa. Byłem także tego samego dnia u pani Dobrzyckiéj, która z powodu swoich imienin, prosiła mię do siebie nazajutrz. Zastałem tam księżniczki saskie, córki nieboszczyka króla, to jest, siostrę królewską i żonę brata obecnie panującego monarchy. Grałem w ich obecności; obiecały mi listy do Włoch, ale jeszcze wszystkich niemam, dopiero od jednéj przysłano mi do hotelu dwa na samém wyjezdném, resztę spodziewam się otrzymać w Wiedniu, za pośrednictwem p. Dobrzyckiéj, gdyż ona wié jak mię tam szukać. Listy te są adresowane do królowéj Obojga Sycylii w Neapolu i do jakiéjś ks. Ulassimo z domu ks. saskiéj w Rzymie. Mam także obiecane do panującego ks. Luki i do wicekrólowéj. Odesłaniem tych listów zatrudni się Kraszewski, do którego ztąd piszę dzisiaj umyślnie w tym interesie. W Dreźnie byłem jeszcze na obiedzie u Komarów. Jakaś pani Jaraczewska, chciała ażebym był u niéj, ale nie miałem czasu tak jak i teraz, a boję się ażeby poczta nie odeszła. Klengel dał mi list do Wiednia, gdzie późniéj sam także przybędzie; u p. Niesiołowskiéj pił za moje powodzenie szampana, ona sama pieściła i nie wiedziała gdzie mię posadzić, a koniecznie Szopskim nazwać mię chciała. Rolla skrzypek przedni; resztę z Wiednia gdzie będziemy we wtorek o 9-téj rano.

Generałowi Kniażewiczowi podobałem się bardzo; mówił mi że jeszcze żaden fortepianista tak miłego na nim nie uczynił wrażenia.

(Wiedeń, 1 grudnia 1830 r.).

Maleńko się serduszko zaśmiało z listu, odebranego po raz pierwszy od czterech tygodni, czyli od czasu jakem się z wami pożegnał. Lepiéj się jadło obiad. *Dziki człowiek* (tak się bowiem nazywa doskonała oberża w któréj jadamy), wziął odemnie za apetyczne konsumowanie strudlów, całego reńskiego i krajcarów kilka. Uciecha była ogólna, bo i Tytus miał listy od swoich. Celińskiemu dziękuję za przyłączony bilecik; przeniósł on mię na wasze

łono. Wyobraziłem sobie, iż siedzę przy fortepianie; Celiński stoi naprzeciwko mnie i patrzy na pana Żywnego, co z Linowskim tabaczką się częstuje. Tylko Matuszyńskiego brakło do kompletu; ja myślę że on ma jeszcze febrę... Ale dosyć romansów; przyjdzie na mnie ta kanikuła, bo tu dużo ładnych Niemek, lecz kiedy przyjdzie, kiedy!.. Wystawcie sobie, Blachetka z rodzicami w Studgardzie; może na zimę niewrócę. Wiadomość tę odebrałem u Haslingera, który mię przyjął jak najgrzeczniéj, ale dlatego *Sonaty* ani *Waryacyi* drugich nie wydrukował. Dostanie on swój pieprzyk, tylko ja stancyę z Tytusem miéć będę. Najęliśmy na pryncypalnéj ulicy, na Kohl-markcie, trzy pokoje, wprawdzie na trzeciém piętrze, ale ślicznie, przepysznie, elegancko umeblowane, na miesiąc jeden za małe pieniądze. Na mnie wypada 25 reńskich. Jakiś generał-admirał Anglik teraz jeszcze w nich siedzi, lecz dziś albo jutro ztamtąd się wyniesie. Admirał! a ja będę *admiracya*, więc nie straci stancya (1), tém bardziéj, że gospodyni a raczéj pani tego mieszkania, jest jakaś baronowa, wdowa i ładna, dosyć młoda, która długo jak nam mówiła w Polsce siedziała, o mnie zaś słyszała już w Warszawie. Zna Skarzyńskich, bywała na wielkim świecie; pytała się Tytusa czy nie zna młodéj, ładnéj pani Rembielińskiéj i t. p. Otóż choćby nie więcéj, to taka zacna jejmość warta 25 reńskich, tém bardziéj, że Polaków lubi, Austryków nie affektuje, jest Prusaczką i bardzo rozsądną kobietą. Skoro się tam przeniesiem, Graff, fabrykant fortepianów, przyśle nam instrument do domu. Würfel skoro mię obaczył, zaraz o daniu koncertu począł mówić. Sam jest bardzo słaby i nie wychodzi, tylko w mieszkaniu daje lekcye; miał krwią pluć, co go wielce osłabiło. Ale o koncercie wciąż bajdurzy i mówił mi, że tutejsze gazety dużo o moim koncercie *F moll* pisały, o czém ja nie wiem i nie byłem dosyć ciekawym dowiadywać się. Dam koncert ale kiedy, gdzie, jak, co, nic nie wiem. Opuchły nos mój, nie dozwolił mi dotychczas ani prezentować się w ambasadzie, ani być u pani Rzewuskiéj u któréj cały świat bywa, a mieszka obok Hussarzewskiego,

(1) Listu tego wszystkim nieczytać, żeby niemyślano żem spyszniał. (*Przyp. Szopena*).

u którego z moim nosem bez żeny, byłem już parę razy. On mi nie radzi tak jak Würfel darmo grać. Malfatti przyjął mię jak swego kuzyna, najserdeczniéj, najgrzeczniéj (1). Skoro tylko nazwisko moje przeczytał, uściskał mię i powiedział, że do niego pisał już o tém pan Władysław Ostrowski; że w czém tylko może mi być użytecznym, wszystko mi uczyni. Dodał jeszcze, iż mię pani Tatyszczewowéj zaanonsuje (2), że mi wszelkie potrzebne znajomości porobi, że nawet przy dworze, o czém jednak wątpi żeby się dało co zrobić, będzie się starał być mi użetecznym, bo teraz dwór po królu Neapolitańskim w żałobie. Obiecał także poznać mię z baronem Dunoi, naczelnikiem tutejszego muzycznego *Vereinu;* to podobno będzie najlepsza znajomość. Drugą również może użyteczną, zabrałem przez list Klanglowski znajomość, z panem Mittagiem. Ten człowiek tak widzi rzeczy jak mi potrzeba i zdaje się, że najwięcéj ze wszystkich panów muzykantów, będzie mi użytecznym. Czerny, u którego byłem już (uniżony jak zawsze i dla każdego), pytał mię czym *hat fleisig studirt?* Znów na 8 fortepianów a 16 ludzi przełożył jakąś uwerturę i kontent. Zresztą, nie widziałem jeszcze żadnego tutejszego fortepianisty. U pani Weyberheim, siostry Wolfowéj, byłem już dwa razy, jutro proszony tam jestem na wieczór: *un petit cercle des amateurs,* zkąd udam się z wizytą do Rozalii Rzewuskiéj, co między 9tą a 10tą przyjmuje i jest już o mojém przybyciu przez Hussarzewskiego zawiadomioną. Tam mam poznać ową sławną panią Cibbini, dla któréj to Moscheles 4 ręczną *sonatę* napisał. Byłem onegdaj w Comptoirze u Stametza; tak mię tam przyjęto z mojemi listami, jak każdego co po pieniądze przychodzi; dali mi kartkę zaręczenia od policyi dla odebrania karty pobytu, i koniec. Ale późniéj może będzie inaczéj. Byłem także onegdaj u pana Geymüllera, bo tam Tytus miał swoje 6 tysięcy. Pan Geymüller przeczytawszy moje imie i nazwisko, nieczytając reszty odezwał się: „że bardzo mie przyjemnie poznać takiego jak ja Künstlera, ale że nie życzy dać się słyszeć, bo tu jest tylu dobrych fortepianistów, iż

(1) Nadworny Cesarski doktor.
(2) Małżonka ambassadora Ces. Ros.

trzeba mieć wielką reputacyę ażeby coś zyskać.” Dodał w końcu: „że on niemoże mi w niczem dopomódz, bo czasy są ciężkie i t. p.” To wszystko musiałem łykać z wytrzeszczonemi na niego oczyma, i jak on swoją tyradę skończył, dopierom mu powiedział, że istotnie nie wiem czy warto dać się słyszeć, ponieważ jeszcze u żadnego z tutejszych możnych panów nie byłem, ani u ambasadora do którego mam rekomendacyę z Warszawy od W. Księcia i t. p. Dopiéro on inne oczy zrobił, a ja pożegnawszy, przeprosiłem go za oderwanie od interesów. Poczekajcie h......ż....! U Lachnera dyrektora orkiestry jeszcze nie byłem, albowiem niemam gdzie wizyt przyjmować. Ze *Stadt London* gdzie było nadzwyczaj *słono*, przenieśliśmy się do *Lama* na Leopoldstadt, i tutaj tymczasem koczujemy, zanim się Anglik z wąsami, wychudły, wynędzniały, zielono-fioletowo-żółtawy *majtek*, od baronessy wyniesie. W tém to mieszkaniu na *wielką skalę*, (wyrażenie Tytusa, któren ze mnie jakiegoś zarozumialca koniecznie tworzy), będzie się dopiéro grać i o koncercie myśleć, ale niedarmo. Zresztą zobaczymy. Ani u pani Raszek, ani u pani Elkan, ani u Rotszylda, ani u państwa Voigt, ani u wielu innych osób nie byłem. Dziś idę do ambasady; ma tam być baron Meindorf, do którego Hussarzewski kazał mi się pytać, a ten mi powie, kiedy najlepiéj Tatyszczewa zastać. Z pieniędzy odebranych onegdaj u bankiera, nic jeszcze nie ruszyłem. Spodziewam się że umiem je szanować. Z tém wszystkiem prosiłbym, ażebym na końcu tego miesiąca mógł mieć coś na drogę do Włoch, gdyby mi moje koncerta nic nieuczyniły. Teatr mię najwięcéj kosztuje, ale nieżal, bo panna Heinfetter i p. Wild, zawsze prawie śpiewają. Przez ten tydzień, już trzy zupełnie nowe opery słyszałem. Wczoraj dawano *Fra-diavola*, *Niema* lepsza; przedtém *Tytusa* Mozarta, dziś *Wilhelma Tella*. Nie zazdroszczę Orłowskiemu, że Lafonowi akompaniuje (1); może przyjdzie czas, że mi Lafont będzie akompaniował (2). To trochę zaśmiało? ale dalibóg może być.

(1) Orłowski Antoni, urodzony w Warszawie 1811 r., pełen zdolności muzyk, kollega Szopena, późniéj dyrektor opery w Rouen, zmarł tamże w 1861 roku.

(2) Lafont, znakomity skrzypek urodzony w Paryżu 1781, zmarł 1839 r.

Nidecki jeszcze całą zimę myśli tu zabawić. Cały ten tydzień zeszedł mi jużto na nosie, na teatrze i Graffie, u którego co dzień po obiedzie grywam, ażeby sztywne palce z drogi trochę rozruszać. Wczoraj prezentowałem Graffowi Nidęckiego. Istotnie nie wiem jak mi ten tydzień zleciał; aniśmy się obejrzeli, a ja jeszcze żadnych stanowczych kroków do koncertu nie uczyniłem. *Questio*? który koncert grać, F. czy E.? Würfel utrzymuje że F piękniejszy od As *dur* Hummla, co teraz u Hasslingera wyszedł. Hasslinger mądry, on mnie grzecznie ale lekko chce zbywać, żebym mu darmo kompozycye dawał. Klengel się dziwił, że mi nic za *waryacye* nie zapłacił. Może myśli, że napozór ważąc sobie lekko moje rzeczy, ja to wezmę na seryo i dam mu je darmo? Ale się już darmo skończyło, teraz *becal* bestyo!...

Radzi mi Graff, ażebym w *Landständtische Saal*, gdzie bywają *Spirituell* koncerta, to jest w najpiękniejszém i najlepszém miejscu dał się słyszeć. Lecz na to potrzeba mieć pozwolenie od Dietrichsteina, o co mi przez Malfattego nie będzie trudno.

Ludzie znajdują żem utył...

Dobrze mi się wszystko dzieje. Mam nadzieję w Bogu i w Malfattim, (paradnym Malfattim), że jeszcze lepiéj będzie.

(Dokończenie nastąpi).

# RZYMIANKA.

## STUDYUM HISTORYCZNO-OBYCZAJOWE

NAPISAŁ

*Dr. Jan Wolfram.*

---

(Dokończenie).

Wspomnieliśmy wyżéj, że przyczyną główną między innemi, upadku moralności, a następnie i Rzymu, była zmiana wychowania w ogóle, a w szczególności wychowania kobiét.

Ludzie, którym leżało na sercu dobro narodu i którzy pojmując znaczenie stanowiska kobiety wiedzieli, iż szczęście narodu tworzą ludzie, a ludzie są takimi na jakich się wychowają, czyli że w ogóle od wychowania narodu zależy szczęście lub nieszczęście jego, byli przejęci zgrozą na widok upadku kobiety, i widząc w tém źródło upadku kraju, pragnęli tego i starali się o to, aby jak dawniéj, kobieta wychowywaną była tak, iżby potrafiła odpowiedzieć zadaniu swojemu jako matka i obywatelka. Cnoty źródłem z pewnością jest praca; kto pracuje wedle sił swoich i stanowiska, zapomni o grzechu, nie będzie miał i czasu do niego; więc do pracy starali się nawrócić Rzymianie zacni swoje żony i córy; polecali im: zajęcie się gospodarstwem, przędzeniem i tkaniem, jako tarczę od złego i podstawę szczęścia rodziny i narodu. Jakoż z jednéj strony podaje historya: iż nawet jeszcze za czasów Oktawiana Augusta kobiety zajmowały

się domowemi pracami, że nawet wnuki i córki jego, wedle Swetoniusza (1), musiały się niemi zajmować, a on sam nosił tylko zwykle suknie przez nie, albo przez żonę swoją lub siostrę zrobione; a jakkolwiek wnosić z tego można, iż inne panie rzymskie patrząc się na dwór cesarski robiły to samo, że więc w ogóle może zajęcie to uważano wtenczas jeszcze za obowiązek kobiety: to jednakże biorąc na uwagę tych samych kobiét obyczaje i życie, powiemy, że takie powierzchowne zajmowanie się pracą bez jéj zamiłowania, uważać można tylko za zabawkę dobrą i dogodną dla spędzenia nudów, na skrócenie długiego niekiedy czasu, nieprzynoszącą rzeczywistego pożytku; jest ono zabawką tylko, nie obowiązkową, którą więc każdéj chwili rzucić można, dla towarzystwa, zabawy, przejażdżki i t. d.

Gdyby bowiem to zajęcie się gospodarstwem i domem było ogólném w Rzymie, jak było dawniéj, i gdyby było pojmowane jako obowiązek kobiety i jéj zadanie, od którego nic jéj uwolnić nie mogło, nie potrzebowałaby z pewnością historya wymieniać kilka tylko imion kobiét zacnych, różniących się tém właśnie od innych, iż robiły to, co ich było obowiązkiem. Nie rzadką byłaby wtenczas taka Kornelia, matka Grachów, albo Aurelia, matka Cezara, sławione za dobre i staranne wychowanie dzieci; nie rzadką byłaby druga Kornelia żona tryumwira Lepida, chwalona dla czystości obyczajów; nie rządką byłaby taka Oktawia żona tryumwira Antoniusza znana dla cnoty swojéj, przez którą oprzéć się potrafiła zgorszeniu. Więc kiedy kilka kobiét zasługuje na wzmiankę jako dobre, to ogół musiał być zły; kiedy rzeczy takie: jak zajmowanie się wychowaniem dzieci, jak cnota kobieca, zasługiwały na zaznaczenie; to ani tych cnót, ani innych, już z pewnością w kobietach rzymskich nie było. Dziewczęta więc rzymskie, ani przykładu pracy już w matkach swoich nie miały, ani wychowanie ku pracy zwróconém nie było. Odpowiadało ono ogólnemu ówczesnemu wychowaniu w Rzymie, którego podstawą była znajomość literatury i nauki greckiéj.

Do szkoły dziewczęta wyższych stanów nie chodziły, chociaż w ogóle szkoły dla dziewcząt są pod koniec rzeczy-

(1) Oktav. 73.

pospolitéj coraz zwyczajniejsze. Uczyły się więc w domu pod okiem pedagoga, człowieka często nie mającego ani naukowéj podstawy, ani moralnéj. Nie mamy wprawdzie wyraźnych wskazówek, w jaki sposób i w jakim kierunku odbywało się wychowanie kobiety; możemy jednakże dojść do wniosków dosyć pewnych ze znajomości kilku kobiét, o których wspominają pisarze, mających, jak się zdaje mnóstwo podobnych sobie. Za taki wzór kobiety można z pewnością uważać Sempronię, matkę znanego późniéj D. Brutusa, jednego z morderców Cezara, którą charakteryzuje Sallustyusz (1) po mistrzowsku w sposób sobie właściwy i mówi: że była wykształconą w literaturze greckiéj i łacińskiéj, że umiała grać i tańczyć lepiéj niż przystało na kobietę uczciwą, i że znała wiele innych rzeczy, które są środkami zbytku; ale że wszystko inne droższém jéj było, jak cnota i wstydliwość. Plutarch (2) mówi o Kornelii, żonie Pompejusza, a córce Metella Scypiona, jako o kobiecie wykształconéj, znającéj się na muzyce i chętnie słuchającéj filozofów; Seneka (3) mówiąc o Liwii, żonie Oktawiana Augusta, powiada: że sama ona wyznaje, iż w utrapieniu po śmierci Drususa znajdowała pociechę w dziełach filozofa Areusza; Kwintylian (4) mówi o Lelii i Hortensyi córkach sławnych mówców, jako o kobietach biegłych w wymowie. Z tych tedy i innych jeszcze wzmianek autorów starożytnych, do tego dochodzimy wniosku, że do wychowania, a raczéj wykształcenia kobiety stanów wyższych należała znajomość literatury greckiéj i rzymskiéj, zajmowanie się poezyą i filozofią a wreszcie muzyką i tańcem.

Czy jednakże wykształcenie dziewczyny przed wyjściem jéj za mąż mogło być wysokie, wątpić można dlatego, iż dziewczęta po roku 12 życia uważane już za dorosłe, za mąż zwykle wychodziły. Wątpliwość tę potwierdza nawet Pliniusz (5), który powiada, że mu przyjaciel jego czytał listy, jakoby żony jego, i mówi: „Sądziłem, że mi czyta Plauta albo Terencyusza w prozie; ale czy to pisała żona jego, jak utrzymuje, czy on sam, czemu przeczy, zawsze na równą zasługuje sławę przez to, iż albo sam coś takiego napisać po-

(1) Kat. 25. (2) Pomp. 55. (3) Ad Marc. 4 i 5.
(4) I. 1. 6. (5) I. 16.

trafił, albo że żonę swoją, którą pojął jako pannę, tak uczynił uczoną i światłą." W każdym razie początki jakieś w tym kierunku wynosiła z sobą z pewnością dziewczyna za mąż wychodząca, a idąc potém za ogólnym prądem starała się dalej kształcić, gdyż to uchodziło za potrzebne i konieczne do dobrego tonu. Ale jak Rzymianin dążył do zewnętrznego blasku życia nie dlatego, aby z niego korzystał, ale głównie tylko, aby się odznaczał przed innymi i aby go podziwiano, tak i kobieta starając się o modne wykształcenie nie szukała nauki, aby przez nię rzeczywiście zabłysnąć i pożytek ogółowi przynieść, ale dlatego tylko, iż tego było potrzeba modzie. Więc na jéj stoliku znajdowały się książki, które sobie czytać kazała, tego np. rodzaju, w jakim są powieści Kocka, lub Pamiętniki Kasanowy, więc powieści Milesyjskie, albo poemata, jakich dostarczał Owidiusz i inni. W jéj domu żyje jaki filozof, którego obowiązkiem w czasie toalety, trwającéj zawsze bardzo długo, czytywać budujące rozprawy, o moralności, o pracy lub cnocie, których słuchała dama rzymska na to tylko, aby nie rozumieć, albo aby odwróciwszy się, czynem naigrawać się uczciwym może słowom. Ale jakże słowo tych ludzi uczczoném być miało, jeżeli prawdą jest, co powiada Lucyan (1), jakie oni zajmowali stanowisko w domu pani rzymskiéj i do jakich dawali się używać posług. Z dziwnym humorem i ze szczypiącą sobie właściwą satyrą opowiada on, jak trzyma filozof na kolanach, jadąc ze wsi za panią swoją do Rzymu, na jakimś wozie z jéj karłem, suczkę faworytkę, czekając na jéj oszczenienie się, gdyż taki był rozkaz pani.

Idąc za ogólnym prądem, zwróciły się kobiety rzymskie do nauk, któremi się zajmowali ich ojcowie, mężowie i bracia pozbawieni życia czynnego przez zmianę formy rządu na forum, w zgromadzeniach ludowych i w senacie, i bawiły się to filozofią, to poezyą. Ale, jak powiedziałem, zajmowały się dlatego tylko, aby błyszczéć przez nie, jakoby pożyczoném światłem. Uczyły się języka greckiego, używały go w domu i poza domem z uszczerbkiem własnego, gdyż to uważano za cechę dobrego wychowania i wyższego stanowiska. A jak w czasach dawniejszych były matrony rzymskie jakoby stró-

(1) Nigrinus.

żami dawnéj czystości języka, tak późniéj kaleczyły go frazesami greckiemi i psuły, albo go wcale nie używały. Autorek rzymskich nie znamy, chociaż z pewnością było wiele kobiét takich, które miały wykształcenie odpowiednie i mogły były utwory swojego rozumu, albo fantazyi publikować. Mianowicie zajmując się dużo poezyą próbowała nie jedna sił swoich na tém polu; ale nie popisywała się publicznie. Zdaje się, iż przy braku ogólném skromności w kobietach rzymskich, skromność pod tym względem była w nich bardzo wielka. Prywatnie jednakże lubiły się popisywać z nauką swoją i znajomością literatury; przez co nawet nieznośnemi były dla Rzymian, którym dobro kraju na sercu leżało, a nieznośemi dlatego, iż dla nauki pozornéj, którą błyszczeć chciały, zapominały o cnotach i obowiązkach swoich.

Pokazuje się to ze słów, kilku starożytnych autorów. Seneka np. tak się pomiędzy innemi odzywa, w pięknych słowach pociechy przesłanych matce swéj z wygnania (1): „Ciebie bezwstyd, największy występek tego wieku, nie porwał z sobą do innych występków; ciebie nie sprowadziły z drogi cnoty drogie kamienie i perły; dla ciebie nie błyszczały bogactwa, jakoby największe dobro rodu ludzkiego; ciebie, wychowaną dobrze w domu starym i surowym, nie skusiło naśladowanie gorszych, dla cnych nawet niebezpieczne; ty nigdy nie wstydziłaś się tego, że matką zostać miałaś, nie szkaradziłaś oblicza swojego wabikami i farbami; nigdy nie podobała ci się suknia, któraby udawała tylko, że chce okrywać nagość: jedyną twoją pięknością była piękność twego ciała, a największą ozdobą wstydliwość.—A teraz posyłam cię tam, dokąd wszyscy przed nieszczęściem uciekać winni, do nauk: one wygoją twoją ranę, one wydrą z serca wszelki smutek. Chociażbyś do nich nigdy nie była przywykła, teraz zwrócić się do nich potrzeba; nie objęłaś ty ich wprawdzie; ile na to jednakże dawna surowość ojca mojego dozwoliła, zakosztowałaś ich przynajmniéj. Oby najlepszy z mężów, ojciec mój, zbyt oddany zwyczajowi przodków, to był sprawił, abyś w naukach ludzi mądrych raczéj się była wykształciła, a nie zakosztowała ich tylko; bo niepotrzebaby teraz przygotowywać dopiero pomocy dla nieszczęścia,

(1) Consol. ad Helv. 16.

lecz możnaby sięgnąć po nią. Przez wzgląd na te kobiety, które używają nauk nie dla mądrości, ale uczą się dla zbytku, nie dozwolił on się tobie naukami zajmować; zaczerpnęłaś jednakże przez talent swój więcéj, jak się było można spodziewać."

Ale posłuchajmy, jak Juwenalis charakteryzuje uczoną kobietę (1):

O wiele nieznośniejsza, gdy za stołem siędzie,
Dopieroż ci wychwalać Wirgilego będzie,
Dydony śmierć tłumaczyć, a w wielkim zapale
Zestawiając poetów, kładzie na tę szalę
Wirgilego; Homera położy na drugą
I wydaje krytykę uczoną a długą.
Gramatyk wnet zamilknie, retor milcząc słucha,
Milczą i biesiadnicy nadstawiając ucha,
I adwokat, choć zawsze gotowy do słowa
Nie piśnie i wraz z woźnym w tłum gości się chowa.
Nie odezwie się nawet i inna kobieta;
Takie wielkie słów mnóstwo z ustek jéj wykwita,
A w uszach aż ci dudni. Odtąd niech nie nuży
Nikt dzwonów, ani miednic, bo ona posłuży
Sama już dostatecznie i po wszystkie czasy,
Księżycowi, gdy pójdzie z ciemnością w zapasy (2),
A nakoniec rozprawiać będzie o mądrości,
O cnocie, pobożności i o uczciwości.
Bo która nazbyt pragnie wydać się uczoną,
Lub wymowną, nieść winna z suknią uniesioną
Do kolan Sylwanowi w ofierze prosiaka,
I do łaźni publicznych chodzić za czwartaka.
    Matrona, którą sobie chcesz uczynić żoną,
Niech wedle retoryki nie prawi uczono,
Ani w ścisłych wyrazach niechaj się nie sadzi
Na krótkie syllogizmy. To jéj nie zawadzi,
Że nie będzie historyi całkowitéj znała,
I nie wszystko, co w książkach będzie rozumiała.
Nieznośną mi kobieta, u któréj wciąż w głowie
Jest sztuka Palemona (3), która nic nie powie
Bez reguł retorycznych, prawideł języka;
Która się z znajomością dawnych słów wymyka,
I gani w przyjaciołki swéj języku błędy,
Na które i mężczyzna nie uważa wszędy.

(1) 6. 434—456.
(2) Chmury zasłaniające księżyc, a zwiastujące w rozumieniu Rzymian nieszczęście, starano się rozpędzić dźwiękiem dzwonów, miednic i t. d. (3) Znany gramatyk.

Tak samo powiada Marcyalis, że dlatego nie chce się żenić z Gallą, iż jest uczoną (1).

Ze słów Sallustiusza przytoczonych wyżéj o Sempronii, że tańczyła lepiéj niż przystało na kobietę uczciwą, pokazuje się, iż taniec w ogóle u Rzymian w pogardzie nie był. Korneliusz Nepos w życiu Epaminondasa powiada wprawdzie, iż Rzymianie starsi, szlachetni, nie zajmowali się muzyką, a taniec zaliczali nawet do błędów; Cycero w mowie za Mureną (2) nie mówi także pochlebnie o tańcu, a w innêm miejscu (3) zarzuca Gabiniuszowi, nieprzyjacielowi swojemu, znajomość tańca. Mimo to jednakże, uważać tego nie można za dowód pogardy tańca w ogóle. Trzeba tylko robić różnicę pomiędzy tańcem a tańcem. Już to, gdyby nim pogardzano, nie używanoby go z pewnością do okazywania bogom czci i uszanowania, czego liczne mamy dowody (4). Ale taniec sprośny, lubieżny, jakoby nasz karczemny, był, jak i teraz wszędzie jest w pogardzie, i uważano go za niegodny kobiety cnéj. O takimto tańcu mówi Sallustiusz. Ze słów jednak jego pokazuje się, że i w jego już czasach nie był niezwyczajnym taniec, o którym mówi Makrobiusz (5), że widział młodzieńców i panny tańczące jakby nie mógł tańczyć z uczciwością i bezwstydny niewolnik; albo jak mówi Ammianus Marcellinus (6), że kobiety, tańcząc, aż do obrzydzenia nogami biją w posadzkę, rzucają się wirując wkoło i niezliczone przedstawiają obrazy, jakie stworzyły teatralne sztuki. Taniec zatém uważany był dla dobrze wychowanéj Rzymianki już pod koniec przynajmniéj rzeczypospolitéj za konieczny. Silwiusz nawet nie lęka się, aby pasierbica jego nie dostała męża, gdyż tańczy z gracyą.

Nadto śpiew i muzyka była także zwyczajnym przedmiotem wykształcenia Rzymianki. Śpiew bo z pewnością był zwyczajny już w najdawniejszych czasach; przy uroczystościach bowiem, w czasie processyi śpiewały panny i młodzieńcy. Tak powiada np. Liwiusz, że pontifikowie postanowili, aby 27 dziewic idąc przez miasto śpiewały pieśń; tak układa Horacyusz *Carmen saeculare* śpiewany przez młodzieńców i dziewice. W późniejszych jednakże czasach do-

(1) 10, 68. (2) 23. (3) De off. 1, 42. (4) Hor. Ad. Pis. 232.
(5) Satur. 2, 10. (6) 14.

szedł śpiew do większego znaczenia jako przedmiot służący do wykształcenia, mianowicie obok gry na instrumencie, a kobiety wyższych stanów dużo się nim zajmowały. Tak powiada np. Pliniusz (1) o swojéj żonie: „wiersze moje śpiewa i układa do cytry, nie uczona tego przez jakiego artystę, lecz przez miłość, która jest najlepszym nauczycielem."

Więc zmiana religii i zmiana wychowania musiały wywołać ogromne zmiany w usposobieniu i obyczajach. Mianowicie wychowanie kobiety nie oparte na podstawach, któreby potrafiły ją utrzymać na stanowisku jéj właściwym, sprawiło, iż pod wpływem innych jeszcze silnych okoliczności, do których zaliczę pełne zgrozy wojny domowe, niszczące w sercach obywateli wszelkie szlachetne uczucia, znikczemnienie mężczyzn goniących tylko za majątkami jako środkami służącemi do zbytku i zgorszenia wszelkiego rodzaju, i ogólne zdemoralizowanie, zapomniała kobieta, z natury słaba, o tém, czém była w istocie i zeszła do tego stopnia małości, iż ją stawić można za odstraszający wzór i przestrogę dla innych.

Kobieta rzymska występuje całkiem zmieniona już pod koniec rzeczypospolitéj, a więcéj jeszcze późniéj. Wszystko, co było dawniéj jéj ozdobą, poszło w zapomnienie i pogardę; skromność i cnota niewieścia precz wygonione; swoboda niczem nieokreślona w życiu, zabawy, stroje, zbytki, teatr, amfiteatr, cyrk, biesiady, oto miejsca, na których występowała i popisywała się, oto rzeczy, za któremi goniła, które stanowiły cel i podstawę jéj życia.

Wyobraźmy sobie dziewczynę, która zaledwie ukończywszy rok 12 życia wychodzi za mąż. Przypuszczam, co było rzadkiém: że matka i ojciec jéj nie należeli do ludzi niegodne prowadzących życie, że więc córce swéj zgorszenia nie dawali, albo też, że przynajmniéj tyle mieli jeszcze uczciwości w sobie, iż się starali przynajmniéj ukryć to złe przed córką, które było jawném światu. Przypuszczam daléj, co było jeszcze rzadsze: że kobiety, w których otoczeniu się wychowała i nauczyciele jéj nie przekroczyli w niczem granic przyzwoitości i niezapominając o obowiązkach swoich, strzegli niewinności uczuć, myśli i czynów jéj.

(1) Listy 4, 19.

Wyobrażam więc sobie nawet tak niewinną dziewczynę wydaną za mąż, za młodzieńca złotego, który się ożenił dlatego tylko, że prawo nakazywało mu się żenić, ale który wierny swojemu, jak sądził zadaniu, nie zapomina o niczem, co cechuje jego rówienników, podobnych jemu pochodzeniem, bogactwy i obyczajami, czczych i próżnych, niemoralnych i wyzutych z uczuć szlachetniejszych,—i pytam, jaką ona być mogła: młoda i niedoświadczona, rzucona nagle w świat sobie nieznany, a pełen ponęt, zepsucia i zewnętrznych powabów?

„Bo w Rzymie można było—wedle słów Lucyana (1)—rozkosz w siebie wciągać przez wszystkie furtki duszy, przez oczy, uszy, nos, gardziel i przez każdy inny kanał. Tam płynie ona nieustannie pełnym, wiecznie mętnym strumieniem i rozbiega się po wszystkich drogach tak, że zdrada w małżeństwie, żądza pieniędzy, krzywoprzysięstwo i wszystkie inne występki, które się wylęgają w tej żyznej mierzwie, zalewają duszę całą i porywają gwałtem z sobą uczucie wstydu, sprawiedliwości i cnoty; a te gdy zginą, wtenczas zostaje ona sama jako nieurodzajna, sucha ziemia, z której wyrastają wszelkie rodzaje dzikich żądz, nieznoszących obok siebie niczego, coby było czerstwe i zdrowe." W tych słowach przesady niema, bo Rzym był w rzeczy samej pełen zgorszenia. Wystawmy sobie na ulicach i po publicznych domach pełno heter, u ich nóg, albo u drzwi ich mieszkań zniewieściałą, złotą młodzież proszącą o wstęp do ich mieszkania, znoszącą największe obelgi, i płacącą tysiące za wstęp do ich serca; poetów opiewających ich wdzięki i w słowach łechcących zmysłowość, przemawiających do chętnej im publiczności. Wystawmy sobie nareszcie i mężów, którzy w państwie największą odgrywają rolę, jak: Cycerona, Syllę, Pompejusza, Cezara, Lukulla i wszystkich prawie innych rozwodzących się z żonami po trzy i po więcej razy, a szukających towarzystwa słynnych w swoim czasie heter. Dalej jeszcze wystawmy sobie matrony rzymskie w świątyniach przy pomocy kapłanów i pod zasłoną świętości miejsca, dopuszczające się najstraszniejszego świętokradztwa, puszczające się pod pozorem służby bożej na rozpustę wszelkiego

(1) Nigrinus.

rodzaju, wyprawiające tańce lubieżne wśród okrzyków napół dzikich, szalonych i pieśni na cześć bóstwa śpiewanych przy trąbach i bębnach, obnażone i z rozpuszczonym włosem, z maską na twarzy lub bez niéj; wystawmy sobie wreszcie jeszcze teatra, cyrki, amfiteatry jako miejsca nagiéj sprosności, a będziemy mieli Rzym z końca rzeczypospolitéj i z cesarstwa. Czy w Rzymie takim podobna było ostać się cnocie, dla któréj tyle wygodnych dróg otworem stało i tyle na nią czychało ponęt? Czy mogła w nim kobieta z usposobieniem swojém i z ukształceniem rzymskiém być tém, czém była dawniejsza matrona rzymska? Poeta to wieszcz, to kapłan stojący na straży obyczajów i cnoty narodu. Ale jakież tam obyczaje i jaka tam cnota, gdzie poeta jeden w drugiego prawie śpiewa pieśni bardzo dwuznacznéj treści; gdzie najgenialniejszy pomiędzy wszystkimi jakoby za żadanie sobie postawił rozbudzać namiętności, być przewodnikiem i doradzcą do złego. Taki Owidyusz przedstawia się w rzeczy saméj jakoby nauczyciel sprosności. Jego *Sztuka kochania* pomiędzy innemi jest przewodnikiem pełnym przepisów, jak używać życia w rozumieniu najniższém; ale równocześnie jest ona obrazem moralności i dowodem, jakiemi były wyższe stany Rzymu i czego im było potrzeba.

Mówiliśmy, że kobieta młoda wyszedłszy za mąż i przeniesiona do nowego życia znalazła się nagle otoczona wszelkiego rodzaju ponętami, nie mając ani w sobie ani poza sobą nic, coby ją bronić mogło. Dopóki przez ścisłe małżeństwo z mężem połączona, była w jego mocy, dopóki nie była panią majątku swojego, dopóki była pod sądem męża i najbliższych krewnych za przewinienia, i dopóki mąż był prawdziwie mężem, była zabezpieczoną i strzeżoną, zwłaszcza że i w sercu miała cnotę i religią. Ale kiedy sposób zawierania małżeństw, luźnych, w których majątek zostawał własnością żony, stał się ogólnym, a było to nie długo po wojnach punickich, straciło małżeństwo znaczenie swoje, a kobieta weszła na drogę zepsucia. Żony w ten sposób połączone z mężem, lubo właściwie nie były paniami woli swojéj, gdyż zależały od ojców, potrafiły przy ogólném zaniedbaniu dawnych, cnych zwyczajów i przy znikczemnieniu albo ślamazarności i niedbalstwie mężczyzn rządzić

się wedle woli swojéj i szafować majątkami na potrzeby zbytku, a późniéj rozpusty. A do jakiego stopnia majątki nagromadziły się w rękach kobiét ze szkodą ogółu, widać ztąd, że już w roku 169 wyszło prawo Wokociusza zabraniające w testamentach naznaczać kobiety dziedziczkami.

Cóż się z takich małżeństw wyrodzić musiało? Jeżeli dawniéj nie uczucie wzajemne podstawą było małżeństwa i przyczyną zawięzywania go, to cel sam, pojmowanie obowiązków obywatelskich, lub nareszcie posag wniesiony przez żonę w dom, mogły być silnym węzłem utrzymującym jedność i spójność małżeństwa, szczególniéj przy surowych, a czystych obyczajach. Ale z wprowadzeniem małżeństw luźnych nic było już niczego, coby uważać można za węzeł materyalny i moralny; zaczęto więc unikać w ogóle małżeństwa jako niedogodnego, albo zawierano je, aby miéć płaszczyk, pod którymby swobodniejsze życie prowadzić i łatwiéj grzeszyć można, i dlatego rozwodzono się równie łatwo i skwapliwie. W dawniejszych czasach czuła się kobieta panią domu wraz z mężem swoim w zakresie czynności jéj właściwych; ale kiedy się uczuła i panią woli swojéj, mogła się uczuć, albo przynajmniéj chciéć uczuć panią domu i męża. A jeżeli dawniéj były przypadki, iż kobieta rej wodziła w domu, — bo gdzież i kiedy nie znaleźliby się mężowie, którzy czy to przez uległość i zamiłowanie spokoju domowego, czy przez słabość, poddadzą się przewadze rozumu albo energii pani swojéj?—to późniéj dochodziły emancypowane panie do rządów z większą pewnością powodzenia;—bo któraż znów emancypantka nie zapanowała nad mężem?—albo téż nie mając nic z nimi wspólnego, żyły wedle woli swojéj, zostawiając mężom najzupełniejszą w życiu swobodę.

Jak emancypacya kobiety nie zgadza się z uległością jéj dla mężczyzny, wynikającą z jéj natury i stanowiska, i jak spowodowała wyłamanie się jéj z mocy męża lub ojca, tak w dalszym postępie musiała kobietę pociągnąć do wyłamania się z granic, dawniéj przez Rzymianki przestrzeganych w życiu domowém z swoimi i z obcymi, w życiu poza domem i w stosunku w ogóle do społeczności.

Przypatrzmy się więc kobiecie rzymskiéj w życiu jéj domowém. Jest ona jak była w dobrych czasach rzeczypospolitéj i teraz otoczona mnóstwem niewolnic, ale nie takich z któremiby pracowała. Ta lwica starożytna, goniąca za

próżnością, dogadzająca namiętnościom i żądna zabawy, potrzebuje sług wiele, którzyby służyli jéj kaprysom. Ma więc ona takie mnóstwo niewolnic i niewolników na usługi gotowych, o jakiém dziś panującym się nie marzy; a spełniają oni wszyscy rozkazy swéj pani i podsuwają, o ile im się zbliżyć do niéj wolno, lub o ile zaufanie jéj posiadają, wszystko, co zmysłowość jéj łechtać może. Więc nie przy wrzecionie widzimy ją w skromnéj komnacie, ale przy gotowalni w wspaniałych pokojach pełnych malatur i obrazów, rozbudzających fantazyą, pobudzających namiętności i zachęcających do grzechu; nie pomiędzy dziećmi swojémi, któreby wychowywała na przyszłych obywateli państwa, ale pomiędzy niewolnicami podnoszącémi za pomocą sztuki jéj wdzięki; nie w towarzystwie męża i obywateli szanownych, którychby się rozmowom przysłuchiwała dla dobra swych dzieci, ale wśród gachów schlebiających jéj próżności.

Kobieta rzymska żyła w czasach zepsutych państwa nie dla męża, ani dla dzieci, ale żyła, aby używać świata. Jéj dążeniem i pragnieniem było podobać się, a świetnością i bogactwem strojów przewyższać inne: dlatego nie szczędziła niczego, byle tylko cel swój osięgnąć i spędzała wielką część czasu przy gotowalni, ubierając się i strojąc. Przypatrzmy się więc jéj strojowi; a zacznijmy od głowy.

W dobrych czasach rzeczypospolitéj, jak życie całe prostém było, tak i ubranie głowy Rzymianki było naturalne i dla tego piękne. Zwyczajnie zaczesywały sobie panny włosy nieco podniesione i jakoby karbowane na tył, a splecione albo zwinięte w węzeł lub ułożone w wieniec, przymocowywały za pomocą wstążek lub śpilek na wierzchu głowy, albo spuszczały nieco ku karkowi; niekiedy opuszczały włosy w długich lokach. Zamężne zaś kobiety zwykły je zwijać w czub, który ustawiały na wierzchu głowy przymocowany wstążkami. Ale późniéj nie przesadzimy, mówiąc z Owidiuszem, gdyż tego mamy dziś żywe przykłady, że różne sposoby ubierania głowy w Rzymie, podobnie trudno policzyć, jak żołędzie na gałęzistym dębie, albo pszczoły na Hybli (1), jak dziczyznę w Alpach; że różne sposoby układania włosów nie da się oznaczyć liczbą, i że każdy dzień nowy strój głowy kobiecéj przynosi. Znały więc panie rzymskie

(1) Góra w Sycylii pełna kwiatów pszczolnych.

wszelkie i najrozmaitsze rodzaje układania włosów, poświęcały czasu na to bardzo wiele, a miały niewolnice, które w téj sztuce były może doskonalsze, niż nasi teraźniejsi najbieglejsi artyści głów. Wedle tego, jak głowa ufryzowaną być miała i wedle obfitości włosów na głowie, używano tak jak dziś przyprawianych włosów; niekiedy, lubo rzadko, nawet całych peruk; mianowicie wtenczas, kiedy włosy jasne weszły w modę, sprowadzano ich mnóstwo z Niemiec i robiono z nich peruki, albo téż i wtenczas jeszcze, kiedy się nie chciało być poznanym. Tak mówi Juwenalis (1), że Messalina wsadzała perukę jasną, na czarne swoje włosy, kiedy wychodziła do miejsc publicznych, a nie chciała być poznaną. Ponieważ w pewnym czasie kolor jaki włosów szczególniéj był w modzie, np. czerwono-żółty, farbowały sobie damy rzymskie włosy swoje mydłem sprowadzaném z Gallii. Włosy czerwono-żółte były w ogóle pożądanémi często i to nawet jeszcze w dobrych czasach rzeczypospolitéj, gdyż już Kato (2) mówi, że kobiety rzymskie farbowały sobie włosy, aby były rudawe. Że włosy przypalano i używano najrozmaitszych kosmetyków, pomad, olejków, pachnideł, jest rzeczą ogólnie wiadomą, wyraźnie mówią o tém komicy, pomiędzy innémi np. Plaut w wyżéj przytoczoném miejscu z Mostellarii, a u Fabrycyusza (3) przechowało się jeszcze 25 nazwisk pomad i olejków, które opisał Krito lekarz Trajana i cesarzowéj Plotyny. Pachnideł używały zresztą nie tylko kobiety, ale i mężczyźni nawet już za czasów Cycerona, którzy chcieli być piękni, jak mówi żartobliwie Marcyalis (4):

Kotylu, ty jesteś piękny, mówi to wielu, Kotylu.
Słyszę to, ale mi powiedz, który jest piękny mężczyzna?
Pięknym jest, który swe włosy trefi i głaszcze i muszcze;
Który wonieje balsamem i pachnącemi maściami.

Włosy utrefione i ułożone wedle mody, albo wedle woli i upodobania elegantki przyozdabiano wstążkami, śpilkami, w których niekiedy była podobno ukrytą trucizna (taką trucizną dobytą ze śpilki, miała się wedle Diona otruć Kleopatra), obręczami ze złota lub z innych kruszców bogatych

(1) 6, 120. (2) Origines u Serv. do Wirg. En.
(3) Bibl. Graec. 12, p. 690. (4) 3, 63.

w drogie kamienie, sznurami pereł, albo wieńcami z kwiatów sztucznie układanych. Przemiana jednakże i tak świetne przystrojenie głowy wtenczas mogło tylko mieć swoje znaczenie, jeżeli mu twarz sama odpowiadała dostatecznie. A że puste i rozpustne Rzymianki świeżość oblicza niszczyły wcześnie, nie niszcząc równocześnie chęci do życia zakosztowanego, dlatego leżało w ich interesie posiadać najrozmaitsze środki, któreby na chwilę, na czas wystąpienia, przywracały utracone wdzięki i spędzały z oblicza nienawistne ślady lat albo zbyt prędkiego życia. Możebyśmy posądzili Lucyana o przesadę słów podanych niżéj; gdybyśmy nie wiedzieli z doświadczenia, że w wielkiéj przynajmniéj części i dziś moglibyśmy znaleźć ich potwierdzenie. Opisuje on rzymską panią temi słowy: „Gdyby kto mógł te damy widzieć w chwili, w któréj powstają ze snu rannego, sądziłby z pewnością, że spotkał kota morskiego albo pawiana, z którym spotkać się przy pierwszém wyjściu z rana zwykliśmy w życiu powszedniém uważać za bardzo złą wróżbę. Dlatego téż zamykają się w tym czasie tak starannie, że oko mężczyzny dostrzedz ich nie może. Teraz tedy otaczają się służebnémi kobietami i garderobianémi, które się wszystkie jakoby o zakład starają o to, aby wskrzesić wdzięki zamarłe na twarzy swéj pani. Sen sobie zegnać z ócz świeżą wodą źródlaną, a potém pójść rączo do zajęć gospodyni i matki — jakież to niesmaczne, staroświeckie przypuszczenie! Wcale nie, przedewszystkiem trzeba użyć rozmaitych maści i proszków i kropli piękności. Każda garderobiana i sługa przynosi wedle obowiązku swojego inną część toalety. Jedna niesie srebrną miednicę, inna srebrny kubek, inna dzban, inna zwierciadło i puszki, ile ich znaleźć można stojących w aptece. A w nich wszystkich mieści się tylko śmiecie i szalbierstwo: w jednéj zęby i krople na wzmocnienie dziąseł, w drugiéj czarne brwi i rzęsy, w innych insze przyprawy podobne. Ale najwięcéj sztuki i czasu potrzeba na utrefienie włosów. Jedne, które włos swój naturalny chcą przemienić w jasny albo w złoty, smarują go maściami, które suszą potém na słońcu w południe i każą je bejcować. Inne, które zatrzymują swój włos czarny, trwonią cały majątek swych mężów na to, aby z ich włosów cała błogosławiona wo-

niała Arabia. Tu palą żelaza, a niémi przypalają loki, których nie dała natura i t. d."

Lucyan nie przesadza, więc wydając panie rzymskie z ich tajemnic, gdyż i zkądinąd wiemy, że myśląc o podniesieniu swych wdzięków, starały się o najrozmaitsze do tego środki. I tak starały się one bardzo o utrzymanie pięknéj cery i płci białéj nakładając sobie wieczorem przed pójściem do łóżka na twarz jakoby maskę z ciasta urobionego z mąki i mleka oślego: sposób ten wynaleźć miała żona Nerona Poppea, albo téż z mąki, ryżu i fasoli. Rano zmywano skorupę, która się przez noc utworzyła, letniém oślém mlekiem. Mléka oślego używały Rzymianki w ogóle bardzo często do zmywania twarzy. Wyżéj wspomniana Poppea, kazała wyjeżdżając pędzać za sobą całe trzody oślic, w których mleku nawet się kąpała.

Że twarz malowano, różowano i blanszowano, że farbowano rzęsy i brwi, a na skroniach malowano nawet delikatną farbą niebieską żyłki, o tém wiemy mianowicie z komików i satyryków, którzy naigrawają się z tych zwyczajów.

Zęby fałszywe wsadzano z kości słoniowéj za pomocą drutu złotego. Jestto zwyczaj już bardzo dawny, gdyż nawet prawa 12 tablic zabraniając złota dawać umarłym do grobu, robiły wyjątek ze złotem potrzebném do wsadzania zębów fałszywych (1). Oto co Maryalis (2) mówi o tych rzeczach:

Gdy sama jesteś w domu, Gallo, lub się stroisz
Do mieszkańców Subury (3), zdejm włosy z swéj głowy.
Zęby składaj tak samo w nocy, jak jedwabie,
I spocznij namaszczona maśćmi tysiącznemi.
Z swoją twarzą spać nie chodź; skiniesz temi brwiami,
Które ci nad oczami rano przylepiono.
Nie wstrzymuje cię bowiem wzgląd na to, żeś babą,
Która się do prababek swoich liczyć możesz.
Lecz chociaż obiecujesz tysiączne rozkosze,
Mężczyźni nie uwierzą, choćby byli ślepi.

Piękna ręka i piękne, dobrze utrzymane paznogcie, nie były także obojętnémi damom rzymskim. Pliniusz (4) po-

(1) Cic. de legg. 2, 24. (2) 9, 38.
(3) Część miasta Rzymu. (4) 30, 12.

daje mnóstwo kropli. ziół i proszków służących do ich pielęgnowania.

Na zakrycie wyrzutów na twarzy, których wiele było rodzai skutkiem zbytkownego życia, używano plasterków czarnych, więc muszek tak niegdyś zwyczajnych i u naszych elegantek, które były jak się zdaje w kształcie sierpa (1).

Przejdźmy do sukien. Na ciele nosiły Rzymianki suknię, którą my nazywamy koszulą, płocienną, cienką, albo bawełnianą z rękawkami krótkiémi. Dawniéj bo chodząc koło gospodarstwa, Rzymianka używała tego tylko jednego odzienia po domu, zwyczajnie przepasując je i nieco podciągając, aby nie zawadzało jéj w chodzeniu. Teraz zaś w téj sukni będąc siadała pani rzymska do toalety, a gdy robota z głową była już skończona, zakładano na nią pas purpurowy podnoszący i ściskający nieco piersi, nadając im zarazem piękne kształty, a potém wkładano właściwą tunikę. Była ona półwełniana, albo jedwabna, cieniutka, biała, z krótkiémi rękawkami rozciętémi i spojonemi złotémi klamrami. Suknia ta musiała być jak najświetniejsza, wygładzona i połyskująca białością koloru swojego, do czego używano pras rozmaitych, a osobne niewolnice i garderobiane doprowadzały sztukę tę często do wysokiéj doskonałości. W wycięciu nad piersią jest tunika objęta pasem purpurowym na dwa palce szerokim. Długością sięgała właściwie tylko do kolan; ale tunika matron miała tu przyszytą falbanę, zwyczajnie z téj saméj co tunika materyi, ofałdowaną a opuszczającą się tak, iż z pod niéj ledwie końce palcy można było widzieć. Falbana ta bywała przystrojona na samym dole pasem purpurowym, albo złotym, niekiedy i perłami. Tunika razem z falbaną zowie się *stola*; a bywała ona tak długa, iż niespięta wlokła się na pół łokcia po ziemi. To też największą było sztuką niewolnic układać ją w piękne fałdy, któreby postać Rzymianki czyniły majestatyczną, a zarazem ujmującą i wydatną. Na wierzch zarzucano przy wyjściu dopiero płaszcz *palla*, zgrabnie, fałdzisto przez lewe ramię tak, iż jego część pięknie przeciągnięta pod prawą piersią, zakrywała całe prawie ramię i rękę, druga zaś część przerzucona przez lewe ramię, owieszała się na lewéj ręce

(1) Mart. 2, 29, 8, 33. Plin. 29, 6, 30, 11.

zakrywając ją całą, albo przynajmniéj w części. Płaszcz ten dodawał wiele wdzięku, jeżeli był pięknie zarzucony i fałdował się dobrze. Rzymianki pamiętając o tém dokładały wszelkiego starania, aby jak najwięcéj wyzyskać piękności stroju tego.

Suknie różnokolorowe, pstre nosiły kobiety tylko wątpliwego charakteru, ale prawie każda matrona miała ich znaczny zapas w garderobie swojéj, gdyż używała ich w wycieczkach swoich tajemnych, kiedy więc właściwy swój charakter i znaczenie ukryć chciała (1).

Ubranie nóg Rzymianek było dwojakie: to jest używały albo trzewików wysokich, niekiedy sięgających aż do ikry; robionych z delikatnéj skórki białéj, albo téż sandałów, które zakrywały właściwie tylko podeszwy, a przymocowywano je rzemieniami lub wstążkami sztucznie opasywanemi. Trzewików białych używali i mężczyzni, mianowicie eleganci; kobiety zaś, matrony zwyczajnie występując strojno, niekiedy zdobnych złotem.

Oprócz sandałów zwanych *soleae*, używanych przez matrony, znane są jeszcze sandały, będące podeszwami, jakoby rodzajem pantofli, które z pewną elegancyą sznurowane nosiły kobiety dwuznacznego charakteru, jako ponętniejsze.

Że do uzupełnienia stroju potrzeba było dla Rzymianki świecideł, klejnotów i kosztowności, jest rzeczą naturalną, bo świecidła nęcą i dzikich; a im więcéj w człowieku próżności, tém więcéj potrzeba mu blasku; im mniéj w nim wartości wewnętrznéj, rzeczywistéj, tém więcéj stara się wartość swoją podnieść przez zawieszanie na siebie kosztowności i błyskotek. Perły były szczególniéj pożądaną ozdobą; zawieszano je na szyi w trzech sznurach, z których jeden obejmował szyję ściśle, drugie dwa były opuszczone. Pierwszy sznur stanowiły perły prawdziwe, wybrane, wielkie; na drugich zaś dwóch znajdowały się między niemi często szmaragdy albo berylle. W uszach miewały Rzymianki kolczyki także zwyczajnie z pereł; i to jak mówi Seneka, po kilka pereł w jednym było kolczyku; oto słowa jego (2): „widzę perły, nie po jednéj w każdém uchu, już bowiem uszy są przyzwy-

(1) Ovid. Ars. am. 3, 179—191.
(2) De benef. 7, 9

czajone do dźwigania ciężaru; łączą jednę z drugą, a nad dwie wkładają inne. Nie dosyć szał niewieści podbił mężów, jeżeli w uszach, w każdém nie zawisło po dwie albo trzy ojcowizny" (1).

Na rękach nosiły naramiennice i bransolety złote, kamieniami drogiemi wysadzane, a na palcach szesnaście kosztownych pierścieni, na każdym po dwa, z wyjątkiem średniego, których główną wartość stanowiły zwykle prześliczne kamee i gemmy. Uwagi godném jest to, iż zbytek Rzymianek i Rzymian dochodził tak daleko, że pierścionki cięższe lub lekciejsze przeznaczone były na każdą porę roku.

Klejnoty te więc i świecidła dochodziły do ogromnéj często wartości; na jednéj pani rzymskiéj wartość ich niekiedy była nawet w części i illuzoryczną dlatego, iż zwykły się były ubiegać mianowicie o takie, które kiedyś błyszczały na ciele jakiéj zagranicznéj słynnéj królowéj i księżnéj i przepłacały je bardzo, chociaż pewności nawet nie miały, czy były kiedy własnością, jakiéj słynnéj piękności. Mianowicie pożądanemi były klejnoty, które były własnością Kleopatry.

Takimto był w ogóle strój Rzymianek, wspaniały, bogaty, przepyszny, ale często nęcący i bezwstydny, jak to pokazuje się ze słów Seneki przytoczonych wyżéj, z któremi się zwraca do matki swojéj i ze słów następujących (1): „Widziałem suknie jedwabne, jeżeli sukniami nazwać można, w których nie masz niczego, coby zasłaniało ciało i wstyd; które wziąwszy kobieta, nie bardzo prawdziwie przysięgać będzie, że nie jest nagą."

Ale dla kogo stroiły się tak bardzo? Dla kogoż stroją się kobiety zwykle i wszędzie? Dla kogoż stroi się żona i matka? Czy dla męża i dla dzieci? Pewnie nie! Mąż żony strojnéj nie potrzebuje, jeżeli jest rozsądny; a dzieci jeszcze mniéj potrzebują strojnéj matki. Kobieta myśląca o strojach, nie może być ani żoną dobrą ani matką; bo stroje są dowodem próżności, z próżności wyradza się chęć podobania się, a z chęci podobania się z łatwością wypływa grzech przy lada sposobności. Gdzie się matka strojami zajmuje,

(1) De ben. 7, 9.

tam dzieci są w zaniedbaniu, tam z pewnością węzeł rodzinny luźnym jest, tam nie ma miłości prawdziwéj, nie ma poczucia obowiązków, nie ma szczęścia domowego; ale jest coś, co burzy spokój familli, co sieje niedowierzanie, co jest źródłem zgorszenia. Może panna potrzebuje strojów? Pewnie nie! Ma ona bowiem jeden strój, dany jéj przez Boga samego: skromność i niewinność. Ten strój nie potrzebuje zewnętrznego przystroju: przeciwnie, on mu ubliża, on go niszczy.

Więc i Rzymianki nie stroiły się dla mężów swoich i dla dzieci; one się chciały podobać, chciały się pokazać, błyszczeć i wabić do siebie tych, którychby z pogardą odpychać powinny, a miejscami, dla których żyły, były widowiska publiczne i biesiady.

Widowiska publiczne, o których tu słów kilka pomówić nam wypada, wywierały z pewnością bardzo zgubny wpływ na usposobienie i moralność kobiety rzymskiéj.

Najstarsze widowiska w Rzymie były cyrkowe. Pochodzą one z tego czasu, w którym Rzymianie wojną zajęci w polu i w obozie bronią się bawili, a w domu i w pokoju szukali zabawy w widowiskach, które wojennemu ich usposobieniu odpowiadały, i były podobne do obozowych zajęć. Późniéj, kiedy zabłysło u nich światło nauki i kiedy zaczęli grecką poznawać sztukę, przyjęli widowiska sceniczne, teatralne. Kiedy nareszcie rozmaite okoliczności zaczęły wyziębiać niezbyt wielki zasób uczucia w sercu narodu; kiedy miejsce dzielnego męztwa zajęły srogość okrutna i samolubstwo obrzydłe: wtenczas stały się im pożądanemi igrzyska gladyatorów i igrzyska krwawe w amfiteatrze.

Z początku były wszystkie widowiska w Rzymie częścią służby bożéj i jako takie były i skromniejsze, a działały na umysł i serce zbawiennie ku pożytkowi pojedyńczych ludzi i narodu całego; ale późniéj, kiedy charakter narodu zmienił się pod wpływem okoliczności, straciły i widowiska prawie zupełnie pierwotny swój charakter i stały się dla panów i cesarzy środkiem pozyskiwania sobie ludu i odciągania go od poważniejszych zajęć, ludowi zaś popsutemu i nawykłemu do lenistwa, stały się potrzebnemi do spędzania czasu w słodkiéj gnusności i do objawiania życzeń swoich. A do jakiego stopnia doszedł lud w roznamiętnieniu dla widowisk, prawie

pojąć trudno i wierzyć. Wziąwszy jednakże na uwagę, że począwszy od Cezara wszyscy następujący panowie Rzymu, z wyjątkiem może jednego Tyberiusza, uważali zajmowanie ludu widowiskami za jeden z najważniejszych środków utrzymania się przy władzy, i że dlatego urządzali je z największą wystawnością i przepychem, nie szczędząc ogromnych wydatków: pojąć można, że namiętność wrodzona, przy ogromnym napływie ludności najrozmaitszéj, gnuśnéj i bezczynnéj, podsycana przez panujących i możnych, mogła do zastraszającéj dojść gwałtowności. I urosła w rzeczy samćj, bo jak w dawniejszych czasach wolny człowiek nie mógł nawet na scenie wystąpić bez ściągnięcia na siebie infamii, tak w czasach cesarskich, występowali na scenie i w cyrku nietylko mężczyzni z najznakomitszych rodzin, ale nawet i kobiety i niektórzy panujący.

Ogromna namiętność, już jako taka pogardy godna, była tém straszniejszą jeszcze, iż z niéj wypływała wielka dla narodu szkoda; nietylko bowiem odciągała ona ogół narodu od zajęć poważniejszych i pożytecznych, ale nadto demoralizowała go i upodlała. Cała dzikość i okropny upadek moralności pokazuje się w strasznych objawach w cyrku, niejako skoncentrowanego politycznego życia narodu. Stronnictwa polityczne przyczepiając się do partyj cyrkowych występowały tam z sobą do walki, a przekupstwo, podarki i pieniądze rozrzucane pomiędzy lud, mnożyły liczbę ich stronników i czyniły je silniejszemi. Dla całéj ludności Rzymu, tak dla obywateli, jak dla niewolników, tak dla mężczyzn, jak dla kobiét zarówno ważném było pytanie, który z kolorów zwycięży: zielony, czy niebieski, bo z nim łączyły się nadzieje lub obawy. Dla niéj był cyrk, jak powiada Ammian więcéj niż świątynią, był celem jéj życia i pragnienia, przedmiotem myśli i rozmowy: cyrk wszystkie uczucia zagłuszał.

Lecz jeżeli ludowi zdemoralizowanemu przekupstwem, osłabionemu lenistwem, rozbestwionemu widokiem krwi ludzkiéj, podobać się mogły widowiska cyrku i amfiteatra; jeżeli tam roznamiętnienie przez udział dla walczących z sobą, lud do szaleństwa doprowadzał, a ta zaciętość, męztwo i wściekłość mordujących się nawzajem i mordowanych, i krew niewinnie płynąca rozbudzała szał w widzach jak największy, równający ich często z zwierzętami na arenie

walczącemi, i zaprawiała do okrutnego postępowania z podwładnemi, mianowicie z niewolnikami i z niewolnicami: to scena stała się dla niego jakoby szkołą wyrafinowanego demoralizowania, jakby miejscem, w którém się zbierali widzowie na to tylko, aby dogodzić niepohamowanéj jakiéjś żądzy lubieżnéj i zabawić oko widokiem rzeczy, które w duszy wyniszczyć muszą wszelkie uczucie piękniejsze, wstydliwość i uczciwość.

Dramat bowiem i teatr, który w czasach dawniejszych, jak wszędzie, gdzie uczciwy panuje obyczaj, a uczucie estetyczne niezaniedbane, był i w Rzymie szkołą prawdziwą dla mieszkańców miasta. Ale kiedy pomimo wszelkich usiłowań ludzi światłych, większa część ludności Rzymu przy przeciwnym, a silnym prądzie zepsucia, uważała go tylko na równi z widowiskami dawanemi mu w cyrku i w amfiteatrze, nie utrzymał się długo na wysokości sobie właściwéj, i już za czasów panowania Oktawiana Augusta bardzo poszedł w zaniedbanie. Poeci nie mając zachęty pisali tragedye i komedye tylko już właściwie do czytania dla małéj liczby ludzi światlejszych; na teatrze zaś przedstawiano tylko atellany, mimy i pantomimy, które na to tylko zdaje się były układane i przedstawiane na scenie, aby drażniły jak najwięcéj grubą zmysłowość publiczności.

Jeżeli o Rzymianach w ogóle powiedzieć można: że namiętność w nich do widowisk tak była ogromna, iż ją słusznie uważać można za jedną z główniejszych przyczyn upadku państwa rzymskiego, i że ją, jak mówi Tacyt (1), Rzymianie z sobą już na świat przynosili, to pierwsze pod tym względem miejsce należy się Rzymiankom, już dlatego, iż w nich nie żądza tylko widzenia tego, co się na scenie dziać miało, więc nie sama tylko ciekawość rozbudzała namiętność, ale nadto jeszcze i przedewszystkiem chęć pokazania się i sposobność, która się tam nastręczała do widzenia się z osobami różnemi i do zawiązywania stosunków. To też—mówi Owidyusz—spieszyły kobiety na widowiska jak mrówki, sznurami całemi, strojne; a jeżeli która, jak mówi Cypryan, poszła na nie jako matrona może jeszcze wstydliwa, już ona z pewnością bez wstydu powróci.

(1) Dial. de or. 29.

Dlatego, że cesarze zwyczajnie bywali na widowiskach stało się zwyczajem, iż obywatele rzymscy chodzilii na nie w togach i w świątecznych sukniach, a urzędnicy w sukniach urzędowych. Naturalną więc rzeczą, że i Rzymianki starały się wystąpić jak najświetniéj i nie zaniedbały niczego, coby wdzięki ich podnieść i w oczach tych, których względów szukały, piękniejszémi uczynić mogło. Lubo jednakże twierdzić możemy, że żony senatorów i rycerzy rzymskich, którzy łupili kraje ogromne i najbogatsze, którzy upokarzali i obdzierali królów, którzy tysiące niewolników i niewolnic trzymali w swoich domach, łatwiéj miéć mogły wszystkie zbytki choćby najdroższe co dzień, niż dziś może i największa pani choćby raz w życiu, to jednakże i to prawda, że nie wszystkie mogły miéć wszystko. Ale ponieważ tak samo w Rzymie jak u nas i wszędzie, mały stara się zawsze wyrównać większemu, dogadzając namiętności, zaradzano złemu przez to, iż jak Juwenal (1) powiada, najmowały sobie panie całe drużyny, lektyki, wezgłowia, służebne i garderobiane. Tego wszystkiego bowiem potrzeba było kobiecie występującéj na wielkim świecie Rzymu. Ciągną więc owe matrony, wedle słów Owidiusza jak mrówki, ale nie pieszo, toby ubliżało godności takiéj pani; tylko wtenczas, kiedy przebrana ukrywa godność swoją pod sukniami pstremi, kiedy idzie do subury lub stawić się gdzie na słowo, wtenczas tylko zniża się do przechadzki pieszéj; ale za dnia, kiedy występuje w całym blasku strojnego swojego majestatu, ukazuje się w lektyce, wozy bowiem i powozy zabronione były z wyjątkiem pochodów tryumfalnych i processyj. Lektyki zaś były to sofy drewniane wyściełane, wygodne, lekkie, często bardzo zdobne, o długich drągach przymocowanych przy nogach, które jednakże i odejmować pewnie było można. Wątpliwość, czy były odkryte, czy zasłonięte usunąć można przez to pewnie, że przyjmiemy, iż urządzone były tak, ażeby wedle potrzeby można je było zakryć lub odsłonić, że więc był przy nich jakiś rodzaj rolosów albo baldachimu ruchomego. Panie rzymskie pokazując się na ulicy używały z pewnością odsłoniętych lektyk, na których z gracyą leżąc, oparte na wezgłowiu starały się nęcić przechodzących i budzić

(1) 7, 143.

dla siebie podziw. Tak bowiem tylko rozumieć można słowa Apulejusza (1), który mówiąc o matronie rzymskiéj powiada: „ośmiu ją niosło; widzieliście z pewnością którzyście tam byli, jak bezczelnie oglądała się za młodzieżą, jak niepomiarkowanie starała się pokazać: któż tu nie pozna nauki matki?” Tę samą myśl wypowiada Seneka (2). Do noszenia lektyk używano ludzi silnych, sześciu lub ośmiu, zwykle Kapadoków, przystojnych, ubranych w liberye czerwone wełniane, albo téż koloru, do jakiego pani ich w cyrku należała. Lektykę otaczają gromadnie niewolnicy i niewolnice; od słońca zasłoniona jest pani ich parasolem, który zwykle niesie młody, gładki chłopiec, niewolnik, a chłód wieje na nią wspaniałym wachlarzem złożonym z piór z najpiękniejszych ptaków w bogatą oprawnym rękojeść, chłopiec, albo téż i gach jéj: przed lektyką biegli zwyczajnie strojni laufrowie.

Tak więc dążą na widowiska rzymskie matrony w całéj swéj okazałości i majestacie. Zgromadzenie mnóstwa tych pań tak wspaniałych i tak strojnych w cyrku, amfiteatrze lub teatrze rzymskim, było z pewnością majestatyczne i urocze. Kto szukał zadowolenia dla oka, ten nie mógł znaleźć nic piękniejszego i wspanialszego zarazem nad te tysiące kwiatów połyskujących życiem, chociaż pożyczaném, błyszczących złotem i purpurą okrywającą serca zgniłe, zepsute. Znajdziemy tam zebranych tysiące kobiét z twarzy i przeznaczenia, ale żadna z nich prawie nie jest ani matką, ani żoną, ani obywatelką dobrą. Nie pytaj ich o dzieci, bo o nich nie wie: one się chowają pod okiem najemnych pedagogów i niewolnic, którzy wtenczas obowiązek swój spełnią, jeżeli w serca powierzonych sobie dzieci zaszczepią wcześnie jaknajwięcéj zgnilizny i uczynią je wcześnie godnemi nikczemnych ich rodziców; nie pytaj ich o mężów, bo i oni tak samo podli, nie pytają się o nie; nie pytaj wreszcie o kraj, bo one dawno już zapomniały o tém, jakich Rzymian i Rzymianek są potomkami.

Jak zgubnémi mogły być widowiska publiczne tak dla ogółu mieszkańców Rzymu, jak szczególniéj i dla kobiet; pojąć można z tego, co o nich mówiliśmy, a potwierdzenie

(1) Apologia 525. (2) De Benf. l. 9.

znajdujemy w słowach wielu pisarzów starożytnych, np. Owidiusza, który je poleca, jako szczególniéj ułatwiające zawiązywanie stosunków i robienie znajomości; Propercyusza, który cieszy się z tego iż Cyntia zdecydowała się pojechać na wieś, gdyż tam nie będzie miała widowisk ją psujących; Cypriana, który utrzymuje, że żadna z nich nie wraca niewinną. Ale złe widowisk nie w nich tylko samych leżało. Wielka część kobiét nie chodziła na nie dlatego, aby zobaczyć coś nowego w arenie lub na scenie, ale aby zobaczyć ukochanego gladiatora, aktora albo mima. Jeżeli więc dzisiaj zdarza się jeszcze niekiedy, iż piękna baletniczka odbiera hołdy od młodzieży, albo czasem i nie od młodzieży zentuzyazmowanéj pięknością jéj ciała i gry; jeżeli nie jeden szczęśliwym się czuje na chwilę, że chociaż kawałek rękawiczki dostanie od ubóstwionéj, nie jest to nic nowego; Rzymianki doskonale potrafiły uczcić cnoty swoich bohatérów z areny lub ze sceny; starały się one wynagradzać ich za przyjemność, którą im sprawiali grą swoją i postawą; opłacały drogo instrumenta, na których grali, narzędzia, których używali i pieściły się niemi, całowały nawet przechowując jako drogą pamiątkę, jeżeli wierzyć Juwenalowi (1). Najwięcéj popłacali jednakże u nich pantomimy, gdyż byli to i przystojni i zgrabni ludzie i potrafili najbardziéj rozbudzać namiętną fantazyą widzów przez zręczne przedstawianie nęcących scen zwyczajnie mytologicznych. Dio opowiada nawet iż w r. 22 i 23 po Chr. wygnano pantomimów z Włoch z powodu rozdwojeń, które wywoływali w publiczności i ponieważ kobiety bezcześcili. Kilku z pantomimów znamy dziś jeszcze, jako szczęśliwych przez protekcyą wysoko postawionych pań w Rzymie. Taki Mnester, taki Parys cieszyli się przyjaźnią nawet kobiét na tronie siedzących i potrafili w ich mężach pobudzić zazdrość, która się stała śmierci ich przyczyną; ale w miejscu, gdzie z rozkazu Domicyana popłynęła krew zażganego Parysa, rzucano wnet wieńce, rozlewano pachnidła, a kobiety nie były tu nieczynnémi.

Tacyt mówiąc o Niemkach powiada (2), że żyją w wstydliwości nie popsute ani ponętami widowisk, ani drażnieniem biesiad; uważa więc obok widowisk biesiady za główną przy-

(1) 6, 78—113, 379—397. (2) Germ. 19.

czynę zepsucia obyczajów i moralności. I były nią biesiady w Rzymie, nie dla zbytku ogromnego w zastawianych na stół wyszukanych pokarmach i napojach dostarczanych pańskim łakotnisiom przez morza, rzeki, góry i lasy świata całego, budzących podziw w gościach, a kosztujących gospodarza tysiące, któreby dla uboższych wystarczyły na utrzymanie życia przez długie lata; ale dla muzyki, tańców i scenicznych przedstawień będących przyczynkiem tylko i dodatkiem właściwych biesiad, chociaż nęciły one więcéj ich uczestników, niż najdroższe potrawy i napoje. Rzymianom potrzeba było zawsze rzeczy takich, któreby draźniły roznamiętnioną ich duszę. Dawniéj szukali ich w wojnie, w sprawach politycznych, późniéj w widowiskach wszelkiego rodzaju. Ale ponieważ publicznych widowisk nie mieli zawsze, zastępowali je sobie widowiskami przy biesiadach, które były dla nich tém ponętniejsze i tém więcéj im dogadzały, iż do nich należeli tylko zaufani i wtajemniczeni, którzy więc nawzajem dla siebie nie potrzebowali żadnych przestrzegać względów. Tancerki z Azyi sprowadzone, namiętne śpiewaczki, pantomimy były biesiad główną ozdobą; a jaką była ich sztuka dosyć powiedzieć, że wedle podań starożytnych autorów, najzuchwalsi pantomimowie publiczni mogli się jeszcze uczyć od nich zuchwałości w bezwstydzie.

I takichto biesiad, o których Kwintylian (1), mówiąc o zgorszeniu, jakie rodzice dzieciom swoim w pierwszéj zaraz dają młodości powiada: „widzą one towarzystwa nasze; każda biesiada dźwięczy bezwstydnemi śpiewami, a przedstawiają się na nich rzeczy, o których wstyd i mówić” takich więc biesiad uczestniczkami były kobiety; były uczestniczkami wszystkich występków mężczyzn z jedyném ograniczeniem, jakie im narzucała słabość ich natury; ale i ta zapora bezsilna zdaje się, że więcéj namiętności ich draźniła, niż wstrzymywała. Tu, gdzie swoboda, z jaką się bawiono, znosiła wszelką różnicę płci i prawa wstydliwości, już matrona rzymska nie siedziała przy stole, jak w dawnych, lepszych czasach, lecz leżała wygodnie, tak samo jak mężczyzni, i pomiędzy nimi na sofie; tu ona zapomniawszy o tém, czém być powinna, jako kobieta dla domu swego, dla dzieci

(1) I. 2, 8.

i kraju, z większą może jeszcze od mężczyzn namiętnością szukała zadowolenia w ponętach biesiady; tu ona nieustępując w niczem mężczyznom, piła z nimi noce całe, bawiła się i hulała. Aż obrzydzenie bierze myśleć o tém, że płeć ta piękna, mająca sobie przez Boga danych tyle zalet, któreby ją szczęśliwą uczynić mogły i powinny w zakresie jéj skromnych, ale szanownych nad wszystko obowiązków, upadła aż do tego stopnia w zapomnieniu. Ale nie mniejsze z pewnością obrzydzenie bierze każdego na myśl, że mężczyzni mogli dopuścić kobietę do takiego upadku. Oni to głównie winę na sobie mają, że sami wyuzdani bez cnoty w sercu, bez poczucia obowiązków obywatelskich, wylani na zbytki i rozpustę, bez męzkiéj duszy, przestali być opiekunami, doradcami i przyjaciołmi tych, które potrzebują podpory i prowadzącéj ich ręki, a dają za to w zamian miłość swoję, uczucie i serce, wlewają w dusze mężczyzn wiarę i nadzieję. Mężczyzni byli kobietom wszędzie przykładem i przewodnikami w złem; wmówiwszy w siebie, że wolno im więcéj niż kobietom, wyłamywali się i wyłamali ze wszystkich karbów i praw, których społeczeństwo dobre przestrzegać zawsze powinno, a nie pamiętali o tém, że komu daném jest być przewodnikiem, opiekunem, ojcem, doradcą, temu wolno czynić tylko to, co jest uczciwe, co honorowe, co rzeczywiście dobrym przykładem być może.

Po tém, co dotąd mówiliśmy o kobietach w Rzymie, zbyteczną już jest rzeczą dodawać, że i pod każdym innym względem przekraczały w emancypacyi wszystkie granice przyzwoitości; gdyż najgorzéj tylko krok uczynić w złem, a droga daléj bardzo już szeroka i wygodna.

Wyżéj już wspomnieliśmy kilka kobiet będących jakoby wzorami kobiét rzymskich, z których o ogóle sąd wydać mogliśmy. Nie trudno byłoby wymienić tu jeszcze cały i długi szereg Rzymianek odznaczających się błędami, o których mówiliśmy; ale ponieważ takich np. jaką była Fulwia, o któréj powiada Wellejusz, że oprócz ciała, nie miała nic w sobie kobiecego; jaką była osławiona Klodia, o któréj Cycero w mowie za Celiuszem prawi, jak o najpodlejszéj z kobiét, lubo obie były żonami ludzi najwyższe w państwie zajmujących stanowiska i urzędy; jakiemi były dwie Julie: córka i wnuczka Oktawiana, które on sam, jak Swetoniusz

powiada, dla zbrodni i podłości wszelkiego rodzaju widział się zmuszonym wysłać na wygnanie wieczne; jaką była Messalina Klodiusza żona, która się nie wahała, kiedy jéj tego było potrzeba, przyjąwszy nazwisko najsłynniejszéj w Rzymie hetery Lyzyki gonić za rozkoszami, ponieważ więc takich kobiét było mnóstwo, a wymienione i wspominane przez autorów starożytnych są przed innemi o tyle tylko może nieszczęśliwsze, iż się stały historycznemi przez wybitniejsze swoje stanowisko: dla tego wolę o nich nie mówić.

Wzorów cnoty pomiędzy Rzymiankami nie wiele podają; wspomnieliśmy już kilka jako znanych szczególniéj z postępowania wyróżniającego je w obec życia i obyczajów ogólnych. Nie przypuszczamy, aby w rzeczy saméj kobiét uczciwych, zacnych i szacownych nie było więcéj, jak te, których nazwiska i pamięć się przechowały. W każdym jednak razie w wyższych stanach nie było ich wiele, kiedy autorowie starożytni uważali za potrzebne tę lub owę przytoczyć jako wzór cnoty takiéj, jaka każdéj ozdobą byćby powinna. Bo jeżeli Waleriusz Maximus (1) chwali Thurią za to, że z niebezpieczeństwem życia ocaliła prześladowanego męża swego Lukreciusza, a Sulpicią, że towarzyszyła Lentulowi, mimo zakazu swéj matki na wygnanie do Sycylii; albo jeżeli z Luciuszem Weterem prześladowanym, bohaterską umierają śmiercią jego świekra Sexcia i córka Pollucia, jak opowiada Tacyt (2), kiedy nie mogły swobodnego wybłagać dlań życia; jeżeli Arria mężowi swojemu niemającemu odwagi, aby umrzeć z honorem, sztylet podaje, którym się przebiła mówiąc: „masz Petusie: to nie boli" (3)! to są to z pewnością przykłady piękne kobiét zacnych, godne zaznaczenia, ale zawsze tylko takie, które błyszczą szczególniéj dlatego, iż są jakoby pojedyńczemi gwiazdkami na zachmurzoném niebie.

(1) 6, 7, 2. (2) 16, 10. (3) Plin. epp. 3, 16.

# WYPRAWY PODBIEGUNOWE.

(*Charles Martins — Octave Pavy*).

---

Wstęp. — Ogólne uwagi nad biegunem. — Drogi przez biegun prowadzące. — Dzieje wypraw. — Połów wielorybów. — Scoresby. — Phipps. — Parry. — Franklin. — Nowsze wyprawy: angielska, niemiecka, francuzka. — Osborn. — Petermann. — Lambert.

W dawnych czasach ocean śródziemny zakreślał granice znanego świata; poza jego wodami wszystko było niepewne, bajeczne, nieznane. Podboje Alexandra i Rzymian niemałą przysługę oddały geografii, a napady barbarzyńców i wędrówki narodów, dozwoliły odgadywać ogromne przestrzenie Azyi i Afryki. W średnich wiekach, śmiałe wyprawy Normandów, wojny Krzyżowe, oraz cudowne opowieści handlarzy z Pizy, Genui, Wenecyi i Montpellier, podtrzymywały tradycye o dziwnych i nieznanych ludach i krajach; aż nareszcie odkrycie Ameryki i podróż Magellan'a na około świata, wpłynęły stanowczo na zmianę owoczesnych pojęć, i dozwoliły ludziom mierzyć przestrzeń swego ziemskiego świata.

Od chwili jak Hiszpanie i Portugalczycy potrafili w Nowym-Świecie przepłynąć z jednego na drugi ocean, podróże i odkrycia mnożyły się nieustannie, a liczne wyprawy przedsiębrane różnémi czasy na około świata, dały poznać krańce lądów i niezliczone wyspy rozrzucone na oceanie Spokojnym. Jednak wnętrze Australii i Afryki całkiem jeszcze było nieznane, znaleźli się śmieli podróżnicy którzy odważyli się wtargnąć w te tajemnicze lądy, i wszyscy niemal przypłacili życiem ciekawe spostrzeżenia i opisy, z których Europa wielkie naukowe osiągnęła korzyści.

Dziś już cały prawie świat znany nam zupełnie, jednak dotąd nikt jeszcze nie zdołał dotrzeć do dwóch ważnych bardzo punktów, to jest do biegunów. Różnemi czasy, marynarze i podróżnicy, zwiedzili część powierzchni ziemi opisującą każdodziennie regularny obrót około swej osi; lecz nie dosięgli nigdy dwóch nieruchomych punktów, do których oś ta dochodzi, dwóch biegunów

gdzie dzień i noc dzielą się na dwie równe części roku, gdzie słońce opisuje przez sześć miesięcy równoległe koła na widnokręgu, aby ukryć się całkiem przez takiż sam przeciąg czasu, gdzie nakoniec schodzą się wszystkie południki, i gdzie godziny nie mierzą już czasu.

Podróżnik któryby dotarł aż do bieguna północnego, widziałby po nad swoją głową jaśniejącą konstellacyę Małej-niedźwiedzicy i Gwiazdę polarną, która im więcéj zbliżyć się do równika, tém mniéj wyniesioną się wydaje; pod biegunem zaś południowym, oczom jego przedstawiłaby się tylko próżna przestrzeń bez gwiazd jaśniejących, otoczona jedynie wielkiémi konstellacyami południowémi, jakiémi są okręt, krzyż, trójkąt, paw' i hydra. Ponieważ bieguny więcéj daleko zbliżone są do środka ziemi, niż jakikolwiek inny punkt powierzchni kuli, więc i siła ciężkości jest tam największą; kiedy przeciwnie siła odśrodkowa, wynik codziennego obrotu naszéj planety, zupełnie ustaje. Kula ziemska jest nabrzmiała pod równikiem, zatém każdy punkt tego równika jest odleglejszy od środka ziemi, niż jakibądź inny leżący poza linią równikową, i dlategoto ciężkość traci tu swoje działanie a przeciwnie siła odśrodkowa dosięga swego maximum. Skutkiem tych dwóch sił działających w przeciwnym kierunku, ciało ciężkie, spadające pod równikiem, przebiega w sześciu sekundach przestrzeń wynoszącą $175^m$ 997 millimetrów, pod biegunem zaś pod działaniem saméj tylko ciężkości, przebiega w tymże samym przeciągu czasu $176^m$ 613 millimetrów; zatém zachodzi różnica $0^m$ 616 millimetrów, odpowiadająca średnicy podbiegunowéj, porównanéj ze średnicą podrównikową, dochodzącą do 42,612 metrów. Wahania zegara, najzupełniéj potwierdzają te dane.

Pod równikiem zegar bijący sekundę, ma długość $0^m$ 991 millimetrów, ale w Spitzbergu, przekonano się, iż chcąc aby czas wahania odpowiadał sekundzie, trzeba było przydłużyć narzędzie o 5 millimetrów.

Teoretycznie więc wiemy jaką długość zegar musi mieć pod biegunem, ale doświadczenie bezpośrednie dotąd jeszcze dokonaném nie zostało. Na ziemi nawet nic nie zawiadomiłoby podróżnika, że doszedł do punktu tak ważną odgrywającego rolę w mechanice naszéj kuli ziemskiéj: punkt, ten może znajdować się na lądzie, wyspie lub morzu, jak bieguny magnetyczne, z których jeden mieści się na lądzie Ameryki Północnéj a drugi w pośród oceanu Południowego, a nic przecież nie zaznacza tych dwóch punktów, w których schodzą się przedłużone kierunki wszystkich bussoli wszechświata.

Toż samo i pod względem temperatury.

Linie równociepłe dowodzą swémi zagięciami, że na naszéj półkuli istnieją dwa *bieguny zimna*, to jest dwa punkta, na których temperatura średnia jest niższą niż gdziekolwiek: jeden z tych punktów mieści się w Ameryce Północnéj, drugi na północy Syberyi azyatyckiéj; ale nadzwyczaj ważném byłoby, gdyby można

stwierdzić, o ile klimat północnego astronomicznego bieguna ziemi jest mniéj ostry od klimatu dwóch biegunów zimna. Plana, jeden z najznakomitszych tegoczesnych geometrów, którym Włochy słusznie chlubić się mogą, dowodzi geometrycznie: że ciepło pochodzące od słońca, zmniejsza się stopniowo, począwszy od koła podbiegunowego (szerokość 66° ½) aż do bieguna astronomicznego, i śmiało ztąd wnioskuje, że morza obu biegunów przez większą część roku muszą być wolne od lodów. Rozkład ziem i mórz, kierunek wiatrów i prądów, zwykły mglisty lub pogodny stan nieba podbiegunowego zmieniają zapewne bardzo to prawo matematyczne, jest to więc zadanie nadzwyczaj zajmujące, którego bezpośredniego i stanowczego rozwiązania, domaga się fizyka kuli ziemskiéj.

Gdyby wyprawy przedsiębrane do bieguna północnego, zostały pomyślnym uwieńczone skutkiem, wtedy poznalibyśmy część kuli ziemskiéj zupełnie dotąd nieznaną, któréj powierzchnia równa się czterem-piątym częściom rozległości Europy. Nie wiadomo dotąd czy wybrzeża Grenlandyi dochodzą tylko do 76° stopnia szerokości, gdzie Sabine i Clavering dostali się w r. 1823, lub téż jak to utrzymuje geograf Petermann (1) przedłużają się daléj w kształcie długiego półwyspu lub archipelagu, ciągnącego się na zachód bieguna północnego aż pod cieśninę Beringa, któréj ostatniém ogniwem ma być wyspa Herald, odkryta przez Kelleta w roku 1849, i nazwana tak przez niego od nazwiska okrętu, którym płynął. Kellet i towarzysze jego widzieli *jeszcze* rozległy ląd najeżony ostrémi szczytami, wznoszącemi się pod same obłoki. Już w roku 1762, Rossyanin Andrejew, zaznaczył na tych wybrzeżach ziemię zwaną Tiligen, zamieszkaną przez ludność nadającą sobie nazwę Kraïhaï, a admirał Wrangel widział także wynioślejsze części téj ziemi, z wierzchołka przylądka syberyjskiego, Jakan. Twierdzenia Andrejewa nie znalazły wiary; jednak Clavering i Sabine napotkali Grenlandczyków zamieszkałych pod 74° 10′, a admirał Kane, podczas zimy od 1853—1854 r. miewał stosunki z Eskimosami zamieszkałymi w pobliżu zatoki Rensselaer pod 78°, 40′ w wiosce którą nazywali Etah. Byłżeby to już najdalszy zamieszkany kraniec północy? wolno wątpić, skoro Morton, towarzysz Kane'a, napotykał chatki zagrzebane pod lodem i otoczone kośćmi fok i wielorybów, jeszcze po za 80° szerokości.

Tak więc dotąd nie wiemy jak daleko sięgają krańce przestrzeni zamieszkanych przez ludzi na półkuli północnéj, i nie znamy zupełnie geografii fizycznéj, hydrografii, geologii, fauny i flory tych okolic; gdyby więc nawet nie zdołano dosięgnąć do samego bieguna, już samo zbadanie tych blizkich nam stref północnych, tak oddziaływających na klimatologią europejską, byłoby bardzo ważném i pożądaném. Nie dość na tém, trzeba jeszcze przeciwstawić tu powód stokroć ważniejszy, bo czysto moralny, to jest: wyćwiczenie

(1) Geografische Mittheilungen, 1865, księga 4.

woli i energii ludzkiéj, walczących z ślepemi siłami przyrody i starających się pokonać je i ujarzmić.

Jeśli spojrzymy na mappę świata, wykonaną według rzutu Mercator'a, lub lepiéj jeszcze na mappę okolic północnych, w których biegun zajmuje środek, widzimy, że jest on otoczony dwoma lądami Azyi i Ameryki, rozdzielonych cieśniną Beringa. Na całym lądzie azyatyckim, nie ma innéj drogi kommunikacyjnéj między oceanem Lodowatym a morzem Spokojnem. Przeciwnie znowu Ameryka Północna jest poprzerzynana mnóstwem cieśnin, kanałów i odnóg morskich, otaczających wielkie wyspy lub rozległe przylądki; przez te cieśniny i kanały morze Podbiegunowe łączy się z zatokami Hudson i Bafin, łączącemi się oceanem Atlantyckim wprost wybrzeży Labrador. Lecz nie jest to jedyna kommunikacya: między Ameryką i Europą, to jest między wschodniemi wybrzeżami Grenlandyi i Norwegii, istnieje wielka przerwa, przez którą morze Północne łączy się swobodnie z Atlantykiem. Przerwa ta dosięga północnych krańców lądu europejskiego. Archipelag Spitzbergu, leżący w pośrodku tego szerokiego kanału, nie jest przeszkodą, ale punktem wytchnienia, przyrodzoną stacyą na drodze do bieguna. Zachodnie wybrzeża głównéj wyspy, poprzerzynane przez głębokie i rozgałęzione fiordy, są oblane wodami *golfstreamu*, t. j. prądami wody ciepłéj, które wychodząc z zatoki Mexykańskiéj, ciągną się wzdłuż zachodnich wybrzeży Irlandyi i wschodnich wybrzeży Islandyi, oblewają Shetlands i Feroe, dosięgają Norwegii, Laponii i giną w morzu Białem. Ta rzeka wody ciepłéj łagodzi zimę całéj Europy zachodniéj, od północy Hiszpanii aż do Spitzbergu; daléj, dzięki jéj, lody pływające, puszczone na ocean Północny z lodowników Spitzbergu i Grenlandyi, roztapiają się zanim dosięgną południa Islandyi, ku 63° stopniowi szerokości, kiedy legiony lodów ruchomych, wypływających z zatok Hudson i Baffin, przez cieśninę Dawis, wpływają w ocean Atlantycki aż pod 40 stopniem, to jest na szerokości Bostonu i Madrytu.

Od bardzo dawnych czasów okręty angielskie i holenderskie żeglowały ku morzu Lodowatemu; z przychylnym wiatrem, można było w niecały miesiąc, z portów Anglii lub Hollandyi, dopłynąć krańców południowych Spitzberga. Powodem pierwszych wypraw był interes handlowy, to jest połów wielorybów. Kiedyś potworne te olbrzymy znajdowały się we wszystkich morzach Europy, i od X do XIII wieku, rybacy baskijscy, bretońscy, normandzcy, flamandscy, łowili je snadnie przy własnych wybrzeżach; ale ścigane i łowione tak bezustannie, wieloryby stawały się coraz rzadsze, a nakoniec przeniosły się ku północy. Baskowie udawali się ich śladem i już w XVI wieku dobijali do wybrzeży Grenlandyi, Islandyi i Nowéj-Ziemi. Islandczycy postrzegłszy że na ich wybrzeżach powstała nowa gałąź przemysłu, wkrótce połączyli się z Baskami, i przy schyłku XVI wieku, 50 do 60 okrętów baskijskich i islandskich, zajmowało się połowem wielorybów na wybrzeżach Islandyi. Anglicy stanęli do współzawodnictwa w r. 1594. W r. 1607, Hudson

dotarł do Spitzbergu, odkrytego już przed 11 laty przez Hollendrów, i posunął się ku północy aż do 80° 23'.

W r. 1610 kompania utworzona w celu odkrywania nieznanych okolic, wyprawiła Jonasa Poole; ten posunął się tylko do 70° ½, ale napotykał w téj stronie tak wielką liczbę wielorybów, iż skłonił do wysłania tam w celu połowu dwa okręty angielskie. Wyprawa nie bardzo się powiodła; jednakowoż w następnym roku wpłynęło na te wody pięć okrętów: dwa angielskie, dwa hollenderskie i jeden baskijski, wszystkie przybyły za połowem wielorybów. Niezadługo Anglicy wypędzili Hollendrów, utrzymując, że oni tylko mają prawo połowu na tych wodach. W r. 1613 kompania moskiewsko-angielska otrzymała od króla przywilej stwierdzający to mniemane prawo, i wyprawiła 7 okrętów uzbrojonych wojennie, które ścigały wszystkie statki francuzkie i hollenderskie przybywające za połowem wielorybów; jednak mimo to, w następnym roku, z portu Amsterdamu odpłynęło 16 handlarzy wielorybów pod opieką czterech fregat, i ci spokojnie zajmowali się połowem.

Spory i gwałty obustronne trwały do r. 1618, w którym rządy interesowane, za wspólną ugodą uznały wolność połowu w Spitzbergu i podzieliły się zatokami. Dzięki téj wolności przedsiewzięcia te handlowe wywołały liczne współzawodnictwo: z rokiem 1642 ustał monopol kompanii hollenderskiéj, a od 1660—do 1670 przeszło 400 —500 okrętów handlowych hollenderskich i hamburgskich zwiedziło te brzegi, kiedy Anglicy wśród których istniał ciągle monopol, ani jednego nie wyprawili statku.

Ale wszystkie te wyprawy złożone tylko z rybaków i handlarzy, mało bardzo dostarczyły objaśnień o oceanie Lodowatym, Spitzbergu i morzu Polarném; jeden tylko wielorybnik hamburgski Fryderyk Martens, który w r. 1671 dopłynął aż pod 81°, ogłosił za powrotem sprawozdanie ze swój podróży i pierwszy znany opis Spitzberga, jego lodników, produktów przyrodzonych, oraz nadzwyczaj zajmujących i prawdziwych szczegółów o obyczajach wielorybów i innych tego rodzaju potworów, napotykanych wówczas na wybrzeżach Spitzberga.

W końcu XVIIgo wieku połów wielorybów wielkie bardzo zapewniał korzyści; dość powiedziéć, że w r. 1697, flota złożona ze 190 okrętów, z których 121 hollenderskich, 54 hamburgskich, 15 bremeńskich, dowiozło 1,886 wielorybów. Corocznie, jakby za dotknięciem czarnoksięzkiéj laski, w zatoce Smeerenberg, około wyspy Amsterdam, na północ Spitzbergu, powstawała czasowa osada, uczęszczana corocznie przeszło przez 18,000 majtków, a składająca się głównie ze sklepów kupieckich, piekarzy, rzeźników, i zakładów do topienia tłuszczu wielorybiego. Czasowe te kolonie tak wielkiém cieszyły się powodzeniem, iż je porównywano z koloniami Batawii.

W pierwszéj połowie XVIIIgo wieku, już połów wielorybów w tych stronach zaczął chylić się do upadku. Obsaczane nie-

ustannie przez prawdziwe floty, nieszkodliwe te stworzenia, które bardzo wolno się rozmnażają, szukały schronienia pod biegunem, w wolnych przestrzeniach morza, podobnych do wielkich jezior otoczonych lodem. Holendrzy i tam nie dali im spokoju; przy pomyślnym wietrze, rozpuściwszy wszystkie żagle, przodem swych okrętów przerzynali nowo powstające lody, wpływali w wolne przestrzenie i tam zacięcie ścigali swą zdobycz, czekając potém spokojnie przyjaznéj do powrotu pory. Tradycye podają, że niektórzy z tych wielorybników dopływali bardzo daleko, a jeden nawet miał przepłynąć koło bieguna wracając do kraju—ale można uważać to za bajeczne legendy.

Jednym z najśmielszych, z najdzielniejszych rybaków marynarzy był William Scoresby, syn kapitana trudniącego się połowem wielorybów, który odprawił aż siedmnaście podróży do Spitzbergu. Było to w początkach XIX wieku. Pierwsze pięć wypraw odbył w zbyt młodym wieku, nie mógł więc jeszcze zastanawiać się i robić spostrzeżeń, ale ostatnie dwanaście, odbyte między 1807 i 1818 r. dostarczyły mu materyału do wybornego dzieła o morzach północnych, które wydał w 1820 r.

Scoresby zajmujący się wyłącznie połowem wielorybów, nie posuwał się zazwyczaj po za 79° szerokości; jednakże w 1806 r. zapuścił się za nimi bardzo daleko ku północy, i d. 24 maja znajdował się między 81° 30′ szerokości i 16° długości, na północy Spitzbergu. Lody rozciągały się ku wschodo-północo-wschodowi; między tym kierunkiem a południo-wschodem, morze było zupełnie wolne na przestrzeni 30 mil (55 kilometrów) i nie było nigdzie ziemi na odległość 100 mil. Nie wyjeżdżając w celu nowych odkryć, Scoresby nie probował dostać się do bieguna północnego, ale nikt nie badał rozważniéj i nie opisał dokładniéj fenomenów mórz północnych, i po dziś dzień jest on najlepszym przewodnikiem do badań naukowych nad morzem Lodowatém, najpewniejszym drogo-wskazem dla żeglarza zwiedzającego okolice Spitzbergu i Grenlandyi.

Widzimy więc, że choć nie przedsiębrano wyłącznych wypraw do bieguna, jednak w ubiegłym wieku ocean Lodowaty był w lecie tak prawie często nawiedzany, jak Atlantyk na wybrzeżach Europy. Pierwsze bezpośrednie pokuszenia dopłynięcia do bieguna północnego, sięgają 1607 r., wtedy bowiem znakomici przemysłowcy londyńscy, wyprawili Henryka Hudson, aby się przekonał czy nie możnaby dostać się prosto z Chin do Japonii, przepływając około bieguna.

Hudson tedy wypłynął z Grawesend d. 1 maja, na małym okręcie zwanym *Hopevell*, dopłynął do Spitzbergu 27 t. m. i posunął się na północ wyspy, ale lody pływające były tak liczne i ścisłe, iż musiał zatrzymać się pod 80° 23′ szerokości. Dnia 16 sierpnia widział ziemię, która według jego wyrachowania, ciągnęła się aż do 82°; miał nadzieję, iż między krą lodów a wybrzeżem

znajdzie wolne morze, ale lody tak szczelnie zapchały całą przestrzeń, iż musiał powracać.

W r. 1609 i 1611, moskiewska kompania handlowa (*muscowy company*) wyprawiła Jonasa Poole, z poleceniem aby starał się dostać najbliżéj bieguna. Pierwszym razem nie mógł przepłynąć po za 79° 50′; drugi raz dostawszy się pod 80° napotkał mur lodu wsparty o brzegi Spitzbergu, i pomimo licznych prób i usiłowań, nie mógł posunąć się daléj na północ.

Toż samo stowarzyszenie wyprawiło znowu w 1614 r. dwóch sławnych żeglarzy, Baffin'a i Fotherby; ale i ci nie byli szczęśliwsi od swych poprzedników, i oznajmili za powrotem: iż nie wierzą w możliwość przepłynięcia lodowéj baryery, łączącéj Spitzberg z Grenlandyą. Cztery poprzednie bezużyteczne pokuszenia i twierdzenie tak znakomitych żeglarzy, odstręczyły kompanią od zarządzania nowych wypraw.

Półtora wieku mijało, jak Anglicy nie przedsiebrali żadnych odkryć na morzach podbiegunowych, i zdawali się zrzekać wszelkich na tém polu zdobyczy, gdy w m. lutym 1773 r. londyńskie Towarzystwo królewskie, uczyniło przedstawienie do króla Jerzego III, z prośbą, aby wysłać wyprawę na północ w celu zbadania: jak daleko można podsunąć się do bieguna północnego. Przychylając się do tego żądania, król przeznaczył dwa okręty *Race-Horse*, pod dowództwem Jana Konstantyna Phips, późniéj lorda Molgrave, i *Karkass*, pod dowództwem kapitana Ludvigde; 21 maja t. r. oba okręty były gotowe do odpłynięcia. Do wyprawy przydzielono astronoma Lyons i fizyka doktora Irwing'a, a d'Alembert i Józef Bauks, wydali instrukcye, jakich miano się trzymać co do spostrzeżeń odnoszących się do fizyki ogólnéj i historyi naturalnéj.

Wyprawa ruszyła z Tamizy d. 2 czerwca 1773 r. a 28 t. m. dostrzeżono południowe wybrzeża Spitzberga. Dnia 4 lipca okręty zarzuciły kotwice w małéj zatoce, na południe zatoki Hamburskiéj; potém znów popłynęły na północ, a 6 t. m. znajdowali się o 4 mile od lodnika, pod 80 stopniem szerokości; płynęli z biegiem lodu, powstrzymywani często pływającymi lody, poszukując otworu którym możnaby przedostać się do bieguna. Po długiém lawirowaniu około téj nieprzebytéj zapory, oba okręty dopłynęły nareszcie dnia 5 sierpnia do wyspy położonéj pod 80° 35′, którą Phipps nazwał *Walden*, od nazwiska swego sternika, któremu polecił zwiedzić ją i zbadać (1). Tu *Race-Horse* i *Karkass* zostały ściśnięte przez lody i narażone na wielkie niebezpieczeństwo; szczęściem jednak wkrótce lody się rozstąpiły o tyle, że okręty mogły posuwać się zwolna, acz w pośród pływających lodów, ale już na otwartém morzu płynęli bezpiecznie i wrócili do Anglii w połowie września 1773 r.

Według obrachowań Phipps'a, w d. 27 lipca posunął się on na morzu do 80° 48′ szerokości, na zachód archipelagu siedmiu

(1) Obacz *Geografische Mittheilungen*, *Ergaenzungs Heft*, *n. 16 von Petermann.*

wysp. „Dnia 30 lipca, pisze Phipps w sprawozdaniu swojém, kapitan Ludwigde i sternik *Race-Horse* przybili do brzegów wyspy bez nazwiska, (którą następnie nazwano Phipps) i tam wdrapali się na wysoką górę; z jéj wierzchołka roztoczyła się przed ich wzrokiem, na wschód i północo-wschód wielka przestrzeń lodu 30 do 40 mil gładka i równa, rozciągająca się aż do krańców widnokręgu.”

W pięćdziesiąt lat późniéj, Edward Parry, młody oficer marynarki, czytając ten ustęp Phipps'a, powziął śmiały pomysł dotarcia do bieguna północnego, posuwając się po téj płaszczyznie lodów, saniami, na których miałby statki, aby je spuszczać na wodę ilekroć napotka wolne morze, i znów wkładać na sanie gdy wypadnie sunąć się po lodzie. Wielu żeglarzy, a między innymi Franklin i Scoresby, potwierdzali jego pomysł i zachęcali do wykonania, w przekonaniu, że lodniki mają gładką i równą powierzchnię, jak zamarzłe rzeki lub jeziora. Wszyscy byli wprowadzeni w błąd skutkiem złudzenia optycznego, mocą którego patrzącemu z oddali z pewnego wyniesienia, nierówna i rozpadliwa powierzchnia lodników, wydaje się zupełnie gładka. Parry został zawiedziony w swoich oczekiwaniach, jednakowoż nikt równie blizko jak on nie przysunął się do bieguna, albowiem dosięgnął prawie do 83° stopnia.

Trzymając się porządku chronologicznego, wypada teraz wspomnieć o dwóch podróżach odbytych w 1838 i 1839, przez Komissyę naukową północną. Komissyę tę składali pp. Gaisnard, Lottin, A. Bravais, H. Maranier, E. Robert, Mayer i K. Martins. Do wyprawy téj wyznaczono korwetę żaglową *La Recherche*, zbudowaną do żeglugi na morzach północnych; dowódcą był Favre, kapitan okrętu, a późniéj admirał, zmarły w 1864 r. Dwie te wyprawy przedzielała zima spędzona w Bossekop, w Laponii, gdzie przyłączyło się do niéj dwóch uczonych szwedzkich, pp. Lillichöök i Siliestroem. Owocem téj wyprawy jest dzieło obejmujące 16 tomów, i śmiało można powiedzieć, iż od czasu dzieła napisanego przez Scoresby'ego, dopiero pierwsza ta praca rzuca tak wielkie światło na astronomią, meteorologią, fizykę globu, hydrografię, oraz historyą naturalną stref północnych, zwiedzonych przez Komissyę. Szkoda wielka, że postanowieniem ministra marynarki, wydaném w 1856 r. wstrzymaném zostało wydawnictwo od str. 294 tomu 3go poświęconego magnetyzmowi ziemskiemu, oraz sprawozdaniu o rozmaitych zdaniach i dowodzeniach co do przyczyn zorz północnych. Komissya naukowa dwa razy zwiedzała Spitzberg, a oficerowie z korwety *la Recherche* zdjęli plany zatok Bellsound i Magdalena-bay.

Nieco późniéj Komissya szwedzka złożona z pp. Norderskisd, Malmgren, Chydenius, Blomstrand, Duner i Tarell, zwiedziła północ Spitzberga, sporządziła dokładną mappę archipelagu Siedmiu-Wysp, oznaczyła punkta mogące służyć do wymiaru łuku południka, zawartego między 79° 81 i 80° 50′ szerokości, oraz dała poznać przyrodzone produkta tych wysp. Rząd szwedzki ma zamiar pro-

wadzić daléj rozpoczęte dzieło i dokładnie zbadać Spitzberg. Dziwna rzecz! budżet Szwecyi nie dochodzi połowy budżetu Paryża, i mimo tak skromnych przychodów, kraj ten umie wynaleźć fundusze na oddalone wyprawy.

Któż nie słyszał o sławnéj wyprawie angielskiéj przedsięwziętéj w 1845 r. Dowódca jéj, kapitan Franklin, jeden z najpiérwszych badaczy mórz i ziem północnych, zapragnął uwieńczyć swe odkrycia odszukania drogi północno-wschodniéj, mającéj prawdopodobnie łączyć morze Bafińskie z oceanem Spokojnym. Miał wtedy lat 69, i do doświadczenia starego marynarza, łączył młodzieńczy zapał i odwagę. Oddano mu do rozporządzenia dwa okręty: *Erebus* i *Terror*, któremi James Ross płynął do bieguna południowego. *Terror* był dowodzony przez kapitana Crozier, współtowarzysza Edwarda Parry i James Ross'a, a wszyscy porucznicy, podoficerowie i majtkowie wybierani byli nadzwyczaj troskliwie i przezornie.

Wyprawa odpłynęła 19 maja 1845 r. W końcu lipca t. r. Martin i Donett kapitanowie statków poszukujących wielorybów, weszli w stosunki z Franklin'em; oba okręty znajdowały się wówczas w zatoce Melville, na wybrzeżach Grenlandyi; moralny i fizyczny stan osady był zupełnie zadawalniający. Odtąd już admiralicya nie odebrała żadnéj wiadomości o znakomitym żeglarzu.

Tak więc od połowy 1845 r. i w piérwszych miesiącach 1846 roku nic nie wiedziano o losach wyprawy. Mniemano, że okręty przepłynęły przejście północno-wschodnie i dosięgły cieśniny Beringa; wyglądano więc wiadomości z jakiegoś punktu oceanu Spokojnego. Skończył się rok 1846, żadna wieść nie nadeszła, ogromna niespokojność ogarnęła wszystkich. Od owéj chwili aż do roku 1857, rząd angielski wysłał na poszukiwanie Franklina 22 wypraw: dwie wyprawiono lądem. Lady Franklin poświęciła cały swój majątek na uzbrojenie dwóch okrętów: *Prince-Albert* wysłanego w r. 1851, i *Fox* 1857 r.; ten ostatni odkrył ślady Franklina. Daléj, szlachetny Amerykanin, p. Grinnel, poniósł koszta dwóch wypraw: porucznika Hawen i doktora Elizeusza Kane.

Wyprawy wysyłane przez rząd angielski, kosztowały Anglię 1,033,900 funt. szterlingów; nie wstrzymano ich mimo wojny Krymskiéj i powstania w Indyach. Czyż jedynym tych wypraw celem, było poszukiwanie Franklina?—tak bez zaprzeczenia, w piérwszych latach po jego zaginieniu, kiedy jeszcze można się było spodziewać, że może choć część osad okrętowych żyje jeszcze na jakiém bezludném wybrzeżu. Późniéj można już tylko było myśléć o odszukaniu ich śladów i przekonaniu o zatracie; ale admiralicya angielska, inne, wyższe jeszcze miała cele: szło najpierw o zachowanie marynarce angielskiéj sławy przodownictwa, wypróbowania swych oficerów i osad w najcięższéj pod słońcem szkole żeglugi, o rozszerzenie pola odkryć geograficznych i zarzucenia Ameryki Północnéj, nazwami angielskiemi.

Admiralicya dopięła swego celu: ślady Franklina odnaleziono na ziemi króla Wilhelma, Mac-Clurc przepłynął przejście północno-wschodnie, a okręt jego *Investigator* pozostały wśród lodów, przekonał: że to tak poszukiwane przejście istnieje rzeczywiście, ale nie da się spożytkować na korzyść handlu. Posunięto się po za 75° szerokości, a więc dalej niż Ross i Parry; geologia, zoologia i botanika tych stref północnych została uzupełnioną dokładnym spisem gatunków zwierząt i roślin, obdarzonych najdzielniejszém życiem organiczném. Znaleziono ślady mieszkań ludzkich aż pod 81 stopniem, oraz przekonano się o istnieniu pod tym stopniem szerokości, wielkich wolnych morskich przestrzeni, a myśl dostania się do bieguna północnego przez Grenlandyą zakiełkowała w umysłach ludzi przebywających te spustoszałe ziemie.

Francya żadnego w tych wyprawach nie przyjmowała udziału. Rossya nakazała ważne poszukiwania na wybrzeżach syberyjskich.

Z wyż przytoczonych danych, przekonywamy się jak liczne zarządzano wyprawy, jak wielu znakomitych żeglarzy probowało przedrzéć się do biegunów. Niepokonalne przeszkody nie dozwoliły im dopiąć zamierzonego celu, zauważyć jednak należy niezaprzeczone postępy otrzymane przez następujące z kolei wyprawy, dozwalające spodziewać się możliwości zupełnego powodzenia.

I tak, Cook powrócił z mórz północnych z tém przekonaniem, że żaden okręt nie zdoła nigdy posunąć się po za 71 stopień; Weddel dosięgnął już do 74°, Ross zaś dostał się przez lody na wolne morze, gdzie dosięgnął równoleżnika 78 stopni szerokości południowéj, i to nawet bez pomocy pary. Pod biegunem północnym, odkrycia Edwarda Parry, Kane'a, Hayes'a, przekroczyły znacznie dawniéj zakreślone krańce, i wzmocniły nadzieję, że w niedalekiéj może przyszłości okolice podbiegunowe przestaną być dla nas niezbadaną tajemnicą.

W ostatnich latach roztrząsano wiele projektów wypraw podbiegunowych. W Anglii, towarzystwo geograficzne i najznakomitsi marynarze, roztrząsali projekt kapitana Scherard'a Osborn; w Niemczech, dzięki staraniom geografa, doktora Petermann, wyprawa do bieguna żywe w całym ogóle obudziła zajęcie. Otworzono publiczne zapisy na składkę i znaczną zebrano summę. Zeszłéj jesieni, postanowiono wyprawić rekonesans na północo-wschód Spitzbergu, i najęto w tym celu w Anglii okręt *Queen of the isles*, dowództwo wyprawy powierzono kapitanowi marynarki pruskiéj, Werner'owi. Lecz okręt ten wyprawiony z Londynu do Hamburga nie wyszedł z Elby; widać machina jego była w złym stanie, iż niepodobna było prędko jéj naprawić. Jednak niepowodzenie to nie ostudziło bynajmniéj zapału promotorów ochotniczéj wyprawy. Niemcy nie wyrzekli się swych zamiarów, które obecnie zaczynają wchodzić w wykonanie. Ale tym razem i Francya stanęła do współzawodnictwa, przedstawiona przez znakomitego hydrografa i żeglarza, p. Gustawa Lambert.

O ile ramy tego artykułu dozwalają, przedstawimy tu w krótkości treść projektowanych wypraw, angielskiéj, niemieckiéj i francuzkiéj.

Zdaniem kapitana Osborn, biegun północny jest niezmierném zbiorowiskiem lodów poprzerzynanych tu i owdzie przez przypadkowe rozpadliny, zamykające się zupełnie z nadejściem wielkich mrozów. Tak więc owe wielkie przestrzenie wolnéj wody, napotkane przez Morton'a i Hayes'a na północo-wschodzie, morze podbiegunowe zaznaczone przez admirała Wrangel na północ Syberyi, istniałyby tylko czasowo w pewnych epokach, a zatem, chcąc dostać się do bieguna, trzeba uciec się do jedynego możliwego sposobu, to jest: przedsięwziąć w porze zimowéj wyprawę na saniach. Kapitan Osborn, proponuje tedy aby odpłynąć z Anglii dwoma okrętami ze 120 ludźmi osady, następnie jeden okręt i 25 majtków pozostawić w przylądku Izabelli, a drugim, z resztą osady dopłynąć do Parry, aby tym sposobem zapewnić sobie ratunek i schronienie na przypadek nieszczęścia, i dopiéro w połowie lutego, puścić się w drogę wybrawszy sobie najodważniejszych i najdoświadczeńszych współtowarzyszy. Pięćset mil oddziela przylądek Parry od bieguna, zatem droga tam i napowrót wynosi mil tysiąc; Osborn utrzymuje że robiąc po 10 mil dziennie, można ją przebyć w przeciągu 60 dni.

Zrazu, projekt ten został bardzo przychylnie przyjęty przez admiralicyę angielską, następnie jednak stracił wielu stronników, gdy doktor Petermann przeciwstawił inny, oparty na prawdopodobném istnieniu wolnego morza około bieguna; wtedy marynarka angielska podzieliła się na dwa obozy, i skutkiem tego zapewnie, projekt kapitana Osborn nie wszedł w wykonanie.

P. Petermann przeciwnie wierzy w istnieniu wolnego podbiegunowego morza; według niego ani myśléć o dostaniu się do bieguna saniami, podobna wyprawa dozna zawsze równie smutnego losu, jak wyprawa kapitana Parry w 1827 r. Wiadomo że lód rozsuwał się pod nim i unosił go ku południu, podczas gdy z niesłychanym trudem, zaledwie posuwał się w kierunku północy. Zatem Petermann twierdzi, że tylko morzem można dostać się do bieguna, i to podczas pękania i tajania lodów. Pragnie on aby okręty puściły się w kierunku *golf-stream* t. j. prądów wody ciepłéj otaczających północ Europy i płynęły w pośród ruchomych lodów Spitzbergu i Nowéj Ziemi, ponieważ z téj strony lodniki są mniéj niebezpieczne niż około cieśniny Smitha. Można być pewnym— mówi on—że na téj drodze spotkamy wolne morze, między 83 a 84 stopniem. Na poparcie swego twierdzenia, przytacza legendy o niektórych wielorybnikach hollenderskich, którzy żeglowali po tém morzu. Przyznać trzeba, że słynny geograf gotajski, do dziwnych trochę ucieka się argumentów, bo wszakże też same legendy podają, że wieorybnicy ci, aby się lepiéj upewnić że dosięgli do bieguna, przepłynęli go o kilka stopni.

Jednak dzięki niezmordowanym usiłowaniom Petermanna, jeszcze w miesiącu maju r. z. wyprawa niemiecka odpłynęła z Bergen, w Norwegii, pod dowództwem kapitana Karola Koldewey. Porucznik nazywa się Hildebrandt, a cała osada składa się ze sternika i 13 majtków bremeńskich. Kupiono i uzbrojono w Bergen okręt zupełnie nowy, o sile 80 beczek, i nazwano go *Germania*. Mała ta wyprawa czerpie swą siłę w niezachwianéj woli i wytrwałości składających ją osób; zamierza ona najpiérw dopłynąć do wschodnich wybrzeży Grenlandyi, po za 74 stopień szerokości północnéj, zatrzymać się dla wypoczynku na wyspie Sobińskiej, potém płynąć wybrzeżem i dostać się na morze podbiegunowe, i ztamtąd, jeśli to jest możliwém, wypłynąć przez cieśninę Beringa, oddzielającą Amerykę od Syberyi. Jeśliby niepodobna było dostać się po za Spitzberg, wtedy wyprawa ma zająć się poszukiwaniami naukowemi na ziemi Gillis, posuniętéj daléj ku wschodowi. *Germania* zabrała z sobą zapas żywności na cały rok. Wiadomości jakie nas doszły w końcu lipca o losach téj wyprawy, donoszą, że jak można się było tego spodziewać, okręt został ściśniony lodami i zupełnie zatrzymany w biegu (1).

Teraz z kolei przedstawimy projekt francuzki p. Gustawa Lambert i powody przemawiające za obraną przez niego drogą do bieguna północnego.

Gustaw Lambert, dawny uczeń szkoły politechnicznéj, hidrograf i żeglarz, zwiedzał już okolice, w które pragnie poprowadzić zamierzoną wyprawę. Dnia 12 lipca 1865 r. wsiadł na okręt uzbrojony do połowu wielorybów, przepłynął cieśninę Beringa i posunął się aż pod 72 stopień szerokości północnéj, a zostając wśród lodowisk przez trzy miesiące, mógł badać na miejscu straszne zadanie jakie dziś rozwiązać pragnie. Gustaw Lambert obiera drogę, któréj dotąd jeden tylko Cook próbował; według niego trzeba w miesiącu lipcu, to jest w czasie puszczania lodów w okolicach podbiegunowych, przebyć cieśninę Beringa, przepłynąć na wschód przylądek Serdze i północny Cook'a, wpośród pływających lodów dostać się do Polynii, czyli wolnego morza i ztamtąd płynąć ku biegunowi. Podwójne powody przemawiają za tym projektem.

Najpierw, szereg faktów stwierdzonych spostrzeżeniami lub wywiedzionych z teoryi, każe wnosić, że temperatura średnia, zamiast zniżać się ciągle aż do bieguna, jest tam przeciwnie wyższą niż pod kołem biegunowém, to jest około 67 stopnia szerokości, w skutku czego bardzo być może iż pod samym biegunem znajduje się morze wolne, otoczone murem lodu, który tylko w najzimniejszych miesiącach ściska się zupełnie. Powtóre, baczne rozważanie prądów podbiegunowych i unoszonych przez nie lodów, potwierdzają najzupełniéj domysł istnienia wielkiego otwartego morza, roztaczającego swe bałwany w około bieguna północnego.

(1) *Przyp. od Redakcyi* —Obszerniejsza o ostatnich wyprawach wiadomość podaną zostanie w następnym zeszycie.

Opowiadania Hedenstreom'a, Wrangel'a, Anjou, twierdzących iż widzieli niezmierzoną przestrzeń wody wolnéj na północ Syberyi, sprawozdania Morton'a i doktora Hayes'a, którzy napotkali wolne morze na północ cieśniny Smith'a, przybrałyby wtenczas wielkie znaczenie odznaczające się jasnością i dokładnośnią, nie dozwalającą nawet powątpiewać o istnieniu morza podbiegunowego.

Wiadomo już oddawna, iż temperatura jakiegoś miejsca nie reguluje się po prostu położeniem jakie zajmuje między równikiem i biegunem; dowodzą nam tego *isotermy* czyli linie równo-ciepłe, które Alexander Humboldt nauczył nas kreślić na mappie świata. Z tego wynika, że bieguny czyli punkta do których dotyka oś obrotowa ziemi, nie koniecznie są punktami najzimniejszymi. Jeszcze w r. 1821, sir Dawid Brewster, wywnioskował z biegu izotermów, istnienie dwóch *biegunów zimna*, jednego w Syberyi, drugiego w Ameryce Północnéj, zatém temperatura średnia musi być znacznie wyższą przy samym biegunie, niż na kilku innych punktach koła biegunowego. Plana, słynny jeometra włoski, w 1864 r. poddał rachunkowi rozkład ciepła słonecznego na powierzchni ziemi, i wykazał, że począwszy od koła biegunowego, temperatura średnia musi powiększać się aż do bieguna; rezultat ten trudno było przewidzieć teoretycznie, choć czynione spostrzeżenia świadczą na jego korzyść. Obecnie p. Gustaw Lambert doszedł do odpowiedniego wniosku, poszukując praw, według których *insolacya* czyli ilość ciepła dostarczona przez słońce, musi różnić się między jedném a drugiém miejscem, w pewnych porach roku.

Ilość ciepła jaką w pewnéj danéj chwili, odbiera jakiś punkt ziemi, zależy od ukośności promieni i zwiększa się w miarę wznoszenia słońca; lecz chcąc ocenić skutek jaki słońce sprawić może podczas mniéj więcéj długiego peryodu, niedość rozważać kierunek promieni, ale trzeba jeszcze wziąć w rachubę względną długość dni i nocy. Promieniowanie nocne odbiera ziemi znaczną część wchłonionego przez dzień cieplika, tak więc długość nocy może do pewnego stopnia równoważyć działanie bardzo ciepłych dni. Pod biegunem słońce nie zachodzi wcale przez sześć miesięcy, ciepło jakie tam roztacza nagromadza się iześrodkowywa nieustannie podczas téj długiéj doby złożonéj z przeszło 180 dni. Zatém łotwo pojąć że ku środkowi lata, temperatura podbiegunowa może dosięgnąć stopnia aż nadto dostatecznego, do mniéj więcéj zupełnego roztopienia lodów, utworzonych podczas długiéj zimowéj nocy.

P. Gustaw Lambert zdołał nakreślić linię krzywą przenośną po siły insolacyi dla różnych miejsc ziemi i różnych dni roku (1). Rozważając bieg i zboczenia téj linii, stwierdził, iż w chwili przesilenia dnia z nocą (21 czerwca), biegun północny, musi w ciągu 24 godzin odbierać większą o jedną piątą część, ilość światła, niż odbiera ją w tejże chwili punkt położony pod zwrot-

(1) Prawa insolacyi. *Sprawozdanie złożone Akademii Nauk* d. 28 stycznia 1867 r.

nikiem Raka. W rachunek ten nie wchodzi wchłanianie atmosferyczne, którego wpływ daleko jest silniejszy pod biegunem, gdzie słońce jest bardzo nizko, niż pod zwrotnikiem, gdzie w godzinie południowéj wznosi się bardzo wysoko; strata jaką promienie ponoszą przechodząc niższe warstwy atmosfery, musi zmniejszać rezultat do jakiego dochodzimy, rozważając jedynie położenie słońca w stosunku do horyzontu podbiegunowego. Można jednak śmiało twierdzić, że ciepło letnie pod biegunem jest daleko wyższe niż to powszechnie mniemają, a w każdym razie jest aż nadto dostateczne aby wytłumaczyć tajenie lodów po za 84 lub 85 równoleżnikiem szerokości. Już samo rozważanie prądów jakie żeglarze napotykają w tych stronach każe dopuszczać możliwość istnienia otwartego morza pod biegunem. Prądy podbiegunowe są dość liczne. Od zachodniéj strony Grenlandyi, piérwszy prąd kieruje się na południo-wschód, i nagromadza lody w cieśninach Banks, Mac-Klintock, Królowa-Wiktorya. Kierunku téj znacznéj massy wody, dowodzi niezbicie, przeniesienie okrętu *Re'solute* znalezionego w 1855 r. w cieśninie Dawis, kiedy Kollet opuścił go w maju 1854 roku o tysiąc mil ztamtąd, na północ, około przylądka Cockbaru. W cieśninie Berynga, żywy bardzo prąd ciągnący się wzdłuż wybrzeży Azyi, zdaje się zmieniać stale co pół roku; biegnie kolejno z południa na północ i z północy na południe. Trzeci prąd posuwa się z północy na południe, między Spitzbergiem i Nową-Ziemią; siła parcia tych wód jest tak wielką, iż niekiedy rozsadzają ławice lodu, co przyczynia się do ułatwienia żeglugi w tych okolicach. Wielka przestrzeń morza zawarta między zachodniém wybrzeżem Spitzbergu i Grenlandyą, przepuszcza także prąd który rozrywa lody, ale zarazem nie dopuszcza ich topienia; tento prąd w 1827 r. podsuwał ławice lodu pod stopy kapitana Parry, i tym sposobem mimo nadludzkich wysileń, nie dozwolił mu posunąć się po za 82 stopień. Wszystkie te rzeki polarne zdają się wypływać bezpośrednio z jednego wielkiego zbiornika, z morza otaczającego biegun północny. W okolicach południowych, prądy zdają się przeciwnie przybierać kierunki kołowe, okrążać ławice lodu, co każe domniemywać się istnienia lądu pod biegunem południowym.

Samo badanie lodów napotykanych pod obu biegunami, przemawia na korzyść powyższego przypuszczenia. Lody napotykane na południu przedstawiają wszystkie fenomena cechujące właściwe lodniki czyli massy lodu wsparte na stałéj podstawie, to jest na ziemi lub skałach. Tam w olbrzymim stosunku ponawia się rok rocznie praca obserwowana przez geologów w Alpach, w Himalaya, w Kordelierach Andów. Z nadejściem mrozów zimowych, para wodna którą powietrze było nasycone przez silne parowanie lata, ścieśnia się w ścisły śnieg, padający wielkiemi płachtami i nagromadza się tak w ciągu długiéj ponuréj pory sześciomiesięcznych nocy. Za nadejściem wiosny, gdy słońce roztacza swe ciepło na te posępne okolice, lody zaczynają topnieć; woda spada między rozpadliny lodu i skał i tam ścieśnia się znowu zwiększając objętość,

i odpychając z niepojętą siłą wszelkie napotykane zawady. I praca ta nie odbywa się w kilku jedynie punktach, ale we wszystkich kierunkach i wszystkich częściach lodnika, któremu wewnętrzne to działanie nadaje podczas lata jakby rodzaj życia i nieprzeparty ruch postępu. Gdy pierwsze pojawy zmroku zapowiadają zbliżanie się zimy, wtedy zimno pokonywa siłę parcia, która ustaje zwolna, aż nareszcie zaginie w długim śnie zimowym. To życie lodników wytwarza jedną z najniebezpieczniejszych zawad dla żeglarzy pragnących dostać się do bieguna południowego. Jeśli pora była gorąca a ztąd wywiązało się mocne topnienie lodów, wtedy lodniki rzucają w morze ogromne bryły, będące mieszaniną skał i szczątków roślinnych. W opowiadaniach podróżników pragnących zwiedzić biegun południowy, *ice-bergs* wielką odgrywają rolę; co chwila okrętom ich zagrażają ruchome góry lub olbrzymie bryły oderwane od tych strasznych murów lodu, pragnących zdaje się zagrodzić im drogę. Jeśli ukształtowanie ławicy lodów bieguna południowego, którego ogromne lodniki musiały powstać na podstawach stałych w najodleglejszych czasach peryodu lodowego, każe nam dopuszczać istnienie lądu, to i fizyczne badanie natury tych lodów, wykazuje zarówno ziemskie ich pochodzenie; w wodzie wydają się czarne, a pod światło są przezroczyste, koloru błękitnego.

Odmienne całkiem fenomena cechują okolice podbiegunowe północne; tam znajdujemy najczęściéj lód formacyi morskiéj, lód *ice-fields*. Śnieg padający w morze, tworzy najpierw rodzaj gęstéj papki; jeśli czas jest spokojny, marznie i woda pokrywa się cienkim lodem, w połowie prawdziwym, w połowie zlepionym ze śniegu. „Gdy tylko wiatr powstanie—mówi G. Lambert—wszystko to pęka, rozprasza się i przedstawia nieporównanie piękny i zajmujący widok. Każdy, choćby najmniejszy kawałek lodu, topniejąc, zostaje oblany wodą słodką nie łączącą się z wodą morską: promienie nizkie bardzo opuszczonego słońca, tęczują wszystkie te małe kałuże, odtwarzając na ogromną skalę, fenomen różnobarwnych obrączek Newton'a, i odbijając wszystkie odcienia widma, ale tak słabo i blado, iż urok niknie szybko, ustępując przykremu i posępnemu wrażeniu: chwilami zdaje się że całą przyrodę pokrywa jakiś przejrzysty grobowy całun" Lód ten jest nieprzezroczysty, mleczno-białego koloru i nigdy nie znajdują się w nim odłamki skał ani téż szczątki roślinne, jak w lodach napotykanych pod biegunem południowym. Te pola lodu morskiego, tak rzadkie pod biegunem południowym a tak pospolite pod biegunem północnym, popierają także twierdzenie, że pod południowym leży ziemia, pod północnym morze.

Z resztą można jeszcze powołać się na świadectwo żeglarzy, którzy widzieli z oddali owo morze podbiegunowe, bo wszak niejednokrotnie wspominają o tém dowódcy lub członkowie wypraw, które różnemi czasy zapuszczały się w ten niebezpieczny labirynt wysp, ciągnących się na zachód Grenlandyi. Zauważyć także należy ważną i pełną znaczenia różnicę, zachodzącą między klimatem

dwóch stref czyli pasów równoległych, jaką wyspy te przedstawiają odnośnie do północnego lądu amerykańskiego. W pasie najwięcéj zbliżonym do lądu, życie zwierzęce rzadko kiedy się objawia, a przeciwnie, im więcéj posuwać się na północ, tém więcéj uderza nadmierny niemal jego rozwój: zdaje się pragnie ono uprzedzić wędrowca, że ostatnie już depcze lody. Fakt ten odpowiadający linii wielkich mrozów, ciągnących się prawie od 68 do 75 stopnia, jest bezspornie bardzo ważnym, ponieważ łączy się ściśle z istnieniem wolnego morza.

Wyprawy angielskie z 1850—1851 r. dostarczyły ważnych bardzo pod tym względem szczegółów. Porucznik Austin zimował wtedy na południe ziemi Kornwallis, zaś kapitan Penny, znajdował się w niewielkiéj odległości od ujścia cieśniny Wellington. Austin spuścił na lody 14 sań i 104 ludzi, dywizya Ommaney wylądowała na południe dla zbadania North-Somersetu: odważni ci marynarze przez 60 dni walczyli z okropnościami mrozu i straszną, zagrażającą im demoralizacyą. „W tych okolicach, mówi bohatérski ich dowódca, tak ziemia jak morze przybierają dziwną cechę samotności i smutku. Ze wszystkich stron roztaczał się przed nami horyzont śniegów i ani jeden punkt wystający nie zawadzał naszym oczom, a obecność nasza w tych zamarłych stronach, wydawała się jakby najściem i dyssonansem.” Gdy Ommaney przebiegał tak martwe puszcze North-Somersetu, Mai-Clintock odbywał liczne wycieczki na północ niziny Melville, i od pierwszych dni maja napotykał tam niezliczone stada ptaków. Na wzgórzach śnieg znikał powoli, a mech, trawa i łamikamień (roślina) zaczynały się gdzieniegdzie pojawiać. Dywizya Penny odpłynęła za nadejściem wiosny 1851 r. i kiedy on posuwał się na północ kanału Wellingtona, podkomendny jego Stewart, miał rozpoznawać zachodnie wybrzeża North-Dewonu. Dnia 30 maja dostawszy się sankami na północ cieśnicy, utworzonéj z jednéj strony przez wyspę Hamilton a z drugiéj przez North-Devon, porucznik Stewart postrzegł przed sobą wolne morze, którego brzegi pokryte były ptastwem, a w kilka dni późniéj, kapitan Penny, strudzony przebyciem 50 mil w lodowéj puszczy, pocieszył się także nadspodziewaném ujrzeniem téj żyjącéj natury. Wtedy powrócił do głównéj kwatery, kazał zbudować naprędce łódź żaglową, i dnia 17 czerwca, przez 77 stopni szerokości, ochrzcił imieniem Johna i lady Franklin, dwa najdaléj wysunięte punkta cieśniny swego nazwiska. Przed nim, jak oko zasięgnąć mogło, roztaczało się morze, i jak syrena wabiło go swemi ponęty, ale roztropność nakazywała wracać co prędzéj. W następnym roku, sir Edward Belcher, zdołał przedrzéć się przez gruby mur lodowy, zagradzający zawsze wnijście do cieśniny Wellingtona, i zimował pod 76° 52′ szerokości. Na wiosnę 1853 r. sunąc saniami po lodzie, dostał się do cieśniny Johna, gdzie powstrzymała go ruchoma góra lodu zmierzająca na południe; było to 20 maja. Jak daleko z téj wysokości oko zasię-

gnąć mogło, nigdzie nie widać było ziemi, tylko wszędzie morze roztaczało swe ciemno-błękitne bałwany.

Wszyscy podróżni jacy kiedykolwiek posuwali się na północo-wschód archipelagu Parry, aż do 77 stopnia szerokości, mogli przekonać się o istnieniu wolnego morza, kiedy przeciwnie na zachód Grenlandyi, trzeba przeciskać się wśród grubych lodów Smithsoundu, opuszczać okręt pod 78 stopniem, i wzdłuż brzegów sunąć saniami aż do 81 i 82 stopnia, jeśli chcemy dostać się do oceanu podbiegunowego. Znajomość tych faktów zawdzięczamy dwom śmiałym Amerykanom.

Każdy wielki pomysł, każdy pożyteczny zamiar może być pewien w Ameryce zachęty i poparcia, tak więc inicyatywa prywatna dostarczyła pieniędzy, potrzebnych na uzbrojenie wyprawy północnéj. Okręt dowodzony przez Dra Kane, lekarza marynarki amerykańskiéj, poniósł 17 ochotników do portu Reusselaer pod 78° 52′ szerokości. Po ciężkiej zimie spędzonéj w tych oddalonych strefach, gdzie nigdy jeszcze nie zimowali Europejczycy, cała osada dotknięta była ciężką plagą skorbutu; tylko Grenlandczyk Hans i *steward* Morton pozostali zdrowi, i ci opuścili okręt uwięziony wśród lodów i skierowali się na północ.

Gdy już przebyli olbrzymi lodnik Humboldta, posuwanie się na lodzie morskim szło względnie dość łatwo, aż do punktu, poza który psy nie chciały iść daléj, ponieważ lód stawał się coraz cieńszy i kruchszy. Zaniepokojony Morton czekał niecierpliwie opadnięcia mgły osłaniającéj wszystko swą nieprzeniknioną zasłoną; wtém rozproszyła się nagle, i ukazała na lewo ździwonym oczom podróżnych, cieśninę Smith oswobodzoną z lodów i pokrytą niezliczonémi stadami ptaków. W kanale Kennedy dawał się uczuć przypływ i odpływ morza, a zanurzony w wodzie termometr, wskazywał 2 stopnie po nad punkt zamarzania wody morskiéj. Okrążyli przylądek Jackson i *posuwali* się wzdłuż brzegu, pomykając szybko po równém polu lodowém, 6 mil na godzinę. Im więcéj zbliżali się ku północy, tém się temperatura znaczniéj podnosiła a z nią i wszystko w około odradzało się do życia; roślinność była dość bujna, pomimo wczesnéj pory; zwierząt nie wiele, ale ptastwa mnóstwo.

W dalszym ciągu podróży, lód po którym psy się posuwały stawał się coraz cieńszym, a w końcu zniknął zupełnie; wtedy Morton przedzierał się przez skały sterczące po nad brzegiem morza, które u ich stóp roztaczało swe bałwany. Tu po raz piérwszy zobaczył północnego ptaka *Procellaria glacialis*, którego sama obecność na tych wodach, dowodzi dokładności jego spostrzeżeń. Ptak ten żyjący jedynie rybami, nie dał się widzieć od chwili gdy opuszczono wody uczęszczane przez wielorybników angielskich, przeszło o 200 mil na południe. W dniu 24 czerwca podróżni nasi zostali zatrzymani w pochodzie swoim, przez przylądek którego przebyć nie mogli, gdyż morze oblewało jego stopy. Dostawszy się na wysokość blizko 100 metrów, Morton zatknął tam

sztandar amerykański i najdaléj wysuniętemu punktowi nadał prześliczną nazwę przylądka Niepodległości. Znajdował się pod 81° 22′ i na wschód i północ widział tylko niezmierzone wolne morze.

To nieocenione odkrycie, ustalające tak nadspodziewanie pojęcia o naturze okolic północnych, na północ cieśniny Smith, musiało naturalnie napotkać żywe niedowierzanie i zaprzeczenia, ale w siedem lat późniéj potwierdził je niezbicie doktor Hayes. Przyjmował on niegdyś udział w podróży Kane'go, w charakterze doktora, a następnie w r. 1861 potrafił uzbroić nową wyprawę północną, daleko lepiéj zaopatrzoną. Zimował w Port-Foulk, 3 kwietnia opuścił okręt, aby saniami przebyć cieśninę Smith. Dostawszy się do środka kanału, musiał odesłać osadę zbytecznie znużoną, zatrzymawszy tylko trzech wypróbowanych w ciężkich trudach współtowarzyszy. Podczas gdy osada wracała powoli do swéj ruchoméj siedziby, odważni pionierowie opuszczali cieśninę, i znowu kierowali się na północ, posuwając się polem lodów morskich. Dnia 18 maja, pod 82° 30′ szerokości, o 825 kilometrów od bieguna, Hayes postrzegł przed sobą wielką przestrzeń wody. „Wszystko dowodziło mi, mówi on, że dotarłem do wybrzeży podbiegunowego morza, którego wielkie fale rozbijały się u stóp moich.” Nieco opodal naprzód, bałwany uderzające o brzegi, rozbijały i pochłaniały lody. Tamto Dr. Hayes rozwinął sztandar narodowy, i przez kilka godzin trzydzieści sześć gwiazd Unii, unosiło się z powiewem wiatrów. Ale niezadługo trzeba było myśleć o powrocie; zatem nadawszy téj awanpoczcie świata, nazwę przylądka Unii, Hayes wrócił do Port-Foulk. Tak ścisłe i godne wiary spostrzeżenia, nie dozwalają powątpiewać o istnieniu wolnego morza na północo-zachodzie Grenlandyi, przynajmniéj przez pewną część roku.

Jeszcze wcześniéj przed odkryciami Morton'a i Hayes'a, żeglarze rossyjscy znaleźli już otwarte morze na północy Syberyi. Hederstroom dostrzegł je po raz piérwszy w r. 1808. Od r. 1821 do 1823 Wrangel i Anjou zdołali oznaczyć kilka punktów wybrzeży morza podbiegunowego. Podróże te oddawna poszły w zapomnienie, dziś jednak wielkiego nabierają znaczenia odnośnie do ocenienia projektu francuzkiego, ponieważ ta znajomość natury i przestrzeni ławicy lodowéj poza cieśniną Beringa, wielką odgrywa rolę. Niepowodzenie podróży odbywanych saniami, każe dopuszczać możliwość wyprawy morskiéj, i z tego tytułu p. G. Lambert mógł sformułować axiomat wszystkich żeglarzy w strefach północnych: „unikać ziemi” i „gdzie nie da się dotrzeć saniami, można dopłynąć okrętem.”

Dnia 8 marca 1821 r. mała garstka wybranych, dowodzonych przez Wrangel'a, po raz pierwszy wtedy posuwała się w kierunku północy. Przez dni kilka karawana posuwała się szybko po równéj prawie płaszczyźnie, gdy pod 70 stopniem 53′ śnieg zaczynał być wilgotny i słony, co zapowiadało sąsiedztwo wolnego morza. Daléj nieco, merkuryusz termometru zaczął się podnosić, a 1 kwietnia doszedł 4° niżéj zera; tam *polynie* czyli wielkie kałuże wody wolnéj

zaczęły być tak liczne, że nieustannie trzeba było je okrążać. Posunąwszy się tym sposobem do 71 stopni 11′, Wrangel zmuszony był powrócić na południe. Lód pięć cali gruby był tak zmiękły, że sanie zaledwie na nim utrzymać się mogły. W kilka dni późniéj, znowu probowano zawrócić na północ, ale w dniu 7 kwietnia, wyprawa musiała wyrzec się niepodobnéj walki i powrócić na brzeg.

Jednak Wrangel odłożył tylko, ale bynajmniéj nie wyrzekł się swoich zamiarów, a gorąca żądza odkrycia ziemi w któréj istnienie na północy bardzo wierzono, wzmogła się nieskończenie, gdy dowiedział się od Anjou, że i on spotkał otwarte morze, nieco za wyspami Nowéj Syberyi. Zaraz w następnym roku, lepiéj już przygotowany, puścił się w podróż dnia 13 marca, ale wkrótce spotkał te same przeszkody, które mu pierwszym razem zaparły drogę. Dnia 10 kwietnia 1822 r. wskazówki bliskości morza pojawiały się tak liczne i pewne, że zatrzymano się i wysłano p. Matiuszkina, na rozpoznanie czy podobna posunąć się daléj na północ. W małéj odległości, pod 71 stopniem 52′ szerokości, roztoczyło się przed nim otwarte morze, pokryte porozbijanemi bryłami, zdradzającemi puszczanie lodów, „i ujrzał rozległe pola lodów, sterczące jak mury na wierzchołkach bałwanów, pękające z trzaskiem aby niknąć w wspienionych nurtach, i znowu pojawiać się zbrukane mułem i piaskiem. Niepodobna, mówi on, dać wyobrażenia strasznego tego zburzenia! Niezmierzona okiem, martwa i nieruchoma powierzchnia lodowa, zostaje nagle wstrząśnięta, zachwiana nareszcie pęka i góry lodu wzruszone bałwanami, ciskane bywają pod niebiosa, jak lekkie odłamki drzewa. Głośny nieustający trzask pękających lodów, łączy się z odgłosem zagniewanych bałwanów.”

I to walcząc z takiemi przeszkodami, trzeba było przebić sobie drogę na północo-zachód. W tymto kierunku, d. 12 kwietnia gruba mgła błękitnawa i straszne huczenie morza, zwiastowało podróżnym że wkrótce bałwany zagrodzą im drogę. Lody pod ich stopami stawały się coraz cieńsze, a kałuże wody coraz liczniejsze i większe. Wrangel posuwał się daléj aż do 70 stopnia 50′, ale tu zdrowie współtowarzyszy i dający się czuć brak żywności, zmusiły go do powrotu.

Za trzecią i czwartą podróżą w 1823 r. Wrangel daléj jeszcze posunął się na północ, i wtedy sam także mógł przypatrywać się wspaniałemu widokowi puszczania lodów. Pod 70 stopniem 51′ wstrzymany nagle przez rozpadlinę przeszło 300 metrów szeroką, któréj długości ani podobna było oznaczyć, wszedł na szczyt skały lodu i ztamtąd widział tylko „wolne, niezmierzone morze.” Wtejże chwili, kołysane przez bałwany, ruchome massy wpadały i kruszyły twarde jeszcze lody. To puszczanie i topnienie lodów postępowało tak nagle, że dźwigająca ich ławica, nawpół stopniała od gorąca i napadana nieustannie połączonemi usiłowaniami wiatrów i prądów, o mało nie ugięła się pod ciężarem karawany i nie rzuciła ich w bezdenne otchłanie. Zwyciężano niesłychane trudności i przeszkody aby dostać się pod ten stopień szero-

kości, a nadzieja odkrycia spodziewanéj ziemi jak mgła się rozwiała. „Tak więc, mówi daléj Wrangel, po trzech latach bezmiernych prac i trudów, podjętych w pośród niewysłowionych przeszkód, trzeba się było wyrzec zamierzonego celu, nie osięgnąwszy nagrody za poniesione niebezpieczeństwa i najróżnorodniejsze prywacye! Cała pociecha żeśmy spełnili wszystko, co tylko honor i obowiązek nakazywał."

Było to 23 marca a już poza 70 stopniem, lody zupełnie puszczać zaczęły.

Wrangel przytacza jeszcze jednozgodne spostrzeżenia Tatarinow'a, Hedenstrom'a, Anjou, Leontiew'a, i ztąd wnioskuje o istnieniu nieustającéj *Polivii* czyli otwartego morza, zaczynającego się na północo-zachód wysp Kotelnoy i zwracającego się na południowschód, aż do przylądka Yakau.

Wrangel musiał powracać, ponieważ poszukiwał koniecznie ziemi, do któréj pragnął dostać się saniami, lecz też same rozległe przestrzenie wody co powstrzymały jego pochód, ułatwią właśnie posuwanie się wyprawy francuzkiéj, która mogłaby z łatwością przebyć *znaki Wrangel'a* opuszczając wolne wody Behring'a, aby dostać się na Polynię, a ztamtąd do bieguna północnego.

Wszystkie te fakta zdają się dowodzić, że istnieje morze podbiegunowe wolne od lodów, a w takim razie projektowana przez p. Sherard Osborn wyprawa saniami, nie przedstawia widoków powodzenia, zatém chodziłoby tylko o wybór drogi jaką okręt mógłby z najmniejszém niebezpieczeństwem dopłynąć do bieguna.

Jeśli rzucimy okiem na labirynt wysp, kanałów i zatok, rozciągających się na północo-zachód morza Baffińskiego, sąsiedztwo ziem i odrywających się od nich gór lodu, czyniłoby tę drogą bardzo niebezpieczną. „Każdy okręt, mówi Mac-Clure, zapędzony na północ i wschód wysp Parry na kotlinę podbiegunową, musi koniecznie zostać strzaskanym!" Zdanie to podziela w zupełności Scoresby, a smutny los tylu okrętów zaginionych na tych strasznych przestrzeniach, powinien odstręczać od chęci próbowania téj drogi w celu dostania się do bieguna.

Pomysł Parry'ego aby przebić sobie drogę w pośród ławic lodu, ciągnących się od Grenlandyi do Spitzberga, zdaje się zakrawać na mrzonkę, pomnąc, na liczne bezowocne, przedsiębrane w tym kierunku pokuszenia. Możnaż myśleć o przebiciu zapory lodowéj na 250 mil grubéj, gdzie nieustannie tak straszne panują burze?

Też same zarzuty możnaby stawić przeciw drodze obranéj przez wyprawę niemiecką, pragnącą dostać się do bieguna między Spitzbergiem i Nową-Ziemią, gdzie rozbiły się dzielne usiłowania Willonghby'ego, Baretz'a, Hudson'a, Wood'a, Lutkeg'o, o jedno z najmocniejszych ogniw pancerza podbiegunowego. Mimo całéj potęgi *galf-stream'a* tak wysławianéj przez p. Petermana, olbrzymia ta ławica zaledwie doknięta jego działaniem, i nawet podczas lata lody piętrzą się tu do niezmierzonéj dotąd głębokości. Nadto, jeśli prawda jest, że kilka okrętów dostało się kiedyś poza 82 stopień,

to powodzenie to przypisać należy wyjątkowemu puszczeniu lodów, gdyż te wybrzeża Nowéj-Ziemi, na które dość daleko posunęła się *la Recherche* w 1839 r. były niedostępne przez wiele następujących po sobie pór letnich. Niepodobna więc narażać na pewną niemal zgubę ludzi i okrętów, oczekujących całe lata na jakieś przypuszczalne puszczenie lodów, które mogłoby zrobić wyłom w grubéj ławicy, ale przeciwnie należy wybierać o ile można najmniéj niebezpieczną drogę do bieguna.

Z tego tytułu wiele zdaje się przemawiać za przesmykiem Beringa, bo drodze téj nie można zarzucić ani uprzednich niepowodzeń, ani tych niezliczonych trudności, jakiemi na piérwszy zaraz rzut oka inne są najeżone. Nie ma tu ani *cie-bergs'ów*, ani niebezpiecznych prądów. Podróże Wrangel'a dowodzą, że w wielu punktach ławica lodu jest tu jakby tylko cieńkim ekranem, dzielącą zaledwie przez kilka mięsięcy wolne nurty Polywii od wód morza Bering, uczęszczanego corocznie przez licznych wielorybników. P. Gustaw Lambert obrał drogę mającą doprowadzić go do bieguna, wspierając się na wskazówkach pozostawionych przez Wrangel'a i na własnych postrzeżeniach, gdyż sam zrobił wycieczkę dla zbadania tych okolic. Przebywszy cieśninę Beringa co najwcześniéj w lipcu, zamierza skierować się na zachód, przepłynąć przylądek Serdze, następnie przylądek *Północ-Cook'a* najdalszy punkt do jakiego dotarł wielki ten żeglarz; tu znalazłby się w pośród ruchomych szczątków ławicy, wśród których możnaby kierować okrętem, rozsadzając prochem lub przerzynając piłami rozleglejsze zapory. Tak dostałby się na wolne morze, przepłynąłby okrętem punkta gdzie zbyt cienkie i płytkie lody nie dozwoliły Wrangel'owi posuwać się na saniach, i nareszcie dopłynął tak aż do bieguna.

Oto jeden jeszcze fakt przemawiający za drogą wiodącą przez cieśninę Beringa.

W miesiącu sierpniu 1867 r., Long, kapitan amerykański, dowódzca statku *Nil* udającego się za połowem wielorybów, wpłynął na morze podbiegunowe, i mógł bez wielkich przeszkód zbliżyć się o dziesięć mil tylko od miejsca, z którego Wrangel widział wielką przestrzeń wody wolnéj, w miesiącu marcu 1823 r. Wracając, rozpoznał rozległą ziemię, pokrytą zielenią, na któréj igrały morsy i foki, o blizko 70 mil na północ przylądka Yakau. Fakta te stwierdzają opowiadania wszystkich wielorybników, którzy zwiedzali te okolice w miesiącu sierpniu r. 1867, a szczególniéj kapitan Labasle, dowódca okrętu *Winslov*. Z pozoru zdawało się że ziemia ta musi być zamieszkałą, co zgadzałoby się z tradycyami przechowującemi się w pośród mieszkańców wybrzeży syberyjskich.

W liście swoim ogłoszonym w *Monitorze handlowym* z Honolulu, z d. 18 stycznia r. z., kapitan Long radzi trzymać się następującéj drogi. Posuwać się wybrzeżami Azyi, poczynając od cieśniny Bering aż do przylądka Reconanoci lub téż do przylądka Czelagskoi; ponieważ lód topnieje najpierw ku wybrzeżom, a liczne

prądy wody spowodowane topnieniem śniegów popychają lód na północ, i w ten sposób tworzą po nad brzegiem wolne przejście, które okręt, zwłaszcza posiłkowany parą, z łatwością przebyć może. Poza przylądkiem Yakau, lód kieruje się od ziemi ku północy i bywa unoszony przez owe prądy rozpraszające go po wolném morzu Wrangel'a, w dość oddalonych od siebie bryłach, w skutku czego okręt może żeglować tam bezpiecznie. Od pewnego punktu, między przylądkami Recounaï i Chelagskoï, należy kierować się z północy na północo-zachód, o ile lody dozwolą, aż na północ wysp Laakhow, gdzie zaczynają się dać uczuwać skutki prądów pochodzących od rzek Azyi północnéj. Ztamtąd już, stosownie do okoliczności, płynąć prosto do bieguna lub do wysp Spitzbergu. Że przepływ z oceanu Spokojnego na Atlantyk, da się przywieść do skutku jedną z dróg powyżéj wskazanych, wierzę tak niezachwianie, jak tylko można wierzyć w fakt mający dopiero nastąpić."

Przedstawiliśmy w krótkości obecny stan poszukiwań nad zbadaniem bieguna północnego. Wszystko spodziewać się każe, że niezadługo może jakiś szczęśliwy i śmiały żeglarz przepłynie te tajemnicze przestrzenie, odkryje, może nawet zamieszkane ziemie, o których istnieniu nic dotąd nie wiemy, i na krańcach świata stwierdzi potęgę działalności człowieka. Nauka oczekuje wielkich rezultatów jakie się niewątpliwie dadzą wyciągnąć z badań i dostrzeżeń czynionych pod biegunem, a postęp teoryi, oddziaływa zawsze i na praktykę; wyprawa zaś która piérwsza da nam poznać najodlejglesze, zupełnie nieznane krańce ziemi, niezatartemi zgłoski zapisze się w dziejach ludzkości. I słusznie, bo czyliż marynarze żadnym osobistym nie wiedzeni interesem, narażający się nieustannie na najstraszniejsze niebezpieczeństwa, czyliż więc ci przodownicy postępu, ci bohatérowie pokoju, podnoszący moralną i intellektualną stronę narodów, nie więcéj zasługują na niespożytą sławę i wdzięczność współbliźnich, niż najznakomitsi nawet wojownicy? Wszak chwała ich nie skalana krwią i łzami współbraci, a geniusz ludzkości nie potrzebuje opłakiwać tryumfów, z których nauka i moralność tak bujne zbierać może plony.

*J. B.*

# LAURELLA.

(PAWŁA HEYSE'GO).

---

Słońce jeszcze nie weszło, a nad szczytem Wezuwiusza unosząca się zasłona mgły, owiewa Neapol i spływa na miasteczka porozsiewane nad brzegiem morza.

Na wodnóm przestworzu głęboka panuje cisza, tylko na przystani pod nadbrzeżną skałą na któréj wznosi się Sorrento, ruch wielki i ludność rybacka już się tam krząta: jedni zajęci przyciąganiem łodzi z zatopionemi dnia poprzedniego sieciami, inni szykują się do wycieczki, zaciągają żagle na maszty lub wynoszą wiosła z groty, gdzie składają na noc przybory rybackie.

Zajęcie jest ogólném; nawet niezdatni już do żeglugi starzy rybacy stoją tłumem przed chatami, udzielając rady lub pomocy uszykowanéj w ogromne koło młodzieży, która ująwszy wyprężone liny ciągnie niewód do lądu, na płaskich zaś dachach chat siedzą stare niewiasty i przędą, wiążą sieci lub zajmują się wnuczętami, podczas gdy córki pomagają mężom przy pracy.

— Czy widzisz, Rachelko naszego proboszcza?—rzekła staruszka siedząca przed kołowrotkiem do dziesięcioletniéj dziewczynki, —wsiada on właśnie do łodzi, by go Antoni przewiózł do Kapri. Ależ na Boga! jakże księżulek jeszcze zaspany.

To mówiąc ukłoniła się księdzu, który podjąwszy starannie poły swéj sutanny i rozłożywszy je na ławie, rozsiadł się wygodnie w bacie.

Na widok proboszcza zawieszono chwilowo pracę, by go powitać i przyjąć zarazem uprzejme jego pozdrowienia, które słał na wszystkie strony.

— Ale, proszę babci, po cóż jeździ nasz proboszcz do Kapri?— zapytało dziecko. Czy tam nie mają księdza, że go od nas pożyczają?

— Co téż ty mówisz!—zawołała staruszka. Pełno tam księży i kościołów, jest nawet i pustelnik, którego nam brak: inna jest przyczyna podróży dobrego naszego księżyny. Na wyspie Kapri

mieszka pewna bardzo zamożna matrona, która niegdyś podczas chwilowego swego pobytu w Sorrento rozchorowała się mocno. Lekarze ją już odstąpili i nasz proboszcz dysponował ją na śmierć. Ale Przenajświętsza Panna podźwignęła ją z łoża boleści tak, że była w stanie używać tu morskich kąpieli, czém się uleczyła zupełnie. Wówczas ofiarowała znaczną summę dukatów kościołowi i ubogim naszego miasteczka, i nie opuściłaby nas była wcale, bez obietnicy księdza że pozostanie i nadal jéj spowiednikiem, tak szczególne zyskał w niéj zaufanie! My zaś dziękujemy Bogu za proboszcza, mającego tak wielką wziętość u dostojnych panów jak gdyby był biskupem. Niechże go Matka Boska prowadzi? I znowu słała ukłony ku łodzi, mającéj właśnie odbić od brzegu.

— Czy będzie nam służyć pogoda, mój synu?—zapytał ksiądz, niedowierzająco spoglądając w tę stronę zatoki, gdzie ukrywał się we mgle Neapol.

— Jeszcze nie wybiło się słońce — odpowiedział młody chłopiec—ale ono przecież pokona tę odrobinę mgły.

— Płyńmy więc żeby przybyć przed skwarem!

Już chwycił Antoni wiosło by strącić łódź od brzegu na pełne morze, gdy zwrócił oczy na stromo wijącą się między parkany winnicę, wiodącą z Sorrento ścieżką, kędy schodziła wysmukłéj postaci wieśniaczka. Spiesząc do czółna starała się skinieniem chustki wstrzymać jego odjazd.

— No... czegóż czekasz? — zapytał ksiądz.

— Zdaje mi się że zbliżająca się dziewczyna chciałaby również być przewiezioną; to kilkunastoletnie dziecko nie zaważy tyle żebyśmy z jéj przyczyny popłynęli wolniéj, więc może ksiądz proboszcz pozwoli...?

W téj chwili ujrzał i ksiądz ukazującą się pod parkanami winnic dziewczynę.

Ubogą miała odzież, lecz nakazujące wejrzenie, a głowę tak dumnie wzniesioną, że krucze warkocze które wieńczyły jéj skronie zdawały się być diademem królewskim.

— Ach! to Laurella! — zawołał ksiądz. Pocóż ona jedzie do Kapri.

Młody chłopak niemém odpowiedział poruszeniem ramion.

Tymczasem zbliżała się dziewczyna coraz więcéj do przystani, gdzie powstał wesoły okrzyk:

— Cho, Żyża! Dzień dobry ci czułku! złośnico dumna!

Dziewczę milczeniem wzgardy przyjęło powitania, co jeszcze więcéj drażniło rybaków i tylko obecność proboszcza wstrzymała ich od dalszych żartów.

— Dzień dobry, Laurello? zawołał i proboszcz. A to co? Jedziesz do Kapri?"

— Jeśli ojciec pozwoli?

— O to nie pytaj się mnie, tylko Antka. On właścicielem łodzi, a każdy z nas panem jest swojéj własności, tak jak Bóg Panem nas wszystkich.

— Masz tu przewozowe; —rzekła Laurella do młodego wioślarza, którego dotąd unikała spojrzenia.

— Tobie grosz potrzebniejszy jak mnie, —odparł chłopak zajęty przygotowaniem dla niéj siedzenia, usuwając na bok pełne kosze pomarańcz, które wiózł na sprzedaż do Kapri— gdyż plon tych owoców na skalistéj wyspie nie odpowiada potrzebom licznych przybyłych.

— Jużci téż nie pojadę zadarmo, —odpowiedziała dziewczyna marszcząc czarną brew.

— Ej! co tam, chodź tylko moje dziecko i siadaj —łagodził ją proboszcz. — Nie tak wielkie to rzeczy, że poczciwy ten chłopak nie chce się zbogacić twém ubóstwem.

— Siadajże tu przy mnie, dodał, podając jéj rękę, —patrzno, wysłał ci nawet miejsce własnym kaftanem. Oho — filucie! mnie tak nie przysługiwałeś się wcale, ale co to u młodzieży: więcéj dbają o jedną dzieweczkę, jak o sto duchownych panów. No, no tylko się nie tłumacz, proszę cię Antku. Alboż to starzy nie dosłyszą głosu natury? Wiem ja przecież że w tem zrządzenie boskie, gdy swój garnie się do swego.

Tymczasem wskoczyła Laurella do łodzi, milcząc usunęła kaftan i usiadła przy księdzu.

Antoni nie spojrzał na kaftan, nie wyrzekł słowa, zwrócił się do steru, a wiosła odniosły ich szybko od brzegu.

Gdy już łódź bujała po morzu iskrzącém się teraz pierwszemi promieniami zorzy, rozpoczął ksiądz na nowo rozmowę:

— No i cóż tam masz w paczce?

— Troszkę jedwabiu, nici i bochenek chleba. Ojcze! Jedwab' sprzedam kobiecie umiejącéj tkać zeń wstążki, a drugiéj nici.

— Samaś je uprzędła?

— Tak, mój ojcze?

— Zdaje mi się żeś się uczyła tkactwa?

— Tak jest ojcze, lecz matka moja coraz słabsza, tak że mi ją odstąpić trudno, a niestać nas na własne krośna.

— Jakto? znów gorzéj? Wszak nie leżała już gdym was odwiedzał koło Wielkanocy.

— Matka zawsze niedomaga na wiosnę, a odkąd zaczęły się burze, trzęsienia ziemi, obłożnie jest chorą.

— Więc nie ustawaj w modłach, dziecię moje! Módl się — ale i pracuj! Praca bowiem zapewnia pacierzom wysłuchanie. Po chwili milczenia dorzucił: — Nazwano cię Żyżą, gdyś się ukazała na grobli portowéj. Zkądże ten przydomek? Pięknież to żeby chrześcianka która powinna być pokorną, łagodną, zasługiwała na podobne przezwanie?

Czarne oko dziewczęcia zaiskrzyło się, a śniade jéj lica oblały się żywym rumieńcem.

— Szydzą ze mnie ponieważ nie dzielę ich zabaw. Przecież i nie narzucam się im mojemi troskami, więc mogliby mnie zostawić w spokoju, doprawdy.

— Zawsze powinnaś być miłą w obejściu się, chociaż ci nie tak lekko na duszy, jak tym co się bawią. Dobre słowo przystoi i znękanym. —Dziewczę opuściło głowę i zmarszczyło brwi jakby chciała za niemi schować swe oczy.

Głębokie nastało milczenie.

Łódka zwijała się po modrym krysztale, słońce wznosiło się coraz wyżéj, zniknęły tumany osłaniające już tylko podnóże Wezuwiusza; szczyt jego kreśli się na błękitnem tle niebios; białe domki Sorrentu przeświecały przez ciemną zieloność drzew pomarańczowych.

— Czy już nie słychać o owym malarzu z Neapolu, który się starał o ciebie?—zapytał ksiądz wznawiając przerwaną na chwilę rozmowę.

Laurella odpowiedziała tylko skinieniem głowy.

— Podobno on przybył wówczas celem zrobienia twego portretu? Dlaczegóż nie zezwoliłaś na to?

— Cóż jemu po moim portrecie! Tyle jest piękniejszych odemnie.... Jeszcze byłby gotów zaczarować mnie, mając mój wizerunek; lub zgubić moją duszę, albo téż zwołać na mnie nagłą śmierć, — dobrze, że mnie ostrzegła matka.

— Nie wierz téż tak grzesznemu twierdzeniu, dziecię moje—odparł ksiądz z wielką powagą! — Tyś w ręku Boga, bez którego wiedzy nie spadnie ci ani włosek z głowy; miałżeby On stracić wszechwładzę swę w obec człowieka śmiertelnego z twoim portretem w ręku?

Zresztą powiedz sama, czyżby człowiek działający w złéj wierze, chciał się żenić z tobą?

Dziewczę zamilkło.

— I dlaczego żeś mu odmówiła? wszak był uczciwy, nawet przystojny. a w każdym razie zapewniłby tobie i matce twéj lepszy byt niżeli praca rąk twoich.

— Jesteśmy ubodzy — odparła dziewczyna z żywością. Oprócz tego matka moja, ciągle złożona jest chorobą — więc byłybyśmy mu tylko ciężarem. Zresztą czyż mogłabym być żoną tak wielkiego pana? czyż nie wstydziłby się za mnie przed swymi przyjaciółmi?

— Ale cóż za myśl! przecież ja ci mówię, że to był szlachetny człowiek a nawet miał się i przesiedlić do Sorrentu: czegóż więc było się obawiać? Oj, poczekasz ty długo, moje dziecię, nim się zjawi drugi taki jak on, wyraźnie jakby wam z Niebios zesłany na pomoc.

— To i owszem, bo ja wcale nie chcę wyjść za mąż — mruknęło dziewczę.

— Czyś uczyniła ślub jaki? Może chcesz wstąpić do klasztoru?

Laurella poruszyła głową przecząco.

— Widzę że sąd ludzi o tobie jest sprawiedliwym, bo do czegóż doprowadzi taki upor? Zapomniałaś dziewczę, żeś nie sama na

świecie, że dodajesz swój matce cierpienia w chorobie odpychając każdą przyjazną dłoń, coby wam była podporą. Cóż cię powoduje do takiego postępowania, powiedzże mi?

— Mam przyczynę—rzekła zwolna, jakby wahając się. —Ale doprawdy wypowiedzić jéj nie mogę.

— Jakto nie możesz? Nie ufaszże mnie, twojemu spowiednikowi, w którego życzliwość przecie wierzysz, a może nie? No — odezwij się przecie?

Laurella skinęła głową.

— Więc ulżyj twemu sercu, moje dziecko! Jeżeli masz racyą, chętnie ci to przyznam, w przeciwnym zaś razie pożałujesz kiedyś, jeżeli dla dziecinnych może uprzedzeń, wyrzekłaś się szczęścia.

Laurella rzuciła okiem na młodego chłopca, który wiosłem nagląc łódkę do biegu, siedział z głęboko nasuniętą czerwoną czapeczką na głowie, jakby w ciężkiéj zadumie.

Postrzegłszy kierunek spojrzenia Laurelli, nachylił się ksiądz, by jéj ułatwić wyznanie.

— Ksiądz proboszcz nie znał mego ojca?—szepnęła dziewczyna z ponurym wyrazem na twarzy.

— Nie... wiem tylko żeś straciła ojca będąc jeszcze dzieckiem. Niechaj mu wieczny pokój świeci — on przecie nie winien twojemu uporowi.

— Ale winien że matka chora.

— Jakimże to sposobem?

— Bo ją tyranił i bił i deptał nogami.—O! pamiętam te okropne nocy, gdy rozwścieczony wracał do domu. Daremne były usiłowania matki by mu dogodzić, uspokoić, ułagodzić go: on ją katował a mnie serce pękało z bolu. Płacząc chowałam głowę pod kołdrę i sądzono żem uśpiona głębokim snem, że nie wiem o niczém co się dzieje; a kiedy matka znękana biciem upadła, przestraszony chwytał ją na ręce, obsypywał tysiącznemi pieszczotami, i byłby ją zadusił pocałunkami, gdyby matka nie wołała gwałtu. Matka pokrywa te zajścia milczeniem, a jednak wycierpiała tyle że dotąd nie może przyjść do siebie. A jeśli, co Boże uchowaj! matka moja zamrze przed czasem, któż będzie jéj mordercą?

Zeznanie to wprawiło księdza w zadumę, pokręcał głową, nareszcie rzekł:

— Laurello! Przebacz mu jak to uczyniła twoja matka, odwracaj nawet myśli od tych obrazów smutnéj przeszłości, a zobaczysz że nadejdą i dla ciebie lepsze czasy, które te zatrą w pamięci.

— Nigdy! o nigdy, — odparła dziewczyna wzdragając się. —Nie mogę zapomnieć tych scen i dlatego właśnie postanowiłam zachować imię i serce dziewicy do grobu. Tym sposobem uniknę równie czułości jak obelg, które matka moja zmuszona była znosić od męża, kochając go. Dlatego nie chcę pokochać nikogo, nie chcę dla niczyjéj miłości tak przypłacić zdrowiem jak ona.

— Jakie też dziecko z ciebie, Laurello — doprawdy mówisz tak, jak gdybyś dziś przyszła na świat. Alboż to wszyscy mężowie równi twemu biednemu ojcu? Jestże to już tak koniecznèm, żeby mąż wywierał złość swą na żonie? Sama przecież musisz znać nie jedno szczęśliwe stadło — wszak prawda? Przyznaj się tylko, Laurello!

O obejściu się mego ojca także nic nie wiedzieli sąsiedzi. Matka moja wolała była skonać pod jego razami, niż go oskarżać przed kimkolwiek. Wszystko to z wielkiego doń przywiązania.... Ach! skoro taka jest natura miłości, że zamyka usta tym, co powinni wołać ratunku, skoro ona nas zostawia bez broni w obec postępowania jakiegobyśmy nie znieśli od naszych wrogów, to wolę wcale nie oddawać mego serca.

— A ja ci powtarzam żeś dziecinna, bo mówisz sama nie wiedząc co?— Czy sądzisz, że kiedy przyjdzie na ciebie czas, serce twe spyta się głowy: kochać lub nie? Wówczas upadnie wszystko, co postanowisz obecnie.

I dodał po przerwie:

— A owego malarza, czy także posądzałaś że źle się z tobą obchodzić będzie?

— Onto właśnie miewał taki wyraz oczu, jak mój ojciec, gdy przepraszał, całował i ściskał matkę. O, znam ten wzrok: nie złudzi mnie jego słodycz, bo wiem że ją umieją przyjąć ludzie co mają serce znęcać się nad kobietą. Aż mnie dreszcz przejął, gdym taką słodycz ujrzała na nowo.

Odtąd już Laurella milczała ciągle, Proboszcz zaś, chociaż przypominał sobie różne przypowiastki mogące się zastosować do niéj, wstrzymywała ją od dalszéj rozmowy obecność młodego przewoźnika, który pod koniec spowiedzi mniéj zdawał się być obojętnym na wszystko, co się w około działo jak z początku.

Dwie godziny trwała przeprawa.

Stanąwszy u celu, przeniósł Antoni księdza na swoich barkach przez płytki brzeg wody, z ukłonem postawił go na lądzie, Laurella zaś nie czekając na jego powrót, wzięła trzewiki w jednę, a paczkę w drugą rękę, podniosła nieco sukienkę i przeszła w bród.

— Zabawię podobno w Kapri — rzekł ksiądz. —Nie czekajże więc na mnie Antku. Najprędzéj jutro wrócę do domu. A ty Laurello, pozdrów matkę odemnie i powiedz jéj, że odwiedzę was w ciągu tego tygodnia. Spodziewam się że przed wieczorem będziesz w domu?

— Zależéć to będzie czy znajdę sposobność — odparła dziewczyna, poprawiając ubranie.

— Wiesz przecież, że ja wracam, —odezwał się Antoni, usiłując głosowi swemu nadać dźwięk zupełnéj obojętności. Zatrzymam się więc aż zadzwonią na Anioł Pański, by cię zabrać; jeżeli zaś nie stawisz się na czas, mniejsza o to, nie obejdzie mnie to wcale.

— Pamiętaj się stawić Laurello! — przerwał mu ksiądz.—Jakżeby twoja matka przepędziła noc bez ciebie! W którą stronę pójdziesz? Czy daleką masz przed sobą drogę?

— Idę do winnicy w Anakapri.

— Ja zaś udaję się do Kapri, a zatém w inną stronę. Niechże cię Pan Bóg prowadzi dzieweczko! I ciebie mój synu!

Laurella pocałowała księdza w rękę i wyrzekła krótkie pozdrowienie, mogące się zastosować do obydwóch; lecz Antoni nie przywłaszczył sobie ani cząsteczki z krótkiego „bądźcie zdrowi,” i tylko skłonił się księdzu.

Ale gdy odwrócili się oboje, powiódł Antoni chwilkę tylko wzrokiem za księdzem odchodzącym zwolna i ostróżnie po zwirze nadbrzeżnym, dziewczynę zaś długo ścigał oczyma.

Laurella wspinała się zrazu szybko po ścieżce, która wiła się pomiędzy skalne bryły, ale wnet zatrzymała się jakby dla wytchnięcia i spojrzała poza siebie, zasłaniając sobie dłonią, rażone blaskiem słońca oczy.

U stóp jéj jasne rozpostrzeniało się morze, w około niebotyczne piętrzyły się skały, a nad nią najczystszy błękit nieba: widok to był godzien zachwytu.

Lecz zrządził przypadek, że wzrok jéj przeleciał daléj i spoczął nad przystanią, gdzie czekała łódka Antoniego i wejrzenie dziewczyny spotkało się z jego wejrzeniem.

Schwyceni na uczynku, skinęli oboje ręką jakby spostrzegając popełnioną niechcący omyłkę, a dziewczyna oddaliła się z zachmurzoném obliczem, więcéj nie oglądając się wcale.

---

Dopiero upłynęła godzina od południa, a Antoni czeka już dawno na ławie pod rybacką karczmą.

W widocznym jest niepokoju, chwili nie może dosiedzieć na miejscu: to zrywa się i śledzi drogę prowadzącą do miasteczek rozrzuconych po wyspie, to staje i śledzi bieg słońca.

Przed gospodynią karczmy twierdził, że pogoda wątpliwa, że pomimo przezroczystości atmosfery, barwa nieba i morza złowrogą, że w końcu niedawno w podobny dzień ledwie zdążył przed burzą, przewieść znaną jéj zapewne angielską rodzinę.

Lecz gospodyni nie przypomniała sobie bynajmniéj ani tego wypadku, ani tych Anglików.

— No, mniejsza oto—rzekł Antoni—ale to pewno, że wspomnisz jeszcze moje słowa, jeśli się dziś zmieni pogoda.

— Czy dużo jest przybyłych w Sorrento?—zapytała kobieta po chwilowém milczeniu.

— Zjeżdżają się dopiéro; zwłaszcza przybywający dla kąpieli morskiéj ociągają się z przyjazdem.

— A bo późna w tym roku wiosna: ale, ciekawam też wiedzieć, czy lepsze dla was były czasy jak dla mieszkańców Kapri?

— Wysyłany kiedy niekiedy z listem do Neapolu, lub najęty przez signorów chcących wędkę zarzucić na morzu: nie mógłbym się zdobyć na makaroni choć dwa razy w tydzień, gdybym jedynie żył z zarobku, co mi przynosi moja łódka. Ale słyszeliście przecież o moim stryju, o jego zamożności, i o jego lasach pomarańczowych? otóż on zapewnił mnie, że póki w nim życia, nie dokuczy mi biéda; a o mojéj przyszłości, również obiecywał pomyśleć, — tym więc sposobem przetrzymałem zimę za pomocą Bożą.

— A czy ma on dzieci, wasz stryj dobrodziéj?

— Gdzie tam! Nawet nigdy nie był żonatym, tylko jeździł po świecie i robił majątek! Teraz zamierza urządzić na wielką stopę zakład rybołówstwa, a mnie postawi na czele.

— No, to wam tylko powinszować, Antku!

Młody rybak wzruszył ramionami.

— Ej! dajcie temu pokój: każdy ma swój krzyż do dźwigagania, — rzekł i zerwał się znowu.

Czemu, kiedy zna się na pogodzie, ogląda się Antoni na wszystkie strony, chociaż zwiastuny burz ukazują się zawsze z jednéj tylko strony?

— Ot, wiesz co, mój Antku, przyniosę ci jeszcze butelkę wina na rachunek stryjaszka.

— Proszę tylko o jeden kieliszek! Już teraz kręci mi się w głowie, — tak mocne wasze wino.

— Ale nie rozpala krwi, bądź o to spokojny: patrz, zbliża się mąż mój, będziesz Antku miał towarzystwo.

W istocie z sieciami zawieszonemi przez plecy, z czerwoną czapeczką na kruczych wijących się włosach, ukazał się przystojny właściciel szynku na drodze, wiodącéj z góry gdzie leży Kapri. Wracał on ztamtąd dostarczywszy ryb na przyjęcie proboszcza z Sorrentu.

Jeszcze zdaleka witał młodego rybaka, a gdy usiadł przy nim, zaczęła się żywa rozmowa.

Gospodyni stawiała właśnie drugą butelkę krajowego wina na stole, gdy dało się słyszeć echo zbliżających się kroków i za chwilę rybacy ujrzeli Laurellę wracającą z Anakapri.

Po lekkim ukłonie stanęło dziewczę, jakby wahając się co począć.

Antoni podskoczył w górę mówiąc pospiesznie:

— Czas mi w drogę. Muszę odwieźć dziewczynę, która przyjechała dziś z rana z księdzem proboszczem, a pragnie na noc wrócić do matki.

— No, no jeszcze daleko do nocy! Przecież wam nie pilno, żeby dziewczę nie pokrzepiło się naprzód winem. Prędzéj, żono! Podaj kieliszek.

— Nie, dziękuje wam, ja nie pijam wina, — odpowiedziała Laurella niezbliżając się do stołu.

— Ej, co tam, nalewaj tylko żono, a pewnie wypije. Da się przecież namówić.

— Próżna wasza fatyga, ona twardą ma głowę, — wmięszał się Antoni.—Kiedy raz powie „nie," to i święty jéj nie przekona.

To mówiąc uścisnął ręce gospodarzom na pożegnanie, pobiegł do brzegu, a skoczywszy do łodzi odczepił łańcuch — co wszystko wykonał w jednéj chwili, a potém stanął spokojnie oczekując na dziewczynę.

Ta, skłoniwszy się raz jeszcze gospodarzom karczmy, poczęła wolnym krokiem zchodzić z grobli, wyglądając ciągle więcéj towarzyszów przeprawy.

Lecz brzeg był pusty. Rybacy spali już lub byli jeszcze na łowach, kobiety z dziećmi siedziały przed chatami, to drzemiąc, to przędąc, podróżni zaś którzy przejechali z rana celem zwiedzenia wyspy, czekali tam chłodu wieczornego do powrotu.

Wreszcie nie zostawiono Laurelli czasu do namysłu i wyczekiwania. Antoni ujął ją silną dłonią i przeniósł do łodzi, która w tejże chwili odbiegła wybrzeży.

Dziewczę siedziało na przodzie, kibić i twarz obrócone bokiem do przewoźnika.

Bujne jéj włosy spadały na zmarszczone brwi, z pod których ponuro spozierała przed siebie: ściśnięte usta i drżące nozdrza podwyższały zwykły wyraz jéj twarzy, pełny energii i surowości.

Chwilę płynęli w głębokiém milczeniu, nareszcie Laurella wydobyła chleb z chustki i zasłoniła nią głowę od palących promieni słońca, a następnie będąc bez obiadu, zaczęła spożywać chleb.

Antoni spostrzegłszy to, wyjął parę pomarańcz z koszów, które z rana wiózł napełnione z Sorrento; podając rzekł:

— Nie podejrzywaj mnie, bym je chował dla ciebie: przypadkiem stoczyły się z kosza na dno łodzi i dopiero wracając z próżnemi koszami spostrzegłem to: proszę cię więc, przyjmij do chleba.

— Czemuż ich sam nie zjesz? Mnie i chleb wystarczy.

— Laurello! Chodziłaś daleko po skwarze: ochłódźże się temi owocami!

— Podano mi szklankę wody, to mnie już orzeźwiło.

— Jak się ci podoba—w końcu, odpowiedział Antoni wrzucając owoce do kosza.

Zamilkli oboje. W około nich głęboka panowała cisza i cicho i spokojnie unosiły ich morskie tonie.

Po chwili odezwał się Antoni na nowo:

— To przynajmniéj dla matki zabierz te pomarańcze.

— Jest jeszcze dosyć tego w domu, a gdy wyjdzie zapas, kupię więcéj.

— To nie przeszkadza byś i te ofiarowała matce odemnie,

— Ależ moja matka nie zna ciebie wcale.

— Więc powiedz jéj kto jestem.

— I mnie jesteś nie znany!

Nie pierwszy to raz zapierało się dziewczę jego znajomości. Właśnie przed rokiem gdy ów malarz przybył do Sorrentu, bawił się Antoni pewnego dnia z młodymi towarzyszami na placu przy głównéj ulicy. Tamże ujrzał malarz po raz pierwszy Laurellę, przechodzącą obojętnie z dzbanem wody na głowie. Malarz uderzony jéj widokiem stanął zachwycony nie pomnąc, że się znajduje w gronie młodzieży grającéj w boccia. Dopiero trafiony kulą w nogę spostrzegł się, że nie właściwe obrał miejsce do marzeń, obejrzał się tylko z podziwieniem, a widząc groźne oblicze młodego rybaka, który doń był wymierzył, odszedł nie domagając się przeproszenia, by uniknąć kłótni.

Sprawa ta nie zatarła się w pamięci mieszkańców Sorrentu i różne z niéj wyciągano wnioski, zwłaszcza gdy malarz począł się starać otwarcie o Laurellę; ale właśnie wówczas zapytana przez malarza, czy go odprawia dla miłości niegrzecznego młokosa, odpowiedziała dumnie, że go nie zna wcale, chociaż pewnie umiała go rozeznać od drugich, po rozgłosie jaki mu zjednało zajście z malarzem.

Jednakże teraz siedząc naprzeciw siebie w łódce, wyglądali oboje na śmiertelnych wrogów, a serca ich biły jak na trwogę. Twarz Antoniego nosząca zwykle cechę rzadkiéj dobroci była mocno zarumienioną, usta jego drżały jakby w gniewie, a wiosłem siekł tak gwałtownie fale, że piana pryskała mu w oczy. Ona starała się być zupełnie obojętną; to wychylona z łodzi poruszała ręką w wodzie, to zdjęła chustkę z głowy, rozpuściła swe krucze warkocze, których zajęła się uwiązaniem, jak gdyby zupełnie była samą.

Lecz drganie brwi, próżne usiłowania zwilżoną dłonią ochłodzić palące skronie, zdradzały wewnętrzne wzruszenie.

Tak wypłynęli na środek morza, byli sami — w około ani śladu żagli, ni masztów, nawet ptastwo morskie gnieżdżące się w nadbrzeżnych skałach nie przerywało ciszy i samotności.

Wyspa znikała im już z oczu, a przed niemi, rozigrane w promieniach słonecznych bieliły się domki Sorrentu.

Antoni śledził nieskończoność morza i nową uderzony myślą pobladł i opuścił wiosło. Laurella spojrzała nań z wyrazem wyczekiwania, lecz bez trwogi.

— Ha! trudno — zawołał rybak z goryczą — raz temu trzeba położyć koniec! Nacierpiałem się już dosyć, a żem wytrwał, to istny cud boży. Mówisz że mnie nie znasz? Alboż wyszło ci z pamięci, ileś razy mnie omijała, gdym z przepełnionem sercem zbliżał się do ciebie, a oziębłém twém przyjęciem zostawał pozbawiony zmysłów?

— Nie wdawałam się z tobą w rozmowę własnie dlatego, żem odgadła co mi masz powiedzieć, a nie chcę narażać się złym językom, bez potrzeby; wiedz bowiem, że ani ty, ani nikt inny nie będzie mym mężem.

— Nikt inny? Nie wmawiaj mi tego: odprawiłaś wprawdzie malarza, ale to nic nie dowodzi, bo wtenczas byłaś jeszcze dzieckiem. Później jednak, gdy się uczujesz osamotnioną, gotowaś, szalona, pójść za pierwszego lepszego co ci się natrafi.

— Być może, trudno ręczyć za przyszłość; lecz gdybym i zmieniła zdanie, cóż tobie do tego?

— Jakto? — krzyknął młodzieniec stając jednym skokiem w pośrodku łodzi, która poczęła się kołysać na obie strony. — I ty śmiesz się pytać co mnie obchodzisz! i to po mojém wyznaniu! O! bodajby ten zdechł jak pies, któremu ty będziesz przychylniejszą jak mnie.

— Kiedyż ja tobie ślubowałam? — proszę! Gdzież są moje przysięgi? Mojaż to wina, że pomięszane masz zmysły? Jakież ty do mnie masz prawa?

—Oho!—wołał z wzrastającą namiętnością. —Chcesz żebym to miał czarno na białém? przyznaném przed rejentem — żeś moją? Ja ci powiadam że lepszą mam pewność praw moich do ciebie, bo taką samą jak do nieba, jeśli nań zasłużę. I to jeszcze jest pewném że nie myślę doczekać się chwili, w której z innym staniesz przed ołtarzem, i żeby dziewki patrzyły na mnie z ukosa. Nie zniosę takiego wstydu!

— A róbże ty sobie co tylko chcesz. Wstydź się, lub nie, jak ci się spodoba, lecz i ja jestem woli mojéj panią i nie dbam o twoje pogróżki.

— Tak mowisz? No—zobaczymy! Wszystko ma swoje granice, i ja nie pozwolę dłużéj byś twym uporem zatruwała mi życie. Teraz jesteś w mojéj mocy i musisz mi być powolną.

Dziewczę zadrżało, a przeszywając go wzrokiem rzekła zwolna:

— Zabij mnie, jeśli masz odwagę.

— Nie—odpowiedział cich m głosem —oboje pomieścimy się w morzu. Nie ma rady, biédne a. iecię, ciągnął daléj na wpół litośnie, nawpół bezprzytomnie, — musimy zginąć i to razem, i to zaraz, dodał z przeraźliwym krzykiem, obejmując ją ramieniem.....

Lecz wnet opuścił rękę — zakrwawioną ukąszeniem Laurelli.

— Aha, to ja ci muszę być powolną? A co—czy jestem w twéj mocy?—to mówiąc przeskoczyła krawędź łodzi i zanurzyła się w toni.

W oka mgnieniu jednak wypłynęła na powierzchnią.

Suknia jéj przylgła do ciała, włos czarny skąpany wisiał w nieładzie, a ona silném ramieniem rozcinając fale dążyła do brzegu.

Antoni oniemiał z przerażenia. Podniósł się w czółnie: postać wyniosła podana naprzód, ręce wyciągnięte, źrenica utkwiona w dziewczynę, nadawały mu pozór człowieka, któremu cud się objawia.

Nagle wstrząsł się cały, rzucił się do wioseł i łódka pomknęła się za Laurellą jak strzała. Wiosłował zbierając wszystkie siły bez względu na ból w ręku, bez względu na upływ krwi, która

zalała dno łodzi — i pomimo pośpiechu dziewczyny doścignął ją lotem błyskawicy.

— Madre de Dio! Do łodzi, wracaj do łodzi, Laurello! Ocal swe życie — zlituj się! Nie dla siebie cię błagam, dla mnie nie ma przebaczenia... jam był szalony! w mych piersiach piekło, mózg się zapalił, nie wiedziałem com mówił, com czynił, i tylko Bogu jednemu wiadomo co mnie opętało, ale ty nie daruj mi grzéchu, tylko powróć do łodzi

Lecz dziewczę głuche na jego błaganie płynęło wciąż.

— Nie dopłyniesz do lądu; jeszcze dwie miglie masz przed sobą, opadniesz z sił: utoniesz! Ach! pamiętaj o swéj matce: umarłaby z rozpaczy.

Laurella zmierzyła okiem przestrzeń która ją dzieliła od brzegu, poczem nic nie rzekłszy zwróciła do czółna i ręką chwyciła się burtu. Przechyliła się] łódka i kaftan Antoniego wpadł z ławy do wody. Antoni podał jéj rękę, wskoczyła do łodzi i siadła na dawném swém miejscu: Antoni wiosłował daléj.

Niebawem, wykręcając mokrą suknię i wytrząsając wodę z włosów, spojrzała Laurella w łódkę, i spostrzegła krew. Rzuciła okiem na rękę, która tak silnie robiła wiosłem jak gdyby nigdy nie była ranną, chociaż krew się lała strumieniem; milcząc podała mu chustkę, on tylko potrząsł głową wiosłując nieustannie. Nareszcie wstało dziewczę, zbliżyło się do rybaka; obwiązała mu rękę i pomimo jego odporu, sama jęła się jednego wiosła.

Siedząc naprzeciw niego, unikała wszakże jego spojrzenia, lecz nie spuszczała oka z wiosła zbroczonego krwią.

Oboje byli bladzi i milczący, a gdy bliżéj lądu spotykali się z łodziami rybaków, którzy swe siecie zarzucali na noc, nie odpierali ani słowem, ani wejrzeniami ich zaczepki.

Wreszcie dobili do brzegu.

Laurella otrząsła sukienkę wysuszoną już prawie powiewem morskiego powietrza i wyskoczyła z łodzi.

Staruszka która zrana przędąc na dachu była świadkiém odjazdu Antoniego, teraz wstała na jego przybycie:

— Cóż się to stało z twoją ręką, Tonino? Maria Santissima! Cała łódź we krwi?

— Ej, to nic, kumo — odparł młodzieniec.

— Skaleczyłem się tylko, gwoździem, gdzieś wystającym ale przeklętą mam jakąś krew.

— Przyłożę ci zioła, poczekajno, Komparello, już idę.

— Nie trudź się kumo, bardzo proszę. Rana już opatrzona. Jutro nie będzie jéj ani śladu, ani pamięci: zdrową mam skórę.

Tymczasem Laurella pożegnawszy rybaka zdaleka udała się górną drogą, Antoni zajęty koszami odpowiedział nie patrząc na nią: „Addio" i po kamiennych wschodkach wszedł do swéj chatki.

Domek był pusty, po dwóch izdebkach zamyślony przechadzał się rybak.

Samotność uspakajała go nieco, a przez szczeliny drewnianych okiennic, które służyły zamiast szyb, wiejące powietrze orzeźwiało go więcéj niżeli panująca na morzu cisza.

Po chwili zbliżył się do obrazu Matki Boskiéj i długo wpatrywał się nabożnie w światłokrąg wycięty z papieru i naklejony na około Jéj oblicza; nie modlił się jednak, bo i o cóżby prosił, gdy utracił wszelką nadzieję?

Światło dzienne nużyło go. Pragnął ciemności, spoczynku, będąc utratą krwi bardziéj osłabionym niżeli sam przypuszczał. W ręku czuł rwanie i ból, usiadł więc i zwolnił chustkę; zatamowana nią chwilowo krew trysnęła na nowo, ręka znacznie napuchła i dopiéro po długiém przemywaniu, chłodzeniu wodą, tyle doświadczył ulgi, iż mógł się zastanowić nad śladami które zostawiły zęby Laurelli.

— Słusznie zostałem ukarany, rzekł sam do siebie. Jutro odeszlę jéj chustkę przez Giuseppy, bo sam jéj już nie chcę widzieć." To mówiąc obwiązał ranę na nowo, a chustkę Laurrelli wypłukawszy starannie suszył na słońcu, poczém rzucił się na posłanie i zamknął oczy.

Księżyc który wschodząc świecił mu na poduszkę i odzywające się na nowo cierpienie w ręku, obudziły go z dosyć długiego drzymania.

Właśnie miał się podnieść by uśmierzyć bicie pulsów zimną wodą, gdy usłyszał szelest w sieni; zdziwiony powstając, zapytał kto tam? i otworzył drzwi: przed nim stała Laurella.

Nie pytając się o pozwolenie weszła do izby, zrzuciła chustkę pokrywającą jéj głowę, postawiła koszyk na stole i odetchnęła całemi piersiami.

— Przychodzisz po swą chustkę—uprzedzał Antoni jéj słowa: lecz mogłabyś była oszczędzić sobie tego zachodu, gdyż miałem uprosić Giuseppy by ją tobie wręczył ze świtem.

— Mniejsza o chustkę, — odparła z żywością. Uzbierałam po górach gojących ziół i te przynoszę ci właśnie."

To mówiąc zdjęła pokrywkę z koszyka.

— Nie potrzebnie się trudziłaś!—odpowiedział Antoni bez goryczy w głosie. Mnie już znacznie lepiéj, a gdyby nawet ręka i bolała, to przecież cierpiałbym słusznie, a ty nie powinnaś tu być o téj porze! Uchowaj Boże, żeby cię tu kto spotkał, — wszak wiesz że oddawna wzięto nas na zęby, chociaż ludzie sami nie wiedzą co plotą.

— Nie troszcz się o sąd ludzki,—odparła mówiąc coraz gwałtowniéj;—pokaż tylko rękę, bym ją opatrzyła: sam nie dokonasz tego."

— Powiadam ci że nie potrzeba.

— Więc na dowód pokaż mi ranę, — i mówiąc to, wzięła go za rękę, ostrożnie odwinęła szmatki i krzyknęła z przerażenia:

— No prawda, jest maleńkie obrzmienie, ale to przejdzie, — uspakajał Antoni.

Laurella smutnie potrzęsła głową.

— Zobaczysz że przed tygodniem nie będziesz w stanie dotknąć się wiosła.

— A ja myślę że najdalej pojutrze wypłynę znowu na morze: jeśli zaś nie, to w tém nie tak wielkie nieszczęście.

Laurella zaczęła się krzątać. Najprzód wyszukała miednicę, potém przemyła mu ranę i obłożyła ją uśmierzającemi ziołami, które mu natychmiast przyniosły ulgę, a w końcu związała mocno rękę kawałem płótna przyniesionóm umyślnie do tego użytku.

Antoni posłuszny jak dziecko pozwalał jéj wszystko robić, czém myślała ulżyć jego cierpieniu, nareszcie odezwał się do niéj:

— Dzięki ci, Laurello; lecz jeśli chcesz wyświadczyć mi większą jeszcze łaskę, to daruj i zapomnij moje dzisiejsze z tobą postępowanie. Sam nie wiem, co mnie napadło; lecz w każdym razie nie twoja w tém wina. Nigdy też już nie usłyszysz słówka odemnie lub o mnie, coby cię mogło zranić.

— Ależ to ja powinnam przepraszać ciebie, — przerwało mu dziewczę. Jam winna, bo nie chciałam się rozmówić z tobą jak się należy, tylkom cię drażniła półsłówkami, albo milczeniem — a na dobitek rana...

— Ta rana, to jedyne szczęście. Oną to mnie upamiętała w samą porę, a obroniła ciebie. Zresztą jest ona zupełnie nic nie znaczącą, i przepraszać nie masz za co. Za twoje przyjście jestem ci bardzo wdzięczny, lecz czas ci już wracać do domu. Ale, ale zabierz swoją chustkę: niech ona lepiéj nie leży u mnie.

Pomimo tego Laurella zwlekała wyjście, nie wzięła chustki i po chwilowéj wewnętrznéj walce rzekła:

— Antoni, z mojéj przyczyny straciłeś kaftan, a w kieszeni musiały być uzbierane za pomarańcze pieniądze: to wszystko przypomniałam sobie w drodze dopiéro. Nie jestem w stanie wynagrodzić ci tych strat poniesionych z mojéj winy, bo jak wiesz, jesteśmy ubogie, a do zarobku mego, matka ma najpierwsze prawo; lecz oto patrz, mam jeszcze złoty krzyżyk w podarunku od malarza.

Gdy przyszedł nas pożegnać, położył go na stole; mnie widok jego zawsze nie był miłym, a że matka mówiła wówczas, iż on wart kilka piastrów, sprzedając go powetowałbyś sobie choć w części stratę. a resztę może ci zwrócę przędąc nocami, gdy matka zaśnie.

— Nie przyjmuję, — rzekł Antoni prędko usuwając krzyżyk który dobyła z kieszeni.

— Musisz go przyjąć koniecznie. Kto wie jak długo zostaniesz bez zarobku z powodu skaleczonéj ręki. Weź, proszę cię, krzyżyk, ja nań już i patrzyć nie chcę.

— To wrzuć go do morza.

— Przecież to nie dar żaden, tobie się więcej należy z prawa.

— Z prawa! Albo to ja mam jakie prawo do czegobądź co zwie się twoim? Nawet jeśli się kiedy spotkamy, to proszę cię, nie patrz na mnie, żebym nie myślał że przypominasz mi ilem tobie zawinił. A terazże, bądź zdrowa — i koniec na tém.

Złożył starannie chustkę i krzyżyk do kosza, i miał go jéj wręczyć, gdy spostrzegł zalane gorącemi łzami oblicze Laurelli.

— Maria Santissima! krzyknął przerażony: — „Co tobie? Czyś chora? Czego drzysz cała?

— Nie zważaj na to, odpowiedziała, zwracając się ku drzwiom; lecz wtém gwałtowny ogarnął ją płacz i wsparta o próg zaniosła się głośném łkaniem. Antoni przyskoczył do niéj, chcąc ją wstrzymać, bo już miała przestąpić próg izby, gdy nagle płacząca Laurella rzuca mu się na szyję.

— Próba ta przechodzi moje siły, —wołała, tuląc się doń, jak konający do życia. Nie mogę znieść twojéj dobroci, nie będąc jéj wartą. Każesz mi odchodzić z ciężarem na sumieniu, oj! lepiéj, byś mnie bił, odpychał, przeklinał: wszystko miléj zniosę, niż taką obojętność. Albo, jeśli to prawda, że mnie kochasz, i jeśli mnie kochasz jeszcze, po wszystkiém com ci wyrządziła złego, to weź mnie; jestem twoją: uczyń ze mną co zechcesz a nie wypędzaj w ten sposób.

Mówiła z płaczem i z boleścią, rybak zaś milczał trzymając ją w namiętném uściśnieniu.

— Maria Santissima! Czy ja ciebie kocham jeszcze? — zawołał wreszcie z uniesieniem. Czy sądzisz że przez tę małą ranę wypłynęła wszystka krew mojego serca; a czyż nie czujesz jak ono bije, jak wyrywa się do ciebie? Ale..... Laurello... jeżeli twoje uczucie udane tylko lub rzucone mi z litości. zaklinam cię nie łudź mnie lepiéj, bądź szczerą, jam ci to gotów zapomnieć. Nie zważaj, żem narzekał na brak twéj wzajemności — mówiłem w szale, nieprzytomny, i ty nie masz dla mnie żadnego obowiązku.

— Nie wierzysz w moją miłość, Tonino?— odparło z uśmiechem dziewczę opierając skroń swą na jego ramieniu i zroszoném okiem wpatrując się w niego; a nie domyślasz się że ona właśnie była przyczyną gniewu który ci okazywałam oddawna? — Teraz, kochanku mój! wszystko to się zmieni: nie byłabym téż w stanie omijać cię teraz na ulicy, unikać twego spojrzenia, ale żebyś nie wątpił nadal, weź ten pocałunek od Laurelli, któréj ust nikt jeszcze nie dotknął: ty jesteś pierwszym, bo ty będziesz jéj mężem.

Trzy razem powtórzyły się pocałunki, poczém uwalniając się z jego objęcia dodała:

— A teraz dobra noc, kochanie moje. Śpij, śpij spokojnie, pielęgnuj rękę swą, a o mnie nie troszcz się. Ja pojdę sama do

domu. Dawniéj obawiałam się tylko ciebie, dziś już nikogo się nie lękam.

To mówiąc wymknęła się przez drzwi i znikła w cieniu murów. Antoni zaś stanął przy oknie i długo patrzał na niebo i morze, gdzie kołysały się gwiazd tysiące.

---

Wkrótce potém, ksiądz proboszcz wyszedłszy z konfessyonału przed którym klęczała Laurella, spojrzał na nią i słodki uśmiech rozpromienił jego twarz.

No! ktoby pomyślał, mówił do siebie, że się Pan Bóg tak rychło ulituje nad tém biedném sercem. A ja jakżem sobie wymawiał żem był zbyt pobłażliwy, żem zamało skarcił jéj upór. Lecz któż ze śmiertelnych dojrzy drogę Opatrzności?

Niechże ich Pan Bóg błogosławi a mnie dozwoli dożyć tego, żeby mnie pierworodny syn Laurelli przewoził przez morze w następstwie ojca. Ej, ej! Laurello!"

# GEOGNOZYA KRAJOWA.

Kilka uwag o najnowszych badaniach geognostycznych w południowo-zachodnich okolicach Królestwa Polskiego, oraz na Szlązku i w Galicyi

Przemysł górniczy na Szlązku, który w ostatnich czasach doszedł do wysokiego stopnia rozwinięcia, potrzebował racyonalnéj podstawy, opartéj na ścisłych badaniach geognostycznych. Uznając tę potrzebę rząd pruski polecił ułożenie mappy geognostycznéj Górnego Szlązka, a kierunek nad jéj wykonaniem został poruczony p. Roemerowi z Wrocławia. Zaraz po rozpoczęciu prac przy układaniu téj mappy przekonano się, że chcąc wszechstronnie zbadać pokłady występujące na Szlązku, nie można było się zatrzymywać na granicach politycznych, lecz że należało rozciągnąć badania aż do naturalnych granic skał. W skutek tego oprócz Górnego Szlązka zostały zbadane pograniczne okolice Szlązka Austryackiego, Galicyi i Królestwa Polskiego. Rezultaty tych badań zostały pomieszczone na 12 sekcyach mappy wykonanéj na skalę 1 do 100 tysięcy.

Mając nie dawno sposobność zwiedzenia okolic Królestwa polskiego i Szlązka, na téj mappie objętych, jak rownież obejrzenia okazów, skał i skamieniałości przy układaniu jéj zebranych i w gabinecie uniwersytetu wrocławskiego pomieszczonych, zamierzyłem w krótkości przedstawić ostateczne rezultaty tych badań, ograniczając się o ile możności do okolic Królestwa, jako najlepiéj mi znanych.

Do wnoszenia geognostycznych szczegółów w okolicach Królestwa była użyta dawna mappa sztabowa. Mappa ta wykonana na skalę 1 do 126 tysięcy, została cokolwiek powiększona, bo skala mappy ułożonéj przez badaczy pruskich, jak to wyżéj było powiedziane jest 1 do 100 tysięcy.

Z Królestwa Polskiego mieszczą się na mappie okolice graniczące na południe z Galicyą, na zachód z Prusami; od wschodu

zaś są ograniczone południkiem przechodzącym nieco na wschód od miasta Pilicy a od północy linią prostopadłą do południka przechodzącą przez miasteczko Lututów. Tym sposobem okolice Olkusza, Sławkowa, Dąbrowy, Żarek, Siewierza, Koziegłów, Częstochowy i Wielunia zostały objęte na mappie i pod względem geognostycznym zbadane.

Z dotychczasowych mapp geognostycznych téj okolicy znane są: Puscha pomieszczone przy jego dziele: „Geognostische Beschreibung von Polen" i p. Hempla przedstawiającéj tylko okolice Dąbrowy; nie mówiąc o dawnych mappach Szlązka, na których zamieszczano południowo-zachodnie okolice Królestwa, zwykle na zasadzie mapp Puscha, wszystkie te mappy nie mogą iść w porównanie z wykończoną obecnie. Mappy Puscha wykonane przed trzydziestą kilkoma laty, należą już do historyi nauki, a oprócz tego jako wykonane staraniem jednego, chociaż utalentowanego i wielkiéj pracy człowieka, nie miały nigdy ścisłości. Mappa p. Hempla pod względem geognostycznym przedstawia wiele do życzenia, a przy geognostycznych pracach p. Zejsznera o téj okolicy mappy wcale nie zostały przyłączone. Tym sposobem nowa geognostyczna mappa téj okolicy jest nabytkiem wielkiéj wartości, niezmiernie rozszerzającym pojęcia o geognostycznéj budowie téj części kraju. Opis pod względem geognostycznym okolic na mappie pomieszczonych, nie jest jeszcze dotychczas ukończony. Zbierając jednak wiadomości pomieszczone w ostatnich kilku latach przez p. Roemera w *Zeitschrift d. deutschen geologischen Gesellschaft* i dodając do nich to co można znaleźć w dziele Ecka, jednego z współpracowników przy układaniu nowéj mappy, pod tytułem: *Ueber die Formationen des bunten Sandsteins und des Muschel Kalks in Oberschlesien und ihre Versteinerungen*, można sobie utworzyć dosyć jasne pojęcie o téj pracy.

Ważne także wiadomości można powziąć z przewodnika, przy zwiedzaniu gabinetu geognostycznego w uniwersytecie wrocławskim, przez p. Roemera wydanego, przy opisie bowiem okazów zebranych przy układaniu mappy, napotyka się wzmianki wyświetlające niektóre szczegóły.

Dotychczasowe badania nie wykazały w okolicach Królestwa na mappie objętych pokładów wcześniejszych od należących do formacyi węglowéj.

Na nowéj mappie są oznaczone w trzech miejscach skały Dewońskie, p. Roemer podaje w tym względzie następujące wiadomości Na północ od wsi Dziewki odległéj od Siewierza o $^3/_4$ mili znajduje się wzgórze składające się z szarego, zbitego wapienia, wydającego przy uderzeniu mocny bitumiczny zapach. Wapień ten obfituje w skamieniałości, które jednak trudno od niego oddzielić. Najpospolitsze są. Stromatopora polymorpha i Cyatophyllum hexagonum. Rzadzéj napotykają się Heliolites porosa i Calamopora polymorpha. Skamieniałości te przekonywają, że się ma do czynienia ze skałami Dewońskiémi, nie możnaby jednak

oznaczyć do którego należą piętra, gdyby się nie udało wynaleźć szczątków Stringocephalus Burtini, w skutek czego wynika przekonanie że te skały należą do średniego oddziału formacyi Dewońskiéj, znanego w Niemczech pod nazwiskiem Eifeler Kalk. Wspomniane wzgórze jest otoczone skałami należącemi do wapienia muszlowego. Przy Nowéj-Wiosce leżącéj na południo wschód od Dziewek, napotyka się pagórek składający się z ciemnego dolomitu, w którym znajduje się mnóstwo walcowatych pręcików Calamopora, które przekonywają że i tu także jest skała Dewońska. Trzeci punkt, w którym jest oznaczona formacya Dewońska, leży blizko kolei żelaznéj w Zawierciu; znajduje się tam dolomit. podobny do opisanego przy Nowéj Wiosce, w którym jednak nie udało się wynaleźć żadnych szczątków organicznych. Pomimo to p. Roemer zalicza go do skał Dewońskich, opierając się na jego petrograficznych własnościach, takich samych jak dolomitu przy Nowéj Wiosce. Wiadomości o skałach należących do formacyi węglowéj zostały również wieloma danemi dopełnione.

Na nowéj mappie skały te są podzielone na dolne ubogie w węgiel i wierzchnie bogate w niego. Linia podziału idzie z południo-wschodu na północo zachód, w niewielkiéj na północ od Dąbrowy odległości. Grube więc pokłady węgla w Dąbrowie znajdują się prawie na granicy bogatéj i ubogiéj części formacyi węglowéj.

P. Degenhardt, który przy rozkładzie czynności miał sobie poruczone opracowanie mappy geognostycznéj części Królestwa Polskiego, wynalazł w przekopie kolei żelaznéj Warszawsko Wiedeńskiéj, na wschód od wsi Gołonoga położonym w piaskowcu, skamieniałości formacyi węglowéj, należące do fauny morskiéj. Warstwy zawierające takie skamieniałości zostały również w wielu miejscach na Szlązku wynalezione.

W wspomnionym przekopie znaleziono dotychczas następujące skamieniałości: Chonetes Hardreusis Streptorhynchus crenistria, Bellerophon Urii, Orthoceras undatum, Phillipsia mucronata i Littorina obscura.

Wynalezienie warstwy zawierającéj szczątki istot organicznych morskich jest ważne z tego powodu, że może posłużyć do ścisłego z téj strony oznaczenia granicy zagłębia węglowego. Warstwy te należą w każdym razie do spodniego oddziału formacyi węglowéj obfitującéj w węgiel; północno wschodnia granica zagłębia węglowego nie powinna więc być daleko od Gołonoga. Wynalezienie skał Dewońskich w okolicy Siewierza w zupełności to potwierdza. Można więc teraz z pewnością utrzymywać, że poszukiwania na węgiel prowadzone na północo-wschód od Gołonoga a tém więcéj na północ od Siewierza, nie mogą mieć pomyślnego skutku.

Pojęcia o skałach należących do formacyi Permskiéj, w skutek nowych badań uległy także zmianie. Na mappach Puscha nie

ma nigdzie w téj okolicy oznaczonych skał formacyi Permskiéj i dopiéro na mappie p. Hempla występują po raz piérwszy. Porównywając jednak mappę p. Hempla z nowo przygotowaną, można się przekonać że w tych miejscach gdzie u p. Hempla są oznaczone pokłady Permskie, na nowéj mappie jest pstry piaskowiec. Do takich miejscowości należą między innemi podstawy dwóch gór panujących nad Dąbrową: w Gołonogu i Grodźcu, składające się z iłów i piaskowców zafarbowanych na czerwono. Do formacyi zaś Permskiéj na nowéj mappie są zaliczone: gruboziarniste piaskowce, porfirowe tufy i konglomeraty z wapienia górnego (Bergkalk) występujące w kilku miejscach na północ od Strzemieszyc. Do skał tego wieku należy zaliczyć porfir również na nowéj mappie oznaczony cokolwiek na wschód od przekopu, w którym wynaleziono skamieniałołości morskie formacyi węglowéj. Zwiedzając miejsce gdzie jest na mappie oznaczony porfir, można napotkać odłamki téj skały porozrzucane na polu. Sądząc z tych kawałków nawpół rozłożonych należałoby przypuszczać że to będzie ten sam porfir euritowy co i w Miękini w Galicyi. Ponieważ jednak w skutek badań p. Roemera zostało dowiedzione, że porfir w Miękini ukazał się na powierzchni wtenczas kiedy łupki formacyi węglowéj nietylko zostały utworzone ale nawet podniesione do dzisiejszego położenia, porfir więc jest młodszy od formacyi węglowéj. P. Roemer opierając się na własnościach petrograficznych tego porfiru, uważa go za równoczesny z porfirami wypchniętémi na powierzchnią w czasie tworzenia się spodnich warstw formacyi Permskiéj (Rothliegende). Obecność porfirowych tufów i ich stosunek do konglomeratów podobny do napotykanych w innych okolicach nadaje temu domysłowi jeszcze większy stopień pewności. Tak więc dziś nie może już być wątpliwości o znajdowaniu się w Królestwie Polskiem porfiru, jedynego u nas przedstawiciela skał ogniowych. Miejsce gdzie się znajduje porfir leży o pół wiorsty od kolei żelaznéj, jest więc dosyć dogodne do utworzenia łomu téj tak użytecznéj w budownictwie skały. Należy się więc spodziewać że porfir galicyjski będzie musiał wkrótce wytrzymywać z tutejszym konkurencyą.

Skały należące do pstrego piaskowca są podzielone na nowéj mappie na dwa oddziały.

1. Spodni składający się z piaskowców, piasku i czerwonych iłów, jest dosyć ubogi w skamieniałości; według Ecka znaleziono w nim tylko Lingula tenuissima i Pecten, którego gatunku nie można było określić.

2. Wierzchni składający się z margli dolomitowych dolomitów i czerwonych iłów. Oddział ten sądząc ze skamieniałości w nim zawartych, trzeba zaliczyć do wierzchnich warstw pstrego piaskowca znanych w Niemczech pod nazwiskiem Röth; najgłówniéj o tém przekonywa często napotykana Myophoria costata. Według Ecka znaleziono dotychczas w tych warstwach 12 gatunków skamieniałości charakterystycznych dla piaskowca pstrego,

Obydwa oddziały piaskowca pstrego znajdują się np. u stóp wspomnionych wyżéj gór w Gołonogu i Grodźcu.

Do najlepiéj opracowanych przy układaniu nowéj mappy, przynajmniéj do dziś należą skały wapienia muszlowego. Monografia o wapieniu muszlowém p. Ecka jest tak wyczerpującą, że nie pozostawia nic do życzenia. W dziele Ecka jest tylko mowa o części wapienia muszlowego znajdującéj się na Szlązku, można jednak w nim znaleźć wiele objaśnień i co do części napotykanéj w Królestwie Polskiém.

Do czasu badań podjętych przy układaniu nowéj mappy, wapień muszlowy na Szlązku i w pogranicznych okolicach Królestwa Polskiego i Galicyi dzielono na trzy oddziały: 1. Spodni, do którego zaliczano wszystkie wapienie starsze od dolomitów 2. Średni składający się wyłącznie z dolomitów, w których nieznano skamieniałości. 3. Wierzchni składający się z wapieni młodszych od dolomitów i zwanych Opatowickiemi, od miasteczka Opatowice na Szlązku. Taki podział można było napotkać wszędzie, gdziekolwiek była mowa o tutejszym wapieniu muszlowym. Na mappach jednak Puscha są tylko oznaczone piérwsze dwa piętra, bo w czasie ich wydania, wiek wapienia opatowickiego nie był dostatecznie oznaczony.

Badania przy nowo ułożonéj mappie, przez pracowite zebranie i umiejętne określenie skamieniałości rozszerzyły niezmiernie poprzędnie pojęcia. Rozultaty tych badań są następujące: skały należące do wapienia muszlowego tak jak i w innych okolicach można podzielić na trzy piętra: spodnie, średnie i wierzchnie.

## I. Spodni wapień muszlowy.

Granice spodniego wapienia w porównaniu z oznaczonémi dawniéj zostały rozszerzone, bo w skutek zebranych skamieniałości okazuje się, że do niego trzeba przyłączyć i dolomity, które dotychczas były uważane za oddzielną całość.

Rozszerzone tym sposobem spodnie piętro wapienia muszlowego zostało podzielone w następujący sposób zaczynając od spodu.

### A. *Skały równoczesne, ze spodnim falistym wapieniem* (*Wellenkalk*).

W Niemczech u podstawy formacyi wapienia muszlowego znajdują się wapienie, z przyczyny swéj budowy nazywane falistemi (Wellenkalk). Opierając się na skamieniałościach, wapieniom tym odpowiadają na Szlązku i w Królestwie Polskiém.

*a*). Wapień dziurkowaty, brunatny, szary lub czerwonawy, zawierający często szpat wapienny i rogowiec. Wapień ten dosyć ubogi w skamieniałości, pod względem jednak petrograficznym łatwy do odróżnienia, był dotychczas w wielu miejscach pominięty, a w innych nie właściwie zaliczony do dolomitów. Zdaje się, że

Pusch zaliczył go do 5 oddziału skał spoczywających nad tutejszemi rudami, które na nim spoczywają.

*b*) Wapienie mniéj lub więcéj zbite, mające grubsze ławy często zafarbowane na niebiesko. Rogowiec napotyka się w nich rzadko, lecz bardzo często szpat wapienny.

Na nowéj mappie obydwa te oddziały wapieni są oznaczone pod nazwiskiem warstw z Gervilia polyodonta, skamieniałości najczęściéj w nich napotykanéj. Eck nazywa te wapienie warstwami z Chorzowa i Michałkowic, od wsi znajdujących się na Szlązku, gdzie zostały najlepiéj zbadane. Odszukane w nich skamieniałości, których długi szereg wylicza Eck w swojéj monografii, przekonywają dostatecznie o ich równoczesności z znajdującemi się w Niemczech wapieniami falistemi (Wellenkalk).

### *B. Skały równoczesne z wapieniem szumowatym (Schaumkalk.)*

Tu należą skały odznaczające się tém, że oprócz skamieniałości cechujących wapień Schaumkalk zawierają jeszcze skamieniałości alpejskie: Terebratula angusta, Spirifer Mentzeli, Rhynchonella decurtata, nie napotykane w innych oddziałach.

U spodu znajduje się niebieski wapień podstawowy, nazywany tak dlatego że zwykle stanowi spodnią granicę tutejszych rud. Niebieski kolor jego pochodzi z przyczyny znajdowania się w nim części bitumicznych. Wapień ten nie był dotychczas oddzielany od poprzednich, znajdujące się jednak w nim skamieniałości alpejskie nie pozwalają go oddzielać od warstw spoczywających na nim, również te skamieniałości zawierających. Wapień ten we wszystkich miejscowościach ma wszędzie jednostajny charakter, tak pod względem składu jak i własności zewnętrznych.

Nie tak się rzecz ma z następnemi warstwami, które po zachodniéj stronie linii poprowadzonéj od wsi Sowic, niedaleko od Tarnowic położonéj, przez Ptakowice do Biskupic na Szlązku składają się z wapieni, po wschodniéj zaś stronie téj linii całkowicie z dolomitów.

W części wapienia muszlowego występującéj w Królestwie, warstwy te składają się również z dolomitów.

Wapienie napotykane na zachód od powyżéj wspomnianéj linii, Eck dzieli na 4 oddziały, nazwane od miejscowości, w których są najlepiéj rozwinięte, a opierając się na zebranych skamieniałościach uważa te wapienie za równoczesne z dolomitami w wschodniéj częsci wapienia muszlowego występującemi. Skamieniałości odpowiadają napotykanym w Niemczech w wapieniu szumowatym (Schaumkalk) i niektóre z nich jak to wyżéj było powiedziane, są te same, co napotykane w wapieniu muszlowym alpejskim.

Tym sposobem w pojęciach o tutejszych dolomitach, które były dotychczas uważane za zupełnie pozbawione szczątków organicznych, nastąpiła radykalna zmiana.

Warstwy poprzednio wymienione są pokryte przez dolomity, które Eck nazywa dolomitami z Himmelwic. Dolomity te są łatwe do odróżnienia, w skutek znajdowania się w nich mnóstwa szczątków małych walcowatych ciałek, których stanowisko zoologiczne nie dosyć jeszcze zostało zbadane a które Eck radzi nazywać Cylindrum annulatum, zamiast Nullipora annulata, jak je nazywał Schafhaütl.

W wschodniéj części wapienia muszlowego stykają się więc razem dolomity równoczesne z warstwami wapiennemi w zachodniéj części napotykanemi z dolomitami odpowiadającemi występującym w Himmelwic.

W tych więc miejscach dolomity są oznaczone na mappie pod nazwami:

Spodnich warstw z Spirifer Mentzeli.

Wierzchnich warstw z Nullipora cylindrica.

Podział jednak dolomitów w tych miejscach jest sztuczny, bo różnicy trudno między niemi dopatrzéć, tak pod względem petrograficznym jak i paleontologicznym. Zrobiony on jest tylko dla tego żeby pokazać że spodnie warstwy odpowiadają wapiennym w zachodniéj części rozwiniętym. Warstwy zaś wapienne przy układaniu nowéj mappy postanowiono oddzielać od dolomitów, chcąc w tém zapewne uszanować zwyczaj sięgający jeszcze XV wieku, chociażby pomiędzy niemi nie było stanowczych różnic pod względem paleontologicznym.

Wyliczone warstwy dolnego wapienia muszlowego dla większéj jasności można podług Ecka przedstawić w następującéj tablicy:

| | | |
|---|---|---|
| | Dolomit z Himmelwic z Cylindrum annulatum. | Wierzchnie warstwy dolomitu w Tarnowicach, Bytomiu i Król. Polskiém. |
| Warstwy z Spirifer Mentzeli | Warstwy wapienne w zachodniéj części wapienia muszlowego rozwinięte. | Spodnie dolomity w Tarnowicach, Bytomiu i Królestwie Polskiém. |
| Warstwy z Spirifer Mentzeli | Wapień niebieski podstawowy. | |
| | Warstwy z Chorzowa. | |
| | Wapień Dziurkowaty. | |

## II. Średnie piętro.

Składa się z margli dolomitowych, w których nie zdołano wynaleźć skamieniałości. Margle te są bardzo słabo rozwinięte, w Królestwie Polskiem napotykają się w okolicy Chruszczobrodu.

## III. Wierzchnie piętro.

Składa się z wapieni i dolomitów, w których natrafia się wiele szczątków ryb. Eck dla uniknienia nieporozumień wynikłych

wskutek tego że do wapienia Opatowieckiego były przez poprzednich badaczy zaliczane wapienie należące do spodniego piętra wapienia muszlowego, radzi zaprzestać nazywać te skały wapieniem Opatowieckim i nazywa je wapieniami z Rybny.

Na nowéj mappie, są one oznaczone, pod nazwiskiem warstw z Ammonites nodosus.

Z monografii Ecka można się przekonać jak wielka liczba skamieniałości, została wynaleziona w skałach do wapienia muszlowego należących. Jest to najlepszy dowód staranności. z jaką badania były prowadzone, jeżeli wynaleziono tyle nowych rzeczy, w okolicy tak często już badanéj.

Przy układaniu nowéj mappy nie wynaleziono żadnych szczegółów, któreby bardziéj wyjaśniły stosunki kruszców i rud znajdujących się pomiędzy skałami należącemi do wapienia muszlowego. Od czasu jednak Puscha, którego prace służą jeszcze często u nas za podstawę rozumowań o tutejszych bogactwach mineralnych, pojęcia o nich bardzo się zmieniły. Nie będzie więc zbytecznėm kilka słów, w kwestyi tak ważnéj dla naszego przemysłu górniczego.

W pośród skał należących do wapienia muszlowego napotykają się następujące minerały, które są przedmiotem exploatacyi na wielu kopalniach: błyszcz ołowiany zawierający srebro, czerwony i biały galman i ruda żelazna, nie mówiąc o innych, które przedstawiają czysto naukowy interes. Rudy te w wielu miejscach znajdują się oddzielnie: i tak biały galman składający się z marglu przesiąkniętego połączeniami cynku i brunatna ruda żelazna napotykają się w zagłębieniach spodniego wapienia muszlowego, oznaczonego na nowéj mappie pod nazwiskiem warstw z Gervilia polyodonta, jak również w zagłębieniach niebieskiego wapienia podstawowego. Czerwony galman składający się z węglanu i krzemianu cynku zafarbowanych przez rudę żelazną, znajduje się na granicy niebieskiego wapienia podstawowego i spodnich dolomitów i wypełnia kotliny w niebieskiém wapieniu, pokryte dolomitem. Wapień więc niebieski służy mu za podstawę a dolomit za strup, mówiąc językiem gorników. Błyszcz ołowiany często towarzyszy czerwonemu galmanowi, ale także napotyka się i sam w pośród dolomitu, tak jak np. w Tarnowicach na Szlązku. Pusch, obserwując miejscowości w których te minerały znajdują się oddzielnie, podzielił tutejsze rudy na kilka oddziałów. Podział ten nie może się utrzymać, bo rudy po większéj części znajdują się razem. Na jednéj np. z kopalni Szlązkich Szarléj, u spodu znajduje się biały galman, nad nim czerwony z błyszczem ołowianym i rudą żelazną; to samo ma miejsce i na naszych kopalniach Olkuskich. W minerałach tak często natrafiają się skamieniałości i to zawsze takie jak napotykane w rozmaitych warstwach wapienia muszlowego, wpośród których się znajdują. Ze sposobu znajdowania się skamieniałości w minerałach można odnieść przekonanie, że te rudy znajdują się w miejscach poprzednio zajmowanych przez wapienie i dolomity.

Tak więc wszystkie bogactwa mineralne w wapieniu muszlowym trzeba uważać za utworzone jednocześnie i wtenczas kiedy warstwy wapienia muszlowego były już gotowe. Oprócz tego opierając się na fakcie, że w kopalni Gottes-Segen na Szlązku, galman jest pokryty przez trzeciorzędowe gliny, należy przypuszczać, że w epoce trzeciorzędnéj, tworzenie się tutejszych rud musiało być już ukończone.

Co do sposobu powstania tych rud istnieją dotychczas trzy różne teorye. Najstarsza v. Carnalla, którą także i p. Websky podziela, druga Kruga v. Nidda, trzecia Tautschera. W ostatniéj przyjmuje się, że rudy znajdowały się z początku w postaci siarczyków metalicznych w łupkach i spodnich warstwach dolomitów. Następnie kiedy dolomit wskutek działania wody i powietrza zwolna się rozkładał, co wskutek licznych w nim szczelin jest przypuszczalne, blenda cynkowa uległa również rozkładowi i tym sposobem utworzyły się węglany cynku, błyszcz zaś ołowiu został lepiéj jak blenda zachowany.

Krug v. Nidda uważa rudy jako jednoczesne i nie dokładne oddzielone osady źródeł mineralnych, zawierających cynk i żelazo w postaci dwuwęglanów, ołów zaś w postaci chlorku. Źródła te płynęły ku płaskim kotlinom wypełnionym przez dolomity, zbierały się przy wystających w postaci wałów brzegów dolomitu i przeciskały się przez jego szczeliny, nie wchodząc do wapienia podstawowego, oddzielonego od dolomitu warstwami nie przepuszczalnemi. Wskutek takiego stanu rzeczy z jednéj strony tworzyły się, z przyczyny obecności w dolomicie nie wielkiéj ilości siarczanu magnezji, siarczany metaliczne, które przez ciała organiczne zawarte w spodnich dolomitach i iłach, zostały zredukowane i dały początek siarczykom metalicznym: błyszczowi ołowiu, pirytowi żelaznemu i blendzie cynkowéj. Z drugiéj strony roztwory solne spowodowały rozłożenie dolomitu, węglany którego przez kwas węglany źródeł zostały rozpuszczone a na ich miejscu osiadły: węglan cynku, tlenek ołowiu i ruda żelazna brunatna. Przy pokładach rud spoczywających na wapieniu podstawowym, znajdujący się w marglach w wysokim stopniu podzielenia węglan wapna, spowodował również strącenie węglanu cynku, tlenku ołowiu i rudy żelaznéj brunatnéj. Krzemian cynku powstał w skutek działania rozpuszczonéj krzemionki na węglan cynku.

v. Carnall i Websky przypuszczają że węglany żelaza i cynku wchodziły pierwiastkowo do składu dolomitu, w takim razie należy się domyślać, że dolomit zawierał w sobie węglany: wapna, magnezyi, żelaza i cynku, oraz glinę. Z pomiędzy tych składowych części, węglan żelaza został najprzód przez działanie wody zawierającéj kwasorod zamieniony w nierozpuszczalny wodnian tlenniku żelaza. Uwolniony ze związku kwas węglany wypłukał węglan magnezyi i cynku, pozostawiając glinę i rudę żelazną brunatną zawierającą części cynku. Woda nasycona tym sposobem solami cynku opadła w niższe warstwy dolomitu i wapienia podstawowego,

gdzie stykając się z węglanami magnezyi i wapna tworzyła osad węglanu cynku, w tych miejscach gdzie wspomnione węglany zostały rozpuszczone.

Różnica między temi trzema teoryami leży w rozmaitości poglądu, co do dochodzenia połączeń metalicznych. Kiedy bowiem Krug v. Nidda nie oznacza zkąd one pochodzą, v. Carnall i Tautscher uważają je za wchodzące pierwiastkowo do składu dolomitu a mianowicie piérwszy uważa je za chemicznie połączone, drugi za mechanicznie przymieszane. Opierając się na faktach, że w wapieniach i dolomitach, w pośród których znajdują się rudy nie natrafia się albo wcale cynku albo téż nadzwyczaj mało i że te skały są tak zbite, że nie można na chwilę przyjąć żeby co z nich po utworzeniu, mogło być wypłukane, należy przypuszczać: że wszystkie teorye, oparte na mniemaniu, że rudy powstały przez wypłukanie ze skał otaczających, są mało prawdopodobne. Oprócz wspomnionych trzech teoryi znane są także pomysły co do tych rud Bischofa, który również uważa je za powstałe przez wypłukanie i przypuszcza że ich utworzenie się miało miejsce razem z powstaniem dolomitów.

Badania przy układaniu nowéj mappy wyjaśniły ostatecznie wiek pokładów oznaczonych na mappach Puscha pod nazwiskiem formacyi węgli błotnych (Moorkohlen formation). Pod tém nazwiskiem Pusch oznacza: Konglomeraty, iły, piaskowce żeleziste i piaski wraz z węglem napotykanym w iłach południowéj części i rudami obficie znajdującemi się ku północy. Pokłady te znajdują się w okolicach Siewierza, Koziegłów, Panek, Praszki i przechodzą do Szlązka, gdzie w okolicy Woznik Kreuzberga i Oleszna (Rosenberg) znaczne zajmują przestrzenie. W czasie wydania swego dzieła Pusch był zdania, że te warstwy są młodsze od wapieni Jura ciągnących się od Ojcowa przez Pilicę, Żarki, Częstochowę do Wielunia; późniéj jednak zaczął nabierać przekonania, że południowe części tych pokładów odpowiadają formacyi Keuper, nie przedstawiając na to dostatecznych dowodów.

P. Zejszner piérwszy rozpoczął bliższe zbadanie północno-wschodniéj części tych warstw i przyszedł do przekonania zgodnie ze zdaniem w tym względzie Beyricha, że nie są młodsze od wapieni Jura, lecz starsze i że trzeba je zaliczyć do ogniwa Kellowayskiego. Tu należą czarne iły, wpośród których znajdują się warstwy rud i oprócz tego młodsze od nich żeleziste wapienie. Co zaś do czerwonych iłów i slepieńców wapiennych w południowo-zachodniéj części tych warstw napotykanych, to p. Zejszner długo nie podzielał zdania p. Roemera, który je zaliczał do formacyi Keuper, aż nareszcie w roku 1866 sam z tém wystąpił, że je za takowe uważa, nie przedstawiając zresztą żadnych nowych danych.

Systematyczne badania przy układaniu nowéj mappy, obserwacye p. Zejsznera co do wastrw należąch do gruppy Jura rozszerzyły i wyjaśniły; a na poparcie twierdzenia p. Roemera, że południowo zachodnie części téj gruppy pokładów należą do formacyi Keuper zebrano więcéj dowodów.

Po téj historycznéj wzmiance przejdziemy teraz do opisania rozmaitych warstw dawnéj Moorkohlen formation zaczynając od najstarszych.

Na nowéj mappie warstwy należące do formacyi Keuper są podzielone na 4 oddziały.

1. Do pierwszego należą szare i czerwone iły z brunatnym dolomitem i zielonawo-szarym piaskowcem. Sądząc ze skamieniałości wynalezionych poraz pierwszy w tych stronach przez Ecka, warstwy te odpowiadają znanym w Niemczech pod nazwiskiem Letten-kohlengruppe. Według Roemera znaleziono w nich następujące skamieniałości: Hybodus plicatilis, Saurichtys Mougeoti, Gyrolepsis sp. Myophoria vulgaris, Myophoria intermedia. W Królestwie Polskiem spotyka się te warstwy bezpośrednio na wapieniu muszlowym, dosyć jednak słabo rozwinięte.

2. Brunatno-czerwone i pstre iły zawierające białe zbite wapienie, szare lub czerwonawe zlepieńce ze szczątkami ryb i jaszczurów, szaro-zielone kruche piaskowce i cienkie pokłady węgla. W tym oddziale wynaleziono skamieniałości, które najprzód posłużyły do oznaczenia wieku całéj gruppy pokładów, jak np. ząb ryby Ceratodus i odłamek czaszki jaszczura Mastodonsaurus. Oddział ten w Królestwie Polskiém pomiędzy Siewierzem a Koziegłowami zajmuje znaczną przestrzeń. W nimto znajdują się węgle wydobywane w Porębie Mrzygłodzkiéj, węgle z przyczyny których Pusch nadał całéj formacyi nazwisko Moorkohlen formation.

3. Oddział nie znaleziony dotychczas w Królestwie Polskiém składa się z czerwonych i zielonych iłów i margli, zawierających ilaste spherosiderity, w których znajduje się mnóstwo szczątków roślin należących do paproci i cycadeów.

4. Oddział składa się z cienko-warstwowanych piaskowców zawierających płatki miki, napotyka się w nich także warstwy iłów i spherosideritów zawierających wiele szczątków skorupiaka niedawno przez Joues'a nazwanego Esteria minuta. Na nowéj mappie warstwy te są tylko w jednéim miejscu w Królestwie Polskiém oznaczone na kopalni we wsi Stanach, zdaje się jednak że badając bliżéj tę okolicę, można je będzie i w innych miejscach odszukać.

Po pokładach należących do formacyi Keuper następują inne, które ze względu skamieniałości w nich zawartych trzeba zaliczyć do gruppy Jura.

Najprzód trzeba tu wymienić ciemne piaskowce żelaziste, które w dziele Puscha są opisane pod nazwiskiem Eisensandstein i zaliczone także do gruppy Moorkohlenformation. Piaskowce te warstwujące się naprzemian z piaskiem są rozwinięte w okolicy Panek i stanowią ciąg wzgórz zaczynający się od Koziegłów i idący przez wieś Łysice, lasy leśnictwa Krzepice i występujący nakoniec pomiędzy wsiami Przystań i Stany, gdzie przechodzi za pruską granicę. Piaskowce te zostały pominięte w pracach p. Zejsznera o tutejszych skałach należących do gruppy Jura i dopiéro przy

układaniu nowéj mappy udało się określić ich stanowisko geognostyczne. Natrafiono bowiem w okolicy Woźnicz na Szlązku w blokach tego piaskowca, porozrzucanych na polu skamieniałości Pecten personatus i Inoceramus polyplocus, które przekonywają że piaskowce należą do najniższych warstw brunatnego Jura, które w Niemczech znane są pod nazwiskiem warstw z Ammonites Murchisonae. Piaskowce więc należą do najstarszych warstw Jura w téj okolicy.

Postępując ku północo-wschodowi napotyka się najprzód czarne iły, zawierające pokłady spherosideritu, jak np. w Kostrzynie, Praszce, Konopiskach, Gnaszynie i t. d. i następnie piaskowce zawierające brunatne rudy żelazne, jak np. w Pierzchnie, Zajączkach, Truskolasach i t. d. Pokłady te są oznaczone na nowéj mappie pod nazwiskiem warstw z Ammonites Parkinsoni, Pholadomya Murchisoni, Belemites giganteus.

Według p. Zejsznera czarne iły należą do spodniego piętra ogniwa Kellowajskiego, piaskowce zaś z rudami brunatnemi do wierzchniego. Do tego ostatniego zalicza także p. Zejszner żeleziste wapienie oolitowe, które na nowéj mappie są oznaczone pod nazwiskiem warstw z Ammonites macrocephalus. Żeleziste wapienie spotykają się w wielu miejscach, u stóp gór składających się z białych wapieni, jak np. w Pomorzanach, Chorunie, na Jasnéj Górze w Częstochowie, Kłobucku Wieluniu i t. d.

Posuwając się daléj ku wschodowi napotyka się białe wapienie -Jura, zaliczone przez p. Zejsznera do ogniwa Oxfordzkiego, które na nowéj mappie są podzielone na 4 oddziały.

1. Bezpośrednio na oolitach żelezistych znajdują się margle, które nieznacznie przechodzą w wapienie, tak jak np. na Jasnéj Górze w Częstochowie. Margle te i wapienie odznaczające się obfitością Ammonitów z oddziału planulata, są na nowéj mappie oznaczone pod nazwiskiem warstw z Ammonites cordatus; mniejsza odmiana tego Ammonita znajduje się w spodnich warstwach, większa w wierzchnich. P. Zejszner oznacza te warstwy pod nazwiskiem wapienia warstwowego z Ammonites flexuosus. Łomy w Częstochowie prowadzą się w wapieniach należących do tego oddziału.

2. Wapieniowi gąbkowemu spodniemu p. Zejsznera odpowiada na nowéj mappie spodni skalisty wapień, składający się z białych i szarych wapieni, odznaczających się obfitością gąbek: tu należą np. wapienie napotykane pomiędzy Częstochową i Olsztynem.

3. Wapieniowi gąbkowemu wierzchniemu p. Zejsznera odpowiada na nowéj mappie wierzchni skalisty wapień oznaczony pod nazwiskiem warstw z Rhynchonella trilobata; tu należą np. skały, na których znajdują się ruiny w Olsztynie, Smoleniu, Ogrodzieńcu i t. d.

4. Wapieniowi z Cidaris florigemma p. Zejsznera zdaje się odpowiadać na nowéj mappie wapień z Rhynchonella inconstans,

bo jest oznaczony w okolicy Złotego Potoka, gdzie właśnie p. Zejszner znajdował kolce z tego gatunku Cidaris.

Przy układaniu nowéj mappy, objęto i część skał kredowych znajdujących się na wschód od wapieni Jura.

Skały te są podzielone na dwa piętra.

Do spodniego odpowiadającego etage Cenomanien d'Orbigny czyli białéj kredzie. Na nowéj mappie oznaczono je pod nazwiskiem warstw z Belemitella mucronata, Inoceramus eripsii, Baculites Faujasii.

Pojęcia o pokładach trzecio-rzędowych i napływowych napotykanych na Szlązku w skutek badań przy układaniu nowéj mappy, zostały także wieloma nowemi danemi dopełnione; co się zaś tyczy tych pokładów w Królestwie Polskiém, to zdaje się, że nie zebrano nowych o nich wiadomości.

Z tego co się tu powiedziało można odnieść przekonanie: że południowo-zachodnia część naszego kraju została z wielką ścisłością zbadana pod względem geognostycznym. Należy się teraz spodziewać, że nasi geogności, zachęceni tak dobrym przykładem sąsiadów, wezmą się do ukompletowania mappy kraju, bez naszéj pomocy rozpoczętéj. Rozwijający się coraz bardziéj nasz przemysł górniczy, powitałby z wdzięcznością taką pracę.

*W. Kosiński.*

# KRONIKA PARYZKA

## LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Rozmowa z przeszłym rokiem.—„Lessing i Diderot" studyum professora Mezieres.—„Sztuki w wiekach średnich i w epoce odrodzenia" przez pana Lacroix. — Gustawa Doré druga część illustracyi Danta: „Czyściec" i „Raj"—Książki kolędowe.—Słońco-sztych.—„Les Petits Hommes" druga część „komedyi dziecinnéj" przez Ludwika Ratisbonne. —Wiadomości literackie.

Paryż, 2 Stycznia 1869 r.

Roku 1868, wystąp i powiedz coś zdziałał we Francyi dla swobody i oświaty?

— Fabrykowałem Chassepoty.

— A rozwiązał-żeś aby jedną z kwestyj bieżących, niepokojących ludzkość?

-- Nie, ale przygotowałem ich rozwiązanie.

— Jakim sposobem?

— Wynalazłem kartacznice. Francyą tymczasem zostawiłem w mocy prawa drukowego, które posyła dziennikarzy przed sąd Policyi Poprawczéj — i prawa zboru, które mówców pakuje do kozy.

— Zatém, roku 1868, sam przyznajesz żeś nic dobrego nie zrobił?

— Przepraszam! zrobiłem: stan materyalny się nie zmienił, może nawet pozornie gorszy, ale stan moralny znacznie lepszy.

— Roku 1868, wszystko co mówisz może być prawdą, ale może być i fałszem. Jako skąpiec który nic nie dał nikomu za życia, chcesz w nas wmówić że twój testament pełen rozporządzeń wspaniałomyślnych. Dotąd wiemy tylko żeś fabrykował Chassepoty, wynalazł kartacznice, i pakował dziennikarzy do kozy. To twoja rzeczywistość. Czyś co uczynił dla przyszłości? to nam twoi bracia młodzi powiedzą.

Po takim obrachunku z odchodzącym rokiem, czekając plonów z tego zboża, którego siewbą się szczyci — odwróciłem oczy od pochmurnéj rzeczywistości, a podniósłszy myśli w pogodniejsze sfery, zacząłem pisać kronikę literacko-artystyczną.

---

Uwieńczony przez akademią francuzką za *Życiorys Petrarki*, professor literatury Meziéres, wydał teraz pod tytułem „*Lessing i Diderot*" krytyczny rozbiór „*Dramaturgii*" Lessinga i porównanie jego z Diderotem. Zbyteczna mówić, że sąd wypada na korzyść Francuza. Do napisania téj książki, głównie skłoniła autora nieprzychylność Lessinga dla Francyi, która się w Niemczech uwieczniła. Jestto zarazem odpowiedź na dwa ostatnie dzieła niemieckie o dwóch krytykach: ,,*Lessing*, *Sein Leben* und seine Werke, von Adolf Stahr" (Berlin 1868) — ,,Diderot's Leben und Werke von Karl Rosenkranz" (Lipsk 1868).

Lessinga pogląd na literaturę francuzką XVII wieku, jest oceną przyjętą przez niemieckie uniwersytety. Dlatego nie od rzeczy poznać główne zarzuty, jakie czyni Lessingowi Meziéres z paryzkiéj katedry.

Professor francuzki powiada najpierw, że *Dramaturgia* Lessinga jest najlepszém dziełem krytycznèm jakie wydał wiek XVIII —co jednak nie znaczy, żeby wszytkie tam wydane wyroki miały być sprawiedliwe. Bynajmniéj. Dzieło będące celem uwielbienia Niemców, wieleby zyskało żeby je oczyszczono z przesadnych pochwał i namiętnych nagan. Lessing który sam siebie sądził surowo, wart krytyków niepodległych ,,a nie panegirystów, jak Adolf Stahr, ostatni i najpopularniejszy w Niemczech z jego biografów."

Chociaż Niemcy starannie studyowali *Dramaturgią*, zdaniem Meziéra nie rozróżniono jeszcze w tém dziele pojęć fałszywych od prawdziwych — przemijających omyłek od prawd trwałych. Dzieło okolicznościowe, napisane namiętnie pod wpływem jednéj myśli przeważnéj, więcéj dla stoczenia i wygrania bitwy niż dla wprowadzenia prawdy, nie może być doskonałe. Lessing nie pisał *Dramaturgii* jak teoretyk, ale z dnia na dzień, jak tegoczesny felietonista, wedle porządku przedstawień Hamburskiego teatru, którego był urzędowym krytykiem. Dlatego też nie trzyma się żadnéj metody, żadnego planu. Z odegranéj sztuki zdaje sprawę, raz w kilku wierszach, innym razem szerzéj rozwijając myśl swoją. Pełno w tych studyach myśli dowcipnych, głębokich, ale nie ma dokładnéj miary ani ścisłéj sprawiedliwości. Do téj Lessing nie miał nawet pretensyi. Chciał koniecznie wyzwolić Niemcy z pod wpływu francuzkiego smaku: — zedrzeć w oczach ziomków, urok francuzkiéj literatury dramatycznéj. Zawziętość z jaką nad tem zadaniem pracował, nie dozwoliła mu być sprawiedliwym. Trudno wy-

magać spokoju w walce, od człowieka upojonego prochem. W swojém przekonaniu Lessing walczył za ojczyznę, nie wybierając broni, ani obrachowując jak daleko niesie.

Wedle francuzkiego professora, wyroki Lessinga o Francyi, stanowią najsłabszą stronę jego *Dramaturgii.* Obok wielu prawd z których francuzcy krytycy skorzystali, wcisnęły się tam dziwne pomyłki, któreby Niemcy pierwsi wytknąć powinni. Ale kiedy tego nie czynią, Francuz ich zastąpi. Z tych pomyłek Meziéres wskazuje najgrubsze.

Lessingowi komika Destouch'a wydaje się wyższa od Molierowskiéj. Uważa go wyższym od Moliera w rzeczach seryo, a równym w żarcie.

Coby powiedzieli Niemcy — pyta Meziéres — gdyby jaki poważny krytyk francuzki przekładał prozę Willanda nad Goethego — *Agathon'a* stawił nad *Wilhelma Meister'a*? Dziwić się trzeba, że taka herezya nie wywołuje powszechnych reklamacyj w Niemczech — że ci wszyscy co mówią o *Dramaturgii* nie czują się obowiązani protestować przeciw sądowi, którego nigdy żaden umysł wykształcony we Francyi nie podzielał. Zamilczając ten punkt drażliwy, krytycy niemieccy zdają się taić omyłki Lessinga.... Chyba że nie rozumieją niesłuszności takiej oceny. Jakoż wiele germańskich umysłów nie oswojonych z wyższą komedyą, nie pojmujących finezyi języka francuzkiego, nie rozumie o ile Moliere przewyższa Destouch'a siłą języka, komiczną werwą, prawdziwością położeń i naturalnością dyalogu. „Wypada tedy ostrzedz Niemców, że jeżeli za aksiomat przyjmą zdanie Lessinga, Francyi zabraknie szyderstwa na ich wyśmianie.” Po tym następuje wyrzut ważniejszy.

Francuzki professor dla honoru Niemców ma nadzieję, że nie wierzą jakoby Lessingowi łatwo było — jak mówi — napisać na Kornelowskie przedmioty, sztuki *lepsze* niż jego.

Ta przechwała Lessinga, najwięcéj ubodła Meziera. Kto wie czy nie dla jéj zbicia przedsięwziął pracę swoją. Lessing nie miał pojęcia o piękności stylu— a ten główną zaletą utworów Corneill'a. Nie dość ułożyć plan lepszy niż plan tragedyi „*Cynna*,” trzebaby ją jeszcze napisać piękniejszym wierszem. „Czyż niczém, woła Meziéres, sztuka wysłowienia, kształt w jakim myśl się wyraża, czyż nie jest główną częścią piękności myśli, tak jak sposób dania jest częścią dobrodziejstwa. A czyjże styl piękniejszy od Kornelowskiego? Kogóżby wstępującego w jego ślady, do rozpaczy nie przywiodło niepodobieństwo wyrażenia lepiéj uczuć będących duszą jego teatru: rycerskiej miłości, wielkoduszności, wspaniałomyślności i zapału chrześciańskiego. Jakież zmiany planu *Horacego* albo *Polyeuct'a* mogłyby być warte sceny przekleństw Kamilli i Dialogów Pauliny z Severem. Przetwarzać sztuki Corneilla nie będąc Corneilliem, to toż samo co przetwarzać *Iliadę* nie będąc

Homerem, *Eneidę* nie będąc Wirgiliuszem. Coby zostało z wielkich dzieł, gdyby ich można było dotknąć tak lekkomyślnie, jakto Lessing proponuje, gdyby dla zaradzenia błędom, zastępowano poprawką *rozsądną* twory geniuszu. Zgromadźmy pisarzy najrozsądniejszych z całego świata: cała ich mądrość czy nada dziełu życie, blask, piękność trwałą, jaką mu nadaje styl wielkiego pisarza?"

Chociaż to także sąd niezupełnie słuszny, bo styl nie jest trwały, z mody wychodzi jak ubiór, a tylko dusza nieśmiertelna stanowi nieśmiertelność arcydzieła: — to jednak przyznać trzeba, że jest barbarzyństwo w téj przechwałce Lessinga. Znać w niéj dążność germańską, wprost przeciwną smakowi francuzkiemu, dla którego forma jest wszystkiem. Lessing w przesadę wpada chcąc żeby Niemców tylko myśl poruszała, żeby tylko grunt wartość dzieła stanowił: tak jakby nie było różnicy pomiędzy myślą silnie a słabo wypowiedzianą.

Mezieres słuszną czyni uwagę, że kto tak gardzi stylem jak Lessing, nie jest w stanie osądzić sprawiedliwie tragedyi francuzkiéj, któréj zaletą głowną doskonała zgoda pomiędzy językiem a uczuciami. Professor ubolewa nad tém że ani siła Corneilla, ani czułość Racina nie rozbrajają autora *Dramaturgii.* Nie jest im wcale wdzięczny za to że tak pięknie piszą... Nie spostrzega, że Voltaire osłabił późniéj styl dramatyczny: pomiędzy licznemi krytykami które Lessing do niego zwraca, nigdzie mu nie wyrzuca że porzucił w teatrze tradycye wysokiego stylu. „Rzekłbyś czytając Lessinga, mówi Mezieres, że wszystkie tragedye francuzkie równe są sobie — że od *Cyda* do *Meropy* wychodzą z jednéj szkoły poprawnéj elegancyi." Lessing tak mało rozróżnia, że uważa *Rodogunę* za najlepszą sztukę Corneilla, dlatego że tam przedmiot najtrudniejszy szczęśliwie opracował.

Mezieres poleca uwadze młodych Niemców ten drugi błąd gruby *Dramaturgii,* zachęca biografów Lessinga, żeby ten fałsz wytknęli i przypomnieli ziomkom, że we Francyi nie tylko nikt nie postawił *Rodoguny* nad *Cynnę,* ale że ta tragedya uważana jest tu za najsłabszą z tragedyi Corneilla.

---

Pomimo wymienionych niesprawiedliwości, francuzki krytyk przyznaje Lessingowi bystrość w studyowaniu francuzkiego teatru. Powiada, że Lessing uzbrojony gruntowną nauką, znający języki tegoczesne i dawne, mogący czytać w oryginale pisarzy angielskich, włoskich, hiszpańskich; nabywszy na uniwersytecie Lipskim pod kierunkiem uczonego Ernesti, zwyczaju metodycznego badania najtrudniejszych textów dawnych, może sądzić scenę francuzką wedle porównań nie znanych krytykom francuzkim. Lessing rozszerza widnokrąg sądu — odkłada na bok wszystkie tradycye i konwencye teatralne, żeby wniknąć w głąb rzeczy i dojść

aż do zródła praw mających rządzić sztuką dramatyczną. Corneille dosyć się zastanawiał nad jéj warunkami; Racine znał Greków, ale krytyka francuzka, córa ich dzieł, zbyt łatwo się poddawała złudzeniom miłości własnéj narodowéj, przedstawiając te utwory jako ideał doskonałości dramatycznej i chcąc narzucić wszystkim przepisy, które zachowywali tragicy francuzcy.

Duch francuzki zwykle wszystko do siebie odnosi. Każdy Francuz łatwo się olśnić daje blaskiem wieku Ludwika XIV, przodownictwem swojéj ówczesnéj literatury w Europie. Francuzi byli i są pewni, że dosięgli szczytu doskonałości dramatycznéj— że żaden teatr nie może iść w porównanie z ich teatrem. Najsławniejsi ich krytycy podzielają to ogólne zadowolenie z siebie. Voltaire nie grzeszący naiwnością, wierzył szczerze iż udoskonalił dramat grecki. „Grecy, powiada, byliby się od nas nauczyli szybszéj wystawy, powiązania scen—logicznego wchodzenia i wychodzenia osób."

„Od Francuzów wszystkiego się uczyć trzeba" mówi ironicznie Lessing. Pisząc to, musiał sobie przypomnieć, że pierwszą przechwałkę na świecie, powiedział wódz Gallów Alexandrowi Wielkiemu, kiedy polecając sprzymierzeńcowi odwagę swoich żołnierzy, rzekł: Gdyby się niebo na ziemię waliło, podeprzemy je puklerzami. — „Śmiały" powiedział Alexander po Grecku z uśmiechem do swoich wojowników.

Lessing tedy oburza się na samochwalstwo francuzkie, a jeszcze więcéj tem, że je ziomkowie jego przyjmują — że nawet w Hamburgu gdzie chciał ufundować teatr narodowy, spotykał przekłady albo naśladowania sztuk francuzkich. Celem *Dramaturgii* było zmniejszyć w Niemczech uwielbienie dla teatru francuzkiego. Kiedy Niemcy naiwnie wierzyli głośnéj trąbie paryzkich panegirystów, on sam jeden dowodził że Francuzi nie znają odwiecznych reguł sztuki, że nikt nie stworzy arcydzieła trzymając się ich przepisów.

Za pole bitwy obrał Lessing *poetykę* Arystotelesa, na którą się powoływali jak na wyrocznią krytycy francuzcy; i z textem w ręku, usiłował dowieść że Francuzi nie zrozumieli nawet definicyi tragedyi, na któréj cały swój system dramatyczny oparli. W tłumaczeniu francuzkiem owego sławnego ustępu, a tłumaczeniu Lessinga, różnica nie zdawała się wielka: był to jednak całkiem nowy sposób rozumienia Arystotelesa. Lessing odrazu lepiéj pojął rzeczywiste znaczenie *poetyki* niż Francuzi przez lat sto. Francuzi nieumiejąc tłumaczyć Arystotelesa, powiedzieli: „Tragedya jest naśladowaniem działania poważnego, używającego *przerażenia* i litości do oczyszczenia namiętności." Lessing jedno tylko słowo zmienił w tym przekładzie, ale myśl filozofa całkiem inaczéj pokazał. Zamiast *przerażenie* napisał *obawa* — i tak objaśnił: „Wedle Arystotelesa, nieszczęścia tragiczne powinny w nas budzić litość dla tych, którzy na scenie są ich ofiarą, oraz obawę osobistą przez przypuszczenie, że taka dola może nas spotkać. O *przerażeniu*

niema mowy. To wyrażenie przesadne, całkiem na inne tory teatr zwraca."

---

Potężna argumentacya Lessinga doprowadziła go do zamierzonego celu: krytyka jego zdyskredytowała francuzką — odjęła jéj w Niemczech nabytą sławę nieomylności. Wygrana chociaż świetna, nie wystarczyła Lessingowi: postanowił zupełnie zniszczyć wpływ francuzki. Dowiódłszy że Francuzi nie zrozumieli Arystotelesa, oskarżył ich o nieznajomość ducha dramatu starożytnego. Nie trudno mu było wykazać, że niektóre żywioły greckie uszły baczności Racina, Corneilla, a nawet Voltaira. Lessing przez intuicyą poczuł, że nic sprzeczniejszego z duchem starożytności, jak powikłania, niespodzianki, intrygi, które Lope de Vega polecał jako ostatnie słowo zręczności dramatycznéj. Corneille myśli — pisał Lessing — że naśladuje starożytnych, że się stosuje do Arystotelesa, *przerażając* słuchaczy. Ażeby tego dokazać, gromadzi w jednéj sztuce mnóstwo najniespodziewańszych wypadków, nieszczęść nadzwyczajnych i najczarniejszych zbrodni. Nic przeciwniejszego geniuszowi greckiemu. Tam rozwiązanie zawsze z góry wiadome, akcya najprostsza. Starożytni nigdy nie usiłują ani podejść widza, ani wikłać osnowy. Hiszpanie wprowadzili do nowego teatru ten sposób niegodny wielkiéj sztuki. Eurypides, którego Arystoteles zowie najtragiczniejszym z poetów, tak mało się troszczył o wzruszenie tłumu niespodziankami, że w prologu sztuk swoich zawsze zapowiadał rozwiązanie. Zresztą, tragicy greccy zwykle przedstawiali na scenie legendy ludowe, których wszystkie szczegóły były znane słuchaczom.

Tak Lessing powoli, systematycznie a logicznie zdzierał urok z francuzkiéj przesławnéj literatury scenicznéj XVII wieku. W końcu dowiódł Francuzom, jak dwa a dwa cztery, że zapoznali najważniejszy żywioł starożytnéj tragedyi, usuwając najmocniéj wzruszające sytuacye przez obawę ubliżenia obyczajności. Starożytni bolami ciała, potęgowali bole duszy, i to był sposób podwajania efektu. Grzecznym i obyczajnym Francuzom Filoktet jęczący, lub wrzeszczący Herkules, wydałby się śmieszny na scenie. Jakoż ksiądz Brunoy tłumacz tragedyi Sofoklesa, przedstawiając francuzkim czytelnikom Filokteta, najmocniéj przeprasza za zuchwałość Greka, który śmie na scenie pokazywać cierpienia fizyczne swojego bohatéra.

---

Z pod tego ogólnego a sprawiedliwego potępienia scenicznych pisarzy i krytyków Francyi, Lessing wyjmuje jednego tylko człowieka: Diderota, który przed nim niepodlegle osądził teatr ojczysty. Wpływ encyklopedysty na autora *Dramaturgii* poniża pana Mezieres po otrzymanéj chłoście na plecach Corneilla i Racina. Wpływ ten uznają, ale na uboczy trzymają Niemcy. Mezieres pozywa ich przed trybunał sprawiedliwości, woła, żeby przyznali co sam Lessing przyznaje, że większa część argumentów przeciw

teatrowi francuzkiemu wyczerpnął z pism Diderota. Lessing był jeszcze studentem na uniwersytecie Lipskim, kiedy Diderot w powieści „*Bijoux indiscrets*" surowo skrytykował tragedyą francuzką. We dwadzieścia lat późniéj ten rozdział tak mocno uderzył Lessinga, że go cały przytoczył *w Dramaturgii*. Diderot tam wytyka dwa główne błędy dramatycznego systemu Francuzów, w które Lessing bił ciągle: brak rzeczywistości rozrzewniającéj w widowisku, a prostoty w akcyi.

Diderota krytyka owa, do dzisiejszego teatru francuzkiego jeszcze zupełnie przypada. Oto co mówi encyklopedysta: „Sztuka u nas zwykle tak skomplikowana, iż cudem tylko tyle rzeczy zajść mogło w tak krótkim czasie. Upadek lub ocalenie państwa, zamęście królewnéj, śmierć monarchy: wszystko to wykonywa się na poczekaniu. Jeżeli o sprzysiężenie chodzi, autor daje zarys w pierwszym akcie, wiąże w drugim, przedsiębierze ostrożności w trzecim, a rozpędza spiskowych w czwartym akcie. Czyż to prawdopodobne, czyż to jest możebne?"

Lessing w tęż myśl trafiając, mówi: „Więcéj u mnie znaczy jeden charakter rozwinięty powoli i ukazany w całéj energii, niż ukartowanie wypadków pomiędzy którymi tułają się widze i aktory."

W jednéj tylko kwestyi dotyczącéj tragedyi francuzkiéj, Diderot z Lessingem nie byli w zgodzie: w sławnym przepisie *jedności* scenicznéj. Lessing potępia przepis Arystotelesa co do *jedności czasu, jedności miejsca* i *jedności akcyi*, do któregoto przepisu stosowali się nie tylko Francuzi, ale Hiszpanie, Anglicy i Włosi nowocześni. Lessing mniema, że starożytni zmuszeni byli do zaprowadzenia jedności, czasu i miejsca obecnością chorów, to jest tłumu pospólstwa, które nie mogło podróżować. Powiada, że na tém zyskała ich akcya dramatyczna, stając się prostszą. Francuzi przeciwnie, nie powiązawszy ściśle jedności czasu i miejsca, z jednością akcyi, trzymają się ich jako czczéj formuły.

Diderot obstawał za troistą jednością, mówił że ona trudna do zachowania, ale rozsądna. Jedność miejsca konieczna: bez niéj prowadzenie sztuki zawsze kulawe.

Voltaire przed Lessingem szydził z jedności miejsca — narzekał że przez pięć aktów tragedyi stoi jedna i taż sama dekoracya, przez co, jedność miejsca zachowuje się kosztem prawdopodobieństwa. „Co pomyśli człowiek rozsądny, pisze Voltaire, słysząc dworaków którzy doskonale wiedzą że mury mają uszy, spiskujących przeciw monarsze w temże miejscu, gdzie przed chwilą jemu nadskakiwali? W naszych małych teatrach reguła jedności miejsca nie uchodzi: spiskowi nie mogą przecie konspirować przeciwko Cezarowi w jego pokoju."

Lessing szydzi z jedności czasu: „Francuzi nadużywają jéj, robią zeń jedność trwania, to jest pewien przeciąg czasu, w którym nie słychać ani o wschodzie, ani o zachodzie słońca, w którym nikt nie kładzie się spać. W jednym dniu expedyują wypadki, potrzebujące do spełnienia przynajmniéj roku czasu."

Mimo Lessinga i Voltaira, krytycy francuzcy jak pijani płota trzymali się przez nich wyszydzanéj doktryny *jedności*, którą Boileau zamyka w dwóch wierszach:

„Qu'en un lieu, qu'en un jour, un seul fait accomplie,
„Tienne jusqu' à la fin le théâtre rempli."

---

Trafną i dobrze wymotywowaną napaścią, Lessing w końcu wyzwolił całkiem ziomków z jarzma francuzkiéj poetyki, nawet całą Europę wydobył z pod wpływu francuzkiego ducha. Wielki to był szermierz! Celował w stosowaniu do rozbioru tragedyi idei filozoficznych, które u Diderota pozostają w stanie teoryi. Diderot ogólne czyni uwagi i utrzymuje się w dziedzinie myśli czystéj. Lessing czuć daje przez zastosowanie: niższym jest teoretykiem, ale daleko większym polemistą. Tam gdzie Diderot spokojnie wykłada zasady, Lessing się zapala jak żołnierz w boju... dostrzega słabą stronę przeciwnika, wciąż mu ostrze szpady nastawia; miesza go żywością natarcia, i obala.

Nikt nie może czytać Lessinga z zimną krwią. Pan Mezieres mu to przyznaje — ale twierdzi zarazem, że wszystkie poglądy (prócz jedności) wziął od Diderota, tylko je wyłożył praktyczniéj.

W gruncie, jaka jest myśl wspólna Diderota i Lessinga? Obaj domagają się tego, na czem zbywa tragedyi francuzkiéj: prostoty, prawdopodobieństwa do życia. — Oba te umysły szczere, buntują się przeciw konwencyom, przeciw wadze jaką mają we Francyi kwestye formy, przyzwoitości, mody, ze szkodą wolności i wielkości sztuki. Obaj ci wielcy krytycy czują, że teatr upada pod brzemieniem przepisów i wędzideł. Obaj domagają się prostoty.

„Natura! natura! woła Diderot — nic jéj się nie oprze: tylko prawda rozrzewnia. Doskonałość sztuki w tém, żeby dobrze naśladowała życie. Czyż to wasze tragedye wychwalane, aby trochę do prawdy podobne?"

Diderot chcąc uciec od słuszności, wpadł w drugą ostateczność: stał on się dramaturgiem—fotografem — o wiele pierwéj niż Daguer: dagierotypował on rzeczywistość. Lessing zręczniejszy, lepiéj zastosował pojęcia swojego mistrza. Ale przybliżywszy do swoich czasów tragedyą, wyrwawszy ją z historycznéj i legendowéj oddali, zespolił — jak w *Emilii Galotti* — z malaturą mieszczańskich obyczai. Stworzył rodzaj tragedyi zasługujący także na krytykę nie mniéj ostrą i słuszną jak ta, którą sam przeciwko Corneillowi wymierzył.

Cały urok z którego w Niemczech odarł francuzkich tragików, Lessing zlał na Szekspira; dowiódł, że nie Corneille ani Racine, ale Szekspir był wiernym naśladowcą tragedyi Ateńskiéj. Powiększając atoli Szekspira kosztem francuzkiego wpływu, Lessing nie zamierzał bynajmniéj zastąpić dawnego bałwochwalstwa

nowem, podstawić Szekspira dawnym czcicielom Racina. Lessing marzył o wyższem przeznaczeniu dla geniuszu swojego narodu. Chciał stworzyć teatr germański, któryby się rozwijał swobodnie po za wszelkim wpływem obcym, i zajął z kolei miejsce pomiędzy oryginalnemi kreacyami umysłu ludzkiego. Nie zachęcał Niemców do naśladowania Szekspira, ale do używania go jako peizażysta używa *Camery obskury* żeby sobie punkt widzenia oznaczyć. „Szekspira rabować nie można — mówi Lessing, jest on jak Homer: łatwiéj wydrzeć Herkulesowi maczugę niż jemu wiersz."

Ale najsilniejsze umysły nie zawsze mogą powstrzymać popęd jaki nadadzą. Lessing zbyt sponiewierał pisarzy francuzkich, zbyt uwielbił Szekspira, zbyt wielki nacisk dał na wady pierwszych a zalety drugiego, żeby z tego nie wynikła reakcya przeciw Francyi na korzyść Anglii. Powstały w Niemczech tłumy naśladowców Szekspira. Na ich rozkiełznane sztuki bez przepisów ani sensu, Lessing sędziwy patrzył ze smutkiem, jak ojciec przelękniony zuchwalstwem niesfornych dzieci.

Z tego chaosu dramatycznego, z tego okresu huczącego burzą rewolucyjną, wyszedł jednak wielki teatr niemiecki. Schiller uznał jak wiele przyczynił się Lessing do utworzenia dramatu narodowego, kiedy nakreślił owe słowa w których całe natchnienie *Dramaturgii* skupione: Geniusz niemiecki doszedł do chwały po śladach Greków i Anglików."

---

Paweł Lacroix wydał u Didot'a, z pięknemi chromolitografiami, tom *in-folio*, pod tytułem: "*Les Arts au moyen-âge et à l'époque de la Rénaissance.*" Jestto księga niepośledniéj wartości.

Lamennais w swojéj „*Esquisse d'une philosophie*" poświęca jeden rozdział Genezie sztuk średniowiecznych. Ukazuje takowe rodzące się z myśli chrześciańskiéj, wznoszące Bogu sklepienia i wieże katedralne — ożywiające mury rzeźbą, freskami, stojące ołtarze, malujące mszały, żłobiące naczynia kościelne, bawiące okna, któremi do przybytku Bożego miał wbiedz uwidamiający to wszystko promień słońca. Cały geniusz ludzki wysilał się na to, żeby obrządek uczynić godniejszym wielkiéj tajemnicy wcielenia.

Lamennais uchwycił przeważny charakter sztuki w okresach teokratycznych. Tegoż zdania jest pan Lacroix. Chromolitografiami uplastycznia on jego dowodzenie, stwierdza tę strofę poety:

„Niegdyś Europa cała
„Była gotyckim kościołem,
„Wiara kolumny wiązała,
„Gmach niebo roztrącał czołem."

W wiekach wiary, Bóg góruje w ziemskich utworach: kieruje myślami człowieka, daje natchnienie do wysileń, zaciera oso-

bistość ludzką. Człowiek występuje dopiero skoro ta wielka wiara słabnie. Podczas kiedy architekci rzymscy i gotyccy w wiekach średnich stawiali wspaniałe domy Boże, na ludzkie nikt nie zważał; nawet królewskie pałace nie zajmowały budowniczych. W miarę jak uczucie pierwotnéj wiary słabło, sztuka zajmowała się pomieszkaniem monarchów, magnatów — w końcu i mieszczanie dostali wygodne domy.

Paralellę można przeprowadzić do dni naszych. Historya architektury zawiera dzieje ustaw — a dzieje ustaw są historyą wyobrażeń. Węzeł je wiążący najwyraźniejszy w epoce Odrodzenia.

Odrodzenie, jest chwilą w któréj odlatuje obarczająca ludzkość myśl o nieskończoności, a nadprzyrodność znowu ulega prawom natury. Jestto połączenie geniusza germańskiego z geniuszem starożytnym. Społeczność chrześciańska, nie tracąc z oczu ideału boskiego, powraca jednak do wdzięków ludzkich. Odrodzenie dlatego niezrównaną epoką, że nie jest *odgrzebaniem*, ale *odrodzeniem* — nie dziełem antykwarzy, albo archeologów, ale natchnieniem żywem: dwie oświaty łączą się i tworzą nową oświatę.

Pan Lacroix tak się zapatruje na ten okres dziejów. „Odrodzenie, mówi on, zdaje się niejednemu powrotem do wieku, który już żył, zmartwychwstaniem epoki umarłej. Nie tak trzeba ten wyraz rozumieć. Starożytna spadkobierczyni temperamentu artystycznego grecyi więcéj niż twórczyni, Italia z pomiędzy wszystkich narodów europejskich najlepiéj się broniła od ciemności barbarzyństwa. Na nią téż najpierwéj spłynęło światło nowoczesnéj cywilizacyi. W epoce téj nowéj zorzy, Italli dość było poszukać w ruinach, które jéj przekazał pierwszy splendor, żeby tam znaleźć wzory i mistrzów do naśladowania. Była to także chwila, kiedy czynne współzawodnictwo jéj awanturniczych respublik sprowadzało do niéj wszystkie skarby staréj Grecyi. Ale biorąc natchnienie z tych szczątków innego czasu, ani jéj na myśl nie przyszło naśladować je niewolniczo. Italia nadając nowe powaby potężnéj sztuce starożytnéj, pozostała pod poetycznym wpływem sztuki naiwnéj, łagodnéj, która świat pocieszała przez długi czas dzieciństwa oświaty, idącéj ku dojrzałości.

„W dwunastym wieku Piza, miasto tak dumne wtedy, a tak smutne dzisiaj, dała popęd wznosząc swój dom, chrzcielnicę i wieżę pochyłą, klasztor i swoje sławne Campo-Santo. Wszystko to arcydzieła stanowiące datę w historyi sztuki nowoczesnéj, i otwierające zawód, który rozpoczęło tyle wzniosłych osobistości, żeby walczyć z sobą o palmę pierwszeństwa. Połączenie smaku wschodniego z tradycyami starych wieków, stworzyło prawdziwą oryginalność, wielką i nadobną.”

Pan Lacroix o którego dziele zawiadamiamy, powiada, że miał licznych współpracowników. Znać to w nierowności punktu widzenia. Rozdział o *Rzeźbie* mniéj sprawiedliwy dla odrodzenia niż autor przytoczonego ustępu. Pojmujemy jego uwielbienie dla

posągów średniowiecznych, gdzie chrześciańskie czucie zaciera wspomnienia sztuki greckiéj — gdzie myśl góruje nad formą, gdzie symbol zastępuje plastyczną piękność. Porusza nas ascetyczny wdzięk tych wiotkich postaci — ferwor artystów usiłujących zniknąć w dziełach swoich. Ale dlaczegóżby uwielbienie tych dzieł nie miało się pogodzić z całkiem rożną pięknością innéj epoki? Z wiekiem XV, pisze autor o *Rzeźbie* — gaśnie w szczerstwie jak w każdéj innéj sztuce, poczucie historyczne wiary: — kunstmistrze protestują przeciw wiekom średnim, chcąc wrócić do piękności starożytnéj: wyraz chrześciański zatracają. Tak zwane odrodzenie, służy tylko do wykazania dramatycznych usiłowań epoki, chcącéj ocucić epokę umarłą."

Czasby porzucić te purytańskie przesady. Śmieszną rzeczą gadać o upadku obok Michała Anioła i lamentować nad materyalizmem Rafaela.

Są to zapewne rażące usterki w téj publikacyi. Ale książka na którą się składało wielu uczni szkół różnych, nie może być jednolita. Żądać od niéj można jedynie poglądu na rozwój sztuki, a ten w niéj znajdujemy, nie tylko co do sztuk plastycznych głównych, ale ornamentacyi i wszystkiego co obchodzić może zbieracza.

Książka pana Lacroix zwraca się do dwojakiéj publiczności: może zająć historyka, tego co w sztuce szuka wielkiéj strony prawdy piękna i zarazem idei, która piękno tłumaczy— wyrazu uczuć i wiary ludów. Może zająć tych także, których liczba wzrasta wraz z bogactwem i wybrednością smaku: lubowników osobliwości. Ci znajdą w téj książce wiadomości na których im często zbywa, o postępie przemysłów zadawalniających ich zachcenia, jak makaty, ceramiki, zbroje, sztychy, oprawy i t. p. To wszystko zgromadzone w tomie, który sam jest przedmiotem sztuki. Illustracya gra ważną rolę w jego wydaniu: czterysta drzeworytów małych i wielkich, doskonałych w całem znaczeniu tego słowa. Nadto, są jeszcze kolorowe plansze wykonane przez pana Kellerhoven; dają one niejako *fac simile* przedmiotów z metalu i słoniowéj kości, witryn i rękopisów.

---

Mamy przed sobą stos książek noworocznych illustrowanych przepysznych, lśniących, nęcących zarówno dziecie i bibliografa.

Oto najpierw, druga część *Danta*, illustrowana przez Gustawa Doré, a obejmująca *Czyściec* i *Raj*. Tak uzupełnione to wydanie Boskiej komedyi jest pomnikowe i godne Danta. Rozmiar księgi harmonizuje z treścią: wielkie *in folio* do twarzy epopei.

Sześćdziesiąt dużych rysunków Dorego zapełnia ten drugi tom. O piérwszéj części wspominaliśmy na tém miejscu przed rokiem. Od peirwszéj do drugiéj przechodząc, rysownik podobnie jak poeta, musiał zmienić styl. Nawet z malarskiego punktu wi-

dzenia różnica, pomiędzy *Czyścem* a *Piekłem* ogromna: z okropności podziemnego świata, patrzący wchodzi w pas umiarkowany kar doczesnych — widzi znów słońce, łąki, gaje — widoki wraz światłem ziemskiém odzyskują perspektywę niebios. Postacie piekielne, straszliwie odstają od ciemności zaczerwienionych łuną.. Ciała potępieńców nie spożyte śmiercią, nawet nabrzmiałe, jakby dla przedstawienia większéj mięsistości torturom kary. Dusze *Czyscowe* przeciwnie, ukazują się już napół wyzwolone z ciała. Bez płci, bez cienia, te nikłe postacie z ogarnizmów ludzkich, zachowały tyle tylko ile potrzeba, żeby cierpieć i śpiewać.

Gustaw Doré uczuł tę sprzeczność i uwydatnił, często z poetyczną subtelnością. Pojął on mianowicie łagodność krajobrazów pól niebiańskich, gdzie Dante skruszone dusze umieścił: uplastycznił uroczo święte gaje, elizejskie bory, grupy cieniów rozłożone poza firanką ze srebrnéj mgły.. polot aniołów unoszących się nad przepaściami albo nad morzem — niebianki zbierające mistyczne kwiaty w ogrodach Edenu... Wszystko to przesuwa jak widma nadziemskiego świata w czarnoksięzkiéj latarni.

Raj bezcielesny, nieskończony, wymyka się reprodukcyi sztuki. W poemacie, od pierwszéj do ostatniéj pieśni, jestto ogromny efekt światła: kształty tam toną w płonącym eterze... Jakże kształtować rzeczy nieujętne? jak rysować niewidomość? Dlatego illustracya pod koniec poematu coraz rzadsza. Doré zdołał jednak w kilku obrazach odzwierciedlić promienne wizye poety. Do tych należy powietrzny krucyfiks niesiony przez anioły, Wniebowstąpienie Chrystusa jeszcze przybitego do krzyża.

Obecnie ukończona Dorego illustracya Danta, zasługuje na dłuższy, osobny pogląd: powrócimy doń swobodniejszéj chwili, skoro nas wypuszczą z oblężenia obrazowane książki Noworoczne, domagające się wzmianki. Są między niemi inne prace Dorego.

Rysownik ten jest w swoim rodzaju płodny jak Lope de Vega. Równocześnie z *Boską Komedyą* illustrował Anglikom trzy legendy Tennyson'a: *Elaine*, *Genievre* i *Viviane*. W Paryżu wydano te trzy illustracye z trzema poematami przełożonemi na francuzkie przez pana Franciszka Michel. Są to obrazki keapseak'owe, romansowo-wytworne, zupełnie zgodne z tonem poezyi. Tennyson jest salonowym bardem angielskim. W tych sielankach zaludnionych rycerzami nowoczesnego ducha, zdarzają się ładne karty, częściéj jednak stara legenda wyśpiewana na nową nutę, wychodzi uszkodzona.

Tak naprzykład angielski poeta z *Merlin'a Czarodzieja* zrobił słabego starca, uwiedzionego przez zalotnicę. Legendowego Merlin'a kochanką Natura. W staréj powieści armoryckiéj, bretońskiego wróżbitę opętał duch wód i kniei, duch samotności. Opuściwszy dwór króla Artura wieszcz poszedł w lasy z oswojonym wilkiem. Król zrobił nań obławę i odprowadził zbiega do zamku i przykuł kajdanami... Bard siedział ponury w kącie sali, a jeżeli usta otwierał, to na to tylko, żeby śmierć wróżyć lub oskarżać winnych.

W końcu, znowu się wymknął i przepadł w lesie, który nad wszystko miłował.

Wyobraźnia celtycka w kształt niewieści przybrała ducha samotności z którym się Merlin połączył, i ochrzciła go mianem Viviany. Z téj switezianki Tennyson zrobił salonową kokietkę. Ona go posadziła w cierniowym krzaku i zamknęła dziewięcioma kręgami. Merlin wie, że w tém zaklętem kole wieczne poddaństwo go czeka — ale dla ułudy niewieściéj przystał na wieczną niewolę, a krzak go na zawsze w zielonym zamknął grobie.

Tak jak je pojął Tennyson a Doré przedstawił, te trzy poematy są ideałem albumu: arystokratyczne duchem i formą, zasługują na dotknięcie białych rączek — mogą nawet leżeć wśród podarunków ślubnych, pomiędzy koronkowym welonem i naszyjnikiem z pereł.

Królem podróży zawsze *Le Tour du Monde*, który tego roku w dziewiątym ukazał się tomie. Zajmująca jest ta publikacya gęsto obrazkowana: jak w literackim karawanseraju słyszysz w niéj opowiadanie różnokrajowych wędrowców. Słuchając ich przebiegasz obie półukle: jeździsz na wierzchowcach wszelkiego rodzaju, począwszy od alpejskiego muła aż do indyjskiego słonia — żeglujesz na wszelkich statkach, od parowca aż do czółna, od majaków pustyni przechodzisz do zorzy borealnéj; z Rajahami polujesz na tygrysa, z Eskimosami łowisz foki — wdziękinie Andaluzyi mrugają na ciebie po przez kraty *Miradorów...* Patagonów uśmiechy widzisz pod ich iglastym wąsem....

Zajmują takie opisy w których kartę od karty świat przedziela: wieje z nich woń jakaś swobody i awantur... nadzwyczaj miła młodemu. Podróże dobrze opowiedziane tworzą podróżników jak buletyny wojenne żołnierzy. Młody czytelnik zazdrości tym wędrowcom, co wzrokiem podbijają ziemię jak inni orężem. Nieokreślonéj długości podróż, zawsze wydawała nam się najprzyjemniejszą dla człowieka drogą do grobu. Widzieć, znać, porównywać, odkrywać, pomnażać zmysły klimatem, myśli widnokręgami; wrażenia zmiennemi obrazami szerokiego świata: jakież przyjemniejsze użycie naszego krótkiego istnienia? Zapewne, ma także swoje smutki, takie dobrowolne tułactwo: męczy czasami to ciągłe odosobnienie w ciągłym ruchu... Ale ten kto nie umie przestawać ze swoim cieniem, rozmawiać z echem — ten nie godny pielgrzymiego kija i sandałów wiodących do ziemi obiecanéj. Ci są jak konchy, co się w bagnie tają:

„Ledwie raz na rok falą niepogody
„Wypchnięte z mętnéj pokażą się wody,
„Otworzą usta, raz westchną ku niebu,
„I znowu wrócą do swego pogrzebu."

Tego roku *Tour du Monde* wodzi czytelnika od Islandyi do Japonii — od Kaukazu do Rumunii — od łąk niezmiernych amerykańskich Fai-West, do ruin i pomników starożytnéj Romy,

Odnajdujemy w tym tomie podróż Gustawa Doré towarzyszącego panu Davilliers w jego wycieczce po Hiszpanii. Zwykle ona daje rysownikowi najlepsze natchnienia: jego illustracya *Don Quichota* w naszych oczach, zawsze najdoskonalszem dziełem Dorego.

Przeszedłszy częściowo przez *Tour du Monde*, ukazują się powtórnie w księgarni Hachetta te wielkie księgi odnawiające, że tak powiem oblicze nowoczesnéj geografii. Wspaniale wydano w dwóch tomach *„Podróż po Ameryce Południowéj od Oceanu Spokojnego do Oceanu Atlantyckiego.”* Voyage à travers l'Amerique du Sude, de l'Océan Pacifique że l'Océan Atlantique) przez Pawła Marcoy. W téj podróży znajdujemy sześćset dwadzieścia sześć obrazków przedstawiających ludzi i peizaże: wykonał je pan Rion wedle rysunków autora. Jest to jedna z lepszych podróży, jakie w tych czasach napisano.

Wnętrze Peru pan Marcoy pokazuje szczegółowo — a równie ono dziwne dla europejczyka jakby mogło być wnętrze księżyca. Prawda tam dorównywa rojeniom Sindbada z *tysiąca-nocy.* Rysunki potwierdzają słowa. Dziwne typy jakie tam widzimy, można przekopiować, ale ich wymyślić niepodobna. Dobry humor panuje od początku do końca — a to bardzo ważna rzecz: sprawodawca z podróży powinien być przedewszystkiem dobrym kolegą i wesołym towarzyszem.

Należy jeszcze wskazać *„La mer libre du Pôle”* doktora Hayes (przekład z angielskiego) i *„Voyage dans le Soudan occidental”* przez pana Mage kapitana okrętu. Przed nim Soudan był jakąś bajeczną krainą, któréj brzegów zaledwie śmieli dostąpić żeglarze. Mage pierwszy wylądował i zapuscił się w głąb kraju, odważnie zwiedził i opisał świat nie znany. Tym razem przynajmniej Sfinks afrykański odpowiadał na pytania i nie pożarł śmiałego pielgrzyma.

Po podróżach nauka w zbytkowéj szacie weszła do działu książek noworocznych. Obecnie przybył drugi tom *Ziemi* (La terre) pana Elisie Recluse. Jestto sylwetka naszéj planety studyowana w zawiłości swojéj budowy i harmonii sił swoich. Uczony autor to zachwyca się, to smuci pięknością i fatalizmem praw które opisuje. Pod jego piórem, wielkie rysy oblicza ziemi nabierają wypukłości żywéj, bardzo uderzającéj. Dwieście siedm figur zamieszczonych w texcie, i dwadzieścia siedm kart kolorowych towarzyszą téj pracy, która w bibliotekach może stanąć obok *Epok Natury* Buffona.

*Les Mammifères* Ludwika Figuier dopełniają jego studya *roślin, mięczaków, owadów, ryb, płazów* i *ptaków.* Przegląd natury tém ciekawszy im na wyższy szczebel drabiny jestestw się podnosi. Dlatego ten ostatni tom najwięcéj zajmuje: zwierzęta defilują jakby wychodziły z arki Noego.

*„Les Vies des savants illustres du XVII siècle”* tegoż pisarza, jest dalszym ciągiem jego poprzedniego dzieła *„Vies des savants de l'antiquité, au moyen âge et de la Renaisance.”* Kepler, Galileusz, Descartes, Bacon, Paskal, Cassini, występują tu w biografiach

wielkiego rozmiaru. Brakowało Plutarcha wielkich mężów nauki: w odpowiedniéj mierze, jest nim pan Ludwik Figuier.

Do najlepszych publikacyi naukowych należy policzyć *Bibliotèque des Merveilles*" złożoną z tomów pod tytułem: *elektryczność, dno morza, świat podziemny, szklarstwo, malarstwo* i t. d. Wszystkie te książeczki pełne użytecznych wiadomości wyłożonych jasno z pomocą obrazków, stanowią encyklopedyą zjawisk natury, arcydzieł przemysłu i sztuki.

Długo zaniedbana we Francyi aquaforta weszła znów w modę. Towarzystwo aquafortystów zawiązane przed pięcią laty przez Cadar'ta, dało pochop do tego odrodzenia. Artysci wracają tłumnie do szybkiego spisywania natchnień swoich. Książki zbytkowne teraz zdobią się aquafortami. Tak księgarnia Mame która wydała zeszłego roku „Les Caracteres de La Bruyere" z illustracyą Foulguier'a, tego roku przedstawia „Oraison funébres de Bossuet" z sześcioma obrazkami przez tegoż artystę. Dzieła Folguier'a celują wykończeniem: około mów pogrzebowych roztoczone aquaforty wydają się jak płaskorzeźba wyżłobiona na piedestale cmentarnego pomnika.

Aquaforty także zdobią księgę pod tytułem *„la legende d'Ulenspiegel"* Karola Coster. Księga ta ma trwałą wartość. Typ Ulenspiegla datuje od XV wieku. Historya jego napisana najpierw po niemiecku, została przełożona na język flamandzki, francuzki, łaciński, angielski, duński, i polski. Od trzech wiekow przedrukowują ciągle tę książkę. Jeden bibliofil naŕachował przeszło dwieście wydań rozmaitych. Nazwa téj księgi dała dwa wyrazy językowi francuzkiemu: *Espiègle* i *Espièglerie*.

Tak wielka popularność może zadziwić czytającego pierwotną legendę ogłoszoną świeżo w zbiorze pana Jasonet: jest to szereg facecyi ciężkich i brudnych. Ulenspiegel podobny do owych gotyckich rynien, któremi spływają nieczystości. Jednak, tak niski błazen uszczęśliwiał społeczność germańską. Tak każda epoka ma swojego ulubionego bufona: Falstaw, Pulcinella, Pantalon, La Palisse, Calino są typy skupiające w sobie wszystkie szyderstwa narodu — są nagłówki wszystkich jego satyr. Jak Pasquino rzymski, śmieją się wiecznie marmurowemi usty, a każdy przechodzień uliczny, jakiś epigramat na jego piedestale przykleja.

Tak postarzał Ulenspiegel. Oczyszczony z gotyckiego tłuszczu w książce Coster'a, stał się symbolem ludu flamandzkiego z XVI wieku. Uosabia on z Rabeleską werwą zdrowy rozsądek i wesoły temperament Flandryi wojującéj z ponurym fanatyzmem Filipa II. Wyborne aquaforty za dekoracye mu służą, peisaże, processye, festyny — dumne postacie panów i tłum pospólstwa występuje w obrazach: niektóre mają straszny charakter fantasmagoryi Rembrandt'a.

Jeszcze jedna książka illustrowana górująca nad poziomem zwykłym literatury Kolendowej. Pan Filaret Chasles przełożył z angielskiego *„Nową Amerykę"* Dixon'a, naczelnego redaktora

*Atheneum*. Książka ta używa wielkiéj wziętości w Londynie: w ciągu roku doszła trzydziestego trzeciego wydania. W Paryżu wyszła z obrazkami. Jestto podróż do kraju Mormonów, napisana z wielką bystrością i artyzmem; anegdot zabawnych w niéj pełno.

Pan Dixon tłumaczy zagadkę nad którą nie jeden głowę łamie: dlaczego amerykankę ze wszystkich kobiet najwięcéj zajmują obowiązki i prawa? Dlaczego kobiety nowego świata tak zawzięcie szperają w archeologii celem oznaczenia miejsca niewiasty w stworzeniu, w społeczności, w falansterze, w klubie i t. d.?

Dlatego że w Ameryce kobiet daleko mniéj niż mężczyzn (jedna przypada na pięciu). Czterech mężczyzn na pięciu skazanych na bezżeństwo. Ztąd wynika daleko większa wartość dziewcząt w Ameryce niż w Europie: każda wybiera sobie męża wedle upodobania, kiedy zechce — może robić co chce, nawet oddawać się archeologii nie tracąc niewieściego uroku: mąż zawsze szczęśliwy że dostał żonę. W Europie rzecz się ma odwrotnie: więcéj kobiet niż mężczyzn — żona jest mniéj pokupnym towarem niż w nowym świecie. Dlatego mniej się drożyć a więcej pracować musi — nie na archeologicznem polu.

Zaczęto tego roku używać do illustrowania książek słońcosztychów.

Słońce długo istniało jako wielki próżniak. poprzestając na codziennéj przechadzce, zjadaniu rozgrzanych lasów i wypijaniu rzek. Wielki ten artysta tak lubił *far-niente*, że chętnie dał się Jozuemu zatrzymać.

Dziś rzeczy całkiem się zmieniły: słońce jak ludzie, musiało uledz prawu pracy. Nie wiemy czego od niego żądają inne planety poddanki, ale nasza ziemia zrobiła słońce sługą miliarda fotografów rozsianych na globie.

Teraz nie poprzestając na usługach słońca jako omnibusowego rysownika, mianowano je sztycharzem uniwersalnym. Po wielu próbach, wynalazca Drivet nauczył słonce czynić cuda w téj nowéj specyalności. *Helio-gravure*, czyli słońco-sztych wynikający z współpracownictwa pana Divet ze słońcem, uderza wszystkie oczy. Zrobiono już parę kopii bardzo znakomitych tym sposobem. Najpiękniejsza jest redakcya sławnego sztychu *Charloty-Cordy*, Henryka Scheffer'a. Jako majstersztyk pokazują mappę, w któréj doliny, góry, najdrobniejsze żyłki, *heliograwiura* oddała tak delikatnie, tak dokładnie, jak narzędzie najcierpliwszego robotnika.

Drivet nie ma pretensyi robić lepiéj jak sztycharz wprawny, zadaniem jego tylko dokładne naśladownictwo dzieł ludzkiej ręki. Więc wykończenie dzieła nie główną zaletą takiéj roboty. Wagę wynalazku stanowi szybkość roboty, a ztąd nadzwyczajna taniość. Plansza któréj wyrycie ręczne wymaga roku pilnéj pracy, i kosztuje najmniéj dziesięć tysięcy — sposobem Drivet'a może być wysztychowana w dni piętnaście i kosztować do pięciuset franków.

Pojąć łatwo jak wielką korzyść znajdzie w tém sztuka, rozpowszechniając arcydzieła bez trudu — przemysł, tanio zaspokajając swoje potrzeby. Aż strach bierze żeby ludzie zbytecznie nie obarczyli biednego słońca. Wkrotce trzeba będzie uchwalić prawo opiekuńcze celem przestrzegania nadużycia sił słońca w pracowniach w Paryżu: od roku Pańskiego 1869 jest ono już malarzem, rzeźbiarzem i sztycharzem.

---

Autor „*Komedyi dziecinnéj*" (la Comedie enfantine) Ludwik Ratisbonne wydał z czterdziestu winietami dalszy ciąg tego dzieła, pod tytułem „*Les Petits Hommes.*" Z tytułu możnaby wnosić, że to biografie spółczesnych — ale tak nie jest: pan Ratisbonne satyr nie pisze; teraz mianowicie, dzięki noworocznym uroczystościom wybrnęliśmy na chwilę z polityki. W książce jego czytelnik przebywa wśród uśmiechów, fantastycznych kwiatów i maurytańskich szlaków które w figlarne zwoje obejmują uszykowane w bataliony wiersze i idą z nimi, niby gromada dzieci z maszerującém wojskiem. Autor pozostał wierny swojéj publiczności różowo-śmietankowéj cery, pomiędzy którą pozyskał popularność.

Nie sam tylko Ratisbonne ubiega się teraz o względy Francuzów przyszłości. *Mali ludzie* mają dwór liczny złożony z uczonych i artystów. Mają swoich botaników, fizyków, powieściarzy, historyków, malarzy zwyczajnych i nadzwyczajnych; mają także swoich poetów, na których czele stoi Ratisbonne. Tego dzieci zdobyły sobie szturmem. Kiedy w najlepsze ślęczał nad jakimś średniowiecznym kontrowersem, cztery jego córeczki nie dawały mu spokoju. Ciągłe ich szczebiotanie, śmiechy, skoki, pytania bez końca, z razu niecierpliwiły ojca... Ale powoli się udobruchał. Zniewolony dziecinnym wdziękiem począł słuchać uważnie gwarzenia budzącego się ducha ludzkiego. W końcu pomyślawszy że to szczebiotanie dzieci uleci jak zapach róży, jak śpiew zięby wędrownéj; zaczął spisywać rozmowy, psoty i figle swoich córeczek. Tym sposobem złożyła się sama ta *dziecinna komedya*, sztuka w stu aktach, ciągnących się od kolebki do szkoły.

Poczęcie tego dzieła tłumaczy jego uderzającą prostotę, naiwne zwroty, spostrzeżenia, uwagi które tylko w dziecinnéj głowie mogą się zrodzić; nie wyszło one z samotnéj pracowni, gdzie zazwyczaj autorowie piszący dla dzieci, gryzą pióra żeby z nich wydobyć lekcye moralne. Ratisbonne pisał z *natury*: książka jego pierw była rzeczywistością zanim się w myśli wyklarowała. Dla tego tak zajmuje dzieci. Dzieci podobne do ojców, nie lubią moralności bezpośredniéj, która często rumienić im się każe. Ale skoro siebie poznają w zaimprowizowanym teatrzyku, gdzie figlują nie strofowane co chwila przez zadąsanego pedagoga — śmieją się do rozpuku, a po zapadnięciu kurtyny żądają drugiéj reprezentacyi.

„*Les Petits hommes*" są drugą częścią *komedyi dziecinnéj*. Część ta, poważniejsza od pierwszéj: dzieci rosną a umysł ich wraz

z niemi. Co było począkowo tylko instynktem nieokreślonym, przelotnym, ustala się; zmienia w przywarę jeżeli instynkt był zły: w cnotę jeżeli był dobry. W upartéj woli bambina, w jego zachceniach, czuć przybywające zdaleka groźne namiętności dojrzałego wieku.

Ratisbonne z nadzwyczajną uwagą śledził fazy wewnętrznego rośnienia i łatwym wierszem je pomierzył. Zwykle używa formy dyalogu. I tak naprzykład, dwóch *małych ludzi* przeznaczonych do wysokich urzędów w odległéj przyszłości, spotyka się w ogródku; pomiędzy dwiema lekcyami trzeba się zabawić:

— W co będziem grali? pyta Paweł.
Robert na to: „W żołnierzy"
Ja ciebie najpierw zbiję, ty na mnie potém uderzysz;
Następnie zawrzemy pokój.
— Dlaczego nie zawrzeć go zaraz?
Dlaczego? „*Mais... pour faire la guerre!*"

Oczywiście. Kiedy pałasz wisi u boku drewniany czy żelazny, ochota bierze wypłazować sąsiada przed obiadem; tém większa że sąsiad słabszy.

W wojennym Robercie przeczuwasz przyszłego marszałka Francyi; z Kubusia będzie giełdzista: już zatrudniony lokowaniem kapitału swoich kolegów; chociażby ten kapitał składał się z pięciu centimów. Jakób obaczywszy susa w ręku Jasia, mówi;

— Wpadłem na pomysł świetny! nabądźmy cygaro.
— ...Dobrze, Jaś odpowiada — tylko
Że na dwoje jedno cygaro... dział trudny...
— „*Nous nous arrangerons*, *dit l'autre*, *tu verras*:
„*Je fumerai*, *tu cracheras.*"

W całéj grupie nie ma drugiego Kubusia: wyrachowanie rzadkością w dzieciństwie, zwykle dzieci bywają hojne i zapalne. Ratisbonne malując z natury, najczęściéj pokazuje w dzieciach szlachetne popędy. Czasami bambiny jego filozofują: zadają rodzicom pytania ambarasujące. Staś idzie z ojcem na cmentarz w Dzień Zaduszny i sylabizuje pomnikowe napisy— pochwały których żywi nie szczędzą umarłym. Chłopiec naczytawszy się panegiryków, pyta ojca:

„Mais, où sont donc enterrés les méchants?
„Le père ne put pas s'empêcher de sourir:
„Les méchants sont vivants. Les hommes, à vrai dire
„Sont comme toi, petit, très sages quand tu dors,
„Tous excellents, quand ils sont morts."

---

Do najlepszych książek napisanych w tych czasach dla dzieci należy zaliczyć nowy utwór Juliusza Werne „*Les Enfants du*

*Capitaine Grant.*" Jestto podróż na około świata, w któréj nadzwyczajne wypadki wydarzają się i grupują w sposób naturalny. Trudno napisać książkę którąby mogła zachwycić dziecko i dorosłego człowieka, bo w takim razie autor musi zadowolnić wyobraźnią syna i rozsądek ojca — zawsze pozostając w granicach prostoty i uczciwości. Pan Werne zwyciężył szczęśliwie te trudności — to największa pochwała jaką można oddać nowemu utworowi autora „*Pięciu tygodni w balonie.*"

— Panowie Lavalleé i Verne wydali „*Geografią illustrowaną Francyi.*" Jestto zapewne najużyteczniejsza z noworocznych publikacyj. W przedmowie, pan Lavallee wykazał czém jest Francya ze stanowiska geologicznego, historycznego i statystycznego. Juliusz Verne w dalszym ciągu, wziął każdy departament i opracował osobno bardzo szczegółowo: do każdego departamentu prócz opisu, jest mappa i kilka stalorytów pokazujących najpiękniejsze okolice i pomniki miejscowe.

— „*La Morale familière*"zbiór powiastek napisanych przez p. Stahl, należy do tych rzadkich w Paryżu książek, które matka może dać do czytania niedorosłym córkom, z tą pewnością, że tylko dobre i zdrowe z niéj wyniosą wrażenia

— Wyszła prześlicznie illustrowana przez Bayard'a znana powszechnie praca Toussenel „*l'Esprit des Bêtes*" książkę tę zawsze z przyjemnością czytać będą ludzie wykształceni.

— Pan Berlepsch wydał z szesnastu obrazkami nowy opis Alp, pod tytułem „*Les Alpes, descriptions et récits.*" Autor jest członkiem klubu Alpejskiego.

---

— Sardou przedstawił wczoraj w Teatrze Gymnase nową komedyą swoją, któréj pierwotny tytuł „Dewotka" cenzura zastąpiła „*Serafiną.*" Sprawozdanie z téj sztuki oklaskanéj, musimy zostawić do przyszłego poszytu Biblioteki.

# PISMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Wielość światów zamieszkiwanych. Studyum, w którém wykładają się warunki zamieszkalności ziem niebieskich, roztrząsane ze stanowiska astronomii, fizyologii i filozofii naturalnéj, przez Kamilla Flammariona; z pięcią tablicami figur astronomicznych, Z drugiego wydania francuzkiego przełożył po polsku J. Waga, w Warszawie w drukarni Ungra, 1868.*

Współczesna literatura naukowa zupełnie odrębny od dawnego przedstawia widok: mam tu na myśli niesłychany rozwój piśmiennictwa popularnego. Dzieła naukowe, pisane dla ogółu czytelników, nie są wprawdzie objawem dopiero lat ostatnich, ale gdy dawniéj książka popularna występowała jako rzadkość wśród dzieł ściśle naukowych, dziś nawał pism popularnych zdaje się już liczebnie górować po nad pracami nauki poważnej. U nas, gałęź ta piśmiennictwa nader słabo jest jeszcze rozwiniętą; a gdy obecnie wydawnictwo traktatów specyalnych, a nawet podręczników szkolnych i uniwersyteckich, nader jest utrudnioném, ukazanie się książki popularnej, choćby tłumaczonéj nabiera znacznego rozgłosu i sprawia istotne zajęcie.

Biorąc do ręki dzieło p. Flammariona, a widząc że jest rozmiarów dosyć obszernych, sądziłem, że mam przed sobą przedewszystkiem wykład astronomii popularnéj, a tytuł jest przybrany dla zachęcenia i zaciekawienia czytelników. Tak jednak nie jest, podobnéj myśli ubocznéj wcale tu nie masz: mamy tu przed sobą traktat istotny o wielości światów. Myśl ta, że oprócz ziemi są i inne światy zamieszkałe, sądzę, że bardzo naturalnie nasuwa się każdemu, choćby pobieżnie z układem świata obeznanemu; słów kilka które tłumacz na czele swéj przedmowy zamieszcza o możliwości zamieszkania światów, są już przekonywające dla każdego, kto chce być przekonanym; dla kogo one nie wystarczą, kto ma

uprzedzenie z góry przyjęte przeciw istnieniu innych światów zamieszkanych, tego całe dzieło p. F. nie przekona. I nie może być inaczéj; o istnieniu istot ożywionych na innych planetach sądzimy jedynie z analogii tych ciał do ziemi. Oprócz analogii nic innego nas tu prowadzić nie może, bo o bezpośredniém dojrzeniu istot za pomocą jakichkolwiek narzędzi, żadna nawet wyobraźnia roić nie może. Całe téż uzasadnienie autora polega jedynie na wykazaniu i rozwinięciu owéj analogii; a choć niejednokrotnie mówi, że ciała niebieskie są zamieszkałe, dowodzi tylko, że światy te mogą być, prawdopodobnie są zamieszkałe, bo téż dalej w tém badaniu posunąć się nie można.

Dzieło całe podzielone jest na pięć ksiąg, oprócz kilku not. *Księga I* poświęcona jest badaniu historycznemu, które autor według zwyczaju rozpoczyna od czasów najdawniejszych; zaprotestować tu tylko należy przeciw wyrażeniu, jakoby zasada wielości światów zamieszkałych była duszy ludzkiéj wrodzoną; jak to? człowiek tak długo uważał słońce i gwiazdy za światełka jedynie dla niego przeznaczone, nie miał pojęcia o ich wielkości, a miał je zaludniać tworami ożywionemi? Pojęcie o którem mowa, mogło się istotnie rozwijać dopiero w miarę rozwoju saméj astronomii; w miarę jedynie jak poznawano, że stanowisko ziemi jest współrzędne stanowisku innych planet, mógł człowiek na owych światach osadzać istoty.

Egipt, sądzi autor, wskazał najpierwéj mędrcom tę naukę, ale jako Francuz nie może się wstrzymać od uwagi, że jego przodkowie Celtowie, a mianowicie Druidowie, wcześniéj daleko znali wiele prawd astronomicznych niż Egipcyanie. Całéj zaś téj części jéj dążnością jest uzasadnienie, że doktryna broniona przez autora nie jest nową. Do księgi téj dodaną jest nota mówiąca o stanowisku doktryny o wielości światów w obec nauk biblijnych. Pierwsze wydanie francuzkie wzbudziło niechęć w obozie stronnictwa, któremu się zdaje, że dla obrony religii należy przytłumiać każdą śmielszą, każdą nową myśl naukową. Walka to stara jak świat, po wszystkie czasy występowała ona w różnéj formie, a dziś lubo spokojniejsza, nie mniéj się sroży. Dla uspokojenia téjto niechęci, autor zestawia tu różne tłumaczenia podane dla pogodzenia doktryny, któréj broni, z dogmatem; do jakichto prowadzi niedorzeczności, osądzić może każdy bezstronny czytelnik. Jakże się tu dziwić że nauka Kopernika tak długo zostawała pod klątwą, skoro uczony tak znakomity, jak Whewell, a będący zarazem księdzem kościoła anglikańskiego, powstaje przeciw przypuszczeniu o możności zaludnienia innych światów jedynie dla tego, że wedle niego nie daje się ona pogodzić z nauką biblijną. Nie waha mu się odpowiedzieć sam Brewster, przyczém wpada w nader dziwne rozprawy, które nie posłużą zapewne do powiększenia chwały pierwszorzędnego fizyka. W zupełności zgadzamy się na zdanie samego p. Fl., że wszystkie te spory metafizyczne są zbyteczne i płonne, nie posłużą one ani ku chwale astronomii. ani ku powa-

dze religii. Zrozumiejmyż raz odpowiedź, jaką dał Laplace Napoleonowi I, gdy ten się dziwił, że w całej jego mechanice niebieskiej nie znajduje ani razu wyrazu Bóg.—N. Panie, odpowiedział Laplace, ani razu nie potrzebowałem się uciec do téj hypotezy. P. Flammarionowi, jak w ogóle bardzo wielu, nie podoba się ta odpowiedź, ale niechżeż powiedzą, czy nauka może co innego wyrzec. Jedni ją naciągają na wszystkie strony, aby na jéj zasadzie obalić istnienie Boga, inni znów sądzą że może ona wiarę naszą wzmocnić, jakby wiara tego potrzebowała; tak p. Waga mówi w przedmowie, że książka ta utwierdza wiarę w Istotę Najwyższą. Laplace wyrzekł prawdę, nauka nie sięga przyczyn ostatecznych, nie to jéj pole. Osłabia ona fanatyzm, to prawda, ale nie osłabia wiary w tym, co ją posiada, ani też wzmacnia w tym, kto jéj nie ma. Posłuchajcie słów wielkiego Gallileusza, które cytuje p. F. „Jakto! Istota nie mająca końca raczyła sama przybyć, aby objawić prawdę, a wy śmiecie w obec niéj rozumować, oceniać jéj nieprzeniknione prawa i porównywać zuchwale proch naszego mrowiska z przedsionkiem Jéj świątyni. Wiara nie pozwala podobnych pretensyi; ona jest samowładną, albo nią nie jest," (str. 162) i dalej też słowa Gallileusza „popełnia się wielkie nadużycie, gdy się tak często miesza powagę Pisma Śgo w kwestye naukowe i obserwacye" (str. 164). Materyalizm walczy z idealizmem, każdy naciąga naukę na swą stronę, ale ona unosi się ponad tą walką, szczęśliwa że zyskała zupełną niezależność. Ludzie wszelkich przekonań i odcieni religijnych mogą przyjąć doktrynę o wielości światów, i najzupełniéj ją ze swemi pojęciami pogodzić.

*Księga II* nosi tytuł „Światy planetarne," ma ona na celu okazać analogią innych planet do ziemi. Przykro tylko, że tu znajdujemy bardzo mało ogólnych pojęć astronomicznych; autor francuzki może nie miał potrzeby bliżéj się nad tym przedmiotem zastanawiać, mógł może w swych czytelnikach przypuszczać ogólną znajomość podstawowych zasad astronomii; tłumacz polski nie mógł się niestety podobném przypuszczeniem lubować. Dzieło ściśle naukowe ma na względzie naukę tylko i jest przeznaczone dla wszystkich tą nauką się zajmujących; co innego w książce popularnéj, tu ma się na względzie przedewszystkiem tych, dla których książka jest przeznaczoną; musi ona być zastosowaną do danego koła czytelników. U nas, powiedzmy otwarcie, proste nawet zasady astronomii, zbyt mało są znane ogółowi, pomimo, że mamy kilka dzieł popularnych w tym przedmiocie, i dla tego sądzę, że tłumacz winien był rozwinąć nieco część ściśle astronomiczną, czego może nie potrzebował autor francuzki. Niechże powie tłumacz czy każdy jego czytelnik będzie miał jasne pojęcie o tém, co to ekliptyka, co pochyłość ekliptyki, co to są prawa Kepplera, dla czego tarcza słoneczna jest dla mieszkańca Merkurego 7 razy większą, niż dla nas, a światło i ciepło jakie Merkury od słońca odbiera, jest 7 razy mocniejszém niż na powierzchni naszego globu, dla czego znów na Jowiszu ilość ta rozkłada się w mierze stałéj,

i niezmiennéj na każdym stopniu szerokości, zkąd znamy massę planet? i t. d. Że autor przypuszczał w swych czytelnikach pewną znajomość astronomii, można osądzić ztąd, że w dalszém miejscu, objaśnia, jak się dochodzi odległości gwiazd stałych od ziemi, a nie mówi o tem, jak znaleźć odległość planet; a przecież zanim się komu powie o paralaksie rocznéj, za pomocą któréj udało się znaleźć odległość niektórych gwiazd, należy wprzód powiedzieć o paralaksie ziemskiéj, która wystarcza do wymierzenia odległości planet.

Najważniejszy wszakże zarzut, jaki uczynić można téj księdze, tyczy się pojęć autora i tłumacza o słońcu. Autor o niém krótko mówi, ale jest widocznie stronnikiem upadłéj stanowczo teoryi, jakoby jądro słońca było ciemne, a tylko otoczone atmosferą świetlną; teoryi téj trzyma się p. F. widocznie dlatego, żeby mógł i na słońcu umieścić istoty ożywione. A jednak p. F. zgodnie z teoryą Laplace'a i badaniami geologicznemi przyznaje planetom początek ognisty, mówi o kometach płomienistych, a odmawia słońcu natury ognistéj. Tłumacz podziela ten pogląd przestarzały autora, i to w sposób jeszcze energiczniejszy; p. Waga przytacza wprawdzie w tém miejscu z Gazety Polskiéj piękny, acz zbyt treściwy wyjątek o słońcu z astronomii popularnéj Littrowa, zupełnie zgodny z najnowszemi zdobyczami nauki, że mianowicie słońce jest ciałem rozpaloném, ale w swym przypisie przeciw téj teoryi powstaje. Przed dziesięcią laty, dwaj znakomici uczeni heidelbergscy: Kirchhoff i Bunzen okazali, że za pomocą badania widma słonecznego, dojść można do poznania pierwiastków z których się składa atmosfera słońca, a na téj zasadzie okazał Kirchhoff, że słońce jest natury ognistéj, i to z takiém prawdopodobieństwem, jakie posiada którekolwiek dobrze nam znane prawo natury. Odkrycie Kirchhoffa nosi nazwę analizy spektralnéj, co tłumacz za Gazetą Polską oddaje po polsku nader niewłaściwie przez rozkład widma słonecznego, gdy jest to właściwie rozbiór za pomocą widma, coby najlepiéj było przełożyć przez rozbiór widmowy; także znajdujemy tu wyrażenie, rozkładanie śwtatła, co oddawna w dziełach polskich nazywają bardzo właściwie rozszczepianiem światła. Otóż w przypisku swoim protestuje p. Waga przeciw teoryi Kirchhoffa, i mówi po prostu że „teorya ta nie trafia jakoś do przekonania" (jakkolwiek w innem miejscu przyjmuje jéj rezultataty). A jednak teorya Kirchhoffa jest uzasadniona ścisłém dowodzeniem i potwierdzona świetnemi doświadczeniami. Wprawdzie astronom francuzki Faye powstał przeciw teoryi Kirchhoffa, ale i on przyznaje, że słońce jest rozpalone, a spór między niemi tyczy się jedynie okoliczności drugorzędnych. Zarzuty ogólnikowe, jakie p. Waga stawia są nader słabe; że przestrzeń jest zimną, gdy na powierzchni ziemi jest znaczne ciepło, tłumaczy sam p. Fl. mówiąc o atmosferze planet, a nie wiem co upoważnia p. W. do przypuszczenia że wpływ szkieł palących i zwierciadeł wklęsłych w przestrzeni byłby żaden. P. W. zdaje się sądzić, że promienie słone-

czne są zimne, i dopiero padając na ziemię, wywołują ukryty w niéj cieplik. Jestto rzecz tak sprzeczna z panującemi dziś pojęciami o naturze ciepła, że nie wiem, co na to odpowiedzieć. Powołuje się tu p. W. na inne dzieło Flammariona, ale gdy idzie o powagę tylko, czemże jest powaga p. F. w obec takiego potentata naukowego, jakim jest Kirchoff (1). Boli nas istotnie ten zarzut gołosłowny stawiany przeciw najświetniéjszéj pracy, jaką może przedstawić nauka współczesna; przyjmujemy doktrynę o istotach żywych na innych planetach, która bądź co bądź jest i zostanie tylko prawdopodobną, a mielibyśmy odrzucić to, co jest dowiedzioném. Jeżeli mamy trzymać się teoryi Herszla dlatego tylko, że dawniejsza, to już cofnijmy się raczéj do pojęć greckich, którzy też uważali słońce za kulę rozpaloną. Zgódźmy się na to wszyscy że planety są a raczéj mogą być zaludnione, ale nie umieszczajmy istot żywych na rozpalonem słońcu, ani go gaśmy dlatego tylko, aby je tam osadzić. Teorya Kirchhoffa zrobiła w tym już roku ważny postęp: p. Janssen zastosował ją do badania atmosfery planet, i wykazał istnienie w atmosferze Marsa pary wodnéj. P. Fl. umieszczając istoty żywe na planetach, nie przypuszcza nawet aby substancye na nich były podobne do wody, atmosfery i innych ciał naszego globu; analiza spektralna wykazuje więc jeszcze silniejsze podobieństwo planet z ziemią, niż można było przypuszczać; czy takie odkrycie nie uzasadnia silniéj możliwości zaludnienia innych światów, niż obszerne traktaty filozoficzne? P. Fl. uważa daléj księżyc za ciało zaludnione: jest to przypuszczenie zupełnie dowolne, bo analogia, która nam dozwala przyjąć, że ciała żywe istnieją na planetach, jako nader do ziemi swą naturą zbliżonych, opuszcza nas przy księżycu, i musimy tu wpadać w rożne naciągania. Łatwiej możnaby się zgodzić na zdanie nawiasowo przez p. F. wtrącone, że księżyc był kiedyś zaludnionym.

Autor nie sądzi, aby drobna ziemia lub Wenus były zaludnione pierwéj niż Jowisz i Saturn, istne olbrzymy świata słonecznego, a jednak należy to przyjąć, jeżeli się zgodzimy, co i autor przyjmuje, że planety miały początek ognisty; planety mniejsze mogły prędzéj ostygnąć i wcześniéj stały się zdolnemi do przyjęcia istot żywych.

Małych planet jest tu wyliczonych 81, liczba ta jednak dawno już przewyższoną została; w końcu zeszłego półrocza dochodziła już stu: szkoda że tłumacz nie uzupełnił tej liczby do chwili wydania: zresztą to okoliczność podrzędna. Wymiary świata słonecznego podane są w milach francuzkich, należało je zamienić na mile geograficzne, jak to się zwykle u nas podaje, i z czém bardziéj jesteśmy oswojeni, lub też porównać je z milami naszemi.

(1) Po napisaniu niniejszego rozbioru wpadła mi w rękę praca o słońcu p. Flammariona, zamieszczona w wydawanych przez niego *Etudes et Lectures sur l' astronomie*, gdzie wyraźnie już przystaje na ognistą naturę słońca.

*Księga III.* Fizyologia Istot; tu okazuje autor, że na ziemi rośliny i zwierzęta rozwijają się w najrozmaitszych warunkach klimatycznych i miejscowych; słuszna więc przyjąć że mogą one przebywać i na innych planetach. Nie możemy się jednak zgodzić z autorem, aby dalsze planety odbierały nie mniéj światła, jak bliższe (str. 85). W téj części tłumacz prostuje niektore poglądy autora, i nic dziwnego, bo p. Waga jest przedewszystkiem naturalistą, gdy p. F. jest astronomem.

*Księga IV.* Niebiosa. Tu przechodzimy ze systematu słonecznego do systematów gwiazdowych, i autor wykazuje że cała przestrzeń bezgraniczna wypełniona jest światami zaludnionemi. Ale nie zapominajmy, że gwiazdy podobnie jak słonce, uważać należy za ciała rozpalone, i na nich istot umieszczać nie można; przez analogią tylko z systemem słonecznym możemy przypuścić że istoty żyją na planetach krążących około słońc; i te planety wprawdzie dostrzeżone być nie mogą, ale istnienie ich jest bardzo prawdopodobném.

Ostatnia *księga V*, najobszerniejsza, p. t. „Ludzkość w wszechświecie" jest czysto filozoficzna, pobieżnie o niéj tylko wspomnę, bo w rozbiorze całéj książki starałem się pozostać na gruncie naukowym, jakkolwiek strona filozoficzna w ogólności w dziele p. F. przeważa; sam tłumacz w przedmowie powiada, że doktryna tu rozwijana jest czysto filozoficzną i religijną, a zatém żadną obserwacyą naukową nie daje się wesprzéć, przeto zostawia ją w zupełności sądowi i uznaniu czytelnika. Autor, uważa ludności na różnych światach przebywające, jako będące w różnym stopniu rozwinięcia, i idzie przytém tak daleko, że łatwo w marzenia przechodzi. Ma on widoczną słabość do planet dalszych, jak Jowisz i Saturn, i umieszcza na nich istoty daleko bardziéj duchowe niż na ziemi; inni z równém, a może i lepszém prawem, osadziliby je na planetach bliższych słońca. Wiele poglądów autora jest dziwnie błędnych; uważa on pobyt na ziemi jako niewygodny dla prac duchowych, umysłowych (np. str. 122), gdyż większą część czasu człowiek poświęcać musi na zaspokojenie potrzeb fizycznych; lecz pytam się, gdyby człowiek nie miał potrzeb do zaspokojenia, czyby jakakolwiek nauka powstała? Właśnie ta walka z naturą umysł nasz hartuje i podnosi. Mówi autor, że ludzie na innych światach pędzą życie wśród wiekuistéj wiosny, wolni od trosk materyalnych, obdarzeni organami, co same wciągają pokarm już gotowy, odrazu poznawać mogą prawa świata. Uważne rozejrzenie się po tém, co zachodzi na ziemi, do innych zgoła prowadzi nas wniosków; ludzie się najwyżéj rozwinęli właśnie nie w klimacie najbardziéj błogosławionym, ale tam gdzie ziemia bez uprawy pokarmu nie wydaje, gdzie trzeba się chronić od zimna. Gdyby człowiek nie miał potrzeb, nie byłoby nauki. Na innych światach istoty mają być doskonalsze i miłość ich czyściejszą; w tym celu, jak to wypada z łacinskiéj noty „de generatione," rozradzanie owych istot ma być dziełem czysto duchowém. Marzenia autora

idą tak daleko, że jeżelim dobrze zrozumiał (str. 216) dusze zmarłych na ziemi mają się na inne światy przenosić. Dokądże wracamy?

Na tém kończymy przegląd dzieła, pozostaje nam jeszcze słow kilka powiedzićć o języku. Jest on w ogóle dobry i dla tego tembardziéj razi jeden gallicyzm bezustannie przez tłumacza używany, mianowicie powtarzanie zaimka *ów*, podobnie jak francuzkiego *celui.* Ot np. w zdaniu na str. 86: „Ścisły i nierozerwany związek panuje między ziemią, a istotami, które ją zamieszkują, między fenomenami jakie dzieją się na jéj powierzchni a funkcyami tychże istot, poczynając od *zwierząt* które odbywają wędrówki, powodowane jedynie wrodzoną skłonnością i instynktem naturalnym, aby znajdować się zawsze w warunkach według których utworzone zostały, aż do *owych*, co nie mogąc się przenosić, zmieniają okrycie, przyodziewając się stosownie do pory roku." Przykładów takich możnaby przytoczyć mnóstwo; w języku polskim należy albo powtórzyć rzeczownik, albo dla uniknięcia powtarzań, nadać zdaniu inną budowę. W samym téż tytule znajdujemy wyrażenie niestosowne *przełożył po polsku.*

Na końcu znajdujemy gwałtowny napad tłumacza na dzisiejsze słownictwo chemiczne polskie; sądzę że wszyscy są zupełnie zgodni z autorem przeciw nowatorstwu co do wprowadzenia niepotrzebnych wyrazów naukowych, gdy są dobre dawne, ale téż o wyrazach trut (zamiast azot), igło (węgiel) nikt poważnie nie myśli; co do wyrazu tlen, ten się już przyjął i w użyciu jest dogodny, dla czegoby go rugować? A co do wyrazu rtęć (a jak autor przez naigrawanie pisze *rrtęć*), nie wiem co ma przeciw niemu, bo jest to wyraz czysto polski, i jak mi się zdaje, i przez dawniejszych pisarzy używany. Słownictwo nasze chemiczne, mówię tu o chemii nieorganicznéj, jest dostatecznie ustalone, szkoda tylko że nie przyjmują go w Krakowie; ale nie zapominajmy, że słownictwo idzie za rozwojem nauki, i możemy być pewni że i ono ulegnie z czasem zmianie, zwłaszcza w nauce tak żywéj jak chemia; dosyć zresztą spojrzéć, jak zagmatwane jest jeszcze słownictwo w chemii organicznej, nie tylko u nas, ale i w językach obcych. Zasady dawne jakich broni autor, bynajmniéj tu nie wystarczają. Sam zresztą p. Waga czy dobrze mówi, np. na str. 62: siła sprężysta pary, zamiast siła sprężystości, prężności pary, wodoród siarczysty, zam. siarkowodór, gaz węglowy zam. kwas węglowy.

Co do uderzających błędów drukarskich, to na stronnicy 134 zamiast znaku mnożenia (×) znajdujemy wciąż powtarzaną głoskę X, a w tablicy zawierającéj główne elementa systematu słonecznego w rubryce „massy w porównaniu z massą ziemi" znajdujemy pod massą słońca 354936000: brak przecinka uczynił ją tysiąc razy za wielką.

W każdym razie wdzięczni jesteśmy zacnemu autorowi Flory polskiej za pracę podjętą po długoletnich już trudach, i na któ-

réj wydanie bardzo porządne, własnego nie szczędził nakładu. Książka ta łatwo może znaleźć wstęp do obszernego koła czytelników i wśród nawału utworów lekkich, zachęcić do czytania dzieł poważniejszych. Kto ją przeczyta może zechce wziąść w rękę jaką astronomię popularną, lub inną tego rodzaju książkę, choć i ona sama zdolna jest u wielu czytelników rozwinąć szerszy pogląd na świat, byleby ostrożnie przyjmowali wyłożone tam poglądy filozoficzne. Na końcu tłumacz zamieścił obszerny spis wszystkich znakomitości naukowych i innych, o których była wzmianka w ciągu dzieła; może to obeznać nieco czytelnika z wielu nazwiskami zasłużonemi. Co rychléj téż radzibyśmy ujrzéć zapowiedziany przez pana Wagę przekład Botaniki popularnéj Figuiera.

*Stanisław Kramsztyk.*

---

## *„Trójka" powieść przez Paulina Stachurskiego w 2-ch tomach. Lwów. 1868.*

Nigdy, pisząc recenzye, nie mieliśmy pretensyi podawania autorom odmiennego tematu, odmiennie pojętéj myśli, lub na nasz sposób zapatrywania się skrojonego waryantu. Nrzucać tło, myśl przewodnią lub nić przebiegu zrodzoną w mózgu recenzenta po przeczytaniu utworu, zdawało się nam zawsze nierozsądném wdzieraniem się w obcą indywidualność, zarozumiałém nawet uzurpatorstwem. Jednakże są pewne niewzruszone i ogólne zasady, pewne na granitowych posadach oparte idee, o których żaden piszący powieści zapominać nie powinien, których całkowite pominięcie wyradza fałszywy kierunek, fałszywe poglądy, a więc i fałszywe oddziałanie na umysł czy serce czytelnika. W rozmaitych epokach społeczeństwa, chwilowe potrzeby wywołują dzieła tendencyjnego znaczenia i wartości; lecz wówczas czytelnik dla celu przebacza wiele, poczuwa się nawet w pewnéj mierze do wdzięczności. I tak był czas, gdy we Francyi romans socyalny pomagał celom politycznym, a więc był mimo fałszywéj humanitarnéj podstawy, nietylko cierpianym, lecz i chciwie pożeranym. Odpowiadając duchowi epoki, stanowił zarazem jego wyraz; nieuniknioność więc ta wytwarzała pewien chwilowy pożytek. Lecz z upływem stosownéj chwili, utwory te toną w fali zapomnienia, a gdyby je kto późniéj wygrzebał szukając w nich strawy lub przyjemności, uczułby tylko wstręt lub niesmak. Nie tak się atoli rzecz ma z utworami, których przedmiotem struna wiecznie żywo drgająca, struna serca, niewzruszona w swych przemianach, przejściach, zboczeniach i błędach. Utwory takie trwają długo zachowując pier-

wotną świeżość, bo się nie obracają w błędném i dwójznaczném kółku, bo nie szukają duszy i cnoty w sceptycznych zgnębieniach, w pretensyonalnych i bajrońskich rozpaczach ani w pseudo-poetycznych, w rzeczy zaś samćj, bladych i nieświadomych samc siebie uniesieniach. Ich przedmiotem była prawda z krwi i kości, odpowiednia prawom natury i warunkom społeczeństwa, prawda zaczerpana w *rzeczywistości* i w *możebności*. *Rzeczywistość* zaś ta *możebna* nie podobną jest ani trochę do owego ohydnego realizmu, którego wyniki są ostatecznie fałszywsze i nieprawdopodobniejsze od najswobodniejszego zmyślenia. Przestraszyć się trzeba, gdy się pomyśli, ile krzywdy wyrządza żyjącemu społeczeństwu, ten w najnowszych czasach wyświęcony realizm. We francuzkiéj literaturze powieściowéj, pochłonął on wiarę we wszelką podniosłość idealną, dzielnie choć mimowiednie wspierając równoległy z badań nauk przyrodzonych wynikły materyalistyczny kierunek; kilka zaledwie świetnych, dawnych gwiazd (Wiktor Hugo, Al. Dumas ojciec), stanowią tu wyjątek. Polska literatura powieściowa mniéj się dała owładnąć sępim jego i cynicznym szponom, hołdując za to zbyt może naprężenie idealnemu sentymentalizmowi; gdzie atoli pojaw ten się wydarzy, tam zdaje się walczyć o lepsze z najokrzyczańszymi obcymi wzorami, szukając palmy zwycięztwa w przeprowadzeniu najniewiarogodniejszéj fabuły, przesadzonéj gwałtem, niby egzotyczna roślina na zupełnie obcą sobie ziemię. Dowodem naszego twierdzenia spisanego po ostygnięciu z pierwszego zbyt przykrego wrażenia, jest powieść dwutomowa p. Paulina Stachurskiego, wydana we Lwowie p. t. Trójka. Od pierwszéj do ostatniéj stronnicy wierzyć się nie chce, że bohaterowie jakkolwiek z polskiemi nazwiskami, na krajowym żyją i działają gruncie;—nie, nasuwa się natarczywie pamięci nie już p. Champfleury, zwany twórcą realistycznéj powieściarskiéj szkoły we Francyi, ale p. Ponson du Terrail, który w świecie rozbójników, złodziei i rzezimieszków porusza się z całą swobodą wesołego widza, lub p. Tymoteusz Trimm, który powieściowym Pitawalem karmi niby duchową manną swych czytelników najniższéj warstwy. A po ukończeniu dwóch grubych tomów, powiada pewny siebie autor: „Dlategoto *łotry* méj „Trójki" nie są pozbawieni sympatyi (?); i otóż jéj morał cały." Ten kawalerski sposób rozwiązywania kwestyi etycznéj i estetycznéj w powiesci, jest arcy-wygodny, nie przeczę, ale czy jest choćby prawdziwym? Kto autorowi zaręczył, że bohaterowie jego których tak otwarcie i prawdziwie nazywa „łotrami," cieszą się istotnie sympatyą czytelnika?—kto go upewnił że to co stanowi według niego: „wiązankę życia" nie jest tylko jego pojawem zewnętrznym, którego motywów i związku organicznego, szukać trzeba głębiéj i filozoficzniéj.

Autor zmęczywszy czytelnika brudnemi sprawkami trzech młodych ludzi, związanych ze sobą węzłem przyjaźni (przyjaźń zbrodniarzy to także kwestya wątpliwa) zwala całą winę na nie-

dostateczne ich wychowanie i na okoliczności zewnętrzne. Lecz w takim razie, cóżby się stało z całą niemal klassą ubogich, którym wychowania nie są w stanie dać rodzice żyjący w nędzy, uganiający się w krwawym pocie za kawałkiem chleba. Czy w całéj téj klassie nie znajdzie się już ani jeden człowiek uczciwy, ani jeden, o którymby przypuścić można, że jeżeli już nie religia, to samo zetknięcie się i walka ze światem wyrobią i wykształcą w nim szlachetną duszę? Rodzice, którzy dać mogą dobre wychowanie a nie dają go, czynią źle, brak téż wychowania jest niezawodnie przyczyną demoralizacyi; nie myślimy się téż sprzeczać o czynniki zanadto dobrze wszystkim znane, ale nie można całéj winy kłaść na wychowawców, a wszelką odpowiedzialność zdejmować z winnych. W duszy najdzikszego człowieka tlą jeszcze złe i dobre instynkta, tém bardziéj téż w duszy człowieka wychowanego w cywilizowaném społeczeństwie. Nie sztuka przyjść do gotowego, zasiąść mając wszystkie dane, odrazu do biesiadnego stołu zasługi, ale to właśnie zwie się wyrobieniem i zasługą, gdy w zetknięciu ze światem, człowiek mając złe zaszczepione w sercu, ściera się, cierpi i doskonali. Tysiące przykładów świadczy o téj prawdzie, o tym mozole jednostek w poszukiwaniu pierwiastku duchowego, inaczéj téż dziać się nie może z istotą stworzoną na podobieństwo boskie. Gdy się zdarzą w życiu ludzie źli (w co uwierzyć trudno) tam stanowczo orzec można, że są to nieszczęsne wyjątki; lecz gdy tacy obrani są za przedmiot w powieści, tam nie wolno stawiać ich jednostronnie nie przedstawiając zarazem walki w ich sercu, walki złego z dobrem, walki złéj natury, złego wychowania z szlachetnością i zacnością napotykaną na drodze, gdyż w takim razie nie stawia się typów, charakterów, ale karykatury, ale nadzwyczajne jaskrawością rażące postacie, grzechów których i występków nie wolno osłaniać szumnym frazesem, pragnącym uchodzić za zasadę. Niech nam autor wskaże ustęp, w którymby motywował rosnący olbrzymim krokiem postęp złego jego bohatérów. Jeden tylko z Trójki nazwiskiem Pańko, po dokonaniu licznych kryminalnych sprawek, uczuwa jakąś niby litość dla Heleny żony hrabiego Parysa, co mu wcale nie przeszkadza w namawianiu wkrótce potém towarzyszów do spełniania dalszych zbrodni. Ta nagła przymieszka poezyi w najniestosowniejszym dla jéj odczucia charakterze, budzi wielkie podejrzenie, że już nie powiem jaskrawo tendencyjne. Autor mówi z lubością przez usta jednego ze swych bohatérów: „Pańko nie jest powszednim złodziejem, to postać poetyczna.” Więc w niepośledniém złodziejstwie, w bandytyzmie à la Rinaldini, szukać trzeba poezyi?

Zmiarkował się téż wnet autor, bo go znów robi takim jak wprzódy, czując że i w najfałszywszém założeniu potrzeba być konsekwentnym. A taki pan Szymon Złodzicki, czy jest możebnym? jeżeli już autor chce, dodajmy, czy jest możebny w powieści? Czyż człowiek przychodzi na świat skończonym potworem, a czy najgorsze choćby wychowanie dane przez zaślepionych mi-

łością w jedynaku rodziców, zaciera jakiś słaby choćby odcień przywiązania dla tychże w sercu tego jedynaka, czyż więc możebném jest nikczemne obejście p. Szymona z ojcem i matką? P. Szymon (str. 41) rzuca chorego ojca z całéj siły na ziemię, zabija go, i nie ma nawet wyrzutu sumienia. Imitacya to Franciszka Moora wcale nieszczęśliwa i niezręczna. A trzeci bohatér, hrabia Parys? Los dał mu wszystko, zacnego i prawego wuja opiekuna, późniéj kobietę anioła czuwającego całém poświęceniem miłości nad jego życiem, majątek, zdolności, a jak tem wszystkiem rozporządził? Podeptał uczucia, wtrącił do grobu szlachetną żonę, zdolności użył najgorzéj, a dlaczego, dla jakiéj przyczyny, dla jakiego celu? Wszakże złe wychowanie jakie mógł odebrać (chociaż miał wuja opiekuna, rozsądnego i prawego człowieka) powinno się było zatrzéć w takim świętym domu jaki był państwa Bużewskich, przy takim przykładzie jaki dawał Iwan Motyła, przy takiém uczuciu Heleny, które mimowoli szanował. Dlaczego wszystko odpychał cynicznie i nielitościwie? Czy wiedza i nauka przetworzyły go niby Fausta, na niedowiarka, czy przeszłość ciążyła nad nim złowieszczą missyą jak nad Hamletem? Nie, broń Boże, autor sam nie wié dokładnie dlaczego sfabrykował trzy monstra, chyba że się powodował tutaj reminiscencyami, i w hrabi Parysie dosadził farbami zapożyczonemi z „Bajronisty" Z. Kaczkowskiego.

Tak przeto główne postacie powieści osnute, wywołują po przeczytaniu zapytanie, jaka racya waszego istnienia, czém chcieliście przemówić do mnie, czego nauczyć, czém wzruszyć, lub czém wreszcie zabawić? Nie znałem was, i było mi błogo, dobrze, stokroć lepiéj aniżeli teraz gdym was poznał. Wolałem się pieścić illuzyą, ja zwłaszcza, skromniejszego ducha czytelnik, że na tym świecie ludzie nie są źli bez przyczyny, że jeżeli błądzą, to z winy namiętności, nierozumu, braku energii i siły w powstrzymaniu się, ale nie dla saméj przyjemności czynienia źle, dla *wirtuozostwa* występku. Lub może chciałeś autorze, najfałszywszemi drogami dojść do dowodu i stwierdzenia moralnéj zasady, to jest chciałeś dowieść prowadząc po labiryncie z któregoby nie wydobyła Aryadna, że przyjaźń i koleżeństwo zawiązane w młodzieńczych, szkolnych latach, utrzymują się do grobowéj deski, mimo wspólności a może właśnie dla wspólności występków? i czy w téj wspólności widzisz taką poezyę, iż dla niéj poświęcasz prawdę i spokój harmonijnego twórcy? Takby się zdawać mogło, bo ilekroć np. hr. Parys po dokonaniu nikczemnego czynu, czuje się znicestwiony, wówczas zawsze ożywia go Pańko lub Szymon nowemi planami awanturniczych przygód. Dość tu przytoczyć ustęp na stronnicy 66 tomu II. A chcesz czytelniku wiedziéć jakie to przygody, i co ożywia i do energii przywraca hrabiego Parysa? Posłuchaj. Hrabia Parys, jeden z Trójki, po haniebném opuszczeniu narzeczonéj Heleny, któréj życie zawisło na połączeniu się z ukochanym fatalnie, awanturował się po całym świecie w rozliczny a zawsze

brudny sposób, aż się zetknął z kochanką lat dawnych, aktorką, zbogaconą po jakimś nieboszczyku mężu. Dawna miłostka zawiązuje się na nowo, tak że goły hrabia nie sroma się żyć kosztem nieczystych rąk kochanki aż do chwili, w któréj, ta łakoma hrabiowskiego tytułu, natarczywie wymaga połączenia się z nią ślubem małżeńskim. Zniechęcony i upokorzony, idzie do domu gry, z którego powraca wygrawszy znaczne summy do mieszkania kochanki na to, ażeby je rzucić jéj pod stopy. Potém postanawia, po krótkim hamletowskim monologu, odebrać sobie życie. W tym celu idzie do lasu, przykłada pistolet do piersi i już ma za cyngiel pociągnąć, gdy wtém wstrzymuje go ktoś za rękę. Tym ktosiem jest Pańko, który wraz z Szymonem Złodzickim, trzecim z Trójki, prowadzą w tych lasach niebezpieczne rzemiosło, składając korzyści do wspólnéj kassy tak zwanego: „Towarzystwa uczciwego zarobku." Otóż ten Pańko wraz z Szymonem prezesem tego towarzystwa, *ożywiają* dawnego kolegę, najprzód opowiedzeniem mu dotychczasowych przygód, z których jak autor mówi, nie ukrywał Parys, że „w położeniu ich wyjątkowém *nieco* widzi dużo *poezyi* życia" (znów ta poezya)! a potém ofiarowaniem mu roli w Towarzystwie, któréj znowu Parys *„jedynie z amatorstwa"* się podejmuje. Jakaż to rola? Oto ani mniéj ani więcéj, tylko wysadzenie banku w domu gry przez podsunięcie fałszywych kart. A co, czy chce ci się wierzyć czytelniku, że ta powieść rozgrywa się nie w jakim zaułku paryzkiéj jaskini? i nie przez bohatérów jakichś nowych tajemnic Paryża?

Nie podajemy treści, bo nie nauczyłaby niczego, złożoną będąc z samych takich przygód awanturniczych i nieprawdopodobnych, ale nie jeden radby wiedziéć jaki koniec spotkał ową Trójkę? Czy który z nich został należycie ukarany materyalnie lub moralnie, jeżeli już autor nie chciał saméj moralnéj ich poprawy? boć przecież nie obstając bynajmniéj za axiomatem wynagrodzenia koniecznie cnoty i ukarania występku docześnie i dotykalnie, dobrzeby było, gdyby przy powodzeniu a raczéj mimo ostatecznego powodzenia materyalnego bohatérów, widocznym był przynajmniéj palec boży, szarpiący niepokojem ich sumienie, lub przynajmniéj nasuwający czytelnikowi pewność, że takie powodzenie zbyt gorzko okupywać trzeba. Gdzież tam! Pańko jak pił i hultaił się dotąd, tak pije i daléj pod Kogutkiem, nie uczuwając najmniejszych skrupułów, ani najlżejszy ochoty poprawy. Hrabia Parys odziedziczył grubą fortunę, pochowawszy żonę Helenę, któréj późniéj pozbyć się chciał jakimbądź sposobem, a lubo przewidziéć nie możemy, jak mu się powodziło daléj, ale o los jego obawiać się nie trzeba. Autor tak hojnie uposażył go dziedzictwami, miłostkami wspomagającemi w potrzebie, i potężną dozą wyrozumiałości na wszystkie najbrudniejsze czyny, że można być pewnym że doczeka matuzalowych lat, jeżeli mu podagra zbyt dokuczać nie będzie. Pan Szymon zaś Złodzicki, ten wyszedł najlepiéj z ca-

łéj Trójki. Pogrzebał bowiem rodziców, przyśpieszywszy ich zgon umyślnie, zaokrąglił fortunę, ożenił się bogato jak chciał, i doczekał się nawet różnych zaszczytów w gronie spółsąsiadów. Daruje nam szanowny autor, że mu powiemy iż przeładowania farb nie szczędził, i że pozbawiwszy całkowicie p. Szymona sumienia, powinien go był cokolwiek chociaż zostawić sąsiadom, którzy tak dalece mylić się nie mogli, iżby łotra i głupca, boć przecie Szymon nic nigdy się nie uczył, wynosili godnością po nad wielu innych. A jeżeli już przez ironię losu, chciał autor p. Szymona wynieść tak wysoko w dostatkach tego świata, to niechby nam go był chociaż z lekka ukazał w jednéj z tych chwil, w których człowiek nawet najgorszy, rachuje się ze swemi występkami i pochyla głowy w skrusze przed niewidzialnym ale przeczuwanym Majestatem Boga. Niechbyśmy widzieli że zbrodniarz nie może się cieszyć swobodnie, nie może naigrawać bezkarnie z praw boskich i ludzkich; lecz że przeciwnie, właśnie te nazbierane chciwie dostatki i te pozyskane zaszczyty dają mu się uczuć jako znikomość marna w obec wewnętrznego spokoju, którego teraz nadarmo pragnie i instynktem budzącego się głosu sumienia pożąda.

Tego moralnego zadowolenia nie szukać w utworze p. Stachurskiego. Może więc brak wyższéj filozoficznéj zasady, zastępują artystyczne epizody, kunsztowne prowadzenie intrygi, wykwitny styl i język? Nie—p. Stachurski zbyt dorywczo i luźnie zabrał się do dzieła; zamiast przeto jasności w toku intrygi, wprowadził chaos, zamiast wykwintności formy wytworzył pewną rutyniczną zuchwałość, która razi rubasznością i pospolitością. Nie można mu jedynie zaprzeczyć ruchu, akcyi, która w połączeniu z podniośléjszym na świat poglądem i zdobyciem sobie artystycznych pojęć, mogłaby się z czasem przerobić na dramatyczną werwę. Strzedz się zaś przedewszystkiem powinien szermierki dowcipu, przechodzącego bardzo często w odrażającą gminność, że tu przytoczę tylko stronnicę 198 tomu Igo.

Dowcip a humor, to dwie rzeczy odrębne. Piérwszy oświeca czasem, nagle, promiennie, pozostawiając za sobą uśmiech na twarzy, i dokładną pamięć oświeconéj dowcipem sytuacyi; drugi nie zjawia się jak meteor, i nie świeci jaskrawo a daleko, ale stale, budząc i utrzymując czytelnika w wesołém i pogodném usposobieniu. Obaj są darem natury, ale drugi jest o wiele od piérwszego rzadszym i szacowniejszym. Chcieć przeto sztuką, naciąganiem, forsownćm usiłowaniem stworzyć to, czego natura nie dała, jestto chcieć rzeczy niepodobnych. Pan Stachurski sili się na temperaturę humoru, któréj go natura pozbawiła stanowczo.

Wracamy więc do powyższego naszego orzeczenia, że powieść niniejsza zrodzona jest na gruncie realizmu, nie podobnego bynajmniéj do rzeczywistości życia, o odtworzenie któréj każdy pisarz starać się powinien. Potrzeba tylko patrzeć bystro, obserwować. Obserwacya, jak się ktoś wyraził, stanowi właśnie może ów ge-

niusz wielkich pisarzy, wielkich malarzy życia. Kto się umie patrzéć na życie okiem badacza i psychologa, ten znajdzie w niém pożywioł, nie potrzebując się odwoływać do czczéj wyobraźni. W życiu ludzkości tkwi dramat,—życie i natura ludzka to powieść—piękna, jak się wyraził Jan Jakób Rousseau.

*Edward Lubowski.*

---

*Wykład porównawczy prawa karnego, przez Stanisława Budzińskiego, professora Szkoły Głównéj. Warszawa.* 1868 *r.*

Bez krytyki niema gruntownéj nauki: bez gruntownéj nauki niema zdrowéj oświaty....

Prawo określające występki i kary, tudzież zasady ogólne karania, czyli prawo karne właściwe, jedno prawie jest w całéj Europie, jedna też wszędzie w szkole nauka tego prawa. Włoscy, francuzcy, angielscy i niemieccy uczeni składali się na zbadanie i uporządkowanie materyi tego przedmiotu; a choć ostatni przeszli wszystkich obfitością dzieł na tém polu i niezmordowaném dążeniem do udoskonaleń wykładu, różnica między nimi żadna w istocie, tak dalece, że kto słuchał wykładu prawa karnego w Neapolu, umie to samo co wykładają w Berlinie, w Paryżu, w Petersburgu lub w tylu innych miejscach. Jest to bowiem przedmiot ściśle zamknięty; wszyscy tu krążą jak w zaklętém kole; nowego nic nie przybywa: wszyscy czekać muszą, aż dojrzeje nowa społeczność i wyda filozofa-prawodawcę, który prawo karne na nowe drogi wprowadzi. Obszerne ma do tego pole.

Mimo takie wyobrażenia o prawie karném, nie uważamy za niepożyteczne, jeżeli uczeni z nowemi zawsze siłami biorą się do starego przedmiotu. Mogą oni wprawdzie, w dzisiejszym stanie nauki, powtarzać tylko, mniéj lub więcéj szczęśliwie, co już tyle razy inni powiedzieli, i co już przestało być wyłączną własnością szkoły; lecz niewątpliwie te ich prace przyspieszają peryod zwrotu na inną drogę.

Autor dzieła które mamy przed sobą, podobnie jak inni, także nie wprowadza nauki na nowe drogi, czego téż domagać się żadnego niemamy prawa; a zapowiadając wykład porównawczy prawa karnego, uprzedza tém samém, że zamierza wyłożyć przedmiot wedle obecnego stanu nauki, opierając się na pracach swoich poprzedników. Bo właściwie porównania być nie może, gdzie niema różnic istotnych. To określenie celu autora wskazuje nam, czego po dziele wymagać mamy prawo. Wymagamy zaś tylko formy, systematycznego rozkładu i jasnego wykładu przedmiotu. Są to klassyczne wymagania tém bardziéj usprawiedliwione, że autor daje nam swój wykład z katedry Szkoły głównéj.

Autor podzielił swój przedmiot na cztery części: dwie poświęcił na teoretyczny wykład prawa karnego w ogólności, a dwie na ogólne zasady prawa obowiązującego i naukę o ważniejszych występkach. Drukiem ogłosił dopiéro dwie pierwsze części, dwie drugie późniéj ogłosić zamierza.

Tak zaś dzieli przedmiot ogłoszonego dzieła:

*Wstęp*, który zawiera poddziały: pojęcia prawa karnego i stosunek jego do innych nauk, historya nauki prawa karnego, zasadnicze filozoficzne pojęcia (zapewne także prawa karnego).

*Część I*, ogólne zasady prawa karnego.

*Część II*, o teoryach kryminalnych.

Nie idąc daléj, na początku zaraz musimy o drogę zapytać, bo grozi niebezpieczeństwo zabłądzenia. Oto nie wiem czém się różnią zasadnicze filozoficzne pojęcia *wstępu* od teoryj kryminalnych, które stanowią przedmiot osobnéj *części*? Różnicy tu żadnéj niema; i tu teorye i tu teorye: dlaczegoż autor jedno i to samo wykłada na początku dzieła pod jednym napisem, a na końcu pod drugim innym. Logicznie i dla korzyści wykładu należało teorye wyłożyć zaraz na wstępie, w jednóm miejscu. A jeżeli autor na początku chciał tylko wyłożyć rzecz o teoryach w ogóle, jak to w dziele jego czytamy, te szczegółowe teorye powinien był umieścić na końcu jako dodatek, nienależący do systematu. Tém bardziéj, kiedy cała ta druga część przeznaczona zdaje się na mechaniczne zgromadzenie jak najwięcéj teoryj, bez żadnego użytku dla wykładu. Żadnych téż autor z tego zestawienia teoryj nie wyprowadza wniosków.

*Część I* dzieli się na trzy księgi z napisami: 1) ustawa karna, 2) przestępstwo, 3) kara.

Związek między przestępstwem i karą zachodzi niewątpliwy, dobrze się więc mieszczą pod jednym ogólniejszym napisem; ale *ustawa karna*, jako pojęcie, niema nic z nimi wspólnego. Ustawa karna jest tylko niejako naczyniem, w któróm prawodawca porządkuje i przechowuje prawidła o występkach i o karach; lecz prawideł tych twórcą nie jest. Ustawa karna może być wprawdzie uważaną za źródło prawa karnego, wszakże nie za pierwotne ale pochodne. Struga wycieka z przepełnionego stawu, ręką ludzką wykopanego, który napełniają źródła samorodne: taki staw dla strugi jest tylko źródłem pochodném.

Lecz pod napisem *ustawa karna* autor nic nie rozwija: dzieli go zaś na następujące rozdziały: 1) o źródle prawa karnego i jego tłumaczeniu, 2) granice zastosowania prawa karnego. Co do piérwszego, znowu jesteśmy w niewiadomosci związku logicznego między źródłem prawa karnego a jego tlumaczeniem. Tłumaczenie prawa jest wprawdzie jego źródłem, ale że niewyłączném, ma się więc do pojęcia źródeł prawa jak część do całości. Autor zaś stawia pojęcia jako spółrzędne, co jest grzechem przeciw logice.

Nie wiemy téż co tu autor rozumie pod *prawem karném;* zapowiedział bowiem o *ustawie karnéj* a mówi o *prawie karném*, co ani logicznie ani historycznie nie jest jedno i to samo; mają się do siebie znowuż jak część do całości.

Co do drugiego poddziału, *granice prawa karnego* zbyt wiele zapowiadają, tak że niema pewności o czém właściwie autor chce mówić; bo prawo karne wistocie ma granice niezmierzone, a tu idzie tylko o karanie występków, w ciasnym zakresie ustawy. Ten sam napis nierównie stosowniéj znajdujemy wyrażony w texcie: *granice zastosowania prawa karnego odnośnie do czasu miejsca i osób.* W języku powszechnie zrozumiałym powiedziećby należało: o mocy obowiązującéj prawa ze względu na czas, miejsce i osoby.

Różnica intytulacyi w texcie i w treści nierzadka w tém dziele, czego za zaletę uważać nie można.

Księga druga z napisem *przestępstwo*, ma trzy rozdziały: 1) o przestępstwie w ogólności, 2) wewnętrzna strona przestępstwa, 3) zewnętrzna strona przestępstwa.

W rozkładzie téj materyi na szczegółowe pojęcia uderzają subtelności, często niepodobne. I tak:

W piérwszym rozdziale *o przestępstwie* autor pojęcie przestępstwa rozłożył na *przestępstwa z dopuszczenia* i *przestępstwa z opuszczenia.* Wyrażenia wątpliwe: piérwsze zdaje się zapowiadać jakieś czyny z dopuszczenia bożego lub losu, drugie mogłoby znaczyć opuszczenie przez kogoś. Tymczasem idzie tu o występki które powstały przez dopuszczenie się zakazu lnb opuszczenie nakazu. Są to wierne tłumaczenia łacińskich wyrażeń *delicta comissionis i delicta omissionis.* Wszakże to nie usprawiedliwia ani podziału ani wyrażeń. Występku zawsze trzeba się dopuścić, bo to czyn; podział na występki przez dopuszczenie lub opuszczenie wcale do wykładu potrzebny nie jest. To tylko słowa bez znaczenia.

Trudno takźe zrozumieć co znaczą napisy: przestępstwo i czyn karogodny, albo bezprawie cywilne. Godnem kary może być to tylko co jest występkiem, a bezprawie choć cywilne także godne kary. Nietrzeba igrać słowami.

Napisy dwóch następnych rozdziałów niewłaściwe i niezrozumiałe. Bo czyż można sobie wyobrazić wewnętrzną i zewnętrzną stronę występku? Występek to czyn; jedną tylko zmysłową stronę mieć może. Gdyby autor mówił o warunkach potrzebnych do uznania czynu jakiego za bezprawie; mógłby zapewne podzielić je na wewnętrzne i zewnętrzne; lecz rozumie się odnośnie do sprawcy: warunki wewnętrzne obejmowałyby wszystkie znamiona woli i świadomości sprawcy, a zewnętrzne sposób dokonania. Ale i taki podział choć usprawiedliwiony sam w sobie, dla wykładu całkiem niepożyteczny. To téż autor pod wewnętrzną stroną mówi o sprawcy, a pod zewnętrzną o wykonaniu.

Pomijając inne napisy téj części, nie możemy niezwrócić uwagi na brak ścisłości wykładu, jaką zdaje się zdradzać podział

materyi o woli i świadomości. §§ 81—83 mają napis wola i świadomość. Zdawałoby się, że tu wszystko objęte. Tymczasem §§ 124—128 mają napis: bliższe oznaczenie woli i przewidzenia. Więc tam niewszystko powiedział autor, a tu kładąc przewidzenie za świadomość, rodzi wątpliwość czy to różne pojęcia czy spółrzędne. Rozwiązuje zagadkę text, gdzie jest mowa o świadomości. Inaczéj też być nie mogło, bo przewidzenie ze świadomością niema nic wspólnego, to tylko słowo, tutaj bez żadnego znaczenia.

*W części II* zwracamy także uwagę na jakąś niesforność logiczną w poddziałach. Główny napis o teoryach kryminalnych, rozłożył autor na dwa rozdziały: *pierwszy* historyczny rozwój pojęć o istocie kary i władzy karania aż do końca XVIII wieku, a *drugi* rys ważniejszych teoryi kryminalnych poczynając od końca XVIII wieku.

Ten drugi napis mieści się w głównym; ale piérwszy zdaje się zapowiadać historyą raczéj jak teorye kryminalne.

Słowem, przebiegając *treść* dzieła przez autora ułożoną, mimowolnie na myśl przychodzi, że autor albo małoważył wymagania logiki, i dał nam treść dla zwyczaju, albo zapóźno dostrzegł wady swego systematu aby je poprawić. Gdyby pierwsze z tych przypuszczeń miało być prawdziwém, byłaby to w wykładzie nauki niebezpieczna dla młodzieży nowość. Nie zawsze można wymagać aby professor trzymał w natężeniu umysły i serca młodzieży głębokością myśli, trafnością lub nowością uwag i postrzeżeń własnych; lecz zawsze się wymaga od niego systematycznego układu na seryo, właściwych wyrażeń, i pełności nauki. Wolimy więc pójść za drugiém z powyższych przypuszczeń, któremu jednak przeczy zapewnienie autora w przedmowie, że nam daje swą pracę po przeprowadzeniu jéj przez próbę czteroletniego wykładu.

---

Tymczasem ten zawikłany nieco a zbyt subtelny rozkład przedmiotu nie mógł nie szkodzić i wykładowi.

Jakaż jest i gdzie umieszczona teorya autora? poświęcił tyle teoryom innych, mamy prawo wymagać aby swoją wyłożył, lub za jedną ze znanych oświadczył się.

Z niezrozumiałego nam powodu, poświęciwszy osobną a główną część dzieła wykładowi teoryi innych uczonych, poczynając od Pytagorasa, swoją własną mieści autor we wstępie w §§ 34—46 i pod innéem nazwiskiem: *zasadnicze filozoficzne pojęcia*, niewiadomo tylko czego? Tu się mieszczą: pogląd ogólny, zasadnicza podstawa prawa karnego, granice władzy karania, zakończenie. Bardzoby się zawiódł ktoby teoryi autora szukał pod napisem *zasadnicza podstawa.* A jednak cóż bardziéj logicznego. Pod tym napisem zostałby tylko pogląd ogólny na wszelkie teorye prawa karnego. Własne teorye autor mieści pod napisem *zakończenie!* Doprawdy, trudno, nawet niepodobna odgadnąć przyczyny takiego napisu, który tak się mija z textem.

Podług teoryi autora, *przestępstwo jest to czyn przez prawo pod karą zakazany* (§ 44). Zasadniczą podstawą prawa karnego jest *sprawiedliwość społeczna, miarkowana względami użyteczności ogólnéj* (§ 45). Są to wnioski wyprowadzone z następujących rozumowań.

Z przyczyn koniecznych naturalnych (§ 42), ludzie się łączą z podobnymi sobie istotami. Ztąd powstają rodziny, pokolenia, narody, wreszcie państwa które są *ucieleśnieniem duchowéj jedności każdego narodu.* (Zapewne z wyjątkiem Austryi, Turcyi, Anglii i Prus, gdzie w różnym wprawdzie stopniu ale niewątpliwie, owa duchowa jedność niemoże się *ucieleśnić*).

W państwie musi jedna wola górować nad innemi, i ogół musi posiadać siłę do objawienia téj woli na zewnątrz. (Czyja to wola, co to za *ogół*, czy to także państwo? co to za siła—może armia—niewiadomo).

Wolność téj woli w działaniach swoich zawisła od natury sił jakiemi rozporządza. W użyciu ich od żadnéj ziemskiéj władzy nie jest zawisłą. Używa ich dla osiągnięcia pewnych celów. Rozmaite zadania i cele państwa dają się sprowadzić do dwóch zadań: popierać to co odpowiada jego istocie, a zwalczać to co jéj jest przeciwne.

Ponieważ (§ 43) ma pewne cele i rozporządza siłami jednostek, państwo może i powinno żądać aby każdy zaniechał tego, co celom jego jest przeciwne. Każdy winien użyć swych sił, gdy dobro lub bezpieczeństwo ogólne tego wymaga, a państwo tego żąda. (A jeżeli kto bez żądania państwa używa sił swych na dobro i bezpieczeństwo ogólne—jaka za to kara?).

Poza tém, co musi i czego mu niewolno, może każdy samoistnie działalność swą rozwijać. Tak pojętą wolność jednostki (jeżeli to wolność), uważa autor za konieczny warunek normalnego bytu państwa. „Lecz wolność może być nadużyta; członek ogółu może zwrócić swe działanie przeciw niemu i dążyć ku jego szkodzie. Wówczas musi nastąpić przeciwdziałanie. Wewnętrzne przeświadczenie naucza nas, że przeciwdziałanie takie powinno polegać na wyrządzeniu szkody, cierpienia czyli ukarania tego, który swéj wolności nadużył. Kara ze stanowiska państwa uważana wskazuje: że państwo uznało pewne działanie za szkodliwe dla siebie i poczytało za swój obowiązek przeciw temu wystąpić. Ze stanowiska ukaranego *kara jest zewnętrznym środkiem obudzenia świadomości o winie* (różczka napędza rozumu do głowy).

(§ 44). Wykonywanie władzy karania poruczone jest właściwym organom (sądom). Organa te są związane pewnemi prawidłami, które nazywamy ustawą karną. Zagrożenie przez tę ustawę karą za pewne czyny, objaśnia obywateli iż od takowych winni się wstrzymać. (To zdaje się lepszy środek jak powyższy obudzenia świadomości). Przestępstwo przypuszczać każe przedewszystkiem istnienie władzy karania i ustawy karnéj.... *Przestępstwo jest to czyn przez prawo pod karą zakazany.*"

(§ 45). Z takiegoto poglądu na istotę władzy karzącéj oraz przestępstwa i kary wynika: *że zasadniczą podstawą prawa karnego jest sprawiedliwość społeczna, miarkowana względami użyteczności ogólnéj.*

Takieto są zasadnicze, filozoficzne pojęcia autora, taka wedle niego zasadnicza podstawa prawa karnego:—zakazano, nie słuchałeś, cierp teraz. Nie ma co mówić, przekonywająca teorya! Szkoda, że na jéj poparcie autor nie przytoczył przykładów. Nie znalazłby ich. Nie masz takiego państwa, wyrażając się językiem autora, ktoreby karało dlatego, że zakazało. Wszędzie, powtarzam, wszędzie prawodawca za występek uznaje te tylko czyny, które potępia wyższy nad nim prawodawca w religii i obyczajach. Nigdzie też prawodawca nie usprawiedliwia kary zakazem: taka kara byłaby gwałtem.

Na fałszywe twierdzenia autora zwracaliśmy już uwagę przytaczając je wyżéj: że państwo jest ucieleśnieniem duchowéj jedności każdego narodu, że kara jest środkiem zewnętrznym obudzenia świadomości o winie. To prawdziwa herezya. Jeżeli przed karą nie ma świadomości o winie, to jakże karać, na mocy czego? i t. d.

Pomijamy resztę; lecz nie możemy nie wspomnićć o kontradykcyach.

W § 42 mówi autor, że państwo nie jest dziełem dowolności lub układu swych członków, nie jest instytucyą dla osiągnięcia tego lub innego celu.

Nieco niżéj zaś twierdzi, że państwo używa swych sił dla osiągnięcia pewnych celów. Rozmaite państwa mają rozmaite zadania i cele. Pod wieloma i to najważniejszemi względami cele te są jednakie."

W § 41 czytamy: państwo nie jest instytucyą idealną, powołaną do urzeczywistnienia pewnych myśli i celów z całą ścisłością i konsekwencyą.

§ 45. Państwo może przy wykonaniu władzy karania dążyć do osiągnięcia rozmaitych celów, tak w interesie dobra ogółu jak i jednostek.

Cóż tedy jest państwo? Kto to zgadnie? A jednak w teoryi autora pojęcie państwa stanowi główny punkt wyjścia.

Z zawiłych pojęć trudno było wyprowadzić jasną teoryą. Dlatego téż autor zapewne zmuszony był niejako zastawić się zakazem. Sam wyznał (§ 46), że w wywodzie powyższych głównych zasad prawa karnego i władzy karania wiązał je z celami polityki wewnętrznéj, ze względami korzyści państwa, nie odnosząc tych zasad do najwyższych moralnych i religijnych interesów ludzkości. Uczynił to zaś dlatego, że prawo ma właściwą sobie dziedzinę, podobnie jak moralność i religia, a doświadczenie go naucza jak zgubne z pomięszania tych sfer pomiędzy sobą wynikają następstwa. Co się zaś tyczy związku istniejącego pomiędzy prawem w ogóle a najwyższemi interesami ludzkości, związek ten, rozumie się zachodzi pomiędzy temiż a prawem karném; wszakże bliższe

jego wskazanie nie jest zadaniem teoryi kryminalnéj, lecz filozofii prawa w ogóle.

Ile zdań, tyle herezyj naukowych albo kontradykcyj. Dyskutować tu niepodobna—zbyt ciasne szranki: ostrzedz tylko widzimy potrzebę niedoświadczonego czytelnika, aby tych zdań nie brał na seryo. Teorya kryminalna jak wszelka teorya jest właśnie filozofią, bo cóż to jest filozofia danego przedmiotu? Na podstawie pojęć prostych filozof wznosi się do ogólniejszych; a wznosząc się coraz więcéj zagarnia pojęć pokrewnych i coraz szerszy ogarnia widnokrąg. Z wierzchołka téj piramidy zagląda w niebiosa żeby złożyć hołd u podnóżka Stwórcy, uśmierzyć palący niepokój o nieśmiertelności duszy, i odgadnąć tajniki tworzenia. Co robi filozof ze wszystkiemi pojęciami; to robi każdy szukający zasady ogólnéj, zasadniczéj podstawy, jak się autor wyraża, w danéj nauce.

Nasz autor także miał obowiązek swoją teoryą oprzeć na szerokiéj podstawie wszystkich pokrewnych pojęć prawa karnego. Nietylko tego nie zrobił, ale nawet sam wyznał, że zrobić nie chciał. Na czemże teoryą budował, dlaczego swoje rozumowania nazwał filozofią? To widać tylko słowa pozbawione właściwego znaczenia. Obawiał się mówi niebezpieczeństwa jakie wynika z pomięszania sfer pokrewnych moralności, religii i prawa karnego. Obawa nieuzasadniona. Filozofia nic nie mięsza; owszem wszędzie zaprowadza i podtrzymuje ścisły porządek: inaczéj filozofią byćby nie mogła. Jeżeli łączy dwa pojęcia, to tylko tém co mają podobnego, tak że do połączenia same niejako dążą. Jeżeli filozof mówi *zwierzę;* to tu jest i słoń i ptak i ryba i ślimak i wymoczka i człowiek. Jakież z tego niebezpieczeństwo, że je połączył w pojęciu ogólném *zwierzę?* Wszystko tu zostaje w pierwotnéj całości. To samo z pojęciami.

Połączenie tych pojęć w teoryi było nawet konieczném, bo prawo karne wyrasta bezpośrednio z religii. Prawodawca świecki nigdzie nie zakazuje kraść, zabijać, oszukiwać; on tylko karą grozi za te uczynki. Wyraźny zakaz jest w dekalogu. Nauka nie może tego ignorować.

Przyjmując za jedyną podstawę prawa karnego zakaz, usuwa autor wszelką z nim dyskussyą. Lecz obok zakazu i jego rozumowania i cała ta książka jest zbyteczną—trzeba było odrazu przystąpić do prawa obowiązującego.

Czy jednak istotnie autor stoi na zakazie? Jego definicya występku sprzeczną jest z tém co nazywa zasadniczą podstawą. Powiada że podstawą jest *sprawiedliwość umiarkowana pożytkiem.* Ale jeżeli występkiem to tylko co zakazane; karą powinno być to co zagrożone, bez żadnego względu na sprawiedliwość i użyteczność.

---

Właściwie na tém skończyćbyśmy powinni; lecz autor w przedmowie sam wylicza pewne zalety swéj pracy: gotowi zawsze oddać hołd zasłudze, spieszymy je wyliczyć.

I tak, powiada autor w przedmowie:

1) że unikając efektów stylowych dbał głównie o jasność i ściśle zachowanie metody, dwa istotne warunki wszelkiego naukowego wykładu;

2) że zasługę swego wykładu upatruje przedewszystkiem w poglądzie porównawczym i w usiłowaniu konsekwentnego przeprowadzenia zasadniczéj filozoficznéj teoryi, i

3) że zdołał nieco jaśniéj i pełniéj od innych autorów przedstawić ważną naukę *o błędzie*.

*Co do pierwszego*, trudno mi ocenić zasługi autora, skoro ta polega na tém czego niema; a nie wyjaśnił co rozumiał pod efektem stylowym. Zdawałoby mi się jednak, że to efektowe wyrażenie: § 139 „Wina w wewnętrznym swoim pochodzie wznosi się stopniowo do postanowienia przestępnego, jako szczytu, z którego wola, uzbroiwszy się odpowiednim zasobem energii, przerzuca się w dziedzinę rzeczywistości..." A choć sam nie użyłbym wszystkich tu wyrażeń, żadnych nie potępiam, wierny powszechnie utrwalonemu mniemaniu, że staranność w stylu podobnie jak w odzieży zawsze jest pożądaną. Wykład autora w istocie nie jest ożywiony ani trafnością i starannym doborem przykładów, ani wycieczkami w sfery wyobraźni lub wyższéj dyalektyki; co wszystko wielce przystoi wykładowi przeznaczonemu do zagrzania i podniesienia młodych umysłów i serc. Jeżeli to autor uważa za zaletę, wyznać musimy, że to ani jego stylowi nie zapewnia jasności, ani rozumowaniom ścisłéj metody.

Autor w ogólności wyraża się spokojnie, z godnością i dobrze po polsku; lecz w stylu jego przebija skłonność do subtelnych zaciekań bez celu, do wyrażeń przez negacyą i do określań pojęć najpowszedniejszych; rozumowań zaś swoich nie prowadzi jednym ciągiem z danego punktu do zamierzonego celu: często nagle je urywa i wprowadza całkiem co innego. Oto mały przykład; autor w ten sposób określa pojęcia występku:

§ 65 „*Przestępstwo* jest czynem przeciwnym celom państwa, i dlatego zakazane jest pod karą. *Czyn* jest to objawienie czyli uzewnętrznienie woli, *do czego* zdolny jest tylko ten, kto ma wolną wolę. *Wola* jest zdolność ducha ludzkiego do swobodnego użycia wszelkich innych sił człowieka. Można *więc* mówić nietylko o czynach oddziaływających na świat zewnętrzny, lecz i o czynach czysto duchowéj natury, w których wola pobudza tylko działalność sił duchowych. Podług tego i *myśl jest czynem. Lecz państwo* nie jest instytucyą czysto idealną: celom jego może być przeciwne to tylko, co przejawia się w świecie cielesnym, *myśli ani pomagają ani szkodzą państwu. Czyn* może mieć znaczenie tylko wtedy, gdy *wola objawia się wprawieniem w ruch sił cielesnych.* Wszakże taki czyn wywiera pewien wpływ na otaczający świat zewnętrzny. *Przestępstwo* polega nietylko na działaniu lecz i na oddziałaniu zewnętrzném. Nie ma działania a tém samém i przestępstwa, któreby nie wywarło wpływu na otaczające sprawcę

przedmioty świata zewnętrznego, któreby nie miało skutku. *Każda rzecz zmysłowa* pozostaje w zetknięciu z innemi zmysłowemi. Każde poruszenie jednego ciała wprawia w ruch inne ciała, lub przynajmniéj *powietrze*, otaczające to ciało, jak np. w *obelgach słownych*. *Skutek przestępstwa* może sięgać daleko; lecz większa część skutku jest bez znaczenia dla ocenienia czynu. *A* porywa kobietę; ta w drodze z powodu rozbiegania się koni zabija się. *B* w transporcie puszcza skazanego na śmierć, który popełnia następnie kilkanaście zabójstw. Komisant mający sobie powierzone znaczne pieniądze przez bankiera, zostaje zabity i ogołocony z pieniędzy. Bankier skutkiem tego bankrutuje i pociąga za sobą bankructwa innych, i nędzę wielu wierzycieli; nie jeden z nich z niedostatku dopuszcza się przestępstwa. Żona komisanta dotknięta chorobą umiera z braku starania. Wszystkie te dalsze skutki dla pojęcia przestępstwa rozboju, dokonanego na komisancie, są bez znaczenia. Mówiąc o skutku mamy na myśli głównie bezpośrednie, najbliższe następstwa czynu; inne zmiany w świecie zewnętrznym, wywołane czynem, są tu bez znaczenia."

Tak, wychodząc z definicyi pojęcia przestępstwa, autor uważa za potrzebne dać nam definicye czynu i woli; bez przygotowania przechodzi do państwa, którego całkiem bez powodu i bez pożytku podnosi negacyjny przymiot nieidealności. Zachacza nieco o fizyczne własności ciał, naostatek najszerzéj mówi o skutku występku, to jest o tém co właśnie tu nie należy, gdyż podług podziału autora skutek jest zewnętrzną stroną przestępstwa; o nim więc miejsce mówić w § 139 i dal.

Słowem równie trudno byłoby odpowiedzieć na pytanie o czém autor mówi, jak i o czém nie mówi.

Autor zdaje się ma fałszywe wyobrażenie o definicyach. Używając ich bez żadnéj potrzeby, musi je chyba uważać za zaletę wykładu, może stylu. Definicyi słów używa się wtedy tylko, kiedy im chcemy nadać znaczenie ściśle obrąbione; mają bowiem słowa, jak wiadomo, wielorakie znaczenia, a nam zaś może potrzebne jedno tylko. Najwięcéj definicyi używają filozofowie, bo wznosząc się coraz wyżej nad ziemię, potrzebują dla swych eterycznych wywodów lżejszego słowa, obranego niejako z pyłu. W ogólności zaś jeżeli słowo samo przez się zrozumiałe, jeżeli jego szczególna definicya nie ma służyć za podstawę do jakiego rozwinięcia, to definicye są nieusprawiedliwione. Wracając do przedmiotu, na co się autorowi przydać mogły definicye czynu albo woli. Prawda, wyprowadza on wniosek ze swych definicyj, że i *myśl jest czynem*; ale ten wniosek, w prawie karném zgoła na nic nie przydatny. W poezyi, w metafizyce, zapewne mogłoby to mieć zastosowanie; ale te potęgi naszego umysłu mówiące o człowieku zbyt często zapominają, że ma zmysły, które go łączą ze światem, i że ma ciało, które jego myśli dzieli od czynów.

Są i fałszywe zdania, jak to że *myśli ani pomagają ani szkodzą państwu*. Ale jeżeli, podług autora, państwo jest ucieleśnieniem

duchowéj jedności narodu, to węgielnym kamieniem tego ucieleśnienia zdaje się jedność myśli być powinna. Bardzo więc myśli pomagają lub szkodzą państwu.

Albo co to za subtelność wyrażenia, że obelga słowna pochodzi z wprawienia w ruch powietrza otaczającego, zapewne uszy obrażonego.

Kończymy o stylu, przytoczeniem jeszcze dwóch ustępów § 68. „Przeciwprawny skutek może być temu tylko przypisany, w którego czynie leży przyczyna tego skutku. Niedziałanie czyli działanie negacyjne przyczyną taką być niemoże. Otóż w czynach z opuszczenia związek przyczynowy ze skutkiem powstaje w ten sposób, że tu opuszczenie łączy się z uprzedniém, rzeczywistém, twierdzącém działaniem, będącém w związku przyczynowym ze skutkiem, np. zapalam minę (dopuszczenie) a nieostrzegam w pobliżu stojącego człowieka (opuszczenie) i on ginie." § 183 „Zawisłości karygodności podżegania od karygodnego działania sprawcy nienależy tak dalece rozciągać, aby podżegacz miał być wolny od odpowiedzialności, jeśli przypadkowe okoliczności powodują nieponiesienie przez sprawcę kary. ."

To nie jest styl wykładu nauki, to nawet żaden styl, to tylko słowa, które autor ustnie musi zapewne wyjaśniać, bo wątpię aby je słuchacze zrozumieć mogli bez tego.

*Co do drugiéj zalety*, którą autor upatruje w poglądzie porównawczym i w konsekwentném przeprowadzeniu zasadniczéj filozoficznéj teoryi, różnimy się w zdaniu z autorem. Podług naszych wyobrażeń ani porównania tu niema ani konsekwencyi. Przytacza wprawdzie autor tu i owdzie i rozbiera różne zdania uczonych i obowiązujące przepisy; lecz to nie jest porównanie. W prawie karném porównanie wykazać powinno większą lub mniejszą skuteczność teoryj rozmaitych prawodawstw, tudzież przepisów na nich opartych; powinno mianowicie odpowiedzieć na pytanie, jakie moralne rezultaty otrzymało to lub inne założenie prawodawcy, jakie środki okazały się ku temu skuteczniejszemi. Innego nie ma porównania. Bo że uczeni różnią się w zdaniach, że prawodawcy różnią się w swoich określeniach i karach, to tylko słowa, które dobrze jest wiedzieć, ale których porównanie do niczego zgoła nie prowadzi. Dopiéro skutek osiągnięty daje słowu temu wartość rzeczywistą, i ta dopiéro może być porównywaną na seryo i z pożytkiem. Szczerze winszowałbym autorowi, gdyby nam dał takie porównanie. Jeszcze słów kilka na usprawiedliwienie zarzutu niekonsekwencyi. Jużeśmy wyjaśnili, że wedle zasadniczéj filozoficznéj teoryi autora, zasadniczą podstawą prawa karnego jest zakaz: to tylko i o tyle tylko jest występkiem co jest zakazane; religia i moralność chodzą osobno, zakaz ich nie potrzebuje. Nie trudno było autorowi dostrzedz, że obrał fałszywy kierunek, bo wcześnie ujrzał się na bezdrożu. Dostrzegł mianowicie, że aby karać przy takiéj teoryi, trzeba wszystkich uczyć tego co prawem zakazane. Ponieważ to niepodobne, więc i kara byłaby niepodobną.

Cóż robi autor w tém trudném zdarzeniu? Oto słowa jego w inném miejscu, w § 102... „Podług pojęcia jakie utworzyliśmy sobie we wstępie o przestępstwie, o władzy karania i o stosunku przestępstwa do czynu karygodnego, nie możemy uważać znajomości prawa jako istotnego warunku karygodności. Ustawa nie uznaje za ulegające karze czynów przed tém niekarygodnych, uświęca tylko istniejącą już karygodność. Wina i karygodność poprzedzają byt ustawy: karygodność czynów istnieje niezależnie od wyrzeczenia prawodawcy. Zbyteczną byłoby rzeczą uciekać się do fikcyi prawnéj, do domniemania, że prawo jest wiadome. Kara następuje nie dlatego, że sprawca wiedział iż czyn jest przez prawo zakazany, lecz dlatego iż czyn jego jest celom państwa i ustawie przeciwny. Co zaś jest przeciwne celom państwa i dobru ogólnemu, o tém w ucywilizowaném społeczeństwie *mniéj więcéj* wie każdy, nawet niżéj ukształcony. Z tradycyi otrzymuje on pojęcie o tém co jest złe lub dobre; a prawo karne tylko tę tradycyę uświęca, gdy zgodnie z nią pewnych czynów zakazuje...."

Tą teoryą tradycyi autor widocznie chciał zrobić jakie takie wrota do swego budynku zakazu, który nie miał ani wejścia, ani wyjścia; lecz się nie postrzegł, że popełnił niekonsekwencyą: tradycya w powyższym ustępie to nie posługacz, albo belfer teoryi zakazu, to minister jego panów, religii, moralności, obyczajów. Prawodawca jest ich egzekutorem.

Zapewne nie to autor nazywa konsekwentném przeprowadzeniem swojéj zasadniczéj filozoficznéj teoryi. Czytającego to nie zawsze uderzy, bo ta pomocnicza, że tak rzekę teorya oddalona jest od głównéj o jakie sto stronnic. Trzeba więc pewnego natężenia uwagi, aby je zbliżyć do siebie, a wtedy dopiéro wadliwość zasady i metody uderza do oczu. W takiém rozrzuceniu autorowi trudno było samemu dostrzedz, że sam się zbija.

*Co do trzeciéj zalety*, że autor jaśniéj i pełniéj od innych przedstawił ważną naukę o błędzie, zobaczmy na czém to polega.

Występek popełnia ten tylko, kto ma wolą i świadomość skutku swego czynu. Kto tych przymiotów nie posiada, temu uczynek jego, acz występny, za winę się nie poczytuje. Taki stan autor nazywa *niepoczytalnoscią w ogóle* (§ 84). Tu należą nieletniość i różne stany chorobliwe. Od téj niepoczytalności w ogóle odróżnia *niemożność poczytania* i tu podciąga ów błąd. Nie wiemy wprawdzie czém się różni niepoczytalność od niemożności poczytania, i zapewne nigdy wiedzieć nie będziemy; ale widać tu o to nie idzie, tu idzie o błąd. Prawda że i tego nie wiemy co to jest błąd: autor szczodry w definicye niepotrzebne, tu nam poskąpił bardzo potrzebnéj. Wymawia go to, że definicyi dać nie mógł, bo pojęcia pomieszał.

Błąd bowiem jest dwojaki: 1) co do prawa i niewiadomości prawa i co do czynu.

*Piérwszy błąd* na tém polega, kiedy kto popełnia uczynek nie wiedząc że jest prawu przeciwny. Ale czyż to błąd? To nie-

wiadomość, najprostsza niewiadomość, która grzechu nie czyni. Tego w żaden sposób za błąd uważać nie można.

*Drugi błąd* co do czynu, autor dzieli na trzy:

1) błąd wynikający z nieznajomości przepisów, nienależących do dziedziny prawa karnego.

2) błąd faktyczny odnoszący się do środka działania i dotyczący jego przymiotów lub jego rzeczywistości czyli tożsamości.

3) błąd faktyczny w ścisłém znaczeniu odnoszący się do przedmiotu a mianowicie do jego przymiotu lub jego rzeczywistości.

Przytoczyłem ten podział błędu słowami autora. Czy to jasne, bardzo wątpię, więc przetłumaczę na język powszechnie zrozumiały:

piérwszy błąd znaczy niewiadomość prawa cywilnego;

drugi omyłkę w wyborze środka, np. daje kto wodę miasto trucizny;

trzeci omyłkę w przedmiocie, np. godzi w trupa zamiast w żywego.

Więc w tłumaczeniu błąd znika, pozostaje niewiadomość prawa i omyłka, o któréj autor w następnym dopiéro rozdziale mówić był powinien, bo to należy do wykonania, albo jak autor chce do zewnętrznéj strony przestępstwa.

W istocie autor więcéj o tych rzeczach mówił jak inni, ale ani jasno ani potrzebnie; o tém wystarcza słów nie wiele; wszelkie więcéj jest zawiele i szkodzi wykładowi, jak tego autor sam doświadczył. Nie o wszystkiem mówić da się wiele podług woli; do szerokiego rozwinięcia trzeba brzemiennego przedmiotu, żeby go nie zmęczyć wymagając odeń czego nie ma.

---

Opuściwszy sfery teoryi i rozumowań za pomocą pojęć oderwanych, autor odrazu staje się jasnym i zwięzłym, jak na to przystało. Najwidoczniéj to odbija w księdze trzeciéj pod napisem *Kara;* chociaż już i poprzednio w rozwinięciu tak zwanéj zewnętrznéj strony występku nie trudno napotkać ustęp, który się zaleca łatwością opowiadania. Ta różnica wykładu pochodzi zapewne z umysłowego usposobienia autora; abstrakcya nie jest mu właściwą, potrzebuje stać na twardym gruncie. Taki umysł musiał się oprzeć na teoryi zakazu. Spodziewać się, że prawo obowiązujące wyłoży z większym nierównie dla nas pożytkiem.

W przedmowie autor powiada, że względy metody skłoniły go do treściwego przedstawienia kwestyj, nie należących wyłącznie do prawa karnego, jak np. rzecz o karach któréj szczegółami zajmuje się procedura kryminalna i nauka administracyi. Zapewne trudno będzie autorowi znaleźć na to poparcie, że jest metoda, któréj względy pozwoliłyby mu w wykładzie prawa karnego małoważyć rzecz o karach. O czémże więcéj w téj nauce mówić przystoi? Z naszéj strony to tylko mielibyśmy do zarzucenia wykładowi o karach, że mu brak historyi. Historya kar, to historya

ludzkości. Zapomniał autor, że posiadamy w naszéj literaturze znakomite dzieło Romualda Hube, *Ogólne zasady prawa karnego*, w którém rzecz o karach wyłożona historycznie i z większą nierównie pełnością. Dzieło to wyszło na świat w roku 1830. Wielkąby autor oddał przysługę literaturze, gdyby oparłszy się na niém, zaznaczył zmiany jakie zaszły w pojęciach o karze w ciągu tego czasu.

W ogólności autor tak rzecz prowadzi, jakby swojém dziełem piérwszy u nas rozpędzał ciemności na tém polu. Przytacza zdania rozmaitych uczonych obcych, co nas niesłychanie mało obchodzi, a o zdaniach swego poprzednika zupełnie milczy. Tymczasem nie łatwo dorównać autorowi *Ogólnych zasad*. Jego gruntowna nauka, rzadka łatwość wyrażania abstrakcyjnych pojęć zwyczajnemi słowy, porządek, spokój i jasność wykładu, pozostaną na zawsze wzorem, który każdemu zalecać trzeba. To samo rozumiem o innych pismach tegoż autora, umieszczonych w Temidzie, a szczególniéj *o teoryach prawa kryminalnego* 1828 r. W innym kraju gdyby professor wstępował na katedrę w takim stanie literatury przedmiotu jak u nas, wziąłby niezawodnie za punkt wyjścia *zasady ogólne*, ocenił, rozebrał w wykładzie, i na téj dopiéro drodze własny kurs układał, usprawiedliwiając zawsze każde od nich odstępstwo. Gdyby np. w *zasadach* znalazł bezprawie nazwane słowem *występek*, którego wybor autor usprawiedliwił; nie użyłby w to miejsce *przestępstwa* bez usprawiedliwienia. Tego wymaga dobro literatury i obowiązek uznawania prawdziwéj zasługi; jest to wreszcie uświęcone tak powszechnym pomiędzy uczonymi zwyczajem, że się stało warunkiem naukowego obrobienia każdego przedmiotu. Nie ulega wątpliwości że nasze własne poglądy na prawo karne różnić się powinny od innych, bo do tego prowadzi różnica wielorakich warunków: historycznych, plemiennych, społeczeńskich i t. p. Lecz jeżeli każdy w wykładzie przedmiotu zaczynać będzie na nowo, to ten własny pogląd nigdy się nie wyrobi: do tego trzeba krytycznego rozbioru zdań cudzych, gdy na to zasługują.

Rozbiór zdań autora o pojedyńczych kwestyach prawa karnego, odkładamy do ogłoszenia dalszego ciągu o prawie obowiązującém: wtedy dopiéro będziemy mieli punkt *ad quem*.

Kończąc wyznajemy, że chociaż w wielu razach nie zgadzamy się z wykładem, jednak niniejszym, pracowitym rozbiorem dzieła składamy, zdaje się, wymowne świadectwo poszanowania dla usiłowań autora. On także o sobie może powiedzieć *tentavit quoque*.

Przypomnieć wreszcie widzimy potrzebę, że piérwsze dzieło w każdym przedmiocie przyjmuje się zwykle z poszanowaniem, drugie zawsze z krytyką; bo gdzie jeszcze nie ma ustalonych zasad, krytyka rodzi anarchią, a gdzie już są zasady, brak krytyki świadczyłby o apatyi albo umysłowéj niewoli.

*Konstanty Małkowski.*

*Odpowiedź dana panu Chm. na recenzyę jego mojéj Gramatyki niemieckiéj, umieszczoną w Bibliotece Warsz. w zeszycie listopadowym.*

Panu Chm. zapruszyła oczy tabelka litografowana i przymiotnik: Dokładna (Gramatyka N.), gdyż wreszcie oddaje się apologii Gramatyki śp. Fr. Liedera, chociaż ja téj Gramatyki nigdzie nie zaczepiłem; inne zaś mniejsze zarzuty świadczą tylko, że p. Chm. nigdy nie był i nie jest nauczycielem języka niemieckiego, zatem niekompetentnym sędzią w téj sprawie. Z przyjemnością jednak zaznaczam, że system czasowania p. Chm. zaakceptował.

Wiadomo każdemu, że na książkach szkolnych staraniem śp. Antoniego Poplińskiego, znakomitego filologa poznańskiego wydanych, wykształciła się dzisiejsza intelligencya poznańska i niektórzy profesorowie tutejszéj Szkoły Głównéj. Po nieodżałowanéj śmierci tego zacnego męża, buława nestoryatu filologicznego i pedagogicznego należy się słusznie profesorowi A. Jerzykowskiemu, który już za życia A. Poplińskiego wydał kilka filologicznych książek szkolnych, nader pożytecznych i rozpowszechnionych. Szczególnym zbiegiem okoliczności było mi poleconém wykładać język niemiecki wedle Gramatyki p. Jerzykowskiego. Gdy jednak po upływie jednego roku znalazłem w niéj 13 niedokładności, które w przedmowie do mojéj Gramatyki umieściłem: natenczas wypełniłem owe braki, a tem samem udokładniłem ją i méj Gramatyce, jako wszystko obejmującéj, przydałem przymiotnik: Dokładna. Wszakże przymiotnik ten znachodzimy w wielu książkach np. „Nowy dokładny Słownik Niemiecko-Polski przez p. Booch Arkossy, Lipsk 1868 albo: Dokładna gramatyka niemiecka Heysego. Hannower 1864 (20 wydanie a zawsze dokładne) i nikomu on nie wadzi!

Jeżeli w przedmowie powiedziałem: W najlepszéj Gramatyce Jerzykowskiego etc to dlatego, że ona rzeczywiście filologicznie jest napisana, a autorowi sześciu językami władającemu można zaufać, że wszystkie prawidła są w niéj systematycznie i filologicznie rozwinięte. Już to każdy przyzna, że autor gramatyki niemieckiéj powinien znać pięć do sześciu języków, a między temi gruntownie łaciński i grecki, gdyż na klasycyzmie łacińskim i greckim wzrósł i wykształcił się język niemiecki, gdyż $^1/_3$ wyrazów niemieckich jest pochodzenia greckiego i łacińskiego; np. z greckiego: thierow, thyra, thyo momy thier zwierzę thüre drzwi thue czynię i t. p, które mają inną deklinacyą i konjugacyą.

Co do tabelki litografowanéj, to wszystkie nowsze gramatyki są niemi opatrzone np. Ollendorffs Methode der Russischer Sprache. Frankfurt M. 1865, albo Gramatyka hebrajska p. Chiariniego. Warszawa. Są one nader potrzebne, bo zawierają pisany

alfabet odnośnych języków. Nadto gramatyka moja przeznaczona także do użytku prywatnego, i kilku rzemieślników kupiło ją sobie np. ślusarczyk H. Krochmalski, który sam nauczywszy się trochę, obecnie pracuje w fabryce w Wiedniu Nr. 64. Coby on powiedział, gdyby mu kto poradził, żeby sobie kupił gramatykę ś. p. Liedera i jakie wzory kaligraficzne z alfabetem pisanym, tylko nie pana Kosińskiego, które go nie mają?

Metoda nauczania języków nowożytnych co 15 lat się zmienia i znaczne czyni postępy, zatem co przed 10 lub 15 laty było dobre, to teraz jest niedostatecznem. Powstają nowe podręczniki, gramatyki, które więcéj odpowiadają czasowym wymaganiom. Obecnie np. wyszedł w Lipsku: nowy dokładny słownik Niemiecko-polski i polsko-niemiecki przez p. Booch-Arkossy Dra filo. w 2 wielkich tomach, jako nadzwyczajna rzadkość, bo wszystkie wyrazy z 40 zawodów czyli procederów tak niemieckie jak i z innych języków przyswojone (najwięcéj fracuzkich) są akcentowane. Wobec tego słownika nikną wszystkie dotychczasowe jak np. Trojańskiego, Mrongowiusza, Lindego i inne pomniejsze dwa, o których słyszałem, że są akcentowane. Cena jego jest nieco wygórowana, gdyż pierwszy tom kosztuje 4 rs. a 2 polsko-niemiecki 5 rs.

Gramatyka śp. Fr. Liedera jako przestarzała, zbyt obszerna i niesystematyczna, jak to zasłużony pedagog p. Dawid z Lublina w swojéj korrespondencyi w Gazecie Polskiéj w 1863 r umieszczonéj ogłosił, nie odpowiada już szerszym wymaganiom!

Przed kilkunastą laty nie uczono tu języka niemieckiego filozoficznie, porównawczo z innemi, ztąd téż to nie ma ani jednego Polaka tu zrodzonego i wykształconego, któryby wykładał w szkołach rządowych język niemiecki, lubo ich jest mnóstwo do wykładu łaciny i greckiego!

Nakoniec Gramatyka moja różni się od innych tem:

1) że zawiera abecadło drukowane i pisane (w owéj tabelce litografowanéj), że w obydwóch głoska *Z* (C) przeniesiona na 3cie miejsce, *S* (Z) na ostatnie, do *Q* dodane *u*, a więc *Qu* (Kw) i na początku *S* podwojone a więc *Ss* (S) np. Ssawatom a nie Sawatom

2) że ma inny system deklinowania i konjugowania, że deklinacye i konjugacye mają te same nazwy t. j. mocną, słabą mieszaną;

3) że wprowadziłem 5-ty przypadek, którego żadna gramatyka nie ma i dlategoto uczniowie na każdym dorocznym egzaminie odpowiadali mi że Niemcy nie mają 5-go przypadku! Jacy oni biédni!

4) że w konjugacyi mocnéj czyli nieregularnéj w owych 5-ciu szeregach w imiesłowach dokonanych, dodałem wszędzie ich *habe* lub ich *bin*, żeby uczeń wiedział, czy to słowo odmienia się za pomocą słowa *haben* czy *sein*;

5) że zamieściłem oddzielne konjugacye dla słów ułomnych (*verba anomala*) *wissen*, *kennen*, *moegen*, *duerfen*, *muessen* i *wollen* cf. str. 92, 93, 94.

6) że słowa *gibst, gibt, hilfst, hilft* tak należy pisać, bo pochodzą od starogotyckiego *gibhan* i *hilpban*—a nie giebt i t. d.

7) że nazwę czasów, którą i p. Rode w swojéj: Niemieckaja Gramatyka na str. 57 umieścił, i w składni przeprowadziłem, jak się to p. Chm. na str. 119, 120, 121, o użyciu czasu przekonać może;

8) że przyimki umieściłem w I-éj-części etymologicznej, gdyż tak być powinno, gdyż tak wszystkie gramatyki wskazują, np. łacińska Poplińskiego str. 128, grecka Cegielskiego, ruska Iwanowa str. 65, niemieckaja p. Rodego str. 98, że tych przyimków uczę w klassie II-éj a składni dopiéro w IV-éj, że te przyimki są trudną nauką, potrzebujące wiele czasu i dobrej pamięci, jeżeli niektóre mają pięciorakie lub siedmiorakie znaczenie, jak się to o téj dokładności p. Chm. od str. 84—90 przekonać może;

9) że system konjugowania zaczyna się od trybu bezokolicznego a nie czasu teraźniejszego, że system ten oparty na metodzie Diesterwega, najznakomitszego filologa i pedagoga niem. usuwa stare łacińskie nazwy Plusquamperfectum (zatém imperfectum powinno się nazywać jako przeciwieństwo: Minusquam perfectum, a po Futurum simplex powinno iść, Futurum duplex, jako liczebne następstwo)!

10) że dla tych wszystkich różnic i zalet, gramatyka moja została uznaną i w niektórych wyższych pensyach zaprowadzoną.

*T. Sikorski.*

# PRZEGLĄD TEATRALNY.

*Znaczenie występów gościnnych. „Postanowienia" komedya 1 aktowa p. Zofii Mellerowéj, „Kartka wycięta" komedya w 1 akcie p. M. Dzikowskiego.*

W ostatniém dwuleciu, mieliśmy na tutejszéj scenie kilkanaście debiutów artystów i artystek, jużto prowincyonalnych, już téż wyszłych wprost z byłéj szkoły dramatycznéj. Niektórzy występowali z różném szczęściem, co znaczy, że niektórych zasoby chwalili znawcy szczerze, tusząc iż urośnie z nich rzeczywisty dla sceny pożytek. Swieże siły przychodzące z zewnątrz, obce najzupełniéj tradycyi teatralnéj miejscowéj, są często pożądanym i ruch wywołującym żywiołem, którym się pogardzać nie godzi. Ileżto razy trafia się, że z najniepozorniejszego debiutanta wyradza się pod umiejętnym kierunkiem, wielki i prawdziwy artysta. Niechaj mi wolno tu będzie na dowód przytoczyć dwa podobne wypadki. Opowiada je Henryk Laube, dramaturg, i dyrektor Burgteatru Wiedeńskiego, kierownik artystyczny, jakim niewiele scen europejskich poszczyciéby się mogło.

„Było to w r. 1858. Pewnego dnia stawił się przedemną młody człowiek, prosząc ażebym mu pozwolił wystąpić na próbę. Poco? zapytałem, przyglądając się mizernemu człowieczkowi w ciasnym czarnym fraczku, o wynędzniałéj twarzy. Prócz gęstych ciemnoblond włosów, wszystko inne wydawało się na nim jak pożyczane. Poco? ,,Chciałbym wystąpić w Niemczech na jakiéj średniéj scenie, świadectwo przeto wystąpienia próbnego wielceby mi się przydało." Wyrzekł to rozumnie i skromnie. Wskazałem mu krzesło, wypytując o przeszłość. Przybył on z teatru Brünskiego, gdzie grał role charakterystyczne najrozmaitszego gatunku.

„Czy i humorystyczne?—Z humorem to u mnie rzecz wątpliwa—odparł z uśmiechem amantki żegnającéj się ze swemi rolami. Rezygnacya taka, tak rzadka w artystach zajęła mnie mocno, rozmawiałem z nim przeszło godzinę, godzina ta była stanowczą. Malutka figurka zniknęła mi z przed oczu, a za to cała wewnętrzna jéj istota opanowała mnie wlewając mi otuchę. Pozwoliłem na debiut, a stosownie do wrażenia jakie na mnie uczynił, dałem mu rolę Carlosa w „Clawigo.” Grał ją niewykończenie, alem zauważył, że *potrzeba mu tylko rad i wskazówek*, ażeby go w krótkim czasie postawić wysoko. Dlatego przeszedłem z nim rolę prywatnie, i zaangażowałem go. Zachodziło teraz pytanie, jak wprowadzić debiutanta: skromnie czy odrazu zuchwale? Skromnie i w malutkich rolkach, zdawało się najrozsądniéj. Lecz młody ten człowiek ujął mnie już z góry, swą jasną mową, ruchami wdzięcznemi, i tém że w miarę gry wzmagało się w nim uniesienie, nie fałszywym lub sztucznym procesem. Przeszedłem więc z nim rolę Franciszka Moora. I tu potrzebne są: ogień i namiętność, jeżeli więc te rozwinie, nie będę się już bał o niego. Nie zawiódł mnie. Skoro się wieść rozeszła, że wystąpi poraz pierwszy w roli Franciszka, wszczęto ogromny hałas, a mnie obsypano wyrzutami, *że ośmielam się robić doświadczenia z małym aktorzyną prowincyonalnym.* Trochę lękałem się. Nadszedł dzień. Teatr zapełniony był do szczytu. Słuchano w grobowéj ciszy, aż gdy Franciszek odegrał piérwszą swą wielką scenę, jednogłośnie huczne oklaski zasypały młodego artystę; ochrzciliśmy tego wieczora jednę z pierwszorzędnych sił w rolach charakterystycznych w osobie *Józefa Lewińskiego.*

Drugi wypadek tak opisuje Laube:

„Byłem pewnego wieczora w Karlteatrze, ażeby wysłuchać małéj sztuki, któréj nie znałem. W jednéj ze scen wychodzi dziewczyna w szaréj sukni, i od razu mnie zastanawia. „Kto ona?" „Bardzo mi to obojętne—odpowiada mi sąsiadka—bo przecież gra bardzo źle."— Prawda—rzekłem powstając w loży, jakbym się chciał lepiéj jeszcze jéj przypatrzéć—ale niech będzie jak chce, jest coś w téj dziewczynie."

Doznałem bowiem wrażenia jéj piękności, i jakiéjś dziwnéj, nie ujawnionéj jeszcze siły. Wymawiała szkaradnie organem dobrym. Tony nie grupowały się jasno w słowa. Mimo to grecka jéj główka, trzymała mnie w naprężeniu. Przedstawiała się niezmiernie sztywnie, ale drobne jéj ruchy odznaczały się szlachetnością: mniemałem więc ciągle, że tam tkwi niepoślednia siła.

Dama ta grała drugo i trzeciorzędne amantki, a jak się dowiedziałem, nie zwracała niczyjéj uwagi. Miałem z nią długą rozmowę, która wyrobiła we mnie przekonanie: że wielkie, poważne role są dla niéj właściwe..... Widziałem ją późniéj na scenie prowincyonalnéj; błędy i usterki niemałe były mi widoczne, ale i wielki jéj talent. Brakowało jéj tylko nauki i kierownictwa, a stałaby się potęgą w tragicznych zadaniach. Dopiero po dwóch latach mogłem ją zaprosić na gościnne występy w Burgteatrze. Debiutowała jako Adryanna Lecouvreur, Jane Eyre, Marya Stuart i hrabina Rutland, i.. zaangażowałem ją. Była to panna Karolina Wolter."

Lewiński i panna Wolter są to dwa dzisiaj najznakomitsze talenta teatru dworskiego w Wiedniu, jednego z pierwszych w Europie pod względem artystycznéj całości, wyboru sztuk i obfitości dramatycznych talentów.

Widzimy ztąd, jakie znaczenie miéć mogą i miéć powinny próbne, czy jak je nazywają „gościnne występy." Są one examinem nie tyle jeszcze dla publiczności, która bardzo często na przymiotach istniejących choćby w większości, poznać się odrazu nie umie, ile dla umiejętnego artystycznego kierownika. Onto, jeżeli dobro sceny żywo go obchodzi, dokopie się w niekształtnym węglu brylantowych połysków, oddzieli je kunsztownie, oszlifuje i w należną wstawi oprawę.

Z kolei rzeczy wypadałoby nam pomówić o repertoarze Teatru Rozmaitości, począwszy od czasu reżyseryi p. Chęcińskiego, że jednak uwagi nasze zajęłyby więcéj miejsca aniżeli go dziś miéć możemy, więc odkładamy je do przyszłego zeszytu. Dziś powiemy tylko, że między innemi mamy zapowiedzianą komedyę Szekspira p. t. „Kupiec wenecki" w któréj główną rolę Szyloka wziął na siebie Jan Królikowski. Nie uprzedzając wypadków, cieszmy się samym faktem zjawiska niezwyczajnéj kreacyi na scenie, tymczasem zaś powiemy słów kilka o nowéj komedyi p. Zofii Mellerowéj p. t. „Postanowienia" i takiejże jedno-aktowéj p. M. Dzikowskiego p. t. „Kartka wycięta."

Pani Mellerowa, autorka „Złotego runa" wybrała sobie tym razem mniejszy zakres pojęć, które przerabia dla swych dramatycznych celów, za co ją tylko pochwalić trzeba. Uznała trafnie, że jest tysiące zjawisk z codziennego żywota, pozornie małoznaczących a w istocie składających pasmo życia, których autor zwłaszcza kobieta, pomijać nie powinna. Pierwsze uczucia wstępującéj w świat kobiety, jéj marzenia, jéj pojęcie obowiązków, zachowanie

się w małżeństwie—są to wszystko temata wyzyskiwane z grubsza przez komedyo-pisarzy, lecz nigdy nie wyczerpane, zwłaszcza gdy chodzi o delikatne cieniowanie, o psychologiczny przebieg. Pióro kobiety umie tu sięgnąć, lubo mniéj energicznie i więcéj sylwetkowo, ale za to misterniéj i subtelniéj, a taka subtelność stanowi w tych razach literacką prawie wartość.

Komedya czy obrazek dramatyczny p. t. „Postanowienia" osnuta na wadzie a zarazem przymiocie każdego młodego człowieka i młodéj kobiety, czyniących najuroczystsze postanowienie nie kochania się nigdy po doznanym zawodzie. Rozczarowanie czy bolesny zawód, zasklepiają na chwilę serce, chmurzą umysł, i naprowadzają na posępne myśli o świecie i całéj ludzkości. Człowiek radby wtedy zostać koniecznie urzędowym i wzorowym mizantropem, ale cóż, czas zabliźnia rany, uczucie przykre zaciera, i uśmiech znów na lica przyzywa. Odrodzenie staje się silniejsze od pierwotnego stanu. Wypływa to ze zbawiennéj elastyczności i giętkości usposobienia ludzkiego, w braku któréj społeczeństwa musiałyby ze sobą toczyć ciągłą wojnę exterminacyjną.

Tak samo też i pan Karol, młodzieniec odpalony od panny, o któréj posiągnął rękę, przyjeżdża leczyć czarną melancholię na wieś do swéj wujenki. Ma przytém doskonały apetyt, i potężny arsenał zabójczych na płeć piękną potępień. Ale cóż i Adela młoda wdowa, przyjeżdża do téj saméj wujenki a swéj ciotki, nienawidząca rodu mężczyzn za to, że w nieboszczyku mężu świeżo zmarłym, znalazła tylko okrutnego tyrana. I ona obdarzona sporym zasobem trafnych wyroków na płeć brzydką. Naturalnie że ze starcia się dwóch tak przeciwnych sobie wyroków i poglądów, wyradza się trzeci odmienny, na który się zwykle oba godzą stronnictwa. Z tezy i antytezy powstaje synteza. Państwo młodzi, znani sobie oddawna, bo i od Adeli otrzymał niegdyś Karol odkosza, poznają się bliżéj i lepiéj, i dochodzą do przekonania, że wspólne ich apostrofy mają wprawdzie bardzo wiele wagi gdy chodzi o ogół, lecz że w szczególnym wyjątku, to jest gdy chodzi o nich samych, całkiem są niestósowne. Krótko mówiąc, mimo postanowień, pokochali się oboje, ręczyćby trzeba, że tym razem szczerze i na długo. Jest wiele werwy w prowadzeniu dialogu, przetykanego często dobrym dowcipem, a i charaktery nakreślone jasno i wyraźnie z wyjątkiem Karola, który w jednéj scenie staje się zanadto dramatycznym. Utwór ten godzien zostać na dłuższy czas w repertoarze. Rolę Karola odegrał p. Tatarkiewicz z humorem i lekkością, godną zachowania na zawsze; pani Gąsowicz uniknęła przesady w Adeli,

trzymając się prawdy, a i pani Borawska jako wujenka wyborną była matroną. P. Jejde jako ogrodniczek i panna Gilska garderobiana, (para po swojemu kłócąca się ze sobą i czyniąca postanowienia) odegrali żywo i wesoło udatne swe rolki.

Drugą od tego czasu (kilka tygodni) jedno-aktową nowością jest komedya p. Dzikowskiego p. t. „Kartka wycięta." Autor wiódł o nią odporną polemikę z jednêm z pism tutejszych, zarzucającêm mu przyswojenie sobie przedmiotu z komedyi niemieckiéj. Jeżeli rozchodziło się *o sam tylko pomysł*, to mógł autor śmiało odpowiedzieć z Molierem: je prends mon bien, ou je le trouve. Wolno bowiem każdemu pomysł obcy przerobić swoim sposobem, byle przerobienie świadczyło o zdolności. Toć i Szekspir posługiwał się nowellami włoskiemi i hiszpańskiemi, i Kornel którego Francuzi „wielkim" zowią, nie wstydził się przyznać w przedmowie do swego „Kłamcy" że rzecz zaczerpnął z hiszpańskich dramaturgów (Alarcona, jakto wykazał Philarète Chasles). Nie jest więc wstydem, pochwycić myśl obcą, byle ją umieć przetopić w wytrawnym ogniu talentu, byle z niéj umieć wydobyć piękności nieznane, krótko mówiąc, byle nie było znać w têm przerobieniu niewolniczego naśladownictwa. „Kartka wycięta," tytułem swym nie wskazującym wprost rzeczy komedyi, przypomina bardzo zręczny figiel V. Sardou, ową znaną „Ćwiartkę papieru." Prawda, że Francuz od takiego świstka uczynił zależnym spokój i szczęście małżonków, pozwalając z nim igrać niebezpiecznie przez długich kilka aktów; p. Dzikowski zaś niewinniéj i zacniéj przeprowadził wielce wesołą intrygę, zależną tak samo od „kartki wyciętéj." Wesołość téż ta, płynąca z serdecznego założenia, usposabia bardzo uprzejmie widza, zadowolonego że nie rozchodzi się tu jak w francuzkich tego rodzaju utworach, o zdradę małżonków, o podstęp, o zręczne oszustwo. Intryga nie potrzebowała się kłębić dwójznacznie, skoro posiadaczem kartki wyciętéj nie był żaden pogardzony kochanek, ani zazdrosny rywal, ani mściwa kobieta, ale poczciwy pan Dyonizy, przyjaciel wierny domu i męża, który Bogu ducha był winien. Pan Dyonizy to stary kawaler, ale bez nałogów starokawalerskich, rubaszny, otwarty i serdeczny. Kocha swego przyjaciela Karola, cóż, kiedy go nie kocha małżonka, a raczej kiedy go znieść nie może, widząc przeważny wpływ jaki wywiera na wolę małżonka. Radaby go jakimbądź sposobem wyrugować z domu, więc radzi się cioci Elżbiety, która tak samo uprzedzona do p. Dyonizego, ochotnie podaje sposób, wyczytany w pewnéj książce. Polega on na têm, że gdy żona chce się pozbyć przyjaciela domu, powinna udać w nim zakochaną, gdyż

w takim razie, przyjaciel jeśli jest uczciwy, wyniesie się natychmiast z domu. Sposób ten czyta ciocia z „kartki wyciętéj." Siostrzenica usłuchała natychmiast. Zaraz w następnéj scenie oświadcza się z szaloną, w milczeniu tajoną miłością Dyonizemu, który przerażony a niewiedzący co z tym fantem począć, najchętniéj zgadza się na proponowany sobie wyjazd. Ale w trakcie następującego monologu, spostrzega leżącą na stole kartkę, i z niéj dowiaduje się o całéj komedyi. Postanawia się zemścić, i udawać teraz naprawdę gwałtowną miłość, niepozwalającą mu odjeżdżać na krok z domu swéj ukochanéj. Ażeby zaś lepiéj poprzeć swe plany, zmyśla intrygę na Karola, posądzając go o miłostki z ciocią Elżbietą. Przerażenie żony przechodzi w oburzenie. Zamięszanie wzrasta gdy klęczącego Dyonizego u nóg jéj, zastaje ciocia a potém Karol, aż się wszystko ku ogólnemu zadowoleniu wyjaśnia.

Przyznać trzeba, że interes w miarę postępu akcyi rośnie, a komiczność w sytuacyi klęczącego, prawdziwa i szczera. Pan Dyonizy, dobry typ starego kawalera, wmięszanego ni ztąd ni zowąd w intrygę miłosną, z któréj się jednak umie wydobyć zwycięzko i z humorem. Żona Karola miła kobiecina, kochająca czule swego męża, więc zazdrosna o każdego kto się odważa dzielić z nią miłością małżonka. To są dwa najwydatniejsze charaktery, reszta grupuje się wdzięcznie i harmonijnie około głównych działaczy. Dyalog bardzo żywy i naturalny, podniesiony komicznością niektórych wyrażeń, stwarza całość wcale udatną, mogącą długo pozostać w repertoarze niezbyt bogatym w drobne takie a czyste komedyjki.

Niezaprzeczenie atoli palma zasługi należy się artystom. Taki pan Dyonizy w grze pana Stolpego, pobudza widzów i utrzymuje od początku do końca w nieustannym humorze; gdzie usta milczą, tam ruchy jego zamaszyste, rubaszne, a intencyjne tłumaczą ciąg dalszy. Istotnie rola ta mała stosunkowo do talentu p. Stolpego, pozostanie jednak na zawsze klejnocikiem w jego bogatym repertoarze. Niemniéj pani Ostrowska jako żona Karola, grała z porywającą werwą, z którą szła w parze doskonała mimika. O rolach p. Piaseckiego (Karola) i cioci (p. Figarskiéj) lubo odegranych bardzo dobrze, nie da się wiele powiedziéć z przyczyny podrzędnego ich znaczenia.

*Edward Lubowski.*

# WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

## WARSZAWA.

*Styczeń 1869 r.*—Z drukarni Okręgu Naukowego Warszawskiego z końcem 1868 r. wyszedł: „Wykaz Szkoły głównéj warszawskiéj. Zimowe półrocze roku naukowego 186⁸/₉ od ¹/₁₃ września 1868 do ¹/₁₃ lutego 1869 roku" Na czele mieści się obszerna rozprawa Antoniego Waleckiego kustosza gabinetu mineralogicznego Szkoły głównéj warszawskiéj p. n. „Treściwy przegląd zwierząt ssących krajowych." W piśmie naszém w zeszycie czerwcowym 1866 roku, umieścił p. Wałecki: „Przegląd zwierząt ssących krajowych." Uzupełnioną teraz i zbogaconą nowemi nabytkami i sprostowaniami w tym wykazie ogłasza. Praca wysokiéj naukowéj wartości oparta na własnych badaniach, która stanowi znakomity przyczynek do fauny krajowéj. Z tego wykazu szczegóły podamy więcéj zajmujące ogół. Ciało nauczające składało się w półroczu letniém 186⁷/₈ ogółem z 80 osób. Uczniów wpisanych na czterech wydziałach ogółem 998. Pobierało stypendya 82 studentów, z tych stypendyów rządowych 26, prywatnych 56. W budżecie wydatków państwa na utrzymanie Szkoły głównéj warszawskiéj zatwierdzoną została na rok administracyjny 1868 summa rsr. 132100.

Na posiedzeniu dnia 17 (29) października 1868 r. odbytém, Rada Ogólna Szkoły głównéj warszawskiéj przystąpiła za przybraniem wszystkich professorów do wyboru rektora na następujące trzy lata t. j. do roku 187⁰/₁ włącznie. Większością głosów obranym został dawny, przewodniczący od założenia Szkoły głównéj rektor Rz. Rad. Stanu Dr. Med. Józef Mianowski. Następnie pod prezydencyą tegoż rektora, na posiedzeniu połączoném rad wydziałowych w dniu 24 października (5 listopada) 1868 r. dokonano zostały wybory na następne dwa lata 186⁸/₉ i 186⁹/₇₀. Wybrani większością głosów: w wydziale prawa i administracyi, Dr. *Kasznica Józef;* w wydziale lekarskim, Dr. *Tyrchowski Władysław;* w wydziale filologiczno-historycznym, Dr. *Kowalewski Józef;* a w matematyczno-fizycznym, *Przystański Józef;* t. j. ciż sami którzy piastowali te godności w poprzedniém dwuleciu. Rozdział p. n.: *Prace naukowe professorów szkoły głównéj* obejmuje szczupłą ich liczbę. Najwięcéj wydatnieje wydział lekarski z wydawnictwem „Biblioteki umiejętności lekarskich." Z dziełem większych rozmiarów wystąpił tylko professor Stanisław Budziński, ogłosiwszy w 1868 r.: „Wykład porównawczy prawa karnego." Szczupłość ta nie stanowi dowodu bynajmniéj, braku prac naukowych, ale professorowie Szkoły głównéj, zarówno jak i wszyscy literaci, zachowują wiele rękopismów w tekach w po-

śród letargu handlu księgarskiego. Dawni wydawcy nie są skłonni do ich drukowania, a autorowie nie mogą się odważać na ogłaszanie prac swoich, widząc taki brak pokupu.

— Docent botaniki przy Szkole głównéj Dr. Edward Strasburger powołany został na professora botaniki do Jena, uniwersytetu w Księztwie Sasko-Wejmarskiém. Imię prof. Strasburgera znane dotychczas w rocznikach nauki zagranicznéj i krajowéj, nowym okrywa się blaskiem. Oprócz prac poświęconych wyłącznie fizyologii roślinnéj, umieszczanych w niemieckich pismach peryodycznych (Botanische Zeitung i in.), prof. Strasburger w roku przeszłym ogłaszał ciekawe swoje spostrzeżenia nad zapłodnieniem u paproci w Pamiętnikach Akademii Nauk w Petersburgu. Czytelnicy Biblioteki Warszawskiéj mieli sposobność poznać pióro prof. Strasburgera, z artykułu umieszczonego w styczniowym zeszycie.

Poprzednikami w Jena prof. Strasburgera byli: głośny z naukowych i popularnych swych prac J. Schleiden i niemniéj słynny Prinxheim, który dla słabości zdrowia opuścil obecnie katedrę botaniki. Powołanie od nas do Niemiec młodego professora, jest jedyném w dziejach najwyższéj w kraju tutejszym naukowéj instytucyi. Szkoła główna ponosi dotkliwą stratę. Wyjeżdżający w tych dniach prof. Strasburger powszechny w naukowych kółkach po sobie żal zostawia.

— Docent Szkoły Głównéj Adolf Pawiński, znany już w piśmiennictwie z rozpraw zamieszczanych w tutejszych dziennikach, mianowany został Adjunktem Szkoły Głównéj przy katedrze Historyi Powszechnéj.

— Docent tejże Szkoły Henryk Hofman, magister prawa, mianowany został Adjunktem do wykładu historyi prawodawstw słowiańskich.

— Professor Szkoły Głównéj p. Henryk Struve zaszczycony został przez Towarzystwo Naukowe Krakowskie godnością członka tegoż Towarzystwa.

— Rozprawa studenta wydziału nauk przyrodzonych Juliana Ochorowicza: „O metodzie badań psychologicznych'' uwieńczoną została medalem srebrnym, przez wydział filologiczno-historyczny Szkoły Głównéj Warszawskiéj:—druga tejże treści rozprawa p. Gustawa Roszkowskiego, studenta wydziału prawa i administracyi, otrzymała piśmienną pochwałę.

— Zbieracz pieśni i melodyj ludowych nasz etnograf Oskar Kolberg, wybrany został członkiem Towarzystwa Etnograficznego w Paryżu.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszła w ozdobnéj edycyi książka dla młodocianego wieku: „Wygnańcy w lesie przez Mayne-reid, kapitana. Przekład z angielskiego z 12 rycinami (drzeworytami). Warszawa 1869. (w 12ce str. 192). Jest to dziełko wybornie odpowiadające swemu zadaniu, bo obudzając żywe zajęcie w młodocianym umyśle, podaje zarazem i naukę. Autor prowadzi swych czytelników do lasu olbrzymiego Ameryki, który Don Pablo Ramero

Kreol, zmuszony uchodzić ze swéj ojczyzny, pozbawiony całego mienia dla ocalenia życia, w towarzystwie żony, dwojga dzieci i wiernego Indyanina przebywa szczęśliwie. W téj dziewiczéj ziemi, natrafia na mnóstwo drzew i roślin osobliwych, jak zwierząt i ptastwa, których dokładny opis znajdujemy. Ramero dobry botanik odkrył bogate źródło dochodu dla siebie w zbieraniu chiny i wanilii. Z obfitym ich zapasem na tratwie dostaje się do brazylijskiego miasta Beelem, w którém sprzedawszy uzbierany towar krwawą pracą, odzyskał utracone mienie i zapewnił zarówno dla siebie jak dla syna i rodziny swojéj pomyślną i swobodną przyszłość. Wykład jasny, język czysty, nie małą są zaletą téż téj książki.

— Szkice Orłowskiego słynnego malarza, który zmarł w Petersburgu 1832 roku, są wysoce cenione, i należą do rzadkości osobliwych. Trzydzieści trzy szkice, będące własnością śp. Kacpra Żelwietra, wydatnéj osobistości a przyjaciela naszego artysty, w którego domu najradziéj przebywał, są obecnie do nabycia, i wiadomość bliższą o tym drogocennym zbiorze udziela redakcya Gazety Polskiéj.

— Wydawca pisma tygodniowego illustrowanego dla kobiet *Bluszcz* p. Michał Glücksberg ogłosił, że w pierwszym kwartale r. b. wydawać będzie w oddzielnych bezpłatnych dodatkach najnowszy romans Wiktora Hugo p. n. *Smiejący się człowiek*, w 4ch tomach. Część pierwsza zawierająca 2 tomy, nosić będzie tytuł: *Morze i Noc*, 3 i 4 *Z rozkazu królewskiego*. Romans ten, osnuty na tle historyi angielskiéj nie jest przecie historycznym: oto jak się wyraża o nim autor w liście swoim do wydawcy paryzkiego: „Kiedy maluje historya, nigdy nie każe czynić osobom historycznym nic innego, jak tylko to, co zrobiły, lub mogły zrobić wedle swego charakteru: jak najmniéj otaczam je bajką. Maniera moja malować rzeczy prawdziwie za pomocą postaci konwencyonalnych. Wszystkie moje dramata i romanse wynikają z tego sposobu widzenia rzeczy dobrego, czy złego, ale właściwego duchowi mojemu. „*L'Homme qui vit*” będzie więc obrazem prawdziwéj Anglii odmalowanym przez osoby zmyślone. Figury historyczne, np. Anna będą widziane tylko z profilu. Zajęcie główne jak w Ruy-Blassie i Nędznikach, spocznie na osobach wynikających z ówczesnego świata historycznego lub arystokratycznego, ale stworzonych przez autorów.” Wydawca dla ogłoszenia równocześnie z oryginałem francuzkim tego utworu, zawarł umowę z p. Lacroix księgarzem-wydawcą w Paryżu, w celu otrzymywania z pod prassy pierwszych odbitek.

— W kościele katedralnym w Płocku, wzniesiono okazały pomnik grobowy, w nawie głównéj, dłuta Andrzeja Pruszyńskiego rzeźbiarza z Warszawy. Poświęcony on jest pamięci zmarłego Stanisława Siennickiego Dra medycyny, a fundowany ze składek całego miasta, w którém zgasły mąż, niezapomniano położył zasługi oddawszy na wsparcie i usługi bliźnich całe swe mienie, i wszystkie chwile żywota. Pomnik ten uwieńcza medalionowy portret z kararyjskiego marmuru ś. p. Siennickiego, żywo przypominający i wiernie rysy zmarłego.

— Pan Mosses Forello uczony starozakonny z Warszawy, przygotował obszerną rozprawę: O kalendarzu żydowskim, w porównaniu go z kalendarzem chrześciańskim, według nowéj zasady matematycznéj. Zasadę matematyczną do oznaczenia roku kalendarzowego nie podaje nasz autor za nową, przez siebie wynalezioną, gdyż pierwszą myśl do niéj podał professor z Getyngi Gans, a ś. p. Adryan Krzyżanowski professor matematyki w b. Uniwersytecie Warszawskim zamieścił w kalendarzu 1845 r. Sposób ten, służący do wynalezienia, w którym dniu miesiąca chrześciańskiego przypadają święta wielkanocne żydowskie, nie jest tam objaśniony, a przytém nie służy do ułożenia całorocznego kalendarza żydowskiego. Dlatego w pomienionéj rozprawie podaje cały taki kalendarz, a zarazem objaśnia jego zasady w sposób przystępny. Kalendarz obecny, istnieje od początku ostatniego wygnania Izraelitów z Jerozolimy, czego najlepszym dowodem jest, że wszyscy żydzi rozproszeni po całym świecie, trzymając się tradycyi rabinicznéj, jeden i ten sam kalendarz mają. Z tego kalendarza płynie to przekonanie, że żydzi od niepamiętnych lat, znali, iż rok słoneczny ma mniéj niż 365 ¼ dni, i jest blizko środkiem różnicowym między rokiem kalandarza wschodniego a Gregoryańskim; podług zdania wielu rabinów, kalendarz ten tradycyonalnie istnieje od czasów Mojżeszowych, to jest, że żydzi mieli sobie tradycyonalnie przekazane, ażeby na wygnaniu stosowali się do tego kalendarza. W czasie bowiem istnienia państwa żydowskiego w Ziemi Świętéj, kalendarz roczny, ułożony został przez *Sanhedryn* (synod), na którym zwrócono uwagę, ażeby miesiąc *Nisan*, przypadał zawsze na wiosnę: żydzi przeto od czasów Mojżeszowych już mieli przekonanie, że rok słoneczny do pewnéj cząstki dnia obliczyć się nie daje, i tradycya ich gruntuje się na pewnych logicznych zasadach. Szacowna ta praca, oceniona zasłużenie przez naszych uczonych, oczekuje nakładcy.

— Jużeśmy donosili w naszém piśmie o zbieraniu we Lwowie składek na rzecz pozostałéj rodziny ś. p. Karola Szajnochy. Otrzymujemy teraz wiadomość, że ten tak zwany: *Fundusz Szajnochy*, w październiku 1868 roku, wynosił w gotowiznie złotych reńskich 16,313, a 2,700 w papierach.

— Wystawa Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie na rok 1869, otwartą zostaje z dniem 1 marca r. b. Trwać będzie dwa miesiące. Dyrekcya pomienionego Towarzystwa ogłosiła odezwę, wzywającą artystów ażeby utwory malarstwa, rzeźby i architektury, zechcieli nadsyłać przed 15 lutego pod adresem: „Na Wystawę sztuk pięknych w Krakowie.” Przesyłkę przyjmuje Dyrekcya na koszt Towarzystwa.

*Lwów.* (Wyjątek z listu). Ruch księgarski ożywia się coraz więcéj. Na czele wydawców najwięcéj przedsiębierczych, i najwięcéj zasłużonych stoi Karol Wild; o jego też nakładach wspomnieć muszę, które już noszą datę r. b. 1869. 1) Dra Karola Schenkla Chrestomatya z pism Xenofonta, z Cyropedyi, Anabasis, i pamiętników o Sokratesie z przypisami i słowniczkiem na piątą klassę gimna-

zyalną, (podług czwartego wydania niemieckiego). Do języka polskiego zastosował Stefan Borzemski. Część I w 8ce str. 96, tekstu greckiego i str. 110 słowniczka). 2) Dyjetetyka dzieci oparta na wskazówkach przyrody. Przewodnik w zdrowém pielęgnowaniu dzieci od przyjścia na świat aż do dojrzenia. Skreślony przez przyjaciela dzieci. (Lekarza) w 8ce str. 150. z godłem na czele: „Cokolwiekbądź przedsiewziąć chcesz z dziecięciem twém, bacz na wskazówki przyrody! albowiem one są głoskami ręką Stwórcy w wszechświecie zapisanemi, któreś ty winien odczytać." 3) Fizyka dla szkół wyższych gimnazyalnych i realnych napisana przez Stanisława Chlebowskiego dyrektora wyższéj szkoły realnéj i miejskiéj szkoły przemysłowéj we Lwowie, b. professora matematyki i fizyki przy gimnazyum w Tarnopolu, (w 8ce). Dotąd wyszedł pierwszy zeszyt. Wkrótce wyjdą, bo są już pod prassą nakładem tegoż księgarza Karola Wilda: Szkice historyczne Karola Szajnochy Tom IV i W. Puca: Historya powszechna dla klas wyższych gimnazyalnych, Tom II. Wieki średnie. W przekładzie Ł. Tatomira.

Z pewném zadziwieniem zapisujemy tu, że firma Wilda, tylu ważnemi wydawnictwami odznaczająca się, podejmuje nakład kalendarza p. n. *Pielgrzym.* I na rok bieżący 1869 wyszedł także, a cały układem i zewnętrzną formą, przypomni wam stare z przed 1830 roku kalendarze. Każdy miesiąc mieści przepowiednie przy zmianach księżyca, a prócz tego, przywodzi je jeszcze w końcu, wedle stuletniego kalendarza. Dział informacyjny i przemysłowy, dla mieszkańców Galicyi najwięcej ma wartości; nie możemy tego powiedzieć o dziale tak zwanym: literacko-historycznym. Ze w téj formie starożytnej p. Wild wydaje swój kalendarz, z ośmieszonemi już wróżbami, wnosić możecie, jak wielu tu jeszcze zwolenników znajduje się tak téj formy, jak i przepowiedni pogody lub deszczu, zimna czy ciepła i do nich prace rolnicze swoje pragnie stosować.

Do ważniejszych wydań tego nakładcy należy dzieło już w połowie większéj wydane p. n. Zarys dziejów literatury polskiéj, na podstawie badań najnowszych pracowników, dla użytku szkolnego nakreślił Adam Kuliczkowski. Część pierwsza ogłoszona, obejmuje od pierwszego wieku aż do Ignacego Krasickiego (w 8ce str. 208). Przedmowa, z życiem napisana, pokazuje, że autor zna gruntownie swój przedmiot: że studyował go u właściwego źródła, a nie jest prostym przepisywaczem. Kiedy dzieło całe się ukończy, warto trud podjąć, ażeby ocenić należycie zasługę położoną w napisaniu tego rzeczywistego podręcznika dla młodzieży szkolnéj. A podręcznik to sumiennie i ze znajomością przedmiotu dobrze ułożony i napisany. Może on służyć zarówno dla uczniów, jak i dla tych nauczycieli, którzy się zajmują wykładem dziejów literatury polskiéj. Całość obejmie tom jeden o trzystu kilkunastu arkuszach druku.

— Na rok 1869 wyszedł zeszyt I pisma: Rolnik czasopismo rolniczo-przemysłowe, organ C. K. Galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, redagowany przez Rudolfa Günsberga.

— P. Wiktor Brodzki artysta rzeźbiarz, którego prace dłuta były na wystawie powszechnéj w Paryżu 1867 r., wykończa obecnie w Warszawie popiersie z marmuru, Rektora Szkoły Głównéj Dra Mianowskiego.

— W Krakowie przez Mieczysława Marassé wyszła broszura z drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego p. n. „O wolności porcelowania gruntów ze względu na stosunki galicyjskie."

— W roku zaszłym czcionkami L. Merzbacha wyszedł w Poznaniu w 16-ce *Przewodnik miasta Poznania dla podróżnych* z planem i rycinami znaczniejszych gmachów i pomników. Oprócz krótkiego zarysu początków i dziejów miasta, obejmuje w tytule *Przechadzka po mieście* dokładne szczegóły dla przybywających po raz piérwszy do tego grodu: jaką drogą najkrótszą można obejrzéć w dwóch dniach wszystkie godne widzenia gmachy, domy, place, ustronia, pomniki, zakłady naukowe, handlowe i t. p. zdobiące tę starożytną stolicę Wielkiéj Polski. Prócz tego, dla zaspokojenia ciekawości podróżnych, w oddziale następnym znajdujemy *Opis pojedynczych miejscowości Poznania*, *Wykaz znaczniejszych handlów* i kilka kartek próżnych na konotatki. Byłoby pożądaném, żeby wielka praktyczność tego przewodnika, skłoniła piszących o Warszawie do wydania podobnego rodzaju dziełka dla odwiedzających toż miasto.

— W Wiedniu wyszło dzieło H. Zeissberga: *Die kriege Kajser Heinrich's II mit Herzog Boleslav I von Polen.* Jestto osobne odbicie z 577 tomu roczników austryackiéj akademii umiejętności.

— O wiośnianych wielkanocnych zwyczajach w Szlązku i Morawie, jest artykuł w piśmie *Ueber Land und Meer*, wychodzącém w Sztutgardzie (Nr. 29 z r. b.); zaś o naturze ludowych pieśni czeskich, morawskich i szlązkich, napisał Teisler wielce pouczającą rozprawę, ogłoszoną w *Internationale Revue* (4 tom, 2 zeszyt).

— Rękopisma gotowe do wydania i książki treści historycznéj oraz filologii klassycznéj są do sprzedania po śp. Adolfie Mułkowskim bibliotekarzu uniwersytetu Jagiellońskiego. Za staraniem Aleksandra hr. Przezdzieckiego zdjęto z oryginału fotografią wizerunku hetmana Czarnieckiego, który zdobi jednę z sal zamku królewskiego w Berlinie.

— Ważne rękopisma polskie, sprzedane w Berlinie na licytacyi przez firmę księgarską Stargar, w znacznéj części nabyła kapituła katedralna Warmińska, p. Pruszyński z Pomorzan z Galicyi, i nieznany z nazwiska zbieracz z Petersburga.

— W Poznaniu z drukarni N. Kamieńskiego i spółki, wydaną została rozprawa p. n. Odpowiedź ks. Fran. Ksaw. Malinowskiego na rzecz prof. Małeckiego o spółgłosce „j" oraz odpowiedź na przypiski prof. Małeckiego do tejże „Odpowiedzi" (dotąd nie ogłoszona). (Poznań 1868 r. w 8ce str. 54).

— W Monasterze wyszło obszerne dzieło: *O wolnéj woli człowieka*, ze stanowiska filozoficznego i teologicznego, napisane przez

Monsignora Ludwika Wolańskiego. Praca powyższa ukazała się w języku niemieckim, a polskie wydanie znajduje się już pod prassą. Że praca ta jest wysokiéj naukowéj wartości, dowo iem zaszczytne powołanie od dwóch uniwersytetów niemieckich na jednę z katedr w fakultecie teologicznym.

— Dwudziesty trzeci rok mija, jak w młodym wieku zakończył pełne trosk i niepokoju życie Dominik Magnuszewski. Mała część jego utworów została ogłoszona drukiem tak prozą jak wierszem. W r. b. na jednym z koncertów w Warszawie, przypomniał jego imię Jan Królikowski deklamacyą jednego utworu: „Dwie piastunki" w którym tak rzewnie i tak wymownie młody poeta, odmalował swoje cierpienia i niedolę. Przeważnie był on poetą dramatycznym. Już jako uczeń b. Uniwersytetu Warszawskiego, dał się poznać w tym kierunku dwiema sztukami, które były przedstawione na ówczesnym Teatrze Rozmaitości: „Stary kawaler" komedya w 1ym akcie wierszem. i „Zdzisław czyli skutki płochości" komedya w 2ch aktach także wierszem, które cieszyły się niemałém powodzeniem na scenie. Następnie zwrócił się do poważnego dramatu. Ukończył dwie tragedye wierszem, każda w 5ciu aktach: „Hieronim Radziejowski" i „Władysław Biały." Obie jak znamy je, są wysokiéj wartości i może najlepsze ze wszystkich, jakie się dotąd pojawiły. Oprócz właściwego tła historycznego, szczęśliwie pochwyconego: w drugim dramacie to jest: „Władysławie Białym, którego pamięć odświeżył obecnie wielki nasz malarz Jan Matejko, oprócz tego kolorytu dziejowego, miał pole do puszczenia w polot bujną fantazyą, mając bogaty materyał w burzliwém życiu tego księcia mnicha. Umierając Magnuszewski, tak te dramata, jak i resztę rękopismów tak prozą jak i wierszem, przekazał na własność krewnéj zmarłéj swéj małżonki, z warunkiem wydania ich jak najrychléj. W r. 1857 wyszedł wprawdzie tom I pism zgasłego poety, nakładem Seweryna Koszkowskiego, który obejmuje dramat p. n. *Rozbójnik salonowy,* w czterech aktach wierszem: Barbara jeszcze Gasztoldowa żona, dramat rok 1547 w trzech aktach z Epilogiem (wierszem). Inkwizycya święta, fragment dramatyczny pisany 1829 r. dalsze z niewiadomych nam powodów wstrzymane zostały.

— Przy konkursie dramatycznym, który nie dawno ukończonym został, wniesiono projekt pomnika dla pełnego zasług tak w literaturze jak i podtrzymywaniu sceny krajowéj Jana Nepomucena Kamińskiego. Myśl tę oddawna miano, ale obecnie dyrektor teatru lwowskiego p. Miłaszewski, zajął się nią gorliwie. Był on poetą z rzeczywistém natchnieniem i wyższym talentem, a nadto władał ojczystym językiem po mistrzowsku. Oprócz drobniejszych utworów poetycznych oryginalnych nie maléj wartości, tłumaczył Szyllera tak liryczne pieśni, jak dramata, a między tymi *Obóz Walensztеina.* Własną pracą, już naśladując, już przekładami podtrzymywał i zbogacał repertoar. Posąg J. N. Kamińskiego ma stanąć w przedsionku teatru lwowskiego. P. Miłaszewski na pomnożenie

w tym celu funduszów, ma dać jedno widowisko, złożone ze scen różnych sztuk zgasłego pisarza.

— Ks. Franciszek Xawery Malinowski, znany od lat wielu uczony lingwista, zamyśla wydać „Krytyczną grammatykę języka polskiego" napisanéj z dzisiejszego stanowiska lingwistyki porównawczéj.

— Znane są pieśni ludu serbskiego, zebrane przez Wuka Stefanowicza Karadzicza, a znane są nam z wybornych przekładów Kazimierza Brodzińskiego, I. B. Zaleskiego, głównie téż Romana Zmorskiego. W końcu r. z. w Sarajewie, nauczyciel w témże mieście Bogulub Petranowicz wydał nowy zbiór pieśni nieznanych jeszcze p. n. Pieśni narodowe serbskie z Bośnii (*Serbske narodne piesne i z Bosne*). Drukowane kirylicą, obejmują dwa tomy. Pierwszy już wyszedł z pod prassy i zawiera 364 pieśni. Dzielą się na: 1) mitologiczne; 2) religijne; 3) świąteczne; 4) śpiewane przy kolebce: 5) podczas żniw; 6) taneczne; 7) weselne; 8) śpiewane podczas imienin; i 9) miłosne. Uczucie czystéj miłości jest przeważną w nich stroną Warto, ażeby młodzi nasi filolodzy, którzy dokładnie znają tak język, jak i literaturę serbską, zajęli się przekładem tych cudnych kwiatów poezyi ludowéj.

— W Paryżu (jak donosi Gazeta Warszawska) już jest pod prassą: „Wybór poezyi Antoniego Góreckiego, z przedmową Leonarda Rettla." Wiadomo, że Górecki należy do okresu przejściowego z klasycyzmu do romantyczności, i od roku 1815 liczył się do pierwszorzędnych poetów. Utworów jego wiele lirycznych, szczególniéj téż bajki, nie straciły nic na swojéj wysokiéj wartości.

† Dnia 13 grudnia 1868 r. umarł w Kamieńcu Podolskim ś. p. Konstanty Podwysocki, niegdyś kurator honorowy gimnazyum w témże mieście. Znany był jako pisarz zdolny, który pracami swemi zasilał pisma czasowe i zbiorowe, jak *Tygodnik petersburgski*, *Atheneum* J. I. Kraszewskiego i *Rusałkę* Alexandra Grozy. Oddzielnie wydał w Wilnie powieść p. n. *Pan Dezydery*. W majętności swéj Rysztach pod Kamieńcem, pozostawił znakomity księgozbiór, oraz galeryę obrazów, i zbiór sztychów i rycin.

† Dnia 2 stycznia r. b. umarł w Rawie Ignacy Rogalski. Cichy a zacny ten pracownik, przez wiele lat wspierał nasze pismo układaniem kroniki bibliograficznéj. Jest to brat młodszy Leona, znanego z prac wielu literackich i współ-redaktora Encyklopedyi Powszechnéj.

† Dnia 8 stycznia r. b. umarł w Warszawie Karol Gregorowicz doktor medycyny, zasłużony literaturze naszéj pisarz. Życiorys jego szczegółowy, mieści Encyklopedya Powszechna. Dodamy, że utworzył *Pamiętnik naukowy*, który redagował przez sześć tomów, i odstąpił go następnie p. Szaniawskiemu. Nowy ten organ trwał krótko, gdyż po wydaniu trzech zeszytów przestał istnieć.

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wolno drukować—Warszawa, dnia 22 Stycznia (3 Lutego) 1869 r.

*Censor, J. Bleszczyński.*

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatoryum Astronomiczném

## WARSZAWSKIEM.

## *Grudzień,* 1868.

**Grudzień, 1868.** Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie $1^s 14^m 45^s,7$ czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany księżyca | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | | Wilgotność średnia dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | Ilość wody co do wysokości w milim. | | Wysok. wody na Wisłe | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiecz. | 10 godz. wiecz. | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 godz. w. | 10 godz. w. | deszczu | śniegu | stóp | cali |
| 1 | | 757.16 | 757.33 | 756.49 | 756.24 | 756.805 | − 8°.2 | − 7°.8 | − 6°.9 | − 7°.4 | − 7°.58 | — | poc. mgła | poc. mgła | pochm. | pochm. | W1. | W1. | PdW1. | PdW1. | | | 3 | 5 |
| 2 | | 755.12 | 755.61 | 754.97 | 755.20 | 755.225 | 6.3 | 5.4 | 4.4 | 3.1 | 4.80 | — | pochm. | poc. śnieg | pochm. | poc. mgła | W1. | W1. | PdW1. | PdW1. | | 0.2 | 3 | 6 |
| 3 | | 752.96 | 754.36 | 753.26 | 752.20 | 753.195 | 2.1 | 1.3 | 0.0 | + 0.2 | 0 80 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdW1. | PdW1. | Pd1. | Pd1. | | | 3 | 4 |
| 4 | Perig. | 751.99 | 751.99 | 751.21 | 751 32 | 751.628 | 0.8 | + 1.0 | + 1.9 | 2.2 | + 1.08 | 92.9 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Pd1. | Pd1. | PdZ1. | PdZ1. | 1.7 | | 3 | 7 |
| 5 | | 750.88 | 748.74 | 746.71 | 744 34 | 747.643 | + 1.2 | 3.6 | 6.1 | 4.6 | 3.88 | 94.7 | pogodny | pochm. | pochm. | pochm. | Pd2. | Pd1. | PdZ2. | PdZ2. | 0.4 | | 3 | 10 |
| 6 | ☾. | 738 47 | 738.79 | 740.15 | 743.36 | 740.193 | 6.8 | 9.2 | 7.8 | 5.0 | 7.20 | 96.1 | poc. desz. | poc desz. | poc. desz. | napół pog | PdZ2. | PdZ2. | Z2. | Z1. | 13.9 | | 4 | 1 |
| 7 | | 735.31 | 732.58 | 730.61 | 741.71 | 735.053 | 5.9 | 10.7 | 8.9 | 6.3 | 7 95 | 95.4 | poc. desz. | poc. desz. | pochm. | pochm. | PdW1. | PdZ2. | Z3. | Z2. | 15,3 | | 4 | 2 |
| 8 | Rew. | 744.77 | 744.74 | 740.72 | 736 59 | 741.705 | 5.0 | 5 8 | 5.2 | 3.8 | 4.95 | 93.8 | pochm. | pochm. | pochm. | poc. desz. | Z1. | Z1. | Pd1. | Pd1. | 6.5 | | 3 | 4 |
| 9 | | 740.83 | 744.24 | 749.36 | 756.02 | 747.613 | − 0 5 | − 1.3 | − 5.4 | − 7.9 | − 3.78 | 95.5 | poc. śnieg | pochm. | pochm. | pogodny | PnW2. | Pn1. | Pn1. | Pn2. | | 0.5 | 3 | 8 |
| 10 | | 763.12 | 764.68 | 765.87 | 765.25 | 764.730 | 7.0 | 3.0 | 3.5 | 5.4 | 5.23 | 92.1 | pogodny | pogodny | pogodny | napół pog | Z2. | Z1. | Z1. | Pd1. | | | 3 | 10 |
| 11 | | 757.28 | 755.96 | 751.13 | 746.06 | 752 608 | 4 6 | 3.3 | 0.4 | + 0.4 | 1.98 | 81.6 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Pd2. | Pd1. | Pd2. | Pd3. | | | 3 | 10 |
| 12 | | 740.29 | 739.52 | 742.78 | 750.45 | 743.260 | + 1.2 | + 1.8 | + 1.2 | 0.0 | + 1.05 | 80.6 | pochm. | pochm. | poc. desz | pogodny | Pd2. | PdZ3. | Z2, | Z2. | 3.1 | | 4 | [illegible] |
| 13 | | 756.67 | 758.03 | 756.99 | 755.81 | 756.875 | − 3.4 | 2.5 | − 1.9 | − 5 2 | − 3.23 | 85.1 | pogodny | pogodny | pog. z ch. | pogodny | Z1. | Z1. | Pd1. | PdW1 | | | 5 | 5 |
| 14 | ●. | 754.58 | 755.25 | 756.27 | 757.02 | 755.780 | 3.5 | 3.3 | 1.5 | 4.4 | 3.18 | — | pochm. | pogodny | pogodny | pogodny | PdW1 | PdW1. | PdW1. | PdW1. | | | 6 | 2 |
| 15 | | 755.97 | 756.86 | 754.81 | 753.77 | 755 353 | 5.0 | 3.6 | 1.3 | 3.7 | 3.40 | — | napół pog. | pogodny | pogodny | pogodny | Pd1. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | | | 5 | 9 |
| 16 | | 751.68 | 751.04 | 749.49 | 749.11 | 750.330 | 1.7 | 0.4 | + 0.8 | + 1.7 | + 0 10 | 92.4 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdW1. | PdW1. | Pd1. | Pd1. | 0.3 | | 5 | 1 |
| 17 | | 749 73 | 750 83 | 751.96 | 753.48 | 751.500 | + 1.3 | + 2.3 | 2 3 | 2.5 | 2.20 | 92.3 | pochm. | pochm | pochm | poc. mgła | Pd1. | Pd1. | Pd1. | Z1. | 0.5 | | 4 | 2 |
| 18 | | 754.42 | 754.91 | 754.20 | 753.71 | 754.310 | 0.6 | 0.7 | 0.9 | 0.2 | 0.60 | 96 1 | poc. mgła | poc. mgła | poc mgła | pochm. | Z1. | Z1. | Z1. | PdW1. | 1.9 | | 3 | 6 |
| 19 | | 750.22 | 749.83 | 748.28 | 748.25 | 749.145 | 0.2 | 1.2 | 2.4 | 0.3 | 1.03 | 93,7 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | Pd1. | | | 3 | 4 |
| 20 | Apog. | 747.88 | 748.39 | 747 30 | 746.59 | 747.540 | − 2.1 | − 0.9 | 0.2 | − 0.4 | − 0 80 | 94.7 | napół pog. | pochm. | pochm. | pochm. | Pd1. | Pd1. | PdW1. | PdW1. | | | 3 | 3 |
| 21 | | 744.95 | 745.24 | 745.14 | 749.98 | 745.328 | 0.6 | + 0.4 | 0.4 | 0.0 | + 0.05 | 93.1 | pochm. | poc. śnieg | poc. śnieg | pochm. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | W1. | 0.6 | 3.3 | 3 | 1 |
| 22 | ☽. | 745.29 | 743.70 | 739 38 | 737.79 | 741.540 | − 0.2 | − 0.1 | 0.3 | + 1.5 | 0.25 | 97.0 | pochm. | napół pog. | poc. śnieg | napół pog. | Pd1. | PdW1. | PdW2. | Pd1 | 1.5 | 0.4 | 3 | 3 |
| 23 | | 738.01 | 738.25 | 737.21 | 735.88 | 737.338 | + 2.1 | + 2.9 | 1.7 | 1.7 | 2.10 | 96.1 | pochm. | pochm. | pochm. | poc. desz. | Pd1. | Pd . | PdW1. | PdW1 | 2.1 | | 3 | 1 |
| 24 | | 731.60 | 731.86 | 733.30 | 732.76 | 732 350 | 1.6 | 1.4 | 1.7 | 1.3 | 1.50 | 98.5 | poc. d. mg. | poch. mgła | pochm. | pochm. | Pn1. | Z1. | Z1. | Pd1. | 9.5 | | 3 | 2 |
| 25 | | 730.28 | 731.83 | 734.59 | 736.15 | 733.213 | 5.9 | 5.7 | 5.2 | 4.8 | 5.40 | 91.0 | pochm | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ3. | PdZ2. | PdZ1. | PdZ1. | 5.2 | | 3 | 6 |
| 26 | | 740.59 | 741.92 | 743.33 | 744.52 | 742.590 | 4.0 | 4.6 | 4.8 | 3.8 | 4.30 | 94.2 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ1. | PdZ1. | PdZ1. | PdZ2. | 1.2 | | 3 | 11 |
| 27 | | 743.91 | 743.46 | 741.13 | 731.65 | 740.038 | 3.1 | 3.1 | 4.0 | 3.8 | 3 50 | 92.1 | pochm. | napół pog. | pochm. | poc. desz. | PdZ2. | Pd2. | Pd2. | Pd3. | 3.8 | | 4 | 2 |
| 28 | | 731.46 | 731 74 | 734.29 | 737.22 | 733.928 | 6.2 | 6.5 | 3.9 | 3.9 | 5.13 | 89.6 | pochm. | pogodny | pochm. | pochm, | PdZ2. | PdZ3 | PdZ2. | PdZ3. | 6.0 | | 4 | 7 |
| 29 | ○. | 734.45 | 734.57 | 742.36 | 745.17 | 739.138 | 5.9 | 6.3 | 4.6 | 1.0 | 4.45 | 86,3 | pochm. | pochm. | pochm. | pogodny | PdZ2. | PdZ1. | Z2. | PdZ1. | 0.5 | | 6 | 5 |
| 30 | | 740.10 | 740.55 | 743.38 | 746.40 | 742.608 | 4.2 | 6.5 | 8.3 | 5.4 | 6.10 | 93.2 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ2. | PdZ1. | PdZ1. | PdZ1. | 2.1 | | 7 | 2 |
| 31 | Perig. | 749.14 | 750.28 | 749.93 | 751.28 | 750.158 | 2,9 | 3.9 | 4:6 | 3.4 | 3.70 | 92.0 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ1 | Pd1. | PdZ1. | PnZ1. | | | 6 | 7 |
| Śr. | | 746.423 | 746.712 | 746.661 | 747.138 | 746.734 | +0°.39 | +1°.38 | +1°.67 | +0°.64 | + 1.02 | 92.3 | | | | | | | | | 76.4 | 4.4 | 4 | 2.5 |

| | m. | c. | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 746.731 | 27 | 7.024 |
| Najwyżéj barometr dochodził d. 10 o g. 4 wiecz. | 765.87 | 28 | 3.507 |
| Najniżéj — — d. 24 o g. 10 rano | 730.28 | 26 | 11.730 |
| Średnia dzienna zmiana barometru | 5.636 | | 2.499 |
| Największa dzienna zmiana barometru d. 9—10 o godz. 6 rano | 22.29 | | 9.882 |
| Średnia wysokość barometru jest mniejsza o | 4.929 | | 2.185 |
| od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających | 751.663 | 27 | 9.209 |
| Średnia temperatura grudnia wynosi | + 1°.02 C. | | + 0°.82 R. |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.36 „ | | 1.89 „ |
| Największa zmiana dzienna temperatury d. 8—5 o godz. 10 wiecz. | 11.7 „ | | 9.4 „ |
| Średnia temperatura grudnia jest wyższą o | 3.61 „ | | 2.89 „ |
| od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających | — 2.59 „ | | — 2.07 „ |

Termometrograf wskazał: Maximum: +11°.4 C. = + 9° 3 R. d. 7 po poł.
Minimum: — 8.6 „ = — 6.9 „ d. 1 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 92.3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 5.3 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 2.5 setnych od normalnéj (94.8).

Ilość wody spadłéj z deszczu co do wysokości wynosi 76.4 mil. czyli 33.87 lin. par. ze śniegu 4.4 mil. czyli 1 95 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 80.8 mil. czyli 35.82 lin. par., więcéj o 42.3 mil. czyli 18.75 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w grudniu spada (38.5 mil. czyli 17.07 lin. par.).

Dni pogodnych 4, napółpogodnych 0, pochmurnych 27.
— deszczu 19: (d. 4, 5, 6, 7, 8, 12, 15, 16, 17 od 21 do 29).
— śniégu d. 4: (d. 2 9, 21 i 22).
— mgły 5: (d. 1, 2, 17, 18 i 24).
— błyskawic i grzmotów 1: (d. 7).
— wichrów 1: (d. 29).
Wiatr panujący południowy.

Grudzień b. r. był niepogodny, dżdżysty, nader ciepły, w ogóle obfity w niezwykłe w téj porze zjawiska atmosferyczne. Średnia jego temperatura jest 0,8 stop. R, o 2,9 stop R. wyższa jak w stanie normalnym ( — 2,1 stop R.), a o 4,2 stop. R. jak w r. z. Miesiąc ten w ogóle ciepły, odznaczał się nadto niezwykle zmienną temperaturą, takowa bowiem ośm razy przechodziła przez zero. Do najcieplejszych należą d. 6, 7 i ostatnie sześć dni miesiąca, do najchłodniejszych d. 1, 9 i 10. Największa zmiana dzienna temperatury 9,4 stop. R. przypadła z d. 8 na 9 gdy księżyc przechodził przez równik niebieski. Stan barometru w pierwszej połowie miesiąca dość wysoki, w drugiéj bardzo nizki, a przytem podobnie jak temperatura niezwykle zmienny, średnia jego wysokość jest 27 cali 7,02 lin. par. o 2,19 lin. par, mniejsza jak normalna (27 cali 9.21 lin. par.). Najwyżéj dochodził barometr 28 cali 3,51 lin. par. d. 10 a stan ten jest zarazem najwyższym w całym roku 1868; najniższy stan barometru jest 26 cali 11,73 lin. par. d. 25, o nie wiele większy (o 1,24 lin. par) od najniższego w tym roku. Deszcze padały bardzo często i obficie, za to śniegi z przyczyny panującego ciepła rzadko miały miejsce. Dni deszczu było 19, a śniegu 4 t. j. pierwszych o 15 więcéj a drugich o 5 mniéj jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniéj pogodny jak zwykle, stosunek bowiem dni pogodnych do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 3,3 : 5,3 : 22.4, gdy tymczasem w b. m. tenże stosunek jest jak: 4 : 0 : 27. Wiatr panujący był południowy, często także wiał południowo-zachodni i południowo-wschodni.

D. 7 około godz. 1éj z południa powstała w Warszawie burza, niezwykła w téj porze roku, połączona z grzmotem, błyskawicami i ulewnym deszczem.

D. 13 i 28 uważano kilka układów plam na słońcu.

D. 29 i 31 koło białe otaczało księżyc, a d. 30 zauważano tęczę księżycową.

D. 29 pomiędzy godz. 11stą rano a 2gą po południu srożył się w Warszawie niezmiernie gwałtowny wicher, który liczne zrządził szkody.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość wody na rzece Wiśle........... | stóp 4 | cali 2.5 | n. m. polsk. |
| Wysokość wody największa dochodziła d. 30. ...... | stóp 7 | „ 2 | „ „ |
| „ „ najmniejsza „ d. 21 i 23.... | stóp 3 | „ 1 | „ „ |

D. 7 grudnia o godz. 2½ po południu lody na Wiśle pod Warszawą stojące spłynęły i rzeka oczyściła się z nich zupełnie.

# Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém w roku 1868 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza; jego szerokość geograficzna 52° 13′ 6″, długość w czasie 1g. 14m. 46s.5, czyli w łuku 18° 41′37.″5 na wschód względem południka paryzkiego.

| ROK 1868 MIESIĄCE | WYSOKOŚĆ BAROMETRU w milimetrach sprowadzona do temperatury lodu topniejącego czyli do 0. Średnia 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 go. wieczór | 10 go. wieczór | miesięczna | Najwyższa | Najniższa |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Styczeń .... | 751,889 | 752,223 | 752,044 | 752,535 | 752,173 | 759,97 d. 10 | 727,49 d. 20 |
| Luty....... | 746,641 | 747,028 | 747,163 | 747,436 | 747,067 | 759,39 d. 17 | 733,21 d. 1 |
| Marzec..... | 748,162 | 748,419 | 747,656 | 748,299 | 748,134 | 764,88 d. 14 | 731,24 d. 6 |
| Kwiecień ... | 747,238 | 747,581 | 746,868 | 747,056 | 747,186 | 761,59 d. 3 | 733,89 d. 9 |
| Maj........ | 753,510 | 753,662 | 752,859 | 753,250 | 753,320 | 760,30 d. 14 | 743,63 d. 1 |
| Czerwiec ... | 753,046 | 753,143 | 752,149 | 752,533 | 752,718 | 759,11 d. 20 | 746,87 d. 8 |
| Lipiec ..... | 750,379 | 750,567 | 749,676 | 750,163 | 750,196 | 757,04 d. 26 | 742,49 d. 5 |
| Sierpień .... | 751,026 | 751,149 | 750,365 | 750,921 | 750,865 | 756,91 d. 16 | 742,85 d. 23 |
| Wrzesień ... | 750,069 | 750,444 | 749,720 | 749,982 | 750,054 | 760,16 d. 7 | 743,04 d. 23 |
| Październik. | 750,937 | 751,414 | 750,811 | 751,201 | 751,091 | 761,21 d. 6 | 732,43 d. 25 |
| Listopad ... | 749,738 | 750,163 | 749,910 | 750,015 | 749,956 | 763,52 d. 21 | 735.51 d. 4 |
| Grudzień ... | 746,423 | 746,712 | 746,661 | 747,138 | 746,734 | 765,87 d. 10 | 730,28 d. 25 |
| Średnia roczna. ...... | 749,922 | 750,208 | 749,657 | 750,044 | 749,958 | 765,87 d. 10 Grudnia | 727,49 d. 20 Stycznia |

| MIESIĄCE | TEMPERATURA podług termometru stustopniowego. Średnia 6 godzina rano | 10 godzina rano | 4 god. wieczór | 10 god. wieczór | miesięczna | Najwyższa | Najniższa |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Styczeń | — 5°,48 | — 4°,52 | — 3°,90 | — 4,89 | — 4°,70 | + 7°,6 d. 19 | —22°,0 d. 1 |
| Luty | — 0,92 | + 0,22 | + 1,32 | - 0,10 | + ,13 | + 8,0 d. 27 | —10°,7 d. 15 |
| Marzec | — 0,46 | + 2,25 | + 4,51 | + 1,34 | + 1°,91 | + 12,6 d. 22 | — 6,4 d. 5 |
| Kwiecień | + 5,41 | + 8,99 | + 10,80 | + 6,55 | + 7,94 | + 23,5 d. 23 | — 3,1 d. 3 |
| Maj | + 11,92 | + 17,05 | + 20,02 | + 13,54 | + 15,63 | + 28,6 d. 31 | + 1,0 d. 7 |
| Czerwiec | + 15,57 | + 20,38 | + 22,93 | + 16,85 | + 18,93 | + 33,5 d. 24 | + 8,1 d. 28 |
| Lipiec | + 17,18 | + 21,88 | + 24,72 | + 18,72 | + 20.63 | + 31,7 d. 19 | + 12,3 d. 1 |
| Sierpień | + 15,92 | + 21,84 | + 24,08 | + 17,98 | + 19,96 | + 32,1 d. 11 | + 8,1 d. 31 |
| Wrzesień | + 11,17 | + 16,16 | + 19,58 | + 13,73 | + 15,16 | + 25,3 d. 9 | + 6,6 d. 4 |
| Październik | + 6.49 | + 9,32 | + 11.11 | + 7,84 | + 8,59 | + 24,4 d. 2 | + 1,1 d. 7 |
| Listopad | — 0,57 | + 0,89 | + 1,48 | + 0,23 | + 0,51 | + 15,1 d. 8 | — 10,2 d. 22 |
| Grudzień | + 0,39 | + 1,38 | + 1,67 | + 0,64 | + 1,02 | + 11,4 d. 7 | — 8,6 d. 1 |
| Średnia roczna | + 6,34 | + 9,65 | +11,53 | + 7,70 | + 8,82 | + 33,5 d. 24 Czerwca | — 22,0 d. 1 Stycznia |

| MIESIĄCE | PSYCHROMETR Wilgotność średnia miesięczna biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza. Średnia 6 g. r. | 10 g. r. | 4 g. w. | 10 g. w. | miesięcz. | STAN NIEBA Dni pogodnych | Dni napół pogodnych | Pochmurnych | Deszczu | Śniegu | Gradu | Mgły | Błyskawic i grzmotów | Błyskawic bez grzmotów | Wichrów |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Styczeń | 95,8 | 93,7 | 93,4 | 95,2 | 94,5 | 0 | 1 | 30 | 7 | 15 | 0 | 4 | 0 | 0 | 0 |
| Luty | 93,9 | 89,0 | 87,6 | 93,3 | 91,0 | 0 | 3 | 26 | 10 | 15 | 3 | 0 | 0 | 0 | 5 |
| Marzec | 91,7 | 83,0 | 77,7 | 87,8 | 83,7 | 3 | 8 | 20 | 7 | 8 | 1 | 2 | 0 | 0 | 0 |
| Kwiecień | 86,7 | 74,5 | 69,5 | 87,4 | 79,6 | 1 | 5 | 24 | 22 | 1 | 3 | 2 | 1 | 1 | 5 |
| Maj | 75,5 | 55,8 | 51,2 | 71,3 | 68,5 | 11 | 14 | 6 | 7 | — | 1 | 0 | 3 | 3 | 1 |
| Czerwiec | 74,5 | 55,9 | 54,1 | 71,7 | 64,1 | 8 | 13 | 9 | 9 | — | 0 | 0 | 2 | 2 | 0 |
| Lipiec | 80.0 | 59,3 | 56,6 | 77,7 | 68,4 | 10 | 6 | 15 | 14 | — | 1 | 1 | 4 | 6 | 4 |
| Sierpień | 83,9 | 64,8 | 61,3 | 80,1 | 72,5 | 9 | 11 | 11 | 13 | — | 0 | 2 | 1 | 1 | 0 |
| Wrzesień | 91,6 | 77,1 | 70,7 | 86,6 | 81,5 | 9 | 8 | 13 | 7 | — | 0 | 2 | 0 | 3 | 0 |
| Październik | 91,2 | 81,7 | 78,7 | 88,1 | 84,7 | 5 | 5 | 21 | 14 | — | 0 | 3 | 0 | 0 | 3 |
| Listopad | 92,7 | 87,9 | 89,7 | 90,8 | 90,3 | 4 | 7 | 19 | 10 | 10 | 0 | 1 | 0 | 0 | 1 |
| Grudzień | 94,8 | 89,7 | 92,7 | 93,9 | 92,3 | 4 | 0 | 27 | 19 | 4 | 0 | 3 | 1 | 0 | 1 |
| Średnia roczna | 87,7 | 76,0 | 73,6 | 85,3 | 80,5 | 64 | 81 | 221 | 139 | 53 | 9 | 20 | 12 | 16 | 20 |

| MIESIĄCE | Ilość wody spadłéj w milimetrach z deszczu | z śniegu | KIERUNEK WIATRU Północny | Północno-Wschodni | Wschodni | Wschodnio-Południowy | Południowy | Południowo-Zachodni | Zachodni | Północno-Zachodni | Elektryczność atmosferyczna średnie natężenie miesięczne | WYSOKOŚĆ WODY na Wiśle pod Warszawą Średnia miesięczna stop. | cali | Najwyższa stop. | cali | Dnia | Najniższa stop. | cali | Dnia |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Styczeń | 14,5 | 34,9 | 12 | 15 | 14 | 15 | 14 | 18 | 31 | 5 | — | 7 | 10,8 | 10 | 4 | 27 | 6 | 4 | 11—13 |
| Luty | 32,1 | 33,9 | 2 | 1 | 1 | 19 | 13 | 19 | 47 | 14 | — | 7 | 6,3 | 9 | 1 | 9 | 6 | 0 | 24 |
| Marzec | 6,5 | 14,1 | 20 | 9 | 10 | 35 | 14 | 15 | 12 | 9 | — | 9 | 1,4 | 16 | 11 | 3 | 5 | 10 | 25 i 26 |
| Kwiecień | 78,1 | 0,3 | 14 | 9 | 4 | 18 | 12 | 21 | 32 | 10 | — | 8 | 7,0 | 11 | 1 | 16 | 6 | 1 | 1 |
| Maj | 37,9 | — | 12 | 14 | 15 | 22 | 12 | 6 | 24 | 19 | — | 5 | 3,6 | 8 | 6 | 1 | 3 | 6 | 31 |
| Czerwiec | 19,2 | — | 27 | 5 | 7 | 11 | 9 | 8 | 39 | 14 | — | 3 | 3,7 | 4 | — | 15 i 18 | 2 | 1 | 27—30 |
| Lipiec | 63,7 | — | 40 | 11 | 10 | 11 | 8 | 4 | 7 | 33 | — | 3 | 4,7 | 6 | 3 | 12 | 1 | 11 | 1 i 2 |
| Sierpień | 126,3 | — | 12 | 5 | 24 | 37 | 11 | 9 | 15 | 11 | — | 1 | 11,3 | 2 | 11 | 12 | 1 | 5 | 25—28 |
| Wrzesień | 45,4 | — | 7 | 6 | 15 | 17 | 22 | 17 | 30 | 6 | — | 1 | 5,4 | 1 | 9 | 22 i 23 | 1 | 3 | 17 i 18 |
| Październik | 75,2 | — | 8 | 12 | 7 | 34 | 12 | 21 | 21 | 9 | — | 1 | 4,9 | 1 | 10 | 30 i 31 | 1 | 2 | 13 i 16 |
| Listopad | 53,7 | 16,2 | 9 | 17 | 11 | 19 | 7 | 18 | 30 | 9 | — | 2 | 5,6 | 3 | 5 | 25 | 1 | 6 | 24 |
| Grudzień | 76,4 | 4,4 | 3 | 1 | 5 | 30 | 34 | 30 | 20 | 1 | — | 4 | 2,5 | 7 | 2 | 30 | 3 | 1 | 21 i 23 |
| Średnia roczna | 629,0 | 103,8 | 166 | 105 | 123 | 268 | 168 | 186 | 308 | 140 | — | 4 | 8,6 | 16 | 11 | 3 Marca | 1 | 2 | 13,16 Paź. |

| | milimetr. | c. | l. p. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru roczna........... | 749,958 | =27 | 8,454 |
| Najwyżéj barometr dochodził d. 10 Grudnia.... | 765, 87 | =28 | 3,507 |
| Najniżéj „ „ d. 20 Stycznia... | 727, 49 | =26 | 10,493 |
| Największa zmiana roczna barometru ......... | 38, 38 | = 1 | 5,014 |
| Średnia zmiana miesięczna barometru ......... | 2,114 | = | 0,937 |
| Średnia zmiana dzienna barometru ............ | 3,594 | = | 1,594 |
| Największa zmiana dzienna barometru z dnia 9 na 10 Grudnia. ............ | 22,29 | = | 9.882 |
| Średnia wysokość roczna baromet. jest mniejsza o | 0,005 | = | 0,002 |
| od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających | 749,963 | =27 | 8,456 |

Średnia temperatura roczna jest ...... + 8°,82 C. = + 7°,06 R.
Największe ciepło było d. 24 Czerwca .. + 33,5 „ = + 26,8 „
Największe zimno d. 1 Stycznia ........ — 22,0 „ = — 17,6 „
Największa zmiana roczna temperatury. 55,5 „ = 44,4 „
Średnia zmiana miesięczna temperatury. 4,18 „ = 3,34 „
Średnia zmiana dzienna temperatury .... 2,40 „ = 1,92 „
Największa zmiana dzienna temperatury z dnia 23 na 24 Stycznia.......... 13,8 „ = 11,0 „
Średnia temperatura roczna jest wyższa o 1,47 „ = 1,18 „
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających.................. + 7,35 „ = + 5,88 „

Oprócz Listopada wszystkie miesiące w tym roku są cieplejsze, jak w normalnym stanie.

Uważając miesiące: Grudzień (1867 roku), Styczeń i Luty za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień i Maj za wiosenne; Czerwiec, Lipiec i Sierpień za letnie, a Wrzesień, Październik i Listopad za jesienne, wypada:

temperatura zimy —2°,96 C. = — 2°,37 R. wyższa o 0°,51 C.=0°,41 R.
„ wiosny + 8,49 „ = + 6,79 „ wyższa o 1,46 „ =1,17 „
„ lata .. +19,84 „ = +15,87 „ wyższa o 1,70 „ =1,36 „
„ jesieni + 8,12 „ = + 6,50 „ wyższa o 0,43 „ =0,34 „

Średnia wilgotność powietrza jest 80,5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru: 7,34 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 0,8 mniejsza od normalnéj (81,3).

Ilość wody spadłéj wynosi co do wysokości:

z deszczu 629,0 milimetrów, czyli 23 cale 2,83 lin. par.
ze śniegu 103,8 „ „ 3 „ 10,02 „

razem z deszczu i śniegu 732,8 milimetrów, czyli 27 cali 0,85 lin. par. to jest o 135,1 milimetr. czyli 4 cale 11,89 lin. par. więcéj, od ilości wody, jaka średnio u nas w ciągu w roku spada (597,7 milimetrów, =22 cale 0,96 lin. par.). Najwięcej wody spadło w Sierpniu, najmniej w Marcu. Ilość wody spadłéj z deszczu jest sześć razy większą jak ze śniegu.

W całym roku było: dni pogodnych 64, napół pogodnych 81, pochmurnych 221, deszczu 139, śniegu 53, gradu 9, mgły 20, błyskawic i grzmotów 12, błyskawic bez grzmotów 16, wichrów 20. Wiatr panujący zachodni.

Uważając rok jako całość podzieloną na 100 równych części, i w tych częściach wyraziwszy liczbę dni pogodnych, napół pogodnych i pochmurnych; wypada w średnim stanie z 42 lat poprzednich (1826—1867) stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jak: 16,9 : 32,7 : 50,4; a w roku bieżącym tenże stosunek jest jak: 17,5 : 22,1 : 60,4; co pokazuje, że rok bieżący był nieco mniéj pogodny, jak w stanie normalnym.

**Zima.** — Zupełnie niepogodna, dość wilgotna, dżdżysta, śnieżna, w pierwszéj połowie mroźna, w drugiéj łagodna, a w ogóle cieplejsza jak zwykle. Średnia jéj temperatura wynosi — 2,4 st. R. o 0,4 st. R. wyższa od normalnéj (—2,8 st. R.). Największe ciepło dochodziło 6,4 st. R. d. 27 Lutego, największe zimno 17,6 st. R. d. 1 Stycznia. Najzimniejsze były dni w końcu Grudnia i na początku Stycznia; zaś w drugiéj połowie miesiąca Stycznia i w Lutym, powietrze było niezwykle zmienne, lecz łagodne. Deszcze, a szczególniéj śniegi przez całą zimę padały często i obficie. Wody z deszczu i śniegu spadło co do wysokości 82,05 l. p. o 35,86 l. p., czyli prawie dwa razy więcéj jak normalnie (46,19 l. p.). W końcu zimy panowały wichry zachodnie. Wiatr panujący był zachodni.

**Wiosna.** — Z początku dość pogodna i sucha, później niepogodna, dżdżysta, wilgotna i wietrzna; w końcu zupełnie pogodna i sucha, a w ogólności znacznie cieplejsza jak zwykle; średnia jéj temperatura jest + 6,8 st. R. o 1,2 st. R. wyższa od normalnéj (5,6 st. R.). Największe ciepło było 22,9 st. R. d. 31 Maja, największe zimno 5,1 st. R. d. 5 Marca. Deszcze, w środku wiosny, t. j. w Kwietniu padały często i obficie, za to na początku i w końcu téj pory rzadko miały miejsce. Śnieg padał kilkakrotnie w Marcu i raz jeden w Kwietniu. Wody z deszczu i śniegu spadło co do wysokości 60,68 l. par. o 1,19 l. p. więcéj jak normalnie (59,49 l. p.). W środku wiosny panowały wichry zachodnie. Wiatr panujący z początku południowo-wschodni, później zachodni i południowo-zachodni.

**Lato.** — Całe pogodne, suche i bardzo ciepłe. Średnia jego temperatura jest + 15.9 st. R. o 1,4 st. R. wyższa od normalnéj (+14,5 st. R.). Niezwykłe upały jakiemi ta pora roku się odznaczała, panowały także w całéj Europie, w skutek czego w wielu okolicach zdarzały się częste burze, gwałtowne ulewy, wichry i grady. Pomimo to, w nocy z d. 18 na 19 w wielu okolicach Królestwa i Pruss tak znacznie się ochłodziło, że nać niektórych roślin pomarzła. Największe ciepło było 26,8 st. R. d. 24 Czerwca, najmniejsze 6,5 st. R. d. 28 Czerwca i 31 Sierpnia. Z początku lata deszcze padały rzadko i nieobficie; za to częste były deszcze w pierwszéj połowie Lipca, na początku i w końcu Sierpnia. Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości 92,74 l. p. o 5,93 l. p. mniéj jak normalnie (98,67 l. p.), z tego trzecia część przypada na d. 4 Sierpnia. W końcu lata, a mianowicie od d. 17 do 22 Sierpnia panowała mgła sucha (śreżoga), którą spowodowały liczne pożary lasów w Rossji. Wiatr panujący w pierwszéj połowie lata zachodni i północny, w drugiéj południowo-zachodni i wschodni.

**Jesień.** — W ogóle pogodna, sucha i ciepła. Średnia jéj temperatura jest + 6,5 st. R., o 0,3 wyższa od normalnéj (+ 6.2 st. R.). Z początku jesień była pogodna, wilgotna i ciepła, później napół pogodna, sucha i także ciepła, lecz co do temperatury dość zmienna; w końcu znowu pogodna, sucha ale znacznie chłodniejsza jak zwykle. Największe ciepło było 20,2 st. R. d. 9 Września, największe zimno —8,3 st. R. d. 22 Listopada. Deszcze z początku téj pory roku padały dość rzadko, później jednak były częste i obfite. Śniegi obficie padały w środku Listopada. Wody z deszczu i śniegu spadło co do wysokości 84,46 l. p., o 25,63 l. p. więcéj jak normalnie (58,83 l. p.). Wiatr panujący z początku zachodni i południowy, w środku południowo-wschodni,—w końcu zaś południowo-zachodni i południowo-wschodni.

Rok zatém 1868 był w ogólności bardzo ciepły, dość pogodny i pomimo obfitych deszczów nie zbyt wilgotny. Wszystkie pory roku, a szczególniéj wiosna i lato były cieplejsze jak zwykle. W przeciągu 42 lat poprzednich, tylko lata 1834 i 1863 miały tak wysoką średnią temperaturę.

Ostatni mróz z wiosny przypadł dnia 3 Kwietnia, a pierwszy w jesieni dnia 12 Listopada.

Ostatni śnieg z wiosny padał dnia 8 Kwietnia, a pierwszy w jesieni dnia 12 Listopada

W dniach: 29 Lutego, 1, 4, 5 Kwietnia, 1 Czerwca, 24 Października, 29 i 31 Grudnia koło białe otaczało księżyc.

W d. 30 Grudnia zauważano tęczę księżycową.

W d. 20 i 21 Lutego i 2 Marca koło białe otaczało słońce.

W d. 22 i 23 Czerwca, 11, 12, 27 i 31 Września, 15 i 18 Października, 13 i 28 Grudnia, oraz w Maju obserwowano plamy na słońcu; zaś d. 11, 14 i 21 Czerwca żadnych plam dostrzedz nie było można.

Dnia 30 Stycznia o g. 7-éj wiecz. świetna kula ognista (aerolit) przebiegła po nad poziomem warszawskim w kierunku od południo-zachodu ku północo-wschodowi i pękła w okolicach Pułtuska nad Narwią, blizko wsi Sielc, rozsypawszy kamienie na znacznéj przestrzeni.

Dnia 7 Grudnia o g. 1-éj w połud. powstała w Warszawie burza niezwykła w téj porze roku, połączona z błyskawicami, grzmotem i ulewnym deszczem. Burza ta nawiedziła znaczną część Europy, począwszy od morza Północnego aż do południowéj Austrji.

Dnia 29 Grudnia między godz. 11 r. i 2 pop. srożył się w Warszawie niezwykle gwałtowny wicher, który liczne zrządził szkody w zabudowaniach i drzewach. W tymże dniu silna burza z błyskawicami i grzmotami nawiedziła wiele okolic Królestwa i Galicyi.

Dnia 9 Lutego o godz. 10¹, lody pod Warszawą ruszyły, a d. 2 Marca płynęły całą szerokością rzeki.

Dnia 24 Listopada o godz. 4 pop. lody na całéj szerokości Wisły pod Warszawą stanęły, zaś d. 7 Grudnia o g. 2½ pop. połamały się i poruszyły, a rzeka oczyściła się z lodów.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle jest st. 4 cali 8,6 n. m. p.
Najwyższa „ „ d. 3 Marca „ 16 „ 11 „
Najmniejsza „ „ d. 13 i 16 Październ. „ 1 „ 2 „

# ODKRYCIA I PODRÓŻE GEOGRAFICZNE.

## W ROKU 1868.

PRZEZ A. P.

---

### I.

Ogólne uwagi nad podróżami geograficznemi. — Wyprawa niemiecka podbiegunowa. — Dr. Petermann i Koldowey.

O potrzebie, o korzyściach nauki geograficznéj oddawna już szeroko i głęboko prawiono. Nie jest myślą naszą powtarzać, co o tém starożytni sądzili pisarze lub co nowsze trzymały czasy. Ale przytaczamy z długiego pasma licznych w tym względzie zapatrywań krótki ustęp z mowy, jaką do swoich uczniów zagaił wykład o ziemioznawstwie jeden z głośniejszych w Paryżu nauczycieli na początku XVII (1622 r.) wieku. W ciepłych słowach przemawia Piotr Berciusz zalecając gorliwe zajmowanie się geograficzną nauką. Dla pięknéj łaciny wypisaliśmy sobie tę mowę, przechowywaną w Paryzkiéj bibliotece. Kładziemy z niéj zakończenie w przekładzie brzmiące następnym sposobem.

„Wielki jest, wielki, mówił wtedy Piotr Berciusz, z nauk geograficznych pożytek: cóż bowiem zaszczytniejszego, jak poznawać Boga we własnych Jego tworach. Cóż nadto przyjemniejszego jak rozglądać się w dziedzinach świata, wspólnéj Boga i ludzi siedziby, tego świata, co od ładu i składu w nim panującego, Kosmos po grecku nazwany a po łacinie *mundus* imię nosi, iż w nim wszędzie wdzięk jest roz-

lany. Cóż dla ducha okazalszego, jak módz myślą mierzyć bezbrzeżną przestrzeń wszechrzeczy? Bo jeśli wstyd jest, nieznać domu w którym mieszkasz i dróg które doń prowadzą, o ileż naganniéj nie mieć wiadomości o główniejszych częściach ziemi, na któréj przebywasz, i o krainie, gdzieś się urodził, w któréj wiecznie pozostaniesz. Błąkasz się niby obcy lub cudzoziemiec na miejscu, zkąd się nawet umierając wydostać nie jesteś w stanie? Niewiedzieć, co było przed tobą, jestto na zawsze dzieckiem pozostać, nieznać tego co jednocześnie gdzieindziéj się dzieje, jestto więcéj niż dziecinna niewiadomość: jestto bez ogródki mówiąc ograniczoność."

Dziś kiedy geografia przestała być zbiorem suchych nazw miejscowości, i kiedy rozszerzyła pole swoich poszukiwań; kiedy jako ścisła nauka równo uprawniona obok innych w swéj poważnéj godności stanęła, możeby jaśniéj a mniéj ostremi słowy od Berciusza dało się mówić o potrzebie umiejętnie przedstawianéj geografii. Jak dzieje powszechne powoli wychodzą z ciasnego obrębu oschłéj politycznéj opowieści na rozleglejsze widoki wszechstronnego rozwoju, tak już znacznie wcześniéj siostrzyca dziejów, geografia na wynioślejsze wzniosła się stanowisko. Na jéj szerokiéj niwie zgodną do pracy, podają sobie rękę nietylko dziejopis i statystyk, ale spotykają się nadto na téj saméj drodze i językoznawca i badacze nauk przyrodzonych. I z wymiarów, obliczeń, które czyni astronom korzysta nauka geograficzna, jak nie mniej z podziemnych poszukiwań, ku którym geolog swój świder zapuszcza.

Ma ziemia swoję przeszłość. Gdzież są ci naoczni świadkowie, co na pierwotne jéj oblicze własnym patrzyli wzrokiem? Żadnych nam po sobie zrozumiałych znaków nie pozostawili. Więc błądzi po ścieżkach domysłów badawcza myśl, dziejową nicią wiąże pokład jeden za drugim i zewnętrzną ziemi pokrywę dziejowo sobie wyświeca. Kto sprawdzić jest w stanie to lub inne napozór przekonywające dowodzenie? Ale ma ziemia i swoję teraźniejszość, swój stan obecny. Ma swój ustroj skończony, powłokę do tyla zastygłą w zewnętrznych kształtach, że te od chwili swego powstania żadnych już prawie nie mają dziejów. Długich lat praca naukowa zgromadziła spory zasób różnorodnych

wiadomości, z których się usnuła nauka geograficzna. W obec jednak tych ogromnych przestrzeni zupełnie niezbadanych, nad któremi zaległa niewiadomości pomroka, czem, jeśli nie drobną cząstką wydać się musi ten jeden z najmniejszych pięciu lądów, jaśniéj nieco wyświecony. Każdy rok nowe na tém polu sprowadza zdobycze. Podróżnika kroki przechodzą w nieznane granice, wdzierają się na niedostrzeżone szczyty. Odsłaniają się nowe dla oka krainy. Tam znowu okręt niesie nieliczną osadę, przerzyna nieznane wody i toruje drogi ku niewidzialnym dotychczas przestworom. Takie zdobycze, co przez odkrycia, wyprawy, podróże, odchylają zasłonę zakrytych części ziemi, większe ku sobie w czytającym ogóle budzą zaufanie, niżeli opowieść zajmująco wysnuta o tysiącach lat tysięcy, jakie w swém łonie pogrzebała ziemia, na którą się wieki składać musiały. Niedowierzanie na każdym budzi się kroku ku przewodnikowi, który pochód podziemny tylko światełkiem swojego nieomylnego wniosku logicznego rozświeca. Dlatego téż obecny przegląd nie zamierza kreślić postępu nauki o wewnętrznéj budowie ziemi, pragnie stawić przed oczy czytelnika, czém się w ostatnim roku zbogaciła geografia pod względem znajomości, przedewszystkiem zewnętrznéj powierzchni kuli ziemskiéj.

Czynność narodów przodujących w oświacie europejskiéj w różny sposób stopniuje się na polu odkryć geograficznych. Bardzo często, jak to od najdawniejszych dziać się zwykło czasów, nauka korzysta pośrednio, choćby jéj nawet bezpośrednio nie miano na względzie. Wzbogaca się i mnoży wiedza geograficzna z powodu wypraw politycznych, handlowych lub w ogóle nie w naukowych celach przedsiębranych. Na nowe dla geografii zdobycze naprowadzają wojenne wycieczki do ościennych lub odleglejszych ludów. Z takich pobudek krzewiły się coraz rozleglej wiadomości o mniéj znanych dziedzinach naszéj ziemi. Takiemi zasługami około nauki uwieńczyły swe imiona handlowne miasta wieków średnich i handlowne kraje nad Atlantyckim położone oceanem w najnowszych czasach. Ale nie przestała i nie przestaje obecnie jeszcze korzystać nauka z wznioślejszych i czystszych widoków, dla których dalekie i nie-

bezpieczne przedsiębrano wyprawy. Zapał religijny zanosił w nieznane dotychczas krainy tych, co głosili prawdy swojego wyznania i z narażeniem życia powołać się starali do uczty cywilizacyjnéj zaniedbanych swych bliźnich. Z promieniem światła wdzierała się i chciwa wiedzy nauka geograficzna. Czyż mógłby się znaleźć środek godniejszy dla nauki, gdzie dwa tak wzniosłe cele zgodne do podboju podają sobie ręce? Zastyga powoli religijna żarliwość, coraz daléj rozpowszechnia się powątpiewanie, ażali ziarno wyższych prawd nadziemskich rzucane przez nowych apostołów jest w stanie pożądane wydać owoce? Rozbrat następuje widoczny. Jeżeli miecz zdobyczy chciwy nie toruje sobie krwawéj drogi do nieznanych krain, jeśli blask pożogi nie rozwidni dziedziny przed okiem ludzkiém do téj pory zakrytéj, nie odsłoni jéj zaiste światło nowego uspołecznienia, rzucane słowem głosicieli nowoczesnéj cywilizacyi. Na téj drodze cichego, wzniosłego podboju, żadną ziemską nie wspieranego przemocą, coraz rzadzéj ukazują się wybitniejsze postacie.

Wyosobniła się jedna pobudka, płynąca z niemniéj jak religijna czystego źródła—dążność naukowa. Są jeszcze liczne zastępy, i na nich zaprawdę nigdy już zbywać nie będzie tych, co niosą wszystko nauce w ofierze: młodość, dostatki, a często i życie, tych co niekłamaną ożywieni myślą dla trwałych zdobyczy naukowych w rozleglejszych i jaśniejszych działają widokach. Przymięsza się tu i owdzie, temu także przeczyć trudno, do najwznioślejszych pobudek jednéj lub drugiéj osobistości, wzgląd podrzędniejszéj niż naukowa dążność natury i do sprężyn ruchu przyłączą się nieraz i samolubne zamiary, ależ i szczero-złoty kruszec na drobnym dodatku pośledniejszéj przymieszki nic nie traci. Chęć przysporzenia jednéj z gałęzi nauk nowéj zdobyczy, dążność do rozszerzenia zakresu naszéj wiedzy, więc cele wyższego rzędu, odrywają ludzi chętnych do naukowych poświęceń od życia rodzinnego, społecznego i przenoszą na długie lata, niestety! często i na zawsze, na bezludne pustynie lub między dzikie koczownicze plemiona. I tylko w imię nauki taka gotowość do wyrzeczenia się własnych zamiarów! Tylko w obec nauki, uprawianéj dla dobra po-

wszechnego, takie zabiegi płynące z czystych i wznioślejszych pobudek.

Są miejsca na ziemi, jak królestwo cieniów przez żyjącą istotę dotychczas jeszcze nie widziane. W pomroce pogrążone nie odsłoniły nigdy przed okiem śmiertelnika swego tajemniczego oblicza. Tylko jako widmo po nich przesuwa się domysł ludzki. Z niedowierzaniem człowiek spaja logicznym wnioskiem przerwane pasmo. Do takich miejsc, znanych nam tylko z domniemywania należy biegun północny i przestrzeń podbiegunowa, ów świat na dalekiéj północy, lodami od nas odgrodzony. Nie zapędzał się nigdy do bezludnego państwa lodów żaden z zapalonych głosicieli słowa Bożego, skoro na najważniejszych tam schodzi warunkach do życia dla każdéj istoty ludzkiéj, chyba tylko aż do krainy lodów dotarł na swéj łódce kupiec zwabiony wielorybów połowem. W politycznych widokach zaznajamiali się z „nieznaną ziemią” żeglarze przyległych krajów. Po kilkoletniéj przerwie na nowo rozbudziła się myśl podróży pod biegun i za biegun. Naukowym widokom wyłącznie swój początek zawdzięcza. Ani zapał religijny, ani ubieganie się za zyskiem nie mogły powodować zamiarem zbadania téj obumarłéj krainy lodów, przez którą nieznane prowadzić mają drogi z jednéj do drugiéj części świata. Naukowym zagrzani celem przedsiębrali przed kilkoma laty podróż Amerykanie, żywo tym samym pomysłem zajmowali się Francuzi, w przeszłym zaś roku 1868 w czyn wprowadzoną została przez Niemców wyprawa podbiegunowa, o któréj długo i szeroko rozprawiali sami Niemcy, jednając dla swego przedsięwzięcia powszechny rozgłos, i po któréj świat zagraniczny naukowy wiele się spodziewał. Pierwsze więc w naszym przeglądzie zająć winna miejsce podbiegunowa wyprawa Niemców, o któréj jako już dopełnionéj, kilka słów powiedziéć jesteśmy w stanie, jak również i o owocach jéj poszukiwań.

Oddawna już zajmował się w Niemczech myślą o podbiegunowéj wyprawie Dr. Petermann, znany wydawca miesięcznego pisma wychodzącego w m. Gotha p. n. „Wiadomości z dziedziny odkryć geograficznych.” W licznych artykułach pomieszczanych w powyższym dzienniku, jużto od-

dzielnie ogłoszonych zaznajomiał Petermann czytelników z postępem na polu odkryć podbiegunowych i sam czynnie brał udział o tyle, że śmiało wytknął drogę, którąby skutecznie udać się powinna wycieczka do bieguna północnego. Twierdzi bowiem, że w dalszym ciągu Grenlandyi przez biegun na drugą stronę ciągnie się ląd stały albo szereg wysp aż do przeciwległéj części świata do Azyi w okolicach cieśniny Berynga. Starania przez Petermann'a podejmowane celem urządzenia poważnéj naukowéj wyprawy okazały się płonnemi. Daremne były zabiegi jakie czyniono u rządów austryackiego i pruskiego, żeby je skłonić do urzeczywistnienia wielkiego pomysłu podanego przez Petermann'a. Środki chętnie ofiarowane ze strony ludzi oddanych z całym zapałem sprawie naukowéj w tak ważném przedsięwzięciu nie wystarczającemi wydać się musiały. Do lepszych więc czasów odłożono wyprawę naukową, która miała w dziedzinie tak licznemi Niemców rękami uprawianéj na nowo ich imię uświetnić. Uciekano się o pomoc do „Stowarzyszenia narodowego" (National-Verein), które aż do wypadków politycznych z 1866 r. tak wysokie w Niemczech zajmowało stanowisko, jeśli nie swoją działalnością, to przynajmniéj swojemi niespełnionémi zamiarami. National-Verein nie dał się przekonać wymownemi słowy w jakich Petermann przemawiał za koniecznością niemieckiéj wyprawy podbiegunowéj. Po zaszłych w Niemczech przewrotach 1866 r. Petermann na nowo podniósł myśl, żeby powołać do życia, co spoczęło jako bujny pomysł na papierze. Zdało się w owéj tak stanowczéj dla Niemiec porze, że zbliżyła się chwila, kiedy po bitwie pod Sadową należy jaknajspieszniéj i na inném polu dorzucić nowe do narodowych zaszczytów wieńce. W niejednéj głowie rozmarzonéj powodzeniem pruskiego oręża, pod którego blask większa część Niemców się garnęła, powstała myśl, azaliby się nie dało naukowym jakimś rozgłosem uzacnić imię Niemców wymawiane po bitwie pod Sadową z nowém poszanowaniem? Stoczyć również walny bój z lodami, wedrzeć się do ich łona skorzystawszy z letniéj pory roku, jako błyskawica przesunąć się przez biegun, a nim się lody spostrzegą dostać się na brzeg Azyi.

Ile uroku, a jaka pokusa dla odmłodnionéj społeczności niemieckiéj, co się nagle na sile poczuła, co powstrzymać nie

mogła skrzydeł rwących się do lotu. Dawno już National-Verein marzył o podniesieniu podupadłéj siły morskiéj niemieckiéj, ubolewał nad poniżeniem niemieckiéj flagi, jakiego doznawała od współzawodniczących mocarstw morskich. Powiewała niegdyś niemiecka flaga zaszczytnie witana na morzu od zatoki Botnickiéj aż do Gibraltaru, kiedy hanzeatycki związek długiém pasmem osad handlowych objął w swe ramiona dwóch mórz wybrzeża—Baltyckiego i Atlantyckiego. Od téj chwili przebrzmiał na zawsze rozgłos niemieckiego okrętu, z którego ostatecznie nawet drobnego duńskiego państwa wojenne statki się naśmiewały. Tak więc Petermann sądził, że najskuteczniéjby było głośną, daleką a świetną wyprawą, zagrzać współziomków do czynów wojenno-morskich i zaprawić do podobnéj jak na lądzie dzielności. Takie bowiem wyprawy budzą żeglarskie usposobienie, są najżywotniejszym dlań żywiołem, są najodpowiedniejszém polem do wyrobienia niezbędnéj żeglarzom przedsiębierczości, są w końcu najdzielniejszą szkołą dla przygotowania i wykształcenia biegłych dowódców morskich. Gdzież bowiem Nelson zaprawił swoje oko, gdzie najskuteczniéj swą odwagę zahartował, jeżeli nie w wyprawach podbiegunowych pod Phipps'em? gdzie jeśli nie śród nieustannych przeszkód ze strony olbrzymiego wojska kry podbiegunowéj i lodników zaostrzył swą przezorność zwycięzca nad Nilem i przy Trafalgarze? Takim wdzięcznym obrazem na przyszłość uśmiechała się Petermann'owi wyprawa podbiegunowa, może mu się już w wyobraźni kreśliła olbrzymia postać jakiegoś niemieckiego Nelsona. Do głównego naukowego celu przyłączyły się najniewątpliwiéj te uboczne widoki, mające schlebiać próżności narodowéj. Czemu tym razem wolną nie jest od zarzutu powszechnie znana ze swéj bezinteresowności nauka niemiecka?

Cokolwiekbądź, myśl naukowa mimo postronnych względów przyświecała jasno zamiarowi urządzenia podbiegunowéj wyprawy. Wypowiada ją wyraźnie Petermann, będący duszą całego przedsięwzięcia, w przedstawieniu swojém (z d. 30 października 1867 r.), jakie uczynił do National-Vereinu obradującego w Kaselu.

W podaniu tém podnosi Petermann ważność podobnego przedsięwzięcia naukowego. Świat naukowy oddawna już

się na to zgodził, że zbadanie bieguna i podbiegunowéj przestrzeni niepospolite nauce mogłoby zapewnić korzyści. W geograficznym bowiem względzie wyprawa podbiegunowa otwiera nowe pole zdobyczy dla wszystkich gałęzi geografii i nauk przyrodzonych, skoro wiadomo, że zbadanie podbiegunowéj okolicy obejmuje najważniejsze zagadnienia, które na naszéj ziemi jeszcze rozwiązać należy. Nietylko przestrzeń podbiegunowa stanowi ogrom obszaru, wynoszącego 140 tysięcy mil kwadratowych (a zatém większa jak ląd stały Australii), którego nauka zupełnie nie zna a odkryćby pragnęła; ale nadto takie umiejętności jak meteorologia, która z każdym dniem powszechniejszą i ważniejszą się staje, zresztą geologia, hydrografia, nauka o magnetyzmie ziemi, zoologia, botanika, etnografia wyczekują od zbadania północnéj strefy najważniejszych objaśnień w swoich ciemnych dotychczas zagadnieniach. Zresztą jak twierdzą doświadczone długoletnią wprawą powagi, wycieczki podbiegunowe mniéj wymagają nakładu i na mniejsze wystawione są niebezpieczeństwa jak wyprawy do głębi Afryki, Australii lub inne wyprawy lądowe. Na okrętach dotarli aż do najwyższéj szerokości na południowym biegunie Bellingshausen (1), Weddell (2), Ross (3), nie naraziwszy się na żaden smutny wypadek, nie uległszy żadnéj chorobie.

National-Verein lubo słuszność Petermannowych pobudek uznał, nie przyłożył jednak czynnéj ręki swojemi pieniężnemi zasobami, przeznaczywszy z nich znaczną część na zupełnie inny użytek. Gdy więc Petermann daremnie wyczekiwał najważniejszéj pomocy, nie ostudzony w swym zapale kołatać począł do serc czułych, uderzając w dotkliwą strunę próżności narodowéj. Zbierano składki na całéj przestrzeni Niemiec, odezwy obiegały wszystkie warstwy społeczne, w szkołach średnich przyjmowano chętnie „grosz wdowi.” Początek najważniejszy uczynił Dr. Oetker z Kaselu ofiarą 500 talarów, poparł więcéj jeszcze urzeczywistnienie pomysłu kupiec bremeński p. Rosenthal, oddając na usługi naukowéj wyprawy swój własny, mocny

(1) Odbywał podróż w r. 1819—1821.
(2) W r. 1822—23.
(3) Podróżował w r. 1840—1843.

statek parowy, o sile 90 koni. Król pruski przyszedł w pomoc ofiarowawszy 5 tysięcy talarów. Książe Napoleon dorzucił także swoją część 100 talarów. Ustępowały więc powoli wszelkie obawy, podczas zimy 1867 r. zająć się należało przygotowaniem do podróży. Niebawem wyszukano i odpowiednie siły naukowe, któreby w wyprawie udział przyjąć mogły. Na głównego przewodnika okrętu, kapitana, wybrany został młody 30-letni Karol Koldowey, chlubnie zalecony przez professorów uniwersytetu getyngeńskiego, w którym się naówczas kształcił po długoletniéj już znajomości życia i wypraw morskich, kończył bowiem poprzednio szkołę morską w Bremie pod przewodnictwem Dra Breusinga. Koldowey biegły w wyższéj matematyce i naukach przyrodzonych, przyjął chętnie zaszczytny włożony nań obowiązek bez żadnego wynagrodzenia. Dodano mu do pomocy zdolnego żeglarza Hildebrandta, młodego, wiele obiecującego sternika i ci obydwaj z początkiem 1868 r. poczynili starania, żeby sobie chętnych zjednać i wyszukać majtków.

„Nie żądamy, pisze Koldowey o sobie i o Hildebrandzie do Petermann'a, żadnego pieniężnego wynagrodzenia i oddajemy z przyjemnością życie nasze na korzyść przedsięwzięcia i ręczę za to, że tu wkrótce dostaniemy przynajmniéj pół tuzina dzielnych majtków, co śmiało spojrzeć umieją śmierci w oczy. Gdybym posiadał jakikolwiek majątek, chętniebym ostatni grosz oddał, bo to o utrzymanie pojedynczemu człowiekowi wiele dbać niepotrzeba. Ale niestety jestem tak biédny, jak nie ma pewnie drugiego człowieka, a całe moje bogactwo składa się głównie z moich wiadomości."

Starania kapitana Koldowey oddanego wyprawie z całym młodzieńczym zapałem zawdzięcza pomysł Petermann'a ostateczne swoje urzeczywistnienie. W Bremie i w Hamburgu krzątano się śród zimowych miesięcy około zebrania koniecznych do tak dalekiéj wycieczki naukowych narzędzi, przygotowano wszelkie drobiazgi z przezornością, któréj ważność przedsięwzięcia wymagała.

Na początku kwietnia 1868 r. opuścił kapitan Koldowey przystań w Hamburgu i wypłynął do Norwegii do m. Bergen, aby tam nabyć odpowiedni do wyprawy statek i do-

pełnić wymaganych przygotowań. Z 12 ludzi łącznie z dwoma już wymienionemi przewodnikami, składała się cała osada okrętowa. Nie omieszkano kapitana opatrzeć w przestrogi, rady a głównie w instrukcyą, określającą mniéj więcéj cel i przeznaczenie wyprawy.

Wytknięto badaniom potrójny kierunek. Wyprawa miała się składać z wyprawy lądowéj, z wyprawy morskiéj i z przezimowania.

Wyprawa lądowa, tak brzmi pierwotny pomysł, ma się zacząć na stałym lądzie Grenlandyi, na jéj wschodniéj części. Pod 75° półn. szer. wysiądzie z okrętu towarzystwo podbiegunowych badaczy. Szerokość powyższa jest najdalszym kresem, do którego w ogóle dotychczas dotrzeć zdołano, ztąd powinna się wyprawa lądowa posuwać coraz daléj ku północy na lekkich łódkach, jakto już Graach, Clavering i Sabine czynili i rozwijać badania w każdéj gałęzi nauk przyrodzonych. Posuwanie się w kierunku wschodniego wybrzeża Grenlandyi stanowi obecnie najważniejsze dla znajomości podbiegunowéj przestrzeni zadanie, a wypadki trzech wypraw Graah'a, Scoresby'ego, Sabine'a i Clavering'a, którym głównie nauka zawdzięcza zbadanie wschodniego wybrzeża Grenlandyi, dają tę pewność, że wyprawa udać się może. Z drugiéj znowu strony w téj tak mało zbadanéj okolicy znajdą się najniewątpliwiéj odpowiedzi na liczne zagadnienia, dotyczące różnych działów meteorologii i nauk przyrodzonych.

Od wyprawy lądowéj posuwającéj się na wybrzeżu Grenlandyi odłączy się pewna część dla przedsiębrania poszukiwań na wodzie. Wyprawa wodna powinna mieć na celu wdzieranie się na okręcie, na statku parowym do bieguna na całéj przestrzeni między Grenlandyą a Nową Ziemią (Nowaja Zemlja). Korzystając z letniéj pory, śród któréj od połowy maja do połowy października lody puszczają, starać się i o to, żeby się przedostać przez biegun na drugą stronę do Berynga cieśniny w Azyi, co ze względu na czas rzeczą nie powinno być trudną, gdyż parowiec śrubowy mógłby przebyć w ciągu kilku tygodni całą tę przestrzeń, gdyby żadnych ze strony lodów nie spotykał trudności. O zamarznięcie okrętu śród lodu nie ma się powodu obawiać, kapitan bowiem Parry, który już w 1827 r. najdaléj po-

snnął się na północ, utrzymywał, że nawet aż do 82³/₄ ⁰ pół. szer. można się dostać drogą wodną bez spotkania choćby najmniejszéj zawady ze strony lodów.

W końcu jeden z podróżników ma pozostać przez całą zimę na ostatecznym krańcu wysp Szpicbergu, celem urządzenia spostrzeżeń fizycznych i meteorologicznych.

Na takie trzy główne części rozpadał się cały pomysł „niemieckiéj podbiegunowéj wyprawy."

Na papierze obejmującym dla kapitana Koldoweya wskazówki postępowania wyrażono prócz tego bardzo wiele innych „pobożnych pragnień", które łatwo w umyśle wiedzy chciwym powstać mogą. Wiele z nich się nie ziściło, tém nie mniéj nie tracą prawa do bytu, a wreszcie dają ogólny, jasny obraz tych szczerb, jakie się jeszcze w nauce geograficznéj mimo dotychczasowych usiłowań wypełnić nie dały. Pomijamy drobne uwagi nad sposobem zachowania się w obec miejsc już znanych lub jeszcze nieodkrytych, nie wyliczamy tych licznych nagród, któremi do śmiałych wypraw ku północy starano się żeglarzy zachęcić, ofiarując im po 500 talarów za każdy stopień od 83⁰ aż do bieguna, ani o zachęcie nie mówimy, jaką dał parlament angielski w kształcie 35 tysięcy talarów za dotarcie do 89⁰ półn. szer., zwracamy tylko jeszcze uwagę na dwa z ogólnych wskazówek miejsca.

Nie zapomniano i o tém jak się powinny nazywać kraje, lądy, morza, zatoki, dotychczas przez nikogo nieochrzczone. Co za świetność imienia niemieckiego, gdyby na jakimś zamku lodowym, na niewidzialnym dotychczas lodniku zatknąć można sztandar niemiecki, coby dumnie powiewał nad francuzkiemi i angielskiemi nazwami. Są imiona Albertów, Jaókbów, Napoleona I; czemużby i godnie imię Wilhelma obok nich stanąć nie mogło.?

To też najważniejsze odkrycie, opiewa ustawa dana wyprawie niemieckiéj, ma nosić miano „król Wilhelm," wyspa zaś albo przylądek nieznanego kraju ma służyć do uwiecznienia nazwiska Dr. Breusinga i wielu innych, o których niezapominano, i którzy mieli zaludnić jeśli nie osobiście, to swojemi rodowemi imionami owe pustynne krainy lodów.

Wreszcie włożono na kapitana obowiązek między wielu innemi, przywieźć żywcem parę Eskimosów, mężczyznę i ko-

bietę, aby znaleźć sposobność do dokładniejszego zbadania tego szczepu ludzkiego, co tak odosobniony od pozostałéj rodziny ludzkiéj, w owéj odległéj północnéj szerokości pustelniczy żywot prowadzi, aby tym sposobem znający w Europie Eskimosów język, mogli bliżéj poznać i ich dzieje. Wiadomo bowiem, że stowarzyszenie braci Morawczyków już przeszło od stu lat utrzymuje missye między Eskimosami mieszkającemi w Labrador, a missyonarze ci najzupełniej władają tamecznym Eskimosów językiem.

Z początkiem kwietnia przybyła drobna niemiecka osada do m. Bergen w Norwegii, żeby tu ostateczne do dalekiéj podróży poczynić przygotowania. Kupiec bowiem Rosenthal dla niewiadomych nam przyczyn, obietnicy nie dotrzymał. Trzeba było o własnych siłach przygotować sobie odpowiedni statek. Zajął się tém sam kapitan Koldowey. Cóż bowiem dla dalekiéj morskiéj wyprawy jest ważniejszego jak oględne opatrzenie, umocowanie i zabezpieczenie takiéj małéj łodzi, od któréj nieraz zależą losy kilkunastu ludzi, w któréj nieodgadnione nauki spoczywają przeznaczenia. Ziściły się, pisze w tym względzie kapitan Koldowey do Petermanna z Bergen, wszystkie najśmielsze nadzieje, nawet nad moje oczekiwanie. Zaraz pierwszego dnia naszego tu przybycia odszukałem nowy zupełnie, mocno zbudowany statek, tak jak sobie tego życzyłem, zdrowe drzewo, wszystko nowe, silnie spojone. Lubo jest wyłącznie zbudowany okręt dla wyprawy podbiegunowéj, nie omieszkam, dodaje kapitan Koldowey, użyć środków ostróżności, mianowicie każę pociągnąć cały statek skórą i obić mocną żelazną blachą, którąby silniejszy stawiać (1) mogła opór północnym bryłom lodu.

Po długich przygotowaniach, które tém więcéj zajmowały czasu, że wyprawa nie była odrazu w niezbędne zaopatrzona zapasy pieniężne, wypłynął okręt, „Germania" nazwany, niosąc ku północnéj przestrzeni wodnéj szczupłą osadę, z któréj nowa dla Niemiec urość miała sława.

Tymczasem nad całą wyprawą wzeszła dziwna gwiazda niepowodzenia. Wysokie cele zmalały a głośna sława, co

(1) Petermann. Geographische Mittheilungen r. 1868 zeszyt IV, Gotha. Z dziennika tego głównie czerpiemy wiadomości nasze o niemieckiéj wyprawie podbiegunowéj.

imię Niemców po świecie naukowym roznieść miała, cichym przesunęła się tylko odgłosem.

Czyja w tém wina? Sprzysięgły się siły przyrody, które nieraz tak złowrogo krzyżują najszczytniejsze pomysły człowieka. Brak jeszcze dotychczas szczegółów całéj téj wodnéj podróży niemieckiéj, kierowanéj przez kapitana Koldowey, mamy tylko przed sobą spiesznie przezeń kreślone wiadomości listowe, z których drobne niech nam wolno będzie przytoczyć urywki.

„Niepodobna było w tym roku w żaden żywy sposób dotrzeć aż do brzegów Grenlandyi. Po kilka razy do połowy sierpnia, więc w przeciągu dwóch blisko miesięcy, czyniliśmy natężone usiłowania w różnych miejscach, nawet wdarliśmy się dość głęboko w dziedzinę lodów, ale wszędzie nad brzegiem zbite lody, nieprzenikliwe. Ani to były lodowe płaszczyzny lub pola, ani bryły górzysto sterczące, ale raczéj jedna, nieprzerwana, a okiem nie ścigniona przestrzeń lodowa.

Podczas ostatniego naszego usiłowania posunęliśmy się na szerokość 73 ½°, widzieliśmy przed sobą wyraźnie ląd stały jak na dłoni, ale żadnym sposobem nie można się było doń dostać. Przebyliśmy kilka dni w sąsiedztwie tych niezmierzonych brył lodu, aby przez astronomiczne spostrzeżenia wybadać, azali nie zajdzie jaka zmiana w naszém położeniu, jednak w jedném i tém samém pozostawaliśmy miejscu. Przesuwały się około nas kry lodu w południowym kierunku a z drobnych kawałków drzewa które ze statku na wodę rzucaliśmy, wyraźnie prąd morski poznawać się dawał. Mierzenie głębiny wodnéj, zapuszczanie ołowianego ciężaru, toż samo niezmienne pokazywały położenie. Wśród takich okoliczności byłoby rzeczą nierozsądną, dłużéj jeszcze wśród lodu się błąkać, co dla zbliżających się długotrwałych nocy z każdym dniem tém niebezpieczniejszém się stawało. Postanowiono więc wypłynąć, i ostatnie jeszcze usiłowanie wylądowania skierować ku ziemi Gillis (1).

Ponieważ już raz w tym roku daremnie w południowéj części Szpicbergu przesunąć się zamierzaliśmy, umyśliliśmy przeto wybrać inną drogę przez Hinlopa cieśninę, żeby tym sposobem być jak najbliżéj upragnionéj ziemi Gillis.

(1) Leży na północo-wschód wysp Szpicbergu pod 80° półn. szer.

W cieśninie téj spotkaliśmy nie mało kry, jednak szczęśliwie dostaliśmy się do przylądka Torell (1). Daléj niepodobna się przedrzeć, wszystko bowiem zawalone bryłami lodu, nazywanego zwykle bay-ice (wym. be-ajs-ang. nazwa lodu kruchego). Kilka razy, donosi kapitan Koldowey, wdzierałem się na szczyty przylądka, ale widoki, jakie mi się odsłoniły, nie są bardzo pocieszające. Daleko poza kruchym lodem widziałem istotne wzgórza lodowe a z za nich widniała ziemia Gillis w dość wyraźnych kształtach. Coraz więcéj kruchym się staje lód pokrywający wodę, nikną lodowe pola, mam zamiar, jeśli wiatr posłuży, daléj między lody się puścić. Być może, że dotrę jeszcze około połowy września do ziemi Gillis, lubo słuszne zkądinąd budzi się we mnie powątpiewanie. Uczynimy wszystko cokolwiek od nas zależeć będzie i śmiałości naszéj puścimy swobodnie wodze, tak jak nad brzegami Grenlandyi, ale statek nasz już niemało ucierpiał od grenlandzkiego lodu. Wzgląd to dla nas zaiste bardzo ważny.

Pozbierałem wiele ciekawych spostrzeżeń, dotyczących prądów morskich, dna morskiego, lodu i wiatru podbiegunowego, wzbogaciłem moje doświadczenie co do podróży w okolicach podbiegunowych. Widzę, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, przy staranniejszéj oględności można uniknąć rozbicia. Wszakże okręt żaglowy nie zdaje się być zupełnie dogodnym. Zależność od wiatrów jest mocno krępująca. Często niepodobna na żaglowym okręcie z żądaną szybkością dopłynąć do upragnionego miejsca i nie jedną mimo puścić należy sposobną porę, z któréj parowiec skorzystać może.

Ten rok za najniekorzystniejszy uważać wypada. Wszyscy żeglarze grenlandzcy twierdzą jednozgodnie, że już od wielu lat tyle lodu w takim zbitym ogromie nie widzieli. Najlepszy dowód, żeśmy spotkali na otwartém morzu całą flotę grenlandzką: widocznie tam nic wskórać nie mogła. Wielce mi to jest nieprzyjemném, żem bardzo mało z mojéj podróży osiągnął, mimo usilnych z méj strony starań; jeszcze przy-

(1) Najdaléj na południe wysunięty przylądek jednéj z wysp Szpicbergu, położonéj na północo-wschód i od tegoż położenia podobną nazwę, północno-wschodniéj noszącéj.

krzéj widziéć jak się w niwecz obraca jedna nadzieja za drugą, którem sobie snuł przed podróżą. Szczędzić i nadal trudów nie będę; całą mą nadzieję buduję na nowéj wyprawie, która może z rokiem przyszłym da się urządzić."

Pomijamy dalsze żale i obietnice, jakie nieostudzony w swéj gorliwości kapitan Koldowey, zapowiada. W obec niezwyciężonych trudności, stawa bezwładną i wszelka śmiałość choćby zrozpaczonego człowieka i najbystrzejsza myśl najgłębszego mędrca. To téż i wyprawa niemiecka zupełne swe niepowodzenie złożyć może na przeciwności pierwiastkowo bynajmniéj nie przewidziane. Kto w stanie jest przełamać zapory lodowe? Kiedy po długich bezskutecznych usiłowaniach powoli zbliżała się groźna zima, pomyśléć trzeba było o powrocie. Do ziemi Gillis niepodobna się dostać. Cała przestrzeń od Szpicbergu zawalona lodami. Sama zaś wyspa Szpicberg, jak o tém wiedziała wyprawa niemiecka, miała stać się jednocześnie przedmiotem bliższych badań szwedzkiéj podbiegunowéj podróży. Z pokorą poddając się nieobliczonym wypadkom losu wypadało zawrócić. Już się wrzesień miał ku schyłkowi.

Na początku października otrzymano od kapitana Koldowey wiadomość z miasta Bergen, z Norwegii, że cała wyprawa szczęśliwie wraca. Lubo dotychczasowe wiadomości tylko do współubolewania nad niepomyślnym składem okoliczności pobudzały, do innego jednak uczucia czuł się nastrojony sam kapitan i naczelnik wyprawy, kiedy zamykając swoje treściwe sprawozdanie, powiada: iż w ogóle zupełnie możemy być zadowoleni, z tego co się osiągnąć dało. Prócz szczegółowych wypadków naukowych nie należy lekceważyć i tego, żeśmy zebrali nie mało doświadczeń ściągających się do żeglugi w wodnych przestworach podbiegunowych, że rozbudzoną została uwaga i zajęcie całych Niemiec i podniesione uczucie narodowe: w końcu, żeśmy pokazali innym ludom Europy, iż nie myślimy bynajmniéj w tyle za innemi pozostać.

Spodziewam się—są słowa Koldowey'a—że doczekam jeszcze dnia onego, kiedy nasza flaga niemiecka po nad biegunem powiewać będzie!"

Czy świat naukowy niemiecki w podobny sposób jak kapitan Koldowey schlebia swéj próżności narodowéj, tru-

dno powiedzieć, nie przypuszczamy jednak, żeby się nie miało znaleźć w Niemczech wielu takich, którym mniéj o flagę niemiecką dumnie powiewającą na lodowatym zamku podbiegunowym chodzi, jak o prawdziwe dobro nauki, wyższéj nad błahe współzawodnictwo lub narodową próżność.

Stało się jednak w części jednemu życzeniu zadość. Jeżeli wyprawa niemiecka nie zdołała dorzucić do licznych nazw francuzkich i angielskich, dźwięków swojéj mowy u krańcowego kresu ziemskiéj osi, jeśli się jéj nie udało okryć zimnego czoła nieznanych lodów wieńcem słów niemieckich, to przynajmniéj w innéj stronie zostawiła ślady niemieckiéj wielkości. W północno-zachodnim kierunku od przylądka Torell na jednéj z wysp Szpicbergu wyszukała wyprawa Koldowey'a zatokę, któréj podobno Szwedzi dotychczas na karcie nie zaznaczyli. „Zatoką niemiecką” odtąd ma się nazywać.

W połowie października zawinęła „Germania” do przystani Bremeńskiéj, witana radośnemi okrzyki. Uczta i głośne mowy zakończyły pierwszą niemiecką wyprawę podbiegunową. Nie wiadomo dotychczas, czy się nowa na ten rok druga z kolei gotuje. Może już Niemcy ugasili „pragnienie czynów,” jedném niepowodzeniem?

---

## WYPRAWA PODBIEGUNOWA SZWEDZKA Z R. 1868.

*Pod przewodnictwem prof. Nordenskiölda.*

Mniéj rozgłosu a więcéj czynu. Takie spostrzeżenie nasuwa się mimowoli, kiedy po sprawozdaniu o niemieckiéj wyprawie, z porządku o szwedzkiéj mówić wypada. Nie może zaiste iść Szwecya o lepszą z Niemcami, kiedy chodzi o wykazanie bogactwa sił pracujących na niwie naukowéj. Takie rojne mnóstwo niemieckich nazwisk, szczególniéj w ostatnich latach zalega wszystkie dziedziny wiedzy ludzkiéj, że obok zaszczytnie pielęgnowanéj klassycznéj przeszłości, obok dawno umiłowanéj w szczególniejszy sposób filozofii i nauki przyrodzone obecnie już coraz szersze i licz-

niejsze gromadzą około siebie zastępy pracowników. To mierzyć się trudno z takim olbrzymim rozrostem naukowéj winnicy. Ale nie ustępuje pod wielu innemi względami zamożnym w naukowe siły krajom Szwecya, drobna ziemia, ze szczuplejszą jeszcze ludnością.

Oddalona od ogniska ruchu umysłowego, dziwnie starannie utrzymuje u siebie tlejący płomień na ołtarzu nauki. Gotowość do poświęceń, zapał do wiedzy nie oziębły śród chłodnego tchnienia północnéj przyrody. Ani zbytnie bogactwo, ani nadmiar dobrobytu nie pobudzają bynajmniéj do wystawnéj uprawy naukowéj niwy, a jednak krząta się Szwecya nader starannie około rozniecenia naukowego światła. Szczupła pomoc ze strony niezbyt bogatego rządu nie zachęca do okazałych przedsięwzięć w widokach umysłowych, ale dobre chęci naukowego grona, ogólne poczucie potrzeb naukowych składają się nieraz na niejedno usiłowanie, którémby się i przodujące w oświacie ludy poszczycić mogły. Po dawno już utorowanych drogach podąża naukowy świat szwedzki za postępem myśli europejskiéj. Szczególniejszą uprawą cieszą się nauki przyrodzone. Ale są pewne w dziedzinie ludzkiéj wiedzy zagadnienia, ku którym najwięcéj do rozwiązania pochopu czuć powinna Szwecya. Wysunięta najdaléj na północ, posiadłościami dosięgająca morza Lodowatego, oswojona z warunkami zewnętrznémi wyprawy podbiegunowéj, posiadająca ludność zahartowaną do śmiałych wycieczek śród przyrody już bardzo podobnéj do podbiegunowéj, znajduje się Szwecya w najdogodniejszém położeniu, żeby się zająć pytaniem, nad którém od lat już 200 pracuje nauka innych krajów do téj pory bezowocnie—badać całą przestrzeń podbiegunową. Jakoż kiedy się w Anglii już zupełnie zdrzemnęła, nawet snem śmierci zasnęła myśl wycieczki pod biegun od czasu (1845) nieszczęśliwéj wyprawy Franklina; kiedy się i inne kraje tém niepowodzeniem zraziły, a Ameryka drobne zaledwie w tym względzie podjęła usiłowanie: Szwecya nietylko za ogólnym nie poszła przykładem, ale przeciwnie godny naśladowania innym krajom stawiała przykład, podtrzymując, o ile sił starczyło, pomysł przedostania się przez biegun północny. Nie rozporządzała Szwecya témi środkami pieniężnémi, jakie Anglia hojnie rzu-

cała dla odszukania Franklina—prywatną pomocą podnosiła myśl, która zdawało się już bezpowrotnie upaść miała.

W 1857 r. Otton Torell własnym kosztem urządził wyprawę nader skromną co do swych zasobów, ważną jednak o tyle, że z niéj wyrosł pomysł znacznie obszerniejszy w 1861 r. Przy piérwszéj wycieczce Torell zwiedził zachodni brzeg Szpicbergu i dotarł aż do 80° szr. półn.. Dla braku jednak zapasów żywności wrócił pod zimę tegoż roku z zamiarem przygotowania innéj wyprawy, opatrzonéj w obfitsze od piérwszéj środki pieniężne i naukowe. Na dwóch statkach wypłynęła ku północy w roku 1861 liczna osada uczonych mężów szwedzkich z szeroko zakreślonémi zamiarami naukowémi. Zabrano z sobą sporą gromadę psów grenlandzkich w nadziei, że przy ich pomocy na sankach będzie można przebyć ową nieznaną przestrzeń podbiegunową, po któréj już w podobny sposób Parry w 1827 r. chciał się przesunąć. W obec jednak przeszkód nieprzełamanych ze strony lodów, w dziwne pozbijanych kształty, wyprawa odstąpić musiała od pierwotnego zamiaru i zajęła się głównie naukowém zbadaniem południowéj części Szpicbergu, zbierając wszędzie ciekawe okazy ze świata roślinnego i zwierzęcego. Gdy dla silnych przeciwnych wiatrów i niekorzystnych warunków zamarzniętego morza niepodobna było przedsiębrać wymiarów szerokości i długości geograficznéj, o których już Sabine myślał, odłożono do lepszych czasów ostateczne urzeczywistnienie tego pomysłu. Jakoż w trzy lata późniéj sam rząd szwedzki czynną przyłożył rękę do podniesienia myśli przez Sabine'a rzuconéj i w 1864 roku wysłał tym celem na Szpicberg drobną wyprawę, w któréj przyjęli udział członkowie poprzedniéj wycieczki. Poświęcili swe usługi naukowe zoolog Malmgren, fizyk Dunér i geolog prof. Nordenskiöld.

Ale i nad tém usiłowaniem dziwne zawisło niepowodzenie. Kiedy w jedném miejscu w Stor-Fiord, ukończone zostały przygotowawcze prace do przyszłych wymiarów i kiedy wyprawa postanowiła daléj ze Szpicbergu puścić się na morze ku północy, aliści na drodze nawija się mnóstwo drobnych łódek, niosących na wolę wiatrów i lodów nieszczęśliwych rozbitków z norwegskiéj rybackiéj osady. Trzeba było pasujących się z wodnym żywiołem przyjąć na wła-

sny okręt, żeby ocalić życie kilkudziesięciu rybaków. Pod nowym ztąd przybyłym ciężarem tak się statek zagłębił, że wypadało jak najspieszniéj zawinąć do bezpiecznéj przystani. Spóźniona pora nie dozwalała wracać w naukowym celu, tym sposobem już chybionym.

Znalazł się w Szwecyi mąż, co żył wyłącznie myślą o podbiegunowéj wyprawie. Kiedy w innych krajach daremnie urzędowéj wyczekiwano pomocy i tym sposobem podróże na północ zupełnie na stronę odłożono, nie tracił w Szwecyi nadziei Nordenskiöld, co z takim zapałem oddany był podbiegunowéj wycieczce. W początkach 1868 r. zajął się myślą urządzenia naukowéj podróży. Nordenskiölda, professora i dyrektora królewskich mineralogicznych gabinetów, wspierało długoletnie już doświadczenie, nabyte podczas czterech wypraw, w których zawsze czynny przyjmował udział. Myśl szczęśliwie przezeń rzucona, znalazła przychylne przyjęcie przedewszystkiem w mieście Göteborgu, najważniejszém po Sztokholmie w Szwecyi. Gmina miejska znana ze swojego żywego zajęcia, jakiém darzy każdy objaw naukowego życia szwedzkiego, gorąco poparła pomysł Nordenskiölda. W prędkim czasie posypały się liczne pieniężne zasiłki, tak że już w maju można było liczyć na urzeczywistnienie się podanego zamiaru. Nordenskiölda imię budziło powszechne znufanie.

Z téj więc już strony szwedzka wyprawa w korzystniejszém od niemieckiéj stawała położeniu. Szwedzka nie była bowiem marzycielskim wyskokiem powziętym w rozgorączkowanych głowach, ale dalszym ciągiem na drodze dawno już obmyślanéj i utorowanéj. Doświadczenie przedewszystkiem większe niż niemieckiéj wyprawie rokować mogło powodzenie. Jedna nieprzezorność lub nieoględność narazić jest w stanie na szwank całe przedsięwzięcie. Marnują się środki materyalne i moralne, czas upływa bezowocnie, stygnie zapał i zrażają się ludzie dobréj woli. Kap. Koldowey naczelnik niemieckiéj wyprawy, dopiéro około grenlandzkich wybrzeży przyszedł do przekonania, że okręt żaglowy ustępuje parowemu pod względem dogodności, że zależność od wiatru jest wielce niebezpieczną; nie spostrzegł tego odrazu, że jeżeliby w najpomyślniejszym wypadku południowy krótkotrwały wiatr mógł zanieść okręt pod biegun, to nie-

również trudniéj byłoby przy tym samym kierunku wiatru ztamtąd wrócić. Łatwiéj oczywiście przewidzieć takie ostróżności tym, co się już z północnym wodnym obyli żywiołem. Nadto z większą znajomością naukowych celów przedsiębrał podróż Nordenskiöld tak, że nie dopiąwszy jednego, snadniéj innym mógł się zająć.

Wyprawa przeto szwedzka z góry była w stanie jaśniéj sobie swój pomysł nakreślić i najdogodniejsze dla swéj podróży wyrozumieć warunki. To téż ze znajomością północnego stanu powietrza a głównie lodów obmyślił Nordenskiöld wycieczkę w porze jesiennéj. Tę za najwłaściwszą i najdogodniejszą uważał. Nuż wtedy podbiegunowy ocean wolny jest zupełnie od lodów, najłatwiéjby więc było dotrzeć do ostatecznego stopnia szerokości północnéj. Zamierzał Nordenskiöld przeto o ile pozwolą przyjazne okoliczności, podsuwać się pod sam biegun. Takie marzenie przewodniczyło szwedzkiéj wyprawie. Miał jednak Nordenskiöld, przygotowany na zawziętość nieubłaganego nieraz losu, inne jeszcze cele i zamiary w odwodzie.

Nie uda nam się, powiada Nordenskiöld w swojém przedstawieniu, uczynioném do naczelnika Göteborgskiéj prowincyi hr. Ehrenswerda, zbliżyć się do samego bieguna, wtedy w pozostałéj części lata naukowémi badaniami zająć się możemy, które będą w stanie zrównoważyć wszystkie koszta na wyprawę łożone.

Zamierzał więc Nordenskiöld między innémi bliżéj rozpatrzéć się w świecie zwierzęcym i roślinnym mało dotychczas jeszcze znanéj wyspy Niedźwiedziéj (Bären Insel.) przypuszczając że wyspa ta stanowi odłamek jednolitéj niegdyś części, łączącéj Skandynawią ze Szpicbergiem; wreszcie geologiczne poszukiwania nad pokładami ziemnemi rozwinąć i głównie starać się o zwierzęce i roślinne wykopaliska.

Wniosek poparty przez akdemią nauk przychylnie u rządu szwedzkiego przyjęty został. Król chętnie swą pomoc ofiarował. Niebawem odszukano odpowiedni statek „Zofia" i po śpiesznych przygotowaniach zapasów, mających starczyć na 16 miesięcy, wpłynęła (1) na pełne morze szwedzka wyprawa podbiegunowa d. 7 lipca.

(1) A. Petermann Geogr. Mitth. Zesz. XI. 1868 r.

Prócz zaszczytnie już znanego Nordenskiölda professora, będącego duszą całego przedsięwzięcia, przyjęli jeszcze udział liczni uczeni badacze nauk przyrodzonych, zoolog z poprzedniéj wyprawy Malmgren, botanicy, fizyk, lekarz dla całéj osady, w końcu z ramienia króla szwedzkiego wyznaczeni zostali kapitan Otter i Palander dla prac czysto geograficznych. Całe grono do 30 osób wynosiło.

Piérwszą po drodze przystanią było Tromsö, na wyspie leżące, jedno z miejsc Norwegii najdaléj na północ wysunięte, gdzie ostateczne jeszcze do dalekiéj podróży poczyniono przygotowania. Losy i wypadki téj wyprawy skreślił wymownéem piórem prof. Nordenskiöld w listach swoich, które od czasu do czasu do swoich przyjaciół na rodzinnéj ziemi wysyłał. Opisy tchną dziwną świeżością, miłą uśmiechają się prostotą, to téż w miejsce suchego ich streszczenia, dosłowne podajemy z nich wyjątki:

Dnia 20 lipca, pisze Nordenskiöld, opuściliśmy przyjemną mieścinę Tromsö i niebawem przebyliśmy skery (1) wypłynąwszy na pełne morze. Na około woda, nad nami niebo. Tak śród dwóch dni następnych posuwaliśmy się daléj ku północy, a wewnątrz i zewnątrz coraz widoczniejsze ukazywały się znaki, żeśmy się ku biegunowi zbliżali. Na statku naszym znikały powoli wytworniejsze ubrania, coraz liczniéj ich miejsce zajmowało podróżne odzienie. Na zewnątrz po za okrętem oznajmiała nam gwałtownie obniżająca się temperatura wody morskiéj, że się w bliskości północnych znajdujemy lodów, a nawet powietrze tak przejmująco zimném się stawało, że mały ogień na kominku nie byłby się zbytecznym wydał.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że podróż po południowéj części Lodowatego morza jest pustynną i jednostajną, wręcz przeciwne wynosi wrażenie przynajmniéj ten, co ją pierwszy raz odbywa. Czytałem wprawdzie w jednym z niemieckich opisów (zapewne skreślonym przez północnego podróżnika co daléj nad Hamburg lub Lubekę nie wychylił swojéj głowy), że ani jednego nie ujrzysz żaglu na ponurych falach morskich. Ale pominąwszy tę okoliczność, że mnie-

(1) Podwodne wyspy na kilka stóp z morza sterczące, niekiedy otoczone piaszczystą wyniosłością.

mane brudne nurty mogłyby się co do uroczéj piękności swéj jasnobłękitnéj wody mierzyć z wodnemi falami Genewskiego jeziora, naokoło liczne przesuwają się statki żaglowe, które pośredniczą w zamiennym handlu między Anglią i Archangielskiem, albo norwegskie rybackie łodzie. W ostatnich bowiem latach otworzył się bardzo korzystny połów haji albo wilka morskiego (scymnus microcephalus), z którego wątroby obfity i wyborny tran się wydobywa. Nadto tłumne stada pluskały się w około koni morskich a mnóstwo ptaków, unoszących się nad okrętem, ożywiały widok, który się przed naszém odsłaniał okiem. Szczególniéj powiększała się ptaków gromada, kiedyśmy się do wyspy Niedźwiedziéj zbliżali, pierwszego celu naszéj podróży.

Pod wieczór 22 lipca z poza mglistéj zasłony ujrzeliśmy strome góry i szczyty téj małéj wyspy, a w nocy zarzuciliśmy u południowego brzegu kotwicę.... Najważniejszém zadaniem było zbadanie żywéj i martwéj przyrody téj wyspy. Jest to bowiem godna uwagi okoliczność, że lubo Niedźwiedzia wyspa już od końca XVI wieku (1596) była znana i na drodze leży między Nordkapem a Szpicbergem, a tém samém podawała sposobność do bliższego jéj poznania, dotychczas prawie tylko przypadkowo zwracała na siebie uwagę. Powodów, dla których tak mało to miejsce zwiedzano, jest nie mało. Głównie lód stawał na przeszkodzie: wtedy kiedy jeszcze niedostępne są brzegi Niedźwiedziéj wyspy dla brył lodowatych, już zachodni brzeg Szpicbergu zupełnie od nich jest wolny. Gęste mgły, które tu swoje roztoczyły panowanie, jak nie mniéj brak dogodnéj przystani odstręczały płynących do Szpicbergu. Obawą przejmują żeglarza niegościnne a strome skały nadbrzeżne wychylające się z poza szaréj mglistéj powłoki. Już z tego łatwo się przekonać, że nie zbyt łagodny klimat dostał się téj wyspie w udziale, nawet w porównaniu z południową częścią Szpicbergu powiedziéćby można, że jest surowszym i nieznośniejszym. I myśmy tu podczas naszego pobytu zakosztowali przyjemnego powietrza letniego, na które składały się trzy naprzemian żywioły: zimny wiatr, gęsta mgła i deszcz rzęsisty, co wszystko pospołu nie zbyt wiele przyczyniało się do upiększenia okolicy. Trzema wyrazy trafnie ją określił jeden z moich towarzyszy; woda, drobne kamyki

i ptaki. Cała bowiem wyspa wznosi się w kształcie płaskowzgórza, tu i owdzie zbruzdowanego wązkiemi dolinami, urozmaiconego licznémi jeziorkami. Od czasu do czasu wznosi się ku niebu szczyt wynioślejszy, jeden z nich dość ciekawe nosi miano, górą się bowiem Nędzy nazywa.

Nad brzegiem morskim wszędzie prawie prostopadle sterczą skały a na ich ścianach, dziko rozkołysane fale wodne w długim czasu przeciągu wyżłobiły dziwne groty, sklepione łuki albo śmiało z morza wysunięte słupy, nieraz szczególniejsze przedstawiające kształty.

Gdy sobie jeszcze całą przestrzeń wyobrazimy pokrytą drobnemi, ostrościennemi kamykami, co w dalekich promieniach jako ułamki zdaje się poodpadały od gór sterczących a wtedy przyznamy chętnie, że wyspa ta ani wdziękiem ani pięknością swéj przyrody się nie uśmiecha. Tu i owdzie tylko na wilgotniejszych miejscach porasta mech zielonawy, który zdaleka widziany złudny obraz miłego błonia przedstawia; wyższe zaś rośliny są nader rzadkie, tak że przy największéj usilności zaledwie 30 rodzajów znaleść było można. Kiedy nareszcie badawcze oko śród téj kamienistéj pustyni ujrzy samotnie stojący mak górski albo skalistą roślinkę, mimowoli rzuca pytanie: istoto, co tu robisz i po co tu rośniesz?

W najsmutniejszéj, niemal przerażającéj postaci rozwija się ten ponury obraz, gdy się podróżnik od brzegu coraz daléj w głąb wyspy zapuszcza. Na drodze prowadzącéj między północną a południową przystanią odsłania się rozległa przestrzeń, zawalona głazami; z jednego kamienia nieustannie na drugi przeskakiwać wypada, a pod stopami nieraz słyszysz jak się wije szemrzący strumyk. Kogo jeszcze ten miły spotka wypadek, że się zbłąka śród tego labiryntu kamieni, osłoniętego lekką mgły powłoką, i kto wymijając liczne jeziorka z kamienia na kamień przeskakiwać jest zniewolony w najrozmaitszych kierunkach, ten zaiste błogiém, nieopisaném odetchnie uczuciem, kiedy nareszcie ujrzy szwedzką flagę, zatkniętą na statku przez przezornych towarzyszy, którzy zaznaczyli miejsce, gdzie znużony podróżnik albo raczéj skoczek gościnne przyjęcie i miły znajdzie wypoczynek.

Ptaki są tu właściwemi mieszkańcami i panami téj wyspy. Wprawdzie znajdą się tu i czworo-nóżne, dawniéj i lisy przechodziły ze Szpicbergu po lodzie, i niedźwiedź biały swoje tu siedlisko zakładał. Ale niesłusznie od jego imienia wyspa ta nazwaną została, bo śród lata przypuścić niepodobna, żeby się tu niedźwiedź mógł utrzymać. Ani téż teraz nie widać tego licznego stada koni morskich, które świeżo po odkryciu wyspy w tak tłumném tu znajdowały się mnóstwie, że w ciągu niewielu godzin dzielny myśliwiec mógł ich 900 do tysiąca trupem położyć. Tak z norwegskich śmiałych żeglarzy Tobiesen, który w 1865 na 66 r. przezimował na wyspie w chatce nader zręcznie przezeń skleconéj, zaledwie widział dwie sztuki z tych zwierząt, a jednę z nich tylko powalił. Tém téż liczniejsze są gromady ptaków, które osiadły na szczytach skał stromo spadających do morza albo na sąsiednich skalistych urwiskach. Już z daleka spostrzedz można taką osadę ptaków, bo wtedy skały nie mroczą się swą zwykłą jednostajną szarą barwą, ale zieloną swą powłoką ze mchu i nizkiéj trawki złożoną mile od ogólnego tła odbijają. Zbliżmy się do takiéj ptasiéj góry: jaka wrzawa, co za życie!

Jedna ściana pochyłéj nieco skały była prawie zupełnie pokryta ptakami wysiadującemi na gniazdach na przestrzeni co najmniéj jednéj mili, skała zaś mogła mieć od 3 do 500 stóp wysokości, a cała czarna góra zasiana była niemal białośnieżnemi punktami, tak szczelnie obok siebie rozsiadły się biało-pierzaste na piersi ptaki.

Gęsto jako śniegu płaty podczas śnieżnéj zawiei brzęczą, mruczą i gęgają różnórodne ptaki podczas wysiadywania swych jaj: to nużyki, petreliki, dzikie gęsi, mewy i t. p., a kiedy się zbliża nieprzyjaciel albo w ogóle podejrzana osoba, taki gwar, taka wrzawa się rozlega, że brak w języku słowa na wyrażenie téj dziwnéj ptasiéj bezładnéj muzyki. Prym trzyma w tym wrzaskliwym koncercie szara mewa, zwykle burmistrzem nazywana. Wątpię, czyby zgromadzenie burmistrzów naszéj drogiéj ojczyzny mogło spółzawodniczyć pod względem wytrwałości i natężenia w głosie ze swemi współimiennikami, burmistrzami—mewami. My to najlepiéj ocenić jesteśmy w stanie doniosłość tego głosu, my cośmy zasypiali i budzili się wśród téj głośnéj narady,

w dzień i w nocy odbywanéj u „wrót burmistrzowych” może nad nami bezpaszportowemi przybłędami, nad naszym nagłym na ich spokojne państwo najazdem....

Z naukowych naszych poszukiwań wielce ciekawe były geologiczne odkrycia. Większa część tutejszych gór składa się z warstw należących do wapienia górnego, wśród których liczne znajdują się skamieniałości muszli i korali i t. p., te więc bogate dla naszych zbiorów dostarczyły zasoby. Ale jeszcze ciekawsze nawinęły nam się spostrzeżenia i okazy.

Już to dość dawno było wiadomém, że na północnym brzegu pokazuje się pokład węgla kamiennego; gdy zaś pewną jest rzeczą, że pokład węglowy na Szpicbergu należy do względnie świeżego terciarnego okresu, przypuszczać wypada, i że i do tego samego czasu sięga i warstwa z Niedźwiedziéj wyspy. Tymczasem okazuje się z licznych odcisków roślinnych, które spostrzegać się dają w słojach towarzyszących warstwom węglowym, że pokład ten należy do właściwego okresu węgla kamiennego i że tu nadto znajduje się niewyczerpana studnia do poznawania roślin z owych czasów, co przed tysiącami lat tysięcy już minęły. Przytém i we względzie zastosowawczym ten pokład węgla kamiennego nie bez korzyści zostanie, okazało się bowiem przy bliższych poszukiwaniach, że się warstwa na znacznéj rozciąga przestrzeni, tak że śmiało wróciłyby się koszta nakładu na wydobywanie węgla.

Że węgiel przydatny jest do użytku, pokazał to nasz statek, którego konie parowe karmiliśmy w ciągu całej naszéj podróży na około wyspy tu pozbieranemi kawałami węgla kamiennego.

Po kilku dniach pobytu mogliśmy już pożegnać Niedźwiedzią wyspę, puszczając się w dalszą podróż. Pod wieczór 27 lipca wypłynęliśmy z naszéj przystani, wprost ku Szpicbergowi zmierzając. Zamierzaliśmy przybić do południowego brzegu, którego geograficzne położenie nie jest dotychczas dokładnie oznaczone i gdzie wiele jeszcze czynić należało poszukiwań w botanicznym, zoologicznym i geologicznym względzie. Potém umyśliliśmy sobie puścić się na wschodni brzeg całéj wyspy, dotychczas prawie nieznany, żeby ztamtąd dostać się do krainy Gillis, na któréj jeszcze ludzka stopa nie postała: taki był nasz zamiar.

Ale nigdzie tak prędko nie zmieniają się pomysły i zamiary jak na dalekiéj północy. Kiedy się 29 lipca ukazał na widnokręgu Kap południowy, nie pozwoliły zbite bryły lodu zbliżyć się ku wyspie, dlatego téż ku wschodowi nawrócić wypadło. Zrazu pływały w około nas pojedyncze na powierzchni morza kawały lodu, ale te spiesznie w liczbę wzrastały. Widok całości przyznać trzeba, był piękny i wspaniały. Tylko lekkie kołysanie pokazywało to gwałtowne wzburzenie, jakiém się poza krami lodu wzdymało morze, i z majestatycznym spokojem bujały olbrzymie bryły lodu na ciemnomodrych falach. Północne słońce wspaniale świeciło z poza gęstych chmur i przyczyniało się nie mało do podniesienia pięknéj gry kolorów białéj, szmaragdowo zielonéj i błękitnéj barwy, któremi się łamały różnokształtne, fantastycznie poukładane bryły lodowe.

Przez te massy lodu pragnęliśmy się przedrzeć, w końcu sternik oświadczył, że niepodobna daléj ku wschodowi się posuwać, przytém nieznośna nieustająca zła pogoda. Trzeba było zawrócić. Wszystko com zapisał do mojego pamiętnika z podróży pod d. 30 lipca, brzmi w następującym sposobie:

„Na statku powszechna ospałość i apatya. Dżdżyste powietrze, zimno, lody. Nazajutrz zarzuciliśmy kotwicę w przystani, Eis-Fiordzie."

Wstrzymana na swojéj drodze wyprawa szwedzka przeciwnościami nieprzezwyciężonemi nie traciła już daléj drogiego w takich razach czasu na bezużyteczne usiłowania, ale umiała w innym względzie z wolnéj chwili korzystać. Osada była dość liczna, składało ją grono uczonych mężów, którzy wśród najniekorzystniejszych warunków zdołali dla swéj badawczéj myśli odpowiedni znaleść przedmiot. Zatrzymano się w Eis-Fiordzie (w lodowatym Fiordzie), w długiéj, głęboko w ląd stały wdzierającej się zatoce morskiéj przedsiębiorąc ztąd drobniejsze, naukowe wycieczki, które bez owoców nie pozostały. Kilka wrażeń i ciekawych szczegółów o nowém miejscu pobytu wyprawy szwedzkiéj zamieścił w swym liście jeden z członków.

„Z dziwném uczuciem ciekawości, tak brzmi powyższy opis, wysiadaliśmy na brzeg wyspy, ci zwłaszcza co nigdy jeszcze téj okolicy nie widzieli. Powietrze i cała przyroda w Eis-Fiord wydała nam się przyjemniejszą jak na Niedź-

wiedziéj wyspie. Krom tego szczególniejsze spotkało nas szczęście, podczas naszego pobytu zwłaszcza z początku zajaśniała piękna, złocista pogoda. Śród miłego słonecznego ciepła, które do 20° Cels. dochodziło, odbywaliśmy przechadzki na górzystych pochyłościach, co bynajmniéj nie przeszkadzało, że nazajutrz nas przywitał lodowaty wiatr, deszcz i zawieja śnieżna.

Co się tyczy krajobrazu na wyspie Szpicberg, to góry wielce się różnią kształtem i postacią od naszych rodzinnych skandynawskich skał granitowych. Nie bez słuszności cała wyspa od nich wyspą „Ostrych gór” się nazywa. W niezliczoném mnóstwie sterczą ostro kończące się szczyty skaliste a między niemi od czasu do czasu podłużny przesuwa się grzbiet górzysty, ale również ostry a tak wązki, iż zdaje się jak gdyby jedynie dla samotnego przeznaczony był podróżnika, co po kamienistéj ścieżynce ostrożnie swe kroki naprzód posuwa.

Wiadomo, że drzew na Szpicbergu nie masz zupełnie, zaledwie drobne krzaki tu i owdzie się ukazują na rozległém tle przestrzeni, pokrytéj mchem i porostem. Czasem strzeli dumnie, nad roślinnym światem królujący mak żółty. W wielu miejscach wyrasta różno-gatunkowa trawa ale tak bujnie, że nieraz rodzaj zielonego stanowi pokrowca. Szczególniéj Fiord Lodowaty stał się przedmiotem pieszczot północnéj natury. To téż ta bujniejsza w jego okolicy roślinność domyślać się każe, że i świat zwierzęcy w liczniejszych przedstawia się okazach. Dlatego słynęła oddawna i słynie jeszcze dotychczas ta zatoka jako bardzo ożywiony targ na renifery, lubo ich liczba z każdym dniem dla zbyt wczesnego polowania widocznie się zmniejsza. Ale w ogóle nie wygląda tu tak bardzo samotnie, jakby się napozór zdawać mogło; często w różnych zatokach spotykać się dają rybackie łodzie zajęte głównie połowem białéj ryby, rodzaju delfina, w młodym wieku szarawéj, późniéj białéj jak śnieg, która w tłumnych gromadach w tych wązkich morskich kryje się zatokach. Połów ten nader korzystny istnieje niedawno, bo dopiero od przeszłego roku (1867).

Wreszcie przybywają i Anglicy bardzo często do Lodowatego Fiordu na polowania. Ściąga ich tu renifer. Te wycieczki dla łowu i przyjemności przedsiębrane do Szpic-

bergu przez Anglików podczas skwarnego lata, dokuczliwego w całéj Europie, niewątpliwie z każdym rokiem powiększać się będą i nie wiele upłynie czasu a urządzą Anglicy parową do Szpicbergu żeglugę i wspaniały na szczycie jakiéj góry wzniosą jeden z takich zajazdów, jakim się alpejskie już szczycą wyniosłości. Zdaje się że dla piersiowo cierpiących, pobyt na Szpicbergu mógłby być bardzo korzystnym, sami na sobie tego doznaliśmy, że nam łatwiéj i swobodniéj było oddychać jak w środkowéj lub południowéj Szwecyi; nadto żadna nie pokazała się między osadą piersiowa słabość, żadnego nie było zaziębienia, kataru lub kaszlu.

Zdobycze, jakieśmy w Lodowatym Fiordzie poczynili, odnoszące się do nauk przyrodzonych, wielce nas zadowolniły. Szczególniéj geolodzy wynaleźli wiele ciekawych kopalnych roślin, dziś już nie istniejących.

Z Lodowatego Fiordu posunęła się wyprawa nieco daléj w celu zbadania wyspy Książe Karol (Prince Charles Foreland). Z zachodniego jéj brzegu zapuszczano sznur miarowy no dno morskie; niesłychana pokazała się głębina, wynosząca 7,500 stóp. Ponieważ wschodni brzeg téj wyspy dotychczas jeszcze zupełnie był nieznany, pozostała więc w tém miejscu część osady, złożona z kilku badaczy; główne zaś grono pod przewodnictwem Nordenskiölda udało się na okręcie w kierunku ku Grenlandyi, żeby dotrzéć do jéj brzegu, zwłaszcza wyżéj 80$^0$ szer. półn.

Na wysepce osiadło szczupłe kółko ludzi, oderwanych niemal od świata, niczem z nim nie połączonych. W danym razie nawet i możności nie było dostać się znowu do swoich. Samotność wypełniali naukowemi badaniami. Wzniesiono naprędce małą chatkę i w niéj urządzono obserwatoryum magnetyczne. Ale wicher jesienny częste wyrządzał psoty, przejmujące zimno nie pozwalało z całą swobodą oddać się pracy umysłowej.

Już się i jesień zbliża, z wielu to znaków spostrzegać się daje. Żółknie liść na podbiegunowéj wierzbie, a słońce co nam dotychczas dniem i nocą bez przerwy świeci na naszym widnokręgu, tak się już pochyliło, że się niebawem złotym swym rąbkiem w morskich zanurzy falach....."

Główna zaś wyprawa, co się skierowała ku grenlandzkim brzegom, także miała powód uskarżać się na niepowo-

dzenie. Wprawdzie wysunęła się z wielkim wysiłkiem, aż pod 80° 52′ pół. szer., ale groźne bryły lodu, jakich dotychczas w tak zbitych massach nigdy jeszcze nie widziano, zupełnie dalszą zatamowały drogę. Pod koniec sierpnia zawrócił więc statek, spiesząc ku tym, którzy na wyspie pozostali w niecierpliwości na oczekiwaniu swoich zbawicieli.

Z dawnego miejsca wzdłuż i w poprzek liczne przedsiębrano wycieczki, ale lody i zimno coraz silniejsze stawiało zapory. Dlatego téż mniejsza część uczonych podróżników, skorzystała ze sposobności i wróciła do kraju na statku norwegskim, co po węgle kamienne w te strony przypłynął. Inni zaś członkowie wyprawy pozostali jeszcze na dalszy czas z Nordenskiöldem, od którego doszły do Niemiec listy z połowy września, w których uczony professor i przewódca wyprawy wyraża całe swoje zadowolenie z tegorocznéj wycieczki.

„Wypadki naszych poszukiwań—pisze Nordenskiöld—przechodzą moje oczekiwania. Wprawdzie nie odkryliśmy żadnéj nowéj ziemi, żadnéj nieznanéj wyspy; ale bo téż to bynajmniéj nie było celem naszéj wyprawy: przynosimy natomiast tak bogate o Niedźwiedziéj wyspie i o Szpicbergu wiadomości, że ta część ziemi śmiało liczyć się może do najdokładniéj zbadanych. Skamieniałości roślinne, kopalne szczątki zwierzęce, rzucają ciekawe światło na przeszłość tych wysp, o których do téj pory tylko ułamkowe i bajeczne krążyły wiadomości."

Niezrażona licznemi przeszkodami, wyprawa szwedzka przedsiębrała jeszcze częste wycieczki w porze dość już spóźnionéj. Przemocą prawie włamywano się w lodowaty pas, który zamyka drogę na północ. Narażano życie całéj osady na śmierć niechybną, kiedy statek wcisnąwszy się między ostrza lodu uległ zepsuciu i kiedy przez otwór w bocznéj stronie rozbity, woda gwałtownie wlewać się poczęła.

W pierwszych dniach października wyprawa widziała się zmuszoną zawinąć do bezpiecznéj przystani, gdzieby można naprawić u statku wyrządzoną szkodę. Wybrano więc w tym celu King-Bai, zatokę wielce spokojną. Skorzystano z odpływu wieczornego i wyprowadzono statek na brzeg i tu zajęto się naprawieniem uszkodzonéj części. Smutny ten

wypadek był ostateczném już napomnieniem do szybkiego powrotu.

Pod koniec więc października przybił statek do Tromsö na norwegskim brzegu, a niebawem zawinął do Göteborga, zkąd dla całéj wyprawy najobfitsze płynęło źródło, zachęty i pomocy.

Nie jesteśmy dziś jeszcze w stanie powiedzieć, czém się wyprawa Nordenskiölda nauce przysłużyła do téj chwili, czemu się zresztą dziwić nie należy, nic jeszcze ogłoszoném nie zostało. Wątpić nie wypada, że to co Nordenskiöld przywiózł ze swojéj wycieczki będzie istotném dla umiejętności przyrodzonych wzbogaceniem, że przysporzy i dla fizyki, dla meteorologii a głównie dla magnetyzmu ziemskiego wiele ciekawych a nowych wiadomości. Wstrzymujemy się przeto obecnie od bliższych wskazówek i uwag. Rzućmy jednak okiem na całą wyprawę z innego stanowiska, odnoszącego się do zagadnienia tyle razy już w różny spoób rozwiązywanego. Jaka droga prowadzi przez biegun? Czy droga sucha, czy téż wodna. Jakie w tym względzie wyprawa szwedzka zdobyła przekonanie, i czém w obec dotychczasowych usiłowań jest jéj świeże doświadczenie.

Nordenskiöld wyprawiał się pod biegun w tém przekonaniu, że w porze przedjesiennéj najdogodniejsze znaleźć można warunki do przeprawienia się przez biegun drogą wodną.

Liczne zapory lodowe, nieustanne góry, które wstrzymywały bieg statku, cały stan temperatury wyrobiły jednak zdanie wręcz przeciwne w jednym z członków téj wyprawy w kapitanie Bar. v. Otter. Statek szwedzki rzeczywiście mimo niesłychanych przeszkód wysunął się ku północy bardzo daleko, Phipps i Franklin dotarli zaledwie do 80° 48′, i 80° 28′ tymczasem szwedzka „Zofia" zbliżyła się aż do 81° 42′. Do bieguna jednak jeszcze daleko. Baron Otter powiada więc w swojém sprawozdaniu (1) że dla ogromnych brył lodu droga dalsza jest niemożebną.

Wprawdzie słuszne było zdanie Nordenskiölda, bo w rzeczy saméj pod koniec sierpnia, na początku września

(1) Sprawozdanie urzędowe z d. 20 października 1868 r. Petermann. Geogr. Mittheilung. XII Heft. 1868.

lód zmniejsza się ilościowo, i pod względem jakości także się psuje. Gnije wtedy lód, mówiąc żeglarskiém wyrażeniem, ale tém nie mniéj nie jest spławnym, nawet i dla parowców. Wprawdzie jesienne burze rozdzielają te massy bryłowate lodu, i w nich dość szerokie tworzą szpary, jednak i te bardzo prędko pokrywają się nową lodowatą powłoką, która się tworzy ze spadającego śniegu, nadto zmniejszający się dzień, zmrok jesienny utrudniają wszelkie dalsze naprzód kroki. Zdaniem więc Ottera najłatwiéj byłoby się przedostać na sankach, ale w innéj porze mianowicie na początku wiosny, kiedy jeszcze mocno zbity śnieg pokrywa lodowate bieguna przestworza. Należałoby się zatrzymać na jednéj z najbliższych wysp i ztamtąd puścić się na sankach, a skutek pomyślny nie zawiódłby oczekiwań.

W rzędzie licznych *usiłowań* podejmowanych celem dostania się pod biegun mieszczą się również i wyprawy na sankach. Nie tylko prostych ale i złożonych używano środków tyle ile przypuszczeń być może co do stanu ciekłego lub stałego podbiegunowéj okolicy. Ale dotychczasowe usiłowania bezowocnemi pozostały. Wyprawa Petermann'a, przygotowywana we Francyi Lamberta, w końcu wycieczka szwedzka obudziła na nowo w świecie naukowym domniemania, zrodziła przypuszczenia, przy których pomocy możnaby zagadkowe o biegunie rozwiązać zagadnienia. Biegun północny, podbiegunowa okolica poruszać znowu zaczęła umysły uczonych naturalistów i geografów, czytająca powszechność żywe dla tego samego przedmiotu poczuła zajęcia. W kołach naukowych i w szerszém gronie średnio wykształconego ogółu wszędzie zarówno rozbudziła się ciekawość dla poznania odległego świata, dziś dzięki naukowym usiłowaniom, coraz więcéj znanego. Ani wątpić nie należy że to gorące zajmowanie się zamkami na lodzie niebawem wywoła poważniejsze przedsięwzięcie; francuzkie, angielskie lub szwedzkie towarzystwa niewątpliwie w tym jeszcze roku pod jesień wystąpią z nowemi pomysłami. Podobno Dr. Petermann myśli o powtórzeniu nieszczęśliwéj piérwszéj wyprawy.

Nim pomyślny zwrot losu pozwoli odważnym żeglarzom odsunąć tak zręcznie przez naturę utrzymywaną dotychczas zasłonę, nim szczęśliwy wypadek zdradzi owę tajemniczość

w którą się podbiegunowa kryje okolica, uczyńmy z naszéj strony przygotowawcze kroki dla obznajmienia się z owym zaczarowanym światem lodów, który może niebawem oko śmiertelnika oglądać będzie.

---

Biegun północny.—Okolica podbiegunowa.—Granica lodów.—Rzut oka na dzieje wypraw podbiegunowych. — Dr Kane, 1854 r. — Dr Hayes, 1860—61.— The open Polar Sea, 1867.— Brzegi Grenlandyi— Przystań Foulke, 78°. — Wyprawa na lodnik.—Zorza północna.—Noc podbiegunowa. Wycieczka na północ aż do 81°.—Powrot.—Lodniki Grenlandyi.

Przenieśmy się myślą pod biegun północny, stańmy w têm miejscu, gdzie się przecinają wszystkie koła południkowe i gdzie się północna oś kuli ziemskiéj przesuwa. Wokoło rozlane obszerne morze, które właściwiéj oceanem nazywać należy, liczy bowiem jego średnica do dwóch tysięcy mil długości. Stały ląd zewsząd niemal otacza ten rozległy wodozbiór; brzegi tych krain prawie wszystkie są znane, tylko północne krańce Grenlandyi i Grinelu, co się najdaléj w morze wysuwają, mniéj dotychczas zbadane zostały. Brzegi tego lądu wszędzie w jednakiéj leżą odległości od bieguna, wszystkie mieszczą się w obrębie strefy wiecznego mrozu. Ziemię tę ludzie zamieszkują, tego samego pochodzenia, jednakowéj rasy będący. Żyją wyłącznie z polowania i rybołostwa; zakładają swe siedziby nad brzegiem morskim albo nad rzekami, które na północ płyną. Wiadomo bowiem, że ląd stały, co otacza w około biegun północny, poprzerywany tu i owdzie, tworzy szerokie drogi morskie, które łączą wody oceanu Północnego z wodami Atlantyku lub oceanu Spokojnego.. Takiemi drogami wodnemi są Baffina zatoka, cieśnina Beringa i szeroki pas wodny, żadnym nie wypełniony lądem, między Grenlandyą a Nową-Ziemią. Wody dwóch oceanów w nieustannym między sobą pozostają związku. Z południa, z pod zwrotnika Golfstrem, płynie prądem ciepłéj wody i wylewa ją do oceanu przez szerokie wrota, od wschodniéj strony Szpicbergu, a z zachodniéj wydostaje się prąd zimnéj wody przez cieśninę Dawisa. Łatwo ztąd pojąć można, dlaczego

przez taki przypływ ciepłéj wody, temperatura morza Lodowatego nigdy zbyt nisko nie spada, i jakim sposobem mnóstwo ciepłéj wody łagodząco wpływa na cały stan powietrza podbiegunowych krain, jeżeli zwrócim uwagę i na to, że prawdopodobnie samo morze Lodowate, tę samę mające szerokość co i Atlantyk, między Ameryką a Europą, tę samę ma także głębokość.

Tylko cząstki wody na powierzchni morza pływające do tyla obniżają swoję temperaturę, że się na lód zamieniają, inne zaś pędem wiatru z miejsca na miejsce przenoszone, łącząc się z cząstkami warstw wewnętrznych, stanowią przeszkody do tworzenia się lodowatéj powłoki. Lód nietylko w pewnych miejscach zasłoniętych powstać może, zwłaszcza w zatokach, tam gdzie woda jest tak płytka, a prąd tak słaby, że się woda zupełnie ostudzi, ale i tam gdzie jednostajnie spokojne nad morzem unosi się powietrze, mało co wiatru siłą kołysane. Gdy jednak, jak wiadomo, i pod biegunem huczą takież same gwałtowne uragany jak i na lądzie stałym, łatwo więc zrozumiéć, że tylko niezbyt wielka część Północnego oceanu pokrywa się lodem, że głównie lodowata powłoka tam się tworzy, gdzie ku temu sprzyja wyniosły brzeg stałego lądu. Ztąd téż, rzuciwszy okiem na cały przestwór podbiegunowy, spostrzegamy, że lód czepia się brzegów, dotyka swą lodowatą ścianą Syberyi, przesuwa się po przez Beryuga cieśninę do Ameryki, obejmuje w swe zimne objęcia cały brzeg amerykański, wypełnia sobą ciasne kanały, które wprowadzają wody oceanu do zatoki Baffina, ztąd ciągnie się długiém pasmem do Grenlandyi, z Grenlandyi do Szpicbergu, a w końcu do Nowéj Ziemi. Tak więc lód w około bieguna północnego tworzy rozległy pas lodowaty, okolający podbiegunowy ląd stały. Zimą i latem, pod wpływem zmiennéj temperatury, przerywa się ten pas lodowaty, a bryły, które tu i owdzie pływają, nigdy zbyt daleko się od siebie nie oddalając, stanowią tak silną przegrodę i zawadę, iż ich dotychczas usunąć nie była w stanie ani sztuka ani siła człowieka.

Jakkolwiek nie przełamano do téj pory tego lodowatego pasa, w wielu jednak miejscach starano się wydostać daléj ku północy, płynąc po wodach, które się zbierają w ujściach rzek podbiegunowych Azyi i Ameryki, albo téż przedzierając

się przez bryły lodu, który podczas lata w mniéj lub więcéj kruchym znajduje się stanie. W taki sposób liczni żeglarze usiłowali przedostać się po drodze północno-zachodniéj, aż w końcu sir Robert Macclure po długich poszukiwaniach szczęśliwie od Berynga cieśniny przedostał się na drugą stronę Ameryki północnéj, ale okrętu swojego nie uratował, na innym więc powrócił wypłynąwszy z Baffina zatoki. W podobny sposób dostał się kapitan Collinson, udając się z zachodu na wschód, prawie aż do miejsca, w którém Franklin zaginął.

Takim sposobem zbadali i rossyjscy żeglarze brzegi sybirskie, lecz dwie spotkali zawady, które tamują przedostanie się z oceanu Wschodniego do Atlantyckiego; przylądek Jakan, około którego zawsze się w ogromném mnóstwie lód gromadzi, tak że i Beryng daremnie starał się opłynąć a oprócz tego przylądek Siewiero-Wostocznoj.

Liczne podejmowano usiłowania, żeby pas lodowaty przebyć w téj nadziei, że pod biegunem wolny od lodów spotkać można ocean. Korzystano z każdéj większéj lub mniejszéj szczeliny, żeby się po niéj wedrzéć do łona lodowatego morza: daremnie. - Dzieje tych usiłowań stanowią nieprzerwany szereg niepowodzeń i zawodów. Zacząwszy od Cooka, wszyscy żeglarze co się po nim puszczali od Berynga cieśniny ku północy, zatrzymywali się w obec brył lodu, które dalszy bieg okrętu tamowały; podobnież takiego niepowodzenia doznała także wyprawa Hudsona i jego naśladowców płynąca od strony Szpicberga, i przez Baffina zatokę również daremne były wycieczki. Nierównież skuteczniéj usiłowano dostać się pod biegun ze strony zachodniéj Szpicberga, i w tym właśnie kierunku najwięcéj ku północy zbliżył się Scoresby, bo stanął pod 81⁰ 30′ pół. szer. Jakkolwiek utrzymują, że Hudson i inni żeglarze znacznie daléj się wysunęli, to w obec słabych jednak dowodów za najpewniejsze przyjąć można, iż wyżéj podany kres jest najdalszym punktem, do którego dotarł Scoresby.

Kiedy więc lód stawiał podróżnikom okrętowym nieprzezwyciężone przeszkody, usiłowano przebyć lodowate przestrzenie na sankach. Najwięcéj tu Rossyanie uczynili. Morscy oficerowie puszczali się daleko od brzegów po śnieżnych bezdrożach, korzystając z zaprzęgu psów, przyuczonych

do jazdy u tamecznych nad brzegiem sybirskim mieszkających ludów. Najdzielniejszym i najśmielszym był admirał Wrangel, który po długoletnich swoich usiłowaniach przyszedł do przekonania, że północne morze w pewnych porach roku przedstawia niezamarzniętą zupełnie przestrzeń (nazyw. Połynia), od téj pory przyjęto, jako pewnik, że ocean podbiegunowy jest wolny od lodu, a więc i od przeszkód do przebycia go drogą morską.

Parry podobnegoż chwycił się środka, używał sanek, ale obok tego i łodzi. Wysuwał się na północ od Szpicberga, jużto łodzi, to na przemian sanek używając, ale i jego usiłowania pomyślnego nie doznały skutku.

Ostatecznie puścił się podobnąż drogą i Amerykanin, Dr Kane, wybrawszy zatokę Baffina i po niéj w dalszym ciągu przez Sund Smith'a; gdy na północ się wysuwał w zatoce Rensselaer przez lody wstrzymany został. Ztąd puścił się sankami; po długich usiłowaniach zdołano nareszcie dotrzéć do miejsca, gdzie się znowu zdaleka woda pokazywała. O niéj tak w swojém sprawozdaniu pisał naówczas Dr Kane: „Z wysokości 580 stóp patrzyliśmy (1) na wodę, nie mogąc dojrzeć jéj granic; silnie sfalowana, była zupełnie bez żadnéj lodowéj powłoki, i pieniąc się uderzała o skaliste brzegi." Były to brzegi tego kraju, który Kane Waszyngtona Ziemią nazwał, na zachodnim brzegu Grenlandyi. Dr Kane posunął się więc aż do 80° 50′ na północ, i ztąd jeszcze daléj na szerokość jednego stopnia wprawdzie osobiście nie zwiedził, ale widział przestrzeń wody zupełnie wolnéj.

W wyprawie Dra Kane, która po wielu nieszczęśliwych przygodach wróciła do Nowego-Yorku, w październiku 1855 roku, brał także udział i Dr Hayes, w charakterze lekarza téjże wyprawy. Niebezpieczeństwa, niewygody podróży na jakie cała osada okrętowa była narażaną, nie ostudziły gorącego zapału naukowego w jednym mianowicie jéj uczestniku, w Hayesie. Żył on po powrocie wyłącznie myślą nowéj wycieczki, zbierał, porządkował i zestawiał pomysły usnute podczas pierwszéj swojéj podróży. Zamiar nowego usiłowania, prowadzonego w innym lepszym kierunku, opanował całą jego duchową istotę. I byłby niewątpliwie Hayes w bardzo prędkim

(1) Było to w roku 1854 w czerwcu.

czasie urzeczywistnił swoje gorące życzenia, gdyby jednéj osoby dobre chęci i nieograniczony zapał były w stanie pomyślny zapewnić koniec dalekiéj wyprawie. Ale podróż do bieguna tylko zbiorowemi siłami do skutku przyjść może; środki pojedynczego bogacza nie wystarczyłyby na pokrycie kosztów dalekiéj wyprawy. Dr Kane wycieczka pochłonęła niezmierne zasoby pieniężne różnych publicznych towarzystw naukowych Ameryki i ludzi prywatnych. Kilka osób z osady życiem przypłaciło. Zniechęcenie przeto do biegunowych podróży dla strat materyalnych było powszechne. Z ważniejszemi jednak przeszkodami łamać się musiał każdy, kto nową chciał przedsiębrać wycieczkę — z uprzedzeniem upartém, utrzymującém, iż wszelkie usiłowania płonnemi okazać się muszą, bo dalsza podróż na północ, jakto Dra Kane świadczy wyprawa, jest niemożliwą.

Hayesa wytrwałość, wypróbowana śród podbiegunowego zimna, śród niewygód na bezludnéj ziemi lub bezludném morzu, nieustraszona, nie tak łatwo się ugięła przed twardym, nieprzyjaznym losem Cayes ożywiony wiarą w ostateczne urzeczywistnienie swojego zamiaru, nigdy się z myślą swoją nie rozstawał, i ta wiara pchała go naprzód. W ustnym wykładzie zaczął przedstawiać możność przedostania się przez biegun. W grudniu 1857 r. stosowny w tym przedmiocie miał odczyt w Towarzystwie Amerykańskiém, przyjaciół geografii i statystyki. Daremne były jednak usiłowania: obojętność i lodowate zimno ze strony Towarzystwa spotkały jego zamiary, nim się sam jeszcze dostał do krainy podbiegunowych lodów. Ale nie tak łatwo przeszkodami da się odstraszyć dusza młodego człowieka, kiedy sobie liczy 25 lat życia. Hayes był w kwiecie swojego wieku, jeszcze przeciwności nie były w stanie wyczerpać zasobu bogatego wytrwania. Postanowił wtedy rozbroić obojętność i nieprzychylny głos powszechności w inny sposób. Korzystał Hayes z ówczesnego w Ameryce zwyczaju, który się w 1857 r. coraz więcéj krzewić począł, iż każde miasto, najdrobniejsza osada urządzała u siebie publiczne z dziedziny nauk odczyty zimowe. Ogłasza przeto swoje wykłady w przedmiocie najbliżéj go obchodzącym, i czyta zimową porą, w 1858 r., i na wiosnę tegoż roku, między innemi, bardzo przychylnie przyjęte wykłady o podbiegunowych wyprawach w Waszyngtonie. Oświecona powsze-

chność przez młodego podróżnika, co z własnego prawił doświadczenia, chwiać się poczęła w swém upartém uprzedzeniu, jakoby wszelka następna wyprawa pod biegun była kary godném marnotrawstwem sił materyalnych i duchowych.

Wniosek wyprawy podbiegunowéj ostatecznie i najskuteczniéj poparło Towarzystwo Zachęty Nauk w Baltimore, któremu przedstawił prof. Bache zamiar Hayesa. Wyznaczono komitet z 16tu najznakomitszych członków dla „badań podbiegunowych.“ Odtąd myśl Hayesa stanęła na bezpiecznéj drodze i bliską już była urzeczywistnienia. Przyjęta w zasadzie przez jedno z najpoważniejszych towarzystw, wymagała tylko poparcia materyalnego. I na tém nie zbywało, skoro się zbieraniem składek zajęły różne po kraju rozgałęzione stowarzyszenia naukowe. Kiedy akademia w Filadelfii, Towarzystwo Bostońskie i inne uczonych mężów grona przyłożyły czynną swą rękę, powoli zbliżał się ku urzeczywistnieniu pierwotny pomysł. Odczyty na korzyść wyprawy mnożyły się po wszystkich miastach, sam Hayes występował ponownie, a w Bostonie mówił przed licznie zgromadzoną powszechnością, jednając sobie wszędzie przychylne umysły.

Świat zagraniczny pośpieszył również z życzliwemi a hojnemi darami. Towarzystwo jeograficzne paryzkie ofiarowało znaczną summę na poparcie podbiegunowéj wyprawy. Mimo usiłowań i pośpiechu kilka lat zeszło bezowocnie. Z początkiem 1860 r. przygotowania były do tyla poczynione, że z wiosną mogła już ku dalekiéj północy wyruszyć osada. Nieprędzéj jednak jak na początku lipca zebrano wszystko, co potrzebném było do podbiegunowéj wyprawy. Dr Hayes objął naczelne dowództwo na statku parowym *United States* (Stany Zjednoczone), i wypłynął z Bostonu 6 lipca 1860 r. na pełne morze. Towarzystwo całe z 14tu składało się osób. Jedyną i prawdziwą pomoc naukową stanowił dla Dr Hayesa August Sonntag, który już w poprzedniéj wyprawie Dr Kane przyjmował udział, jako astronom. Po powrocie zajmował się wymiarami w Meksyku, będąc przy boku barona Müllera; przeniósł się następnie do Stanów Zjednoczonych i w Albany objął zaszczytne miejsce zastępcy dyrektora obserwatoryum.

Ożywiony niemniéj szczerą chęcią służenia nauce, jak Hayes, Sonntag przyłączył się do wyprawy podbiegunowéj.

Prace jego, niestrudzona usilność jednały mu powszechny szacunek. Ciężko jednak młody astronom przypłacił swój zapał naukowy, nie wrócił bowiem z pod bieguna do swoich i do swojéj ziemi—złożył kości w lodowatym grobie.

Wyprawa Hayesa powróciła do Ameryki w roku następnym, domowa wojna przygłuszyła wszelkie naukowe dążności; o skutkach i wypadkach poszukiwań Hayesa słabe tylko do Europy dochodziły głosy. Po kilku zaledwie latach, kiedy umilkła wrzawa domowych zatargów, Hayes mógł zabrać się do pióra, żeby nakreślić ogólny obraz swojéj podróży. Z dziennika prowadzonego podczas wyprawy, świeże mieszczącego wrażenia, nie trudno było po wypełnieniu szczerb podać zaokrągloną czytelnikom całość. Jakoż przed niedawnym czasem ukazała się Hayesa praca p. n. *The open Polar Sea* (Wolne morze podbiegunowe) Lond. New York, 1867 r., a świeżo na język niemiecki, przez Martina (Jena), przełożona. W trzydziestu dziewięciu rozdziałach mieści w sobie szczegółowy opis podróży od wyjazdu z Bostonu, w lipcu 1860 r., aż do powrotu w październiku następnego roku. Wyjątki z dziennika podróży przeplatają opowieści wypadków i poszukiwań naukowych. Szczegóły z życia takiéj szczupłéj osady na odległém, samotném morzu; przygody nieraz bardzo drobne, codzienne, rozwijane jednak na tle nowych odkryć geograficznych lub fizycznych opisów, wielce nauczającem czynią powyższe dzieło. W literaturze geograficznéj jest to utwor rzadkiéj wartości. Naukowe spostrzeżenia, geograficzne odkrycia są wszystkie niemal nowemi w téj gałęzi umiejętności zdobyczami; nierównie jednak piękniejszą stroną poszczycić się może Hayesa dzieło—artystyczném wykończeniem. Naukowa dążność poważnego umysłu Hayesa nie zasklepiła się wyłącznie w jednym tylko kierunku; służąc celom naukowym, umiał także Hayes zadość uczynić i wymaganiom zewnętrznym: przedmiot nauczający pięknem wykłada słowem. Umiejętne badanie lodowatéj przyrody podbiegunowéj nie przytłumiło w nim uczucia dla piękna estetycznego, kryjącego się w obliczu choćby i zamrożonéj natury. Wrażliwość w wysokim stopniu, co zdołała odczuć każde najsłabsze tętno życia śród głuchéj przyrody, pochwycić każdy odcień nadobnych kształtów — dziwną się nieco wydaje pod amerykańskiém piórem. Opisy pojedyn-

czych zjawisk, na które fizyk lub meteorolog powszedniém patrzy okiem i naukowym swym suchym przedstawia językiem, tchną u Hayesa niewysłowionym urokiem świeżości, i miłym uśmiechają się wdziękiem.

Nie zamierzamy przytaczać opisu pojedyńczych przygód z codziennego życia wyprawy, niech nam raczéj będzie wolno obok treściwego przedstawienia naukowych jéj wniosków, pomieścić kilka ustępów, które będą w stanie w ujmujących obrazach dokładne a pełne dać wyobrażenie o zaklętej, tak mało znanéj, krainie lodów.

Z początkiem lipca 1860 r. ruszyła wyprawa amerykańska z przystani Bostońskiéj, w prostym udając się kierunku do Grenlandyi. Najbliższym jej celem był zachodni brzeg Grenlandyi. Przedostawszy się szczęśliwie przez Davisa cieśninę, przybył Hayes do Upernawik, osady grenlandzkiéj, prawie najdaléj na północ posuniętéj, żeby ostateczne poczynić przygotowania do dalszéj wyprawy podbiegunowéj. Zaopatrzono się w dość liczną gromadę psów pociągowych, któremi w wycieczkach na śnieżnych polach dalekiéj krainy wyręczać się zamierzano. Przy wietrze pomyślnym płynął statek w dalszą drogę przez Baffina zatokę, któréj kres północny 77 stopniem północnéj szerokości da się oznaczyć. Od téj jednak chwili sprzyjające znikały coraz więcéj warunki. Mnożyły się na każdym kroku lodowe zapory, lodowe góry w zbitych masach tamowały dalszy przejazd. Zaledwie sierpień miał się ku końcowi. Zdaleka ukazywała się cieśnina Smitha; jéj wody oblewają brzegi stałego lądu, dość do siebie zbliżonego, między 78 i 80 stopniem. Na jednéj stronie przy wejściu do cieśniny sterczy przylądek Izabelli, po drugiéj wysokie skaliste ściany przylądku Alexandra stoją na straży. Kiedy się statek zbliżył do tych bram lodowatych, gwałtowne lodu bryły, co od 1 do 10 stóp nad wodą się wznosiły, zaległy całe przejście wodne. Zerwała się burza, niebezpieczeństwo z dwóch stron groziło, statek tylko przy umiejętném kierownictwie Hayesa ocalał. Wszelkie dalsze przedzieranie się przez lody okazało się daremném.. Roztropność radziła zakończyć tu już piérwszą zimową część wyprawy. Po wyszukaniu odpowiedniéj zimowéj przystani, rozsiadła się załoga okrętowa na lądzie stałym na brzegu grenlandzkim, wyżéj nieco 78° na zachodniéj stronie. Było to na początku paź-

dziernika. Wyprowadzono statek z wody, urządzono zimowe leże i rozwinięto wtedy naukowe badania i poszukiwania. Przystań nazwał Hayes od imienia przyjaciela swego Foulke'a z Filadelfii, jednego z najgorliwszych obrońców podbiegunowéj wyprawy.

Przystań Foulke'a służyła za główne ognisko pobytu i prac naukowych. Po dłuższych kilkodniowych wycieczkach, wracano do skromnéj osady, żeby w niéj pokrzepić strudzone ciało. Duszą naukowych poszukiwań był sam Hayes; wspierał go dzielnie Aug. Sonntag, astronom. W niewielkiéj od przystani odległości urządzono podróżne obserwatoryum, w niém ustawiono przyrząd wahadłowy, umieszczono magnotometer, naokoło zawieszono w odpowiedniém miejscu termometry. W takim skromnym namiocie wystawiono szczupły dla nauki ołtarz. Sonntag zajął się wymiarem przystani i kreśleniem jej mappy, Hayes przedsiębrał wycieczki dla zbadania wschodniéj okolicy. Po kiku pomyślnych przejażdżkach, jakie w śnieżnéj odbył krainie, puścił się Hayes pod koniec października w dalszą podróż dla zwiedzenia olbrzymich lodników. Towarzyszył mu Sonntag i prócz tego z 5 osób złożone grono załogi okrętowéj. Wprawdzie już od dwóch blizko tygodni słońce skryło się pod widnokręgiem, i zginęło z przed oczu na całe cztéry miesiące, bladawy jednak zmrok, oświecony srebrném księżyca światłem, był aż nadto wystarczający do podróży po biało śnieżnéj powłoce podbiegunowéj Sachary.

Postanowiliśmy, pisze Hayes, dostać się na olbrzymi lodnik. Stanęliśmy obozem u stóp jego. Nazajutrz rącze psy do sanek założone wciągnęły nas na grzbiet lodnika. Krajobraz odsłonił się oczu naszym istotnie malowniczy; ujrzeliśmy się śród trój-graniastéj małéj doliny, jezioro w samym środku mieszczącéj. Po lewéj stronie wznosił się wysoki lodnik, a po prawéj spływał lodowaty strumyk przez głęboki parów. Przed nami stał poważny i wyniosły słup z czerwonego skalistego piaskowca, który obejmowały sobą te dwa strumienie, co się za nim łączyły i tworzyły z téj samotnéj kolumny wyspę śród morza, które się z lodów składało.

Przeszkody do dalszéj podróży mnożyły się na każdym kroku. Zimno dochodziło do nieznanéj ostrości; przy 35° R. oddychanie było utrudnione. Chropawa, niemal skalista po-

wierzchnia lodu nie dozwalała sankami po jego gładkiém gdzieindziéj obliczu pomykać. Trzeba było samemu dźwigać swe ciało i wznosić się na szczyty lodnika; trzeba było nadto nieść na własnych barkach cały ciężar i wszystkie przyrządy do wyprawy. Nawet sanki nie mogły się posuwać po téj lodowatéj powierzchni, najeżonéj nieskończonemi iglastemi ostrzami. Mroźny wiatr i szalony uragan powiększał niebezpieczeństwo dalszéj podróży. Przy wielkich wysiłkach wydostano się jednak na wysokość pięciu tysięcy stóp nad powierzchnię morza, a od brzegu oddalono się na odległość dość znaczną, która około mil 70 wynosiła.

,,Ujrzeliśmy się wśród morza złożonego z lodów, a wzrokiem brzegów jego dostrzedz niepodobna. Nigdzie oko, jednostajnością strudzone, ani góry, ani doliny nie spotykało. Cała przestrzeń między morzem lodów a brzegiem morskim zginęła zupełnie poza widnokręgiem i nic nie urozmaicało tego biédnego krajobrazu, tylko nasz drobny namiot, co się uginał pod falami rozhukanego powietrza. Przed bladém obliczem księżyca przeciągały pierzaste obłoki i przez tumany śniegu przedzierały się jego połyskujące promienie, a śnieg z odległéj pędził dali i mknął po lodowatéj płaszczyznie w falistych liniach, jak puch miękkich dla oka, ale dla ciał naszych ostremi uderzał strzały, i mrowie po całém ciele przechodziło. Jedyne ocalenie w ucieczce. Dlatego téż spiesznie zmierzać poczęliśmy ku dolinie i niebawem byliśmy o dwa tysiące stóp niżéj. Wiatr się uspokoił, w namiocie dogodny mogliśmy znaleźć odpoczynek. Nazajutrz przybyliśmy do naszéj przystani. Zima i ciemność rozpoczęły się na dobre. Pod koniec listopada tak dalece się zmierzchło, że tu już niemal zupełna noc zapadła: gwiazdy o każdéj porze błyszczały jednakim blaskiem.

Wiedzieliśmy wszyscy z młodszych naszych lat szkolnych, że pod biegunem panuje albo dzień nieprzerwany albo noc ustawiczna; teraz zaś kiedyśmy stanęli w obec rzeczywistości, trudno jest z tą myślą się pogodzić, trudniéj jeszcze się przyzwyczaić. Jeżeli nieustanne światło słoneczne podczas lata psuło nam porządek dawnych naszych zajęć, to tém szkodliwszy wpływ wywierała nieprzerwana ciemność zimy. Blask bowiem słoneczny utrzymywał nerwy w ciągłém roz-

drażnieniu, to znowu noc nieskończona zarzucała pochmurną na ducha powłokę i łamała energią naszéj woli.

Wprawdzie księżyc łagodzi nieco tę nieprzerwaną ciemność, posuwając się naokoło widnokręgu, zupełnie nie zachodząc, nim nie przebiegnie swojéj dziesięcio-dniowéj drogi. Błyszczy księżyc nieustannie od wschodu aż do zachodu; świeci zaś takiém światłem, jakiego nigdzie indziéj widzieć nie można. Jednostajna biała barwa krajobrazu i ogólna czystość powietrza, powiększają połysk jego promieni tak, iż swobodnie przy księżycowém świetle czytać można. Tameczni nawet mieszkańcy korzystając jakby z blasku słonecznego, odbywają w tym czasie w koczowniczém życiu różnorodne wyprawy lub dalekie czynią łowieckie wycieczki.

Dnie i tygodnie wśród zimy płynęły bardzo powolnie. Wzbogaciliśmy doświadczenie nasze niejednemi spostrzeżeniami. Jakkolwiek nas wyniosły kraj zasłaniał, na częste jednak i silne byliśmy wystawieni wiatry północno-wschodnie. Mimo że w zupełnéj niemal ciemności pogrążyła nas noc podbiegunowa i wokoło otaczały lodowe góry, widzieliśmy dotychczas wolne morze, a gniewliwe fale wodne często nas słusznym napełniały przestrachem. Nieraz obawialiśmy się, azali nas nie porwie na rozhukane morskie wody gwałtowny wicher i nie zaniesie na pełne morze lub o przyległe rzuci skały.

Temperatura była bardzo łagodna, co sobie łatwo wytłumaczyć można bliskością wolnéj zupełnie na morzu wody, i z téj saméj zapewne przyczyny pochodziły gwałtowne wzburzenia powietrza i liczne burze, co nad powierzchnią morza szalały. Temperatura wpadała w ostateczności, pod koniec listopada nastąpiła zupełna odwilż, w krótkim znowu czasie termometr (R) do 20 wzniosł się stopni. Niebawem gwałtowniejsza i zupełnie niespodziewana zaszła zmiana: lunął tak obfity deszcz, jak gdyby to był lipiec lub sierpień, zjawisko pod tym stopniem szerokości geograficznéj zaiste bardzo rzadkie. To znowu popruszył śnieg w również obfitéj ilości. Jednego dnia spadł i utworzył powłokę na wysokość 19 cali, a na początku grudnia przynajmniéj dwa już łokcie wynosił.

Badałem i przypatrywałem się z wielkiém zajęciem w téj porze ciepłéj płatkom śniegu, podziwiałem ich krystaliczne kształty; dziwna bowiem rzecz, iż owa prawidłowość

kryształu pokazuje się tylko na tym śniegu, co przy stosunkowo łagodniejszéj spada temperaturze. Tych kryształków nie spostrzegłem, kiedy termometr wznosił się lub spadał niżéj zera. Wtedy śnieg jest suchy, twardy, nie widać na nim tych drobnych, przezroczystych płatków, które wśród łagodniejszego tworzą się powietrza. Pod szkłem powiększającém przedstawiają kształt sześcio skrzydłowy lubo promienie w różnym rozwinięte były kształcie: najdokładniejsze z nich przypominały drobny listek paproci."

Na tak dalekiéj północy zdawaćby się mogło, że w najpiękniejszym blasku oglądać można te zjawiska, które nam w środkowéj strefie mieszkającym raczéj z opisu są tylko znane. Północna zorza, roztaczająca przed oczy podróżnika wspaniały obraz, ileżbo już nie zwabiła do siebie ciekawych widzów, jak liczne ze Szwecyi turystów grona śpieszą na północ, jedynie tylko dlatego, żeby podziwiać przyrodę, co i na bezludnéj północy słynie bogactwem jaskrawém swoich cudownych zjawisk. I Hayes także na początku stycznia miał sposobność bliżéj przypatrywać się téj wspaniałéj grze barw tęczowych; zauważył jednak, że północna zorza pod niższemi stopniami szerokości, 70° albo 60°, okazalszy niż na dalekiéj północy rozwija obraz. Jednego dnia, byłoto na początku stycznia, pisze Hayes w swoim dzienniku, dwie ukazały się zorze: poranna i wieczorna. Wyższym stopniem piękności jaśniała zorza przedpołudniowa.

„W chwili piérwszego brzasku téj zorzy wyszedłem między lodowe góry przy ujściu zatoki, a jakkolwiek czas południowy już się zbliżał, jednak omackiem niemal kroczyłem śród ciemności, która nieraz mię w kłopotliwe wprawiała położenie, kiedym się przesuwał po chropawym lodzie. Nagle wystrzelił jasny promień za ciemnym obłokiem, który tam w głębi kładł się u podnóża widnokręgu. Zaledwie chwilkę liczył swego istnienia; rozświeciwszy dziwném światłem powietrze, rozpłynął się w ciemności i zostawił większy po sobie zmrok, niż ten, który poprzednio panował. Niebawem coraz mniéj nabierał kształtu sklepienia łuk promienisty w poprzek przez niebo, i powoli zorza północna coraz wyraźniéj przed memi kreśliła się oczyma. Przestrzeń łukiem zakreślona ciemne tło przedstawiała, czarna chmura całe miejsce wypełniła. Gra promieni, które z nad brzegu tego nieu-

stannie świecącego się łuku wybiegały, roztaczała się zrazu w dziwnym nieładzie, jużto gwałtownym wybuchem ognia się nieciła, to znów łagodnym połyskała blaskiem porannéj zorzy. Światło nabierało większéj siły i z nieprawidłowych wybuchów wylało się powoli jednostajną jaskrawą powierzchnią. Powierzchnia jednak nie była zupełnie jednostajną, stanowiła raczéj rodzaj powodzi z różnobarwnie mieniących się pasów. Zjawisko to zrazu niewinne i spokojne, zamieniało swe oblicze na coraz groźniejsze. Szeroka kopuła nademną płonie ognistém światłem. Straszne ognie, gwałtowniejsze od tych, od których paląca się Troja zrumieniła niebo, gniewliwie zrzucają się w świat powietrzny: gwiazdy bledną w obec dziwnie błyszczącego blasku; łagodna Andromeda pierzcha bojaźliwie przed płomieniem, Perseusz się usuwa ze swoim błyszczącym mieczem, gwiazda podbiegunowa znika z ciemnośei nocnéj i Wielka Niedźwiedzica strażnica północy opuszcza swój posterunek i biegnie za swoją towarzyszką. Barwa światła głównie czerwoną mieni się barwą, w tym jednak przerażającym obrazie wszystkie mieszały się odcienia. W bladożółtym ogniu igrały swobodnie niebieskawe i żółte światła strumienie. Równolegle płynąc z obszernego sklepienia zlewają się w jedno wspólne światło i czarowną zieloność rzucają na twarz, na cały krajobraz. Zieloność przemaga nad czerwoną barwą, błękit i karmazyn płyną wązkim zrąbkiem w tym ognistym porcie; fioletowe strzały przedzierają się przez oświecające tło, strzelają ku niebu, i zdaje się iż do sklepienia górnego dotykają. Gra tego różnobarwnego światła na okolicznych przedmiotach była w istocie cudowna. Ponad morzem ukazywały się czarowne postacie niezliczonych gór lodowych, pojedynczych lub w gromadzie, a na ich szczytach igrał swobodnie jasny odblask jako ogień Wezuwiusza nad świątyniami Kampanii, skazanémi na zagładę...."

Grobowa ciemność skazywała całą osadę na bezczynność. Tu i owdzie w sąsiedztwo drobniejsze przedsiębrano wycieczki. Tak cały grudzień upłynął. Z niecierpliwością wyczekiwano piérwszego brzasku budzącego się światła. Ten piérwszy dzień słonecznych promieni miał być dniem odrodzenia. W tak tęsknem oczekiwaniu kreślił Hayes w pamiętniku swoim wrażenia długotrwałéj nocy:

„Zbliża się poranek.

Na południowém niebie ukazał się blady połysk dziennego brzasku a lubo tylko z lekka do naszego dochodził oka, był to dla nas wszystkich widok wielce pocieszający.

Na naszém zwykłém niedzielném zebraniu przeczytałem ustęp, który u siebie mieści kaznodzieja Salomonów:

„Miłém jest światło, a źrenicy przyjemnie słońce oglądać."

To téż stanowiło osnowę naszéj wieczornéj pogawędki i długo gwarzyliśmy sobie o przyszłości, o tém co nadal czynić wypada, kiedy do nas Bóg dnia zawita.

Czujemy to wszyscy, że się podnosi zwolna zasłona nocy, że się rozwiewa obłok ciemności i nikną powoli posępne cienie. Osada wyczerpała już wszystkie środki wzajemnéj rozrywki, nasz dziennik zasnął snem wiecznym błogosławionych, o teatralnych przedstawieniach myśléć niepodobna, nie masz nic nowego czémby można zmniejszyć ciężar nużącego czasu, co się opieszale naprzód posuwa.

Nie tak prędko wszakże zbliży się pora, w któréj o tych rzeczach myśléć wam wypadnie. Ani sposobność zdarzy nam się po temu, ani czasu na to starczy. Niebawem noc podbiegunowa liczyć się już będzie do dawno minionéj przeszłości. Gorąco tego pragniemy, żeby się już raz skończyła: stęsknieni wyglądamy dnia i nowych zatrudnień.

Niech tam kto chce mówi i prawi wiele o wytrwałości, o męzkiéj dzielności, o umysłowych rozrywkach: ta noc podbiegunowa to w każdym razie ciężka próba. Przy zdrowiu fizyczném nie trudno się utrzymać. Przez cały czas byliśmy zdrowi na ciele i teraz jeszcze nie mamy powodu się uskarżać; ale dla ducha to próba nie lada! Ciemność, która tak długo przyrodę osłania, rozwija dla zmysłów świat zupełnie nowy a zmysły z trudnością nawykają do tego świata. Orzeźwiający wpływ wschodzącego słońca, które do pracy zagrzewa, łagodne działanie wieczornego zmroku, który do snu kołysze, zmiana dnia i nocy, co ulgę przynosi skołatanemu ciału i znużonéj myśli wlewając nadzieję, krzepiąc odwagę do staczania zaciętego boju życia, to wszystko nam jest odjęte. Daremnie duch tęskni do światła, daremnie szuka spokoju, którego dla siebie i dla swego ciała w téj jednostajnéj nocy znaleźć nie może wtedy, gdy wszystko w uro-

czystéj tonie ciszy. Okazałość przyrody przestaje błogie wywierać wrażenie na stępionych zmysłach. Serce tęskni nieustannie do nowych związków, nowych przedmiotów, do nowego towarzystwa. Ponura, smutna samotność przygnębia swobodę umysłu, pustynność, która wokoło panuje, ołowianém brzmieniem ciąży na wyobraźni; cisza głucha, smutna i głęboka, staje się wreszcie straszną.

A jednak ta noc podbiegunowa dziwnym urokiem przywiązać jest w stanie do siebie miłośnika przyrody. Ileż-to piękna, jaka budująca szczytność spoczywa w brzasku północnéj zorzy, w cudnéj grze księżycowego światła na wzgórzach i lodowatych wyniosłościach; ile niewysłowionego uroku w blasku jaskrawym gwiazd północnych, w niedoścignionéj okiem lodowatéj przestrzeni, w wysokościach zamków lodników i w wyuzdanéj wściekłości burzy lub śnieżnéj zawiei! Wszystko to przemawia do serca mową sobie właściwą, a dźwięki jéj są ostre, szorstkie i chropawe.

Natura tu w olbrzymich odsłania się obrazach. Ze szklannego morza wychylają skały swe ponure czoła i gniewnie wzrokiem wiodą po samotnéj pustyni lodowatych wód. Połyskujące śród zimnego jasnego powietrza ostrza górzyste, lodem pokryte, pną się ku niebu. Na ich szczytach już wieki wieków spoczęły, to téż szarą mroczą się powłoką. Lodniki wylewają swe kryształowe strumienie do morza gwałtownemi nurtami. Samo powietrze, które gardzi miłym powiewem południowego stropu, wyższym tchnie majestatem, nadając jakby całemu światu nieporównaną przejrzystość, przez którą się gwiazdy ostro przebijają a księżyc nań zimny swój połysk rozlewa. Pod tą eteryczną szatą nocy nie masz i ciepła, nie masz i blasku barw tęczowych. Ani się tam ku wschodowi nie odsłania żaden widok uroczego przedświtu, ani ku zachodowi nie spada złotobarwna, krwią czerwona zasłona na błękitnawo zielono lub purpurowo przystrojoną ziemię: w cieniu wiecznéj nocy przyroda żadnéj dla siebie nie szuka ozdoby. Nic się ze sobą nie łączy, nic nie spływa w harmonijną całość: szklanne morze, wysmukła skała, szczyt wyniosły i okazały lodnik, mieszczą się obok siebie, bez związku i niezależnie, odziane jedynie w szatę samotności. Czarna kapłanka podbiegunowéj zimy

pokryła ziemię śmiertelnym całunem i rzuciła swą gęstą zasłonę na oblicze przyrody.

Nieraz wychodziłem podczas takiéj podbiegunowéj nocy i przypatrywałem się z różnych stron przyrodzie. Cieszyłem się razem z nią, kiedy swą siłą jaśniała i gwarzyłem z nią swobodnie, kiedy w ciszy spoczywała. Widziałem dziki wyraz jéj gniewu, badałem jéj grę wesołą i wpatrywałem się w jéj postać, kiedy się milczeniem pokryła. W ciemności przechadzałem się na jéj łonie, kiedy wicher szumiał nad górami i kiedy ryczał na płaszczyźnie. Brodziłem nad brzegiem, kiedy jedyny głos rozlegał się w przestrzeni, kiedy trzask łamiących się lodów spokojne wzruszał powietrze. Wybiegałem daleko na zamarznięte morze i podsłuchiwałem lodowate góry, jak się na swoję niewolę skarzyły, przesuwałem się koło lodnika, tam gdzie powstaje i spada lawina; piąłem się na szczyt góry, gdzie wichrem niesiony śnieg o skały potrącając, nucił swą żałosną piosnkę i znowu kierowałem swe kroki ku odleglejszéj dolinie, gdzie milczały te wszystkie głosy i gdzie powietrze jako grób spokojne i uroczyste było.

I w témto właśnie najsilniejsze objawia się wrażenie podbiegunowéj nocy: tu się jéj istota ukazuje, tu jéj cuda wesoło lub smutno spływają z ciemnemi myślami duszy. Nademną niebo a tu u spodu ziemia niezgłębioną, nieskończoną zwiastują ciszę: naokoło mnie nigdzie znaku życia. Stoję tu sam śród tych gór olbrzymich. Ich wyniosłe grzbiety biegną ku niebu i giną tam gdzieś w tém szarém sklepieniu. Ciemne skał ostrza, co się na białych oparły podnóżach, odsłaniają widok wspaniałego amfiteatru. Duch, który na ich łysych szczytach spokoju nie znajduje, błąka się po przestworach wszechświata. Księżyc mruży do snu swoje czujne oko. Kasiopea, Andromeda i Orion i cała nieskończona, nieobliczona gwiazd gromada nie jest w stanie tchnąć iskry życia w tę obumarłą atmosferę. Już straciły cały swój blask delikatny, zziębły, i tętno w nich już nie bije. Oko je porzuca, wraca do ziemi a drżące ucho wyczekuje czegoś, coby przerwało tę przejmującą ciszę. Ale ani nie dobiegnie odgłos ludzkiéj stopy, ani żaden dziki zwierz po pustyni nie zawyje. Żaden ptak nie zaświergocze, żeby ożywić krajobraz; żadnego niemasz drzewa, na którego gałę-

ziach wiatry mogłyby swe żale rozwodzić: tylko słychać bicie mego serca w téj pustéj przestrzeni, a kiedy krew przebiega po wrażliwéj nader budowie ucha, przerażam się jakby pod wpływem rozstrojonych dźwięków. Milczenie przestało być ujemném, zaczyna być dodatniém. Zdaje mi się, że widzę, czuję, słyszę to milczenie. Stoi przedemną jako straszne widmo, które duch mój napełnia uczuciem ogólnéj śmierci, zapowiada koniec wszechrzeczy i wieczną, nieskończoną przyszłość zwiastuje. Straszną jest obecność tego widma. Zrywam się ze skały, na któréj spocząłem, skaczę głęboko w zaspę śniegu, żeby odpędzić od siebie widmo, a głos rozlega się po nocy i płoszy przerażające widmo.

Nigdy na obliczu przyrody tak strasznego nie widziałem wyrazu, jak milczenie podbiegunowéj nocy."

Tymczasem długa noc zimowa miała się ku końcowi, po tym pierwszym brzasku d. 20 stycznia jaśniejsze ukazało się światło, tak iż w połowie lutego znowu na wschodnim brzegu widnokręgu zajaśniało słońce w swéj okazałości po 12 dniach grobowego zamknięcia. Kilka jednak jeszcze upłynęło tygodni, nim się słońce tak wysoko wyniosło, że mogło cały okręt oświecić. W marcu zdawało się, że nadeszła najwłasciwsza pora, w którejby można porzucić zimowe leże i w prostym kierunku posuwać się naprzód ku biegunowi. Zimno wzrastające, co w połowie marca do 40° R. dochodziło, pokryło mocną warstwą lodu całą cieśninę Smitha. Korzysta Hayes z pomyślnego składu okoliczności i w nielicznném towarzystwie na sankach po lodowatéj powierzchni puszcza się ku północy. Przebywszy niejedno niebezpieczeństwo, czyniąc rzadkie wysilenia odwagi, zdołał posunąć się Hayes po 80°. Z każdą jednak chwilą, z każdym krokiem naprzód mnożyły się obawy o życie, o powrót, już bowiem i maj się zbliżył. Cieplejsze wiosny tchnienie, jeśli wiosną nazwać można mniéj ostre powietrze, zwiastowało porę, w któréj lody tracić zaczynają swoją moc i spojność. Statek został w dawnéj przystani, łatwo lody puścić mogły, i odgrodzić może na zawsze śmiałych podróżników od środków dostania się do rodzinnego kraju.

Więc, powiada Hayes w zakończeniu opisu swojéj podróży, nie pozostawało nam nic innego, tylko na miejscu do

którego dotarliśmy zatknąć naszą flagę i w spiesznym odwrocie zdążać ku bezpiecznéj przystani.

Na sznurku od bicza zawiesiliśmy nasze flagi, przywiązawszy sznurek do dwóch skał sąsiednich. Wiatr niemi wspaniale powiewał; tymczasem zebraliśmy stos kamieni, ja zaś wyrwawszy kartkę z mego pamiętnika następne skreśliłem słowa:

„Do tego najdaléj na północ wysuniętego miejsca, ze wszystkich dotychczas zwiedzanych dotarł na sankach niżéj podpisany wraz ze swoim towarzyszem Jerzym Knorrem d. 18 i 19 maja 1861. Przybyliśmy tu z naszéj przystani zimowéj około przylądka Alexandra leżącéj przy ujściu cieśniny Smitha po 46-cio dniowéj utrudzającéj podróży. Według moich obliczeń znajdujemy się pod 81° 35 pół szerokości a 70° i 30 zach. dług. Dalsza nasza droga jest niemożliwą z powodu coraz więcéj kruchego lodu i szczelin, przez które się woda wydobywa. Zdaje się, że kanał Kennedy rozszerza się tworząc swemi rozwartemi ramionami północne podbiegunowe morze. W tém przekonaniu że kanał ten spławny jest przynajmniéj w miesiącu lipcu, sierpniu, i wrześniu wracam znowu do mojéj przystani, aby po ustąpieniu lodów jeszcze tego samego lata przedsięwziąć wyprawę przez cieśninę Smitha na morze podbiegunowe.

dnia 19 maja 1861 r.

*J. J. Hayes.*

Kartę tę starannie w małym flakoniku pod stosem kamieni umieściwszy swobodnie już oczy zwróciliśmy ku naszemu domostwu.

Na początku czerwca znajdował się Hayes w swojéj przystani, po przejrzeniu jednak statku okazało się, iż dalsza na nim dłuższa podróż była niemożliwą. Wrócono do Halifax w połowie października 1861 r.

Po drodze nie omieszkał jeszcze Hayes bliżéj przypatrywać się Grenlandyi i jéj brzegom. Zbierał liczne okazy roślinne, które w południowéj jéj części się spotykają, głównie jednak zwrócił swoję uwagę na zbadanie istoty, początku i posuwania się lodników (Glacier-Gletscher). Miał sposobności po temu nie mało.

Grenlandyą można w istocie za najgłówniejszy skład lodu uważać. Na pochyłych spadzistościach jéj gór zamieniły się miękkie płaty śniegu na twardy kryształ a rosnąc w objętość rok rocznie w ciągu długiego szeregu wieków, pokryły kraj cały niby rozległym śnieżnym całunem. Wzrastanie lodników sięgające bardzo odległego czasu, kiedy cała Grenlandya pod ożywczym wpływem ciepła i słonecznego światła roślinną pokryta była powłoką, stanowi w geografii fizycznéj przedmiot wielce zajmujący. Po pracach słynnych uczonych Agassiza, Forbesa i Tyndalla zjawisko to dla nas obecnie jest dość zrozumiałe. Na podstawie wniosków odnoszących się do lodników alpejskich można sobie przez podobieństwo i powstawanie lodników w Grenlandyi wytłumaczyć. Najjaśniejszą teoryę skreślił Rendu, biskup z Annecy zmarły przed 9 laty (1860). Długi czas życia, jaki wielebny biskup spędzil śród skał ponurych i między lodowatemi ostrzami gór alpejskich, oswoiły go ze wszystkiemi własnościami przyrody w owéj dziedzinie szczytności, w owéj ojczyznie cudownych zjawisk. Prof. Tyndall słusznie o nim powiada, iż jego wiedza była rozległą, sąd jego bystry i trafny a dar spostrzegawczy podziwienia godny.” Całe swoje życie, wszystkie swoje siły umysłowe, poświęcił zbadaniu zjawisk natury, które mu ciągle przed oczyma stawały. Po długiéj pracy ogłosił swoję rozprawę o powstawaniu lodników w pamiętnikach Sabaudzkiéj akademii. (*Théorie des Glaciers de la Savoie*).

Przy objaśnianiu tworzenia się lodników Rendu przedewszystkiem ma na uwadze nagromadzenie się śniegu na górach. Śnieg spadający na góry, częścią zamienia się na wodę, która biegnie ku rzece i po téj drodze do morza, częścią zaś w lód przechodzi. Lód w ten sposób utworzony stanowi rocznie według obliczeń biskupa Rendu powłokę do 58 cali grubości mającą, przy takiém więc wzrastaniu góra Montblanc podniosłaby się w ciągu lat stu o 400 a w ciągu lat tysiąca o 4000 stóp.

Jasną jest jednak rzeczą, dodaje biskup od siebie, że coś podobnego w naturze zdarzyć się nie może.

Lód musi być pod wpływem pewnéj naturalnéj przyczyny usunięty a ponieważ doświadczenie nauczyło, że się rzecz tak ma w istocie, zajął się więc Rendu metodą, przy

pomocy któréj możnaby zbadać, jak się natura ze swego wywiązała zadania. Przyszedł więc do tego ostatecznego a wielce przekonywającego wniosku, że lodnik i rzeka w rzeczy saméj są dwa jednakie pojęcia, że takie między jedném a drugiém jest podobieństwo, że niepodobna w ostatniém znaleść własności lub okoliczności, któraby się w pierwszém nie mieściła, i jak rzeka sprowadza wody, które na ściany gór spadają, do oceanu, tak również i lodnik do tego samego poziomu sprowadza lód, co się ze śniegu na ścianach gór utworzył.

Na takim wniosku oparł Rendu swoje prawo, w następującym wyrażone kształcie:

„Zachowawcza wola Stwórcy dla podtrzymania nadal swego dzieła zastosowała do wszechświata wielkie prawo kołowego obiegu, które się wszędzie, w różnych dziedzinach przyrody powtarza.”

Prawo takie jest jasném, zbyteczném byłoby dodawać, jak to wszystko w naturze wraca, woda z oceanu wyparuje i łączy się z powietrzem, zkąd w kształcie rosy, deszczu, śniegu, do ziemi wraca i tu po jéj powierzchni w łożyskach wielkich rzek, przyjmujących do siebie potoki z gór, do oceanu znowu wpada.

Prawo to biegu wirowego, tego krążenia w sferach lodowatych Alp, w dziedzinie wysokiego Himalaju, Andów, gór Norwegii i Grenlandyi jest zupełnie to samo, co i w niższych i cieplejszych okolicach ziemi, gdzie rzeki wprost do morza wodę z powierzchni sprowadzają.

Lodnik jest poprostu płynący strumień zamarzniętéj wody a systemy rzek umiarkowanéj i gorącéj strefy mogą się w północnéj i południowéj zimnéj strefie systemami lodowników nazywać.

Część śniegu, jakto już wyżéj nadmieniono, spadającego na góry, zamienia się na lód, a lód ten jakkolwiek nam się to dziwném zdaje, z miejsca swego się porusza. Jakaby była przyczyna tego posuwania się lodników, dotychczas tego nauka zadawalniająco nie wyświeciła. Oto co w tym względzie Rendu zauważył: Są pewne dane budzące to przekonanie, iż substancya lodnika posiada rodzaj ciągłości, w tym sposobie, że jest w stanie zastosować się w swoich kształtach,

do miejscowości, którą zajmuje, jest w stanie rozmięknąć, nabrzmieć, i skurczyć się jak miękkie ciasto.

Spostrzeżenie to sprawdza się w Alpach ale i do Grenlandyi zastosowane nie omyli. Zmarznięta rzeka spływa po wschodnim i zachodnim brzegu Grenlandyi i podobnie jak w Alpach w tym stosunku z wierzchu do lodnika przybywa nowa warstwa zmarzniętego śniegu, tak ze spodu ubywa tyleż lodowatéj ilości.

Żadna przeszkoda nie jest w stanie wstrzymać tego ruchu. Nie wstrzymają go niższe pasma gór, bo lód układa się w podobne do nich kształty, przemyka się albo przez szczeliny albo się po ich szczytach przesuwa. Doliny, podobnież drogi nie tamują, bo zmarznięta rzeka wsuwa się między parowy i równa je z najwyższemi górami. Nic lód nie zważa na stromą przepaść, bo się po przez urwiska rzuca na dolinę u stóp leżącą, niby olbrzymi zamarznięty wodospad.

Lato i zima dlań żadnéj nie stanowią różnicy. Coraz daléj naprzód się posuwa, ogromny zamarznięty strumień, nie wstrzymywany na swéj drodze. Płynie przez każdą szczelinę w nadbrzeżnych górach, przez każdą dolinę pokonywując wszelką przeszkodę, łamiąc i krusząc skały, a w końcu spływa do morza. Ale i tu także jeszcze się nie wstrzymuje. Odpycha bowiem wodę i twerzy swoję własną nadbrzeżną linię. Coraz daléj się posuwając, stosuje się do każdéj nierówności łożyska morskiego tak zupełnie jak przedtém na powierzchni stałego lądu, wypełnia rozległą zatokę albo fiord szeroki, rozszerza się tam gdzie się i cieśnina rozszerza lub się zwęża stosownie do miejsca węższego, w swoim powolnym a nieustannym biegu pochłaniając wyspy, sięga nareszcie daleko na rozległą przestrzeń poza pierwotny kres nadbrzeżny.

Tu dochodzi do najodleglejszych granic swojego biegu postępowego.

Lodnik nim się zesunie po spadzistym brzegu do morza, ma często przednią swą ścianę tak wysoką, że ta do kilkuset stóp wynosi. Kiedy zaś spłynie na morze, powoli obniża się aż do linii wodnéj, aż w końcu zniknie zupełnie przednia jego ściana.

Wiadomo że ze słodkiéj wody bryła lodu unosząca się na powierzchni morza, tylko jedną ósmą częścią wagi i obję-

tości sterczy nad poziom, siedem zaś ósmych tonie zupełnie pod powierzchnią. Zjawisko to łatwo sobie wytłumaczyć można; wiadomo bowiem że przy zamarzaniu woda się rozszerza, i że słodka woda w krystalicznym stanie blizko jednę dziesiątą miejsca więcéj zajmuje jak w stanie płynnym: dlategotéż jeżeli lód w słodkiéj unosi się wodzie, jedna dziesiąta sterczy nad powierzchnią a pozostałe dziewięć dziesiątych pod wodą. Skoro zaś lodnik powstający ze słodkiéj wody dostaje się do morza, mającego głównie słoną wodę, większéj gęstości, stosunek ten z jednéj dziewiątéj zamienia się na jednę siodmą.

Pamiętać należy na to, że kiedy lodnik coraz daléj i głębiéj wsuwa się do morza, równowaga lodu ostatecznie musi się nadwerężyć, t. j. koniec lodnika zanurzy się w morze głębiéj, aniżeli gdyby tak lodnik pływał z témi własnościami, jakie przy zamarzaniu posiadał. W chwili, gdy więcéj jak siedm ósmych przedniéj jego ściany znajdzie się pod poziomem wodnym, lodnik usiłować będzie wydostać się na wierzch dla utrzymania swéj równowagi, tak jak jabłko które ręką w wodzie zanurzyć chcemy. Ale nie zapominać trzeba i o tém, że lodnik składa się z długiego zamarzniętego strumienia, co się kilka mil ciągnąć nieraz może, i jakkolwiek koniec lodnika nieustannie usiłować będzie wydostać się w górę, jednak w pozostałéj części znajdzie silny hamulec. Po długich wszakże usiłowaniach, po coraz mocniejszém natężeniu łamie się pewna część z ogólnego lodnika i wraca do tego poziomu, który jéj jest najwłaściwszy. Taka część może nieraz stanowić sześcian lodowaty długości jednéj mili. Łamanie odbywa się śród silnego sfalowania wody i głośnego łoskotu, co się na kilka mil w okolicy rozlega. Skoro się oderwie od całości bryła olbrzymia lodu, ustają gwałtowne kołysania, wszystko wraca do równowagi, kryształowa masa wypływa powoli z ogólnym prądem na rozległe morze i odtąd górą lodową się nazywa.

Takim sposobem lodnik dopełnił przeznaczenia swojego w obec wielkiego prawa wirowego ruchu i zmiany. Kropla rosy, która osiada na podzwrotnikowym liściu palmy, opada na ziemię i znów niebawem ukazuje się w szumiącym zdroju dziewiczego lasu, ze strumyka dąży do rzeki, a z rzeką płynie do oceanu; to znowu ginie w powietrzu, pędzona niewi-

dzialnym wiatrem na północ, spada jako miękki śniegu płateczek na wysoką górę, a w końcu ogrzana słonecznym promieniem zamienia się na małą wodnistą kuleczkę; mroźny wiatr, który po słoneczném cieple nastąpił, zamienił ją na kryształ, a kryształ rozpoczyna wpadając do oceanu na nowo swoją pielgrzymkę.

Jaka jednak różnica! kiedyś rwącym był bieg jéj, terazbardzo powolny; jeżeli przedtém pędem rzeki niesiona, dalekie w jednéj godzinie przebywała przestrzenie, potém w objęciach lodnika stulecia całe spoczywać będzie, i tam gdzie kiedyś spokojnie spływała do morza, teraz się styka ze światem wód śród gwałtownego wstrząśnięcia.

Góra więc lodowa jest wypływem podbiegunowéj rzeki, rzeka podbiegunowa jest lodnikiem, a lodnik jest zbiorem zamarzniętych cząstek powietrza. Przypatrywaliśmy się téj rzece, jak ona swoją powolną i nieustanną odbywa drogę z gór wyniosłych, aż nareszcie spłynie do morza; widzieliśmy, jak morze od tego ociężałego strumienia ogromny odrywa kawał i samo sobie dawną swoją własność przyswaja. Uwolnione z więzów, które w ciągu długich wieków cierpliwie znosiło, rzuca się owo nowozrodzone dziecko oceanu w dzikim podskoku w objęcia swojéj rodzinnéj wody, gdzie ją nurty i fale kołysać zaczną i do nowego przygotują życia; kryształowe krople odzyskują swoję dawno straconą swobodę i mkną spiesznie po uśmiechniętych falach, żeby raz jeszcze ucieszyć się promieniem słonecznym i na nowo swój bieg rozpocząć po długich nieskończonych torach tysięcy lat tysięcy.

A ta góra lodowa większe ma znaczenie jak ów wielki strumień, który południowa siostrzyca lodnika, Amazonka wylewa do oceanu z wysokości Andów i gór Brazylijskich.

Uroczyście, poważnie i nieulękniona śród burzy i wód ciszy pływa na pełném morzu. Nieutrudzone fale rozległym brzmią odgłosem po łamanych téj lodowéj góry łukach. Obłoki gęste jak owa chmura, co Aretuzę osłaniała, pokrywają ją w rannéj porze; pod jasnym blaskiem południowego słońca zdobi się połyskującém srebrem, późniéj stroi się we wspaniałe barwy wieczorne, a śród spokojnéj nocy przeglądają się ciała niebieskie w jéj szklannéj powierzchni. Śród zimy śnieżna zawieja huczy nad jéj czołem, latem około niéj gwarne krążą mewy. Na jéj wysokich wieżach gasną osta-

tnie promienie niknącego dnia, a kiedy długa ciemność ustępować zaczyna, jéj przedewszystkiem złocące się czoło zwiastuje blizkie poranku nadejście. Żywioły się łączą, żeby swój hołd złożyć jéj nieporównanéj piękności. Jéj donośny głos dochodzi do brzegu a ztąd rozlega się od skały do skały. Przez zasłonę promienistych strumieni, które nad nią spływają środ letniego wiatru powiewu przekrada się słońce, a tęcza na jéj bladém obliczu zdradza złożony pocałunek. Powietrze zdobi ją wieńcami miłéj delikatnéj woni, a w okół stojąca woda stroi się barwami szmaragdu i szafiru. Spełniając swoje przeznaczenie, posuwa się lodowa góra po swojéj błękitnéj drodze śród zmieniających się pór roku i śród niestałości pogody. Tak zwolna jak w dawno minionych powstawała czasach, tak znowu zwolna w nich ginie. Jest ona w rzeczy saméj wspaniałym symbolem prawa, pomnik powolnéj zmiany czasów, dawniejszy od egipskich piramid, starszy jak obelisk w Heliopolis. Jéj kryształy dawno już były kroplami lub płatkami śniegu, nim człowiek i ród ludzki w ziemskim zakwitnął Edenie.

Hayes miał sposobność potwierdzić ogólne te opisy naoczném spostrzeżeniem. Badał przez dłuższy czas olbrzymi lodnik, mieszczący się na lodowatéj przestrzeni (Mer de glace) Grenlandyi, między 78° i 79° pół. szer. na zachodnim jéj brzegu. Lodnik ten toczący się płynnym strumieniem z wyniosłości lodowatéj, wypełnił swoim ogromem całą dolinę na przestrzeni mil dziesięciu, a przednia jego ściana, blisko milę szerokości mająca na dwie jeszcze mile odległą jest od brzegu morskiego. Z wymiarów, jakie w 1860 r. i następnie latem 1861 r. poczyniono, okazuje się: że lodnik posuwa się corocznie o sto stóp naprzód. Więcéj przeto jeszcze niż sto lat upłynie, nim się przednia jego ściana do morza zbliży, a ponieważ przynajmniéj na sześć mil posunąć się musi nim głębszą w morzu znajdzie wodę, 500 blisko lat minie nim się od niego oderwie lodowa góra znaczniejszéj objętości. Zresztą posuwanie się tego lodnika jest prędsze od wielu innych np. lodnika Humboldta, albo lodnika „Mego brata Johna."

Kiedy wyprawa amerykańska już wracała z dalekiéj północy, postanowił dowódca jéj Hayes pod 77° na zachodnim brzegu Grenlandyi jeszcze raz z bliska przypatrzyć

się kilku lodnikom, które w miniaturze przedstawiały cały system lodnikowy Grenlandyi. Wysiadłszy z okrętu puścił się na łódce ku brzegom i ztąd wstąpił na powierzchnię lodnika.

Trudno cośkolwiekbądź przedstawić sobie — powiada Hayes—coby dla wyobraźni było więcéj przerażającego, dla rozumu więcéj pobudzającego, jak scena, którą odsłaniała dwumilowa linia lodowa, stanowiąca jeden nieprzerwany brzeg morski. Lodnik łamał się w najdziwaczniejsze kształty, nic nie przedstawiając z téj jednostajności, jaką zwykle na przedniéj ścianie lodnika spostrzegać można. Był zupełnie zwietrzały i rozłupany i przypominał przednią stronę ogromnéj świątyni, któréj pojedyncze części w nieodpowiednim między sobą pozostają stosunku; tam się ukazywało krzyżowe sklepienie olbrzymiéj katedry, tu znowu ostrołukowe okno albo normandzkie drzwi z głęboko zapuszczonemi ozdobami, naokoło zaś słupy i kolumny okrągłe, to żłobkowane, a kryształowe spadające krople najczystszéj wody, były na nich jakby dla ozdoby zawieszone—wszystko kąpało się w miłéj blado-niebieskiéj atmosferze. Po nad temi dziwnemi łukowemi liniami i galeryami utrzymywał się jeszcze ten sam gotycki charakter: wysmukłe wieżyce i szczyty strzelały w górę na wzdłuż całéj przedniéj ściany, a mnożyły się tam w głębi, coraz nowe dla oka przedstawiając kształty. Gra światła i magiczna łagodność barwy morza i lodu, nieopisany sprawiały widok. Dziwna rzecz, nigdzie nic zimnego coby człowieka odpychało. Zdawało się, że lód przyjmuje ciepło, które przenikało powietrze i chętnie byłbym wsunął się na mojéj łódce w szczeliny lodnika i pluskałbym się pod gotyckiém sklepieniem; ale wstrzymało mię niebezpieczeństwo, jakie ze strony obrywającego się lodu groziło śmiałemu żeglarzowi.

Zwróciłem więc łódkę wiosłem ku zachodniéj stronie i wstąpiłem na stromą spadzistość na nagromadzone mnóstwa iłu i skalistéj massy, którą z sobą uniósł rozpierający się lodnik. Kiedym się nareszcie dostał na szczyt tego giętkiego urwiska, ujrzało oko zupełny las wież i wieżyczek, w żaden jednak sposób na lodnik dostać się nie było można. Wzdłuż brzegu lodnika przesuwał się rwąco strumień brudnéj wody i odsłaniał w najpiękniejszy sposób liściasty ustrój

lodu, trudno było przez strumień się przedostać. Po dłuższych jednak poszukiwaniach znalazłem miejsce, gdzie w bród puścić się mogłem. Po drugiéj stronie posuwając się naprzód, dotarłem aż do wysokiéj ściany, sterczącéj co najmniéj na 150 stóp i z téj ściany z ogromnego tunelu gwałtowny wydobywał się strumień. Był to widok jedyny. Lód był przezroczysty, a jednak z jego łona płynął brudny strumień, i przypominał ów obraz, jaki kreśli Wirgiliusz, kiedy Eneasz po raz pierwszy ujrzał z poza miłéj, wesołéj i cienistéj zieleni wypływające brudne wody Tybru.

Tunel z którego wydobywała się woda mógł mieć do 30 stóp wysokości i tyleż szerokości. Sklepienie, na którém się wspierał, składało się ze wszystkich kształtów gotyckiego łuku, ozdobione w najdziwniejszy sposób wyniosłemi figurami, żłobkowane i tak czyste jako najbielszy alabaster. Wszedłem do tego tunelu tak daleko jak mogłem, po spadzistym i śliskim brzegu co się nad szumiącą wznosił wodą, aż w końcu znikać poczęło światło: tyle jednak widziéć jeszcze mogłem, że inne krom tego tunele do głównego wchodziły, jako w mieście podziemne kanały, które do głównego ścieku wszystkie odpływy sprowadzają.

Kiedym znowu wyszedł z tego zamknięcia, rozpocząłem dalszą mą podróż na lodnik i kilka mil naprzód się posunąwszy, spostrzegłem, że strumień główne miał swe źródło na owéj górze na prawo stojącéj, gdzie topniejący śnieg po skalistém urwisku się posuwał, płynąc gwałtownie na lodnik a ztąd rzucał się w przepaść kilkaset stóp głęboką.

Zbliżyłem się także do szczeliny wydrążonéj w górze, przez którą się lodnik do morza zbliża. Widok lodnika z brzegu podobny jest pod wielą względami do widoków, jakie w Alpach lodniki przedstawiają. W miejsce jednak rozmaitości, jaka w alpejskim spostrzegać się daje widoku, oko spotyka tu zamiast wielu strumieni, jednę tylko rozlewającą się rzekę, która się coraz więcéj zwęża, w miarę jak się zbliża do przejścia aż do szerokości dwumilowéj, ztamtąd po stroméj spadzistości dostaje się do morza.

Nigdy jeszcze w życiu nic podobnego nie widziałem, coby tak dokładnie przedstawiało zasady posuwania się lodników, coby wyświecało dowodniéj rzeczny charakter krystalicznego

strumienia. Nie było już w mojéj mocy daléj posunąć się dla zbadania lodnika, ale oko pięło się po stopniach coraz wyżéj przez górzysty wąwóz aż do niebotycznych szczytów, i kiedy wyobraźnia z lodowatych wysokości przesuwała się przez morza i góry, zdawało mi się że świat nie ma wymowniejszego świadectwa wielkości, potęgi Stwórcy, i myślałem sobie: jakże w obec tego majestatu płonne są wszystkie człowieka usiłowania. Kiedym się zwrócił, żeby się znowu dostać na brzeg morski, powtórzyłem owe słowa Byrona, któremi przemawia poeta na widok alpejskich ścian lodem krytych:

. . . . . . Tam one sterczą
Zamki natury, pod obłoki niosąc
Dumne swe czoła, które śnieg pokrywa.
I tam gdzie śnieżne królują lawiny,
Śnieżna zawieja, na lodowym tronie
Zasiadła wieczność....

(Dokończenie nastąpi).

# MŁODOŚĆ FRYDERYKA SZOPENA.

(ROK 1830 I NASTĘPNE).

PRZEZ

*Maurycego Karasowskiego.*

---

(Dokończenie).

## III.

Tutaj wypada mi zwrócić uwagę czytelników na znaczną przerwę, jaka istnieje w korrespondencyi Fryderyka z rodzicami. Wypadki zaszłe podówczas w Warszawie, wywarły na nim wpływ wielki, zachwiały jego postanowieniami i zamiarami. Przyjaciel jego Tytus Wojciechowski opuścił zaraz Wiedeń i wrócił do kraju. Fryderyk chciał to samo uczynić, niemogąc znieść takowego i w podobnych okolicznościach rozłączenia. Tylko usilne nalegania najprzód rodziców, którzy pragnęli ażeby ich syn, raz już obranéj a do tego kosztownéj podróży muzykalnéj nie przerywał, a potém przyjaciół jego w Wiedniu, skłoniły go przecie do pozostania na miejscu. Jednakże przejęty tęsknotą za swoimi i pełen o ich los obawy, porwał pocztę i gonił Tytusa całą stacyę za Wiedniem, i gdyby go był doścignął, niema wątpliwości że zabrałby się wraz z nim do Warszawy. Wróciwszy po bezowocnéj gonitwie do Wiednia, posłuszny woli ojca, począł myśléć o koncertach, ale mu jakoś nie szło.

Ludzie byli dlań obojętnemi, usłużnych przyjaciół pomiędzy artystami zbrakło. Kiedy za pierwszéj swojéj bytności w Wiedniu, grając darmo i w przelocie, znalazł tylu chętnych sobie, teraz gdy zapragnął jakiegokolwiek za swój talent wynagrodzenia, ujrzał się niejako opuszczonym; artyści widocznie zobojętnieli dla niego: to chorowali, to się porozjeżdżali. Może nawet w istocie tak było, lecz niema wątpliwości że bojaźń, ażeby czasem tak miły, ukształcony i nadzwyczajnie utalentowany wirtuoz, nie zechciał czasem w skutek wielkich powodzeń zostać w Wiedniu i chleb im odbierać, przerzedziła szeregi dawniejszych jego wielbicieli, a powodzeniom artystycznym, jakie tu i owdzie w pewnych stolicy salonach się objawiały, umiano zręcznie położyć pewne granice. Wypadki polityczne, silnych owych protektorów do których Fryderyk miał wiele listów polecających, zraziły i odwróciły od niego; zresztą głowa jego więcéj polityką, jak muzyką zajętą była. Z tego to nawet powodu, tak znaczną przerwę mamy w listach, gdyż wiele z nich, rodzice nie uważali za stosowne przechowywać. W innych znów, nieco późniejszych, brak widoczny owego dobrego i wesołego humoru, który Fryderyka nigdy nie odstępował, a pewien rodzaj smutku, zniechęcenia i sarkazmu nawet z zawiedzionych na ludziach i rzeczach nadziei, przejmuje wyraźnie strapioną duszę naszego artysty.

Uwagi powyższe uważałem za stosowne w têm miejscu, ażeby lepiéj pojąć ducha następnych Szopena korrespondencyi.

(Wiedeń. Środa przed świętami Bożego Narodzenia; nie mam kalendarza, więc nie wiem którego).

„Siedm tygodni wczoraj minęło, jakem was opuścił. Po co?... Już się stało! Właśnie wczoraj, o téj godzinie we wtorek jak mię do Woli odprowadzano, byłem u państwa Weiberscheim, na tańcującym wieczorze. Pełno tam było młodzieży, ładnéj, wcale *niestarożytnéj* (1). Chciano ażebym tańczył, wybierano mię gwałtem w kotylionie; obró-

(1) To się ma znaczyć: nie *starozakonnéj*.

ciłem się kilka razy i poszedłem do siebie. Sama pani domu i jéj grzeczne córki, sprosiły na ten wieczór wiele muzykalnych osób, ale ja nie grałem, bom nie miał do tego usposobienia. Prezentowała mi pana Likt, którego Ludwika zna (1); dobry, grzeczny, poczciwy Niemiec; miał mię za coś wielkiego i dlatego nie chciałem go moją grą z terminu zbijać. Tam także poznałem synowca Lampiego, którego znów papa zna; śliczny i miły chłopiec, maluje sławnie. A propos malowania, wczoraj rano był u mnie Hummel z synem; kończy mój portret, ale tak podobny, że nie można lepiéj. Siedzę na stołku w szlafroku, z miną inspirowaną, nie wiem zkąd. Ołówkiem a raczéj kredką i w formacie ćwiartkowym, zdaje się że sztych. Grzeczny to nadzwyczajnie ten stary Hummel; ponieważ się zna dobrze z Duportem niegdyś sławnym tancerzem, a teraz antreprenerem kärthnerthorskiego teatru, więc mię wczoraj prezentował. Pan Duport ma być skąpym; przyjął mię bardzo pięknie, bo może myśli że ja mu darmo grać będę: ale się myli. Było pomiędzy nami lekkie *avant propos*, ażebym chciał grać, lecz kiedy, co i jak o tém cicho. Jeżeli mi mało będzie dawał, wtedy dam koncert w dużéj sali redutowéj. Würfel zdrowszy; w przeszłym tygodniu poznałem u niego Slawika, sławnego skrzypka, chociaż młodego chłopca, mającego najwięcéj 26 lat wieku (2). Bardzo mi się on podobał. Gdyśmy razem wracali, pyta mię: „czy ja idę do domu? Do domu—odpowiedziałem. Oto lepiéj pójdź ze mną do twojéj rodaczki pani Bayer" (do niéj właśnie przysłał mi list Kraszewski z Drezna, wraz z listem do wice-królowéj Medyolanu; nie mogłem tego listu dotychczas oddać, bo miejsca mieszkania nie wiedziałem, a Bayerów w Wiedniu tysiące). „Dobrze—odpowiedziałem Slawikowi—tylko się wrócę po

(1) Ludwika Szopen, późniéj Jędrzejewiczowa, siostra starsza Fryderyka, zmarła w Warszawie 29 października 1855 r.

(2) Slawik Józef, urodził się w Ginczy w Czechach 1806 roku, gdzie jego ojciec był nauczycielem szkoły publicznéj. Kosztem hrabiego Wrbna uczył się grać na skrzypcach w pragskiém konserwatoryum pod kierunkiem Pixisa. Wielkiego talentu i ogromnych nadziei ten wirtuoz, zmarł w Peszcie 1833 roku na nerwową gorączkę w chwili właśnie, gdy rozpoczął artystyczną podróż na większą skalę po Europie.

list." Istotnie była to ta sama pani. Mąż jéj jest Polakiem z pod Odessy, sąsiadem Chomentowskiego. Jego żona, która już niby wiele o mnie słyszała, prosiła nas nazajutrz to jest w niedzielę na obiad, gdzie Slawik jak zagrał, tak mi się podobał jak nikt po Paganinim. Jemu się także moja mość podobała i postanowiliśmy razem napisać duet na skrzypce i fortepian, myśl którą już miałem w Warszawie. Wielki i prawdziwie genialny to skrzypek. Skoro poznam Merka, to dopiero Tryo utniemy (1), a poznam go lada dzień u Mechettego. Czerny był wczoraj ze mną u Diabellego, który mię na przyszły poniedziałek, na wieczór z samych muzyków zebrany, zaprosił. W niedzielę, wieczór u Likta, gdzie będzie wielki świat muzykalny i ośmio-ręczna uwertura, a w sobotę ma być wykonana stara kościelna muzyka u Hofrata Kisewettera, autora dzieła o muzyce.

Trzeba wam wiedzieć, że ja teraz stoję na czwartém piętrze. Jacyś anglicy dowiedziawszy się od mojego antecessora o mojém ślicznėm mieszkaniu, zapragnęli jeden pokój odnająć; ale przyszedłszy pod pozorem widzenia jednego, zrewidowali wszystkie trzy i tak im się podobały, że ofiarowali mi zaraz 80 reńskich miesięcznie, bylebym takowe im odstąpił, z czegom się niezmiernie ucieszył. Pani baronowa Lachmanowicz bratowa Uszakowowéj, a teraz moja młoda i dobra gospodyni, posiadała także na czwartém piętrze podobne do mojego mieszkanie; pokazano mi takowe, nająłem i teraz stoję za 20 złr. miesięcznie tak, jakbym 80 płacił. Myślicie pewno, biedak pod strychem siedzi! Otóż wcale nie, bo nademną jest jeszcze piąte piętro i dopiero nad niém dach, a co sześćdziesiąt reńskich w kieszeni, to w kieszeni. Ludzie odwiedzają mię i pan hr. Hussarzewski musi leźć tak wysoko. Ale ulica nie opłacona, w środku miasta, blisko wszystkiego; na dole najpiękniejszy spacer, Artaria na lewo, Mechetti i Hasslinger na prawo, w tyle teatr, czegoż więcéj potrzeba? (2). Do pana Elsnera jeszcze nie piszę, ale u Czer-

(1) Merk Józef, znakomity wiolonczellista urodzony w Wiedniu r. 1795, zmarł tamże w 1852 roku.

(2) Mechetti<br>Diabelli<br>Artaria<br>Hasslinger } Wydawcy nut muzycznych w Wiedniu.

nego byłem; Kwartet dotąd nie wyszedł. Malfatti wyłajał mię, że obiecawszy przyjść do pani Schaschek na obiad o 2, przyszedłem dopiero o 4; w tę sobotę znów się mam z nim zejść na obiad, a jeżeli się spóźnię, to Malfatti obiecał mi jakąś bardzo bolesną operację zrobić; nie piszę jaką, bo brzydka. Widzę jak się papa gniewa za moje roztrzepanie i nieprzyzwoitość względem ludzi; ale to się wszystko naprawi, bo Malfatti mię lubi, z czego się bardzo cieszę. Nidecki bywa u mnie co rano i gra. Jak napiszę koncert na 2 fortepiany, to zagramy razem publicznie; wprzód jednak muszę *solo* wystąpić. Hasslinger ciągle grzecznie, lecz cicho (1). Nie wiem czy mam zaraz jechać do Włoch, czy co? Proszę was byście mi o tém napisali. Mama kontenta że mię niema, ale ja nie kontent jestem. Stało się... Uściskajcie odemnie Tytusa i proście go na miłość boską, ażeby pisał... Nie! téj przyjemności jaką ja mam gdy od was list odbiorę, nie możecie sobie wystawić. Czemuż to poczta idzie tak długo! Wszak nie bierzcie mi za złe, że się o was turbuję...

Poznałem tu bardzo grzecznego chłopca Leidenfrosta, przyjaciela Kesslera; bywa on często u mnie, chociaż ja raz dopiero byłem u niego. Jeżeli nie jestem gdzie proszonym na obiad, to z nim jadam na mieście. Zna on cały Wiedeń i jak tylko jest gdzie jaka osobliwość do widzenia, zaraz mię tam prowadzi. Wczoraj naprzykład, był śliczny spacer na *bastey*, arcyksiążęta w surdutach, noblessa, słowem cały Wiedeń; spotkałem tam także Slawika z którym ułożyłem się dzisiaj widzieć w celu wybrania Bethowenowskiego motywu na waryacye. Z jednéj strony kontent jestem iż się tu znajduję, ale z drugiéj!... Jak mi tu dobrze w pokoju. Naprzeciwko dach, a na dole pigmeje. Jestem wyższy od nich! Najlepiéj mi, kiedy nagrawszy się na cudnym fortepianie Graffa, idę spać z waszemi listami w ręku. To też nawet we śnie was tylko widzę. Wczoraj u Bayerów tańczono mazura, Slawik jak baran leżał na ziemi, a jakaś stara niemiecka *Contessa*, z dużym nosem i dziurawą fizyognomią, trzymając się (jak to dawniéj bywało) zgrabnie dwoma

(1) Aluzya do kompozycyj Chopina, które Hasslinger pragnął wydać, lecz nie miał ochoty za takowe płacić.

paluszkami za sukienkę, z głową sztywnie do tancerza zwróconą tak że aż kości od szyi gdzie która mogła wylazły, dziwne jakieś walcowe *pas*, długiemi a chudemi *mamrotała* nogami. Godna to jednak osoba, poważna, uczona, dużo gada i ma *usage du monde*.

Pomiędzy licznemi wiedeńskiemi zabawami, sławne są wieczory po oberżach, gdzie przy kolacyi Strauss albo Lanner (są to tutejsi miejscowi Swieszewscy) walce grywają. Za każdym walcem dostają ogromne brawo; a jeżeli grają *Quodlibet*, czyli mięszaninę z oper, pieśni i tańców, to słuchacze są tak zadowoleni, że nie wiedzą co z sobą robić. Dowodzi to zepsutego smaku wiedeńskiéj publiczności.

Chciałem wam posłać walca mojéj kompozycyi, ale już późno; odbierzecie go zawsze. Mazurków nie posyłam także, bom ich jeszcze nie przepisał: nie do tańca.

Nie chce mi się z wami rozstawać, jeszczebym rad pisać. Fontanę jak zobaczycie, powiedzcie mu, że się do niego pisać zabieram. Matuszyński jeżeli nie dziś, to na przyszłą pocztę odbierze list ogromny.

(*Do Jana Matuszyńskiego*).

Wiedeń. Dzień Bożego Narodzenia. Niedziela rano. (Przeszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów. Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, pierścionek gryzę i piszę).

Najukochańszy Jasiu!

Właśnie wracam od Slawika, sławnego skrzypka, z którym się zaprzyjaźniłem. Po Paganinim nic podobnego nie słyszałem; 96 nut *staccato* bierze na jeden smyczek i t. p. Nie do uwierzenia! U niego powziąłem myśl, wróciwszy do domu tęsknić sobie po fortepianie i wypłakać *adagio* do waryacyi na temat Bethowena, które z nim razem piszemy. Ale krok jeden na pocztę, któréj nigdy przechodząc nie opuszczam, inny nadał kierunek uczuciu: łzy co na klawisze padać miały, twój list zrosiły. Spragniony byłem twego pisma, wiesz czemu? ale nietylko dla *mego anioła pokoju*. Bo jak go kocham, gdybym mógł, wszystkiebym tony po-

ruszył, jakieby nietylko ślepe, wściekłe, rozjuszone nastało czucie, aby choć w części odgadnąć te pieśni, których rozbite echa gdzieś jeszcze po brzegach Dunaju błądzą, które wojsko Jana III śpiewało. Każesz mi wybierać poetę! wiesz żem istota najniezdecydowańsza w świecie, i raz tylko w życiu dobrze wybrać umiałem. Gdyby nie to, że ojcu teraz może ciężarem byłbym, natychmiastbym wrócił. Przeklinam chwilę wyjazdu! Przyznaj znając moje stosunki, że po odjeździe Tytusa, zawiele razem na głowę mi spadło.

Wszystkie obiady, wieczory, koncerta, tańce, których mam po uszy, nudzą mię. Tak mi tu smutno, głucho, ponuro! *lubię ja to*, ale nie w tak okrutny sposób. Nie mogę czynić jak mi się podoba; muszę się stroić, fryzować, chaussować! W salonie udaję spokojnego, a wróciwszy do domu piorunuję po fortepianie...

Z nikiem poufałości, ze wszystkiemi grzecznie obchodzić się muszę. Mam ludzi co mię niby lubią, co mię malują, mizdrzą się, przymilają; cóż mi po tém, kiedy pokoju nie mam? chyba jak sobie wszystkie wasze wydobędę listy, otworzę widok króla Zygmunta (1), na pierścionek spojrzę. Daruj Jasiu że ci się tak skarżę, ale zdaje mi się że mi lżéj o połowę, żem spokojniejszy; z tobą ja zawsze uczucia dzieliłem. Odebrałeś kartkę? Pewno sobie nic z mojego pisma nie robisz, boś w domu; ale ja czytam i czytam list twój bez końca. Freyer doktor był u mnie parę razy, (choć ja u niego ani razu być nie mogłem); dowiedział się od Szucha, że jestem w Wiedniu. Opowiadał mi mnóstwo interessujących szczegółów z ostatnich czasów, cieszył się z twego listu, który mu aż do *pewnego* peryodu do czytania dałem.

Ten *pewny* peryod zasmucił mnie mocno. Czy doprawdy choć trochę zmiany? czy nie chorowano? Przypuściłbym łatwo coś podobnego na takiém czułém stworzeniu. Czy ci się nie zdawało? może przestrach.... bo niechaj Bóg broni mojéj przyczyny! Uspokój, powiedz, że póki sił starczy... że do śmierci... że po śmierci jeszcze mój popiół bę-

(1) W pobliżu kolumny króla Zygmunta istniało Konserwatoryum Warszawskie, a w niem mieszkała panna Gladkowska jako pensyonarka.

dzie się słał pod nogi! Ale to wszystko mało cobyś ty mógł powiedzieć.... ja napiszę! Jużbym był dawno napisał, nie męczyłbym się tak długo; ale ludzie!... Gdyby to przypadkiem w cudze ręce wpadło, jéj sławie szkodziéby mogło! więc lepiéj ty bądź moim tłumaczem, mów za mnie *„et j'en conviendrai."* Te twoje francuzkie wyrazy mię dobiły. Niemiec co szedł ze mną ulicą kiedym list twój odczytywał, ledwo mię pod rękę utrzymał i nie mógł wcale pomiarkować co mi się stało. Miałem ochotę wszystkich przechodzących łapać i całować, a tak mi miło było na duszy, jak jeszcze nigdy! bo to piérwszy list od ciebie! Nudzę cię Jasiu głupim szałem moim, ale mi się trudno ocknąć, żeby ci coś obojętnego napisać.

Onegdaj byłem na obiedzie u jednéj damy, Polki nazwiskiem Bayerowéj, imieniem *Constance.* Lubię tam bywać przez *reminiscencyą:* wszystkie nuty, chustki do nosa, serwety, znaczone jéj imieniem. Zresztą ze Slawikiem tam chodzimy, do którego ona coś cierpi. Wczoraj graliśmy całe przed i poobiedzie, a ponieważ to była wigilia i piękny (wyraźnie wiosenny) czas, więc gdyśmy w nocy wyszli od Bayerowéj, pożegnawszy Slawika który do kaplicy cesarskiéj iść musiał, sam jeden o 12téj wolnym krokiem udałem się do św. Szczepana...

Gdym przyszedł, jeszcze ludzi nie było. Nie dla nabożeństwa, ale dla przypatrzenia się o téj porze temu olbrzymiemu gmachowi; stanąłem w najciemniejszym kącie u stóp gotyckiego filaru. Nie da się opisać ta wspaniałość, ta wielkość tych ogromnych sklepień. Cicho było, czasem tylko kroki zakrystyana zapalającego kagańce w głębi świątyni, przerywały mój letarg. Za mną grób, podemną grób!... tylko nademną grobu brakowało! Ponura roiła mi się harmonia... czułem więcéj niżeli kiedy osierociałość moją. Chętnie poiłem się tym widokiem, aż dopóki ludzi i światła przybywać nie zaczęło. Wtenczas zasłoniwszy się kołnierzem od płaszcza (jak to nieraz pamiętasz przez Krakowskie Przedmieście), udałem się na muzykę do kaplicy cesarskiéj. Przez drogę już nie sam, ale z mnóstwem wesołych ludzi idących kompaniami, przebiegłem piękniejsze ulice Wiednia aż do zamku, gdzie posłuchawszy trzech numerów nie najtęższéj, zaspano granéj mszy, wróciłem po 1éj w nocy spać.

Śniło mi się o tobie, o was, o nich, o moich dzieciach kochanych (1). Nazajutrz obudzono mię z inwitacyą na obiad do pani Elkan, Polki, żony bankiera. Wstałem, zagrałem sobie smutno... przyszedł do mnie Nidecki, Leidenfrost, Szteinkeller; pożegnaliśmy się i udałem się na obiad do Malfatego. Szaniasio dzisiaj Polak zabity, zajadał zrazy i kapustę jak zaręczam żaden u Karczewskiéj; nie ustępowałem mu. Trzeba ci wiedziéć, że ten rzadki człowiek (w całém znaczeniu tego wyrazu *człowiek*) doktor Malfati tak o wszystkiem pamięta, że kiedyśmy u niego na obiedzie, wyszukuje nam polskie potrawy. Po obiedzie przyszedł Wild, sławny, nawet dziś najpierwszy niemiecki tenorzysta. Zaakompaniowałem mu na pamięć aryę z *Otella*, którą po mistrzowsku odśpiewał. On i Heinfetter, utrzymują całą operę tutejszą; reszta bowiem tak mizerna, że wcale na Wiedeń nie przystoi. Pannie Heinfetter zbywa nieledwie zupełnie na czuciu. Głos, jakiego mi się nie zdarzy tak prędko słyszéć, wszystko dobrze odśpiewane, każda nuta wytrzymana akuratnię, czystość, gibkość, portamenta! ale to tak zimne, żem sobie ledwo nosa nie odmroził, jakem w krzesłach w piérwszym rzędzie blizko sceny siedział. Ładna ze sceny, szczególniéj po męzku. W *Otellu* lepsza niż w *Cyruliku*, gdzie zamiast niewinnéj, żywéj, zakochanéj dziewczyny, przedstawia na wszystkie strony wyćwiczoną kokietę; w *Tytusie* Mozarta jako Sextus, ładna. Wkrótce wystąpi w *Sroce*, ciekawość mię bierze! Wołków (2) *Cyrulika* lepiéj zrozumiała, tylkoby trzeba jéj gardła panny Heinfetter. Niezawodnie jest ona jedną z piérwszych śpiewaczek, ale nie piérwszą.

Miałem jechać, by Pastę słyszéć. Wszak wiesz, że mam listy od dworu saskiego do wice-królowéj Medyolanu. Ale jakże jechać? rodzice każą mi to robić co ja chcę, a ja tego nie lubię! Do Paryża? tutejsi radzą mi jeszcze czekać.

(1) Siostry swoje Ludwikę i Izabellę, Szopen często swemi dziećmi nazywał.

(2) Uczennica konserwatoryum warszawskiego i koleżanka Gładkowskiéj. Do r. 1837 była pierwszą śpiewaczką opery polskiéj; wyszedłszy za mąż opuściła z żalem wszystkich scenę i w lat kilka umarła.

Wrócić? siedzieć tutaj? zabić się? nie pisać do ciebie? Radź mi co mam zrobić. Spytaj się tych ludzi co mną rządzą i napisz mi ich zdanie, a tak będzie.

Przyszły miesiąc jeszcze tu zostanę, pisz więc nim wyjdziesz... *poste restante* do Wiednia, a nim wyjdziesz bądź u rodziców i u *Const*... Zastąp im mnie póki tam siedzisz, bywaj często, niech siostry cię widzą, niech myślą że ty do mnie przychodzisz, a ja w drugim pokoju; siedź obok, a niech myślą że ja za wami siedzę. Idź na teatr, a ja tam przyjdę...

O koncercie nie myślę.

Jest tu Alois Smidt fortepianista z Frankfurtu, znany z etiudów bardzo dobrych; człowiek przeszło 40 letni. Poznałem go, obiecał mię odwiedzić; myśli grać koncert, trzeba mu pierwszeństwo dać. Zdaje mi się człowiek do rzeczy, i mam nadzieję że się zrozumiemy muzycznie. Bo Thalberg tęgo gra, ale nie mój człowiek! Młodszy odemnie, damom się podoba; z *Muetty* potpourri robi, forte i piano pedałem nie ręką oddaje, decymy bierze jak ja oktawy; ma brylantowe guziki od koszulek. Moschelesowi się nie dziwuję, a zatém nie dziw, że tylko *tutti* od koncertu mojego mu się podobało. Pisze on *także koncerta*.

List ten kończę 3 dni późniéj. Odczytałem banialuki, którem ci pobzdurzył; daruj Jasiu jeżeli za nie płacić musisz. Dziś bowiem na obiedzie w traktyerni włoskiéj słyszałem: *Der liebe Gott hat einen Fehler gemacht, dass er die Pohlen geschaffen hat;* nie dziw się więc, że dobrze pisać tego co czuję, nie umiem. Nowin się téż nie spodziewaj od Polaka, bo drugi na to się odezwał: *Aus Pohlen ist nichts zu holen...*

Przyjechał tu Francuz kiełbaśnik: pełno ludzi przed jego sklepem eleganckim się zbiera już od miesiąca i zawsze coś nowego upatrzą. Jedni myślą że to są skutki rewolucyi francuzkiéj i miłosiernie patrzą się na kiszki wywieszone na obrazach, drudzy się gniewają, że Francuzowi rebellantowi wolno było założyć sklep z szynkami, kiedy oni sami dosyć świń w własnym kraju mają.

Gdzie się ruszysz o Francuzie mowa, i bać się należy, jeżeliby coś być miało, żeby się od Francuza nie zaczęło!

Kończę Jasiu, bo kończyć muszę. Uściskaj odemnie wszystkich drogich kolegów. Daj buzi! ja ciebie chyba ra-

zem z życiem, z rodzicami, chyba razem z *nią* kochać przestanę. Mój drogi pisz do mnie! Nawet pokaż *jéj* ten list jeżeli ci się zdaje. Dziś jeszcze idę na wieczór do Malfatego, a wprzód na pocztę. Rodzice może wiedzą że ja do ciebie piszę; powiedz im to, ale listu nie pokazuj. Jeszcze nie mogę się oderwać od lubego Jasia! Idź paskudniku! jeżeli cię tak W** szczerze kocha jak ja, to Konst... Nie mogę nawet nazwiska napisać, ręka moja niegodna... Ach! włosy sobie wyrywam kiedy wspomnę, że mogą o mnie zapomniéć!.... Ze mnie dziś Otello!

Chciałem ten list złożyć i bez koperty zapieczętować, a zapomniałem, że u was po polsku czytać umieją. Tymczasem kiedy mi papieru zostało, pozwól niech ci moje tutejsze życie opiszę. Stoję na 4ém piętrze, wprawdzie na najpiękniejszéj ulicy, ale dobrze musiałbym przez okno wyjrzéć, gdybym chciał widziéć co się na dole dzieje. Pokój mój (zobaczysz go u mnie w nowym sztambuchu jak wrócę na łono wasze, młody Hummel mi go rysuje), jest duży, zgrabny, o 5ciu oknach. Łóżko stoi naprzeciw okien, pantalion (cudny) po prawéj, a kanapa po lewéj stronie. Między oknami zwierciadło, na środku piękny duży mahoniowy okrągły stół, posadzka polerowana. Cicho!... po obiedzie pan nie przyjmuje... a zatém mogę się zupełnie przenieść myślą do was. Rano budzi mię nieznośnie głupi służący: wstaję, przynoszą mi kawę, gram i często zimne piję śniadanie. Potém około 9téj przychodzi metr niemieckiego języka; późniéj najczęściéj gram, poczém jak dotąd rysował mię Hummel, a Nidecki mojego koncertu się uczył. To wszystko w szlafroku do 12téj. Teraz dopiéro przychodzi bardzo godny niemczyk Leidenfrost, pracujący w kryminale i jeżeli czas piękny, idziemy na *glacis* wkoło miasta na spacer; poczém ja udaję się na obiad jeżeli jestem gdzie zaproszony, a jeżeli nie, idziemy razem do miejsca, gdzie cała tutejsza młodzież akademicka jada, to jest *zur boemische Köchin.* Po obiedzie pije się w najpiękniejszym *Kaffenhausie* (taka tu moda) czarna kawa; poczém ja za wizytami, a o szaréj godzinie wracam do domu, fryzuję się, *chaussuję* i na wieczór. Około 10téj, 11téj, czasem 12téj (późniéj nigdy) wracam—gram, płaczę, czytam, patrzę, *śmieję się*, idę spać, gaszę świecę, i śnicie mi się zawsze.

List ten miał odejść we środę, ale zapóźno było; więc w sobotę odchodzi. Elsnera ucałuj.

Mój portret, o którym ty i ja tylko mamy wiedzieć, podobniuteńki; jeżelibyś myślał, że choć trochę przyjemności zrobi, przez Schucha ci go przyślę, który może z Frejerem około 15 przyszłego miesiąca, gdyby okoliczności kazały, wyjedzie.

Zacząłem pisać czysto. a skończyłem tak, że mnie może nie przeczytasz. Magnusia, Alfonsa, Reinszmidka ucałuj (1). Jeżeli będzie można, każ się któremu do twego listu przypisać (2).

*Do Tegoż.*

(W dzień Nowego Roku).

Najdroższa istoto! Masz coś chciał. Odebrałeś list? Oddałeś?... Żałuję dziś tego com zrobił. Rzuciłem promyk nadziei tam, gdzie tylko same ciemności i rozpacz widzę. Może ona zadrwi, może zażartuje!... Może!... Takie myśli przychodzą mi do głowy wtenczas, kiedy najweselej w moim pokoju rozprawiają twoi dawni koledzy: Rostkowski, Schuch, Frejer. Kijewski, Hube i t. d. I ja się śmieję, śmieję się a w duszy, właśnie kiedy to piszę, jakieś mię okropne dręczy przeczucie. Zdaje mi się że to sen, że to odurzenie, że ja u was, a to mi się śni co słyszę. Te głosy do których dusza moja nie przyzwyczajona, żadnego innego wrażenia na mnie nie robią, tylko takie jak owo turkotanie powozów na ulicy, albo inny hałas obojętny. Twój głos albo Tytusa, ocuciłby mię z tego martwego stanu i otrętwiałości. Żyć, umrzeć, dziś mi wszystko jedno się zdaje! Listu od ciebie nie mam! Rodzicom powiedz żem wesoł, że mi niczego nie brak, że się bawię paradnie, że nigdy sam nie jestem. Jéj to samo powiedz, jeżeli będzie drwiła! Jeżeli zaś nie, to jéj

(1) Magnusia, Dominika Magnuszewskiego; Reinszmidka, Józefa Reinschmitta współkolegi Szopena.

(2) List ten i drugi jeszcze pisany do Elsnera, a który czytelnicy znajdą na swojém miejscu, drukowany już był w *Ruchu Muzycznym* za rok 1857. Jednakże, gdy uzupełnia nam niejako poznanie Szopena ze strony uczuciowéj, uważałem za konieczne tutaj go umieścić.

powiedz, żeby była spokojną, że się wszędzie nudzę. Słaby jestem, nie piszę tego rodzicom. Każdy mię się pyta co mi jest. Humoru nie mam; Hube mię pielęgnuje. Zresztą ty wiesz najlepiéj co mi jest! Biédni rodzice nasi! Moi przyjaciele co robią? Czemuż ja tak dzisiaj opuszczony, czy tylko wy macie być razem w tak okropnéj chwili! Flet twój będzie miał co jęczéć, ale niech się wprzód fortepian wyjęczy. Do Paryża może za miesiąc wyjadę, jeżeli tam będzie cicho. Kochaj mię zawsze tak jak dziś. Niezbywa tu na rozrywkach, ale chęci rozerwania się, jeszczem w Wiedniu nie doznał. Merk pierwszy tutejszy wiolonczellista, obiecał mi swoją wiolonczellową wizytę. Dziś Nowy Rok, jakże go smutno zaczynam! Może go nie dokończę! Uściskaj mię. Tak piszę jak pijany (1).

Wiedeń, 14 maja 1831 r.

Ten tydzień musiałem ścisłą, na listy dyjetkę zachować. Wytłumaczyłem sobie, że na przyszły dostanę i czekam spokojnie, bo spodziewam się żeście zdrowi, tak na wsi jako i w mieście. Co do mnie, zdrów jestem i czuję, że w nieszczęściu wielką to jest osłodą. Żeby téż nie moje nadspodziewanie dobre zdrowie, nie wiem cobym tu robił. Może to Malfatowskie zupki wlewały w moje żyły jakiś balsam niszczący wszelką do choroby ochotę? Jeżeli tak, to żałuję że te nasze peryodyczne uczty skończyły się zeszłéj soboty; Malfati bowiem wyjechał na wieś z dzieciakami. Nie uwierzycie jak ładne miejsce zamieszkuje; dziś tydzień byłem u niego z Hummlem. Oprowadzając nas po swojéj siedzibie, piękności jéj stopniowo nam pokazywał, a gdyśmy weszli na sam wierzchołek góry, ani się złazić nie chciało. Dwór zazaszczyca go co rok wizytą, sąsiaduje zaś z księżną Anhalt, która zapewne zazdrości mu ogrodu. Z jednéj strony widać Wiedeń pod nogami tak, że się zdaje iż zupełnie z Schönbrunem złączony; z drugiéj wysokie góry, a porozsiewane na

(1) List ten, albo raczéj dwie kartki, które razem połączyłem, tak dokładnie malujący smutne usposobienie duszy Szopena, zawdzięczam uprzejmości Leopolda Matuszyńskiego reżyssera opery w Warszawie, z jaką mi raczył tę drogą pamiątkę po bracie swoim Janie udzielić.

nich wioski i klasztory, każą zapomnieć o przepychu i zgiełku gwarliwego miasta.

Byłem też wczoraj z Kandlerem w Cesarskiej bibliotece. Trzeba wam wiedzieć, żem się oddawna zbierał zwiedzić najbogatszy może tutaj zbiór starych muzycznych rękopisów, ale do tego nigdy nie przyszło. Nie wiem czy biblioteka Bolońska w większym i systematyczniejszym porządku jest utrzymaną; ale wystawcie sobie moje zdziwienie, gdy pomiędzy nowszemi rękopismami, widzę książkę w futerale z napisem Szopen. Cóś to dosyć grubego i w ładnéj oprawie. Myślę sobie, nigdym jeszcze o innym Szopenie nie słyszał. Był jeden Champain,—a więc myślałem że to może jego nazwisko przekręcone lub coś podobnego. Kandler wyjmuje; patrzę moja ręka,—a to Haslinger rękopism moich *Waryacji* oddał do biblioteki. Myślę sobie d..... macie co chować.

W przeszłą niedzielę miał być wielki fajerwerk, ale się nie udał z powodu niepogody. Szczególna rzecz, iż zawsze prawie w dzień fajerwerkowy, musi być niepogoda. Przytoczę wam w tym względzie anegdotę:

Pewien jegomość miał śliczny frak bronzowy, ale wiele razy go wziął na siebie, tyle razy deszcz padał. Chociaż rzadko się w niego ubierał, przecie nigdy w suchym fraku nie wracał do domu. Idzie tedy do krawca, opowiada mu o tém i pyta, coby w tem była za przyczyna? Krawiec zdziwił się, począł kręcić głową; ale prosi owego pana, ażeby mu ten frak dla wypróbowania na parę dni zostawił, bo nie mógł ręczyć czyli fatalizm ten, do kapelusza, butów lub kamizelki nie jest czasem przywiązany. Ale gdzietam; krawiec wziął frak na siebie, wyszedł na ulicę, a deszcz jak lunie,—musiał nieborak chcąc wrócić do domu nająć fiakra, gdyż zapomniał wziąść z sobą parasola, (albo podobniejsze do prawdy jak wielu twierdzi), że krawcowa wyszła z parasolem na kawę do swojéj kuzynki czyli przyjaciółki. Jakimkolwiekbądź sposobem się stało, krawiec zmokł i frak był wilgotny; trzeba było czekać aż wyschnie, bo inaczéj nie byłby suchym. Poczekawszy, przychodzi krawcowi rozum do głowy rozpruć frak i zobaczyć czy tam czasem niema jakiego kaduka, coby chmury sprowadzał. Wielka myśl!—Pruje rękawy—niema nic. Pruje poły,—niema nic. Pruje

piersi — i cóż! Oto między klejonką znajduje kawał fajerwerkowego afisza! Dorozumiał się wszystkiego, wyjął afisz i odtąd frak już więcéj nie mokł!

Darujcie mi, że nic pocieszającego o sobie donieść nie mogę; może też późniéj pocieszę was jeszcze; niczego więcéj nie pragnę, jak waszym życzeniom odpowiedzieć; dotychczas nie mogłem (1).

(Wiedeń, dnia 28 maja 1831 r.)

Wracam z poczty, ale nic nie przyszło. We środę odebrałem list od pani Jarockiéj z przypiskiem kochanego Papeczki, który atoli skąpo literek tak dla mnie drogich nakreślił. Widzę jednakże z tego, że w domu zdrowo. Co się tyczy Marcellego i Jasia, zaklinam ich ażeby do mnie nie pisali, kiedy tacy niegodziwcy, że się ich o parę liter doprosić nie mogę! Taki zły jestem, że listy ich nie rozpieczętowawszy nawet, odesłałbym im napowrót. Będą mi się tłumaczyć brakiem czasu, a ja mam czas co tydzień takie do was dwa listy pisać? Oj ten czas, jak on leci! już koniec maja a ja jeszcze w Wiedniu; zacznie się czerwiec, a ja jeszcze tutaj będę siedzieć, albowiem Kumelski recydywy dostał i znów biédak leży (2).

Widzę że na nudny list zakrawam; ale nie myślcie ażeby to miało być skutkiem jakiego chorobliwego usposobienia, owszem zdrów jestem i bawię się doskonale. Dzisiaj wstawszy rano, grałem do godziny drugiéj, poczém wyszedłem na obiad, gdzie zastałem poczciwego Kaudlera, który mi jak wiecie, przyrzekł listy do Cherubiniego i Paera (3). Po odwiedzeniu chorego, mam zamiar udać się do teatru, albowiem będzie tam koncert i na nim dadzą się słyszeć: Herz, ów żydek skrzypek, coto na koncercie panny Sontag o mały włos u nas w Warszawie nie był wyświstanym i Döhler fortepianista, grający kompozycye Czernego. Nakońcu zaś kon-

(1) Alluzya do koncertu, którego pomimo kilko miesięcznego w Wiedniu pobytu, jeszcze dać nie mógł.

(2) Kumelski, towarzysz zamierzonéj do Paryża podróży.

(3) Kaudler Franciszek Salezy urodzony w 1792 r., wysoki znawca muzyki i pisarz zmarł na cholerę we wrześniu 1831 r.

certu, ma grać własne *waryacye* na polskie motywa. Biédne polskie motywa! ani się spodziewacie jakiemi majufesami was naszpikują, nazywając to dla przywabienia publiczności polską muzyką. Brońże tu potém téj polskiéj muzyki, wydaj się ze zdaniem o niéj, a wezmą cię za waryata, tém bardziéj że Czerny, owa wiedeńska wyrocznia w fabrykowaniu wszelkich muzykalnych przysmaków, żadnego jeszcze polskiego tematu nie waryował. Wczoraj po obiedzie, poszedłem razem z Thalbergiem do Ewangielickiego kościoła, gdzie Hesse młody organista z Wrocławia, popisywał się przed dobraną wiedeńską publicznością: same tutejsze cymesy zacząwszy od Stadlera, Kissewetera, Mosela, Seifrieda, Gyrowetza i t p. a skończywszy na kościelnym portierze,—wszystko się razem zgromadziło. Ma talent chłopisko, umie się obejść z organami, zwłaszcza gdy instrument nie popsuty i piszczałek nie brakuje. Zostawił mi Hesse kartkę do swego sztambucha, ale nie wiem co mu wpisać,—nie staje mi konceptu. We środę u Bayerów bawiłem ze Slawikiem do 2giéj po północy. Jest to jeden z tutejszych artystów, z którego mam pociechę i z którym mam zażyłość. Grał wtenczas jak drugi Paganini, ale Paganini młodszy: który przesadzi swojego starszgo brata. Nie uwierzyłbym, gdybym go często nie słuchał,—tylko żałuję, ach żałuję że go Tytus nie poznał. I on oniemi słuchającego, każe płakać ludziom;—co więcéj, każe płakać tygrysom! bo ks. G... i J.....: rozczuleni odjechali.

Co się téż z wami dzieje?!. Śnicie mi się a śnicie! Będziesz tam koniec? Wiem co mi chcecie powiedzieć: „Cierpliwości„ tém się téż pocieszam...

We czwartek był wieczór u Fuksa, gdzie Limmer jeden z tutejszych lepszych artystów popisywał się ze swojemi kompozycyami na 4 wiolonczelle. Merk swoim zwyczajem, wdzięczniéjszemi je uczynił, aniżeli są wistocie. Siedziało się do 12-téj, albowiem przyszła ochota Merkowi grać ze mną swoje *Waryacye*. Merk mi mówi, że lubi zemną grać, ja z nim także lubię, więc musimy się razem dobrze wydawać (1). Jest to pierwszy wiolonczellista, którego z bliska uwielbiam; nie

(1) Szopen napisał dla niego *Poloneza* na wiolonczellę, fortepian, i tamże w Wiedniu wydał.

wiem jak mi się Norblin podoba, tylko nie zapomnijcie o liście do niego (1).

(Wiedeń, 25 czerwca 1831 r.)

Zdrów jestem i to jedno mię pociesza, bo mój wyjazd dziwnie się nie szykuje. Nic podobnego nie doświadczałem jeszcze. Wiecie jak niezdecydowany jestem, a tu przeszkody na każdym kroku. Paszport co dzień mi obiecują i co dzień od Anasza do Kaifasza drepczę, dla odebrania tego, com w depozycie policyi zostawił; dziś jeszcze nowéj dowiedziałem się rzeczy,—że mój paszport tak gdzieś zarzucono, że go nie tylko nie odszukają, ale potrzeba ażebym podał prośbę o wydanie mi nowego. Dziwne nas wszystkich dzisiaj napotykają koleje; chociaż jestem gotów wyjechać, przecie nie mogę. Usłucham rady Bajera, każę sobie podpisać paszport do Anglii, lecz pojadę do Paryża. Malfati daje mi list do swego dobrego przyjaciela Paera. Kaudler pisał do niego o mnie.....

Wczoraj wróciłem do domu po 12téj; był to bowiem Śty Jan a więc Malfatego imieniny. Mecchetti zrobił mu niespodziankę, a zatem: Wild, Cicimarra, panny: Emmering, Lucer i moja godność, sprawiliśmy mu muzykę nielada. Lepiéj wykonanego kwartetu z *Mojżesza* (Rossiniego), nie słyszałem jeszcze; ale „*oh quante lagrime*“ panna Gładkowska nierównie lepiéj na moim koncercie w Warszawie śpiewała. Wild był przy głosie; ja to sprawiałem urząd niby kapelmajstra (2).

Ogromna moc obcych słuchaczów, przysłuchiwała się na tarasie temu koncertowi. Księżyc świecił prześlicznie, fontanny biły, cudna woń z wystawionéj oranżeryi napełniała atmosferę, jedném słowem: noc najpyszniejsza, miejsce najrozkoszniejsze. Nie wystawicie sobie, jaka ładna budowa salonu w którym śpiewano: ogromne okna rozwarte od dołu

(1) Norblin, rodem z Warszawy, piérwszy wiolonczellista Opery Wielkiéj w Paryżu. (Obacz Dykcyonarz Muzyków Polskich Sowińskiego).

(2) Cicimarra mówił, że nie ma w Wiedniu nikogo coby tak dobrze akompaniował jak ja. Pomyślałem sobie: wiem o tém dobrze (Cicho)! *Przyp. Szopena.*

do góry, wychodzą na taras, z którego cały Wiedeń widzieć można; zwierciadeł pełno a światła mało. Przytykający na lewo gabinet podłużnego przysionka, nadawał jakąś ogromną rozległość całemu apartamentowi. Szczerość i uprzejmość domowa, elegancya, dobry byt, dowcip tamże panujący i wyborna kolacya, zatrzymały nas bardzo długo, dopiéro około północy wsiedliśmy do powozów i rozjechaliśmy się do domów.

Z wydatkami trzymam się jak mogę, każdy krajcar tak chowam jak ów pierścień w Warszawie. Możecie go sprzedać jak będziecie chcieli; już i tak dosyć was kosztuję na moje nieszczęście!..

Onegdaj z Kumelskim i Czapkiem (który jest codziennym moim gościem i największe oznaki przyjaźni mi okazuje, do tego nawet stopnia, że się ofiarował dać pieniędzy gdybym potrzebował), byliśmy na Leopoldbergu i na Kahlenbergu. Dzień był cudny. Piękniejszego spaceru, nigdy jeszcze nie miałem. Z Leopoldbergu widać cały Wiedeń, Agram, Aspern, Presburg nawet; klasztor Neuburg-zamek, gdzie Ryszard Lwie serce siedział uwięziony, — i całą wyższą część Dunaju. Po śniadaniu udaliśmy się na Kahlenberg gdzie Sobieski miał swój obóz, (z niego posyłam Izabelli listek.) Jest tam kościół dawniéj Kamedułów, w którym syna swego Jakóba przed uderzeniem na Turków, na rycerza passował i sam do Mszy śtéj służył. Ztamtąd ku wieczorowi, udaliśmy się do Krapfenwaldu, dolinki bardzo przyjemnéj, gdzieśmy dziwny ulicznikowski obyczaj widzieli. Chłopaki stroją się w liście od stóp do głów, i w takim kostiumie niby chodzących i tańczących krzaków, łażą od jednego do drugiego gościa. Taki bęben cały liściamy zakryty, z gałęziami na głowie, nazywa się *fingst König.* Ma to być obchód Zielonych Świątek. Oryginalne głupstwo! Także przed paru dniami byłem u Fuchsa na wieczorze; pokazywał mi swój zbiór 400 autografów, pomiędzy którymi już moje *Rondo* na 2 fortepiany oprawne siedzi. Było tam kilka osób dla poznania mię. Fuchs darował mi arkusz pisma Beethowena.

Wasz list ostatni mocno mię ucieszył, bo to wszyscy najmilsi na jednym świstku. Więc całuję zań nóżki i rączki, jakich tu w całym Wiedniu niema...,

(Wiedeń, 1831 r. Lipca, sobota).

Z ostatniego listu widzę, iż otrzaskaliście się z nieszczęściem; wierzajcie, że i mnie lada co dokuczyć już nie może.... Nadzieja, droga nadzieja!.. Nareszcie mam paszport. Z poniedziałkowéj jazdy atoli nic nie będzie; dopiero w środę puścimy się do Salzburga, a ztamtąd do Monachium. Przybył nam jeszcze kłopot: wyjeżdzając do Bawaryi, potrzeba mieć *gesuntheit-pass* od cholery, inaczéj w granice państwa Bawarskiego nie puszczają. Jużeśmy pół dnia za tém z Kumelskim biegali, po obiedzie ma być koniec. Cieszy mię, że przynajmniéj chodząc po tych dykasteryjnych schodach, mieliśmy dobrą kompanię, bo jeżeli po dobréj minie, pięknéj mowie i paszporcie sądzić, to właśnie Alexander Fredro wraz z nami, za podobnym paszportem chodził.

Cholery tu się strasznie boją. Aż śmiech bierze. Drukowane modlitwy od cholery sprzedają, owoców nie jedzą, a przedewszystkiem z miasta uciekają.

Mecchettemu zostawię do druku *Poloneza*. Pisze mi Ludwika, że pan Elsner kontent był z recenzyi, nie wiem co na drugą powie, bo on mię przecie kompozycyi uczył!

Nic mi nie braknie, tylko życia, ducha więcéj. Zmęczony jestem, ale czasami taki wesół jak w domu bywałem. Gdy mam smutne chwile, udaję się do pani Szaszek, tam zastaję zwykle kilka poczciwych Polek, które mi tyle otuchy dodają i tak mię rozkokoszą, że zaraz tutejszych dygnitarzy zaczynam udawać. Nowy to poliszynel, świeżo mojéj roboty, jeszczeście go nie widzieli, ale ci co na to patrzą, pękają ze śmiechu. Są znów dnie, w których i dwóch słów ze mnie nie wyciągniesz, ani się dogadasz; i wtedy jadę za 30 krajcarów, do Hitzingu albo gdzie w okolice Wiednia, aby się rozerwać.

Zacharkiewicz z Warszawy był u mnie; ona jak mię u Szaszków zobaczyła, nie mogła się wydziwić, że ja taki tęgi mężczyzna. Zapuściłem po prawéj stronie faworyty, i bardzo dużo jest. Z lewéj niepotrzeba, bo tylko prawą siada się do publiczności.

Onegdaj był umnie poczciwy Würflisko, nadszedł także Czapek, Kumelski i t. p. i pojechalismy do St. Veit. Ładne to miejsce, ale nie powiem tego o tak zwaném tutaj Tivoli,

gdzie jest rodzaj karuzelu, czyli ślizgawki na wozach; oni to zwą *Rutsch*. Jest to ogromne głupstwo. Pełno jednakże osób spuszcza się temi wozami z góry na dół, bez żadnego celu, dla pustéj tylko zabawy. Anim chciał na to patrzeć; dopiéro późniéj, ponieważ nas było ośmiu (i to samych dobrych przyjaciół, jako to Rayter tutejszy professor politechniki, Helcel z Krakowa i t. p.) jakeśmy się razem zaczęli puszczać na wyścigi kto prędzéj doleci, pomagając sobie nogami, nabrało to celu współubiegania się i z zapalczywego téj głupiéj wiedeńskiéj zabawy malkontenta, gorliwym prozelitą zostałem....

Dawano też tu *Oblężenie Koryntu* Rossiniego: bardzo dobrze. Cieszy mię, żem się tego doczekał. Wild, Binder, Forti Heinfetter, jedném słowem co tylko Wiedeń posiada dobrego, wystąpiło i bardzo ładnie. Z Czapkiem który codziennym moim gościem, (na odwiedziny skarżyć się nie mogę, damy nawet mnie odwiedzają, jako to: Bayerowa, Fischerowa, i t. p.) byłem razem na téj operze, a po niéj na kolacyi tam, gdzie Beethowen zawsze pijał.

Ale, żebym nie zapomniał: zapewne przyjdzie mi wziąć więcéj nieco pieniędzy od Petra, nad to co mi Papa przeznaczył. Rządzę się jak mogę, ale dalibóg nie mogę inaczéj bobym się o bardzo lekkim worku puścił w drogę. Późniéj, broń Boże choroby lub czego, i wybyście mi mogli wyrzucać czemu się więcéj nie wzięło. Darujcie, wszak ja tu już maj, czerwiec i lipiec żyję z tych pieniędzy, i więcéj obiadów płacę jak w zimie. Nie czynię tego z własnego tylko natchnienia ale z cudzych przestróg. Przykro mi, że muszę was o to dzisiaj prosić. Papeczka już nie 3 grosze na mnie wydał! Wiem jak się to za groszem męczyć potrzeba, że dzisiaj na was i męki nie pomogą,— ale nadzieja! Przykrzéj mi, prosić jak wam dać, ale łatwiéj mi wziąć jak wam oddać. Bóg się przecie ulituje!—punktum. W październiku rok się skończy, jak mi paszport udzielono; zapewne potrzeba go będzie przedłużyć; jak ja to mam zrobić?

Często na ulicy latam za jakim Jasiem albo Tytusem; wczoraj byłbym przysiągł że Tytus z tyłu, a to jakiś p...krew prusak. Wszystkie te epitety niech wam nie dają złego wyobrażenia o mojéj wiedeńskiéj edukacyi; wprawdzie tutaj nie mają ani tyle grzeczności ani dobranych wyrazów

w rozmowie, wyjąwszy *„Koszamer diner”* na końcu każdego frazesu; ale ja się niczego tutaj nie uczę co jest wiedeńskiém z natury, tylko tego co wprowadzone a co dobre. Walca naprzykład, żadnego należycie tańczyć nie umiem, to już dosyć! Mój fortepian nie słyszał tylko mazury...

Boże wam daj zdrowie! Oby żaden ze znajomych nie zmarł. Gucia szkoda... Wasze listy kłują i ogromną pieczęć zdrowia kładą, tak się boją: paniczny strach!”

---

W ostatnim liście a raczéj karteczce, pisanéj dnia 20 lipca 1831 r. donosi Fryderyk rodzicom, że jest na wsiadaniu, udając się wraz z Kumelskim przez Lintz i Salcburg do Monachium. Pisze więc, że zdrowie mu służy i że Szteinkeller zaopatrzył go w pieniądze; ale obawiając się ażeby mu one nie wystarczyły, prosi o nowe do Monachium takowych nadesłanie.

## IV.

Oto wszystko co dotąd z ogromnego zbioru listów pisywanych przez Szopena do rodziny zostało, a i te nawet nie są już własną jego ręką kreślone, lecz przezemnie w roku 1862 tylko odpisane. Pierwotnie, dopóki jeszcze wszystkie istniały, miałem zamiar wydać je kolejno w *Bibliotece Warszawskiéj*, najprzód pod tytułem: *Młodości Szopena*, a następnie wziąwszy za tło własnoręczne iego pisma, przez lat ośmnaście bez przerwy nadsyłane z Paryża do Warszawy, a w których zawierał się niezmiernie zajmujący materyał do charakterystyki towarzyskiego i artystycznego jego życia w stolicy Francyi, zamierzałem skreślić obraz dalszego jego żywota; atoli zawistne losy, zaledwie jedną część zamierzonéj przezemnie pracy do skutku doprowadzić mi dozwoliły. Cały bowiem zbiór listów, uległ zniszczeniu. Zacna pewna Angielka Miss S***, namiętna wielbicielka i uczennica. Fryderyka, niechcąc ażeby po jego śmierci to wszystko co do niego należało, przeszło drogą detaliczněj sprzedaży w obce ręce, zakupiła dla siebie i urządziła pewien rodzaj Szopenowskiego muzeum. Lecz nietyle utrata tych przedmiotów, jak raczéj strata owych listów

bolesną nam być powinna, gdyż w nich był zawarty najdokładniejszy duchowy Szopena wizerunek. Kto go chciał poznać jako syna, brata, przyjaciela, jako człowieka jedném słowem, tylko z tych martwych napozór liter własną jego ręką poufnie kreślonych, mógł go najdokładniéj poznać. Wszystkie marzenia genialnego artysty, doznane radości, zawody, rozczarowania, gorycze codziennéj walki życia, tęsknota za swojemi, miłość i poszanowenie dla wielkich spraw tego świata i dla ziemi która była kolebką jego młodości, wszystko to dziwnie nieraz pięknym i dosadnym językiem kreślił. Szczególniéj listy pisywane z epoki najpomyślniejszéj i najświetniejszéj jego artystycznych powodzeń w Paryżu niesłychanie ciekawemi i zajmującemi były. Swoboda umysłu, puszczała wodze wrodzonego Fryderykowi dowcipu, który tryskał z pod jego pióra niby gwałtowna kaskada różnobarwneni tęczy kolorami na wszystkie strony. Nikt od niego nie umiał trafniéj oceniać i charakteryzować znakomitszych ludzi w sztukach, umiejętnościach lub polityce, a z którymi okoliczności zetknąć mu się dozwalały. W jednym pociągu pióra tego genialnego artysty, więcéj było nieraz prawdy i trafności sądu, aniżeli w setnych najstaranniéj i najefektowniéj wystylizowanych komentarzach, ile że sąd ten pochodził z wewnętrznych duszy jego wrażeń i poufnie tylko najbliższym swoim był udzielany. Atoli w listach na schyłku jego życia pisywanych, humor i dowcip ustępował miejsca tęsknocie i gorączkowéj niespokojności o duchową przyszłość swoją. To przygotowanie się do téj wielkiéj w nieskończoność podróży, zaprzątało go całego, dziwną moralną troską wszystkie jego myśli piętnowało...

Już w powyżéj przytoczonych listach Fryderyka, pisywanych w pierwszych dniach przyjazdu do Wiednia a następnych, kreślonych przed udaniem się do Paryża, zwracałem uwagę czytelników na różnicę jaka istnieje w duchowém usposobieniu naszego artysty. Wiosną jego życia w stolicy Francyi były lata pomiędzy 1832 a 1839 rokiem spędzone, jak również wiosną pobytu jego w Wiedniu obfitą w artystyczne marzenia, było tylko piérwszych parę miesięcy. W miarę jak pobyt jego w tém mieście się przedłużał, powab swoj tracił, kwiat illuzyi wiądł, listek po listku opadał, aż w końcu nagą, suchą tylko łodygę rzeczywistości przedsta-

wiał. Więc téż z niecierpliwością rozczarowanego ze świetnych marzeń młodzieńca, pragnął Szopen Wiedeń porzucić. Dlaczego jednakże nie do Włoch lecz do Francyi drogę obrał, domyślać się można, iż zapewne z powodu trwających tamże niepokojów, tudzież trudności w uzyskaniu wizy paszportowéj.

Zatrzymawszy się dni kilka w Monachium, dzięki polecającym listom, znalazł Szopen życzliwe tamże przyjęcie; wystąpił nawet publicznie z koncertem z wielkiém dla siebie powodzeniem, czarując po raz ostatni niemiecką publiczność, niewysłowionym urokiem gry swojéj. W ciągu bowiem ośmnastoletniego za granicą swego artystycznego zawodu, nigdy już więcéj Szopen w Niemczech publicznie jako wirtuoz nie występował. Zdaje się że ostatni jego pobyt w Wiedniu odjął mu nazawsze do tego ochotę. Widzieliśmy, jak w każdym początkowym liście, często o zamiarze wystąpienia z koncertem pisze, jak tém najwięcéj był zajęty, jak troszczył się o wybór dzieł na program, danie bowiem koncertu było najgłówniejszym celem jego w Wiedniu pobytu. Jednakże, wypadki polityczne z jednéj strony, obojętność, niechęć lub zawiść ludzka z drugiéj strony, utrudniały nadzwyczajnie urzeczywistnienie tego zamiaru. W późniejszych listach nie wspomina nawet Szopen o danym koncerie, chociaż takowy istotnie miał miejsce, nieprzynosząc mu ani moralnego, ani materyalnego wynagrodzenia.

Pokrzepiony cokolwiek na duchu, doznaném w Monachium artystyczném powodzeniem, przybył Fryderyk w początkach sierpnia 1831 roku do Paryża. Wrzały w nim jeszcze gwałtownie namiętności polityczne; nowy porządek rzeczy istniejący zaledwie od roku, co chwila groził jeszcze wywrotem, nie wiele więc ufności w trwałość jego w ogóle narodu wzbudzać był w stanie. Jakkolwiek stan taki rzeczy nieprzychylnym bywa artyzmowi, przecie Fryderyka nie wiele to obchodziło, gdyż on jadąc do Paryża, nie tyle miał na myśli chęć publicznego z talentem swoim produkowania się, jak raczéj dalsze swoje muzykalne kształcenie. Więc téż nie tracąc czasu, udał się zaraz do Kalkbrennera, najznakomitszego podówczas w Paryżu fortepianisty, z zamiarem pracowania jeszcze pod jego kierunkiem na forte-

pianie. Kalkbrenner poznał odrazu z kim ma do czynienia; dziwnie piękna i oryginalna gra Szopena, uczyniła na nim pewne wrażenie; ten młodzieniec nie wiedząc może o tém iż jest skończonym już wirtuozem, przedstawia mu się na ucznia; taki uczeń drugi raz się nie zdarzy; rozgłos jego jest rozgłosem nauczyciela, sława pierwszego w pewnéj części spada zawsze na drugiego. Kalkbrennerowi niezbywało wprawdzie na rozgłosie i wziętości w Paryżu, owszem uchodził on za najpierwszego fortepianistę, ale mogąc się pochwalić takim uczniem, który niechybnie cały muzykalny świat zadziwiać będzie swoim genialnym talentem, było właśnie dlań rzeczą pożądaną. Nie tylko że z największą chęcią ofiarował się być Szopena nauczycielem, ale mu wręcz oświadczył, iż kurs nauki musi trwać przynajmniéj *trzy lata!* Kiedy wieść ta doszła do uszu Elsnera, zacny ten przewodnik muzykalnéj młodzieży w Warszawie, zafrasował się mocno; gdyż jako dawny nauczyciel Fryderyka, wiedział jak bogate źródło muzykalnego talentu w nim istniało. Rozwinąć, rozszerzyć drogi wiodące do natchnienia należało, a nie krępować jednostronném nauki specyalizowaniem. Więc też zaraz porwał za pióro, a pisząc do Fryderyka po przyjacielsku, okazał mu najprzód swoje zdziwienie, iż Kalkbrenner aż trzy lata naznacza mu jeszcze do nauki grania na fortepianie; że granie nawet najdoskonalsze, chociażby takie jak Paganiniego na skrzypcach, samo w sobie uważane, jest tylko środkiem a nie celem muzyki. Muzyka ma wznioślejsze zadanie, nikt jéj granic oznaczać nie może, jak nie można naznaczać granic polotowi ducha ludzkiego. „Sława”— pisał daléj Elsner—sława jaką posiadali Mozart, Beethowen jako fortepianiści, dawno przebrzmiała, nikogo ona dzisiaj nie obchodzi, ale dzieła ich żyją i są najwyższą dotąd ozdobą sztuki muzycznéj. Spodziewam się, że skoro cię Kalkbrenner lepiéj pozna, wyrok swój odmieni.“

Właśnie dlatego, że się na nim dobrze poznał, nie chciał go wypuścić ze swojéj opieki, a raczéj postanowił przykuć go jak niewolnika do swego tryumfującego rydwanu. Na powyższe uwagi Elsnera, odpisał Szopen usprawiedliwiając się, w sposób następujący.

(Paryż, dnia 14 grudnia 1831).

„List Pański był mi dowodem nowym téj ojcowskiéj troskliwości, tych prawdziwych szczerych życzeń, jakie Pan zachować raczyłeś dla najprzywiązańszego z uczniów. Roku 1830, lubom widział ile mi niedostaje, i jak mi daleko do sprostania któremukolwiek ze wzorów, które miałem w Panu, gdym chciał się o to pokusić, śmiałem jednakże sobie pomyśleć: zbliżę się choć trochę do niego i jeżeli nie *Łokietek*, to może jaki *Laskonogi* wyjdzie z mojéj mózgownicy (1). Ale dziś, widząc tego rodzaju wszelkie nadzieje zniweczone, przymuszony jestem myśleć o torowaniu sobie drogi w świecie jako *pianista*, odkładając tylko na niejakiś czas *wyższe widoki artystyczne*, jakie mi Pan słusznie w liście swoim przedstawiasz. Aby być *kompozytorem wielkim*, trzebaby ogromnego doświadczenia, które, jak mię Pan uczyłeś, nabywa się nie tylko słyszeniem obcych, ale więcéj jeszcze słyszeniem prac własnych. Kilkunastu zdatnéj młodzieży, uczniów konserwatoryum paryzkiego, z założonemi rękami czekają przedstawienia oper, symfonij, kantat swoich, które tylko Cherubini i Lessuer na papierze widzieli. (Nie mówię już tu o małych teatrzykach, do których także trudno się dochrapać, a dochrapawszy się jak naprzykład Tomasz Nidecki na Leopoldsztadzie, mimo czasem wielkich zalet, żadnego znaczenia artystycznego się nie nabywa). Meyerber od 10 lat jako kompozytor oper chlubnie znany, trzy lata pracował, płacił i siedział w Paryżu, nim przecie (kiedy już zadużo Aubera było), przyszedł do wystawienia furore robiącego *Roberta Diabła*. Podług mnie, co się tyczy *objawienia* się w świecie muzykalnym, szczęśliwszy ten, kto może być kompozytorem i aktorem zarazem. Znają mię już jako pianistę gdzieniegdzie w Niemczech; niektóre muzykalne gazety wspomniały o moich koncertach czyniąc nadzieję, że wkrotce mię zobaczą zajmującego miejsce między piérwszymi mojego instrumentu wirtuozami, (co się znaczy *disce puer, faciam te mości panie*). Dziś mi się nastręcza jedyna sposobność dotrzymania wrodzonéj obietnicy; czemu

(1) Alluzya do napisanéj w 1818 r. przez Elsnera opery pod tytułem *Król Łokietek czyli Wiśliczanki.*

jéj nie mam chwytać? W Niemczech nikomubym się na fortepianie uczyć nie dał; bo choć nie jeden czuł, że mi czegoś jeszcze niedostaje, nie wiedział sam czego. Ja zaś nie widziałem w swojém oku téj belki, jaka mi dzisiaj patrzéć zawadza. Trzy lata jest wiele! zawiele nawet, jak sam Kalkbrenner lepiéj mi się przypatrzywszy, przyznał (co dowodzić Panu powinno, iż prawdziwy, z zasłużoną chwałą wirtuoz, zazdrości nie zna). Jednakże i na trzy lata pracybym przystał, byleby tylko mógł tym sposobem duży uczynić krok w mych przedsięwzięciach. Mam tyle pojęcia, że nie będę kopią Kalkbrenera; nie zdoła on zatrzeć zbyt śmiałéj może, ale szlachetnéj chęci i myśli: *utworzenia sobie nowego świata;* i jeżeli pracować będę, to dlatego żeby na tém mocniejszych nogach stanąć. Riesowi (1) znanemu już z fortepianu, łatwiej było za *Narzeczoną* laury w Berlinie i Frankfurcie zbierać, a Spohr jakże długo za dobrego skrzypka był miany, nim *Jessondę, Fausta* i t. d. napisał. Spodziewam się, że mi Pan nie odmówisz swego błogosławieństwa, wiedząc na jakich zasadach i z jakiém przedsięwzięciem postępuję.

Rodzice zapewne Panu powiedzą, o odłożeniu mego koncertu na 25. Mam wielką biédę z układem takowego, i żeby nie Paer, Kalkbrenner a szczególniéj Norblin (który się Panu ślicznie kłania), nie mógłbym w tak krótkim czasie (oni to mało, dwa miesiące na Paryż rachują), nic zrobić. Baillot bardzo grzeczny i przyjemny, gra kwintet Beethowena a Kalkbrenner ze mną *Duo* z akompaniamentem 4 fortepianów.

Reichę znam tylko z widzenia; wiesz Pan ile tego człowieka poznać byłem ciekawy. Poznałem tu kilku uczniów, którzy mi inne o nim dali wyobrażenie. Nie lubi on muzyki, nawet na koncertach konserwatoryum nie bywa, nie chce z nikim o muzyce rozprawiać, na swoich lekcyach tylko na zegarek patrzy. Toż samo Cherubini, tylko o cholerze i rewolucyach *radotuje.* Ci panowie (1), są to suszone pupki, na które się tylko z uszanowaniem patrzeć trzeba,

(1) Ferdynand Ries, fortepianista i uczeń Beethowena.

(1) Reicha, Cherubini i Lessuer, ówcześni professorowie kompozycyi w paryzkiém konserwatoryum.

a z dzieł ich uczyć się można. Fetis znów, którego znam i od którego można istotnie wiele się dowiedzieć, mieszka za miastem, i tylko na lekcyach w Paryżu bywa; bo inaczéj dawno siedziałby u Śtéj Pelagii za długi, których ma więcéj niż mu *Revue musical* przynosi. Trzeba wiedzieć, że prawo pozwala dłużników aresztować *a domicile;* dlatego Fetis w Paryżu w swojem *domicile* nie siedzi, tylko tam, gdzie go prawo dosięgnąć nie może.

Zbieg mnóstwa ludzi interesujących w każdym rodzaju sztuki muzycznéj, jest tu do podziwienia. Trzy orkiestry: Akademii, Włochów i Feydeau, są doskonałe. Rossini jest reżyserem swojéj opery, która jest najlepszą w Europie: Lablache, Rubini, Pasta (która teraz wyjechała), Malibran, Schroeder-Devrient, Santini i t. d. zachwycają *wielki ton* trzy razy na tydzień. Nourrit, Levasseur, Dérivis, pani Damoreau-Cinti, panna Dorus, podnoszą Wielką operę; Cholet, panna Casimir Prévost, są podziwiani w Operze komicznéj: słowem, tu dopiéro można się dowiedzieć, co to jest śpiew. Dziś niezawodnie nie Pasta, ale Malibran (Garcia) jest pierwszą w Europie; cudo! Walenty Radziwiłł się rozpływa nad nią i nieraz sobie Pana przy téj spsobności wystawiamy, jakbyś ją Pan admirował! Lessuer dziękuje Panu ślicznie za pamięć i każe Panu oświadczyć milion ukłonów; najmiléj o Panu wspomina i co wizyta mię pyta: *et que fait notre bon Mr. Elesenere, racontez moi de ses nouvelles„* i zaraz przechodzi do pańskiego *Requiem*, które Pan mu przysłałeś. Wszyscy tu pana kochamy i wielbimy zacząwszy odemnie, a skończywszy na pańskim chrzestnym synu, Antonim Orłowskim, który podobno nie tak zaraz przyjdzie do wystawienia swojéj operetki, bo *sujet* nie najlepsze, a prócz tego teatr zamknięty aż do Nowego roku. Król nie sypie pieniędzmi, między artystami w ogóle chudo; Anglicy tylko płacą.

Pisałbym do jutra! dosyć już tego nudnego; racz Pan przyjąć zapewnienie mojéj wdzięczności i uszanowanie, z jakiém zostaję do zgonu najprzywiązańszym uczniem."

Ale nietylko pismo Elsnera, lecz sam zdrowy i bystry zmysł Fryderyka poznał wkrótce, jak zbyteczną i szkodliwą nawet rzeczą mogła być taka nauka dla niego. Ażeby zostać niewolniczym naśladowcą gry Kalkbrennera, kopią oryginału posiadającego pewne ujemne strony, maszyną przez lat trzy

metodą Kalkbrenerowską nakręcaną, na to niepotrzeba było nawet posiadać tyle wrodzonéj bystrości umysłu, ile go Szopen posiadał. On co dotychczas nie poszedł w niczyje ślady, co obok Hummla, Fielda i innych najlepszych w owe czasy jakich mu się zdarzyło słyszeć fortepianistów, potrafił zostać samym sobą; on co umiał nadać pewną oryginalność grze swojéj, którą już najwytrawniejsi znawcy przed dwoma laty w Wiedniu podziwiać mieli sposobność; on nareszcie, co jako kompozytor stał już o tyle wysoko, iż mało co lepszych dzieł miał utworzyć nad te, które w Warszawie napisał: poznał wkrótce, gdzie pod przewodnictwem Kalkbrennera mógłby zajść. Więc w kilka tygodni wycofał się z téj narzuconéj sobie opieki, ażeby samoistnie dążyć do pożądanego celu. O zajmowaniu się większego rozmiaru kompozycyami, nie można teraz było myśleć; przybywszy bowiem do Paryża bez wielkich pieniężnych zasobów, jako artysta bez imienia jeszcze, musiał przedewszystkiem starać się o wypłynięcie na wierzch z pośród tłumu muzyków; musiał ciężkiemi ofiarami czasu i talentu, torować sobie drogę do stanowiska zajmowanego przez Kalkbrennera, Herza, Moschelesa i innych fortepianistów, posiadających już znakomitą wziętość. Lecz pomimo stosunków jakie sobie zdołał wyrobić, pomimo znacznéj liczby przyjaciół, którzy niedługo po przybyciu jego do Paryża z nim się połączyli, Szopen zaczął tracić nadzieję ażali mu się uda powyższy cel osiągnąć. W niektórych uczęszczanych przez niego salonach, poczęto wprawdzie zwracać na niego jako fortepianistę uwagę, lecz do rozgłosu i wziętości daleko jeszcze było. Fundusze z domu otrzymywane, niesłychanie prędko się wyczerpywały, zarobić na utrzymanie było trudno, z koncertami szło upornie, bo publiczność nie miała wielkiéj ochoty słuchać nieznanego wirtuoza. Fryderyk dotąd tak ufny w swoją przyszłość, zawahał się, zwątpienie duszę jego poczęło ogarniać. Listy, które z téj epoki do rodziców pisywał, zawierały dużo posępnego kolorytu. Paryż go męczył, mało utrzymania się w nim przedstawiał nadziei, współzawodnictwo było wielkie, publiczność zbyt zmienną i kapryśną. W takim stanie rzeczy, myśl jego poczęła się odwracać w inne strony; zdawało mu się, iż w Ameryce naprzykład, gdzie dobrych artystów nie wielu, łatwiéj mu przyjdzie zarobić na swoje utrzymanie i tym spo-

sobem ulżyć rodzicom w wydatkach na niego dotąd ponoszonych. I rozpoczął z nimi żwawą korrespondencyę, w któréj wszelkiemi siłami starał się im dowieść, że najlepiéj uczyni gdy Paryż opuści i po drugiéj stronie Oceanu się osiedli. Szczęściem, że uległ w końcu silnym naleganiom ojca i matki, i pozostał na miejscu. Tutaj mimowolnie nasuwa nam się pytanie, jaką rolę byłby Szopen odgrywał w Ameryce, w téj ojczyznie Barnumów i żelaznych Monitorów? On, który całe życie miał wstręt do szarlataneryi, którego wytworne gusta i arystokratyczne skłonności, były w zupełnéj sprzeczności do gminno-demokratycznych obyczajów kupieckiego i przemysłowego wszechwładztwa? Możeby mu na dollarach nie zbywało, ale z pewnością imię jego nie byłoby nigdy tak świetnie na horyzoncie sztuki muzycznéj jaśniało; utonąłby w tłumie artystycznych wyrobników rozmiłowanych w groszu, chciwie na zbieranie takowego pracujących.

Lecz jakoś wkrótce potém, stanowisko jego w Paryżu zaczęło się znacznie poprawiać; najznakomitsze salony stolicy poczęły się ubiegać o zaszczyt posiadania w swoich murach tego wytwornego artystę. Imię jego powtarzano z uwielbieniem, żądaniom lekcyi nastarczyć nie mógł, a z niemi zawitał dostatek. Odtąd Szopen spokojniejszy o przyszłość swoją, przestał myśleć o Ameryce. W końcu 1834 roku, Fryderyk miał szczęście połączyć się ze swoim najserdeczniejszym przyjacielem, Janem Matuszyńskim; w liście pisanym do swojego szwagra, Matuszyński tak o tém wspomina:

„W Paryżu pierwszém zatrudnieniem mojém było szukać Szopena; nie zdołałbym tu opisać szczęścia, któregośmy zobopólnie doznali, po pięcioletniém nie widzeniu się. Utył on, wyrosł, zaledwiem go poznał. Szopen jest pierwszym artystą dzisiaj na fortepianie; lekcyj daje mnóstwo, a wszystko po 15 franków. Kompozycye jego najwięcéj są teraz pokupnemi, napisał téż ich niemało... Mieszkam z nim razem, chociaż mi daleko do l'École de medecine i szpitali... Szopen jest mi wszystkiém; z nim tylko żyję. Wieczorem idziemy na teatr albo wizytę, a jeżeli nie, to się w domu siedzi..."

Najwłaściwszém polem życia dla Fryderyka był salon. Jak są rośliny nie mogące istnieć bez ciepłéj atmosfery, tak ten wielki artysta, bez wykwintnego towarzystwa obejść się

nie mógł. Zawód Szopena tém się właśnie od wszystkich jego współzawodników wyróżnia, że po za obrębem salonu nie wiele czynił, coby popularności jego dopomagać mogło. Muzykalnych podróży, od czasu zamieszkania w Paryżu, nie przedsiębrał już nigdy, koncertów bowiem publicznych dawać nie lubił. Delikatny i nerwowy z natury, miał on wstręt do występowania przed tłumną, obojętną i nieznaną sobie publicznością. Każdy taki koncert przykre na nim robił wrażenie, męczył go i tylko w koniecznych okolicznościach, naciskany namowami przyjaciół, na danie takowego się decydował; lecz za to, gdy w salonie ujrzał się otoczonym wspaniałym wieńcem pięknych i wykształconych kobiét, gdy wzrok jego spotkał około siebie znane i przyjazne tylko oblicza, wtedy nowe życie w niego wstępowało: wyraz smutku i malancholii, tak często twarz jego pokrywający, ustępował miejsca ujmującemu i niezmiernie sympatycznemu uśmiechowi. Zamknięty w sobie i zimny napozór, ożywiał się, mowa jego tryskała werwą dowcipu, wszelkiego rodzaju figle, czyli jak sam nazywał „*poliszynele*“ miał na zawołanie, a zasiadłszy w takiém usposobieniu do fortepianu, puszczał wodze natchnieniu dziwnym urokiem gry swojéj, rozrzewniając i zachwycając słuchaczy.

Już w roku 1832, kompozycye jego poczęto na wszystkie strony rozchwytywać; wydawcy nut muzycznych ubiegali się o możność ich publikowania. Imię Szopena stawało się z dniem każdym głośniejsze w Paryżu, w Niemczech nawet sława jego rozlegać się poczęła, a Lipsk stał sie ogniskiem, z którego dzieła Fryderyka na cały świat się rozchodziły.

Jako kompozytor, nie miał on, zdaje się, skłonności i daru do tworzenia obszernych rozmiarem dzieł muzycznych. Elsner nieraz jeszcze odzywał się pismiennie do Szopena, by talent odtwarzania melodyj narodowych, którego dał tyle w *mazurkach* mianowicie dowodów, przeniósł na pole muzyki dramatycznéj, aby spróbował napisać operę do treści narodowéj, ale bezskutecznie; życie bowiem jakie w Paryżu prowadził, nie dozwalało mu się na to zdobyć. Lecz głęboka poetyczność myśli, piękność i oryginalność formy, najmniejsze nawet jego utwory cechująca, wyrobiły mu znakomite i wyjątkowe w dziedzinie sztuki muzycznéj stanowisko. Jego *Mazurki*, *Polonezy*, *Ballady*, *Nokturna*, *Walce*, pod względem

wykończenia formy, zostaną zawsze arcydziełami w swoim rodzaju: romantyzm w najpiękniejszém znaczeniu tego słowa, oto główna, charakterystyczna strona jego utworów. Do muzyki instrumentalnéj nie miał już późniéj skłonności. Orkiestra z całém swojém bogactwem brzmienia, nie była w stanie zniewolić go ku sobie. Dopóki jeszcze żył w Warszawie, częściéj do jéj pomocy w uwydatnieniu i zaokrągleniu prac swoich się uciekał: *Koncerta* E i F miękkie, *Krakowiaki*, *Fantazye z polskich pieśni*, *Waryacye z Don Juana*, *Rondo*, posiadają akompaniament orkiestrowy; lecz dzieła w Paryżu pisane, wszystkie w solowéj formie są wydane. Wyjątek stanowią tylko: *Duet* na fortepian i wiolonczellę z motywów *Roberta Diabła*, napisany wspólnie z Frankomem, znakomitym tamtejszym wiolonczellistą, *Sonata* i *Polonez* jeszcze w Wiedniu dla Merka napisany. Jak z tego widzimy, tkliwa natura Chopina dziwny jakiś miała pociąg do wiolonczelli; oprócz fortepianu, jéj jednéj powierzał jeszcze niekiedy missyę tłumaczenia melodyjnych uczuć swoich. Jedyném dziełem wkraczającém już w dziedzinę muzyki instrumentalnéj, jest jego *Tryo* na fortepian, skrzypce i wiolonczellę, także w Warszawie dla ks. Antoniego Radziwiłła ułożone.

Zastanawiającą jest rzeczą, iż Szopen nawet *Marsza żałobnego* nie miał już chęci na orkiestrę instrumentować. Dzieło to, jedyne może ze wszystkich, najodpowiedniejszém jest ku temu. Snać odwykł on w Paryżu od władania instrumentami orkiestrowemi, rozstał się z nimi oddawna, stał się im obcym, więc téż i zaufania nie mógł do nich w sobie wyrobić. Potrzeba było dopiéro jego śmierci, ażeby ponure a potężne głębokim smutkiem to dzieło, obcą ręką (Halewego) instrumentowane, towarzyszyło swemu twórcy do grobu. *Marsz żałobny* pierwszém jest dziełem Szopena, które obiło się o uszy mass ludowych (1).

Jeżeli piérwsze pomysły do przedsięwziętego dzieła łatwo mu przychodziły, za to opracowanie ich wiele mu czasu zabierało; nie oddał on do druku dzieła, dopóki go starannie

(1) Obecnie w całych Niemczech prawie, grywanym jest przy obchodach żałobnych, na dętych zwykle instrumentach. W Warszawie, dyrektor muzyki Quattrini, bardzo szczęśliwie ułożył go na orkiestrę, chóry i głosy solowe.

nie wykończył, co zwykle bardzo wiele czasu mu zabierało. Ztądto liczba jego utworów, w porównaniu z innymi mniéj sumiennemi pod tym względem kompozytorami na fortepianie, jest dosyć szczupła. Był jednakże czas, pomiędzy 1832 a 1836 rokiem, że po kilka utworów nowych rocznie na świat wychodziło. W końcu 1832 r. Probst i Kistner w Lipsku ogłosili aż ośm dzieł nowych Szopena. Z tego to powodu, Robert Schumann, znakomity sam fortepianista, kompozytor i pisarz, a przytém nadzwyczajny wielbiciel geniuszu Fryderyka, pisał do ojca swéj żony, F. Wiecka, co następuje: „Kiedy się dowiem o wyjściu jakiego nowego dzieła Szopena, to cieszę się jak dziecko... Jednakże zaczynam się o niego trochę obawiać, gdyż za wiele na jeden raz drukuje. Sława karlim tylko krokiem zwykła postępować, nienależy więc jéj zmuszać do prędszego biegu.“ Popularność swoję w Niemczech zawdzięcza Szopen głównie Schumannowi, on to wraz z żoną swoją, sławną Klarą Wieck, na wszystkich koncertach dzieła naszego współziomka wykonywali.

Jak już wyżéj wspominałem, Szopen od czasu przybycia swego do Paryża, nigdy już w Niemczech nie dał się słyszéć; raz tylko udając się do Maryenbadu, nie tyle dla kuracyi jak raczéj dla widzenia się z rodziną, przejeżdżał przez Niemcy, ale nigdzie się nie zatrzymywał. W jednym Lipsku zabawił dni kilka, jedynie dlatego, aby się poznać bliżéj z Schumannem. Józef Wasielewski w dziele swojém (1) przytacza list tego wielkiego niemieckiego artysty, pisany pod dniem 16 września 1836 roku, do Henryka Dorna, kapellmistrza króla pruskiego w Berlinie, w którym czytamy słowa następujące: „Właśnie kiedym wczoraj list twój odebrał i sposobiłem się do odpowiedzi, drzwi się otwierają i wchodzi — Kto?—Szopen. Była to dla mnie wielka radość; jeden z najpiękniejszych dni w mojém życiu. Z tego powodu i dziś jeszcze świętowałem. Szopen ofiarował mi nową swoją *Balladę*. Podług mnie, jest to jedno z najgenialniejszych jego dzieł; nawet mu powiedziałem, że ze wszystkich najwięcéj mi się podoba. Po długim namyśle, odrzekł mi z pewnym naciskiem: — Bardzo mi to miło słyszéć, mnie samemu tak samo się zdaje. — Oprócz tego grał mi bardzo wiele nowych

(1) *Eine Biografie von Robert Schumann*, Dresden, 1858.

*Etiudów*, *Nokturnów*, *Mazurków*, wszystko piękne, nad wszelkie porównania. Kiedy Szopen gra, niepodobna oprzeć się wzruszeniu. Gdybyś go poznał, pokochałbyś go niezawodnie.....“

Rzadkie zaiste wyznanie ze strony człowieka pracującego w jednym i tym samym zawodzie! Ale urok zjednywania sobie przyjaciół pomiędzy współzawodnikami nawet, Szopen posiadał w wysokim stopniu. Liszt, ów olbrzym fortepianistów, był jego stałym przyjacielem, po śmierci nawet naszego artysty, w pełném uniesienia piśmie, złożył dowody swego dla Fryderyka uwielbienia. Często w tych samych towarzystwach w Paryżu bywając, nietylko najmniejszego cienia zazdrości pomiędzy niemi nie było, lecz owszem najżyczliwsze względy przyjaźni wspólnie sobie zawsze okazywali. Zdarzyło się, iż w jednym salonie, gdzie razem bawili, poczęto Fryderyka prosić, ażeby zagrał co na fortepianie; Liszt przyłączywszy się do innych, nalegał na niego, by skłonił się do życzeń powszechnych. Nareszcie Szopen zbliża się do fortepianu, lecz spostrzega iż brakuje pedałów; dopiéro gospodyni domu przypomina sobie, że dnia poprzedniego właśnie wyjęto pedały dla naprawy i takowych dotąd z fabryki nie odesłano. Liszt widząc powszechny żal z tego zdarzenia, oświadcza, iż to nic nie szkodzi, że on zastąpi brakujące pedały, byleby tylko Szopen grać zechciał. Jakoż w saméj rzeczy, wlazł pod fortepian i klęcząc przez cały czas grania, najdoskonaléj wypełniał funkcyę pedałów.

Fryderyk posiadał w wysokim stopniu dar naśladowania; zmysł jego obserwacyjny z wielką bystrością dostrzegł zaraz, co w kim było oryginalnego lub śmiesznego, i z dziwną sztuką zdolnym był to natychmiast uwydatnić. Już w jednym z wiedeńskich jego listów znajdujemy wzmiankę, z jaką sztuką odtwarzał austryackich dygnitarzów; lecz gdy mu przyszła ochota naśladować którego z powszechniéj znanych wirtuozów, jako to: Kalkbrennera, Moschelesa, Thalberga i t. p., imitując nietylko ich osobę, ale i grę zarazem, to tyle było w tém prawdy i tak komicznie przedstawionéj, że zanoszono się od śmiechu. Sam Liszt nie jednokrotnie był świadkiem, gdy Szopen rozpuściwszy włosy na głowie, począł w najzabawniejszy sposób jego samego udawać; genialny ten artysta nie

tylko się tém nie obrażał, lecz owszem, serdecznie przyklaskiwał dzieląc ogólną wesołość.

Bywały jednakże chwile, w których Szopen unikał liczniejszych towarzystw, poprzestając chętniéj na małém kółku wybranych przyjaciół, z którymi najmiléj czas u siebie w domu przepędzał. Do liczby tych należeli: Jan Matuszyński, Stefan Witwicki, Fontana, niekiedy Mickiewicz; z cudzoziemców zaś Ary Schefer Henryk Heine, Mejerbeer, Michelet, Liszt, Stockhausen i w. i. (1). Na jednym wieczorze, w czasie gdy Szopen począł improwizować na fortepianie, po prawéj stronie grającego zasiadł Mickiewicz, po lewéj zaś Słowacki. Czarująca gra Fryderyka dziwnie wielkie na słuchaczach wywierała wrażenie; w wielu oczach łzy zabłysły. Mickiewicz i Słowacki słuchając długo w milczeniu tego wysokiego natchnienia, wyciągnęli do siebie dłonie i w wzajemnym uścisku zapomnieli uraz, waśniących aż dotąd dusze tych dwóch wielkich mistrzów słowa.

Jeżeli który z przyjaciół lub towarzyszów młodości Fryderyka, zawitał z Warszawy w progi jego, wtedy posyłał zaraz z uwiadomieniem do licznych uczniów, iż dnia tego lekcyi nie będzie, a wszystkich obecnych u siebie gości zapraszał aby mu dzień ten poświęcili. Jakoż kazawszy sprowadzić odpowiednią liczbę powozów, wiózł najprzód wszystkich na bulwary na śniadanie, ztamtąd za miasto gdzie na spacer, najczęściéj do Montmorency. Przepędziwszy swobodnie kilka godzin na świeżém powietrzu, wracano do jednego z piérwszych paryskich restauratorów na obiad, daléj na teatr, a po teatrze jeszcze gdzie w wesołe jakie miejsce na herbatę. Oczywiście, dnia tego był on amfitryonem gości, nie pozwalając na najmniejszy z ich strony wydatek.

To pełne jednakże ruchu życie w Paryżu, poczęło zbyt wcześnie wyczerpywać siły jego fizyczne. Zdrowie Fryde-

(1) Bodo Albrecht Stockhausen, uczeń i przyjaciel Szopena, był następnie ambassadorem króla hanowerskiego w Paryżu; do dnia dzisiejszego przechował wielką cześć i miłość dla pamięci swego nauczyciela. Zamieszkując obecnie Drezno, pokazywał mi wiele pamiątek po Fryderyku, które z religijną czcią przechowuje; pomiędzy innemi: portret tegoż prześlicznie rysowany przez Kwiatkowskiego. W listach swoich, Szopen bardzo często wspominał o Stockhausenie.

ryka od młodości nawet tak zawsze wątłe, nie było w stanie wytrzymać téj gorączkowéj atmosfery, w jakiéj mu oddychać wypadało. Więc téż przed 1840 r. zaczęły się objawiać symptomaty choroby, która w dziewięć lat późniéj, miała go wpędzić do grobu.

Około 1838 roku poznał kobietę, ktora następnie wielki wpływ na resztę jego życia wywarła: była nią genialna autorka wielu powieści, znana światu pod pseudonimem Jerzego Sanda. W jednym z listów pisanych do rodziców, Fryderyk opowiadał jakim sposobem ją poznał. Było to na wieczorze; Szopen zasiadł do fortepianu i kiedy pośród gry spojrzał niechcący przed siebie, ujrzał kobietę nieruchomie, niby kamienny posąg naprzeciwko stojącą, która swemi ciemnemi oczami, zdawała się go na wskróś przeszywać. Po skończonéj muzyce, nastąpiło wspólne bliższe poznanie, atoli kobieta ta, przykre na nim zrazu wywarła wrażenie. „Poznałem wielką znakomitość, panią Dudevent, znaną pod imieniem George Sand, ale twarz jéj niesympatyczna, nie podobała mi się.“ Tak pisał do rodziców w piérwszéj chwili; wkrótce jédnakże biédny Fryderyk zmienił zdanie, lubo o tém nie uważał za stosowne rodzicom donosić. Odtąd zawiązał się ścisły pomiędzy nimi stosunek, trwający do 1847 r. Przedmiot ten delikatny ze swojéj natury, bardzo jeszcze niedokładnie jest znanym; jakiś rodzaj tajemniczości go otacza. Pisarze nawet, co pióro swoje pamięci Szopena poświęcili, jak Liszt, Enault, Fogler, Ehlert Ludwik, bardzo niedokładnie i prześlizgując się tylko, o tém wspominają. George Sand w pamiętnikach swoich, najobszerniéj dotąd o tém mówi, ubolewając niezmiernie, iż w chwili gdy nieszczęsne zerwanie nastąpiło, Jan Matuszyński już nie żył. Jego przyjaźń dla Fryderyka, wpływ jaki na nim wywierał, były niezawodną rękojmią odwrócenia lub sparaliżowania szkodliwych i jątrzących sieci, jakiemi według przekonania George Sanda, intryganci oplątali Szopena. Jeżeli już zerwanie było nieuniknioném, to przynajmniéj Matuszyński nie byłby dopuścił, aby ono w tak gwałtowny sposób nastąpiło, a tém samém tak szkodliwe skutki dla zdrowia Fryderyka pociągnęło. W sprawie téj, dopóty nie będziemy dokładnie objaśnieni, dopóki nie zjawi się własnoręczne pismo Szopena, odsłaniające nam drugą stronę medalu. Do rodziców nie chciał lub nie mógł

o tém pisać, niepodobna znowu, ażeby który z żyjących jeszcze jego przyjaciół, nie posiadał listu traktującego w tym przedmiocie. W ogólności, wszystkie jakie jeszcze istnieją własnoręczne pisma Fryderyka, należałoby niezwłocznie podać do publicznego użytku, doświadczenie bowiem uczy, że łatwiéj aniżeli się zdaje, uledz mogą zatraceniu; bez nich zaś przyszłemu biografowi niepodobna będzie dokładnie ocenić go jako człowieka, jako wielkiego artystę. Wielu bowiem pisarzy wyrobiło sobie zdanie, iż Szopen był miękkiego, niewieściego charakteru istotą; że w utworach swoich rozlał zbyt wiele drobiazgowéj delikatności, cechującéj zwykle słabe organicznie natury; że dlatego tęsknota i melancholia, jest piętnem charakterystyczném jego utworów. Ale zapominają że w *Sonatach*, *Marszu żałobnym*, *Balladach*, *Etiudach*, a nadewszystko *Polonezach*, tyle jest dzielnéj, jędrnéj i głębokiéj siły duchowéj, że tylko w najpotężniéj fizycznie uorganizowanych kompozytorach, podobną znaleźć można. Kto rozpatrzył się w listach Fryderyka powyżéj przytoczonych, ten przyzna, jak dalece zarzut przypisywanéj mu zniewieściałości jest niesłusznym. To co było skutkiem ciągłéj irytacyi nerwów, w późniejszéj mianowicie epoce jego życia, pochodzącéj z ogólnego osłabienia jakie na nim nieuleczona piersiowa choroba wywierała, wzięto za normalny stan jego natury, i na téj podstwie najfałszywsze wnioski potworzono. Józef Sikorski w pięknéj swojéj pracy pod tytułem: *Wspomnienie Szopena* (1) dał już w tym względzie maleńką odprawę podobnym zarzutom i ma słuszność gdy utrzymuje, że zagranica pozna go dopiero wtedy, gdy szczegółowy rozbiór wszystkich dzieł Szopena, dokonanym zostanie na tle własnoręcznych jego listów do rodziny i przyjaciół pisywanych.

Drezno, 10 września 1868 r.

(1) Obacz Bibliotekę Warszawską za miesiąc grudzień 1849 r.

# HONESTUS.

PRZEZ

*Ludwika Börne'go.*

---

Młody Szwed Oskar, malarz, żył w Paryżu. Był zawsze wesołym, bo był zawsze dobrym. Prawda, że czasem igrał z niebezpieczeństwem występku, lecz nigdy nie splamił duszy, żal i boleść promieniła lica jego odbłyskiem cnoty. Często wpadał do swych przyjaciół z wykrzykiem: Chodźcie już bracia! Pobiegli do gospody, podano smaczne potrawy, pachnące wina; lecz Oskar zaledwie skosztował potraw i wina, bo puhar życia jego napełniony był po brzegi ognistą, pieniącą się krwią, któraby się wnet przelała od jednéj kropelki więcéj.

Pewnego razu wybrał się Oskar do domu opery, grano don Juana Mozarta. Przed teatrem jeszcze zamkniętym, czekał niecierpliwy tłum. Wcisnął się w pośrodek, wyjąwszy z kieszeni talara, ażeby go mieć w pogotowiu gdy kassę otworzą. Lecz ktoś go trącił, talar potoczył się z rąk jego daleko w ulicę. Na darmo szukał go oczyma. Wtém jakiś stary żebrak podbiegł kulejąc, z tymże talarem w ręku.—Zatrzymaj go poczciwy starcze za twą fatygę, rzekł Oskar. — Za tak małą fatygę to zawiele. — Lecz nie dla mnie, dodał Oskar. A jednak nie był wcale bogatym. To też bojąc się, ażeby kto z otaczających nie dorozumiał się tego wybiegu serca, pobiegł w odludną stronę miasta gdzie było jego mieszkanie. Dochodząc już do bramy domu, ujrzał tego samego żebraka, który zaledwie go ujrzał, zawołał: —Młody paniczu, pędzisz doskonale. — A wy jeszcze prędzéj — —Ja co innego—odparł stary śmiejąc się, ja nie szedłem piechotą, przyjechałem. Młodzieniec spojrzał nań zdziwiony: ha, niech wam służy wygoda. Już miał wejść do domu, gdy żebrak powstrzymał go swemi kulami. — Nie uciekaj tak odemnie paniczu, nie chciałbym abyś złego o mnie nabrał mniemania, dlatego żem

sobie pohulał twoją jałmużną. Czy może ci się zdaje że żebrać przychodzi łatwo? Popróbuj kiedy. Dać komu to ciężar, brać jeszcze większy, lecz największy żądać. Często gdy pochlebiać muszę bogatemu rozpustnikowi, któremubym rad tą lagą rozłupał pustą mózgownicę, czuję całą gorycz żebraniny. Wczoraj o zmroku, widziałem mężczyznę osłoniętego płaszczem, jak wychodził z domu uczciwego mieszczanina, któremu uwiódł córkę. Szepnąłem mu więc: *N'oubliez pas le garçon!* i wyciągnąłem rękę. Złoczyńca rozśmiał się, rzucając mi sztukę złota. O straszny to ciężar żebranina! Jakże często obiecywałem sobie pracować na stare lata, nie żebrać, ale cóż! przyzwyczajenie to urocza królowa, przyzwyczajeniu i męki więzienia łacno zamienić w przyjemność.

Oskar stał przed żebrakiem z założonemi rękami. „Mądrze mówicie stary, wyćwiczyliście się w mowie, no, dobranoc wam.” —Nie, paniczu, nie odchodź jeszcze, wszakże szukałeś rozrywki której się dla mnie wyrzekłeś. Wieczór długi, pójdź ze mną, usłyszysz piękne powiastki. Przypatrz się, mieszkam w tym domu z napisem: *au gagne petit.*—Tak, lecz czego chcecie odemnie? —Czyżbyś się mnie bał paniczu? Wszakżem stary i słaby.—Boję się was właśnie dla tego, żeście słabi i starzy, gdyż nie mógłbym z wami zmierzyć mojej siły.—Starzec pociągnął młodzieńca za rękę ku domowi, którego drzwi otworzyły się natychmiast po lekkiem stuknięciu. Wstąpili na schody, starzec zapalił światło, a Oskar ujrzał się zdziwiony w obszernéj komnacie, zaopatrzonéj dostatnio i wygodnie.—Tu, biedny panie, rzekł Oskar—masz dosyć przyjemności.—Ujdzie, odpowiedział żebrak, ale niech panicz nie myśli żeby tu co było skradzione, broń Boże, wszystko wyżebrane, a przytem, dodał z cicha uśmiechając się, troszkę sobie radzę czarami.—Naprawdę? spytał śmiejąc się Oskar, pokażcież mi przecie jaką z waszych czarodziejskich sztuczek.—Czy chcesz paniczu na seryo! Chcesz dowodów? Ufaszże twoim zmysłom?—Nie, zawołał z pośpiechem młodzieniec, nie ufam im, bo one zwodzą, same zwiedzione; poszukajcie sobie innego do waszych figlów!—No, no, tylko się zaraz tak nie unoście paniczu, lecz lampeczkę wypijcie w każdym razie ze mną.—Wyszedł starzec, powróciwszy wkrótce z trzema flaszkami wina.—Ba, ba, macie się dobrze moj stary.—Wino nie dla mnie, ja go nigdy nie piję. Te flaszki wszystkie dla was, a gdy ich nie wystarczy, pójdę po więcéj.

Stary nalał. Wzrok Oskara wlepiony był w lampkę. Wino błyszczało niby stopione złoto, a każda kropla perliła się, świeciła i pociągała jak piękne oko dziewczyny. Oskar wypróżnił szklankę, żebrak napełnił ją na nowo. Coraz szybciéj wypijał młodzieniec, jeszcze szybciéj napełniał stary. Zawrzała wściekle krew w żyłach Oskara, serce biło mu młotem, wargi drżały.—Siwoszu, wino twoje dobre.—A co malczykul gotowane ono w Indusie, ale, mam ja jeszcze lepsze.—Dawaj go a prędzéj, wesoły

koślawcze.—Tylko chwilkę cierpliwości, a już ja ci pokażę piękne historyjki.

Z poza nagle rozsuniętéj kotary, rozpostarło się przed oczami oszołomionego Oskara sklepienie kryształowéj sali, błyszczące w odbiciu tysiącem niewidzialnych świec. Sala mieściła w sobie całe bogactwo i przepych, jakie ciemne łono ziemi kryć lub jakie kunsztowna ręka artysty stworzyć mogą. Złoto, srebro, drogie kamienie pokrywały posadzkę, tysiące klejnotów i naczyń stało w około, na ścianach wisiała lśniąca broń wszelkiego gatunku, a niezliczone ptastwo świergotało, śpiewało, skacząc po wyzłacanych pręcikach. Oskar tonął w zachwycie. Pożądliwe oczy jego olśniewały blaski, lub znowu oczy te jakby pijaństwem mrużone, spuszczały się na dół. Wtém zawołał jakiś głos ochrzypły: *weź mnie, weź mnie!* Oskar spojrzał, i dostrzegł szpaka, z którego karczku zwieszał się na jedwabnéj nitce złoty trójkąt. Końce trójkąta zdobiły: dyament, szafir i rubin. Klejnot pociągał niewytłumaczoną siłą wzrok Oskara.—Weź mnie, weź mnie, wołał szpak.—Stary, zawołał Oskar, musicie mi dać ten trójkąt.—Nie głupiś paniczu, ale ja tym trójkątem zapłacę trzy królestwa.—Dobry starcze daj mi ten trójkąt, wszakże masz tyle złota.—Nie, panie, wybierz co chcesz, tylko nie to—Weź mnie, weź mnie, wołał szpak coraz ochrzypléj. Oskar wyciągnął rękę, starzec go powstrzymał. Oskar pchnął go silnie, starzec podniósł groźnie swe kule: wtedy młodzieniec powalił o ziemię starca, broniącego się z całéj siły.—Weź mnie, weź mnie, wrzeszczał szpak. Mignęło ostrze sztyleta w oczach Oskara. Zerwał sztylet ze ściany, błysnął nim, i zanurzył w piersiach starca, który padł bez jęku.—Weź mnie, weź mnie, wołał ciągle szpak. Oskar zdjął wstążkę z trójkąta i szukał wyjścia. Wtém zaśpiewały wszystkie ptaki:—Weź i mnie, weź i mnie. Obejrzał się, spotkawszy z gasnącém okiem starca. Zgroza przeszyła go dreszczem, bladość śmiertelna okryła lica, kolana ugięły się pod nim.—Zabójca, zabójca! zawyło tysiące głosów z pod sklepienia. Rozpacz ogarnęła Oskara, wyrwał sztylet z piersi starca i chciał nim przeszyć swoje. Wtem powstrzymało go jakieś ramię. Stał przed nim starzec, ale bez kuli. Śnieżnéj białości szata spływała mu z ramion; długa broda okrywała piersi,—Młodzieńcze, rzekł z uśmiechem, nie chciałeś wierzyć twym zmysłom, lecz zawierzyłeś twemu sercu? Szlachetny młodzieńcze, oszołomiłeś się, kradłeś i zabiłeś, wierzyszże teraz że umiem czarować?—Oskar porwany wstydem i czcią, pochylił się do nóg starca.—Przebacz ojcze!—Powstań synu, nic nie zawiniłeś, we śnie tylko byłeś zbrodniarzem. —Ojcze, odczaruj z oczu moich ten blask, który mi ukazał najstraszliwsze otchłanie serca.—Skinął starzec, sala zniknęła, a Oskar ujrzał się znów w owéj dostatniéj komnacie. Ale czarodziejski trójkąt leżał znów przed nim na stole. — Odczaruj i to, błagał. Dotknął się starzec trójkąta, a ten przemienił się w bukiet, złożony

z lilii zamiast dyamentu, fiołka zamiast szafiru, tulipana zamiast rubinu. — Weź te kwiaty, rzekł starzec. Lilia to niewinność, fijołek pokora a tulipan zdrowie. Pielęgnuj tulipan: dopóki ten kwitnie, kwitną i tamte. Zdrowie jest naczyniem cnoty, gdy ci go zabraknie, nie możesz już żadnéj objąć. Dowiedz się teraz, synu kto jestem. Duchy które mnie rozumieją, nazywają mnie Honestusem, dla zwyczajnych śmiertelników jestem zwyczajnym człowiekiem. Dwa tysiące już lat tułam się po świecie, i szukam cnoty. Znalazłem ją nieraz, ale pozbawioną szczęścia. A to bolało mnie srodze i głęboko, bolało mnie szyderstwo gorszych, którzy cnotę lżyli jak żebraczkę. Lecz tyś się urodził pod piękną gwiazdą, więc czuwałem nad twemi drogami. Jesteś dobrym Oskarze, i wesołym i szczęśliwym. Siły méj czarodziejskiéj nie mogę ci użyczyć, ale chcę ubrać cnotę twoją, chcę szczęściu twemu dać pozór, ażeby się pokrzepili dobrzy, a upokorzyli szydercy. Weź te pergaminy, Oskarze. Na jednym napisane *mądrość,* na drugim *bogactwo* a na trzecim *potęga.* Z tych trzech wybrać możesz jeden. Oskar pochwycił drżącą ręką za pergaminy, i aż serce urosło mu z radości, na samą myśl możności rozporządzenia takiemi darami. Najprzód wyciągnął mądrość, i zadrgnęła ręka jego chcąca odrzucić inne pergaminy, ale powstrzymał go jego anioł, więc się namyślił. — Czyż pożądanie mądrości nie jest także chciwością ginącą z przesycenia, albo chorującą z głodu? Uczyniż mnie ona szczęśliwym? I tak już tych kilka jéj promieni których mam więcéj od innych, odkryło mi przepaście tam, gdzie inni widzą tylko ogrody i kwiaty, mamże jeszcze tak małe grono mych przyjaciół ścieśniać? Mamże liczbę tych, których kocham, zmniejszać? mam pogardzać tymi, których dotąd szanowałem? Nie! Mądrość jest złośliwym podarkiem rozgniewanych bogów. Precz z nią!—Odrzucił mądrość. Honestus przycisnął młodzieńca wzruszony do piersi i rzekł: przetrwałeś najstraszniejszą walkę, synu: i już nie obawiam się o twój wybór.—Oskar wziął znowu bogactwo, uśmiechnął się i upuścił niedbale na ziemię. Została mu jeszcze potęga. Nad światem panować! Miliony ludzi uszczęśliwiać! miliony serc zdobyć dla siebie! dobrych nagradzać, złych karać, jakże piękną jest wtedy potęga, piękną jak róża! Lecz ileż cierni, a pod różą czycha wąż pochlebstwa. Władają berłem, lecz pochlebstwo kieruje ręką. Czyż potrafię być lepszym od drugich? a więc jedno tylko potrafię: pogardzić koroną.... i odrzucił koronę. — Dziękuję ci, ojcze, nie mam już życzenia: jestem zadowolony.

Starzec zapytał z powagą: jakto Oskarze, czujesz się szczęśliwym dlatego że nim jesteś? jesteś zadowolonym dlatego że niczego nie pragniesz? Czyżbyś był ty jeden taki na świecie? Młodzieńca oblał rumieniec, bo przypomnieli mu się ci wszyscy którzy byli drogiemi jego sercu. Najprzód jego matka i ojciec, potém brat i siostra, potém przyjaciel i przyjaciółka, a potém jeszcze inni. I zwiększał się coraz bardziéj szereg, i rozszerzała

się pierś jego czułością, aż objęła ludzkość całą. — Co wybierasz dla innych? zapytał Honestus. — Ojcze, nie umiem wybierać, lecz uczyń szczęśliwymi wszystkich! Uśmiechnął się Honestus. — To czego żądasz nie możebném jest, cnota tylko czyni szczęśliwym. Oskar padł do nóg starca i podniósł ręce błagalnie — To uczyń ich cnotliwymi, ażeby byli szczęśliwi! Uczyń ich dobrymi, przysporz im szczęścia! Zbladł Honestus i rzekł cichym, drżącym głosem: nie żądaj tego synu, nie mógłbym ci odmówić, lecz tego nie żądaj. Grzech jest zgnilizną, a zgnilizna jest źródłem życia. Lecz Oskar w szale miłości ludzkości całéj, nie słyszał słów starca, ale objąwszy jego kolana błagał we łzach gorących: o potężny ojcze, udziel ludziom cnoty, szczęścia! — Powtórz twe żądanie potrzykroć, Oskarze.—Trzy razy powtórzył je Oskar.—Niechaj się stanie. Wkrótce uderzy godzina północna, rozdzielę naturę z jéj orszakiem ażebym się stać mógł jéj panem. Powstań Oskarze! Wybiła północna godzina.—Honestus skinął czarodziejską swą laską na północ, wschód, południe i zachód, i wyszeptał tajemnicze słowa. Z niebios spłynęły słodkie harfy tony, z pod ziemi zawył straszliwy śmiech. Oskar zawieszony między zachwytem a przerażeniem zapytał: zkąd ten śmiech straszliwy? — Milczenie, synu, odparł starzec zcicha; jest to duch złości: nie drażnij go, nie mam bowiem nad nim żadnéj mocy. Chodź daléj, przypatrzéć się naszemu dziełu. Wyszli. Cisza uroczysta nocy zapanowała nad światem: Oskar wzniósł oczy w gwiazdziste niebo, a wzruszony starzec rzekł: nasyć się raz jeszcze słodyczą téj nocy: jest ona ostatnią na téj ziemi. Noc jest grzechem, a słońce nie zajdzie już nigdy. Doszli do ciemnéj uliczki i ujrzeli drabinę opartą o mur domu, po któréj zstępował mężczyzna, oglądając się trwożliwie naokoło. — Pozwoliszże na to? zapytał Oskar: wszakże ten zbrodniarz może zamordować śpiącego?—Nie obawiaj się synu. Kradzież już spełniona, lecz północna godzina powróciła zbrodniarzowi cnotę, i odnosi skradzione. Honestus postąpił daléj z ucieszonym młodzieńcem, patrząc wszędzie i śledząc, a wszędzie obaj niewidzialni.

— Cóżto za głosy płaczące w tym wielkim budynku?—To mordercy w więzieniu modlą się.—Weszli do pokoju, który oświecała nocna lampa. Piękna kobieta z rozpuszczonym włosem leżała na kolanach u kołyski dziecka, całując je i płacząc nad niém. Pod drzwiami stał mężczyzna wyciągając zawstydzony rękę ku niéj, lecz matka zakryła oczy.—Któż oni, starcze?—Ten mężczyzna to uwodziciel, ktorego o téj godzinie zawołała żona jego przyjaciela, ale laska ma czarodziejska podziałała szybko: żal poprzedził winę i oto matka błaga na kolanach dziecię swe o przebaczenie z występku popełnionego na ojcu, a uwodziciel żegna się płacząc z powabnym grzechem.—Wstąpili na plac okolony drzewami. Ze wszystkich przyległych domów wybiegało tysiące ludzi. Żołnierze piechotni i jezdni mieszali się z tłumem sztandarów, a bębny biły, armaty groziły paszczami; szczęk broni się rozlegał;

słowem wrzawa i zamieszanie nie do opisania.—Cóż się stało? spytał Oskar. — Ci co wybiegli z tych domów, to byli szulerzy, rozpustnicy i oszuści, których jednak czar cnoty otrząsł z kału, i oto biegną drżący nowém uczuciem, potykać się ze złością.—

Już i ranek zaświtał, lecz cisza nocy trwała. Targowisko stało puste, nie słychać było ani turkotu wózka, ani krzyku wieśniaka, ani odgłosu młota —Dlaczego ta cisza, starcze?—Bo ludzie nie mają już fałszywych chuci. są zadowolnieni i odpoczywają.— Przed domem piekarza stali jacyś ludzie lamentując, że za pieniądze nie mogą dostać chleba, rozdano go bowiem darmo biédakom. Setki trupów leżały na ulicy.—Jacyż to nieszczęśliwi? spytał Oskar. — To nędznicy, którzy jednak woleli umrzéć z głodu, aniżeli żyć daléj krzywdą i zdradą spółbliźnich.—W pokojach pałacu królewskiego gdzie się zwykle zgromadzali dworacy, ujrzeli płaczących. Jakiś starzec rzucił się ze łzami do nóg młodzieńca jęcząc: przebacz mi, jam cię spotwarzył.—W sali królewskiéj siedział król na tronie. Kobieta z przeraźliwym wrzaskiem, przecisnąwszy się przez tłum, padła mu do nóg wołając: powstrzymaj miecz, on niewinny! A poufnik królewski zbladł rzekłszy: o panie, jam cię oszukał! Król wzruszony do łez, zeszedł z tronu.

Honestus wyszedł z Oskarem z pałacu. Szli nad brzegiem rzeki, aż nagle wypłynęły zwłoki młodego dziewczęcia. Oskar odwrócił zbladłe lica.—Nieszczęsna! rzekł Honestus. Przeszłéj nocy utraciła honor, więc zrozpaczona i zgnębiona rzuciła się w nurty téj rzeki.—Tuż koło mostu stał smukły młodzieniec, poglądając to w niebo, to w spienione fale. Znać było rozpacz na twarzy, choć oko gorzało suchym płomieniem. Oskar uczuł się pociągniętym całą siłą do nieznajomego. — Co to za jeden, ojcze? — Uciekajmy, biédny Oskarze, zawołał Honestus ze zgrozą, i płacz, płacz żeś się stał człowiekiem.—Lecz ojcze, któż jest ten biédny?—Słuchaj i patrz na jego zbladłe lica. Niegdyś promieniały rumieńcem, a bladły tylko wtedy gdy ucho zasłyszało o niesprawiedliwości. Te ramiona, patrz, jak dziś chude i obwisłe! Niegdyś były mocne i ukute ze stali, gdy trzeba było obronić szlachetne prawo. Patrz na to wyschłe oko, niegdyś świeciło zapalając się w niebiosach. Ach! był on dzielnym i dobrym, lecz kto jest dzielnym dla kusiciela? Przebiegli służalcy wroga szlachetnych prawd, zgubili go. Zatruli jego duszę grą, szałem wina, namiętnością żądzy, więc przedał się za podłe złoto, i w tento sposób powiedli go z lekkomyślności w fałsz, z fałszu w zbrodnię. Ucho jego i oko i język przemienili w węża, który kąsa. Zgubił przyjaciela, całując go w przedśmiertną godzinę, i odbierając od niego ostatnią życia tego wolę. Szatan zgrzytał szyderczo nad tém unikczemnieniem duszy człowieka. Wtém wybiła północna godzina, ta sama którą ci przyrzekłem Oskarze. I oto straszliwe marzenie wyrwało go z sennéj pościeli....—Twój testament! krzyknął, słowami zabitego przyjaciela i stanął tu nad rzeką. O północy pragnie się rzucić w śmierci fale, lecz boi się, i tak między

pragnieniem śmierci a jéj obawą, stoi w niemém strętwieniu.— W téj chwili ów blady samobójca popatrzał dłużéj w rzekę. —Wstrzymaj go, ojcze, błagał przeszyty dreszczem Oskar, to za nadto strasznie, stanąć z tak obładowaném sumieniem, tam przed Bogiem!—Oskarze, odparł czarodziéj, darmo: tu kończy się moc moja i władza. Żal zastąpił u tego człowieka grzech, niech odpokutuje winy swoje! Oskar upadł na kolana przed starcem.—To odbierz mu żal a powróć mu grzech! Powróć ludziom wszystkie ich pragnienia i żądze, wszystkie ich występki, wszystkie ich grzechy!.... Oskar ocknął się ze snu.... ludzie mieli je znów wszystkie.

*E. L.*

# KRONIKA PARYZKA

## LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

„Essai sur Talleyrand" napisał sir Henry Lytton Bulwer, a przełożył z angielskiego na francuzkie Jerzy Perrot: — „Dewotka" pięcio-aktowa komedya Wiktora Sardou. „Les Faux menages" pięcio-aktowy dramat wierszem napisany przez pana Pailleron, a przedstawiony w Teatrze Francuzkim. „Theodoros" dramat wojenny i czarodziejski, układu Teodora Barrier. Wiadomości literackie.

Pan Jerzy Perrot przełożył z angielskiego studyum Talleyranda, napisane przez byłego ambassadora Sir Henry-Lytton Bulwer. Tytuł przekładu: „*Essai sur Talleyrand.*"

Książka ta zastępuje w części żywot sławnego dyplomaty, którego dokładnie napisać niepodobna nawet po ogłoszeniu jego z dawna zapowiadanych *Pamiętników.* Talleyrand jeden z najsławniejszych aktorów ludzkiéj komedyi, więcéj niż ktokolwiek pisał Pamiętniki dla zamaskowania nie dla odkrycia siebie; wiedział on lepiéj niż inni, co powiedzieć a co zamilczéć należy. Sir Bulwer nie przedsięwziął téż wcale pisania życia Telleyranda: ocenił go jedynie jako męża stanu.

Bulwer założył sobie szkicować charaktery ludzi znaczących, których uważa za przedstawicieli jakiéj myśli albo doktryny. Do takich typów najwyraźniejszych, należy Talleyraud. Z tego stanowiska uważane studyum Bulwera ma wartość, chociaż autor wcale nie wyczerpał przedmiotu. Jedyny gruntownie opracowany rozdział jest ten, w którym widzimy pierwsze publiczne wystąpienie Talleyranda w Zgromadzeniu Narodowém.

Urodzony 2 lutego 1754 roku ze szlacheckiéj rodziny, najstarszy syn ojca żołnierza i matki damy dworu, Maurycy Talleyrand, w dzieciństwie zupełnie zaniedbany przez rodziców, złamał nogę, przez co został kulawy na całe życie. Uznawszy go jako

kalekę niezdolnym do czynnéj służby, rodzice przeznaczyli go do stanu duchownego. Oddany do seminaryum Śgo Sulpicyusza; wnet się odznaczył w teologii. Przypadkiem, przysposobił się w téj szkole do świeckiego zawodu.

W sześćdziesiąt lat później Talleyrand posyłając Akademii nauk moralnych i politycznych *Pochwałę Reinhard'a* zwrócił uwagę dostojnego grona, że nauka teologii siłą i giętkością rozumowania, przygotowuje wybornie do dyplomacyi, jest wstępem do niéj; dlatego, zdaniem jego, tylu dostojników kościoła było zręcznymi negocyatorami.

Cóżkolwiekbądź, młody i dumny szlachcic ubrany mimowolnie w sutannę, wskazany na zaparcie siebie, czuł się upokorzony i poprzysiągł wywalczyć sobie w tym samolubnym świecie stanowisko, któregoby mu mundurowi i orderowi pozazdrościli.

Jeżeli teologia mogła być dobrą szkołą dyplomacyi, to obowiązek pełnienia świętego urzędu nie mając ku temu żadnego powołania, żadnéj nawet skłonności, był dla duszy szkołą obłudy, szkołą kłamstwa, w której serce może się popsuć zupełnie. Tak téż się stało. W dwudziestu leciech „l'abbede Perigord" miał oschłość rozwiozłego starca. Bezczulnemu dowcipowi zawdzięcza pierwsze swoje powodzenie.

Pewnego wieczoru u pani Du Barry, poufali goście opowiadali swoje miłosne przygody. Młody *labuś* sam jeden milczał, chociaż filuterna jego minka nie dowodziła bynajmniéj żeby nie miał z czém się pochwalić.

— *Et vous, vous ne dites rien, monsieur l'Abbe!* spytała faworyta."

— Pani, odrzekł zapytany, smutną właśnie czyniłem sobie uwagę, żę w Paryżu daleko łatwiej o kobiety niż o opactwa.

Powtórzyła to Du Barry Ludwikowi XV, a król dał dowcipnemu księdzu prebendę.

Pierwszy ten okres nie przykładnego życia księdza Perigord, któremu w przeddzień zebrania Stanów Powszechnych dano biskupstwo d'Autun, Bulwer szkicuje tylko, żeby dojść prędzej do męża Stanu. Rola Talleyranda w *Assemble'e Constituante* głęboko wystudyowana, wychodzi na jego korzyść. Mianowany członkiem Zgromadzenia przez duchowieństwo swego dyecezyum, Talleyrand na wstępie, w znakomitej przemowie dał swój program, gdzie nie błądząc w nieokreślonych teoryach, skreślił główne reformy i ulepszenia które za potrzebne uważał. Sir Bulwer twierdzi, że ten program napisany w zaraniu 1789 roku, byłby dziś jeszcze dla Francyi najrozsądniejszym i najpewniejszym rządem. Nie wszyscy podzielają to zdanie, ale rzeczą jest powszechnie uznaną, że biskup d'Autun pokazał się w pierwszej chwili swojego wystąpienia jednym z najświatlejszych i najprzenikliwszych ludzi ówczesnych.

Talleyrand w *Assemblée Constituante* popierał najmocniéj wniosek sprzedaży dóbr duchowieństwa na korzyść narodu. Dostojnik kościoła, pierwszy on podał rękę stanowi średniemu. Pozzo di Borgo zazdrośny wpływu i rozumu Talleyranda, powiedział wtedy o nim: „Człowiek ten wielkim się czyni stając zawsze pomiędzy małymi i pomagając tym którzy go najwięcéj potrzebują."

Popieranie sprzedaży dóbr duchownych, jak niemniéj odznaczenie się w kwestyach finansowych i w pracach Komitetu Konstytucyjnego; światłość i zręczność wymowy, sprawiły iż jemu Zgromadzenie poruczyło napisanie manifestu który złożyło narodowi w lutym 1790 roku. Talleyrand wywiązał się tak dobrze z tego zadania, że został obrany prezesem Zgromadzenia Konstytującego, zaszczyt którego Mirabeau znacznie późniéj dostąpił.

Widząc tak czynną rolę Talleyranda w Assemble'e Constituante, angielski jego biograf dziwi się najpierw jak człowiek tak przenikliwy jak biskup d'Autun mógł popierać wszelkiemi siłami ową rewolucyą, która jak się wyraża „pozbawiła Francyą kości." Takto, powiada, nawet zdrowy umysł nie zawsze się oprze szaleństwu epidemicznemu, a chcąc usprawiedliwić dyplomatę, dodaje że człowiek zręczny może swoje przystąpienie do głupiego zapału wytłumaczyć tém, że to był jedyny sposób zwyciężenia przesądów jeszcze głupszych. Daléj Bulwer, pyta czy ów Talleyrand trzydziesto pięcio-letni, tak energiczny i przedsiębiorczy, jest tenże sam którego późniéj widzimy opieszałym, nieczynnym, potwierdzającym jedynie co drugim robić kazał?

Oczywiście że nie: z początku interes własny był mu ostrogą. Nie był to ten sam człowiek przed, i po dojściu do sławy.

Z początku swego zawodu Talleyrand dbał wielce o opinią publiczną, o którą późniéj, zdobywszy wysoką pozycyą, nie troszczył się bynajmniéj. Dowodem początkowych jego zalotów do powszechności, list który ogłosił w dziennikach 8 lutego 1791 roku, gdzie oświadczywszy że nie pretenduje do biskupstwa Paryzkiego wtedy opróżnionego, usprawiedliwia się z wygranych w karty pieniędzy.

Powyższy list Francuzi poznali z przekładu angielskiego. Nikt nie odszukał i nie przytoczył textu francuzkiego, co przecież warte było zachodu: list taki, z podpisem Talleyranda... toż osobliwość nie lada!

Krótką była ta świetna rola pory i uczciwości, którą Talleyrand zjednał sobie sympatye Francyi. Stawszy się sławnym i popularnym, zmienił skórę.

Nadeszło *święto Federacyi,* rocznica 14 lipca 1790 roku. Talleyrand jako biskup celebrował uroczystą mszę na Polu Marsowem, na ołtarzu ojczyzny błogosławił sztandary odrodzonéj Francyi. Smutna parodya miłości, wiary i nadziei... Pomijam bezwstydne słowa które celebrant wymówił przy ołtarzu, zapisała

je historya, a przyszłość pokazała, że nowa konstytucya nie mogła bezkarnie inaugurować się świętokradztwem.

Po komedyi przy ołtarzu ojczyzny odegranéj, nastała druga. Miano wyświęcać członków nowego duchowieństwa konstytucyjnego. Potrzeba było do téj sakry trzech biskupów. Z dwóch wspólników biskupa d'Autun, jeden się zawahał... W przed dzień obrzędu Talleyrand uwadomiony o niedecyzyi biskupa Babylony, udał się do niego, i niby o niczem nie wiedząc, odegrał sławną scenę. Niby wielce zmartwiony zwierza mu, że biskup Lyddy opuszcza ich... że on Talleyrand, wie dobrze na co go ta dezercya naraża... zatem ma postanowienie nie złomne: zamiast dać się ukamienować przez lud, woli sam sobie życie odebrać, w razie gdyby go jeden z dwóch kolegów opuścił... Mówiąc to bawił się krucicą, niby przez dystrakcyą wyjętą z kieszeni.

Cacko zrobiło spodziewane wrażenie: jedna trwoga wygnała drugą.. i obaj wspólnicy w oznaczonym czasie znaleźli się na stanowisku.

Po skończonym obrzędzie Talleyrand wielce się zabawiał tą farsą i opowiadał ją przyjaciołom.

Wszystko to nie bardzo pięknie wygląda. Talleyrand wnet zawezwany przez Papieża do porządku pod karą klątwy, opuścił stanowczo stan duchowny i rozpoczął zawód świecki. Szkoda że tego wcześniéj nie uczynił.

Trzeba patrzéć tylko na główne czyny Talleyranda w owéj epoce, żeby oddać sprawiedliwość należną jego rozumowi i przezorności. Wglądającego bliżéj, systematycznéj w życie owego dyplomaty, niesmak porywa, i gotów wszystkiego mu odmówić.

W chwili rozejścia się Zgromadzenia Narodowego (wrzesień 1791 r.) Talleyrand przedłożył kolegom raport, prawie księgę, obejmującą obszerny plan nauczania publicznego, mającego za podstawę szkołę Gminną, a za koronę Instytut. Czytanie tego projektu zajęło dwa posiedzenia i było wysłuchane do końca z największą uwagą. Józef Chénier nazwał tę pracę „pomnikiem chwały literackiéj, gdzie wszelkie powaby stylu upiększają myśli filozoficzne." Był to testament godny owego płodnego prawodawstwa.

Bulwer wysoko podnosi światłą stronę roli Talleyranda w tym piérwszym okresie jego zawodu; oto jego słowa:

„W Zgromadzeniu Narodowém Talleyrand był najważniejszą figurą po Mirabeau — tak jak późniéj za Cesarstwa, był najznakomitszą osobą po Napoleonie. Jednakowoż, sława jaką nabył w owym gwałtownych czasach, nie ma cechy gwałtownéj. Członek dwóch sławnych klubów (Jakóbinów i Feuillantów), uczęszczał do nich nie żeby się tam wtrącać do rozpraw, ale żeby poznać rozprawiaczy i wpłynąć na nich. W Zgromadzeniu Narodowém był zawsze z najumiarkowańszymi wyznawcami rewolucyi. Żadne uczucie osobiste nie zbiło go z drogi jaką sobie za-

kreślił; nie widać w nim żadnego uprzedzenia, ani też nadzwyczajnéj wymowy. Wpływ jego pochodził ztąd, iż zawsze proponował rozporządzenia ważne, rozsądne i w stosownéj chwili. Talleyrand nie taił że pragnie monarchii konstytucyjnéj, że gotów zrobić wszystko co w jego mocy, żeby ją otrzymać; nigdy jednak nie powiedział że się dla téj idei poświęci, jeżeli spostrzeże iż ona nie może zwyciężyć."

Postępowanie takie Bulwer uważa za wielką cnotę: „Bywa, powiada, że wszystkie okoliczności składają się na jeden koniec nie uniknony. Wtedy, podczas kiedy ograniczeni upierają się przy swojém, kiedy pyszni każą podziwiać swoją stałość, kiedy chrześcianie spuszczają głowę z poddaniem, człowiek polityczny poddaje się okolicznościom i usiłuje wmięszać ile można najwięcéj dobrego do złego, które trzeba koniecznie przyjąć."

Bulwer zapomniał wymienić uczciwego człowieka, tego co pełni stale swój obowiązek — zapomniał o tych wszystkich co oddali życie za swoje przekonania...Ale to nic dziwnego: takie przepisy do kodexu dyplomatycznego nie należą.

Po rozejściu się Zgromadzenia Narodowego i usunięciu jego członków od wszelkiéj działalności prawodawczéj, Talleyrand wyjechał do Londynu: rozgorączkowany Paryż nie wydawał mu się stosowną dla niego atmosferą. Towarzyszył mu w téj podróży (1792 r.) ambasador Bion, jego przyjaciel. Nie była to jedynie wycieczka obserwacyjna: Talleyrand miał także poufną missyą — ale uprzedzenie przeciwko Francyi tak było wielkie w Anglii, że mu się nie powiodło ani w ministeryum ani w salonach. Dumont który go wtedy widywał, kreśli następujący jego wizerunek.

„Talleyrand chciał imponować głębokością i skupieniem, Pierwsze z nim zetknięcie było zawsze bardzo zimne; mówił mało — słuchał uważnie. Twarz jego nieco nabrzękła, zapowiadała miękkość—głos męzki dziwną sprzeczność tworzył z tą fizyognomią. Zwykle trzymał się na uboczy i nie rad występował. Anglicy mający ogólne uprzedzenie do charakteru francuzkiego, nie znajdowali w Talleyrandzie ani żywości, ani poufałości, ani nie dyskrecyi, ani wesołości narodowéj. Mowa sentencyonalna, zimna grzeczność, wzrok badawczy — wszystko to były jego szańce, kiedy grał rolę dyplomaty."

Kiedy jéj nie grał, w domu, w poufném kole, maska ta spadała całkowicie. Wtedy był bardzo miły, zabawny, uprzejmy, kokietował nawet swoich gości. Niezmiernie lubił rozmowę z ludźmi mogącymi go zrozumieć. Z takimi często gawędził po całych nocach. Dumont który z nim także podróżował, powiada że nie było w świecie milszego człowieka jak Talleyrand *„dans le petit espace carré d'une voiture."*

Z powrotem z Londynu do Paryża nie znalazłszy już w ministeryum swojego przyjaciela Narbonn'a, Talleyrand związał się

z Girondą, Dumourierem, i wrócił do Londynu z nową missyą. Było to w roku 1792. Chodziło ażeby w przeddzień wojny kontynentalnéj zjednać sobie neutralność Anglii. Negocyatorowie francuzcy nigdzie posłuchu nie znaleźli: nikt z rozburzonym tronem nie chciał wchodzić w układy. Talleyrand nic nie wskórawszy przywołany do Paryża, znowu do Londynu powrócił za paszportem wydanym przez Danton'a. Po co? nie wiadomo. Uważając za niebezpiecznego gościa, Anglicy wypędzili go od siebie w 1794. Daremnie sumitował się przed lordem Granville, że przybył jedynie jako człowiek prywatny szukający osobistego bezpieczeństwa. Prośby jego pozostały bezskuteczne. Wygnany z Anglii Talleyrand odpłynął do Stanów Ziednoczonych. We dwadzieścia miesięcy później, kiedy mu się zachciało wrócić do Francyi, Józef Chènier błagał konwencyi żeby przywołała Talleyranda „który za granicą zajmował się wzmacnianiem Rzeczypospolitéj i nie słusznie był oskarżony".

Ze swéj strony Talleyrand ogłosił wtedy *Objaśnienie*, w którém chcąc się oczyścić z zarzutu samowolnéj emigracyi, powiada że go wysłała do Londynu Rada Wykonawcza tymczasowa, a paszport podpisany przez Danton'a, może na wezwanie złożyć.

W lat czterdzieści później Talleyrand opowiadał jak wyłudził ten paszport podstępem od Dantona.

Wszystkie te szachrajstwa niepokoją Angielską uczciwość. Bulwer, zestawiwszy *pro* i *contra*, w głowę zachodzi co jest fałszem a co prawdą?. „Jak pogodzić, pyta, oświadczenie Chènier'a z protestacyą Talleyranda uczynioną lordowi Grenville? Jak Talleyrand mógł pisać sprawozdania Dantonowi, przybywszy do Anglii *jedynie* dla wypoczynku?" Jak? Daremna praca chcieć pogodzić te sprzeczności. Wywnioskować ztąd można jedyną rzecz, któréj grzeczność nie dozwala powiedzieć o człowieku po jego śmierci: Talleyrand kłamał — nie tylko tym razem, ale ilekroć tego wymagał jego interes osobisty. Jedno udowodnione kłamstwo dozwala przypuszczać tysiące innych. To też, jeden lord Grenville nazwał Talleyranda człowiekiem „głębokim i niebezpiecznym" — a drugi lord Grenville, prawdziwie po Angielsku zdefiniował człowieka złapanego tylekroć na kłamstwie i nieprawości: „Jestto jedwabna pończocha, pełna śmieci". Tak przetłumaczył z angielskiego, pono zbyt grzecznie, Chateaubriand tę lordowską ocenę, która możeby najwłaściwszym była napisem na nagrobku sławnego dyplomaty. Bulwer pokazał tylko dobrą stronę Talleyranda, téj szukał i tę uwydatnił ufając zdaniu Lorda Bayrona: „nikt nie zły całkiem". Sprawiedliwy biograf Talleyranda powinien w swojém dziele zamieścić studyum Bulwera— *notabene*, bez komentarzy, a raczéj nauk moralnych angielskiego *es sayisty*, które całkiem należą do kodeksu Talleyrandowskiéj moralności.

*Dewotka*, komedya pana Sardou przedstawiona pod tytułem: „*Serafiny*" uszczęśliwia powszechność paryzką; ale ludzi myślących, ludzi wytwornego smaku nie zadawalnia wcale,; ci przyznają panu Sardou zręczność, dowcip, życie — ale mu odmawiają słusznie znajomości podjętego przedmiotu, taktu w wystawie, obserwacyi świata, którą chciał odmalować.

Serafina ma tęż smą wadę organiczną co wszystkie komedye pana Sardou: afiszuje on typ jakiś, wywiesza jakąś chorągiew a sztukę pisze obok tego.

Tym razem włożył dramat w kropielnicę ulepioną z gliny, nasadzoną grubemi figurami: portretu dewotki nie odmalował— przekonajcie się sami.

Dewotka pana Sardou zwie się Serafina de Rosange: jest baronową, damą wielkiego tonu. Podniesiona kurtyna odsłania jéj salon, gdzie zastajemy jéj zięcia pana Planterose, niepoprawnego wolnomyślca, którego za to świekra z objęć żony wygnała. W tym salonie, zięć spotyka przyjaciela swojego, Roberta Chateauneuf, który przybywa nająć mieszkanie w domu baronowéj. Planterosa ma go przedstawić a oczekując przybycia pani, czyni mu wyborną fotografią mających nadejść osób. Ta introdukcya strzelająca rotowym ogniem dowcipu, jest zdaniem naszém, najlepszą sceną komedyi.

Dom Serafiny to istna *Santa Casa*: w salonie świece palą się jak gromnice, lokaje wyglądają jak zakrystyany, krzesła bardzo miękkie i wygodne, mają surowy pozór zakonnego umeblowania.

Baronowa przybywa z nieszporów i zaczyna rozpytywać pretendenta do mieszkania w jéj domu, o jego sposób myślenia, obyczaje, pojęcia polityczne, o stan jego kasy, sumienia i umysłu. Pytania przez nią zadawane są katechizmem *dobrze myślących* właścicieli. Podczas tego zabawnego śledztwa, przychodzą damy z kościoła: wychwalają ostatnie kazanie, zbierają składkę na małych patagonów, przytém nicują bliźniego..., obmawiają zjadliwie na kantyczkową nutę. Młodzieniec płasko-włosy imieniem Sulpiciusz, ze spuszczonemi oczyma, pozuje na cherubina.

Z pierwszych tych scen, tworzy się obrazek pełen reminiscencyi: kapitał dowcipu pożyczony u starych i nowych pisarzy, nabyty mianowicie od paryzkich *Gamenów*; ale wszystko to razem lekkie, zabawne, rozśmiesza każdego a uszczęśliwia Paryżanów, z których wnętrzności wyjęta cała ta komika.

Pod koniec aktu przybywa Chapelart, a wraz z nim karykatura wchodzi w ten światek: paczą się obrysy, fałszują tony przesada pogrzebia komiczne wizerunki trafnie uchwycone. Ten Chapelart, półduchowna a półświecka osoba; ni ryba, ni mięso: zajmuje w tym domu toż samo miejsce co *Świętoszek* w domu Orgona. Sardou chciał przedst wić w tym człowieku, jeżeli nie spowiednika, to kierownika sumienia pani domu.

Taka figura powinna była być duszą sztuki, której przedmiotem Dewotka; powinna być sprężyną całego działania: takie miejsce naznacza jéj logika. Ale p. Sardou nie wziął na seryo pierwszego aktora swéj komedyi. Z obłudnika zrobił błazna, którego głupotę najciemniejsza bigotka odkopertowałaby zdaleka. Ten Chapelart psuje wszystko swoją grubością, nie zadaje sobie nawet pracy udawaniem. I tento cymbał najcięższego kalibru, ma przedstawiać najuczeńszy i najsubtelniejszy ze wszystkich wpływów. Autor przedstawia jako kierownika duszy niewieściej, cynika, który kiedy mowa o nabożeństwie, śmieje się jak starożytny augur wsadzając na rożen świętego kuraka... Taki świętoszek nawetby Orgona nie oszukał. Mniéj przenikliwy niż Orgon, mąż Serafiny, były pułkownik Spahisów, ustąpił Chapelar'owi mężowskiego znaczenia, sadza go w swojém krześle przy stole, przy kominie, oddaje mu swoje miejsce w powozie a sam chodzi piechotą. Chapelart nawrócił go lecząc amuletem pedogrę, na którą stary wiarus mocno cierpi. Karmiony stokfiszem, pozbawiony fajki i wódeczki, nie mogąc nawet zakląć sobie na pociechę, pułkownik kulejąc i szemrając, idzie wskazanym gościńcem do nieba.

Krzyczano na nieprawdziwość téj roli: nam się ona wydaje bardzo prawdziwą. Takich starych żołnierzy jak Baron Rosange często widzieć można. Karność wojskowa przysposabia do karności klasztornéj. Posłuszeństwu biernemu, jeśli nie podniesione intelligencyą, dość zrobić obrót prawą w tył, żeby z koszar przejść do zakrystyi.

Pułkownik jest więc całkiem prawdziwy: tylko pojąć trudno że słucha Chapelarta. Przypuśćmy zresztą że tego trzyma za chorą nogę, ale uległości Serafiny żadną miarą wytłumaczyć nie można. Jak przypuścić: żeby kobieta wykształcona, rozumna, światowa, wzięła za sędziego sumienia, takiego gbura?

Dewotka unieszczęśliwia całą rodzinę. Starszą córkę od męża odrywa, żeby ją wybawić od miłości wolnomyślca; młodszą, Yvonę, chce żywcem pogrzebać w klasztorze. Taka surowość każe się domyślać fanatycznego doradzcy: ma nim być Chapelart... Na jednoby wyszło pokazać kuchtę w białym fartuchu dmuchającego na stos autodafy.

W drugim akcie odkrywa się tajemnica Serafiny. Anonsują jéj kontr-admirała Montillac, wracającego z Senegalu po sześcio-letniej nieobecności. Baronowa nie chce go przyjąć, ale gość gwałtem prawie wchodzi do salonu. Montillac jest ojcem chrzestnym Yvony. Jednak, po tonie jakim domaga się jéj widzenia, po wzruszeniu z jakiém ją wita, kiedy dziewczę pomimo zakazu, wbiega i rzuca mu się na szyję, odgadujesz ojca. Yvona jest jego córką: ażeby odpokutować grzech jéj urodzin, matka chce ją oddać do klasztoru.

Po odejściu marynarza, baronowa spowiada się przed Chapelartem. Tu znowu trywialność jego psuje scenę, Wrażenie

jeszcze gorsze, kiedy świętoszek, który dotąd miał tylko zdanie o pulardach i maraskinie, zaczyna winę przyjaciółki przepuszczać przez kazuistyczne sitko... Dzieli i poddziela grzech, nareszcie w nim znajduje maleńką dozę okoliczności łagodzących: to wina barona! Ze śmiertelnego, grzech staje się powszedni. Gastronom przemienia się w teologa, Chapelart staje się całkiem nieprawdopodobny: raz postawiony typ powinien się utrzymać do końca.

W trzecim akcie same oderwane obrazki z rodzinnego życia dewotki. Najpierw zięć usiłuje wydobyć żonę z pod wpływu matki. Agata już się rozczula i ma uściskać męża, kiedy wchodzi matka i przywołuje ją do przepisu. Wtedy mąż rozgniewany, oświadcza: że rozstaje się z żoną i zamieszka obok gmachu opery: scena bardzo wesoła.

Wszyscy w tym domu ślepo posłuszni pani, wyjąwszy córki Yvony. Scena pomiędzy nią i matką chcącą ją oddać do klasztoru, jest przejmująca. Sardou powtórzył prolog z „*Zakonnicy*" powieści Diderota. Ten sam przymus i opór, też same pogróżki i jęki. Tam i tu za grzechy żałująca matka, córkę składa Bogu na ofiarę. Ale przerzucenie z jednego wieku w drugi, sprawia, że tragedya domowa mniej prawdziwą. Mało już przykładów takiego gwałtu. Za dni naszych nie można już dziewczyny pragnącéj życia, pogrzebać żywcem w celi pomimo jéj krzyków. Ifigenia w Aulidzie dozwala się zabijać na ofiarę, ale paryzkie Ifigenie mniéj mają rezygnacyi.

Cóżkolwiekbądź, Yvona przez matkę zamknięta w pokoju, ma być odwiezioną do klasztoru. W ciężkiém strapieniu biedna dziewczyna chciałaby uwiadomić chrzestnego ojca, który sam jeden może ją z téj smutnéj doli wybawić, ale niema sposobu... Służąca Serafiny nie chce się podjąć komisu. Kiedy Yvona rozpacza, otwierają się drzwi od balkonu i pan Robert Châteauneuf wchodzi do pokoju... Groom baronowéj z anielską minką, przekupiony, otworzył mu furtkę od ogrodu.

Wtargnięcie nocne dziko wygląda: uszłoby to w Madrycie, ale nie w Paryżu. Taka nocna wizyta do panny w domu rodziców, tutaj nie przelewki. Obłąkanie zmysłów chyba wytłumaczyć ją może. Jakoż, młodzieniec jest postrzelony. Obaczywszy w przeddzień Yvonę rzucającą skrycie list na pocztę, a potém inny bilecik wsuwającą w rękę kobiety którą zwała mamką, Robert uroił sobie że to listy miłośne... mamka do reszty pomięszała mu w głowie. Napróżno znajomi zaręczają że Yvona jest aniołem czystości, on twierdzi że tak nie jest, i żeby się zabawić z panienką lekkomyślną, przekupiwszy grooma, wchodzi oknem. Yvona wnet przywołuje go do porządku; Robert na klęczkach przeprasza, panna przebacza, a dowiedziawszy się że jest synowcem jéj ojca chrzestnego już ma z nim ujść i pod marynarza schronić się opiekę, kiedy nagle budzi się w niéj wstyd

dziewiczy, woła na pomoc matki. Wbiegają rodzice, Robert się oświadcza o rękę Yvony. Baron gotów mu dać córkę, ale Serafina się oburza i drzwi pokazuje młodzieńcowi który wychodzi, przysięgając: że Yvony nie pozwoli zamknąć w klasztorze. Matka niemając chwili do stracenia postanawia córkę odesłać natychmiast za kratę pod strażą Chapelarta. Wychodzą; wołają fiakra, panna wsiada pierwsza do powozu: zatrzaskują się za nią drzwiczki... Konie ruszają cwałem, Chapelart zostaje na ulicy a pannę uwozi ojciec chrzestny.

Komedya wepchnięta na takie tory, a raczéj wyboje, o mało nie upadła. Czwarty akt podniósł ją nagle namiętnym podrzutem.

Jesteśmy w domu admirała, w Auteuil, gdzie powiózł porwaną Yvonę. Oburzony gwałtem jaki jéj matka czyni, postanowił zabrać ją z sobą na morze. Córka siedzi ukryta w jego pokoju. Ojciec przysposabia wszystko do odjazdu oczekując pogoni, chmurzy się widnokrąg sztuki, wszyscy przeczuwają burzę... Zanim nadejdzie, przybywa scena wesoła przeplatająca zawsze smutne wypadki w komedyach pana Sardou. Przybywa przyjaciel admirała Planterosa, zięć Serafiny, i opowiada mu dowcipnie, jak żona przybiegła do niego skoro opuścił dom matki, jak wyswobodzeni z pod jéj jarzma, żyją swobodni i szczęśliwi. Ten ustęp byłby wyborny, gdyby relacya męża nie miała nie potrzebnego odcienia rozwiozłości.

Następuje scena admirała z Yvoną, bardzo ładna. Dziéwczę nie wié że jest w objęciu ojca, ale to przeczuwa. Ojciec chciałby przedrzeć zasłonę która zakrywa córce jego prawdziwe rysy, nie czyni jednak tego, i przez ten welon do niéj się uśmiecha. Tak powstrzymana miłość rodzicielska czulszą się wydaje.

Serafina przybywa nocą do znanego sobie domu. Spotkanie straszne... burza wybucha odrazu. Dawni kochankowie nienawidzą się tyleż ile dawniéj się kochali. Baronowa zrzuca maskę obłudy i wbiega skokami pantery... nie jestto już dewotka, ale matka któréj porwano dziecko, matka żądająca z rozpaczą, oddania porwanéj córki. Miłości takiéj trudno pogodzić z surowością z jaką przed chwilą, pomimo łez i błagań chciała zamknąć córkę za kratą. Jestto znowu nielogika w przeprowadzeniu charakteru kobiety, którą autor przedstawił jako fanatyczkę bez serca. Z drugiéj strony, admirał grożący Serafinie pakietem jéj listów jak nabitym pistoletem, zmuszającym do milczenia, używa broni zdradzieckiéj. Grożenie denuncyacyą zawsze podłe, w takim razie jest oburzające. Ale publiczność roznamiętniona, nie może już sądzić z krwią zimną: starcie tych dwojga silnych, a nienawidzących się ludzi, ciska oślepiające iskry. W końcu, mężczyzna zwycięża... kobieta gotowa przystać na wszystko, milknie z rozpaczą.

Skoro przybywa mąż także szukający córki, Serafina oświadcza, że już przejrzała pokoje i nie znalazła Yvony. Położenie

dramatyczne, widmo krzywoprzysięstwa staje pomiędzy matką a córką i nakazuje pierwszéj nienawistne pogodzenie z wspólnikiem. W końcu jednak, wszelkie inne względy przeważa miłość macierzyńska: Baronowa w obec wszystkich, biegnie po córkę, wyprowadza z ukrycia i zabiera z sobą do domu. Baron zdumiony, żąda od admirała objaśnienia: nazajutrz ma je otrzymać.

Zajęcie ostatniego aktu wynika z pakietu listów Serafiny do admirała, które związane razem z listami Yvony, ta zabrała z jego kantorka. Matka w śmiertelnym niepokoju, myśli że córka czytała te palące karty i na samo przypuszczenie takie, wstydem płonie. Obawy okazują się płonne: Yvona rzuciła w ogień przeszłość matki, nie podejrzywając jéj nawet.

Chodzi o zaspokojenie barona, który nareszcie zaczyna podejrzywać co się święci. Ale i tu Sardou wykręcił się gładko, bez krwi rozlewu. Robert, ów zakochany który wszedł oknem, oświadcza że on wykradł pannę i prosi o jéj rękę. Matka dorzuca, że dla uniknienia skandalu, chciała córkę odwieść do domu bez świadków. Panna kocha skrycie Roberta, więc wszystko się układa: Serafina zamiast klasztornego welonu, welon ślubny przypina Yvonie: admirał zabezpieczywszy los córki odpływa do Senegalu.

Na tém koniec.

Jestto, powtarzamy, wymowny dramat zamknięty w kropielnicy przeładowanéj figurami bez wartości, ani pod względem obserwacyi ani sztuki. Tegoczesna dewotka pogrążona w religijności *fashionable*, oplątana w zawiłą sieć swojéj namiętności i wiary, swoich gustow światowych i mystycznych popędów, pozostaje do malowania; lekkomyślna komedya pana Sardou nawet jéj nie dotknęła. Umieszczenia rozdziału z powieści Diderota w albumie karykatur, nie można nazwać studyowaniem przedmiotu. Wszędzie lekkość i brak taktu. Dlaczego autor nie przeciwstawił obłudzie i fanatyzmowi, pobożności szczeréj, prawdziwéj, téj którą Moliére przeciwstawia Świętoszkowi. To było konieczne, jeżeli Sardou chciał być sprawiedliwym: bo jeżeli dewocya ma swoje złe duchy, ma także swoje anioły. Wprawdzie, marynarz w czwartym akcie oświadcza, że jest pobożny, ale ten frazes przypięty jak listek Bachusowi, więcéj gorszy niż buduje. Jestto niby fałszywe zaświadczenie z odbytéj spowiedzi które komedya wydaje sobie sama, jako pasport do wszelkich rozwiozłości.

---

„*Les Faux Ménages*" komedya we czterech aktach wierszem napisana przez pana Pailleron, a przedstawiona w Teatrze Francuzkim, pozyskała nadzwyczajne pochwały znawców. Autor dotąd nie należał do sławnych, ale ten utwór postawił go odrazu w rzędzie najznakomitszych dzisiaj dramaturgów francuzkich

Śmiały i żywy, wolny i energiczny Pailleron wyczerpuje do dna swój przedmiot. Komedya jest szkicem obyczajowo-filozoficznym, w rodzaju „*Pojęć pani Aubray*": cudzoziemiec, członek jakiéj społeczności stateczniejszéj, cnotliwszéj lub chłodniejszéj, zarzuci téj sztuce słusznie gwałtowność, zuchwalstwo, obrazę majestatu moralności uznanéj; ale Paryżanin namiętnie przyklaśnie widząc w téj sztuce jak w zwierciadle, swoje życie domowe, plac boju, na którym uczucie jego codzień walczy z konwenansem...

Komedya nie dla panien, mniéj jeszcze niż *Dewotka*, ostrzegam... Ale tu innych sztuk teraz nie piszą. Wybieramy same pierwszorzędne, te które najżywiéj zajmują tutejszą wykształconą społeczność: przemilczając o nich, nie moglibyśmy wcale mówić o paryzkich teatrach będących lustrem stolicy i duszą kroniki, tak dalece jednem i drugiem, że kto np. teraz nie widział *Serafiny* i *Fałszywych małżeństw*, nie zrozumie żadnéj rozmowy. Nie żyjąc w Paryżu, niepodobna sobie wyobrazić jak ważne zajmuje miejsce teatr w życiu jego mieszkańców. W innych stolicach teatr jest zabawą zamożnych, tutaj jest potrzebą duszy, dla któréj wyrobnik odda połowę chleba powszedniego.

Wejdźmy do teatru francuzkiego. Przepełniony jest publicznością: ażeby tu wejść na „*Faux Ménages*" nie uprzywilejowani musieli czekać co najmniéj dwa tygodnie.

Scena przedstawia wnętrze domu podeszłéj damy, hrabiny Riom. Hrabina gra w pikietę z jednym z owych poczciwych *labusiów*, którzy należeli do pałacowych mebli dawnych francuzkich panów. Siostrzenica jéj przy fortepianie śpiewa romanse; obok, kuzynek Armand syn pani domu stoi i patrzy na jej białe biegające po klawiszach paluszki. Matka od czasu do czasu spogląda na młodą parę: dla niéj są to przyszli małżonkowie, których szczęściem raduje się w duszy. Syn przez nią o przyszłość badany, wyznaje: że ma w sercu głęboką miłość... Któż ją mógł natchnąć jeżeli nie Alina? w sercu Aliny hrabina widzi samowładne panowanie Armanda. Pewna więc ich połączenia, oczekuje go, jako nagrody doznanych cierpień... jest bowiem bolesna rana w téj rodzinie tak szczęśliwéj napozór. Armand nigdy nie znał swojego ojca: w rok po jego urodzeniu, pan Riom porzucił żonę i dziecko. Straciwszy majątek i zbrudziwszy imię, niegodny szlachcic przepadł gdzieś bez wieści. Mniemają że nie żyje. Pani Riom uważa się za wdowę, Armand nie nosi nawet ojcowskiego nazwiska. Jeżeli są śmierci cywilne, są także śmierci domowe: niesława jest jednym z takich skonów.

Do poprzedzających, przybywa nowa figura: Jerzy, brat Aliny. Ciotka oznajmia mu, że Armand wnet poślubi jego siostrę. Jerzy odpowiada wręcz: że to być nie może, bo Armand jest żonaty... i daléj wykłada zdumionéj ciotce: że syn jéj wprawdzie nie brał ślubu w meryi, ale związek jego chociaż nie zaciśnięty

prawem, nie mniéj jest silny. Od dwóch lat żyje z kobietą, którą kocha szalenie i wyłącznie, słowem, Armand wszedł w dziedzinę *fałszywych stadel*, w pół-świat stały, porządny, gospodarny, stokroć niebezpieczniejszy od tego co błyszczy i rozbija. Tu pan Jerzy w monologu gwałtownie oklaskiwanym, podaje statystykę mieszkańców tego państwa. Wyliczenie długie! Mieszkańcami jego są:

„Les réhabiliteurs naifs et triomphants,
Les malheureux à qui sont venus des enfants,
Les insensés à qui ce marché rend service,
Les drôles pour lesquels un amour est un vice,
Les travailleurs trouvant ce lieu plus léger,
Les attardès, trop vieux pour en vouloir changer,
Les timides n'osant se lever de leur chaise,
Et les mal élevés qui sont là plus á l'aise,
Et les mal mariés, au moins aussi nombreux,
Qui viennent y chercher ce qu'ils n'ont pas chez eux...
C'est un monde! le monde inconnu, mais prospère,
Des époux sans épouse, et des enfants sans père,
Ou l'estime s'égare, ou s'abime l'amour,
Et si grand, si nombreux, qu'il faudra quelque jour
Comme ont fut les Romains pour le concubinage
Annexer forcément ce faubourg du ménage!"

Armand należy do rehabilitujących. Odkrycie uderza matkę jak piorun. Jakto! ten jéj wypieszczony jedynak, ten kwiat cnoty wpadł w taki kał!.. Rywalką Aliny ulicznica?! Nie zwłócząc chwili, matka biegnie odebrać syna nędznicy.

Zmiana dekoracyi. Widzimy pokoik cichy i porządny. Młoda kobieta schylona przy lampie pracuje. Estera, towarzyszka Armanda, nie była już niewinną kiedy go spotkała; ale zepsucie nie skaziło jéj duszy. Skoro tylko rozróżniła dobre od złego, znienawidziła rozpustę: miłość ją odrodziła.

Nie łatwo już taką postacią zainteresować publiczność paryzką. Typ rehabilitowanéj grzesznicy od czasu Marion Delorme, zużył się w teatrze, jak kierowa dama w staréj talii kart. Dziewice z marmuru i z gliny, które od lat dwudziestu defilują na paryzkiéj scenie, odjęły wiarę w bielenie brudów na słońcu miłości. Jednak talent autora tak wielki, że Paryżanie uwierzyli w szczerość nawrócenia nowéj Mariony. Estera jest rzeczywiście bardzo sympatyczna: piękna dusza ożywia tę postać ukształtowaną z czułości i pokory. Armand prawdziwie ją pokochał, jego słowa obudziły w niéj uśpione dobre skłonności; Esterka uważa go za swego zbawcę, szanuje i uwielbia z namiętną wdzięcznością, nie jak zakochana kurtyzanka, ale jak odkupiona niewolnica.

Naprzeciwko téj pary mieszka drugie *fałszywe* małżeństwo. Tem zestawieniem autor podcieniowuje promienie pierwszego ob-

razu. Poznajemy więcéj ludzi tego rodzaju: podobieństwo upadłych mężczyzn i kobiet, gorzkie, uderzające..

Kiedy pani Riom przychodzi upominać się o swego syna, Estera właśnie pogrążona w miłych marzeniach, duma o swojéj przyszłości. Armand postanowił się z nią ożenić. Z początku, biedna grzesznica nie chciała przyjąć ofiary, czując się jéj niegodną... Ale Armand tak czule i stale nalegał, że przystała... chociaż nie śmie patrzyć w to promienne szczęście które ją czeka. Przybycie hrabiny nagle to widzenie raju rozwiewa. Nieskazitelna matka zaczyna od znieważania żałującéj za grzechy dziewczyny — przygniata ją wzgardą — mówi że jéj syna w sidła złapała. Estera z razu pod ciężarem oskarżeń upada — ale wnet się podnosi i protestuje przeciw nieubłaganej surowości kobiet, które znalazłszy cnotę gotową w kolebce, późniéj obarczają nią nieszczęśliwe istoty bez opieki i bez wychowania.

Wybuch ten gniewu wywołany nie pobłażaniem, stopniowo się uśmierza... Estera znowu pokorna, już tylko błaga żeby mogła żyć nie daleko ukochanego. Armand jéj na odsiecz przybywa — oświadcza stanowczo że ją pojmie za żonę, i prosi matki żeby osądziła Esterę zanim ją potępi. Prośba jego tak usilna, że hrabina otwiera dom swój téj, którą przed chwilą napowrót w kałużę odepchnęła. Estera będzie u niéj mieszkać, jako daleka krewna z prowincyi, narzeczona jéj syna.

Przyjęcie takie jest nie tylko nie prawdopodobne, ale niemożebne. Razi też niezmiernie skoro w następnym akcie widzimy Esterę w salonie pani Riom, obok Aliny. Żeby czuła matka dla miłości syna pozwoliła nieczystéj odsiedzieć w swoim domu kwarantannę — to się jeszcze pojmuje; ale żeby istotę skażoną sadzała obok niewinnéj panienki, to się w głowie nie mieści. Publiczność porwana pięknością formy, nie czuje jakoś nieprzyzwoitości tego zbliżenia. Wynikające zeń efekta dramatyczne, usprawiedliwiają ten brak rozsądku.

Esterze źle w tym nieprzyjaznym domu: matka nie spuszcza z niéj chłodnego wzroku; ksiądz nieufnie na nią spoziera... brat Aliny poznawszy ją, oświadcza wprost, że siostra jego dom opuści, jeżeli ona w nim pozostanie. Łatwiéj oprzéć się złości niż dobroci. Gdzie brat nie mógł, siostra zwycięża. Alina nic nie wie o przeszłości Estery, ale czuje że ją kocha Armand, jéj ukochany... Nie czyni za to wyrzutów rywalce — przeciwnie: ze łzami jéj szczęścia winszuje. Anielska dobroć prwdziwie upokarza Esterę: w obec téj czystéj dziewicy podwójnie czuje swoją sromotę — ze drżeniem odpycha jéj pocałunek.. dotknięcie białych skrzydeł anioła daje samopoznanie złego... Bardzo to piękna scena.

Niespodziewany powrót męża hrabiny wikła do reszty stargane pasmo rodzinnego życia. Hrabia stary, złamany rozpustą, cień siebie samego, przychodzi protestować przeciw małżeństwu syna: nie chce on żeby wstępował w jego ślady — nie chce żeby

Armand związał się z jedną z tych istot które jego zgubiły. Matka podzielając uczucia męża zostawiła samego z synem. Następuje scena bardzo zuchwała. Autor pominął powszedni efekt dramatyczny, który zwykłym pisarzom daje tak zwany „głos krwi”. Syn nie domyśla się ojca w tym upadłym starcu — odrzuca jego rady, a dowiedziawszy się że Estera dom opuściła, przypisuje to intrydze nieznajomego i podnosi nań rękę.. Matka nalega żeby się dał poznać — ale ojciec schyla czoło przed tym bezbożnym gestem uważając go za słuszną karę.

Armand w rozpaczy, biegnie szukać Esterki. Znajduje ją na klasztornym progu. Namiętność jego wraz z przeszkodami rośnie: zatrzymuje kochankę: wtém przybywają rodzice. Ojciec daje się poznać, oskarża siebie surowo, a dopełniwszy tego aktu pokory, wzbrania synowi zawierać sromotnego małżeństwa. Armand złamany, nie przekonany, nie nalega, ale wybiegając, woła z rozpaczą: „Nie, nie mogę!”

Tu znowu autor postąpił wbrew rutynie, ale może nie wbrew prawdzie: cóż ten syn ma wspólnego z tym ojcem, który z morałami przybywa gdzieś z rynsztoka?

Rozwiązanie nie wyraźnie określoné; domyślać się tylko trzeba że Armand poślubi Esterę. Czyż przezto zbrodnią popełni? Czyż nie okrutne to prawo społeczne, które oszczędza uwodziciela a uwiedzionéj nie dozwala wydobyć z przepaści, z któréj wyiść pragnie. Szereg nieprawości nie zohydzi damy wielkiego świata, a pierwsza wina, jak gorące żelazo, piętnuje biédną dziewczynę kuszoną przez nędzę i ciemnotę — zabrania pokutnicy powrotu pomiędzy uczciwych ludzi.

Niech więc Armand poślubi Esterę, ale niech wie, że z nią razem poślubi samotność, bo w dzisiejszym świecie znajdzie tylko naganę lub szyderstwo.

Świadomość następstw takiego czynu, usprawiedliwia opór matki. Wie ona, ile niebezpieczeństw, ile cierni w małżeństwie społeczności normalnéj z nienormalną. Prawo wyrzucające z rodziny kobietę upadłą, jest twarde, ale zawsze to prawo. Przekroczenie go, równie nie ujdzie bezkarnie jak przekroczenie praw natury. Pojedyncze bunty, odosobnione protestacye, długo jeszcze padać będą bezsilne przed nieprzepartą zaporą mającą podwaliny w gruncie obyczajów i w instynkcie zachowawczym społeczeństwa.

Pailleron pragnie przyspieszyć sprawiedliwość. Wiersz jego udatny, pełen ognia, wyraża z równą potęgą urazy dwóch zasad ścierających się z sobą w jego sztuce. Ale neutralność nie chłodna, zawsze na stronę serca przeważa. Paryzkim krytykom niemogącym dosyć nachwalić téj sztuki, najwięcéj się w niéj podoba ta właśnie śmiałość rażąca cudzoziemców. Wszystkie położenia oddane jasno: matka ma rozprawę z metresą; mąż wiarołomny staje przed znieważoną małżonką; ojciec występny opuszczonemu synowi się ukazuje. Każda osoba z kolei idzie w ogień. Autor

w danym razie, każdéj wyznacza w bitwie najniebezpieczniejsze stanowisko.

Wykonanie doskonałe. Najlepsza z wszystkich trupa Teatru Moliera, gra wskazane role. Panna Favart w roli Estery, niezrównana. Bressaut w roli upadłego szlachcica doskonały, słowem, tak świetnéj sztuki Paryż dawno nie widział: Augier niespodzianie znalazł kolegę w panu Pailleron.

---

„Był to z przeproszeniem acpaństwa, człowiek nie bardzo moralny, mówi Bayron w *Don Juanie* o starym Lambro, piracie Archipelagu, ale dom jego obfitował w przepyszne malowidła, rzeźby i złocenia w smaku barbarzyńskim." Podobnie „*Theodoros*" pana Barriere, lichą jest melodramą, ale dekoracye jéj przepyszne, pełne ozdób i tańców w smaku barbarzyńskim. W teatrze Châtelet więcéj nie potrzeba, żeby pozyskać powodzenie ogromne.

Pierwszą wadą sztuki, iż rzecz dzieje się w Abissynii. Wedle teatralnego prawa optyki, zajęcie maleje w miarę jak się dramat oddala. Sztuka algierska, nawet kiedy okraszona ponsowemi ubiorami mniéj tu obchodzi niż sztuka francuzka. Jeżeli rzecz dzieje się w Turcyi lub Indyach, publiczność gotowa szydzić.. chyba, że autor przedstawi jaką rzeczywistość straszną, jak bunt Sypojów; inaczéj, najsmutniejsza tragedya Paryżanów rozśmieszy, jeżeli się wyniesie do Pekinu albo Tombuktu. Francuzi zawsze śmiać się gotowi z Azyi i Afryki; jestto dla nich błazeństwo, z którego sobie sprawy nie zdają. Zaledwie od lat trzydziestu poczęto w Paryżu odróżniać chińczyka żywego od malowanego, który zdobi puszki z herbatą. Figury oryentalne zawsze na błaznów wyglądają w teatrze Francuzkim. Rzekłbyś, że to przesadzona karykatura; a jednak podróżni zaręczają, że to wizerunki pochlebne. Opium, harem i despotyzm, jeszcze podobno tworzą na skrajnym Wschodzie monarchów okrutnych i głupich, doskonale się nadających do bulwarowéj melodramy. Indyjskie Rajahy, królowie Tonking i Kochinchiny, Sułtany środkowéj Afryki, dla rozrywki wbijają na pal, ścinają i palą poddanych; czczą żmije i marjonetki; pierwszym ministrem mianują białego słonia albo astrologa, i topnieją z rozkoszy słuchając dźwięku tabakierek grających sprowadzonych z Genewy.

Od czasu do czasu, Europa do nich zawita w postaci missyonarza lub żołnierza, obala pagody, egzorcyzmuje albo cywilizuje Satrapów. Tym sposobem królowie Oceanii z ludożerców stali się monarchami konstytucyjnemi. Tăk się skończy nie długo z wielką szkodą malowniczości a chwałą postępu, cała ta starożytna farsa barbarzyńskiego świata; jego fantasmagorya złożona z niewolników, katów, eunuchów, czarowników, bonzów i nałożnic uleci z dymem jak stos Sardanapala.

Teodorosa można policzyć pomiędzy największe oryginały barbarzyńskiego Wschodu. Straszliwy był i ekscentryczny ów despota etiopski, co dawał posłuchanie stojąc pośród czterech lwów ryczących. Jego żądanie ręki królowéj Wiktoryi i srogi gniew z powodu odmowy, należą do wysokiéj komiki. Figura jednak była tragiczna. Teodoros podając się za potomka Dawidowego, rozpoczął wielkie rzezie biblijne. Po bitwie, gromadami kazał obcinać ręce i nogi niewolnikom. Wszystko przed nim drżało, nawet bydlęta: koń, przeczuwając co go czeka, dostawał zimnéj febry, kiedy Teodoros nań siadał. Podróżni przedstawiają go ciemnym i strasznym jak gradowa chmura: przystępując doń, nikt nie wiedział czy będzie uściskany czy uduszony.

Jestto wada wspólna barbarzyńcom: natura ich wymyka się rozumowaniu i logice; wrażenia nimi rządzą z oszałamiającą szybkością, jednym skokiem przechodzą od miłości do nienawiści. Głów tych ciemnych nie oświeca światło stałe, ale błyskawice.

Dramat pana Barrier jest bardzo grubo wyciosany, brutalnie jaskrawy, nad miarę wrzaskliwy i huczny: rzecz ułożona dla zabawy gminu. Teodoros wścieka się przez całe pięć aktów; nieustanny ryk jego staje się w końcu śmieszny, równie jak nieustanne błogosławieństwa pastora anglikańskiego, szukającego dwóch swoich córek, które wpadły w szpony tygrysa Etiopii.

Jeden obraz doskonały: meeting spirytualny zamówiony i wykonany przez kompanią meetingową, która takie zgromadzenia urządza wedle ceny, jak *compagnie des pompes funèbres* urządza pogrzeby pierwszéj, drugiéj i trzeciéj klassy. Jestto szkic obyczajowy angielski, bardzo ciekawy dla cudzoziemca, co się rozczula nad politycznym rozumem ludu angielskiego.

Zresztą, całe zajęcie leży w dekoracyach: *mamidło pustyni* należy do najefektowniejszych widoków jakie tu widziano na scenie. Następnie wnętrze pałacu Teodorosa, pełne barbarzyńskiego zbytku! ucieczka więźni z twierdzy zbudowanéj na stroméj skale; pochód angielskiego wojska w straszną ulewę prutą błyskawicami; wzięcie Magdali rysującéj się na ognistéj łunie pożaru, wszystko to obrazy mogące żywo uderzyć wyobraźnią. Ubiory także są arcydziełem: zbroje, mięszane z jedwabiem, skóry dzikich zwierząt, z muślinem, druciane koszule, z rzymską togą. Rzecz dziwna. Szlachetne ubiory starożytne, toga, tunika, chlamyd, Stol, Chiton, już tylko w głębi Afryki spotkać można. Czarne ludy odziedziczyły garderobę Ateńczyków i Rzymian.

„Balet Czarodziejski" stanowi dla Paryża główny powab Teodorosa. Są to oryginalne tany. Najpierw ślizgają się Bajadery w ciasnych kaftanach i spodniach, haftowanych w czerwone kwiaty; monotonna muzyka z łaje się rymować inkantacyą. Wnoszą koszyk róż; za nim przybywa *czarownica* w gwiezdzistym welonie, który wnet odrzuca, z sybilijskiem natchnieniem bieży do kosza, i wyjmuje zeń *żywego* węża. Gadzina wije się w ręku tancerki przy stuku tamburynów, oczarowana, rozwija się i okręca

jéj szyję... w końcu, czarownica niby ukłóta żądłem węża, zaczyna taniec zawrotny, zakończony bachiczną galopadą.

Naostatek, jeszcze jedna smutna wiadomość dla miłośników tragedyi. Najwyższy jéj przedstawiciel w Paryżu, nauczyciel sławnéj Racheli, Beauvallet obdarzony śpiżowym głosem, aktor doskonały, którego niegdyś podziwialiśmy w *Cynnie,* występuje w roli Teodorosa....

Dziwnie to smutna niespodzianka odnaleźć Augusta pod jarmarczném umorusaniem barbarzyńcy. Ot, najjawniejsza miara zniżenia poziomu teatralnego.

---

Pan Taxil Delord wydał pierwszy tom „*Historyi Drugiego Cesarstwa.*" Dzieło rozpoczęte od historyi Prezydentury, dochodzi w pierwszym tomie do kongresu paryzkiego. Autor należący do najzawziętszéj opozycyi istniejącego rządu, zebrał i zestawił jak najwięcéj faktów potępiających. Okoliczności łagodzących nie podał żadnych. Syntezy swojéj dać nie mógł, wydając dzieło w Paryżu. Z tego wynika, że po ukończeniu téj pracy, Historya drugiego cesarstwa pozostaje do napisania.

Lamartine pisze i ma wydać tego roku w Paryżu poemat pod tytułem „*Oubli.*" Akademia Francuzka już głosi pochwały tego utworu znanego jéj z wyjątków: ma to być testament literacki autora *Historyi Girondystów.*

Powieść Wiktora Hugo osnowana na dziejach Anglii, a uplastyczniająca czasy Elżbiety, ma wyjść z druku w marcu.

— Franciszek Ravaisson wydał trzeci tom *Archiwów Bastylii* wedle papierów pozostałych z tego więzienia stanu, stanowiących bogactwo Biblioteki Arsenału, któréj pan Ravaisson jest konserwatorem. Dwa piérwsze tomy składały dokumenta odnoszące się do pp. Fouquet i Lauzun. Trzeci zawiera mniéj ważne ale rozmaitsze przedmioty, oświecające więcéj jedną stronę panowania Ludwika XIV (1661—1664). Prześladowanie ówczesnych dziennikarzy wychodzi na jaw, i każe dzisiejszym mniéj utyskiwać na swoją niedolę.

— Pan Filaret Chasles wydaje daléj dokumenta dotyczące Galileusza, Pascala i Newtona. Autentyczności tych dokumentów żywo zaprzeczali pp. Faugère, Martin i wielu innych pisarzy włoskich i angielskich. Wynikły ztąd długie rozprawy przed Akademią Nauk, która w całym tym kontrowersie zachowuje ścisłą neutralność. W ostatnich dokumentach ogłoszonych przez pana Chasles znajduje się ciekawy list świętego Franciszka Salezego pisany w 1615 roku do stolicy Apostolskiéj w obronie prześladowanego Galileusza.

— Wyszła ważna książka dla erudytów. Pan Reinhold Dezeimeris francuzki hellenista wydał rzecz pod tytułem: „*Remar-*

*ques et corrections d'Estienne de la Boëtie sur le Traité de Plutarque intitulé: Erotikos, avec Introduction et des notes.*" W pracy téj znajdują się wiadomości dotyczące pierwszych wydań i przekładów dzieł mięszanych Plutarcha. Ten Dezeimeris wskazuje ile Estienne de la Boötie wyjaśnił potomnym Plutarcha. Znawcy za ważny wypadek literacki uważają pojawienie się téj książki.

— Juliusz Barbier napisał pięcio-aktowy dramat pod tytułem „*Joanna d'Arc.*" August Barbier autor „*Yambów*" prawdopodobnie zostanie obrany akademikiem i zasiędzie na opróżnionym fotelu pana Cousin.

— Wyjdą w tym roku dzieła zupełne pana Jules Janin z przedmową Teofila Gautier. Obaj ci feiletoniści sławni, trzymający dziś berło krytyki teatralnéj, wzdychają do Akademii Francuzkiéj i popierają siebie wzajem. Jest nadzieja, że ogłoszenie dzieł zupełnych Janina (tomów trzydzieści) i wysokie protekcye jakie posiada Gautier, otworzą tym dwom pisarzom bramę do nieśmiertelności.

# PISMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Literatura polska w historyczno-krytycznym zarysie. Podług gruntownych badań napisał Lucyan Tomasz Rycharski. Kraków 1868 r.*

Oznaczonego dzieła wielorakie już dotychczas podawane były w piśmiennictwie naszém oceny. W ocenach, o ile słyszymy, do sprzecznych całkiem dochodziło wniosków: jedni bezwarunkowo ganili, inni a do téj liczby należą Siemieński, Kraszewski, Szujski, Mecherzyński, dodatnie tylko widzieli strony. Czytelnik przeto, który nie wyrobił sobie samoistnego poglądu, a w pewnych razach uciekać się pragnie o poradę do krytyki naukowéj, w wielkim będzie kłopocie na widok owych ostateczności.

Ponieważ one pochodzą głównie ztąd, że krytycy podają ogólne wyniki swoich zdań, nie zawsze usprawiedliwiając je szczegółowym przebiegiem zawartych w dziele materyałów; w recenzyi tedy naszéj będziemy się starali usprawiedliwiać mniéj więcéj każdą uwagę krytyczną odpowiedniemi cytatami z dzieła, żebyśmy tym sposobem dali możność czytelnikowi, nie tylko śledzenia, ale i sprawdzenia wniosków, — a następnie, żeby słowa nasze mogły być wyrazem spokojnego sądu naukowego, wolnego od wszelkich zoilowskich zapędów.

Dzieło takie, jak „Literatura polska” pana R. może być rozpatrywane dwojako: bądź jako samodzielna praca naukowa, bądź też jako praca kompilacyjna, wyniki cudzych, oryginalnych dzieł umiejętnie zestawiająca.

Przy powierzchowném choćby przejrzeniu książki pana R., musimy na to odpowiedzićć, że autor nie napisał dzieła oryginalnego: korzystał on z bardzo wielu, nie tylko monografij, ale i z dzieł całość literatury obejmujących, czego wszakże nie mamy mu za złe, uważalibyśmy owszem za wielką wadę, jeżeliby z nich nie korzystał. Skromniejsze nawet w istocie było założenie autora, niż to nie dość

określony tytuł *„podług gruntownych badań"* wskazywać może, — skromniejszą téż skalą mierzyć potrzeba pracę jego; zapatrując się już na nią, nie jak na dzieło samodzielnego badania i poszukiwań źródłowych, ale jako na echo i streszczenie znanych już zkądinąd badań.

Wskazawszy w tych słowach ogólnie naukowe stanowisko „Literatury" pana R, zastanowić się nam wypada, czy ono odpowiada celowi jako praca kompillacyjna, szykująca tylko w dostępny sposób pisma przez kogo innego samodzielnie opracowane. I w tak zakreślonéj pracy może być przecie organiczna całość, a ze względu na cel, jaki w tym razie ma autor, i wartość książki może być nie pospolita.

Gdybyśmy tedy nie rzucili okiem na str. 75, 76 i 77, gdzie pan R. wymienia źródła do pracy swojéj; to czytając samo dzieło łatwo każdy dostrzega widoczny wpływ Pola, Mecherzyńskiego, Bartoszewicza, Siemieńskiego, niekiedy Wójcickiego, Szujskiego, rzadzéj Wiszniewskiego, Mickiewicza i innych. Nie dziwi nas to a nawet nie gorszy wcale: biorąc do ręki książkę pana R., byliśmy pewni, że będzie, że raczéj być musi powtórzeniem tego, co krytyka historyczna i literacka w ostatnich czasach wyrobiła. Skoro tedy mniéj zważamy na to, od kogo i zkąd czerpał autor, to oczywiście ważniejszą jest dla nas rzeczą, jak skorzystał?

Czy śród różnorodnych zdań, śród najbardziéj urozmaiconego zapatrywania się naszych historyków i estetyków, umiał autor zapuszczać swoję sondę krytyczną, by wziąć od każdego pisarza tyle tylko, ile wziąć należy, w celu zachowania jednolitości własnego poglądu na cały obszar dziejów literatury?

Oto są pytania, na które odpowiedzi będziemy szukali w dziele pana R., a obok tego zaznaczyć musimy, widząc wyraźnie z układu dzieła, że autor miał nawet bardziéj jeszcze ograniczony i skromny cel — napisania dziełka podręcznego dla młodzieży uczącéj się, z tego tedy tylko stanowiska patrzéć będziemy na pracę pana R.

Napisanie wszakże i elementarnéj książki nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się zdawało napozór: książka podręczna edukacyjna powinna się zalecać jasnością wykładu, ścisłością i logicznością wniosków, rozwagą w wyborze materyałów i prawdziwą historyczną wyrozumiałością dla ludzi i dla wieku przez nas kreślić się mającego.

Nie tyle więc tu się ubiegać mamy o nowość pomysłów, o błyskotliwość, jaskrawość krańcowych wniosków, co o tę rozumną wszechdziejową oględność, głoszącą prawdy dla wszystkich zarówno dostępne a niewstrętne nikomu, bo istotną prawdę mającą na celu. Zadanie przeto pisarza dzieła edukacyjnego poświęconego historyi literatury, przeprowadzone z całą możliwą konsekwencyą, jest rzec można, i wielkie i trudne: wielkie, bo zastąpić powinno to w pewnéj części przynajmniéj, co dawniéj na samém tylko, tak zwaném klassyczném kształceniu (greko łacina) hartowało i rozwijało umysł młodzieży, — trudne, bo wdrożyć ma do krytycznéj

oceny myśli ludzkich, do sądów nie powierzchownych, rzucanych od niechcenia lub fantazyi, ale do wniosków opartych na stałych zasadach historyi, logiki, etyki i estetyki.

Pierwéj zanim się rozpatrzymy, ile autor zadośćuczynić zdołał powyższym warunkom, powiedzmy, że już sama strona zewnętrzna, styl, niekorzystnie nas uprzedza.

Na każdéj prawie stronnicy spotykamy coś takiego, co razić nas będzie: bądźto jako niepotrzebne neologizmy (np. str. 260 „wśród powszechnego *zamoru* i zobojętnienia;" str. 82 „polacy w *ostępie* słowian, pod okiem kronikarzy ukryci," str. 39 „wymowa jest *natchnicielka* przekonania" str. 49 pojętliwość, zm. zrozumiałość; str. 38 „kształty nie są *bezprzyczynne*:" str. 122 „samotwórczość zm. twórczość;" str. 202 „należy do pierwszych zdobywców świata *ukrainnego* (to jest ukraińskiego i t. d.); bądź jako barbaryzmy i prowincyonalizmy (str, 86 „jakie światy *rozpołożone* na jego powierzchni;" „wszyscy spotykają się o myśli *osnownéj*;" str. 81 „z epoki téj nie pozostał *żaden ślad* zm. żadnego śladu;" str. 30 „osoby dramatyczne *wikłą* się, zm. wikłają się i t. d.) bądź téż jako niedbale stosowana synonimika wyrazów (str. 1 *jestestwo*, zm. istota; str. 67 charakter wyższego życia *piętnuje* się zm. cechuje się i t. d.); albo jako proste zaniedbanie zasad składniowych jak np. str. 203, „Groza, przeniósłszy się na Podole do dziedzicznéj wsi Kropiwno, osiadł w Żytomierzu." Czytelnik gotów pomyślić, że ten Groza należy do wyjątkowych duchów dwoić się mogących: to jest że może być zarazem i w Kropiwnéj, i w Żytomierzu.... a dopiéro po niejakim namyśle spostrzega, że to tylko gramatyczna nieumiejętność skracania zdań przydanych. Zamiast téj zaniedbanéj dość często gramatyki, autor nas karmi retoryką, niekiedy nienajlepszego gatunku: z wielu dowodów weźmiemy tu jeden tylko.

Na str. 86 mówi autor o literaturze ludowéj, o podaniach, przysłowiach, i zamiast powiedziéć że zbadać je dzisiaj trudno, tak tę myśl rozwija: „tylko z kwiatów, które pieśniami z łona jego na powierzchnię wypływają; z powieści dziwnych i fantastycznych, jak te koralowe pokłady, co przy pogodzie od dna morskiego wyglądają, mchami odwiecznemi przerosłe, upstrzone chropowatemi konchami, co perłę kosztowną kryją w macicy, — tylko z odłamów skał, szczątków roślinnych i z kości, wyrzucanych burzami na brzegi naszéj intelligencyi, wnosić możemy. że tam w tém morzu kryje się jakiś świat stary, o którym już zapomnieliśmy, że na jego powierzchni zieleni się świat nowy, pierwotny, którego jeszcze nie znamy." Jakże tu mało myśli w stosunku do ilości wyrazów, a jakie niezmierne bogactwo nie zawsze zrozumiane, „koralowych pokładów" retoryki. Styl w ogóle niejednostajny, niewyrobiony; przez zbyteczne ubieganie się za elegancyą wysłowienia, gubi autor jasność, rozprasza się w czczéj frazeologii, a nawet rozmija się niekiedy z zasadami logiki, gdy w dziele jego dostrzegamy nieco i słabszych, a znacznie więcéj pozornych sprzeczności, wynikających z tego może względu, że autor nie może być panem swojego słowa.

Druga ogólna uwaga, jaką zrobić chcemy, „literaturze" pana R. jako książce podręcznéj dla młodzieży jest ta: czy potrzeba wprowadzać do takiego rodzaju pisma zbyt bliskie czasy? a robimy ją tém chętniéj, że nie jeden pan R, ale wszyscy autorowie literatury w ostatnich kilku leciech piszący trzymali się téj zasady. Zdaje się nam, że w obecnéj epoce zbyt gorączkowo obrazujemy czasy tylko co minione; co dawniéj byłoby zakresem pamiętników, dziś może niebacznie trochę przeobrazić chcemy w historyą: piszemy rachunki z roku ubiegłego, z miesiąca, tygodnia, z dnia wczorajszego, — chcielibyśmy może godziny ubiegłe odstenografować... Dobre to zapewne, ale jako materyał, a nie historya; brak perspektywy zaciemnia oko nasze, gubimy się w szczegółach, i faktom stosownego miejsca dać nie możemy. A obok tego i sądy nasze o faktach nie mogą miéć nawet kolorytu obrazu dziejowego: ocierając się obok tych ludzi, którzy są wyobrazicielami faktów, podzielając opinię ich, ich błędy, nawet wchodząc zresztą w codzienne z nimi drobiazgowe stosunki światowe; czyż zdołamy zatrzymać umysł na téj wysokości, jakiéj istotna krytyka wymagać powinna? Może bezwiednie dla samych siebie, zamiast punktu widzenia historycznego będziemy widzieli wszystko ze stanowiska tych opinij, którym hołdujemy... Ztąd przeciwieństwa ciągłe a konieczne: czemu jedni przyklaskują fanatycznie, drudzy obojętnie na to ruszają ramionami, albo nawet ciskają gromy potępienia. Dla codziennych nawet potrzeb naszych mamy tego rozłamu idei, opinij, sądów aż zanadto. A jeżeli on, jako walka moralna,, jako wyrabianie się opinij i zdań literackich i estetycznych, może być poniekąd usprawiedliwiony w czasopiśmiennictwie, w gazetach i w pismach tygodniowych, — to już w pismach miesięcznych wymagamy mniéj namiętnego popierania sądów stronniczych, a więcéj spokoju w ocenianiu faktów literackich; z dzieła zaś historycznego stanowczo usunięta być powinna ta barwa jednostronności, polemiczności, jako czasopiśmiennictwu i czasowym poglądom, właściwa.

A dopiéro cóż mamy powiedziéć o dziele edukacyjném, przeznaczoném dla umysłów młodych, wrażliwych, ale nie przygotowanych jeszcze należycie do świata? Nikt mi zapewnie przeczyć nie będzie, jeżeli powiem, że w szkole nie powinna mieć miejsca żadna stronniczość, żadna namiętna jednostronność; nie powinna być dla niéj dostępna żadna wrzawa światowa, zgiełkliwe krzyki pamflecistów, nowatorów, którzy częstokroć wskazywać chcą ludziom drogi, o których sami dobrze nie wiedzą, dokąd one poprowadzą.

W szkole, we wszelkiéj edukacyi w ogóle, powinien panować niczém niezamącony spokój, przewodniczyć jéj powinna wzniosła idea *nauki*, wolnéj od wszelkiéj przypadkowości, jednostronności, od wszelkich podszeptów namiętnych. Im bardziéj zapominamy o téj prawdzie, tém bardziéj pospolitujemy historyą literatury; nie baczymy bowiem na to, żeby zaprawić umysł do jasnego, trzeźwego na ludzi i pisma ich poglądu, ale tę młodzież wciągamy do stronni-

czych zapasów naszych, do hałaśliwych krzyków, sprzeczności i niewyrozumiałości pełnych.

Każemy młodzieży przedwcześnie być sędziami naszymi, a sami przez to stawimy się w obec niéj, jako podsądni. I cóż dziwnego, że wyradza się po tém zarozumiałość, że nie doczekamy się poszanowania od młodszych .. samiśmy temu winni. Młody umysł, zamiast nauki, zbłąka się tylko w tym labiryncie sprzeczności i zatraci owe ideały — piękna, dobra, prawdy, jakie nieustannie wyrabiać powinna edukacya; zatraci przedewszystkiem ideał prawdy, skoro nieustannie nasuwać mu będziemy przed oczy nasze codzienne zatargi, nie wolne może czasem i w literaturze od zboczeń. I pocóż mamy brudną chustą powszedniości ścierać niewinność i czystość z oblicza młodzieńczego? Nie rozumiemy tego, doprawdy! Bo jeżeli weźmiemy za zasadę, że nie samo dziecko się uczy, ale szkoła nauką jego kieruje; to ona powinna solidarnie podzielać wszystkie możliwe następstwa, powinna być w pewnym względzie odpowiedzialną za wszelkie zboczenia naukowe młodzieży.

Ale powiedzą nam może, że chcemy cofnąć szkołę ku owéj dawno przebrzmiałéj scholastyce, kiedy młodzież oderwana od świata i od potrzeb jego, trwoniła czas Bóg wie na czém, — na rzeczach czczych, nieprzydatnych do życia, tak, że wchodząc w świat, rozpoczynać na nowo musiała naukę.

Otóż chcemy, żeby nas dobrze zrozumiano: wypowiadając powyższe myśli, mamy właśnie na uwadze i stronę praktyczną nauki literatury; wysoko wszakże ceniąc stanowisko jéj w szeregu nauk elementarnych, pragniemy oczyścić od tego, co leży poza obrębem jéj, jako *nauki*: pragniemy usunąć wszelką chwiejność, wszelkie sądy niewyrobione, a zwłaszcza o ludziach i pismach czasów najświeższych.

Myśl ta możeby powinna być przez głębszego badacza podjętą, zakres bowiem literatury, jéj konieczne granice, a nawet dydaktyka literatury — są to rzeczy zaledwo tknięte w piśmiennictwie naszém: tak dalece, że gdy przy wykładzie jedni aż do zbytku rozwijają teoretyczną i historyczną stronę, to drudzy czytają tylko pisarzów i komentują ich pod względem gramatycznym, stylistycznym i logicznym, zupełnie tak samo jak Cycerona lub Horacego Nie trudno widzieć, że ani jedna ani druga metoda do celu nie trafia i że tylko w umiejętném obu ich kombinowaniu leży ideał nauczania. A jeżeli kto, to właśnie piszący szesnastą z kolei literaturę, nielicząc monografij, powinien był nad powyższemi pytaniami się zastanowić, i opracować swoją książkę wedle téj lub owéj myśli przewodniczéj.

Będziemy jéj szukali w dziele pana R., a ponieważ widzimy w niém dwie wyraźnie oznaczone części: teoretyczną i historyczną, uważamy właśnie za tę myśl przewodnią połączenie teoryi z historyą literatury. Jeżeli się nie mylimy, to panu R.należy się zasługa. że piérwszy probuje w całéj obszerności zestawić teoryą z dziejami, bo niewarto nawet wspominać książeczki Poraja, w któréj niewia-

domo dlaczego, jedną tylko teoryą poezyi umieścił przy literaturze. Nauka prozy, poezyi i literatury Dmochowskiego ma zbyt szczupłe ramy, zbyt mało systematyczna, żebyśmy w niéj widziéć mogli gruntowną myśl dydaktyczną. Przyznając tedy pierwszeństwo panu R. tego ze wszech miar stosownego i ważnego pomysłu, rozpatrzmy tylko jak mu się wykonać go udało.

Sądzimy, że autor mając na celu zespolenie teoryi z historyą literatury, poda nam zasadnicze pojęcia *sztuki* i *nauki*, wykaże logiczny ich do siebie stosunek, a następnie powie coś o historyi saméj nauki, i jakie śród nich zajmuje miejsce literatura. Wiadomości o tém tak są rozproszone a tak ważne w kształceniu, że bardzo ciekawem byłoby ich skupienie; a cały ściśle choć w krótkim zarysie przeprowadzony system sztuk, a zwłaszcza nauk, dałby możność uczącemu się sprawdzenia w literaturze tego, co się wspomniało w części teoretycznéj; jedna i druga strona przez to wzajemnieby się uzupełniały i wyjaśniały. Omyliliśmy się jednak w przypuszczeniu naszém: autor bez żadnego systematu postawił rubryki: poezyą i jéj gatunki, romans, wymowa, prawo i nauki ścisłe, historya i filozofia.

Dlaczego takie a nie inne wziął działy? nie wiemy; — autor niczém tego braku systemu nie usprawiedliwił; nie widzimy do czego zalicza romans — do prozy, czy do poezyi? czém jest wymowa, sztuką czy nauką? Mówiąc o wielu naukach i dziełach nauki najdrobniejszych, jednak zawsze niesystematycznie, nigdzie nie wytłumaczył się z tego, co jest nauka. Ten brak objęcia ogólną myślą, brak ścisłego punktu wyjścia narazić musiał autora na ciągłe sprzeczności, niedokładności, opuszczenia, przy wymowie, poezyi, filozofii i t. d. niepotrzebne powtarzanie się po dwakroć; a niekiedy potrzykroć nagich imion, które nigdy niczego nauczyć nie mogą.

W ogólnym układzie uderza tedy nas głównie ten brak systematu, jaki na piérwszym stać musi planie w dziele naukowem. Jest tu wyraz „poezya,” a niema „prozy” a w téj poezyi są jakieś dytyramby Jaśkowskiego (?), inne drobne kształty poetyczne, a niema wspomnienia w teoryi, że psalmy, peany, epinicye, pastorałki, melodramata, kantaty, wodewile i t. d. stare dyalogi nasze wreszcie, należą także do poetycznych utworów, o których uczeń pana R. znajduje przecie wspomnienie w literaturze. Teorya literatury przeto nie zadowoli tego, kto uważnie czytać będzie historyą literatury. Ztąd téż, pomimo że niektóre ustępy w dziale „poezyi” (dumka, sielanka, legenda, bajka i t. d.), oraz wymowa i prawo w dziale prozy opowiedziane są nie źle: całość wszakże tych „wiadomości” niema znaczenia naukowego. Przy takiém niespojném opowiadaniu szczegółów, przy stanowczym braku myśli uogólniającym, dział historyi, a zwłaszcza filozofii jest najsłabszy. Wylicza np. autor wiele drobnych i najdrobniejszych części téj nauki, — jak: logikę, metafizykę, estetykę, etykę, pedagogikę, dyalektykę i t. d., wreszcie empiryzm, idealizm, realizm, sensualizm, materyalizm, spirytualizm, krytycyzm, panteizm... słowem, bardzo wiele rzeczy; nie widzimy

tu tylko, niestety! stosownego miejsca dla *religii*: jest tu bowiem jakaś nieokreślona z nazwy i nie objaśniona przez autora ,,filozofia religii," wsunięta wśrodek różnych drobiazgów filozoficznych. A jeśli religią jako *naukę* pojmować będziemy, to nie ma wzmianki, że jest przecie nauka *teologii*, że są jej gałęzie historyczne i teoretyczne: historya kościelna, dogmatyka, ascetyka, apologetyka, homiletyka i t. d. Pod rubryką „prawo," jest mowa o jakiémś prawie „stanowczém" (?) a niema ,,prawa kanonicznego," które może nie byłoby zbytecznêm dla wiadomości ucznia, poznać mającego literaturę polską, gdy już w XIII, a nawet w XII wieku mieliśmy na tém polu ludzi głośnych w ówczesnym świecie naukowym.

Też same niedokładności widzimy w naukach ścisłych i przyrodniczych; brak skupienia szczegółów i nietrafność określeń widoczna: autor zapomina się nawet tak dalece, że nie wspomina ani ogólnie o gałęziach nauk lekarskich. A niedokładnościom tym zaradziéby zdołał autor w sposób najprostszy. układając całość wiedzy ludzkiéj np. w trzech wielkich gałęziach: 1) Bóg, 2) człowiek, 3) natura. Ale i tak pospolitego systematu autor przyjąć nie chciał, wolał błąkać się w powodzi ogólników swoich i karmić czytelnika przesadną retoryką.

Najdziwniéj zaś wygląda, że pan R., zabierając się pisać literaturę, nie wiedział gdzie ją ma umieścić? W kłopocie tym poradził sobie tak niefortunnie, że literatura nie znalazła miejsca w systemacie nauk.... Za tém już pójść musiało. że definicye literatury składają się z samych sprzeczności i z ogólników, nic nie mówiących: porównawszy co autor mówi na str. 1, 2, 3, 4, 61 i 69, przekonywamy się, że podając „ogólne, szczególne" i *najszczególniejsze* jéj określenia, zmieszał pan R literaturę, to z estetyką (str. 2), to z historyą, (str. 61), to wreszcie w tak efemerycznych ogólnikach ją roztopił, że treści jéj dopatrzyć się nawet z mikroskopem krytycznym nikt nie potrafi: uważa bowiem literaturę za „osobne zjawisko duchowe," wolne od wszelkich wpływów historycznych i społecznych, (str. 69). Tak oryginalnie pojmowana literatura, potrzebowałaby obalenia ze strony krytyki, jeśliby autor nie uwolnił nas od téj roboty i nie obalił sam siebie na str. 83..... Cały przeto ustęp teoretyczny nie wytrzymuje krytyki, i przyznając panu R. zasługę *pomysłu*, stanowczo odmówić musimy zasługi *wykonania*.

W wyliczeniu źródeł do literatury (str. 75—77) autor bez żadnéj oceny krytycznéj, a trzymając się jedynie porządku wydań, wylicza 36 dzieł. Potrzebne tu są chociażby lekkie wskazówki, jaką wartość do tych pism *obecnie* przywiązujemy, czyli co na jedno wyjdzie: czytelnik czy uczeń pana R. poznaćby zdołał, jaki w tym ważnym dla nauki ustępie, sposób zapatrywania się autora.

Nagi zaś katalog nieświadomego nie oświeci, tém bardziéj, że i katalog ten jest niedokładny: przy bibliografach p. R. pomija tak powszechnie znane, lubo niedokończone dzieło Adama Jochera: Obraz bibl-historyczny, a skoro wspomina o nim na str. 314. czyżbyśmy przeto rozumieć mieli, że autor, Jochera za źródłowe dzieło nie

uważa? O pracach do druku przygotowanych i o wielkiéj erudycyi bibliograficznéj Karola *Estreichera* nie wiemy, czy doszły wieści do pana R.; a dojśćby już mogły, jeśliby autor przejrzał sierpniowy numer Biblioteki Warszawskiéj z roku 1867 (Günter Zainer i Swiętopełk Fiol). W podręcznikach naukowych, przemilczał pan R. o „nowych wypisach polskich," Leszno 1838 pana Jana Poplińskiego, których zwłaszcza część II, zawierająca historyą prozy polskiéj jest znakomitą na swój czas pracą naukową-edukacyjną, pracą z któréj tyle już osób korzystało.

Nie można bez wątpienia wielkiéj mieć pretensyi, że pan R. pominął dwa inne dziełka podręczne: „Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego zebrał M. (Łyszkowski) Warszawa 1855," a także „Zarys dziejów literatury polskiéj od czasów najdawniejszych do ostatnich" z wiadomością o rodzajach poezyj skreślił Adam Poraj, Warszawa 1861," dla zupełności wszakże możeby nieźle było i o tych pracach wspomnieć. A przedewszystkiem należało tu panu R. wykazać, jakie przechodziła koleje krytyka literacka od M. Mochnackiego i M. Grabowskiego począwszy, na jakiém stanowisku obecnie się zatrzymała, i którzy mianowicie pisarze najlepiéj nas w tym względzie oświecić mogą? Nie umiemy nawet dokładnego wyrobić sobie pojęcia, jakie w tym razie miał zdanie sam pan R., gdy np. czytamy o „portretach:" o „obozie klassyków" L. Siemieńskiego, a niema wspomnienia o znanych krytykach jego; gdy czytamy o dwóch dziełach Lewestama, a nie widzimy, czy znane są panu R. jego Pisma krytyczne; o Al. Tyszyńskim autor gdzieindziéj (str. 265) powiada, że „piastował berło krytyczne przez czas dość długi," ale jak piastował? tego nie widzimy. O Kaź. Kaszewskim niema mowy w tym wstępie, w innem zaś miejscu zaledwo ogólnikiem wspomniano, a wypadłoby może coś przecie więcéj powiedzieć, kto choć ze spisu zna Bibliotekę Warszawską. Józ. Przyborowskiemu udzielił pan R. jeden tylko wyraz: „Przyborowski Józef (biograf) str. 324; a inni znają pana Przyborowskiego, jako bardzo sumiennego badacza, stawiącego poprzednio wielką erudycyą biograficzną, historyczną i krytyczną, zanim przystąpi do sądu najskromniéj wyrzeczonego o człowieku i o pisarzu. P. Rycharski, co tak pałaszuje na prawo i na lewo wszystkich pisarzy, nowszych zwłaszcza, dobrzeby zrobił, jeśliby się uważnie przypatrzył dziełu „O życiu i pismach J. Kochanowskiego; nauczyłby się może ztamtąd wstrzemięźliwości sądów. Nie wspomina p. R. w całém dziele o pismach Fel. Faleńskiego, a przecie oprócz poezyi, jego Studyum o trenach J. Kochanowskiego ma już dziś znaczenie, i wespół z pracą Przyborowskiego i dawniejszą znakomitą krytyką K. Brodzińskiego, z nowéj strony odsłania nam tę najsympatyczniejszą postać wieku XVI. Ant. Małeckiego czytamy ostatnią pracę krytyczną, a p. R. nie zechciał wspomnieć rozprawy o Fryczu, która wyraźne przecie zajęła stanowisko w historyi krytyki naszéj. I ten więc ustęp dzieła pana R. jest niepełny, traktowany pobieżnie i lekkomyślnie.

W *podziale na epoki*, w ustępie najważniejszym, bo wyświetlającym sposób zapatrywania się autora, zmieszał pan R. trzy

epoki Kraszewskiego z podziałem na okresy, wyprowadzanym z zasady historycznej, (Kondratowicza, Bartoszewicza) i mówiąc, że „chce ułatwić młodzieży ogólne pojęcie”, bez żadnego poprzednio usprawiedliwienia, przytacza pięć powszechnie znanych epok. Takie przeto „ułatwienie” i nie nowe, i nie padagogiczne, gdyż ani w przeglądzie „powszechno-dziejowym,” ani w rozdziale przed tytułem literatura polska usprawiedliwione nie zostało. Wreszcie nad to wszystko dziwnie razi nas jeszcze jedna okoliczność: i w tém oto ostatniém dziele, literatura ludowa nie dostąpiła godności wnijścia do świątyni nauki — pozostała w przedpokoju... Literaturze ludowéj autor nawet wymyślił osobny przedsionek, który nazwał „epoką wstępną.” Więc kiedy gdzieindziéj, w literaturach innych słowiańskich, ta część nauki opracowuje się z możliwą dokładnością, kiedy są już w nich całe monografie téj literaturze poświęcone; kiedy nawet u nas od kilkudziesięciu lat skrzętnie zbierają tę twórczość ludu: to po to tylko, żeby mu w końcu odmówić prawa obywatelstwa w literaturze i zostawić w jakimś nieokreślonym „wstępie.” Zdaje się nam, że czas już przestać wyręczać się mdłemi ogólnikami, czas z tego „wstępu” coś organicznego stworzyć: byłby on niezawodnie więcéj wart nad całe dzieło p. R.

Patrząc na to, co nam daje autor ostatniéj literatury, przyznać musimy, że obraz twórczości ludowéj należy do najsłabszych ustępów dzieła. Poprzedza ją pogląd ogólny, w którym autor, nie zbadawszy istotnego znaczenia myśli Mickiewicza, a powtarzając jego słowa, wbrew wszelkim tak licznym dziś u nas pracom archeologów twierdzi, że słowianie „z całéj pracy przez wieki mogą ukazać tylko jeden wyrób — swój język.” (str. 81).

Dziwna to charakterystyka słowian! Jeśliby autor śród bardzo wielu w téj treści dzieł, wziął do ręki chociażby „sztukę słowian“ Kraszewskiego, toby się przekonał, że słowianie mieli zabytki budownictwa — zamczyska, gontyny, mieli bardzo urozmaiconą rzeźbę, w któréj się wybornie odmalowała pierwotna fantazya przedchrześciańskich przodków naszych, mieli znaki pisarskie i t. d. Te i wiele innych rzeczy pracowicie wyszukali badacze nie tylko na powierzchni ziemi, ale głównie w jéj wnętrzu. Zamiast tedy ogólnikiem mówić, że „pozostały nam mogiły Wandy i Krakusa,“ niechby był autor zajrzał: co téż tam w głębi tych mogił, inaczéj kurchanami lub omgiłami zwanych odszukali pracowici archeologowie nasi: Potocki, Czarnocki, Lelewel, Olszewski, Łepkowski, Wolański, Przyborowski, Stronczyński, dwaj Tyszkiewiczowie, J. I. Kraszewski, A. Plater i tylu innych.

Jeszcze mniéj zadawalniającym jest dalszy ustęp. p. n. „zabytki językowe i piśmienne,” w którym autor, zaprzeczając potrzeby porównywania języków słowiańskich z sanskrytem (str. 83), na str. 85 poetyzuje i unosi się nad piosnkami, w których „przebija się pochodzenie z nad Gangesu.” Mówi z kolei o najdawniejszych alfabetach, głagolickim, o alfabecie Św. Hieronima, a nawet wspomina coś i o runach, o których znać sam nie wyrobił sobie żadnego

pojęcia: były one czy nie były przed chrześciańśtwem? bo nic stanowczego o tém powiedzieć nie umie: a gdy zechciał nieco przystępniéj myśl swoję wypowiedzieć, dowiódł zupełnéj nieznajomości rzeczy. Powiada bowiem pan R (str. 84): „pojedyncze napisy runiczne w polskiém *narzeczu* (?) mamy pod kamiennym posągiem przy katedrze w Bambergu." Pan R. wyraźnie nie chcąc sobie zadawać fatygi, na chybił-trafił wziął co się nawinęło... i trafił najniefortunniéj, bo właśnie o tych lwach bamberskich Kollara dowiedziono, że były na zabawkę wyciętemi znakami przez panów von Stengel i Michała Sippel. Cóż po tém stanie się z tém bieduém „narzeczem polskiém," niech nam odpowie pan R.

Dalszy ustęp „pieśni, klechdy, podania i przysłowia" zamiast zawierać coś takiego, coby się do historyi literatury stosowało, jest poprostu szeregiem uwag teoretycznych, czasem wcale rzeczy nie wyjaśniających, jak ta np. uwaga, że powieść słowiańska tém się ma różnić od wschodniéj i od zachodniéj, że u nas nie jest ona ani rodzajem literatury, ani zabawką dziecinną; a czém jest? o tém uczeń pana R dowiedzieć się nie zdoła. Kończy się ten wstęp zbiorem pieśni i przysłów, też bezładnie ułożonym, w którym Czeczot nazywa się „Czeczota," w którym ze zbieraczy pieśni opuszczony najważniejszy i najdokładniéj rzecz swoją opracowujący Oskar Kolberg, oraz znany w ostatnich czasach Kornel Kozłowski. Z poetów którzy swoje utwory snuli na podaniach ludowych, wylicza autor kilka imion; niema tylko, niestety! w téj liczbie Adama Mickiewicza, od którego przecie ten zwrot ludowy się rozpoczął; niema Odyńca, Bohd. Zaleskiego, Syrokomli.. Jeżeli pan R., mówiąc o dziele Bentkowskiego (str. 78) wydaném przed 54 laty za winę poczytuje, że „nietylko opuścił wiele wydań, i wiele ważnych książek polskich, ale nawet całkiem pominął literaturę polsko-słowiańską;" to cóż powiedzieć dziś, kiedy oto po upływie 54 lat od owego czasu, taki zamęt w literaturze ludowéj spotykamy?

Ogólny pogląd na epokę Piastowsko-Jagiellońską byłby niezły, jeśliby autor zechciał był zniżyć się do umysłu tych czytelników, którym, chciał ułatwić pojęcie, jeśliby się nie silił na kwieciste przedstawienie obrazu dziejowego, a dodał był coś dokładnego o stanie oświaty i szkół. Mniéj potrzebnie mówi tu pan R. o literaturze ludowéj, bo wszak w szczegółowym przebiegu dziejów literatury tego czasu nic niema o téj literaturze, — wspomniećby o niéj daleko stósowniéj było, bądź przy epoce początkowéj, bądź w wieku XIX. P. R mówi dużo o scholastykach i humanistach, rozmijając się w tym razie z kardynalnemi zasadami dziejów: „filozofija scholastyczna, powiada R (str. 94) owocem najgrubszéj ciemnoty nazwana." Jak to zabawnie wygląda, zwłaszcza porównane z owemi ostrzeżeniami o indeksowanych pisarzach w wieku XVI! A któżto byli Duns, Lombardus, Św. Bernard, Św. Bonawentura, a przedewszystkiém Tomasz z Akwinu? Ichżeto godzi się nazywać przedstawicielami „najgrubszéj ciemnoty"? Jest to tylko niedojrzałość historyczna, która nie umie stanąć na stanowisku odpowiedniém i skalą dzisiejszą niszcząc zasługi wielkich myślicieli wieków śred-

nich, zapomina, że i humaniści, i scholastycy w postępie światodziejowym byli koniecznym szczeblem: jedni trwałe podwaliny do analizy umysłowéj podali, drudzy ludzi i narody rozproszone niewiedzące o sobie zbliżyli, poznajomili w imię nauki swojéj i ku wyższym popchnęli celom. Zwichnięcia, przeżycia się scholastycyzmu i humanizmu nie umiał autor odróżnić od żywotnego znaczenia w czasie właściwym. Nadto w okresie Jagiellońskim może zanadto wynosi pan R. Konrada Celtesa, który bądź co bądź był przelotnym meteorem na horyzoncie literatury naszéj; a znowu niewiedziéć dlaczego przemilczał (w przeglądzie ogólnym) o Janie z Głogowy, którego dotąd wszyscy historycy piśmiennictwa kładli obok Grzegorza z Sanoka. Za mało autor poświęca miejsca wyjaśnieniu stopniowego rozwijania się języka polskiego, a nawet wiadomości swoje tak zgmatwał, że uczeń nie będzie miał właściwego wyobrażania. P. R. nie umiał polszczyznę ówczesną nazwać właściwem imieniem: raz ją nazywa „dyalektem," tworzącym się pod wpływém łacińskiego," drugi raz „narzeczem, tworzącém się ze słowiańskiego." I te wszystkie osobliwsze eksperymenta z polszczyzną miały jakoby miejsce w wieku XV!! Zamiast mówić o tych „dyalektach" i tych „narzeczach." zamiast dowodzić ogólnikiem, że „do XVI wieku pisano bez żadnych prawideł grammatyki i pisowni," nad któremi „zastanawiać się nie umiano," powinienby był autor coś o Jakóbie Parkoszu powiedziéć, coś o pisowni jego; bo może on przecie umiał się zastanawiać nad tém wszystkiem. Ale, niestety! w szczegółowym rozwoju literatury Jagiellońskiéj znalazł autor miejsce dla powieści o Urbanie papieżu, dla Macieja z Łabiszyna, dla jakiegoś Jędrzeja Laskarego, którego żadnéj mowy przytoczyć nie umie, — dla Mikołaja Czepiela, o którego dziele tyle tylko powiada, że historycy o tém „nic bliższego nie podają..." znalazł miejsce dla 22 roczników i rocznikarzy, ale dla Parkosza miejsca już nie było.

Niezadawalniający dał obraz pan R. o epoce drugiéj Zygmuntowskiéj: w przeglądzie ogólnym mówi tam autor o wielu osobistościach: o Solimanie i Izmaelu, o Szah-Akbarze i Galileuszu, o Guttenbergu i Doryi, a nie zostawił chociażby malutkiego wspominku dla swoich najwybitniejszych przedstawicieli tego wieku. Wiek XVI nazywa pan R. „dziejamy literatury prawdziwéj" (str. 146): ale czy *prawdziwy* dał o niéj obraz? W wielu miejscach napomyka, że „tworzyły się żwawe spory teologiczne" (str. 150), że „*polemika* obszerne zajmowała miejsce" (str. 153), a na str. 152 nawet stanowczo mówi: „zygmuntowska literatura podnosiła się, rozwijała i upadła wśród „*walki religijnéj*, która wynikła z reformacyi;" a jednak mimo to wszystko nic nie mówi, kto się odznaczył w tych walkach religijnych, nic nie mówi o głośnych dysputach i dysputantach. takich jak Budny, Stankar, Faust, Socyn, Niemojewski, Czechowicz, Chrząstkowski, Gilowski, Turnowski, Biskupski. Obraz więc to nie pełny i nieprawdziwy, gdy całego zastępu utalentowanych pisarzy dyssydenckich, ani przy tłumaczeniach biblii, ani przy mówcach nic autor nie wspomina. Gdyby zechciał był pan R. coś o tém nadmienić, sądzimy że i prawda historyczna nie byłaby spa-

czoną i zyskaliby na niéj sami katoliccy dysputanci, jak pod względem doniosłości prac ich na polu oświaty, tak również pod względem dogmatyzmu.

Błędne zapatrywanie się na wiek XVI musiało w logicznėm następstwie poprowadzić za sobą niedokładne wyświetlenie upadku literatury w wieku XVII: autor sam przecie nazywa tę epokę „Jezuicką," ale zgadzając się w tym razie ze wszystkimi historykami literatury co do nazwy samėj epoki, chciałby być grzecznym względem Jezuitów i uwolnić ich od stanowczych sądów historyi. Nie Jezuici, powiada pan R., ale cały naród był winien. Bardzo dobrze, ależ Jezuici przecież sterowali wszystkiemu: w polityce, na sejmie, w szkołach, w kościele, nawet w obozie potężny głos ich czuć było można. Zresztą, dlaczegoż pan R. téj epoki nie umiał nazwać inaczéj, jak Jezuicką? Ta nazwa już sama przez się apologiją jego stawi we właściwych granicach. Jeżeli bowiem Jezuici tak wiele dobrego robili, jeżeli Przegląd poznański ma nas oświecić o wielkiéj doniosłości prac ich; to dlaczego pytamy, taki wyraźny upadek w literaturze? Historya nie zna żadnych przeskoków; i to co się poczęło od Hozyjusza, prawem nieubłaganéj logiki wszechświatowéj w XVII i XVIII wiekach wykazać musiało tylko konieczne rezultaty. My więc umiemy sobie upadek ten wytłumaczyć; ale pan R. stanu oświaty, ani literatury przy swojém zapatrywaniu się wytłumaczyć nam nie zdołał. Dodajmy, że nawet z tego tendencyjnego stanowiska, patrząc na literaturę XVII wieku nie umiał autor względnych zasług działaczów owych czasow odsłonić jak należy; to też niektórzy sterownicy ostatnich chwil tego okresu, jak Załuscy, przedstawieni niedołężnie; inni jak Morsztynowie, Stanisław i Hieronim, jak Ł. Baranowicz, pominięci zupełnie.

A ten ostatni mógłby pana R. przekonać, że w samym upadku naszym byliśmy jeszcze narodem cywilizycyą szczepiącym, a nawet byłby wskazówką, jak daleko cywilizacya ta sięgała. Wprowadzeni do tego okresu podrzędniejsi pisarze, jak J. P. Radliński, Ant. Wiśniewski, Aleks. Lerencowicz braku wyżéj wspomnionych osobistości zastąpić nie są w stanie.

O dwóch ostatnich epokach powiedzieć potrzeba, że pan R. najniewłaściwiéj ujemnościami określać je pragnie: epoka pseudoklassyczna i epoka pseudo-romantyczna?.. Oba te *pseuda* są przeczeniem, a przeczenie nic organicznego nie tworzy. Czyż za czasów Stanisławowskich, albo za Księstwa taką była literatura? Oczywiście nie; i pan R. już w drugim tytule zaprzeczył sobie, nazwawszy ten czas „epoką Konarskiego." który nie był „pseudem," ale coś organicznego budował w literaturze. Oprócz niego znaleźli się w téj epoce pisarze tacy, jak Krasicki, Karpiński w poezyi, jak Naruszewicz w historyi, jak Łojko w ekonomii i inni, którzy nie tylko polskiéj, ale każdéj literaturze zaszczyt przynieśćby mogli. Ci tedy pisarze, a nie jakieś nieokreślone ujemności, charakteryzują ową epokę; i to tylko co autor mówi, na str. 5 „(talentom znakomitym i ożywiającemu je duchowi obywatelskiemu przypisać należy, że

wielu z nich dzieła wysokiéj u współczesnych były wziętości i dziś nawet przed sądem uważnego krytyka nie straciły ceny)," a nie salony Morsztynowéj i wydawnictwo Dufoura powinien był autor wziąść za punkt wyjścia w przedstawieniu obrazu epoki Wpatrzenie się zaś zbyt przesadne, w same ujemności, w naśladownictwo francuzczyzny, spowodowało pominięcie albo niedostateczne wyświetlenie wielu dodatnich prac, jak w epoce rozwoju nowych pojęć, tak w owéj czynnéj pod każdym względem epoce czteroletniego sejmu; niema np. wspomnienia o „Głosie" Leszczyńskiego, niema w stosownéм, wydatném miejscu (w poglądzie ogólnym) wzmianki o „Uwagach nad życiem Jana Zamojskiego." Gdyby był pan R. w charakterystyce tego czasu poszedł za Bartoszewiczem lub Nehringiem, daleko prawdziwszy dałby nam obraz; chcąc bowiem zastosować tendencye Pola, musiał rzucić cień na wiele postaci pierwszorzędnych, którym gdy nie odmawia autor w przeglądzie imiennym należnych im zasług, staje w oczywistéj sprzeczności z sobą.

Jeszcze bardziéj rażąco niż w poprzednim okresie brzmi tytuł dany epoce piątéj — *pseudo romantyczna*, a to tém bardziéj, że na str. 114 autor sam przecie przyznaje, że „niewłaściwie nazwano ją romantyczną, bo nigdy nie mieliśmy ani klassyków, ani romantyków w XIX wieku." Pocóż więc niewłaściwością określać epokę? Bo „jeżeli było pewne wysilenie ducha w pewnym kierunku," jeżeli „błądzenie po cmentarzach i grobach, z upiorami i duchami zanadto długo trwało;" to pan R. w charakterystyce epoki V wcale nie powinien był na to zważać, zwróciéby raczéj należało uwagę na pierwszorzędnych przedstawicieli, a nie satellitów, którzy, lubo zawsze i wszędzie się znajdują, nie wpłyną jednak na uwydatnienie epoki. Tak patrząc, autor miałby prawo ostatnie czasy nazwać epoką Mickiewicza w poezyi i Lelewela w historyi; w ogólnym zaś kierunku epoka tu byłaby narodową, a nie pseudo-romantyczną.

W dziełach podobnego rodzaju jak „Literatura polska" pana R., autor nie powinien pogardzać nawet zwyczajném obliczeniem: ile komu z pisarzy należy się stosownego miejsca udzielić w dziele? Bo jeżeli się zgodzimy, że o pisarzach pierwszorzędnych bardziéj wyczerpujący, a więc obszerniejszy podać należy zarys, to o pisarzach drugorzędnych, o naśladowcach mówić wypada coraz ogólniéj, a wielu nakoniec pominąć potrzeba. Pan R. zdawał się na to wcale nie zwracać uwagi, i o pisarzach lepiéj sobie znanych mówił za obszernie; innym zasłużeńszym albo mało udzielił miejsca, albo o nich niesłusznie przemilczał. Jeśli porównamy jego dzieło z innem téjże prawie objętości, z literaturą Bartoszewicza, to przekonamy się, że pominął przeszło dwustu pisarzy, o jakich Bartoszewicz wspomina; przeszło trzystu zaś wspomniał katalogowym sposobem z imienia, co znaczy prawie tyleż, co nic nie mówić. A więc nieekonomiczność i niesystematyczność w układzie książki widoczna, bo z liczby tych pięciuset pisarzy znajdzie się bardzo wiele głośnych i nawet prawdziwie zasłużonych, których nawet porównywać nikt

nie będzie z setkami efemerycznego imienia pisarzy, o jakich wspomina pan R.

Tak np. z imienia wspomniani, którym się coś więcéj należało: Bazylik Cypryan, Herburt z Fulsztyna, Koszutski St., Korzeniowski Apollo, Jabłoński Hen., Jachowicz Stan., Maciejowski Sam., Morsztynowie (dwaj), Norwid Cypr., Pietkiewicz Antoni, Przyborowski Józef, Szymanowski Wacław, Sowiński Leonard, Zbylitowscy Piotr i Jędrzéj, Żmichowska Narcyza, Żygliński Fran. i inni. A jeszcze większą nieuwagę objawił autor przez zupełne pominięcie następnych pisarzy, z których każdy wyraźny po sobie ślad zostawił w literaturze naszéj: Baranowicz Ł., Boguchwał kronikarz, Chołoniewski Stan., Dzirswa kronikarz, Dmóchowski Fr. S, Elsner, Estkowski, Faleński, Darewski-Weryho, Dawid W., Dębołęcki, Gacki, Janczar-Polak, Ilnicka M., z Kolna Jan, Kowalewski Józef, Łotysz Henryk, Molski M, Parkosz Jakób, Pudłowski Mel., Rautenstrauchowa, Rulikowski Edw., Socyn Faust, Stankar Fr., Szwajnic, Szydłowski Ign., Tripplin Teodor, Troc Abraham, z Żarnowca Grzegorz.

Na tém i kończymy właściwą ocenę dzieła pana R., bo niepodobna nam dla braku miejsca sprawdzać szczegóły życiorysowe i oceny krytyczne wszystkich pisarzy pojedyńczych. O tyle tylko przeto, o ile przy czytaniu uderzyły nas niektóre bardziéj rażące usterki, dodatkowo tu o nich wspomnimy.

W epoce Piastowsko Jagiellońskiéj nadmienił autor, ale nie wyjaśnił wpływu Wiklefizmu, to też J. Gałka wspomniany zaledwo z imienia, w cieniu pozostał. W przeglądzie zabytków poezyi i prozy religijnéj poplątał autor zabytki polskie z łacińskiemi, ustępy całe z fragmentami albo z tytułami, jakie znamy. Na str. 297 powołuje się pan R. na Przezdzieckiego, że Mateusz Cholewa nigdy nie istniał, a w przeglądzie kronikarzy téj epoki na str. 113 dowodzi jednak że od Mateusza rozpoczyna się właściwe kronikarstwo, a nawet na str. 121 i 122 stanowczo o istnieniu kroniki jego twierdzi. Opuszczenie Dzierswy i Bogusławy nie da się usprawiedliwić niczém. Z przekładów Nestora wymieniona praca J. Kotkowskiego: dlaczego niema znakomitego przekładu, i to całkowitego, Aug. Bielowskiego? Dlaczego niema przekładów innych kronikarzy naszych? Dlaczego Marcin Polak wplątany w środek kronikarzy o Polsce piszących, jak gdyby dla niego nie stosowniejsze było miejsce przy dziejach powszechnych. których on przecie jest twórcą? Ważna to postać nie wyświetlona wcale. Pracy Cyołka od Alhazena nie umie pan R. odróżnić, a z cytowanego, i to fałszywie, Risnerowskiego wydania czytelnik jego wnosić gotów, że Cyołek nasz był doprawdy jakimś „Turyngo-Polakiem"... O niezmiernie ważném niedopatrzeniu, o braku J. Parkosza, jużeśmy mówili. W okresie Zygmuntowskim przy Fryczu Modrzewskim na str. 231 cytuje słowa jego „aby pisma płonne, aby *dysputacye* próżne i niepożyteczne były ze szkół wypędzone," a o tych „dysputacyach" żadnéj sam nie daje wiadomości; przemilcza o głośnych mówcach dyssydenckich, takich jak Grzegorz

z Żarnowca, Krz. Kraiński, Sam. Dąbrowski, i inni.... Na str. 141 wspomina autor Łaskiego, a o drugim Łaskim wzmianki niema. Przy Stanisławie Sarnickim (220) czytamy: „był pastorem kalwińskim w Niedźwiedzicy" a od Łukaszewicza, a nawet od Janockiego dowiedzieć się mógł pan R., że u nas było dwoch Stanisławów Sarnickich: duchowny i świecki; poplątał tu pan R. pierwszego, który miał być pastorem w Niedźwiedziu, a następnie seniorem, ze Stanisławem Sarnickim historykiem, który był wojskim krasnostawskim.

Na str. 169 o Grochowskim, zamiast dać istotnie potrzebne o nim wiadomości, w tak króciuchnym zarysie autor ma dość czasu dowodzić, że „pisał z cudzego poduszczenia" (?). Dobrze byłby zrobił autor, gdyby wyrzuciwszy wszystko, co było owocem tego „poduszczenia" potrzebne tylko rzeczy wymienił; młodzież byłaby mu wdzięczną za to, a krytyka nie miałaby racyi przypuszczać, że pan R. może tylko *niezręcznie* skompilował Nehringa, jak ten ostatni nietrafnie zastosował słowa Bartoszewicza, który, jeśli dobrze jesteśmy zawiadomieni, sam nazwał go „dziewiczym poetą;" ale dziewiczość ta, powtórzona przez pana R. dość dziwnie wygląda obok rzeczy gwoli „poduszczeń" pisywanych.. Stan. Orzechowskiego wszystkie pisma polemiczne pominięto, a w nich przecie i wiek i osobistość człowieka tak wybornie się odbija! Względy „indeksowe" zamknęły i tu autorowi możność wyjawienia prawdy historycznéj... Warszewickiego Krz. wspomniano pisma pomniejsze, a opuszczono: de legato, de optimo, libertatis statu. Przy Stan. Łubieńskim mówi autor o wydaniach pośmiertnych z r. 1643, dlaczegoż nie wspomniał o dziełach za życia pisanych: de recte gerende episcopato Pozn. 1629, de ortu et vita Matthiae Pstrokoński Warsz. 1630 r,; tém bardziéj o nich wspomnieć należało, że przecie Bartoszewiczowi zarzucano nie tak dawno, gdy on dowodził, że Łubieński nie chciał za życia nic drukować, bojąc się ludziom narażać. Życie Erazma Otwinowskiego dosłownie za Bartoszewiczem powtarza pan R,; a szczegóły te nic przecie nie rzucają światła na osobę, a tém mniéj na pisarza. W epoce Stanisławowskiéj Karpiński wspomniany po Kniaźninie, niby mniéj ważny; temu ostatniemu, idąc za niepewnym czyimś sądem, przyznaje nawet autor wyższość przed Karpińskim. Toż samo, drugi puławianin, Szymanowski, zanadto przeceniony: stoi on trzecim z kolei i ma być lepszym od Trembeckiego, Niemcewicza, Koźmiana. Sądziłby należało, że tak uderzającą oryginalność autor czémkolwiek zechciał usprawiedliwić? Wcale nie: sam mu nawet przyznaje. że był sentymentalistą; mówi wprawdzie że miał „delikatność uczucia," ale nie przepomniał nadmienić i o tém, że Szymanowski ani na głębsze liryczne „uniesienia," ani na „prostotę" zdobyć się nie potrafił. Na lepszy los zasługuje Lud. Osiński, który przecie większy wywierał wpływ od Reklewskiego, postaci prawie nieznanéj. Z historyków szczególnie uderza T. Czacki, o którym powiedziano, że «trwoni czas i prostotę wyłuszczenia gmatwa." Jeśliby pan R. a verbo de verbo przeczy-

tał wszystkie Czackiego pisma, to doszedłby, jeśli nie do korzystniejszego, to przynajmniéj do takiego sądu, że on „czasu nie trwonił.”

Powiedzieliśmy wyżéj, że czasy zbyt bliskie nie mogą podlegać stanowczym sądom historyi; pan R. najlepsze składa po temu dowody, gdy w wieku XIX. nie umie nawet w ogólnym zarysie dać charakterystyki bez zaprzeczenia sobie. O poezyi np. na str. 119 i 120 mówi, że „ona spełniła swoje posłannictwo,” na str. 123 twierdzi, że „jeszcze nie stanęła u kresu swego, ale ciągle naprzód postępuje.” Sądy i oceny pisarzy pojedyńczych oczywiście muszą być więcéj jeszcze niezadawalniającemi: idąc za Mickiewiczem pan R. za wysoko ocenił Garczyńskiego; idąc za zdaniem Pola za wysoko umieścił Padurę, a nie wiem już na kim się opierając, na wyniosłym piedestalu postawił Grozę; wszyscy trzej są to poeci bardziéj niż mierni. Innych poetów stanowisko w literaturze również mylnie wskazano. Norwid wspomniany w szeregów epików, a niema o nim wspomnienia, jako o liryku, choć nim był przeważnie; toż samo Żygliński Franciszek, tak wydatnego talentu liryk, figuruje jako poeta epicki, toż Sowiński Leonard, który dotąd zasłynął jako poeta wyłącznie liryczny, a że używał formy fantazyi dramatycznéj, możnaby go odnieść do działu dramatycznych pisarzy, nigdy do epików, bo nic epickiego nie pisał.

W ogólności poetów lirycznych, których mamy tylu, pokrzywdził pan R. bardzo; gdyż wyliczył ich, (oprócz trzech pierwszorzędnych). trzynastu, a w téj liczbie Feldmanowskiego K. i Zaleskiego Antoniego — poetów całkiem nieznanych! Natomiast Ilnickiéj Maryi, Czajkowskiego Antoniego, Wolskiego. Norwida, Żyglińskiego i innych nie widzimy; o Felic. Faleńskim ani wspomina.... W dziejopisarstwie zanadto nizkie dał miejsce Bartoszewiczowi, a niedość uwydatnił Szmitta i Łukaszewicza. O tym ostatnim np. mówi (na str. 280): „że historya szkół zjednała mu znakomite miejsce w dziejopisarstwie narodowem,” a następnie twierdzi, że w poglądzie na sprawy dyssydentów jest „bezstronny; ale dlatego, że „chciał podnieść się ponad ludzi i wiek,” pisał „zawsze z pewném *uprzedzeniem*”.... Jest gorzéj niż nic nie mówić; bo takie słowa zamęt tylko rodzą w głowie.

Badania lingwistyczne opracowane również ogólnikowo, opuszcza autor rzeczy ważne, a mówi o drobiazgach nic nieznaczących; niema mowy o Elsnerze, o poetykach Królikowskiego i Korzeniowskiego, o kierunku ostatnich prac grammatycznych. Filozofom naszym zrobiony dziwny zarzut „kuszenia się o nowe systemy;” zapomina pan R., że większość naszych pisarzy na polu filozofii chciała zawsze tego tylko, co jako nowy program stawi pan R. — chciała przyswajać narodowi naukę europejską, — a nie jest zatém winą naszych pisarzy, że „pracujący bracia młodzi,” wyrobili sobie „silne przekonanie” niezgodne z dziejami literatury. Niechby autor przypomniał sobie Gołuchowskiego, Tyszyńskiego, Kaszewskiego, Lewestama, Majorkiewicza, Szczeniowskiego, Kozłowskiego,

Fr. Krupińskiego, — niechby spojrzał na „Przegląd naukowy, w którym oprócz innych Edw. Dembowski zabierał głos o Heglu, niechby przypomniał dawniejszego M. Mochn., który popularyzował Szellinga, a przekonałby się z łatwością, że oni wszyscy szli torem nauki europejskiéj. Były może i wyjątki; znamy je, — ależ o wyjątkach mówić, zwłaszcza tak szumnie mówić, to znaczy tyle, co nie szanować prawdy. Nadto dział filozofii stosowanéj jak np. pedagogiki pominięty zupełnie, tak, że uczeń p. R. nie tylko nie dowie się, że mieliśmy na tém polu Zdanowicza, Boczylińskiego, Dawida i t. d, ale nawet niema wzmianki o pracach pedagogicznych Stan. Jachowicza i Ewerysta Estkowskiego, znanych tak powszechnie!

W powieściopisarstwie, oprócz wielu niedokładnie przedstawionych, opuszcza Chołoniewskiego, Nowosielskiego (Marcinkowski), a za wysoko ceni Fisza, którego większe są zasługi jako publicysty; Pietkiewicz Antoni (Pług) jest tylko w *regestrze*... a on przecie był i jest nie figurantem, ale pisarzem wyraźnie określonego kierunku i talentu.

Czasopiśmiennictwo wymagało samodzielnego opracowania; to też pan R. korzystać lubiący przedewszystkiem z gotowych już prac, dał nam dorywczy, niezupełny jego obraz. Gdy wszakże grubych w tym względzie błędów nie spotykamy, umielibyśmy poprzestać i na tém co nam dał, jeśliby nas nie uderzała zbyt rażąca nieproporcyonalność: dość starannie wylicza bowiem wszystkich przelotnych i stałych redaktorów i redaktorek pism krakowskich i lwowskich, jako lepiéj sobie znanych, a niesłusznie przemilcza o wielu, bardziéj zasłużonych. Jeśli np. czytamy imiona: Wywiałkowskiego, Kratera, Sartiniego, Michalewicza, Wiesiołowskiego, Słotwińskiego, Szlachtowskiego — ludzi nieznanych w literaturze, — to powinnibyśmy prawem słuszności znaleźć imiona nie tylko trzydziestu redaktorów naszych tu pism czasowych, ale i jakich trzystu i innych redaktorów i wydawców pism, pominiętych przez pana R., a że pominięcia tu są liczne, dość porównać artykuł Ant. Białeckiego (w Tece Wileńskiéj), dla przekonania się, jakie niedokładności w samém czasopiśmiennictwie poznańskiém znajdujemy.

Liczne wreszcie spotykamy tu błędy w szczegółach życiorysowych, jak np. z Antoniego Kamińskiego robi autor dwóch pisarzy: jako Antoni Kamieński raz zaliczony do matematyków, drugi raz pod napisem: A. O. Kamieński, niby osobny pisarz figuruje jako lingwista: jestto ten sam Antoni O (drowąż) Kamieński, którego pan R. bez ubliżenia nam wybornie mógł pominąć. Jenike Ludwik figuruje jako chemik (?), a o istotnych zasługach tego pisarza wzmianki nie czytamy, Bartoszewicz Jul., o ile wiemy, nie mieszkał nigdy w Lesznie, chyba w Warszawie przy ulicy „Leszno." Kondratowicz nie umarł w Borejkowiszyznie, ale w Wilnie. Mickiewicz nie urodził się w Zaosiu, ale w Nowogródku.

O tym ostatnim błędzie zauważmy tu nawiasowo, że nie jeden pan R., ale inni historycy literatury, koniecznie snać chcieli mytycznym mrokiem okolić miejsce urodzenia Adama, bo nie chcąc

polegać na dawniejszych świadectwach, takich jak A. Chodźki, głoszących, że A. M. urodził się w Nowogródku, próbowali mniej więcéj szczęśliwie zaszczyt urodzenia przypisać innym miejscowościom. Tak K. W. Wójcicki za miejsce urodzenia podaje *Osowiec*, toż samo powtarzają Jul. Bartoszewicz (str. 508), a nawet Lewestam (str. 193). Inni znowu, usłuchawszy niedokładnie pochwyconéj na miejscu wieści, za miejsce urodzenia wskazują *Zaosie*, Wł. Nehring, powiada że urodził się w Nowogródku, ale kładzie zarazem możność przypuszczenia innego; to jest że *mógł* urodzić się „w Ossowcu pod Nowogródkiem" (str. 109). W obec tych niepewności lepiéj sobie podobno poradził Ad. Porój, mówiąc w swoim „Zarysie" (str. 291), ze się urodził na Litwie... łatwym przeto sposobem rozciął ten gordyjski węzeł. Mamy inną jeszcze literaturę pana M. Ł. p. t. „Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa," z któréj Adam, jako myt oględnie a rozważnie usunięty został z literatury.... Dlaczego tedy panu R. podobało się wybrać miejsce urodzenia najmniéj zasadne, na żadnych dokumentach nie oparte? Nie wiemy.

To tylko dodać musimy, że jeżeli pp. Wójcickiego i Bartoszewicza błędne wskazówki mogą być poniekąd usprawiedliwione powagą słów Syrokomli do Chęcińskiego pisanych; a bardzéj datą wydania pism (1860 i 1861) to już mniéj usprawiedliwiamy Nehringa któremu nie wolno już było mówić o „wieściach" jakichś w r. 1866; gdy jeszcze w r. 1861 w Kurjerze Wileńskim przez W. Korotyńskiego podaną była bardzo dokładna wiadomość, z metryk czerpana, z któréj się przekonywamy, że Adam urodził się w Nowogródku.

Najmniéj tedy usprawiedliwiamy ostatnią wiadomość literacką pana Rycharskiego, który wolałby jak M. Ł. zrobić Mickiewicza mytem jak do starych błędów dodawać nowe. Tym sposobem bowiem błędy te tradycyjnie z jednego pisma przechodzą do drugiego, tak. że w końcu gotowi będziemy uwierzyć i temu, co ktoś tam wymyślił, a tak zkądinąd poważny jak Nehring pisarz, powtórzył że Mickiewicz „jako 13-letni chłopiec poszedł z innymi ochotnikami na wyprawę Napoleona." Dziś wiedzieć możemy, że w r. 1812 A. M. miał lat 14, że w tym czasie był w szkole Nowogródzkiéj w klassie V, a nawet mamy wiadomości, jakie postępy w tym czasie zrobił w naukach. Takież same błędy o początkowych objawach romantyzmu, zaczerpnięte z najmniéj krytycznego wspomnienia Ign. Chodźki (dwie konwersacye) pomimo powagi słów A. E. Odyńca, bezkarnie plądrują po naszych pismach literackich... Zwracamy na to uwagę myślących czytelników, z zapytaniem: ażali Mickiewicz przynajmniéj nie powinien się doczekać od nas krytyczniejszego i baczniejszego opracowania?

---

Mimo tych błędów, pobieżnéj oceny, pomimo przemilczeń wielu pisarzy zasłużonych, mamyż prawo sumiennie powiedzieć, że rozbierane przez nas dzieło pana Rycharskiego jest pracą stanowczo chybioną? Wcale nie. Krytyk powinien przedewszystkiem umieć

cenić pracę ludzką, a co za tém pójdzie, powinien poszanowanie téj pracy w obec czytelników unaocznić. To też wskazujemy każdemu nieuprzedzonemu czytelnikowi, że jest jeszcze w dziele pana Rycharskiego niemało kart nie tkniętych ani przez nas, ani przez innych krytyków, jak np. pomysł o zamieszczeniu wydań znakomitszych, jak wiadomości starannie zebrane o wielu pisarzach (dość Mecherzyńskiego tu wspomnieć), które autor albo uzupełnił, albo na nowo odsłonił, — jest wiele ustępów, napisanych z przejęciem się, z miłością obranéj przez się nauki. Te tedy miejsca w znacznéj części przynajmniéj, zdolne są przychylnie dla dzieła pana R. usposobić czytelnika: tak, że chętnie dołączamy skromny głos nasz do głosów Szujskiego, Kraszewskiego, Siemieńskiego, z tą wszakże uwagą, że jako dzieło edukacyjne, zanim może być dane do rąk ucznia, powinno być w wielu miejscach sprawdzone przez doświadczonego nauczyciela.

*Antoni Bądzkiewicz.*

---

*Kościół Najświętszéj Maryi Panny w Mohilewie nad Dniestrem, opisał Stanisław Krzyżanowski. Kraków, 1867, w 32ce str. 47.*

Z ostatniéj stronnicy dziełka dowiadujemy się, że autor, oprócz *Wspomnień Padwy*, pięć jeszcze osobnych dziełek wydał. Między niémi spotykamy trzy monografie historyczne o Tulczynie, o pamiątkach polskich w Muzeum Towarzystwa historycznego w Odessie i o pracy ks. Szymona Krzysztofowicza, wydanéj pod tytułem: *Silva rerum*. Dziełek tych nie znamy tutaj, ale jeżeli do pięciu wymienionych dodamy *Wspomnienia Padwy*, i niniejszy *Kościół Najświętszéj Maryi Panny* łatwo nam będzie wyciągnąć charakterystykę prac autora, do czego mamy nawet poniekąd podstawę z dwóch dziełek, które nas doszły.

P. Krzyżanowskiemu zdaje się, że najwygodniéj będzie dla jego wziętości literackiéj, mnożyć bibliografią polską. Dlatego te małe dziełka i mniejsze jeszcze broszurki, bo gdyby wszystką treść ich w jednym tylko zgromadzić zbiorze, byłoby raz stało na tytule imię Stanisława Krzyżanowskiego, a tak stoi nazwisko to oddzielnie razy siedm.

W dziełkach tych i broszurkach zwykle mało treści i to dosyć obojętnéj. Kościoł, o którym rzecz idzie, zbudowanym został ledwie pod koniec XVIII wieku, chociaż przed nim były inne jeszcze kościoły w Mohilewie, których jednak pamięć nie sięga daléj, jak roku 1742. Kościół jest ormiański dla parafii wyłącznie Ormijan, których dosyć było kiedyś w gub. Podolskiéj, o czém

w tytule dziełka p. Krzyżanowski żadnej wzmianki nie robi i przez to w błąd wprowadza czytelnika. Całe dzieje tego kościoła zamykają się w jego budowie, o której obszernie mówi „*Silva rerum*" ks. Szymona Krzysztofowicza, wydana przez p. Krzyżanowskiego w Humaniu w 1863 roku. Ks. Krzysztofowicz był proboszczem mohilewskim i kanonikiem katedralnym kamienieckim, oficyałem Ormijan na Podolu. Pisał o swoim kościele. P. Krzyżanowski osobno drukował jego *Silvę*, osobno też z *Silvy* przepisał monografiją o kościele, bo cała książeczka w cudzysłowach. Tak więc dwa tytuły i dwa są dzieła o jednej rzeczy, a jeżeli p. Krzyżanowskiemu podoba się jeszcze i inne jakie wyciągi porobić z *Silvy*, będzie trzecia i czwarta książeczka. W takim razie wolelibyśmy żeby autor przedrukował jeszcze raz *Silvę*, jeżeli jéj egzemplarzy bił mało.

Ks. Krzysztofowicz wdzięczny jednak będzie p. Krzyżanowskiemu za wznowienie jego pamięci. Byłto rzeczywiście kapłan, jak ze wszystkiego widać, zacny, świątobliwy, przywiązany do swojego kościoła. Na miejscu dawnego, podupadłego, postanowił wznieść nowy, okazalszy i murowany. Czego nie może siła i zapał tych zacnych ludzi, którzy żyją ideą, szlachetną jaką myślą? Bez żadnych zasobów wziął się do budowy, bo wierzył i ufał Bogu. Udał się naprzód do kolatora, którym był sławny Salezy Potocki, wojewoda kijowski „nieśmiertelnéj pamięci mąż," powiada przez pochlebstwo starodawnym polskim obyczajom ks. Krzysztofowicz. Mąż ten nieśmiertelny wyznaczył, żeby „punktualnie ze skarbu pańskiego" płacono przez lat 6, złotych polskich dwa tysiące na budowę. Ale, na nieszczęście rychło „raptowną śmiercią z tego zeszedł świata, zatém dyspozycya pańska względem fabryki ustała." Proboszcz udał się do „godnego syna," którym był pan Szczęsny Potocki. Godny syn „nie chcąc tak zbawienne czyny ojca swego kasować, *plenus zelo ac pietate*" rozkazał, ażeby przez 8 lat po 3 tysiące w roku, proboszczowi ze skarbu pańskiego wypłacano. Wydał więc na to Szczęsny 24 tysiące, Krzysztofowicz zaś swoich 20 tysięcy przyłożył. Gdy jednak „i tą sumką tak wielkiego gmachu dokończyć nie mógł" naprzykrzał się proboszcz ciągle i sam i przez inne osoby Szczęsnemu. Kolator ciągle obiecywał: „oświadczał mi nieraz, powiada ks. Krzysztofowicz, że o tém szczerze pomyśli." Jednakże „póki w Mohilewie bawił się, póty o tem pamiętał, jak prędko wyjechał, zapomniał o wszystkiem." Biedny proboszcz przerwał fabrykę, ale pocieszał się w *Sylvie* uwagą, „że JW. dziedzic będzie musiał kończyć, bo jego miasto i jego obywatele." Nieszczęśliwy proboszcz płakał zawczasu, że coraz słabszy i sędziwy, nie dokończy budowy i przekaże ją swojemu następcy.

„Już był we mnie duch zagrzebany do końca," aż oto Bóg miłosierny pobudził księdza arcybiskupa Tumanowicza ze Lwowa, który i listem pasterskim i hojnym datkiem, a na początek nadesłaniem 200 dukatów, wsparł zacnego proboszcza. Arcybiskup,

był to, powiada ks. Krzysztofowicz „rzadki pasterz około chwały Pana Boga, zbawienia dusz ludzkich niespracowany, wielki jałmużnik i dobroczyńca kościołów, który przewyższał wszystkich pasterzów pobożnością i świętobliwością życia i mawiał: *ex Christo* zebrałem, *pro Christo* żałować nie będę.”

Tak więc „ani nieśmiertelnéj pamięci mąż,” ani „godny syn” jego, ale praca, zabiegi pobożnych i ubogich ludzi, ks. Krzysztofowicza, ks. arcybiskupa Tumanowicza, zbudowały kościół w Mohilewie. Przypomina się tutaj Baudouin i jego Dzieciątko Jezus. *Silva* z wdzięcznością jeszcze wspomina trzeciego fundatora „Jana Krysztofowicza Satowa, zacnego wójta nacyi naszej mohilewskiéj, ormiańskiéj, który zapomniawszy prawie o handlach swoich, całe dni przepędzał przy robotnikach i z największą usilnością starał się, by to dzieło jak najśpieszniéj było ukończone.” Ormijanie zwykle wysoce sławią ziomków swoich. Całe dzieło ks. Barącza, które żywoty Ormijan w sobie mieści, jest ciągłym panegirykiem. Tak samo i tutaj znajdujemy przesadę w opowiadaniu ks. Krzysztofowicza. Wójt jednak nacyi mohilewsko ormiańskiéj był widać ze wszystkiego, zacnym człowiekiem. Wszyscy kupcy „różnych nacyi” garnęli się do niego. Wójt rozstrzygał najzawikłańsze sprawy: miał wysoki szacunek, którego był godzien „dla swych rzadkich cnót i talentów.” Ks. Krzysztofowicz powiada bez ogródki, „że to był wielki człowiek.” Lubimy kiedy się wznawia pamiątki tak zacnych ludzi, bo chociaż do wielkości im daleko, w każdym razie stanowić to może drogie wspomnienia dla miasta, dla okolicy, i na tle tych wspomnień osoby zawsze żyć powinny. Wspomina ks. Krzysztofowicz o czwartym jeszcze fundatorze Józefie, synowcu swoim, który również o wszelkie potrzeby fabryki jak najusilniej się starał. Można więc powiedzieć, że kościół mohilewski stanął za staraniem i pracą samych Krzysztofowiczów. Ks. Arcybiskup poświęcił go dnia 3 czerwca 1791 z nadzwyczajną uroczystością, którą *Silva* opisuje.

Nie szkodzi nic taka pamiątka o kościele. Zawsze to jest materyał. Ale co zarzucim p. Krzyżanowskiemu, to to, że o wspomnieniach drobnych pisał, a pominął najważniejszego. Dla Ormijan podolskich podniesione było osobne biskupstwo w roku 1810. Biskup miał posiadać władzę zwierzchnią nad wszystkiemi kościołami Ormijan katolickich, rozrzuconemi po ogromnéj przestrzeni Cesarstwa, bo nawet i w Kaukazkich stronach. Kościół mohilewski, o który tu rzecz idzie, był wyznaczony na katedrę. Biskup nazywał się mohilewskim. Jedyna to w dziejach katedra, która powstała i zaraz zgasła. Józef Krysztofowicz mianowany był biskupem w roku 1810, zmarł zaś 26 lutego 1816. Po śmierci jego już biskupstwem zarządzali administratorowie, dzisiaj zaś nad Ormijanami katolickiemi czuwają wszędzie miejscowi biskupi łacińscy.

Czyżby nie było stosownego tutaj miejsca na rozwinięcie dziejów katedry? Czyżby nie właściwie było rozpowiedzieć tutaj

autorowi żywota pobożnego biskupa? Nie ma wątpliwości, że będzie to ów synowiec założyciela kościoła, ten sam który o wszelkie potrzeby fabryki jak najusilniéj się starał. P. Krzyżanowski zwykle to bierze, co ma pod ręką, poszukiwać nie umie; a jednak komużby właściwiéj, jak jemu, który mieszkając na miejscu, nawet z ustnych podań mógłby jeszcze zasięgnąć wiadomości o księdzu Krysztofowiczu? komużby to właściwiéj, jak jemu, było spisywać te dzieje, materyał w każdym razie szacowny dla dziejów kościoła? Tak, samochcąc pozbawił się autor najciekawszych stronnic w swéj broszurce, która daléj zajęta jest spisem bractw i kilką łacińskiemi dokumentami. Można z nich ułożyć cały szereg proboszczów kościoła. Pan Krzyżanowski i na to się nie zdobył.

Dnia 17 października 1868 r.

*Julian Bartoszewicz.*

---

*Wykład budowy wierszów Owidego, Wergilego i Horacego, napisał Dr. Alfred Brandowski, prof. fil. klas. w Uniw. Jagiel. w Krakowie. 1868. stron. z przedmową 32 in 8vo.*

Professor Brandowski pisze w przedmowie: „Przekonawszy się, że prace Rossbacha i Westphala mogą i młodzieży gimnazyalnej ułatwić zrozumienie budowy wierszów poetów rzymskich, a mianowicie Horacego, wyjąłem z licznych i obszernych dzieł obu tych badaczów najważniejsze prawdy i zasady rytmiki i metryki łacińskiéj."

Słowa te wskazują głównie na § 9 i 10-ty „Wykładu b. w." streszczające naukę o daktylach i anapestach cyklicznych, rozjaśnioną przez owych badaczy na fundamencie skąpych i niepowiązanych doniesień muzyków i metryków starożytnych, a zastosowaną w dalszéj części rozprawki (str. 23 i i.) przez prof. Brandowskiego do rozmaitych wierszy i zwrotek Horacyuszowych.

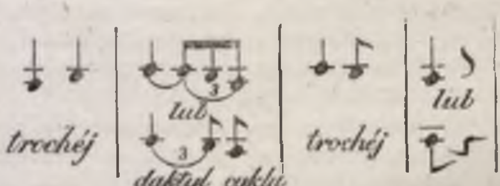
Zdumiewa to rzeczywiście, że tak długo można było starożytne kompozycye liryczne, które, jak dobrze wiadomo było uczonym badaczom, wspierały się na muzyce, uważać za amalgamy czyli mięszaniny z nierównych obwodem i różnorodnych taktów (stóp l. metrów). Wszyscy uczyliśmy się, a podobno wielu z nas jeszcze sami uczyli późniéj w szkołach tego, że np. w tak zwanéj wrotce *Sapphicum majus* pierwszy wiersz jest złożony z daktylicznéj jednéj i dwóch stóp trochaickich, a drugi z dwóch trochejów, dwóch chorjambów i dwóch jambów niezupełnych (lub według innych z dwóch trochejów, jednego chorjambu, jednego daktyla i dwóch trochejów znowu w końcu). W drugim więc wierszu nietylko rytm był nierówny, ale (uważając krótkość metry-

czną ⌣ = ♪ (ósemce) a długość metryczną – = ♩ (czwartce) w muzyce) takt nawet nierówny obwodem, to: $^3/_8$-wy, to $^3/_4$-wy, a nawet $^2/_4$-wy, gdy tymczasem jest $^3/_8$-wym tylko.

W nowszéj muzyce mamy podobne na pozór nierówne takty. Przypuściwszy, że w jednym takcie mieści się jedna ósemka i dwadzieścia i dwie szesnastki, a w drugim takcie siedm ósemek i jedna szesnastka z pauzą szesnastkową, mogłoby się zdawać, że tu dwunasto-ósemkowy takt łączy się z $^8/_8$ czyli całym taktem. Tymczasem połączenie pierwszéj ósemki z pierwszą szesnastką (w pierwszym takcie) i takież połączenie trzech zawsze po sobie następujących szesnastek znakiem ⌢3 w tryolki szesnastkowe, uczy nas, że tu trzy szesnastki trwałością czyli iloczasem wyrównywają jednéj ósemce, i w taki sposób otrzymujemy równe dwa całe takty.

Otóż tak samo a przynajmniéj bardzo podobnie rzecz ma się z daktylami lub anapestami cyklicznémi, to jest gdy one łączą się w organiczną całość z trochejami lub jambami. Wtenczas bowiem na ich wykład tyle tylko czasu poświęcało się, ile na wykład jambów lub trochejów.

Mając przeto wiersz przed sobą *cultor Uraniae genus*, nie będziemy go już uważali za kompozycyą z 3 w części nierównie wielkich, w części nierówno-rytmicznych taktów (t. j. z trocheju, choriambu i jambu), lecz za całość rytmiczną, złożoną z 4 równych taktów trzyósemkowych, któreby tak za pomocą nut wydać można:




Co dotyczy szczegółów, życzylibyśmy, aby prof. Brandowski kiedy może rozprawkę tę rozszerzy w wykład całkowity „o metryce starożytnéj Greków i Rzymian,” zatrzymał albo już utarte wyrażenia, albo gdzie ich nie ma, obce zastąpił polskiemi. Tak między innemi *ikt* (ictus) już Muczkowski i inni nazwali *przyciskiem* (rytmicznym akcentem), zamiast *arsa* i *teza* mówili o *rytmicznem wzniesieniu* (głosu) i *rytmicznym spadku;* stopy (rytmy), *które z arsy zstępują na tezę* może lepiéj nazwać *zstępnemi*, jak odwrotnie te *które z tezy wstępują na arsę*, *wstępnemi*, a nie *spadającemi* i *podnoszącemi się*. Na str. 6 czytamy *jamb* ( ⌣ – ) podwojony zowie się *ionicus a minore*, definicya ta niedobra; metryka starożytna taką stopę zowie dijambem. W rozdziale II „Skanzya wierszów łacinskich” ustęp 6 przynajmniéj jeżeli nie więcéj, należy do

prozodyi, któréj autor według przedmowy umieścić nie miał zamiaru. Zresztą rozprawka jasno jest napisana i rzeczywiście przyda się uczniom gimnazyalnym, którzy tę część nauki filologicznéj może nie z własnéj winy głównie zaniedbują.

Warszawa, 1 lutego 1868 r. *Z. Węclewski.*

---

## *Dla autora Pogadanek w Tygodniku Mód.*

Wiadomość o wychodzących u nas pismach peryodycznych z 1868 r. zamieszczona w zeszycie styczniowym Biblioteki Warszawskiéj, oburzyła autora pogadanek w Tygodniku Mód. Oburzenie ztąd powstało, że Tygodnikowi Mód nietylko nie przyznałem pierwszeństwa przed innemi tego rodzaju pismami, lecz nie położyłem nawet na równi z innemi, a wspominając o Przyjacielu Dzieci wskazałem wadę w kierunku tego pisma. Swoboda zdań nie jest jeszcze u nas dobrze zrozumiana. Dość dotknąć jednem słówkiem interes lub miłość własną, a natychmiast wybucha namiętność do walki, nie o prawdę, lecz o reputacyą. Rozdrażniony autor Pogadanek przedewszystkiem w N. 5 Tygodnika Mód, rzuca się na Bibliotekę Warszawską, a po swojemu, i jak mu potrzeba, rozwija jéj dzieje, jéj wady, stanowczo utrzymuje że Redakcya nie czuwa nad każdym artykułem, że nad artykułami swemi nie rozciąga żadnéj kontroli, bo inaczéj czyżby w niéj było zdanie, któreby się nie podobało autorowi Pogadanek. Kończy tém, że Biblioteka nie jest machiną funkcyonującą w całéj swéj pełni, bo jéj brak zbiorowości i organizacyi.

Po takim wstępie zabiera się dopiero do artykułu o pismach peryodycznych 1868 r. Głośno wypowiada, że w artykule tym wszystkie wady dzisiejszéj krytyki są widne jak na dłoni; co tém nieznośniejszém jest dla niego, że sam pisał nieraz o godności krytyki i o zupełnym jéj upadku; a to wszystko się odbiło jak groch o ścianę. Następnie sypie mnóstwo pytań jedno lepsze od drugiego i kończy tém, że artykuł O pismach peryodycznych pod żadnym względem celowi swemu nie odpowiada i dziwi się— po cóż go było drukować?

W ten bigos myśli autora Pogadanek nie zapuszczamy się wcale. Jaką była dawniej Biblioteka, jaką jest teraz, czy żyje strzępkami, łaską i t. d. to wszystko bez wyjątku wolno autorowi Pogadanek powiedzieć i drukować jak mu się tylko podoba: przedmiot ten oddaje się zupełnie dobremu jego sercu i na takie zdania nie będzie miał odpowiedzi. Również służy mu wolność bez granic sypać sobie pochwały, czy wprost bez ceromonii, czy pośrednio z niechcenia, stosownie do gustu. Wszak najwygodniéj zawsze być samemu sobie i Achilesem i Homerem. Zbytek kadzidła nie

zaszkodzi. Hermetycznie zamknięty w atmosferze woni, pachnideł, kadzidła, wprawdzie za powiewem innej atmosfery zakrztusi się tylko i nic więcéj. Ale kiedy autorowi pogadanek przyznaję tyle swobody, to przecież obwiniać „o szkodliwą niesumienność, o samolubstwo posunięte do takiego stopnia, że nawet gotowe jest zdeptać i zadeptać drugiego, aby tylko dla swéj osobistości poklaski i pokłon pozyskać" to już zadaleko; to już przypisywanie złego zamiaru zniszczenia dwóch pism, dwóch istot które Bogu dusze winny, a tego nie dozwala zacność o któréj autor pogadanek tyle razy wspomina, z właszcza że tyle zapewne ceni drugich ile siebie samego. Krzywota téj myśli ztąd pochodzi, że autor Pogadanek zawiele znaczenia nadaje i swojemu i mojemu zdaniu. Zdaje się jakby był przekonanym, że jak ktokolwiek drukiem ogłosi swe zdanie, to zaraz takie drukowane zdanie chwytają czytelnicy, bez namysłu przyjmują za własne, i na zgodę z takim drukowaném zdaniem kiwają głowami jak porcelanowe mandaryny główkmi na drucikach. Tymczasem publiczność nasza każde odezwanie się do niéj umie dobrze ocenić. Sądzi z rozwagą, zrozumie jak najlepiéj i to co autor powie, i to czego autor nie powie i z pewnością dopatrzy co autor chce, do czego dąży i dlaczego tak, a nie inaczéj mówi. Com powiedział o Tygodniku mód i Przyjacielu dzieci, to mimo obrony i wywodów autora pogadanek, pozostawiam bez zmiany jako zgodne z mojem przekonaniem. Napróżno autor sili się na wykazanie że pisma peryodyczne u nas nie różnią się pomiędzy sobą tak aby jedno stało na czele drugich, że wszystkie są na równi, bo wszystkie jednakowo pomieszczają powieści, korrespondencye, krytyki, artykuły literackie, wyjątki z podróży, rozprawy społecznego ustroju dotyczące i t. d. Aby wykazać wyższość twierdzi autor Pogadanek, trzeba czytać i to niepobieżnie, nie tytuły artykułów, ale jak to mówią od deski do deski, zagłębiać się, oniemal uczyć się napamięć. Potém porównywać wszystkie szczegóły wszystkich pism, każdy szczegół usprawiedliwiać dowodami, pisać i pisać choćby na dwadzieścia arkuszy, to dopiero będzie sąd czysty jak kryształ.

Tam tylko trzeba mozolnéj pracy, gdzie na to przedmiot sam zasługuje. Lekkie dzienniki poświęcone modom od razu przedstawiają charakter swój oraz stanowisko, dążność i zdolność redakcyi. To są wskazówki ich wartości i nie trzeba nad niemi takiego ślęczenia, jak to doradza autor Pogadanek.

Przyjaciel Dzieci od samego zjawienia się kulał, bo nie miał zdolnych pracowników. Od lat dwóch przeszedł pod redakcyą autora Pogadanek, który dziennik ten przeznaczył dla dzieci od lat 6 do lat 14, bo tak czynią za granicą w Anglii, Francyi i Niemczech. Takie już nasze przeznaczenie, że nic własnego mieć nie możemy, wszystko szyć trzeba na kopyto cudzoziemskie. Lecz przy tak ważnym dla nas dzienniku wstrzymujemy się z umysłu od wszelkich dalszych spostrzeżeń i uwag, bo czytając pogadankę

w N. 7. Tygodnika Mód nie chcę być policzony za jednego z owych Zoilów, którzy przypatrując się dziennikom autora Pogadanek pękają z zazdrości.

Smutna jest rzecz w rozprawie nie wierzyć dowodzeniom własnym i odwoływać się do swych zasług, prac i nagród dla zapewnienia sobie powagi. Dziś żadna powaga nie zastąpi loiki. Nieomylność nie jest udziałem człowieka. Zdolność za skromnością goni, nikt się nie wydziera do pierwszeństwa w literaturze, a nawet unika go, ażeby zamiast roli przywódcy nie odegrać roli tamburmażora literatury krajowej i zagranicznej. Autor pogadanek nie mało ma zasług w pismiennictwie naszém, o nich ani publiczność ani literatura nigdy nie zapomną. Zna on wybornie życie ludowe, tyle z niego wysnuł malowniczych, dramatycnych i użytecznych obrazków, które mu zjednały współczucie publiczne. Lecz nie idzie zatem, aby ten kto w jednej gałęzi literatury zdolność swą wykazał, równie się mógł odznaczyć w innych gałęziach. Nikt mu jednak nie broni aby szukał szczęścia jako kytyk, estetyk, nauczyciel, ekonomista, administrator i t. d. Żalby tylko było, aby marnował siły w zawodzie nieodpowiednim jego usposobieniu i zdolności, lub żeby w takim nowym kierunku rosł w zarozumiałość. Nie jestem porywczym do odpowiedzi na zaczepkę i teraźniejszą rzuciłbym w niepamięć. Lecz autor Pogadanek zasługuje na odpowiedź, należy go ściągać z niewłaściwej drogi, chłodzić w namiętności, odwodzić od lekkomyślnego przypisywania złych zamiarów, skłonić aby w miejsce pogadanek w N.5 i 7. Tygodnika Mód, drukowanych, lub rozprawiania gwałtem o niczem, ogłaszał to co jest prawdziwie użytecznem i pożądanem dla pięknych czytelniczek i dla rozmaitego gatunku dzieciaczków, a takiéj zmiany jako dla niego bardzo korzystnej, z serca mu życzę.

*Mruk.*

# RĘKOPISM PSAŁTERZA MAŁGORZATY.

Klasztor św. Floryana, d. 10 stycznia 1869 r. (1).

Klasztor św. Floryana ma dla nas powab szczególny, bez którego niktby z nas zapewne nie zajrzał do niego, chyba dla zabicia czasu, jeżeli go ma kto zanadto. Wprawdzie odznacza się on wspaniałą budową, ale ileżto wspanialszych widzimy po stolicach Europy; ma bogatą bibliotekę, gabinet numizmatyczny, muzea do nauk przyrodzonych, piękne freski, ale i to wszystko gdzieindziej widzieć można. Jest tu jeden przedmiot, któremu niemasz równego na świecie pod względem wagi dla historyi języka naszego, a tym przedmiotem jest Psałterz Małgorzaty. Dla niego to przyjeżdżali do św. Floryana: Kucharski, Bandtkie, Hr. Dunin Borkowski, wydawca pomnika; o innych Polakach w klasztorze nie wiedzą. Ci byli tu wyłącznie dla psałterza, i rzeczywiście mieli po co przyjeżdżać. Wiadomo każdemu, kto się zajmuje historyą języka polskiego, że pomniki mowy naszej, nawet dawniejsze od psałterza, pod względem rozmaitości form w porównanie iść z nim nie mogą. Podajemy więc do wiadomości osób pracujących nad dziejami mowy naszej niektóre uwagi, zapisane tu na miejscu po dokładnem nietylko obejrzeniu pomnika, ale i po porównaniu go z textem drukowanym.

Otóż, naprzód text polski wydany przez hr. Dunina Borkowskiego (2), przepisany został z oryginału przez bibliotekarza klasztoru ks. Chmela, który jakkolwiek nosił sławiańskie nazwisko, ani słowa w żadnem narzeczu sławiańskiém nie rozumiał, zupełnie tak samo, jak i dzisiejszy bibliotekarz ks. Czerny, z ojca Czecha, ani słowa po czesku nie umié. Ks. Chmel przepisał rękopism z jak największą sumiennością, opuszczając tylko kreski, to jest nosowe znaki przy *o*, uważał je bowiem za takież ozdoby,

(1) Klasztor kanoników regularnych zakonu św. Augustyna w Wyższej Austryi, leży między miastami Linz i Enns.

(2) Psałterz królowej Małgorzaty (z rękopisu) staraniem Stanisława hr. na Skrzynnie Dunina Borkowskiego. Wiedeń 1834, w 4ce.

jakie w tymże psałterzu wszędzie nad *i* widzimy. Dopiéro po zwróceniu na tę okoliczność uwagi p. Kucharskiego, zacny bibliotekarz błąd swój poprawił. Kopia ks. Chmela dostała się w ręce hr. Dunina Borkowskiego, który uznał ją za godną druku; do wykonania dobrego zamiaru zachęcił go ś. p. Bartłomiej Kopitar, bibliotekarz cesarskiéj biblioteki w Wiedniu, zachęcił zaś ofiarując swoje usługi przy utrzymywaniu korrekty. Przytém, jako człowiek sumienny, Kopitar wyjednał u władzy klasztornéj pozwolenie sprowadzenia psałterza do Wiednia, i tu starannie porównał kopią z oryginałem, odznaczył wiersze psalmów, które przy końcu są przerywane ustępami z innych ksiąg świętych, wskazał, zkąd mianowicie wzięte są ustępy, niemające związku z psałterzem; miejsca przeciwne językowi opatrzył dodatkiem spójnika *sic*, ażeby w umyśle czytelnika nie powstawały wątpliwości pod względem dokładnego odczytania; przy omyłkach położył formę właściwą lub wyraz domyślny: słowem, Chmel i Kopitar mają tu zasługę najważniejszą, bo naukową. Przez to bynajmniéj nie uchybiamy hr. Duninowi Borkowskiemu, którego staraniem kopia, przez ks. Chmela zrobiona, przeszła na jego własność; który wreszcie dał nakład, zapewne już wrócony; ale nie może nam hr. Dunin Borkowski wziąć za złe, gdy powtórzymy maxymę znaną od czasu, kiedy dzieła wydawać zaczęto: że każda rzecz naukowa wymaga koniecznie znawcy, specyalisty; i czyż nasza w tém wina, że odgadywanie przez hr. D. B. form gramatycznych, i objaśnianie wyrazów, jakie czytamy w przedmowie, wywołuje uśmiech. Rzeczywiście, zabawną jest rzeczą czytać np. że od czasu przeszłego: zaszgla (zażgła, zapaliła), tryb bezokoliczny jest: zaszglacz (t. j. żażglać); że od 7 przypadku: zamątce, pierwszy jest zamąt; że od czasu przyszłego: seszsze (zeżże-spali), bezokoliczny jest seszszacz (zeżżać); że od przypadku 2: przekorzyzny (ohydy), przyp. 1 jest przekorzyzn; a co najlepsza, że dąpecz (t. j. dębiec-baculus) tłumaczy przez *laska!* Otóż każde słowo, przytoczone w spisie wyrazów, porównaliśmy z oryginałem, i spis ten tu podajemy z dodatkiem znaczenia jego po łacinie, a gdzie potrzeba i po niemiecku, z oryginału. Każdy posiadający Psałterz Małgorzaty, śmiało może podług niniejszego zrobić w swoim egzemplarzu poprawki lub objaśnienia. Inne uwagi dodamy przy końcu.

| *W drukowanym Psałterzu.* | *W oryginale.* |
|---|---|
| Acz—czyli | Acz, łac. si, niem, ist da |
| Bednik—ubogi, biedak | Bednik — ł. egenus, niem. durftig |
| Bicho—aby | Bichφ, —ł. ut, n. das. |
| Bidlicz—mieszkać | Bidlicz — w ps. 28 inhabitare; w ps. 36 hereditabunt, niem. wordin wonin (*sic*). |
| Buczicz — przewodzić w. 5 (nie 5 lecz 6) | Buczφ¢—ł. qui exasperant, niem. die vorscher sin |

| | |
|---|---|
| Bydlączy—mieszkający | Bydlǫczy—incola |
| Chrzepczecz—grzbiet | Nachrzepcze w ps. 65. w. 10 in dorso. Nachrzebcze w ps. 128. w. 3. supra dorsum. |
| Cyecyerza—przepiórka | Cyecyerza—conturnix. |
| Czeczena—fale morskie | Czeczena—genit. Sing. łac. fluctuum. |
| Czisla—liczba | Czislo—(super) numerum |
| czyerekwa—cerkiew | czyerekwa—ecclesia, kirche. |
| dobrowolstwo—upodobanie | w dobrowolstwye—łac. in beneplanto, niem. in wolbehagen |
| dąpecz—łaska | dǫpecz—baculus, die stecke. |
| dzało—dzieło | dzalo—opus |
| gąscz—grać na arfie | gǫscz bǫdǫ, łac. psallam, niem. ich werde psallin. |
| geszutnoscz—próżność | nie porównałem przez niedopatrzenie [się. |
| jączstwo—niewola | iǫczstwo—in captivitatem. |
| kaco—jako | kaco—quam |
| kamo—dokąd | kamo, łac. quo, niem. wo |
| kelko—ile | kelko,--łac. quanta, niem. wy vil |
| którykoli—którykolwiek | w ktoricoli dzen—in quacunque die |
| kwiscz—kwitnąć | kwiscz—florebit |
| lapaiacze—płazy | lapaiǫcze—reptilia, dierweginden; reptilia tłumacz wziął za rapientia. |
| latka—kociołek | latka, łac. lebes niem. ein tobf. |
| lądzwa—biodro | lǫdzwa—lumbi |
| lescz — złość, lsczwi — złośliwy | a usta lsciwego albo ylsczywego, et os dolosi, des valscheu |
| lhesz—kłamca | lhesz—mendax, logenhaftig. |
| lączysko—łuk | lǫcziszcze—arcum, bogen |
| lutosciwecz—litościwy | lutosciwecz—miserator |
| mazto—miejsce | masto—locus. |
| mito — zapłata (ps. nie 42 ale 43) | przez mita—sine pretio |
| należene—zapłata | w nalezene—ad inventionum (sic), czu funden |
| nawedzicz—naprowadzić | nawedzi—dirige |
| nyszcyotny—ubogi | nyszcyotny—inops, der durftige. |
| obesrzene—widokrąg, widok | obesrzene—conspectus. |
| oblaszcze—pojedynczo, z osobna | oblaszcze—sigillatim, sudirlich. |
| odgimane—obrona | odgimane—defensio |
| odgimcza—obrońca | odgimcza—protector. |
| omrzalicz—obrzydzić | omrzalo yest—abhominatus. |
| opacz—powtórnie | opǫcz—iterum |

| | |
|---|---|
| owoczaiączy—rodzajny | owoczaiϙcza—fructifera. |
| panacz—panować | panacz—dominabitur |
| pączcye—kajdany | w pϙczczyech—in compedibus, in vessern (sic) |
| pastnka—piosnka | pastnka—carmen, sank. |
| pirzwicznąta—pierwiastki | pirzwiczn ϙ ta—primicias |
| pirzwenota— nowonarodzony ps. 17 w. 56. | nie ma w tym psalmie lecz w ps. 77 w. 56. |
| pitl—włosiennica | pitl—cylicium, clagkleyt. |
| pobesczynic—zniweczyć | pobeszczinili—profanaverunt. |
| podloszczycz—podejść | podlosczycz — subplantare, underdrycken. |
| pokrotki—nérki | pocrotky—renes. |
| poselkini—służąca | poselkyney—ancillae. |
| posladek—koniec | w posladco—in novissimis, in letztem |
| postacze—narody | w postaczech—in nationibus |
| postrobenstwo—zmocnienie | postrobenstwa—refectionis, der irholunge. |
| postrobicz—zmocnić, postrobon—zmocniony, | ne postroben bϙdz czlowek—non confortetur homo, nicht gesterkit. |
| potrzebizna—potrzeba | potrzebizna—onus, notdorft. |
| potrzebiznni—ubogi | potrzebiznny—egenus |
| potreskacz—ukarać | potrzeskczess—corripies, stroffen. |
| prawota—sprawiedliwość | prawotϙ—iustitiam. |
| prokna—wszystka | prokna—universa *i* omnis. |
| przeciwomolwość—spór | przeciwomolwocz—contradictio, wedirrede. |
| przegarzecz—łajać. | przegarzali sϙ—exproprabant. |
| przekorzyzn—ohyda. | przecorzyzni — obprobrium. |
| przesecz—topór | (w) przesecze—in ascia, in der hoppin. |
| przespica—pragnienie | wlacznosczy y w przespycy—esurientes et sitientes. |
| przespeie—poszczęści się | przespeie—prosperabuntur, die werden gelukkit. |
| przezdziatkyni—niepłodna. | przezdzadkyny ϙ—sterilem. |
| przezwinstwo—niewinność | przezwinstwo—innocentia. |
| przychodcza—przychodzień (w. 17). | przichotcza—peregrinus. |
| przylubene—pozwolenie | sprzilubenim—cum consensu; |
| przyemca — przyjmujący, obrońca. | przyiemcza—susceptor |
| pwo—ufność | gisz ymaiϙ pwϙ—qui confidunt. |
| roserdze—gniew | roserdzyym—furore. |
| roszglecz (ruszglo) rospalić | roszglo se iest (w ϙgle) succensi sunt. |

| | |
|---|---|
| rozlomene—skruszenie (contritio). | w rozlomenyu—in conspectu, in seinem angesicht. |
| rozpotrzelic -strwonić | rospostrzely s ǫ —dissipaverunt. |
| ryczyw—posąg | ryczyv—Dat. sing. sculptilia die gegrabin |
| san—zewsząd | san zam. se (się) usmerzyl ges san barzo humiliatus sum usque quaque; ich bin gedemutigit allenthalben. |
| samodz - pójść | samodzcze—venite |
| scza—scieszka | we sczach—in semitis |
| seszszacz—spalić | seszsze—conburet |
| skoczące—bydło | skocz ǫ ce—pecus, wyhe |
| slozenye—choroba | slozenye—tigmentum, krankeit |
| smara—poniżenie | smora—humilitas |
| stodza—scieszka | stdza—semita |
| strzdz—miód | strdzi—genit. sing. melle, des honiges |
| strzodza—straż poranna | od strzodze—a custodia |
| snaszycz—ćwiczyć się | szanaszycz—exercebo |
| swirzchowacz—pokrzepić | swirzchowal—perfecit |
| szalenstwo—niewiadomość | na szalenstwo—ad insipientiam |
| szaltarz — psałterz, instrument o 10 stronach | szaltarz—psalterium |
| szarana—rano | szarana—mane |
| szyzn—urodzaj | szyzny—ubertate, uber flussikeit |
| szszpila—igrzysko | szszpila—subsanatio, ein gespotte |
| teńszegisty—tenże sam | tensze gysty idem ipse |
| tresez—pióro | tresez—calamus |
| trezme—pałac | w trzemech—in atriis, in torén |
| trzymane—dzierżawa | trzimane—possessio |
| tszczicza—obrzydliwość | tszczicz ǫ — tedium, vordroszekeit |
| tula—sajdak | w tule—in faretra |
| ubieszene—ucieczka | n beszene—refugium |
| urąpny—piękny | ur ǫ pny—speciosus, der schoene |
| utoka—ucieczka | utoka—refugium |
| Wardąga—bydle | ward ǫ ga—jumenta, (unde ire) noser |
| welmi—wiele | welmi—vehementer |
| weszgi—zawsze | weszgi—semper |
| wyboyowacz—walczyć | wyboyowaly—expugnaverunt. |
| wyrzbeża—pas | wyrzbcza—zona, snurr |
| wyrzygacz—opowiadać | wyrzygacz—eructabunt, werden ausdunsten. |
| wisluscza—wysłuchający | wisluscza—exauditor |
| (imiesłów teraź. od słowa dokonanego?). | |
| zadar—darmo | za dar—gratis |

| | |
|---|---|
| zakonoszcza—prawodawca | zakononoszca—legislator |
| zamąt—utrapienie | w zamǫtce—in tribulatione |
| zasłonicel—obronca | zaslonicel—protector, beschirmer |
| zaszecz (za szegl) zapalić. | zaszegl se iest—exarsit |
| zaszglacz—zapalić | zaszgla—inflammavit |
| zawzuyacz— ogłosić, oznajomić. | zawznyaly sǫ —sonuerunt, niem. lutende. |
| zgloba—nieprawość, zdrada | zgloba—dolus |
| zkaza—zniszczenie, zkazil—zniszczył. | zkaza, zkaził—zkazil ies destruxisti |
| znanecz—znajomy | znanecz—notus, bekantir |
| zwotszeć—starzeć się. | zwotszeie—veterascet. |

Porównaliśmy starannie pierwsze 15 psalmów, oraz te miejsca, które się nam wydawały ciemnemi lub błędnemi, i przekonaliśmy się, że text wszędzie wiernie jest przepisany, z wyjątkiem kilku dostrzeżonych przez nas omyłek, które wszakże są bardzo małéj wagi. Tak np.:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| ps. 5 w. 11 | w druku: | iǫ zikim swim | w oryginale: | iǫ zikmi swimi—linguis suis |
| ,, —,, 13 | ,, | wsiteczy | ,, | wszitczy |
| ,, 6 ,, 9 | ,, | przyiol (sic) | ,, | przyol. |
| ,, 8 ,, 8 | ,, | nebeszscy | ,, | nebeszsczy |
| ,, 16 ,, 12 | ,, | porzuciwscy | ,, | porzuciwszy |
| ,, 17 ,, 13 | po: | okrǫdze iego | *opuszczono:* | stan jego—tabernaculum eius |

Prócz tego w druku spójnik *i* stojący na początku wiersza, kilkakrotnie jest oddany przez H, co dawało powód do wniosków mniéj więcéj zasadnych. Otóż okazuje się, że to błąd Kopitara czy drukarza. W oryginale wszystkie litery poczynające wiersz psalmu są ozdobione różnémi floresami i dodatkami. ℑ wielkie zwykle oznacza się figurą I; w kilku zaś miejscach ma dodatek z boku i wygląda jak małe łacińskie h, to jest h. Należało więc wiernie kopijując oryginał, oddać ją przez małe h, a nie przez H; nie dawałoby się przez to powodu do błędnych wniosków.

W ogólności, dla należytego zbadania tego pomnika, uważamy za niezbędne powtórne wydanie go z textem łacińskim i niemieckim, jeżeliby tylko znalazł się nakładca. Chętnie podejmiemy się téj pracy i nawet zapewniliśmy sobie albo wierzytelne kopije, albo nawet przesłanie nam oryginału do Warszawy, do czego potrzebne są niektóre urzędowe formalności i zastaw pieniężny.

Prócz psałterza, biblioteka klasztorna posiada dawny rękopis łaciński zawierający „statuta regum Kazimiri et Wladislai, edita in Wartha, confirmata in Vyslicza," pierwsze z r. 1343 „de consensu Jaroslai sctae Gnezensis ecclesiae archiepiscopi ac.... i t. d.; drugie z r. 1323. Rękopism na papierze należy do końca XIV lub początku XV wieku. Razem z nim oprawione jest prawo magdeburgskie, spisane przez Polaka, czego dowodzą dodane na końcu vocabula po łacinie i po polsku. Jakkolwiek szczegóły, tyczące się tego pomnika zanotowaliśmy, nie podajemy ich jednak, bo może prawnikom naszym są znane, témbardziéj, że Bandtkie zwiedzał klasztor i zapewne z rękopisu tego korzystał.

Nakoniec, ostatnią osobliwością, mogącą bliżéj obchodzić czytelników Biblioteki, jest grób Katarzyny, arcy-księżniczki austryackiéj, wdowy po księciu mantuańskim, małżonki Zygmunta Augusta, zmarłéj w Linz'u w r. 1572, i tu pochowanéj. Od niéj, jak się domyślać należy, psałterz Małgorzaty, dostał się do biblioteki klasztornéj.

*Jan Papłoński.*

# WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

---

## WARSZAWA.

*Luty 1869 r.* — P. Konstanty Małkowski, od lat wielu pracuje nad dziełem: „Przegląd najdawniejszych pomników języka polskiego," które już jest blizkie ukończenia. W przeglądzie pomienionym rozebrał:

1) Psałterz królewny Maryi — znany powszechnie pod nazwiskiem psałterza królowej Małgorzaty: — ogłoszony przez Hr. Borkowskiego.

2) Żywot S. Błażeja—ogłoszony przez Bielowskiego.

3) Kazania—wydanie Działyńskiego.

4) Modlitewnik znany pod nazwiskiem książeczki S. Jądwigi, wydanie poznańskie przez Mottego.

5) Psałterz królowej Jadwigi— wedle Rakowieckiego.

6) Pieśń Bogarodzica — wedle Maciejowskiego i hr. Przezdzieckiego.

7) Powszechna spowiedź:— wedle Maciejowskiego i Działyńskiego, porównana z pomnikami frejzyngskiemi, wedle Kopitara.

8) Wigilie za umarłe ludzie — pierwszy raz przez p. Małkowskiego ogłoszone.

9) Biblia tak zwana Saroszpatacka — wedle kilku urywków ogłoszonych przez Maciejowskiego, Hankę i Działyńskiego.

10) Pomniejsze zabytki języka sądowego z końca XIV i początku XV wieku. Dołącza tu trzy akty obszerniejszej treści, spisane po polsku r. 1402.

11) Polski text statutów Wiślickich i Mazowieckich z 1429 i 1460 r.

12) Żywot Pana naszego... przez Baltazara Opecia, wedle egzemplarza Biblioteki szkoły głównéj.

Głównéin zadaniem uczonego badacza jest oznaczenie wieku pochodzenia powyższych pomników, i ocenienie znaczenia każdego w historyi języka. Trudności do pokonania były wielkie, bo oprócz sądowych, wszystkie inne pomniki nierównie wcześniej były układane jak pisane. Trzeba było wynaleść zasadę do ocenienia wieku języka,

bez względu na pismo, i skreślić historyą języka przynajmniej w zarysie. Trudności te szczęśliwie zwyciężone zostały, i jak mamy nadzieję, znakomita ta praca niezadługo pójdzie pod prassę,

— Nowe wydanie *ksiąg bibliograficznych* Joachima Lelewela przygotowywa J. K. Żupański w Poznaniu. Według otrzymanych wiadomości, nakładca poszukuje odpowiedniego pracownika, któryby je uzupełnił dodatkami i dopilnował dobroci tekstu. Zwracamy uwagę szanownego wydawcy, że myśl uzupełnień uważamy za wcale niefortunną; raz że te dodatki przeistoczą tekst pierwotny wielkiego badacza, powtóre, że ramy i tak już obszerne, bez potrzeby rozszerzą. Co ś. p. Lelewel napisał, powinno zostać nietknięte, bo daje nam dokładny obraz na jakim stopniu stała wówczas u nas bibliografia. Niewątpliwie, że odkrycia nie znanych dzieł, broszur, i edycyj od wydania tych *ksiąg*, znacznie się rozszerzyły, ale nabytki te powinny stanowić oddzielne dzieło. Podobnie nie fortunna myśl pokierowała drugiém wydaniem Adama Zawadzkiego *Historyi Literatury Polskiej* F. Bentkowskiego. I cóż w zamian tego otrzymaliśmy? Oto cząstkę tylko *obrazu bibliograficznego* Jochera, gdy praca Bentkowskiego nie ujrzała już świata. Tymczasem drugie wydanie dzieła jego dotąd niewątpliwie byłoby wyczerpane, a *obraz bibliograficzny* jako przedmiot oddzielny, mógł wyjść osobno. Powtarzamy, że nienależy, i niegodzi się nawet, *ksiąg bibliograficznych*, uzupełniać i poprawiać, gdyż nie będą one dziełem Lelewela.

— Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w królestwie Polskiem podało do wiadomości, iż z siedmiu projektów architektonicznych teatru ludowego, na zeszłoroczny konkurs nadesłanych, po dokładném oceniu takowych przez zaproszonych znawców, zgodnie z ich wyrzeczeniem, przyznał komitet, premium dla projektu za najlepszy uznanego a dewizą „It may be so" oznaczonego, którego autorami okazali się budowniczowie Edward Cichocki i Zygmunt Kiślański.

— Pani Leonowa Faucher, wdowa po b. ministrze państwa francuzkiego, córka Ludwika Wołowskiego, a synowica Jana Kantego Wołowskiego, nieodżałowanéj pamięci dziekana Szkoły Głównéj Warszawskiéj, przeznaczyła fundusz 1,000 franków na zakupienie dla studentów wydziału prawnego tejże szkoły odpowiedniéj ilości egzemplarzy „Kursu kodexu cywilnego" który wypracował zmarły dziekan, a obecnie wydał pan Jeziorański. Egzemplarze w liczbie 60 zostały już złożone rektorowi Szkoły Głównéj.

— Z listu pisanego do nas z Drezna pod d. 16 lutego r. b. dowiadujemy się: że do bawiącego w tém mieście Jana Zacharya-

siewicza zgłosił się wydawca angielski za pośrednictwem agencyi „*Kinski et Comp.* 77. Cornhill. London,” żądając pozwolenia od tego pisarza, do przetłumaczenia powieści *Wiktorya Regina* na język angielski, którąśmy w naszém piśmie w zeszłym roku ogłosili.

— Towarzystwo Naukowe Krakowskie i Towarzystwo Przyjaciół Oświaty, zawezwało professora Józefa Kremera do napisania *Logiki*, dla gimnazyów galicyjskich. Obecnie wykończa rozprawę p. n. „Porównanie rzeźby greckiéj, z rzeźbą ludów chrześciańskich a w szczególności ze sztuką Wita Stwosza.” Jest to rozszerzony publiczny odczyt jaki miał J. Kremer na fundusz odfotografowania wielkiego ołtarza w kościele Najświętszéj Maryi Panny w Krakowie.

— Eustachy hr. Tyszkiewicz, nadesłał do Warszawy, nieznany portret ks. Kazimierza Kognowickiego historyka, i uzupełnienie do jego życiorysu, umieszczonego w Encyklopedyi Powszechnej. W notatce téj, wyczytujemy: że rodzina Kognowickich pochodzi z Włoch, i zwała się pierwotnie *Kognocce*. Pierwszy z nich liczył się do orszaku królowéj Bony, i ten ożeniwszy się z Chreptowiczówną, osiadł w powiecie kowieńskim. Potomek jego w prostéj linii, dotąd dziedziczy pierwotne gniazdo rodzinne.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszły książki dla młodocianego wieku: 1) *Praca*, ułożona przez Wł. L. Anczyca z rysunkami F. Kostrzewskiego. Przedstawione tu są rozmaite rzemiosła, a pod każdym odpowiedni czworowiersz. Obznajmia to dobrze dzieci, dla których książka ta przeznaczona z różnemi pracami i zajęciami, które dają chleb i zamożność wielu rodzinom. 2) *Niespodzianka*. Zbiór powiastek dla pilnych dzieci, przez autorkę: Pamiętników młodej sieroty. Są to utwory pióra pani Pauliny Kraków, pełne wdzięku i zajęcia dla młodego wieku, któremu od lat wielu zacna ta autorka, poświęca swoję pracę. Jakiego wzięcia doznała ta mała książeczka, najlepszym jest dowodem że wydanie z r. b. jest już *piątém*, i nie wątpimy że doczeka się wielu jeszcze edycyj.

— Rozprawy drukowane w naszém piśmie jako oddzielne odbitki ukazały się w handlu księgarskim: professora Szkoły Głównéj Zygmunta Węclewskiego: *Wiadomość o życiu, pismach, wydaniach i przekładach poezyj Klemensa Janickiego*. (Warszawa 1869 r.) i Adolfa Pawińskiego docenta tejże Szkoły „*Kilka słów o Buckle'u*. (Warszawa 1869).

— Pani Seweryna z Żochowskich Pruszakowa, dziś Duchińska, została wybrana na Członka Towarzystwa Etnograficznego w Paryżu. Od roku 1850 stała współpracowniczka naszego pisma

wspierała go najważniejszemi pracami. Dość tu przypomnieć przekłady wzorowe z Ozanama, obrazy literatury współczesnej francuzkiéj i kilka poematów pełnych wdzięku poetycznego i głębszych myśli: później zajęła się przekładem Obrazu literatury ludów północnych Ejchoffa, które w oddzielnéj księdze wydał S. Sennewald (ojciec). Jej pióra głównie jest dzieło: „Węgry pod względem historyczno-etnograficznym." obszernych rozmiarów. Pismo nasze podało dwa średniowieczne poemata o *Cydzie* i *Rolandzie* w mistrzowskim jej przekładzie: następnie streszczenie dzieła Cesrza Napoleona III: „Życie Cesarza". wreszcie tłumaczenie pieśni ludu francuzkiego. Obecnie dokonała przekładu pieśni ludu polskiego, wraz z dokładną wiadomością o jego charakterystyce. Wszystkie te prace należycie ocenione, nadały prawo do zaszczytu jaki p. Duchińską spotkał otrzymaniem dyplomu na Członka Towarzystwa Etnograficznego. W tém gronie uczonych zasiada i druga kobieta pani Royer'owa za przekład Darwina na język francuzki.

— Muzeum Zoologiczne przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, otrzymało piękny dar od Jerzego hr. Mniszka, zasłużonego naturalisty i posiadacza bogatego gabinetu przyrodniczego, Jestto prześliczny. zbiór chrząszczów, i liczny zbiór niższych zwierząt z morza Śródziemnego.

— Drugi już miesiąc jak jedno z pism czasowych ogłosiło smutną wieść o zgonie Zenona Fisza pisarza znanego pod pseudonymem *Padalicy*. Nie powtarzaliśmy jéj, czekając na pewniejszą wiadomość. Teraz Kuryer Warszawski z d. 15 lutego r. b. podaje ustęp z listu brata Zenona pisanego do jednego z przyjaciół jego zamieszkujących, w którym czytamy. „Wieści zamieszczone w dziennikach o zgonie Zenona, są mylne, chociaż rzeczywistość nie wiele jest pocieszającą. Biedny Zenon żyje, ale zdrowie jego znajduje się w rozpaczliwym stanie. Dziś on jest bez przytomności. Jak doktorzy dowodzą, choroba ta wynikła wskutek tuberkulów na mózgu, a najboleśniejszą jest, że tego ani zupełnie usunąć, ani wstrzymać niepodobna. Takie jest ogólne zdanie doktorów kijowskich. Od września zeszłego roku chory ciągle znajduje się w stanie obłąkania, dużo mówi i pisze, ale w tém nie ma żadnego związku. Nie opuszcza go głównie myśl, że go chcą struć: „żywym merkuryuszem," i z tego powodu wpada nieraz w szaleństwo. Mało bardzo jé i śpi, od kilku miesięcy chudnie, chociaż przedtém był nienaturalnie otyły. Patrząc na jego stan obecny, niepodobna od łez się wstrzymać."

— W Krakowie na benefis artysty Lecha Nowakowskiego, przedstawiono dramat Getego „*Faust.*" Rolę tytułową grał pan

Ładnowski, Mefistofelesa benefisant. Rolę Gretchen oddała pani Modrzejowska. Układ sceniczny zastosowano do przedstawień w teatrze cesarskim w Wiedniu. Niewiadomo nam, czyj przekład użyto: przypomnieć tu winniśmy, że pismo nasze przed kilkunastą laty drukowało mistrzowskie tłumaczenie Fausta przez Alexandra Krajewskiego.

— Kuryer Warszawski od czasu do czasu, drukuje w swoich szpaltach poezye, które odznaczają się tak głębszą myślą, jak udatną formą, powiększéj części wychodzą one z pod pióra *Mirona* stałego współpracownika obecnie tegoż pisma. *Z fotografii Brukowych* przywiedziem tu dwie ogłoszone w Nr. 27 i 30 pomienionego pisma.

### I.

### KOMINIARCZYK.

Jego papą jest bankier, a tancerka mamą.
Taka wieść o nim w kółku krążyła żebraczem,
Z opowiadań przekupki, co go w noc pod bramą
Zdybawszy, niosła do chrztu z przyjacielem traczem.
Gdy dorósł lat mądrości, siedmiu, w dzień tak błogi
Od swojéj opiekunki dostał w kark i buty.
I że miał wstręt do szewstwa, dobry wzrok i nogi,
Poszedł do kominiarzy.
Był to miesiąc luty,
W nocy wybuchła ogień w domu z posągami,
Wnet więc straże na miejsce trwogi spieszą cwałem,
Wraz z maszyną parową i kominiarzami.
I on wdziera się na dach, skacze w głąb komina,
I przytłumia płomienie swojém własném ciałem...
O tak! zacny pan bankier miał dzielnego syna.

### II.

### OBŁĄKANY.

W kapeluszu pomiętym, w wytartym surducie,
Z oczyma zapadłemi, w palcach kij obraca,
I bredzi sam do siebie, że go czeka praca,
Nad budżetem dla ludzi i wróbli w Kalkucie.
A w ślad za nim, ze śmiechem, bierzy chłopców chmara
I urąga niedoli, bo jéj nieświadoma:
Bo jedynie bezmyślnéj pustoty łakoma.
Wtem na skręcie ulicy, obłędu ofiara
Spostrzega mknący powóz, w nim damę prześliczną
Jak anioł Rafaela... wyciąga więc dłonie.

Pragnie krzyknąć, przez ciżbę ciśnie się uliczną.
Lecz powóz znika, niby półsenne zjawiska.
Bryznąwszy z pod kół błotem na biedaka skronie...
I on... zimne powietrze do piersi przyciska!

— Znany pisarz dramatyczny Władysław hr. Koziebrodzki, którego sztuki w naszych pismach drukowane, a przedstawiane na teatrach Krakowskim i Lwowskim, cieszyły się niemałem powodzeniem: na scenie Lwowskiéj przedstawił dramat p. n. „*Dzisiejsi*" i ten podobał się wielce zebranej licznie publiczności, napisał nadto świeżo dwie komedye, jednę 4 aktową p. t. *Próżniacy*, i 1 aktową p. „t. *Zakochana Para*."

— W drukarni Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego wyszła rozprawa: *Teorya Zjawisk Włoskowatości*, przez Edwarda Władysława Skibę Magistra nauk matematyczno-fizycznych, Assystenta przy katedrze Fizyki w Uniwersytecie Jagiellońskim (Z jedną tablicą. Kraków w 8 str. 75.). Znany jest podobnego nawiska autor powieści i poezyj *Wołody Skiba*, ale to jest przybrany tylko pseudonim, a nie rodowe imię.

— Wiadomo, że jedną z najpiękniejszych budowli miasta Poznania jest ratusz stojący na środku Starego rynku. Na wiosnę r. b. ma być przebudowany, mianowicie ciemne jego bióra. Aby tylko w tém przebudowaniu nie stracił swéj starożytnéj a tak pociągającéj oczy, zewnętrznéj charakterystyki.

— Z Krakowa donoszą że malarz tameczny znany już ze swego talentu i wielu prac artystycznych Walery Eljasz, wykonał dwanaście akwarelli z poematu Maryi Malczeskiego. Pierwsza ztych illustracyj przedstawia Kozaka pędzącego po stepie, ostatnia, śmierć Miecznika przy grobie żony i córki. Akwarelle są większych rozmiarów i starannie, a odpowiednio duchowi poematu, oddane.

† Dnia 12 grudnia 1868 r. w miasteczku Stawiszczach w gubernii kijowskiéj umarł w 83 roku życia Antoni Andrzejowski, znakomity botanik, zoolog, geolog i paleontolog, a przytem pisarz, autor wysokiéj wartości „Ramot starego Dietiuka" i w. i. Pierwszy zwiedzał pod względem historyi naturalnéj krainy między Bohem a Dniestrem, od Zbrucza aż do morza Czarnego. Ułożył i utrwalił terminologią polską botaniczną, odkrył wiele rodzajów i gatunków szczególnych, w rodzinie roślin krzyżowych (cruciferae), nad którymi długie lata pracował, i nazwiska im podawał. Na pamiątkę czego sławny botanik de Candolle, nowy jego jeden rodzaj przezwał: „*Andreowskią.*" Z prac naukowych wydał: 1) Nauka wyrazów botanicznych dla łatwości determinowania roślin porządkiem abecadła ułożona (Krzemieniec 1825). 2) Rys botaniczny krain zwiedzanych w podróżach odbytych w latach: 1814, 1816, 1818 1822 (Wilno 1823). Drugie wydanie tamże 1830 r. 3) Czackia genre determine (Krzemieniec 1818). 4) Słownik roślin Grekom starożytnym znanych i na polski język przełożonych (Wilno 1827. Praca wspólna z professorem W. Besserem) 5) Ramoty starego Dietiuka (Wilno 1861, 4 tomy). 6) Ramoty starego Detiuka. Serya 2, tom I. 7) Synowie Władysława Hermana. 2 tomy, powieść. 8) Dobiesław (Kraków 1866, 2 tomy). Pseudonym jaki przybrał Detiuka, wziął od rodowego przydomku.

† Dnia 29 stycznia r. b. zmarł w majątku swoim Sulgostowie Tytus Ligęza Swidziński, który przez proces o bibliotekę i zbiory po ś. p. Konstantym Swidzińskim, prowadzonym przed kilkunastu laty, zyskał sobie niemały rozgłos. Gdy spór ten ukończono na drodze polubownéj, oddał te szacowne zbiory ordynacyi hr. Krasińskich, i pokazał czyn obywatelski, że nie walczył o swój interes osobisty. Pismo nasze w sprawie téj czynny brało udział, i mamy za obowiązek uczcić pamięć zgasłego męża.

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wolno drukować—Warszawa, dnia 15 (27) Lutego 1869 r.

*Censor, J. Bleszczyński.*

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatoryum Astronomicznem

## WARSZAWSKIEM.

## *Styczeń,* 1869.

**Styczeń, 1869.** **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomiczném Warszawskiém.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1$^g$14$^m$45$^s$,7 czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany księżyca | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | TERMOMETR stustopniowy 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1 | | 752.33 | 753.39 | 754.39 | 755.67 | 753.945 | + 0°.5 | + 0°.7 | + 0°.4 | — 0°.7 | + 0°.23 |
| 2 | | 756.11 | 756.62 | 756.66 | 756.65 | 756.510 | — 0.4 | 0.1 | 0.7 | + 0.5 | 0.23 |
| 3 | | 757.23 | 758.39 | 759.09 | 759.63 | 758.585 | 0.3 | 0.0 | 0.0 | — 0.7 | — 0.25 |
| 4 | Rów. | 757.33 | 757.60 | 757.01 | 756.64 | 757.145 | 2.3 | — 1.9 | — 1.9 | 3.0 | 2.25 |
| 5 | ☾. | 757.69 | 758.85 | 759.55 | 759.03 | 758.780 | 1.9 | 1.5 | + 0.2 | + 0.6 | 0.65 |
| 6 | | 753.35 | 754.67 | 752.47 | 754.49 | 754.220 | 0.1 | + 0.4 | 0.7 | 2.1 | + 0.78 |
| 7 | | 756.43 | 756.27 | 755.47 | 756.13 | 756.078 | + 1.3 | 1.6 | 1.8 | 1.3 | 1.50 |
| 8 | | 758.51 | 759.33 | 760.89 | 763.35 | 760.520 | 1.6 | 2.1 | 2.3 | 1.7 | 1.95 |
| 9 | | 765.58 | 766.10 | 765.54 | 765.28 | 765.625 | 0.7 | 1.5 | 2.1 | — 0.9 | 0.85 |
| 10 | | 764.14 | 764.09 | 763.55 | 764.17 | 763.988 | — 0.4 | 0.8 | 0.3 | + 0.4 | 0.98 |
| 11 | | 764.28 | 764.72 | 764.29 | 764.23 | 754.380 | + 0.5 | 0.9 | 2.3 | 2.0 | 1.43 |
| 12 | ●. | 764.03 | 763.95 | 763.41 | 763.04 | 763.608 | 1.5 | 2.0 | 1.9 | 1.3 | 1.65 |
| 13 | | 762.77 | 763.09 | 762.31 | 761.66 | 762.458 | — 0.4 | — 0.4 | — 1.0 | — 1.5 | — 0.83 |
| 14 | | 760.92 | 761.03 | 760.15 | 760.08 | 760.545 | 2.5 | 2.5 | 1.8 | 2.8 | 2.40 |
| 15 | | 760.71 | 761.39 | 762.20 | 764.41 | 762.178 | 3.7 | 4.1 | 4.3 | 4.6 | 4.18 |
| 16 | Apog. | 767.95 | 769.72 | 771.81 | 774.63 | 771.028 | 9.3 | 10.5 | 11.1 | 13.0 | + 10.95 |
| 17 | | 777.33 | 777.64 | 776.43 | 775.77 | 776.793 | 15.9 | 14.7 | 11.1 | 12.8 | 13.65 |
| 18 | | 773.13 | 772.47 | 770.99 | 771.45 | 772.010 | 11.6 | 9.3 | 6.0 | 10.1 | 9.25 |
| 19 | Rew. | 770.48 | 770.85 | 769.43 | 768.68 | 769.860 | 13.4 | 12.8 | 9.4 | 9.5 | 11.28 |
| 20 | | 765.79 | 765.17 | 762.36 | 762.12 | 763.860 | 7.3 | 5.9 | 5.6 | 12.4 | 7.80 |
| 21 | ☽. | 760.19 | 759.78 | 758.76 | 760.25 | 759.745 | 16.2 | 14.0 | 14.1 | 16.8 | 15.28 |
| 22 | | 760.08 | 761.00 | 760.30 | 761.32 | 760.675 | 18.5 | 16.8 | 14.2 | 16.2 | 16.43 |
| 23 | | 760.35 | 760.82 | 758.87 | 758.07 | 759.528 | 17.9 | 16.2 | 12.8 | 16.0 | 15.73 |
| 24 | | 755.10 | 754.40 | 751.03 | 748.96 | 752.373 | 16.8 | 14.6 | 8.9 | 7.6 | 11.98 |
| 25 | | 746.21 | 747.22 | 748.14 | 747.73 | 747.325 | 4.0 | 4.2 | 4.5 | 2.9 | 3.90 |
| 26 | | 747.32 | 747.43 | 746.06 | 744.83 | 746.410 | 4.8 | 4.6 | 5.1 | 4.2 | 4.68 |
| 27 | | 744.11 | 744.80 | 743.92 | 745.48 | 744.578 | 3.8 | 3.3 | 2.2 | 3.0 | 3.08 |
| 28 | ⊙. | 749.96 | 751.56 | 751.39 | 749.74 | 750.663 | 2.8 | 4.0 | 4.2 | 3.8 | 3.95 |
| 29 | Perig. | 748.16 | 748.16 | 748.14 | 747.88 | 748.085 | 4.0 | 3.1 | + 0.3 | 1.5 | 2.08 |
| 30 | | 747.37 | 748.14 | 748.85 | 750.07 | 748.608 | 3.2 | 0.2 | 2.1 | + 1.0 | 0.08 |
| 31 | | 753.33 | 753.46 | 751.09 | 747.89 | 751.443 | + 1.0 | + 1.9 | 4.2 | 3.1 | + 2.55 |
| Śr. | | 758.718 | 759.097 | 758.534 | 758.688 | 758.759 | —5°.01 | 4°.28 | —3°.19 | —4°.20 | — 4.17 |

| Dnia | Wilgotność średnia dzienna | STAN NIEBA 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiecz. | 10 godz. wiecz. | KIERUNEK WIATRU 6 god. rano | 10 god. rano | 4 godz. w. | 10 godz. w. | Ilość wody co do wysokości w milim. deszczu | śniegu | Wysok. wody na Wiśle stóp na m.p. | cali |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1 | 95.5 | pochm. | poc. mgła | poc. mgła | poch. mgła | Pn1. | Pd2. | Pn1. | PnW1. | | | 5 | 11 |
| 2 | 94.3 | poc. mgła | poc. mgła | pochm. | pochm. | Pd1. | Pd1. | Pd1. | Pd1. | | 0.7 | 5 | 8 |
| 3 | 95.3 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Pd1. | PnW1. | Pn1. | Pn1. | | 0.2 | 5 | 3 |
| 4 | — | pochm. | pochm. | pochm. | poc. śnieg | PdW1. | PdW1. | PdW1. | PdW2. | | 0.6 | 5 | 2 |
| 5 | — | pochm. | pochm. | poc. mgła | poc. mgła | Pd1. | PnZ1. | Z1. | Pd1. | | 2.4 | 5 | 0 |
| 6 | 91.5 | pochm. | poc. śnieg | pochm. | pochm. | PdW2. | Pd1. | PdW1. | Z1. | 1.6 | 2.5 | 5 | 8 |
| 7 | 95.0 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Z1. | Z1. | Z1. | Z1. | 0,2 | | 6 | 1 |
| 8 | 95.0 | pochm. | pochm. | pochm. | poc. mgła | PnZ1. | Z1. | PnZ1. | PnZ1. | | | 5 | 8 |
| 9 | 94.5 | pochm. | pochm. | napół pog. | pogodny | PdZ1. | PdZ1. | PdZ1. | PdZ1. | | | 5 | 4 |
| 10 | 91.8 | pochm. | pochm. | napół pog. | pochm. | PdZ1. | Pd1. | Pd1. | PdZ1. | | | 5 | 2 |
| 11 | 97.5 | poc. mgła | poc. mgła | poc. mgła | poc. mgła | Z1. | Z1. | Z1. | Z1. | | | 5 | 1 |
| 12 | 96.5 | poc. mgła | pochm. | pochm. | pochm. | Z1. | Pd1. | Pd1. | PdW1. | | | 4 | 11 |
| 13 | 90.8 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Pd1. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | | | 4 | 10 |
| 14 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | | | 4 | 7 |
| 15 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | PdW2. | | | 4 | 9 |
| 16 | — | pog. z ch. | pogodny | pogodny | pogodny | PdW3. | PdW2. | PdW2. | PdW2. | | | 3 | 9 |
| 17 | — | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdW2. | PdW1. | PdW1. | W1. | | | 2 | 1 |
| 18 | — | pochm. | pog. z ch. | pogodny | napół pog. | Pn1. | PnW1. | PnW1. | PnW1. | | | 1 | 3 |
| 19 | — | napół pog. | napół pog. | napół pog. | peg. z ch. | PnW1. | Pn1. | Pn1. | Pn1. | | | 2 | 11 |
| 20 | — | pochm. | pochm. | pog. z ch. | pogodny | Pn2. | Pn1. | Pn1. | PnW1. | | | 3 | 1 |
| 21 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pogodny | PnW1. | W1. | W1. | PnW1. | | 0.6 | 3 | 4 |
| 22 | — | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PnW1. | PnW1. | PnW1. | PnW1. | | | 3 | 6 |
| 23 | — | napół pog. | pochm. | pogodny | pogodny | PnW1. | Pn1. | Z1. | Z1. | | | 3 | 10 |
| 24 | — | napół pog. | pogodny | pochm. | pochm. | Z1, | Z1. | Z1. | Z1. | | | 4 | [illegible] |
| 25 | — | pochm. | pogodny | pogodny | pochm. | Z1. | PnZ1. | Z1. | Z2. | | 1.0 | 4 | [illegible] |
| 26 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Z2. | Z1. | Z2. | Z2. | | | 4 | [illegible] |
| 27 | — | pochm. | poc. śnieg | pochm. | pochm. | Z1. | Z1. | PdZ2. | PdW1. | | 2.2 | 4 | 4 |
| 28 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdW1. | PdW1 | PdW1. | PdW2. | | | 4 | 2 |
| 29 | — | pochm. | pog. z ch. | pochm. | pochm. | Pd2. | Pd1. | PdW1. | PdW1. | | | 4 | 3 |
| 30 | 90.8 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Pd1. | PdW1. | Pd1. | PdZ1. | 1.4 | | 4 | 2 |
| 31 | 89.8 | napół pog. | pog. z ch. | pochm. | napół pog. | PdZ1. | Pd1. | Pd1. | Pd1. | | | 4 | 1 |
| Śr. | 93.7 | | | | | | | | | 3.2 | 10.2 | 4 | 4.6 |

| | m. | c. | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 758.759 | 28 | 0.354 |
| Najwyżéj barometr dochodził d. 17 o g. 10 rano | 777.64 | 28 | 8.725 |
| Najniżéj — — d. 27 o g. 4 wiecz. | 743.92 | 27 | 5.777 |
| Średnia dzienna zmiana barometru | 3.160 | | 1.401 |
| Największa dzienna zmiana barometru d. 15—16 o godz. 10 wiecz. | 10.22 | | 4.531 |
| Średnia wysokość barometru jest większą o | 7.574 | | 3.358 |
| od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających | 751.185 | 27 | 8.996 |
| Średnia temperatura stycznia wynosi | — 4°.17 C. | — | 3°.34 R. |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.34 „ | | 1.87 „ |
| Największa zmiana dzienna temperatury d. 24—25 o godz. 6 rano | 12.8 „ | | 10.2 „ |
| Średnia temperatura stycznia jest wyższą o | 0.63 „ | | 0.50 „ |
| od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających | — 4.80 „ | — | 3.84 „ |

Termometrograf wskazał: Maximum: + 5°.2 C. = + 4°.2 R. d. 31 po poł.
Minimum: — 18.6 „ = — 15.0 „ d. 22 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 93.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: — gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 1.0 setnych od normalnéj (94.7).

Ilość wody spadłéj z deszczu co do wysokości wynosi 3.2 mil. czyli 1.42 lin. par. ze śniegu 10.2 mil. czyli 4.52 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 13.4 mil. czyli 5.94 lin. par., mniéj o 20.1 mil. czyli 8.91 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w styczniu spada (33.5 mil. czyli 14.85 lin. par.).

Dni pogodnych 2, napółpogodnych 9, pochmurnych 20.
— deszczu 3: (d. 6, 7 i 30).
— śniegu d. 8: (od 2 do 6, 21 25 i 27).
— mgły 6: (d. 1, 2, 5, 8, 11 i 12).
Wiatr panujący południowo-wschodni.

Styczeń b. r. napółpogodny. suchy, w pierwszéj połowie ciepły, w drugiéj mroźny, choć w ogole nieco mniéj chłodny jak zwykle; średnia jego temperatura - 3,3 stop. R. jest o 0,5 stop. R. wyższa od normalnéj ( — 3,8 stop. R.) a o 0,4 jak w r. z W pierwszéj połowie miesiąca, przy niebie wciąż zachmurzonem, powietrze było wilgotne i w ogóle ciepłe; d. 16 nagle się ochłodziło i silne mrozy, przy pogodnem niebie panowały aż do d. 24; poczem do końca miesiąca, z wyjątkiem d. 31 który odznaczał się niezwykłem w téj porze ciepłem, średnia temperatura dzienna nie wiele odstępowała od normalnéj; największe ciepło było 4.2 stop. R d. 31 po południu; największe zimno -16,0 stop. R. d. 23 rano; największa zmiana dzienna temperatury 10,2 stop. R. przypadła z d. 24 na 25. Barometr przez cały prawie miesiąc utrzymywał się niezwykle wysoko; średnia jego wysokość jest 28 cali 0.35 lin. par. o 3,35 lin. par. większa od normalnéj (27 cali 9,00 lin. par.). Najwyżéj dochodził barometr 28 cal. 8,72 lin. par. d. 17 o godz. 10, a tak wysokiego stanu barometru w bieżącym wieku w Warszawie jeszcze nie zauważano. Najniżéj dochodził barometr 27 cali 5.77 lin. par. d. 27. Największa zmiana dzienna barometru 1,53 lin. par. przypadła z d. 15 na 16 gdy księżyc był najdalej od ziemi. Śniegi i deszcze padały rzadko i nieobficie. Dni deszczu było 3, a śniegu 8, pierwszych i drugich o 2 mniej jak w stanie nornalnym. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był nieco mniéj pogodny jak zwykle, stosunek bowiem dni pogodnych do napół pagodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 3,7 : 6,7 : 20,6 gdy tymczasem w b. r. jest jak: 2 : 9 : 20. Wiatr panujący był południowo-wschodni, często także wiał zachodni.

W d. 16 i 31 uważano kilka gromad plam na słońcu.

D. 6 w Książu w W. Ks. Poznańskiem widziano błyskawice bez grzmotów.

W ciągu tego miesiąca, w następujących miejscach było trzęsienie ziemi: d. 9 w Kiszeniewie, trzecie téj zimy d. 13 w Eusseldorfie i Kolonii, d. 15 w Ruszczuku i Klakucie.

Z Włoch donoszą że o ile pierwsza połowa stycznia łagodną odznczaała się temperaturą, o tyle w drugiéj znowu niezwykłe panowały zimna. -

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle.......... stóp 4 cali 4.6 n.m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 7......... stóp 6 „ 1 „ „
„ „ najmniejsza „ d. 18........ stóp 1 „ 3 „ „

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1869.

—

## *Historya.*



## *Literatura polska.*



## *Życiorysy.*



## *Sztuki piękne.*



## *Geografia i podróże.*

## *Nauki przyrodnicze.*



## *Geognozya krajowa.*



## *Powieść.*



## *Topografia.*



## **Korrespondencya.**

## *Przegląd teatralny.*



## *Pismiennictwo krajowe i zagraniczne.*